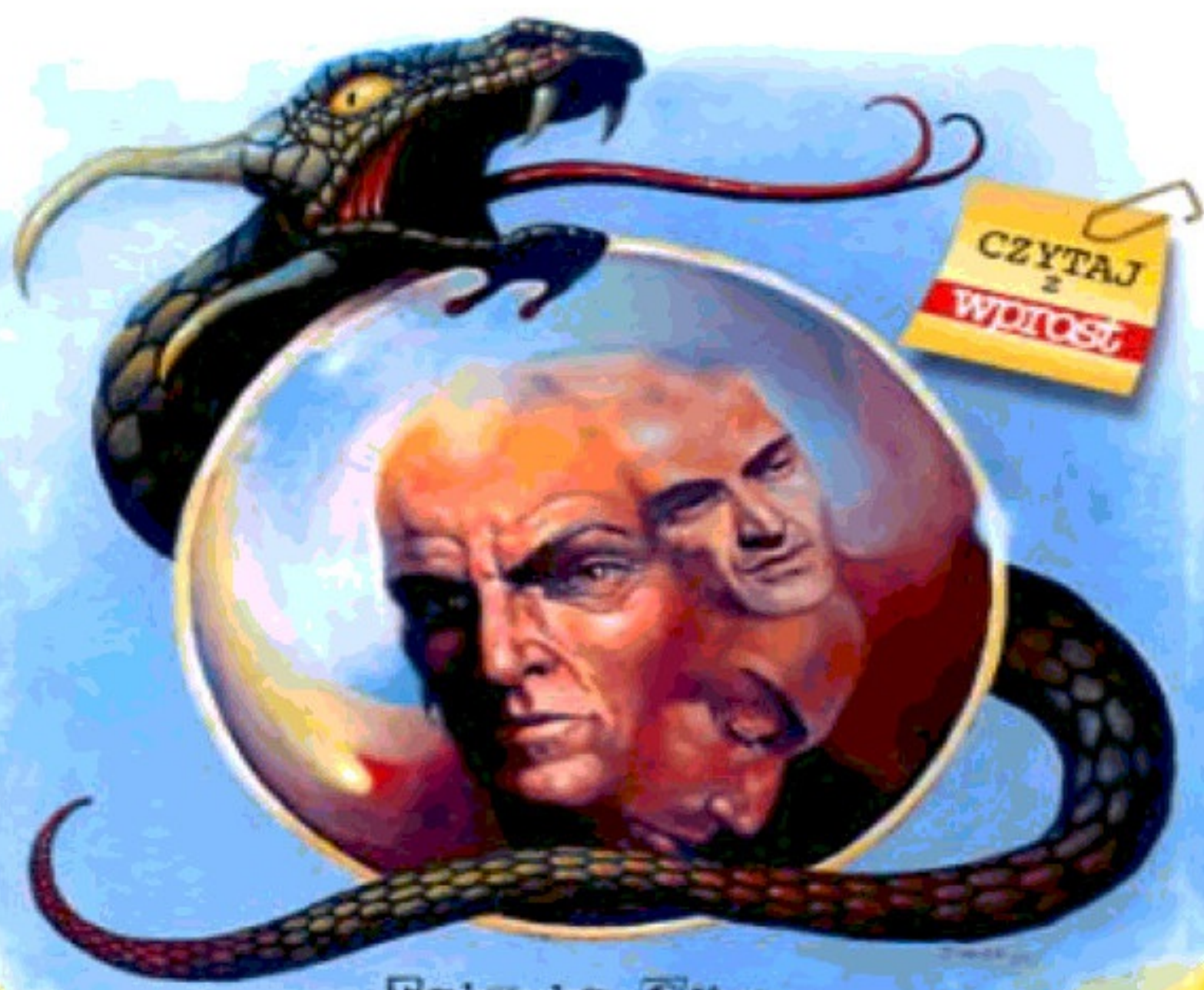


# Eugeniusz Dębski

## Tropem Xameleona



Fabryka Słów



**Eugeniusz Dębski**

**Tropem Xameleona**

## Prolog

Dębowy zagajnik, jesienny, w zieleni jeszcze, ale już z plamami żółci oraz nielicznymi i małymi czerwieni, prześwietlały promienie popołudniowego słońca; jego smugi, przesiane przez pomarańczowe i złote liście, z ciemnymi kropkami cieni żołądzi, podobnymi do drobin kaszy rozsypanej na poszyciu lasu, rozpały na gotującej się do zimy lub śmierci – jak kto woli – zieleni, wielobarwne plamy. Było cicho, drzewa, poszycie i trzy zające zmęczone zabawą w upale kucnęły i, nieruchome trwały pogrążone w puchowej drzemce. Jakiś zawzięty młody dzięcioł ćwiczył dziób na pniu suchego klonu, z uporem powtarzając długie serie szybkich uderzeń; obudził tym stukotem kukułkę, ale ta, sennie zakukawszy kilka razy, umilkła i zapadła w czujną ptasią drzemkę. Dwa drozdy przemknęły nad koronami drzew, pośpiesznie przekazując sobie jakieś ważne plotki. Na widok człowieka umilkły, i nawet jakby ciszej pofrunęły dalej. Ciekawski kruk otworzył dziób, ale nie odezwał się, jakby rozumiał, jak niedorzecznie i głośno zabrzmiałby w tej ciszy jego głos.

Niemal niewidoczną ścieżką energicznie i bezgłośnie maszerował szczupły mężczyzna z pękatem, ale lekkim workiem na plecach. Długie włosy, poprzetykane pojedynczymi siwymi pasmami, miał zaplecione w warkocz. Przez czoło biegła płócienna opaska, na skroniach wilgotna. Jasne plamy soli z wyschniętego potu na jej obrzeżach świadczyły o tym, że dzisiejszego upalnego dnia dobrze spełniła swoje zadanie. Mężczyzna doszedł do polany, z przyzwyczajenia zatrzymał się na brzegu pod osłoną pnia drzewa i zlustrował ją bystrym spojrzeniem, potem zerknął do tyłu, a na koniec uważnie wpatrzył się w niebo nad koronami drzew po drugiej stronie łąki. Nie było dymu, ptaki nie kołowały zaniepokojone.

W domu, znaczy, spokojnie, pomyślał. Poprawił delikatnie worek na plecach, równym, mimo zmęczenia, krokiem ruszył na przełaj. Z worka dobiegło niskie wielogłose buczenie. Mężczyzna uśmiechnął się. Potem, widząc na skraju polany małą sylwetkę, pomachał do niej ręką. Dziewczynka w jasnej, długiej bluzie ze świeżymi i nieco starszymi plamami po jagodach i zielnym soku na brzuchu, pobiegła w jego kierunku, wymachując szeroko i wysoko uniesionymi rękami. Coś pokrzykiwała i popiskiwała, a senne, rozmemłane echo niemrawo, upalnie odpowiadało od brzegów lasu. Głucho, jakby z suchej studni.

–Poczekaj na Kacka! – krzyknął mężczyzna, widząc, że za dziewczynką podąża na pulchnych nogach czteroletni brzdąc.

Mały miał na twarzy wypisany wysiłek i zaaferowanie. Śpiesząc się, stawiał bosc stopy jak popadło. Trafiając na kępy trawy, tracił równowagę i tylko cudem, jaki stałe przydarza się małym dzieciom, nie padał, tylko zamasyście i beładnie posuwał się do przodu. Dziewczynka, słysząc okrzyk ojca, zwolniła i obejrzała się, ale widząc, że bratu nic nie grozi, machnęła ręką i pognęła do przodu z poprzednią szybkością.

**–Tatku! – pisnęła, będąc już o kilka kroków od ojca.**

**Mężczyzna ostrożnie zsunął worek z pleców, położył go na ziemi. Chwycił córkę i zakręcił nią mocno, aż nogi zawirowały na wysokości jego piersi. To samo powtórzył z synem, gdy ten już dotarł zasapany do ojca.**

**–Masz? – wytchnęła Jurka, patrząc na worek.**

**–Mam! – przytaknął z dumą ojciec. – Trzy dni za nim szedłem, ale mam.**

**Kacek wepchnął się pomiędzy Jurkę i ojca, i zadzierając głowę do góry, powiedział:  
– Rycalo w lesie!**

**–Rycalo? – Ojciec potarł go za jasnokasztanowe z jeszcze jaśniejszymi, wypalonymi słońcem pasmami, włosy. – Sam jesteś rycalo!**

**–Rycalo. Straśne – nie ustępował Kacek.**

**–Straszne? – mężczyzna puścił do Jurki oko. – Straszne, duże i groźne?... – zapytał. Malec energicznie pokiwał głową. – Co to mogło być?**

**Kacek zastanawiał się chwilę, widać było, że przypomina sobie wszystkie okoliczności zdarzenia. W końcu popatrzył na ojca szeroko otwartymi oczami.**

**–Może pscoła?... – zaproponował rozwiązanie zagadki. Jurka rozłożyła ręce i zwała się na plecy w wysoką trawę.**

**–Trzymajcie mnie! – pisnęła. – Pscoła! Ła-cha-cha!**

**Porwany rękami ojca Kacek wylądował na jego ramieniu. Cofnęli się obaj. Ojciec podniósł worek, przerzucił przez drugie ramię i skinął na dziewczynkę:**

**–No to chodźmy, bo jeszcze coś strasznego nas pożre!**

**–Ach, tatku! – przypomniała sobie mała. – Mamy gościa! Gości! – poprawiła się.**

**–Po miód?**

**–Nie. Słyszałam, że ten wyższy mówił mamie, że widział stryjka, gdzieś tam... – machnęła ręką.**

**Mężczyzna przyspieszył. Widząc, że córka za nim nie nadąza, przystanął.**

**–No, chodź.**

**Przesunął chłopca na brzuch, Jurka zręcznie wskoczyła na plecy i splotła w**

wyćwiczony sposób nogi z nogami brata, teraz trzymali się wzajemnie sami na ojcu, któremu pozostały wolne ręce. Wydłużył krok i po chwili zagłębił się w paśmie lasu. Tu było chłodniej i panowała inna cisza, też chłodniejsza. Dzieci zamilkły, skupiły uwagę na trzymaniu się ojca. Słysząc było tylko nikły szelest stóp maszerującego bartnika i niskie buczenie w worku. Szybko przemierzył ostrogę lasu i wyszedł na tyły obejścia. Przystanął i zsunął dzieci, nie hałasując, przemknął przez sad, szybko i zrećnie. Nie wypuszczając ani jednej pszczoły, wpuścił rój do ślepego ula, bez wylotek, i poszedł pod chatę. Nasłuchiwał chwilę pod oknem, a słysząc spokojny głos żony, pytającej gości, czy nie chcą jeszcze zimnego miodnika, odetchnął i poszedł dokoła do drzwi.

W izbie znajdowali się żona i dwaj mężczyźni. Jeden właśnie ziewał, zmorzony drogą, upałem i miodnikiem. Był to już starzec, krzepki, ale jednak człowiek już niemłody. Ziewając, odrzucił do tyłu głowę, zsunął mu się z niej miękki, skórzany kapelusz. Czerep był kompletnie pozbawiony owłosienia, skóra na nim była biała, widać rzadko chodził bez kapelusza albo mieszkał w mieście. Miał szerokie, ciemne brwi i długie, siwe wąsy, oczy zaś głęboko osadzone, otoczone cieniami, zrodzonymi przez chorobę lub zmęczenie.

Drugi był mocnym, pewnym siebie ciemnowłosym mężem w rozkwicie sił, na oko może trzydziestoletnim. Miał gładko ogoloną, smagłą twarz z ciemnymi, niespokojnymi i niepokojącymi oczyma pod wygiętymi w łuki brwiami, za które niejedna panna oddałaby sporą część swego wiana. Ciemne włosy zaplótł w warkocz, teraz trochę nieporządny, musiało to być kilka dni temu, bo pojedyncze skręcone włosy wymknęły się ze splotu. Pomimo upału miał zapiętą pod szyją kamzołę z licowej, cienkiej, ale mocnej skóry i także spodnie wpuszczone w wysokie buty z zielonkawej bakacy. Wszystko w nim, począwszy od prostego na pierwszy rzut oka, ale wykonanego ze wspaniałej skóry i przez wyśmienitego rzemieślnika stroju, poprzez śmiałe spojrzenie i biel dłoni, zdradzało wielkiego – i bogatego – pana. Widząc gospodarza w progu, mężczyzna wstał i pochylił głowę w krótkim ukłonie. Tarina zrobiła kilka szybkich kroków i stanęła obok męża.

–Wiesz – chwyciła Zenmana za ramię, jakby wołając: Słuchaj-słuchaj-słuchaj mnie! – mamy wieści o Heldonie! Żyje i ma się ponoć nieźle.

Gość odchrząknął i powiedział:

–Witaj, panie. Istotnie spotkałem Heldona. Dość dawno, co prawda, ale spędziliśmy z nim kilka tygodni w karawanie. Wieczorami z nudów gadaliśmy aż do zmoru...

–Gadać to on lubi! – przytaknęła rozpromieniona Tarina.

Zenman przytaknął odruchowo. Brat żony był człowiekiem gadatliwym i wesołym, i dlatego nikt nie wierzył, że dojdzie do czegoś, gdy opuszczał rodzinne sioło.

**–Zajmuje się handlem – powiedział gość. – Organizuje też karawany, do których może dołączyć każdy, kto nie chce samotnie przemierzać niebezpiecznych połaci. Gdym mu powiedział, że zamierzam udać się w te okolice... – Sięgnął za połą kamzoli i wyjął mały, ale twardy mieszek -...prosił, żebym zajechał tu i przekazał wam to.**

**Zrobił dwa długie kroki i wyciągnął w stronę Zenmana rękę z kieszką. Bartnik nieufnie sięgnął po trzos, a kiedy ten przesunął się na jego dłoń, kiedy poczuł wagę mieszka, oszołomione spojrzenie, zaskoczone i niedowierzające, dopiero po chwili zdołał przenieść na żonę.**

**–Szczerze mówiąc – powiedział, zerknąwszy na zarumienioną z radości Tarinę – nie spodziewałem się... Nie spodziewałem się... ani, że Heldon się dorobi, ani... innego...**

**Omam nie palnął: „tym bardziej, że ktoś z własnej i nieprzymuszonej woli odda taki trzos”. Zmieszał się, a jeszcze bardziej zawstydził go, leciutki jak opar nad wysychającą łąką, uśmiezek widoczny w oczach tego ciemnowłosego. Poczuł, że na twarz wypływa mu rumieniec zawstyżenia, uratowały go dzieci: coś trąciło go z tyłu w nogi, obejrzał się i napotkał spojrzenie dwóch par szeroko otwartych oczu. – To nasze dzieci – zagarnął je i wypchnął przed siebie, szczęśliwy, że odwrócą uwagę przybyłych od własnej gamoniowatej postaci.**

**–Znamy się już – uśmiechnął się teraz już otwarcie gość. Kacek wsunął się za siostrę, a dziewczynka pociągnęła nosem.**

**–Wasze konie są w stajni, panie. Niedługo będzie można je napić – powiedziała śmiało.**

**–Nie twoja sprawa – zganiał ją ojciec. Wsunął kieszkę do kieszeni i zapraszającym gestem wskazał stół. – Siądźmy... – zawahał się.**

**–Jestem Gadocha – powiedział młodszy. – A to – obejrzał się na starca, który mimo wejścia gospodarza drzemał przy stole – Abnehaan. Umęczyła go droga.**

**Wrócił do stołu i czekał, aż gospodarz usiądzie. Tarina rzuciła się do komory, zaczęła tam pobrzękiwać dzbanami i butlami.**

**–Przyjechałem do was tym chętniej... – zaczął Gadocha i bartnik od razu zrozumiał, że przechodzi do sedna. W duchu odetchnął: skoro ten Gadocha ma do niego sprawę, to wspaniałomyślne przekazanie sakiewki staje się czymś zwyczajniejszym - ...że planowałem jedną rzecz... – Przerwał na chwilę i wpił się spojrzeniem w oczy bartnika.**

**Zenman nagle uprzytomnił sobie, że ktoś, chyba ciemnowłosey gość, sięga gdzieś głęboko do jego wnętrza i obrzuca je zaciekawionym spojrzeniem. Siedział nieruchomo, ale nie wystraszony. Uświadomił sobie teraz, co go najbardziej zadziwiło**

w nieznanym: nie wspaniałe nieprzemakalne buty z rasy zielonkawych krów, nie głęboki dźwięczny głos, ale jego spojrzenie: gdy nie patrzył na człowieka, wydawało się, że jednak patrzy, a gdy patrzył, to chciało się uciec spojrzeniem, wpić oczyma w co innego. Ale nie można było odczepić spojrzenia Gadochy od siebie, jak nie można dmuchaniem pozbyć się rzepa w brodzie...

–Muszę gdzieś zostawić tego człowieka – powiedział Gadocha, niemal niedostrzegalnym poruszeniem głową wskazując drzemiącego towarzysza. Milczał chwilę. – Dzieci... – mruknął nagle.

Zenman potrząsnął głową zaskoczony.

–A! – zrozumiał nagle, co miał na myśli gość. – Jurka, Kacek! Biegnijcie sprawdzić, czy rój się nie wydostał. No, migiem.

Jurka wyduła wargi.

–Chodź, Kacuś. Zawsze tak mówią, kiedy chcą się nas pozbyć.

–A dlaczego... – zaczął jej brat, ale pociągnięty za rękę nie dokończył.

Wyszli. Za progiem Jurka głosem cierpiętnicy – starszej siostry zaczęła tłumaczyć, że nie mówi się „dlaczemu”, tylko „dlaczego”. Gadocha odwrócił się do gospodarza.

–Muszę go ukryć, dla jego własnego dobra.

–A skąd mamy wiedzieć, czy nie... – zaczął Zenman, ale urwał.

–Czy nie robię mu krzywdy? – dokończył Gadocha. Wzruszył ramionami. – Musicie wziąć to na wiarę. Jeśli nie wierzycie, to nie będę nalegał.

–No, nie – zaczął się wycofywać bartnik. – Nie zarzucam wam kłamstwa, tylko... – zaczął szukać odpowiednich słów. – Tak ni stąd, ni zowąd... – odchrząknął skonfundowany. – Nic nie wiemy o was... Ani o nim – zerknął na drzemiącego.

–Powiem wam, ile mogę. Jestem magiem – powiedział zwyczajnie, jakby mówił: „Mam psa”. Bartnik przełknął ślinę, ale nagle uświadomił sobie, że się nie boi. Nie boi i już! Albo to żaden mag, albo – dobry... Czy są dobrzy magowie? Potrząsnął głową i wsłuchał się w słowa gościa. – A ten człowiek został zaklęty i stracił pamięć. Ja mam do wykonania kilka rzeczy. Między innymi chcę odzyskać jego pamięć i przywrócić do życia. Ale muszę mieć trochę spokoju, żeby tego dokonać, a już kosztowało mnie wiele trudu wyrwanie go z łap jego wrogów, którzy zamierzali unicestwić go również cielesnie. Nie mogę zajmować się nim stale.

Do izby weszła Tarina z dzbanami i polewanymi szklaniami. Zręcznie rozstawiła



wszystko, i widząc, że odbywa się poważna, męska rozmowa, szybko wybiegła, bąkając: – Do ogrodu... sprawdzę dzieci...

–Mój plan jest taki – powiedział Gadocha po jej wyjściu. – Zostawiam wam Abnehaana – wyjął drugą, większą kieskę. – Nie sprawia kłopotu, rozmawia, żyje normalnie, tyle że najbardziej lubi siedzieć zagrzebany w swoich księgach. Pilnować go nie trzeba, nie ucieknie. I tu też nikt nie przyjedzie, nie obawiajcie się, droga jest magicznie chroniona...

–My tu magią się nie posługujemy – burknął zaniepokojony bartnik.

–A my nie trzymamy w miastach pszczół – powiedział Gadocha. – Ale to nie znaczy, że boimy się miodu.

Milczeli chwilę.

–Za jakiś czas, nie wiem, może być długo – nawet za pół roku, przyjadę po niego. Będę mógł zdjąć uroki. Zapłacę wam drugie tyle. – Trącił paznokciem mieszek. Upakowany w nim metal kusząco brzęknął. – Jeśli nie będę mógł, na pewno zgłosi się ktoś inny i dług ureguluje – milczał chwilę, nie patrząc na Zenmana, jakby był świadom siły swojego wzroku. Musiał być. Sięgnął po dzban i nalał sobie, nie czekając na zaproszenie. Napił się i westchnął dziękczynnie. – Nic wam nie grozi – zapewniam. Ale nie musicie się zgadzać – zastrzegł i popatrzył w oczy bartnika.

Zenman poczuł jednocześnie kilka rzeczy. Gość mógłby sięgnąć swoim kamiennym spojrzeniem do jego umysłu i nakazać mu, co zechce, ale nie robi tego, i jeszcze jedno poczuł: że to dobra sprawa, to, co Gadocha zamierza, i że trzeba mu pomóc.

–Dobrze. Wierzę wam. – Wstał i wyciągnął do gościa dłoń. – Zostańcie z nami ile chcecie. A potem zostawcie Abnehaana i jedźcie do swoich spraw. Będzie mu tu dobrze.

Gadocha również wstał i mocno ścisnął dłoń bartnika.

–Zostanę do jutra. Z przyjemnością. Takiego miodniku nie piłem jak żyję.

–Miodnik!... – prychnął Zenman, czując jakby ogromny głaz zwałił mu się z ramion na ziemię. – Mam taki miód, że można nim śmierć upić!

–Hm?

–A tak!

–Coś takiego obiecywał też Heldon – powiedział, uśmiechając się Gadocha. – Kiedy mówił o waszym miodzie, oczy robiły mu się wilgotne i maślane... – milczał chwilę. –

**A potem machał ręką i szedł do swojego namiotu.**

**–Tęskni?**

**Gadocha skinął głową.**

**–Myślę, że za jakiś czas machnie ręką jeszcze raz, ale już tak naprawdę i ostatecznie. Rzuci cały ten interes i wróci do siebie.**

**–Tam nie ma do czego - powiedział cicho Zenman.**

**–Wiem. Opowiadał o rzezi nad Hreycenną...**

**W izbie zapanowała głęboka cisza. Studzienna. Piwniczna.**

**Zenman westchnął. Wstał.**

**–Niechby wracał. Tu można by siolo założyć. Ziemia piękna. Lasy – marzenie. Zwierzyna. Droga jaka taka...**

**Stał chwilę i jakby w głowie przeglądał okolicę. – Tak – ruszył do komory. – Napijemy się miodu – rzucił przez ramię.**

**–Gospodarzu! – zawołał Gadocha. – Gdyby można... Póki nie ma dzieci i żony... Chciałbym chwilę sam z Abnehaanem zostać. Czarem go łagodnym spętam, żeby nie ciągnęło do zgliszcz swoich...**

**–Tak-tak! – pośpiesznie zgodził się bartnik i wypadł z izby.**

**Za rogiem natknął się na żonę idącą w jego stronę z dziećmi.**

**–Poczekajmy tu... E-ee... Opatruje mu ranę... – rzucił.**

**–Ranni? To ja pomo...**

**–Nie! To... Tego... – zaplątał się w kłamstwie.**

**–A! – domyśliła się Tarina. – Skromne miejsce?**

**–Tak. Właśnie. Tam.**

**–Zostają u nas? – zapytała z nadzieją Jurka.**

**–Jakiś czas, może do jutra tylko, nie wiem. Potem jeden odjedzie. Tym starszym się zaopiekujemy, bo chory. – Popatrzył znacząco w oczy żony. Skinęła głową. – Będziecie mieli dziadka.**

**–Dziadka! – sapnął ucieszony Kacek. – Bajeczki zna?**

**–Eee... Zna!**

**Musi znać – pomyślał z nadzieją. Każdy zna. Niektóre zaczynają się od przybycia do jakiegoś domu dwóch mężczyzn. Z dobrą albo złą nowiną. A potem dopiero zaczyna się coś naprawdę ciekawego dziać... Popatrzył na młody, ale już bujny sad, gęsty od niewidzialnych pszczelich ścieżek, ocenił wysokość słońca. Dzieci, znudzone bezruchem dorosłych, po chwili przestępowania z nogi na nogę zerwały się jak umówione i pognały za stajenkę. Tarina zerknęła pytająco na męża, nabrała powietrza, zanim jednak zdążyła otworzyć usta, skrzypnęły drzwi i w progu pojawił się Gadocha. Uśmiechnął się do gospodarzy, ale oboje mieli wrażenie, że myślami jest już daleko, że zadowolony pomyslnym załatwieniem sprawy uleciał myślą do innych, teraz ważniejszych, już zaprzatających jego uwagę.**

**–No to teraz napijemy się miodu! – powiedział, podchodząc do gościa, Zenman.**

**Tamten skinął głową, bartnik wskazał stół i ławę pod krzewem omijanej przez pszczoły niecierpiny, a sam pognał do komory. Kiedy wrócił, Gadocha wprowadzał Tarinę w szczegóły życia jej brata. Zenman przysiadł się, odszpuentował ostrożnie butel i nalał do pełna do dwóch kubków i – z wahaniem – do połowy dla żony.**

**–... a na żonę nie ma czasu – dokończył Gadocha i wciągnął powietrze przez nos. – Aromat cudny! – powiedział.**

**Dumny bartnik nie odpowiedział tylko uniósł swój kubaś, wypili i niemal jednocześnie odstawili naczynia.**

**–Och... – sapnął gość. – Najpierw szczypie, jakby rój tych wspaniałych owadów wyżądlił język, a potem, w brzuchu, królowa roju składa słodki pocałunek...**

**Tarina klasnęła w dłonie jak rozbawiona dziewczynka i roześmiała się.**

**–Mężczyźni to potrafią pięknie prawić o winie i miodzie!**

**–A o kobietach to nie? – zapytał Gadocha.**

**Gospodyni zastygła z otwartymi ustami i zarumieniła się, zerknąwszy na męża. Tamten, zmieszany, sięgnął do kubka i pokręcił jego denkiem po stole. Zapadła nagła i niezręczna cisza. Mężczyźni jednocześnie zaczęli:**

**–Pójdę do koni... – powiedział Gadocha.**

**–Pogoda będzie wspaniała! – oświadczył Zenman. I powstrzymał wstającego gościa:  
– Nie trzeba. – Wskazał kciukiem na stajnię: – Jurka na pewno dobrze je oporządziła.**

**Dziewucha kocha konie.**

**–Wszystkie zwierzęta – dodała Tarina.**

**–Tak. Zgadza się.**

**–No to dobrze – Gadocha rozsiadł się z powrotem wygodnie i sięgnął po kubek. Począł na gospodarza, wypili resztę. – Tam jest toból, co na mule przywieźliśmy. To są księgi Abnehaana. Wszystko, co mu zostało. To tylko część księgozbioru, ale że się z nim nie rozstaje, to nie spłonęły w pożodze. – Obrzucił uważnym spojrzeniem bartnika i jego żonę. – Nie obawiajcie się, nie ma w nich nic złego.**

**–Myślę – powiedział po chwili namysłu Zenman – że złe księgi nie płoną. Skoro te trza przed ogniem chronić – magicznymi nie są.**

**Gadocha pokiwał głową.**

**–Możemy wybrać jakąś i wyciąć kawałek, żeby wrzucić w ogień.**

**Bartnik pokręcił przecząco.**

**–Nie trza. Szkoda czyjejs roboty, i skoro tak cenne dla niego są...**

**Gość z pewną ulgą odetchnął.**

**–No to...**

**Zenman nalał z dzbana. Tarina, uprzedzając męża, chwyciła swój kubek i upiła łyżeczek. Znowu zapadła cisza. Gdzieś zza stajni dobiegł chichot Jurki i oburzony głos Kacka.**

**–Dobrze tu u was – powiedział cicho gość. W jego głosie zabrzmiał żal i jakby pewna zazdrość. – Chciałoby się... Ale... – pokręcił głową. – Co bym tu robił... – dokończył jakby do siebie.**

**Wypili. W gardłach na krótko zapłonął chłodny miętowo-miodowy ogień i zgasł w żołądkach, pozostawiając po sobie echo w głowie.**

**Niespiesznie rzucając do siebie po kilka słów, siedzieli aż do wieczora. Potem dzieci poszły spać, a wkrótce po nich bartnik z Gadochą doprowadzili sennego Abnehaana do jego łoża w komorze.**

**\*\*\***

**Tarina przekręciła się na łożu i popatrzyła na leżącego nieruchomo męża.**

**–Mówiłam ci już, że kiedyś to łoże wydawało mi się głupie i źle ustawione?**

**Odwrócił się do niej i pogłaskał po ramieniu.**

**–Mówiłaś. A ja wiedziałem, że z tego miejsca najlepiej widać wschód słońca, i dlatego zrobiłem je takie wysokie i ustawiłem wezgłowie do okna.**

**Oboje zerknęli do tyłu. Na poziomie oczu mieli szeroko otwarte okno. Z sadu dolatywał mocny gęsty aromat czerszy i liberynki spod okna. Księżycyca micha lśniła pełnią blasku.**

**–Dołożyłem sakiewki do tego, co już mieliśmy schowane – powiedział szeptem Zennian.**

**–Do tych trzech kunstów? – zachichotała Tarina.**

**–No. – Milczał chwilę. – Jesteśmy bogaci – westchnął. – Odmiana losu... dzisiaj rano miałem tam trzy srebrne kunsty, a teraz dwie sakiewki złota.**

**–Możesz dokupić barci – podpowiedziała Tarina.**

**–Pewnie. Mogę pojechać na targ i kupić wszystko – mięsa wędzonego, lnu na suknię... Co ja mówię?! Mogę kupić ci suknię! I dzieciom...**

**–Akurat! I wszyscy się dowiedzą, że masz złoto, i zdziwią się – skąd nagle u Zenmana pieniądze? A jak będziesz wracał, zaczną się na ciebie i głowę utną, jak Cierpikowi.**

**–No tak...**

**Jakaś syrlica rozpoczęła nocną pieśń, zawahała się, umilkła i rozpoczęła znowu. I ponownie zamilkła.**

**–Ale jakby tak szepnąć kupcom, żeby wstąpili do nas?... – zaczął Zenman. – Jakby co sprzedali raz – wstąpiliby drugi, za czas jakiś. Potem ktoś by może tu został... I tak po trochu, po trochu...**

**–Osada by powstała – uzupełniła żona. – Wiem, że to twoje marzenie...**

**–Uhu...**

**Syrlica znowu wywiodła długą nutę i urwała.**

**–Co ona tak dzisiaj – nie może się rozpędzić? – szepnęła Tarina.**

**Skrzypnęły drzwi stajni.**

**–Cii... – szepnął Zenman.**

**Zupełnie niepotrzebnie, bo Tarina również usłyszała skrzypienie i nie zamierzała się odzywać.**

**Oboje jak na komendę przekręcili się na brzuchy i przysunęli do okna; w jasnym świetle zobaczyli, jak do sadu idzie Gadocha, ciągnąc za sobą derkę. Podszedł do stołu i przeciągnął się, aż trzasnął jakiś staw. Syrlica zamilkła na dobre i tylko odległe kumkanie żab w niewysychającym nigdy błocku i dwukrotne „uhu-uhu” filina zakłóciło ciszę. Tarina odnalazła po omacku dłoń męża i zacisnęła na niej palce, odpowiedział jej dwukrotnym znaczącym uściskiem.**

**Gadocha usiadł na ławce, wyciągnął dłonie i chwilę bębnił palcami w blat, potem ziewnął przeciągle i – jakby wystraszony odgłosem – obejrzał się na dom. Zenman i Tarina wbili twarze w poduszki. Gadocha ziewnął jeszcze raz, wstał, rozłożył derkę na trawie i ze stęknieniem ułożył się na niej na plecach. Przeciągnął się jeszcze raz, mocno, długo, aż zaskoczonemu bartnikowi wydało się, że stał się nagle dłuższy, wyższy o głowę od znanego mu Gadochy. Gość nagle odwrócił się na bok i znieruchomiał. Tarina przysunęła się do ucha męża i wydyszała:**

**–Widziałeś? Wydało mi się, że jest taki długi, że aż się na derce nie mieści.**

**–Cicho... – Zsunął się niżej i ułożył na boku. Pociągnął żonę za sobą. – Przecież mówił, że jest magiem. Co to dla takiego zrobić się wyższym albo grubszym?**

**–A kobietą może być? – zapytała po chwili Tarina.**

**Jej dłoń nagle zsunęła się niżej, przejechała po ciele męża. Zaskoczony targnął brzuchem i omal nie roześmiał się głośno.**

**–Kto go tam wie? – mruknął po chwili, wsuwając kolano między nogi Tariny. – Ale taką, jak ty, nigdy by nie mógł być – dodał, łaskocząc szyję żony brodą.**

**–No myślę! – poruszyła głową. – Czekaaj, a jak nas usłyszysz?**

**–No to cię mu sprzedam na resztę nocy... Cicho być mi tu!...**

**Zenman zamknął żonie usta pocałunkiem, wsunął kolano między jej uda i poruszył lekko. Odpowiedziała, poruszając w tym samym rytmie językiem w jego ustach potem zadrżała i rozchyliła uda. Sutki twardniały pod ręką bartnika. Głaskał piersi, szczyptał delikatnie brodawki, aż poczuł, że bije od żony gorąco, usłyszał ciche rytmiczne posapywanie. Podniósł się na chwilę, poczekał, aż podciągnie koszulę, potem uklęknął i sam szybko ściągnął swoją. Rzucił przy okazji okiem na podwórko, przemknęło mu przez myśl, że mógłby zamknąć okno, ale od razu poczuł jakiś... powiew smrodu... „Mogłem się wykąpać z drogi” – pomyślał, ale już było za późno**

na zabawy w misce. Teraz miał co innego na głowie.

Rzucił się na łóżko, na plecy, przekręcając lekką i wiotką żonę, ta szybko i wprawnie uklękła nad jego biodrami, pochyliła się i pocałowała męża. Poruszyła delikatnie swoimi biodrami, a on poczuł, jaka jest ciepła, gorąca i soczysta, mokra i lepka. Jeszcze chwila i wejdzie;...

–Mamo – szepnęła, odrywając się jego ust. – Co tak śmierdzi? No, niemożliwie po prostu!...

–Cicho, nie przesadzaj, ja...

Fala ohydnygo fetoru zdławiła jego szept, nie tyle zresztą sam smród, co fala mdłości, jakie buchnęły z żołądka. Zenman jęknął, przekręcił się, zrzucając z siebie Tarinę, wystawił głowę za krawędź łoża. Udało mu się nie zwymiotować, usłyszał, że z drugiej strony krztusi się i dławi żona.

–Co to jest? – warknął.

Zaczął oddychać przez usta, przypomniawszy sobie, jak w dzieciństwie zakładali się, kto dłużej wytrzyma z głową zwieszoną do dołu z gnojowicą.

Przeturlał się i niemal przykrył sobą nagą żonę, sięgnął do jej twarzy, zacisnął jej nozdrza dwoma palcami.

–Trzymaj nos zatkany, to nie będziesz czuła smrodu! – krzyknął.

Potem poderwał się, podniósł rękę i powąchał się pod pachami. Oczywiście, nie mógł aż tak śmierdzieć, ale aż tak to nic nie mogło śmierdzieć. Nawet w ludnej osadzie trudno by było znaleźć takie miejsce, a co dopiero tu, gdzie był jeden konik, dwa osiołki, stadko kóz... Tu nic nie może tak obrzydliwie cuchnąć!

Przeleciał wzrokiem przez widoczne przez okno podwórze i skamieniał.

Na samym środku, jakieś dwanaście, może czternaście kroków od okna wyrósł krzew, pęd, pojedyncza łodyga... To coś, proste i wysokie na wzrost człowieka, nie miało liści ani pędów, w jasnym świetle księżycy widać było tylko jakieś purchle na łodydze, jakieś ogromne, wielkości dużych jabłek kurzajki? Brodawki? Huby? Ale takie okrągłe?

Cały pęd drżał, jakby chciał strząsnąć narośle, ale te trzymały się mocno. I to ta dziwna roślina musiała tak nieziemsko, śmierdzieć.

Zenman poczuł, że w przedramię wpijają mu się paznokcie Tariny.

**–Co to jest? – szepnęła.**

**Nie zamierzał jej odpowiadać, bo niby co? Nie miał pojęcia, co to może być, a co ważniejsze – skąd się tu wzięło.**

**Nagle oboje podskoczyli, kobieta pisnęła krótko.**

**Z nieba zaczęły walić w pęd cienkie, mętne błyskawice, bezgłośnie i przymglone, krótkie, jasne strzały. Najpierw nic się nie działo, patyk z brodawkami drżał, ale w miarę jak trafiało go coraz więcej tych dziwnych błyskawic, kiwał się z boku na bok, jakoś obrzydliwie, francowato się wyginał, jak ladacznica, brudna, niechlujna i pijana, kiwająca w chuci biodrami...**

**Zenman chciał powiedzieć Tarinie, by nie patrzyła, by odeszła, ale poczuł, jak drży i pojął, że żadna siła teraz nie oderwie jej od męża, a on na pewno nie odejdzie od okna. Nie dlatego, że lubi takie widoki, nie. Dlatego, że to coś, co kiwało się na jego podwórzu, było obrzydliwe, odpychające, ohydne. I straszne.**

**I groźne.**

**Pęd zaczął się kołysać mocno, a brodawki pękały i chlustały na pęd i ziemię dookoła niego sinymi glutami, świecąca, ciągnącą się cieczą. Po chwili cały pęd świecił, jakby natarty czy obsypany świejącym próchnem. Stawał się coraz grubszy, pęczniał od ziemi, od strony świecącej gleby.**

**–A on? – zapytała, szcękając zębami, Tarina. Zenman dopiero teraz uprzytomnił sobie, że bliżej niż oni sami od tego czegoś, co rośnie na jego podwórzu, leży na trawie, za stołem, za ławą, Gadocha. „Trzeba by go obudzić” – pomyślał z rozpaczą. I od razu wiedział, że na pewno nie wyjdzie z domu, a tym bardziej nie krzyknie, nie zwabi stwora do domu, nie odezwie się... Bo może nie zauważy, nie przysunie się, nie chluśnie swoim mdłym trupim świeceniem w Tarinę, w dzieci, w niego...**

**–Może... – wychrypiał, sam nie wiedząc jeszcze, co powie.**

**Na dworze coś zgrzytnęło, cicho, ale przejmująco. Gdyby był tu młyn, uznaliby, że to dwa kamienie poruszyły się, otarły o siebie swoje twarde, zimne cielska, ale w obejściu bartnika nie było takich kamieni. Zgrzytnęło znowu, pęd szarpał się teraz mocno, w górę, jakby chciał uwolnić korzenie. To on, może one, wydawały te dźwięki. Może ziemia, która nie chciała wypuszczać stwora. Jakby wiedziała, że tu, na powierzchni, nie miejsce dla niego, że tylko w jej ciemnym, zwartym łonie jest nieszkodliwy...**

**Zgrzytało i skrzypiało, doszło do tego niskie, niemal nie docierające do uszu, tylko wyczuwalne dudnienie. Purchlawy pęd grubiał i tylko podskakiwał, podrygiwał, przez niego, pokrytego jakby luźną skórą przelatwały fale. „Jak wole indora, kiedy**



biegnie” – pomyślał, dziwiąc się samemu sobie, że o tym myśli, bartnik. Chciał przenieść wzrok na żonę, chciał jej powiedzieć, żeby uciekała, żeby cicho przeszła do komory, gdzie spały dzieci, żeby wzięła je i...

Nie był w stanie ani oderwać oczu od śmierdzącej rośliny, ani tym bardziej odwrócić się, czy przesunąć. Podrygujący stwór przykuwał uwagę i zniewalał. Na dodatek rósł w siłę, a przynajmniej grubiał w oczach. W dwóch trzecich długości nagle rozdwoił się i tak samo szybko na czubkach dwu łodyg pojawiły się sercowate zgrubienia, a nie minęło kilka oddechów, jak te pąki zmieniły się w gadzio-ptasie głowy. Zenman z rozpaczą patrzył, jak wyżynają się na bokach płaskich głów oczy, amarantowo płonące, jak wydłużają się pyski, zmieniają barwę w świetle nieustannie bijących w środek podwórza jasnych strzał. Śmierdzący gość wykształcił dzioby, i zaraz wygięły się one i stały dziwnymi nożycami czy cęgami: dolne rozdwoiły i wygięły do góry, górne wykrzywiły ku ziemi. Gość kłapnął kilka razy każdym dziobem, zgrzytały przy tym jak dwa ostrzone o siebie noże. Cokolwiek wpadłoby w te potworne ostrza, zostałyby odcięte jednym kłapnięciem. Bartnik chciał mrugnąć, by strząsnąć łzy wypływające z nieruchomych oczu, spod nieruchomych, skamieniałych powiek, ale nie dał rady. Mógł tylko gapić się na stwora!

Ten rósł w siłę, przybierał jakiś swój potworny kształt, dochodził do tego ciała, które jakieś potworne moce mu przypisały, ale ziemia, w której trzewiach się zrodził, a może tylko trwał uwięziony, nie puszczała. Zenman widział, że napór stwora wzmacnia się, czuł, że wyrwie się i wtedy... Wydawało mu się, że zacisnął zęby, na pewno chciał, ale czuł tylko, jak spływają po policzkach łzy, a potem, poniżej, ciało już do niego nie należało. A chwilę potem stwór ich zobaczył...

Dwie pary amarantowych rozżarzonych ślepiów wpatrzyły się w ciemny prostokąt okna. Obie głowy zadygotały, potem jedna uniosła się do góry, w powietrzu zawibrował przenikliwy skwirgot, po którym, wydawało się, żadne dźwięki nie dotrą już do uszu. Zenmanowi wydawało się, że też krzyczy, że z otwartych ust ulatuje wrzask strachu, ale nie słyszał nic, poza tym tnącym ciszę, jak brzytwa wosk, okrutnym, świdrującym, rozdzierającym krzykiem.

Druga głowa, ta milcząca, pochyliła się, potem wyciągnęła w kierunku Zenmana i jego żony. Brakowało jeszcze dobrych ośmiu kroków, ale ziemia dokoła potwora drżała, pękała, zmieniła się w zryty spłachetek, jakby skopany i zagrabiony pod wysiew, ale w tym przypadku znaczyło to, że ukryte przed wzrokiem wiją się pod ziemią macki, miotają, tną i siekają grunt, mielą go, i – być może – w końcu wyrwą się z tego rozdrobnionego mięsiwa...

Pierwsza ciągle powtarzała wysoki, przenikliwy wrzask, szarpała się w kierunku okna. Potem cofnęła, i nagle rzuciła z całej siły do przodu, ale nie po to, by uderzyć. Nie, stwór wiedział, że nie sięgnie jeszcze ofiar! Z rozdziawionego pyska-dziobu, z gardzieli wychlusnęła struga czarnej cieczy i uderzyła w Zenmana i Tarinę. Oboje

odzyskali częściowo władzę w członkach, przynajmniej na tyle, by odczuć uderzenie gadziej plwociny. Zapiekło, zaszczypało w oczy... Oboje pochylili głowy, Zenman chcąc strząsnąć piekącą ciecz z powieki, Tarina, żeby popatrzeć na swoje piersi. Dymiły. Czarne zgęstki wżerały się w ciało, które zaczynało topnieć i odpadać skwarkami. Kobieta zaczęła wyć. Nikt nie mógł jej pomóc, jej mąż, którego widziała kątem oka, trwał obok niej, tak samo na kolanach, nagi i opluty palącą śliną. Na jego piersiach i brzuchu dymiły włosy, czarne, ogniste pijawki wypalały dziury i wżerały się w ciało.

Najpierw nie czuli bólu, tylko widzieli, co się dzieje z ich ciałami. Potem ból uderzył. Dziesiątki rozżarzonych do białości szpikulców wpiły się w ich ciała, przeszły je na wylot, wyżarły kawerny, wyszarpały kawały ciał, upiekły je... Zenman wpatrywał się w swoje rozwalające się ciało, i nie mógł ani krzyknąć z bólu, ani upaść... Zebrał wszystkie siły, jakie mu jeszcze zostały, i przesunął wzrok, zobaczył biały bok żony i żebra – gołe, osmalone żebra sterczące z jej klatki piersiowej, z lewej piersi zwiślał strzęp sutka, kiwał się w rytmie jej spazmatycznego oddechu, spomiędzy żeber rytmicznie wydobywały się obłoczki dymu. Jakby ktoś okurzał ul! Na chwilę skwirgot zakotwionej na podwórzu bestii ustał, wtedy bartnik usłyszał cichy skowyt żony.

Wtedy już wiedział, że długo nie pożyją. Że niedługo osmalone, odarte z mięsa kości nie utrzymają ich ciał, że zwałą się na łoża, z łoża... I tak nie wiadomo, jakim cudem jeszcze nie załamały się przepalone, przewiercone ognistym charkiem. Coś spłynęło na oczy, uświadomił sobie, że to chyba gęsta krew z czoła, piekła...

Tarina zacharczała i zakołysała się.

Już nic...

Głowa zakołysała się na szyi z jednej strony pozbawionej niemal zupełnie mięśni. W pole widzenia wpadł kiwający się nieustannie stwór z podwórza. Klekotały upiorne dzioby, miotało się cielsko, jakby więcej go wystawało nad ziemię?...

Już...

Nagle zza ściany wyszedł stary mag. Trzymał ręce nad głową, wyprostowane palce dźgały powietrze i coś kłębiło się nad nimi, jak gorące powietrze nad ogniskiem. Abnehaan poruszył ustami, jakby coś powiedział, coś, czego nie można było usłyszeć przez ciągły szurgot ziemi, przez skrzek potwora i wycie Tariny. Ale potwór usłyszał! Obie głowy poderwały się do góry, odwróciły w stronę maga. Skwirgot ustał, umilkła też Tarina. Mag klasnął nad głową w dłonie. Świetlne strzały, ciągle uderzające w potwora, zmieniły kolor na różowy, potem czerwony, ściemniały, mag klasnął po raz drugi, strzały zaczęły spływać wolniej, jakby przedzierały się przez gęstsze powietrze.

**Zniknęły!**

**Mag klasnął znowu, i jeszcze raz, i jeszcze. Stwór po każdym klaśnięciu kołysał się. Ustało poruszanie się pod ziemią jego odwłoku czy nóg, obie głowy patrzyły na maga. Przymierzały się. Potem runęły!**

**Obie w połowie drogi wyrzuciły z siebie czarne skrzepy, ale żrąca ślina nie sięgnęła maga, trzy łokcie przed nim uderzyła w niewidzialną ścianę, w tę samą ścianę huknęły oba dzioby. Mag zachwiał się, jakby impet uderzenia przeniósł się na niego, ale ustał. Teraz zawył potwór, jakby zabrakło mu sił na paraliżujący wrzask, jakby nie wiedział, dlaczego ten niewielki, chudy człowiek nie zaczyna płonąć, dymić, rozpadać się.**

**Abnehaan klasnął jeszcze raz. Z nieba posypały się żółte płatki czegoś jak śnieg, tylko wielkości dłoni, sypały się z całej połaci ciemnego nieba, ale nad podwórkiem skręcały się, zwijały w lej i opadały tylko na stwora i ziemię dokoła niego. Potwór zaś, nie uderzał już teraz obiema głowami, tylko na przemian spluwał z jednej i uderzał nią, by po uderzeniu w niewidzialny pancerz maga cofać łeb, a spluwać i uderzać drugim. Wyglądało to tak, jakby usiłował ciągłym szturmem, nieustannym naporem rozwalić przegrodę i dobrać się do starca, albo osłabić go na tyle, że nie utrzyma magicznego muru. Starzec jednak ciągle w tym samym rytmie klaskał, i to klaskanie rodziło żółty śnieg, a ten oklejał coraz dokładniej głowy stwora. Już jeden amarantowy ślip został zaklejony, głowa zakiwała się, uderzyła w drugą, ta odpowiedziała gniewnym skrzekiem, ale obie szyje oklejał żółty puch, spowalniał ruchy głów, utrudniał im mierzenie w starca. Już kilka razy czarne zgęstki poleciały pod nogi stwora. Przy nasadzie ciała uzbierał się niewielki kopczyk, potwór jakby zamarzał, zwalniał...**

**Ale Abnehaan zaczął tracić siły. Zachwiał się i on, zmylił rytm klaskania. Opuścił głowę, potem poderwał i znowu silnie uderzył w dłonie, ale coś się zmieniło: „śnieg” sypał rzadziej... Stwór jednak jakby przyzwyczał się do tego albo nabrał sił, widząc, że słabnie mag... Potrząsnął mocno oboma łbami, udało mu się nawet strząsnąć „śnieg” z oka. I już miał uderzać ponownie w maga, gdy zza krzewu, pod którym spał, wyłonił się Gadocha.**

**Trzymał w ręku miecz. Wykonał dwa długie, ciche susy i ciął potwornie.**

**Nie celował w głowy. Jakby się bał, że jednym cięciem nie skosi obu. Nie, uderzył z góry w widły szyj, w rozgałęzienie. Cięcie długiego, ciężkiego miecza, wsparte skłonem całego ciała, rozpołowiło potwora. Miecz wbił się w ziemię pokrytą „śniegiem”. Gadocha wyszarpnął go i szybko odskoczył do tyłu.**

**Dziwne, ale jednocześnie jakby skończyła się moc maga – zachwiał się, przestąpił z nogi na nogę, opuścił ręce bezwładnym gestem znużonego człowieka, który za długo**

trzymał je uniesione w górę. Ale na szczęście stwór nie mógł już skorzystać z utraty sił maga. Jego głowy wiły się po ziemi, nie mogąc już unieść się w górę, zamiast potwornego, obezwładniającego skrzeku słychać było chrypienie i flegmowy bulgot. Gadocha przymierzył się, i kiedy jedna z głów znieruchomiła na chwilę na ziemi, akurat prostopadle do jego miecza, przykucnął i ciął w szyję, trochę jak chłop cepem. Ale skutecznie, łeb odpadł, druga głowa wyciągnęła się z całej siły, w potwornym spazmie. Kleszczowaty dziób wbił się w ziemię, zarył, szarpnął na obie strony, wyrzucając fontanny gleby na wszystkie strony. Gadocha przesunął się, wyraźnie zamierzając ciąć w drugą szyję, ale nie zdążył: ciało stwora wyprężyło się i nagle zaczęło wsuwać w grunt, skąd się wyłoniło. Jakby coś, ktoś, jakoś pociągnął je od dołu, jakby robak deszczowy wciągał się do swojego korytarza zaraz po ulewie. Gadocha odsunął się, popatrzył na maga, potem obaj przenieśli spojrzenie na bartnika i jego żonę.

A ci... Poczuli, że wraca im władza do członków. Zenman najpierw przekręcił głowę i popatrzył na żonę. Była cała i zdrowa, naga i cielesna, jak i wcześniej, jej wspaniałe piersi nadal dumnie i bujnie sterczały na boki, na blade policzki wracał rumieniec. Bartnik, nie wierząc własnemu szczęściu, popatrzył na swój brzuch, który tak niedawno dymił, parował, palił...

Był cały. Oboje byli cali i nietknięci! Zenman przeniósł spojrzenie na podwórze, ale tam już nie było na co patrzeć: nie było ani stwora, ani maga, ani Gadochy. Tylko zryta ziemia w miejscu, z którego wyłonił się potwór, para po żółtym śniegu... Zenman odwrócił się do żony, chciał powiedzieć coś uspokajającego, ale gdy odwrócił głowę, Tarina właśnie opadała na łożo. Otworzył usta...

Nakryła go fala omdlenia...

Chciał coś powiedzieć... Krzyknąć... Krzyknął!...

–Zenmanie! – ktoś szarpnął go za ramię.

Poderwał się, spocony, rozgorączkowany, rozdygotany. Za oknem świtało, w izbie było jasno, duszno... Tarina pogłaskała męża po policzku.

–Śniło ci się coś? – zapytała dziwnym tonem. Zastanawiał się chwilę, ale postanowił powiedzieć prawdę.

–Jakiś potwór na naszym podwórku... – wychrypiał.

–Dwugłowy? Z dziobami? – podpowiedziała cicho. – Tak... Skąd wiesz?

–Mnie się też to śniło... Że nam ciała odpadały, tak?

–Ta... I nasi goście go zabili...

**Długą chwilę siedzieli na łóżku nieruchomi i milczący.**

**–Jeszcze się tak w życiu nie bał – przyznał Zenman.**

**–Ani ja. Mam mokrą koszulę – przyznała się żona.**

**–Ale co to było?**

**–Sen pewnie...**

**–Dla dwojga?**

**–Magiczny?...**

**–No właśnie... – westchnął. – Wcześniej tego nie było, i nie było nam z tym źle...**

**–Ale... wiesz... Skoro już się pojawiło... to wolę, żeby ten mag tu był?...**

**–A jak to przyszło za nim? Znowu milczeli chwilę.**

**–To i tak teraz bym się bała go wyrzucać... On sobie pójdzie, a to... zostanie?...**

**–Właśnie... – Zenman podrapał się w pierś. Z przyjemnością poczuł pod palcami zdrowe twarde ciało, włosy nie spalone... – Nic nie będziemy robili. Niech będzie, co ma być...**

**Wyskoczył z łóża.**

**–Muszę się nap...**

**Zatrzymał się przed stołem pod ścianą.**

**–Co to jest?**

**Tarina migiem podskoczyła do męża. Oboje wpatrywali się w kopczyk nieruchomych olbrzymich motyli. Ich czarne skrzydła, wielkości dłoni dorosłego mężczyzny, z żyłkami amarantu, były wyprostowane, rozpostarte. Jak dziwne niepokojące liście.**

**–To są motyle Bogini Charmy... – powiedziała szeptem Tarina. – Piękne...**

**–Nie wiem, czy piękne – równie cicho powiedział mąż. – Mnie się przypomina, jak... – zamilkł, nie kończąc.**

**–To coś... pluło takimi czarnymi glutami? – odpowiedziała żona. Odważniejsza w świetle dnia. Odważniejsza od męża. – Przecież to nie to!**

–Pewnie, że nie to... – Wyciągnął rękę i koniuszkiem palca dotknął jednego skrzydła. Cały motyl zakołysał się na odwłoku. – Martwe...

–Wiesz, że z nich wielkie damy szyją stroje? Im która bogatsza, tym więcej ich zużyje, ale sukni podobno nie miała żadna królowa?

–Z tego też sukni nie będzie – ocenił Zenman.

–Ale góra sukni tak! – Pokazała na swoim ciele co może wyjść z tego tuzina motyli.  
– Przecież tego nie wyrzucimy!?! – rzuciła zaczepnie. – To skarb!

–Za duży jak dla nas... – powiedział cicho. – Jak komuś pokażemy to pożegnamy się z życiem, albo, przynajmniej, spokojnym życiem.

–No to nie pokazujmy nikomu. Na razie nie potrzebujemy pieniędzy, mamy sakiewkę od Gadochy, prawda? A to ukryjesz i poczekamy... Może przyjedzie Heldon, się zastanowimy...

–Dobrze. Daj mi duży garniec z pokrywą, włożę to, zaleję smółką i ukryję między stągwiemi z miodem. Albo zakopię...

–Dobrze. – Wspięła się na palce i pocałowała męża. Ruszyła do drzwi. – Tylko szybko, zanim oni wstaną – wskazała głową na ścianą, za którą spał mag.

–Myślisz, że oni nie wiedzą? – skrzywił się mąż. – Przecież to ich robota – wzruszył ramionami.

–Oni, nie oni – nieważne. To nasze. Za ten strach we śnie. Wyszła po garniec.

Bartnik dotknął jeszcze raz palcem motyla.

–No właśnie, za nasz strach. Za co by innego?

## Rozdział 1

Sroka przekrzywiła głowę i skierowała dziób w stronę drogi, czarne paciorki oczu wychwyciły chyba jakiś ruch, bo plotkara poderwała się z głośnym skrzekiem i odleciała najpierw na pobliski buk, potem wrzasnęła jeszcze raz i pofrunęła wyżej, żegnając się z okolicą; na odchodnym skrzeknęła jeszcze dwa razy. Krzyżodziób, który nie wiadomo dlaczego porzucił swoje ulubione słone bagniska i *małże*, by zamieszkać nad przeraźliwie dlań czystą strugą, również zdenerwował się wizytą, trzepnął kilka razy ogonem i wykrztusił swoje „khu-l, khu-l...”, co zawsze brzmiało, jakby zakrztusił się kluską; potem poleciał w dół, nad strumyk, niemal musnął jego powierzchnię brzuchem i zniknął w gęstwinie. Polowanie na leniwie przemykające w rzeczce pstrągi odłożył na później. Goście.

**Nigdy nie wiadomo z czym idą, z pożogą czy podarkiem, świśnie bełt i dla żartu przyszpili ciało ptaka do drzewa czy może pozostaną po nich przyjemne okruchy i rybie głowy?**

**Ci szli cicho, ale nie kryli, się. Nie rozglądali się na boki, ale kusze trzymali w pogotowiu, główce karbule przytroczone do obuchów – zręczny wojownik tylko strzepnie takim karbulem i już ma go w pogotowiu do użytku. O, a ci, których konie pochłaniały krok po kroku ścieżkę, byli na pewno zręczni!**

**Trazwalar II Wysoki nie trzymałby ich w przeciwnym razie na swej służbie.**

**Jadący jako trzeci od czoła, dowódca oddziału, tuzinowy Bargden Senny, zerknął na jadącego obok Yaggola, przewodnika i tropiciela. Właściwie nawet nie zerknął – uniósł najpierw jedną brew, tę od strony tropiciela, potem drugą – ten zrozumiał i migiem zsunął się z konia, który w żaden sposób nie dał po sobie poznać, że coś się zmieniło. Tropiciel jak szaro-zielona smuga przemknął przed końmi, wsiąkł w zielony gąszcz po lewej i zniknął. Wszystko to trwało tak krótko, że jadący obok Bargdena wojownik, który akurat ziewnął serdecznie, nie zauważył niczego, i dopiero gdy spojrzął w bok i zobaczył puste siodło tropiciela, zrozumiał, że dowódca wysłał go przodem.**

**„Za duży honor dla tego maga”, pomyślał wojownik. „Z drugiej strony – mag to mag. Licho go wie, co wymyśli. A władca nie wie, co to źle wykonane polecenie, Nie ma takowego. Jest wykonane, i jest po drugiej stronie – kara. Lepiej, zaiste, nie ryzykować”.**

**Kilka chwil potem z lasu na drogę wyłonił się tropiciel. Stał spokojnie, a gdy zbliżyli się, uniósł rękę do góry i pokazał jeden palec. Jest. Sam. Jeden. Potem wysyczał przez zęby coś, co usłyszał tylko jego wierzchowiec, koń obojętnie minął pana, a ten jednym miękkim ruchem znalazł się w siodle, w najmniejszym stopniu nie zakłócając stępa wierzchowca.**

**W tym samym szyku, cicho i niespiesznie przejechali kilkadziesiąt kroków. Tropiciel pokazał na migi, że pójdzie z trzema wojami w lewo, czterech powinno pójść w prawo, a reszta – dalej ścieżką. Bargden Senny skinął głową i plan tropiciela został zrealizowany migiem i bezgłośnie. Sam Bargden Senny z pięcioma wojownikami kilka chwil później znalazł się na rozległej i dość suchej jak na okolicę polanie. Stała na niej solidna chata z nieokorowanych bali querecho, szopa, też z tego drogiego, ale wiecznego drewna, i wóz, dwukołowa erba z dwoma długimi dyszlami. Z komina spokojnie wysnuwała się szarfa dymu, wolno i niemal nie falując, wpijała się w błękitne niebo nad polaną. Drzwi na okalającym dom gańcu były otwarte. Wylegujący się na progu kot gwałtownie uniósł głowę, a potem czmychnął w krzaki, Bargden zsunął się z siodła i podszedł do drzwi, Gdy zostało mu do nich trzy czy cztery kroki, z szopy rozległ się głos:**

**–Czy ty się może skradasz, panie, czy mogę uznać, że tylko masz taki krok?**

**Bargden Senny odwrócił się i chwilę patrzył w ciemny otwór drzwi. Kątem oka widział, że ze ściany zieleni za szopą wynurza się tropiciel i trzymając w ręku *kiryagę* z czarnym, długim i cienkim ostrzem, mknie bezgłośnie do szopy.**

**–Przyjechałem z rozkazem pana naszego Trazwalara Wielkiego II Wysokiego, władcy królestw Lanyatty, Zaupoye, Trema i Lurdu, sagnify Ptyonu, dorzecza Jumeli i Poboghany... – Jego głos nasilał się w miarę, jak wymieniał kolejne tytuły władcy i jak tropiciel zbliżał się do szopy. – Xenedarii, panującego w majestacie...**

**Tropiciel wniknął w mrok, kwiknął koń. Z chaty zza pleców Bargdena rozległ się ten sam głos, zabarwiony kpina – Tylko mi się z klaczką nie zabawiać!**

**Tuzinowy drgnął, ale migiem opanował się i dołożył starań, by ten ruch przemienił się w żołnierskie energiczne odwracanie się, W drzwiach chaty stał mag.**

**Był niższy od Bargdena Sennego, dość dobrze zbudowany, chociaż jedno ramię, lewe, nosił odrobinę niżej od prawego, co od razu wychwyciło bystre oko tuzinowego.**

**„Może przetrącone”, pomyślał Bargden. Drugą rzeczą, jaka rzucała się w oczy patrzącemu na maga, był niezwykle nos – zapadnięty od brwi, może wgnieciony uderzeniem, ale na czubku niemal normalnej długości. Poza tym miał ciemnobrązowe włosy, obcięte równo, jak spod garnca, zaraz pod uszami, z grzywką w połowie czoła, i bystre, szare oczy, do których przypięły się od skroni gęste wachlarzyki zmarszczek, w komplecie z bruzdami obok ust i nosa świadczące, że lubi złośliwie wykrzywiać twarz. Albo się śmiać. Gdyby nie chodziło o maga, Bargden postawiłby na śmiech, ale chodziło, więc to raczej kpiąco krzywi twarz, niż się uśmiecha.**

**Nie widać było w jego postawie, rysach ani w odzieniu niczego, co tuzinowy cenił w mężczyznach: żądy walki, gwałtowności, zręczności. „Ale potrafi – zbeształ sam siebie w myślach dowódca oddziału – być w dwu miejscach jednocześnie”. Właśnie z szopy wynurzył się tropiciel. *Kiryaga* już była w pochwie, w oczach złość.**

**–Jak cię zwą, panie? Wybacz, że pytam, ale muszę wiedzieć, czy z właściwą osobą rozmawiam. Mnie zwą Bargden Senny.**

**–Sodos.**

**–Sodos i?... – Bargden zawiesił głos, a ponieważ mag nie odzywał się przez chwilę, dodał: – Tylko Trazwalar może nosić jedno imię, bo jest jeden taki władca... – powiedział z naciskiem, jakby podpowiadał magowi właściwą odpowiedź.**

**–Sodos Skrępowany.**



**–A, no właśnie. Pan nasz zaprasza cię, panie, do swego pałacu w twierdzy Gaybona.**

**–Ma do mnie jakąś sprawę? – zapytał mag spokojnie. – Jaką może mieć do podwładnego sprawę władca połowy świata?! – parsknął pogardliwie tuzinowy. – My wszyscy mu służymy, a czasem wyróżnia kogoś wyjątkową łaską, i jej właśnie udzielił tobie... – umyślnie opuścił „panie” -...zapraszając do siebie. A jaki jest cel zaproszenia? – Rozłożył szeroko ręce. – Nie mnie wnikać. – Po chwili przez zaciśnięte zęby dorzucił – Ani tobie.**

**–Dobrze. – Sodos Skrępowany pochylił głowę. – Jestem gotowy. Proszę tylko o pomoc w załadunku moich pakunków... Ponieważ długą będzie moja tu nieobecność, to spakowałem już wszystkie potrzebne mi do niesienia służby u Trazwalara Wielkiego rzeczy – ciągnął gospodarz, udając, że nie widzi zaskoczonej miny Bargdena.**

**–Trzeba je tylko umieścić na wozie, zaprząc klacz i możemy jechać. Proszę – skłoniwszy głowę, zaprosił gestem Bargdena do izby. Zajmowała na oko połowę domu. Jeśli tuzinowy oczekiwał czegoś niezwykłego, to się srodze zawiódł. Nie było tu niczego, czego już nie widziałby w innych, nie magowych domach, był długi, na jedną całą ścianę stół, z ławą i zydlami od strony izby, był dość niezwykłego kształtu, podkowiasty piec, wygaszony, okopcony... Jedynym trochę niezwykłym sprzętem była sterta skrzyń, ustawionych w trzy warstwy, nawet nie sterta sama, tylko skrzynie, otwierane nie od góry, ale – ponieważ właśnie przeznaczone były do ustawiania jedna na drugiej – wieka ich uchylały się na izbę, a w środku miały przegródki, kasetony i kasety. Z dziewięciu skrzyń dwie były otwarte, niektóre przegródki puste, inne coś jeszcze zawierały: wiązki ni to sznurów, ni to zwiniętych pnączy czy łodyg zielnych, pęczki liści, po jednym albo po dwa truchła owoców, nie do rozpoznania po wysuszeniu. W kącie stał obfity zapas włóczni i oszczepów, ale – jak od razu odnotowało bystre oko tuzinowego – nie za bardzo nadające się do użytku: stare, powyginane, z luźnymi grotami, nie wiadomo, po co mag je tu trzymał. „Może – pomyślał tuzinowy – w razie potrzeby... zamienia je w... ogniste lance, albo węże...” Wzdrygnął się i nie chcąc, by mag dojrzał jego rozterkę, potrząsnął głową, jakby odpędzając zmęczenie podróże, i zapytał:**

**–Czy możemy cię prosić o wodę dla nas i zwierząt?**

**–Oczywiście, woda w studni jest dobra i jest wasza. Ciebie, panie, zapraszam na kielich sorbetu.**

**Był dobry, Bargden, od lat mieszkający w stolicy i, to w pałacu królewskim, pijał lepsze. Często. Ale podziękował i pochwalił.**

**Rzeczywiście – mag był gotów do drogi: cztery jednakowe skrzynie, kilka miękkich**

tobołów, pięć tub z twardej skóry. Na stole lekki, cienki miecz i spięta klamrami dwuwarstwowa opończa – płótno i futro używane zamiennie lub razem. Bargden wyszedł na ganek i gestem przywołał dwóch ciurów, kazał im wynosić wskazywane przez gospodarza pakunki. Dwaj inni układali na erbę dobytek maga, jeden zaprzęgał niską, zwartą i krępa kłaczkę. Pozostali ludzie Bargdena bez komendy rozlokowali się dokoła chaty, stojąc, siedząc i leżąc, penetrowali spojrzeniami ścianę zieleni. Tropiciel zniknął. Gorliwością chciał zatrzeć wspomnienie tej niedobrej chwili, kiedy mag tak z nich zakpił.

Gospodarz i tuzinowy wypili jeszcze po jednym kubku. Nie odzywali się do siebie. Mag co jakiś czas mrużył oczy i rozglądał się po izbie, jakby przypominał sobie, co spakował, i co mógł zapomnieć, odprowadzał każdy wynoszony pakunek kilkoma niezrozumiałymi słowami i krótkim energicznym strzepnięciem palców lewej ręki. Najwyraźniej rzucał na swoje skarby jakieś uroki, zaklęcia, by nie uległy w drodze zniszczeniu, uszkodzeniu czy kradzieży. Gdy słudzy wynieśli wszystkie wskazane pakunki, mag pochylił głowę i chwilę mamrotał coś, obracając się dokoła siebie. Bargden Senny poczuł się nieswojo i – umyślnie, ale nieszczercze wolno – wyszedł z chaty. W progu obejrzał się i zobaczył, że mag wziął z półki jakieś puzdro i wytrzepuje zeń w kąty izby nieregularne kamyki, które z grzechotem turlają się po podłodze, wpadają w jej szczeliny, znikają pod sprzętami. Na koniec Sodos strącił ze stołu swój kubek, obcasem zmiążdżył skorupy na pył, a kubek Bargdena wziął i, wychodząc, ustawił na progu. Cały oddział siedział już w siodłach.

–Pozwolisz, panie, że użyję twej emanacji do strzeżenia mego domu?

Bargden Senny skinął głową i przełknął ślinę.

–Oczywiście. Obaj służymy naszemu władcy... Chciał coś dodać, ale zobaczył, że mag wcale go nie słucha, tylko odwraca się i podchodzi do erby. Dotknął w kilku miejscach sznurów mocujących bagaże i w końcu wskoczył na wygodną, wymoszczoną kilkoma warstwami futra ławę. Lejce wisiały nadal swobodnie. Bargden Senny zrozumiał, że mag nie zamierza powozić. Syknął na jednego z ciurów, a ten migiem przeskoczył z siodła na kozioł i na znak dowódcy cmoknął na kłaczkę.

Ruszyli w dwutygodniową drogę powrotną.

Bargden zastanawiał się, czy nie lepiej kazać magowi wsiąść na konia i pogalopować z nim i częścią oddziału, zostawiając erbę i ładunek w pieczy drugiej połowy ludzi, ale potem pomyślał, że skoro mag wiedział o zaproszeniu Trazwalara i o ich przybyciu, skoro spakował się, to muszą to być dlań rzeczy ważne i potrzebne w wykonaniu misji dla władcy. No to jak postąpić? Rozważał problem niemal do samego wieczora, targając nim wątpliwość.

Przy wieczornym ogniu zdecydował, że nawet jeśli monarcha wybuchnie gniewem,

to Sodos powinien go obronić, na pewno zaś gorzej będzie, jeśli przywiezie maga, a ten powie, że niewiele może zdziałać, bo nie ma swego magicznego ładunku...

Wzdrygnął się, siedząc przy ogniu, i zdecydował, że pojedą jak tylko się da najszybciej, ale wszyscy razem, chroniąc i maga, i ładunek. Oczywiście – postarał się o jak najsprawniejszą realizację swego planu: przed nim pędził człowiek i troszczył się o konie do powozu, bagaż maga został w najbliższej osadzie przepakowany na dwa sposobniejsze do szybszej jazdy powozy. Konie w nich zmieniano co kilka godzin. Tak więc nie dwa tygodnie pędziła kawalkada do Gaybony, a tylko dziewięć i pół dnia i nocy. Inna sprawa, że popasy były krótkie, a gościńce, szczególnie te na podjazdach do stolicy, dobrze utrzymane, a ludzie na nich wiedzieli, co grozi za utrudnianie drogi monarszej kawalkadzie. Najtrudniej było niewątpliwie najstarszemu w gromadzie – magowi. Kilka razy Bargden przyłapał go, jak ugniatał swoje niższe lewe ramię, jakby łamały go chyba kiedyś uszkodzone kości. Ale nie poskarżył się ani słowem. Do wieczornego wina i porannego sorbetu dodawał po kilka kropel jakiejś mikstury, coś mamrotał nad kubkiem i wypijał. Po czym wstrząsał nim starannie maskowany, ale widoczny dreszcz. Jak mag nie skarżył się na tempo podróży, tak tuzinowy jakby nie zauważał jego przeciwdziałań zmęczeniu.

Od ósmego dnia podróży ruch na drodze stał się tak gęsty, że mimo dobrych chęci innych użytkowników, spowalniali oni podróż. Bargden wysłał dwie czujki, oddzielone od siebie *semią* czasu – jeden konny pędził *wistę* przed kawalkadą, a kilkadziesiąt *poolee* przed nimi kłusował drugi, i ten już bez litości siekł, miarkując, co prawda, siłę uderzeń. Inni użytkownicy drogi pryskali na boki, tam nieliczni odważali się poruszać, większość jednak widząc, że grupa wojaków jest już w zasięgu wzroku, wołała przystanąć, poprawić ładunki i popręgi, odpędzić muchy i gzy z pociągowych zwierząt. Niektórzy sięgali do zapasów i szybko zjadali coś albo gasili pragnienie. Raz jakiś piesek wyskoczył pod nogi. Lewy w pierwszej parze kawalkady niedbale strzepnął korbulem, psina pisnęła i ze złamanym kręgosłupem zwała się w pył drogi. Zanim mag i tuzinowy, obaj jadący w środku szyku, dokłusowali do miejsca zdarzenia, zwierzę już przestało poruszać nogami. Jakiś niski, przygarbiony staruszek zasłaniał pomarszczoną dłonią usta małej dziewczynki, która z powózki wytrzeszczała skośne oczy na nierozgarniętego, a teraz też i nieżywego, pupila. Spod dłoni dziadka docierał przeraźliwy, stłumiony wrzask zropaczonego dziecka. Bargden zerknął do tyłu, poruszył brwią. Jeden z żołnierzy sięgnął do pasa, i nie zauważając paniki w oku starca, który spodziewał się, że teraz korbul trafi jego albo dziecko, cisnął mu pęd stopy kilka *surę*.

Dziesiątego dnia, w porze obiadu, droga, a za nią jeźdźcy, wspięli się na wysoką nadrzeczną skarpe.

Sodos Skrępowany znieruchomiał w siodle. Widok na Ptyon otworzył się w ostatniej chwili, wierzchowce spokojnie wspinały się na szczyt płaskiego wzgórza, jeźdźcy siedzieli w siodłach wychyleni lekko do przodu, trwało to dość długo, bo i wzgórze,

choć o łagodnym zbiegu, ale było wysokie, i nagle... Nagle przed ich oczami rozwinęła się olbrzymia rzeka. Wielki, szeroki, leniwie przelewający się wąż. Woda płynęła wolno, tłusto, niemal bez fal, wydawało się, że stoi, w niektórych miejscach tylko, przy brzegu czy ponad jakimś podwodnym garbem, oleście przewalało się przez chwilę szerokie pasmo wody. Na południu, po lewej ręce koryto rzeki przechodziło w horyzont, zacierała się różnica między jej nurtem i półpustynnymi brzegami, po prawej woda oświetlana inaczej padającymi promieniami słońca zmieniała barwę na brunatno-zieloną, zwężał się bieg rzeki, ginęła w końcu z oczu. Ta dwubarwność potęgowała jeszcze podobieństwo do węża, pod jednym kątem zielonego, pod innym żółtego.

Na wprost widniał ogrom miasta. Nawet z tej odległości mury, wieże i wystające ponad nie dachy sprawiały, że ludzie czuli się już tu mrówkami. Mag odłożył przyglądanie się miastu i twierdzy na później.

–Czy prawdą jest, że ta rzeka płynie w obie strony? – zapytał.

–Czasem, przy jesiennym przyborze wód. – Bargden Senny uniósł się na chwilę w siodle. – Jeśli wpatrzysz się, panie, w te cztery drzewa na drugim brzegu... – machnął ręką. – Żartuję, nie widać ich stąd, po prostu wiem, że tam są...

–Kto mówi, że nie widać? – zapytał mag, wpatrując się z natężeniem w cienki pasek gruntu po drugiej stronie nurtu. – Na drugim od lewej siedzą trzy sroki. – Bargden Senny patrzył na niego z otwartymi ustami. – Samce – dodał obojętnie, nie zauważając tego spojrzenia, mag.

Teraz Bargden Senny zamknął usta. Skłął się w duchu.

–Ośmielam się nie zgodzić, ten z lewej to samica – powiedział.

Mag skinął głową, lekki uśmiech pojawił się na jego ustach.

–Przy tamtym brzegu, w każdym razie, płynie woda w kolorze pomarańczowym – podjął wątek Bargden Senny. – To oznacza, że do Ptyonu dołączyła nowa rzeka, albo któryś ze starych dopływów wypłukał sobie nowe koryto. Teraz ten muł, glina, piach spływają do ujścia, na jesieni tam się nagromadzi tego w takiej ilości, że zablokuje ujście niemal całkowicie. A wtedy rzeka na długim odcinku, tutaj też, popłynie z powrotem. Dwa dni drogi stąd na południe, w dolinie Medź Halay rozleje się płytko, ale szeroko, dolina wchłonie część tej wody. A potem popłynie mocna wysoka fala znad doliny. Rozlewisko popłynie z powrotem, jeszcze raz do ujścia, przebije się przez groble i tamy, które zresztą trochę osiadną pod własnym ciężarem, trochę wyschną, kiedy wody się cofną... I Ptyon odzyska połączenie z morzem.

Mag pokiwał głową. Wstał w strzemionach i wolno kręcąc głową, dokładnie przyjrzał się rzece i brzegowi. Westchnął na koniec i poruszył brwią w uznaniu jej wielkości i

urody. Bargden Senny znowu jakoś nieznacznie pokierował koniem, ten okręcił się w miejscu. Ruch zamarł, a oczy poganiaczy, wszystkich, skierowały się na mały orszak z dwoma powozami. Mag zerknął na Bargdena i skinął głową. Tęsknie jęknął dzwon, po chwili dołączył doń drugi, wyższy. Zjechali na dół. Poganiacze bez ponagrania, sami przewidując, co się stanie, ruszyli od promu z powrotem przez swoje stada, razy i poszturchiwania wycinały w zwartym stadzie korytarz. Chwilę potem na wylocie tłumu znalazł się Bargden Senny i Sodos Skrępowany. Za nimi jechał wóz i żołnierze, kopyta zadudniły na mocno zniszczonych deskach promu.

Do Bargdena podskoczył mężczyzna z gładko wygoloną czaszką, tylko znad uszu spływało po jednym sięgającym ramienia warkoczyku.

–Panie, zaraz rozładujemy prom. Nie wiedzieliśmy... Nikt nam... nas...

–Nie trzeba, tylko odbijaj już.

Z rzeki spłynął, z innego kierunku, inaczej brzmiący odgłos dzwonu. Prom stęknął, załoga rzuciła się na stanowiska, skrzypiał takielunek i zgrzytały dulki wiosel. Ciężka krypa stała w miejscu, potem poddała się nurtowi i spłynęła nieco na północ. Dwa żagle chwyciły wiejący ponad wzgórzami wiaterek, prom jęknął i zaczął sprawnie ciąć nurt kolosa. Znowu rozległ się odgłos dzwonu. Mag, siedzący wciąż w siodle, rozejrzał się.

–Co to za dzwony?

Bargden Senny tknął palcem kilka razy powietrze, wskazując jakieś miejsca na rzece. Gdy mag zmrużył oczy zobaczył pławę.

–Tu często występują mgły, szczególnie w zimie. Wtedy i rybacy, i przewoźnicy korzystają z dzwonów. Każdy ma inny ton, ich dźwięki pozwalają się zorientować w położeniu na rzece. Oni – kiwnął głową w stronę łysego dowódcy – potrafiliby przeżyć na tej rzece życie, nie otwierając oczu – dokończył dumą.

Mag pokiwał głową. Zeskoczył z konia, za jego przykładem poszedł Bargden Senny, a za nim jego ludzie. Miejsca było mało, ale dało się przykucnąć, podskoczyć w miejscu, rozprostować ramiona. Dwaj żołnierze podeszli do żerdzi odgradzających ładunek od wody i z ulgą wyszczeni się do wody. Mag zerknął na tuzinowego, ale ten widok nie zrobił na nim wrażenia. Widocznie, uznał Sodos, rzeka nie była tu czczonym bóstwem. Albo bóstwo nie obawiało się tych kilku kropel moczu na swojej powierzchni. Załoga krypy postawiła dwa prostokątne żagle, one i szesnaście par wiosel pchnęły prom przez toń ku drugiemu brzegowi. Mag przesunął się między wierzchowcami i stanął na dziobie. Na drugim brzegu popatrzył do tyłu, zobaczył, że i na opuszczonym brzegu jest mnóstwo promów. Nurt rzeki przecinało ich kilkanaście. Wszystkie wyładowane: najeżone skierowanymi do góry dyszlami, bo z wozów

**zawsze wyprzęgano zwierzęta, czasem promy niosły oddziały mierzących w niebo pikami żołnierzy, ale najczęściej po prostu pokład wypełniały dwukołowe *eurbye* wieśniaków, do tego stadka osłów i *mulfów*, w wielu przypadkach objuczonych rozważnie, ale jeszcze częściej – bez litości. Czasem dziwne było, że biedny zwierzak nie przewala się na bok pod piętrzącym się nad grzbietem ciężarem.**

**Na drugim brzegu, płaskim w przeciwieństwie do tego za plecami, niemal nie widać było ziemi, pokrytej masą ludzi, wozów i zwierząt, tylko same drogi nie były pokryte szczelnie namiotami, daszkami, kopułami *shaterów*; już przed miastem i twierdzą rozciągało się, jak widział stąd mag, olbrzymie zbiorowisko ludzkie, największe, jakie mu przyszło w życiu widzieć. Sapnął i pokręcił z podziwem głową. Taka ciżba samą masą pokonałaby największą armię.**

**–Dużo tych ludzi – stwierdził Sodos Skrępowany, nie kryjąc w głosie pewnej dozy zaskoczenia. – Strasznie dużo. – Przez chwilę zastanawiał się, jak to ocenić: dobrze, czy w czymś komuś może to przeszkodzić. – W razie napadu schronią się w mieście.**

**–Nie było tu obcego z bronią od siedemdziesięciu lat – powiedział z lekceważeniem Bargden. Wskazał toń rzeki. – To jest najwyższy płasko położony mur na świecie.**

**–Jak nie otoczy się miasta, to się go nie zdobędzie, a tu się nie da otoczyć. Albo wraża armia stanie na tamtym brzegu i będzie pilnowała... Ale czego? Wróg może co najwyżej bezsilnie przyglądać się rybakom i zbieraczom wodnych roślin, a tej żywności jest tu tyle, że na samych darach Ptyonu można żyć kilka miesięcy. Na dodatek, jeśli wróg przedostanie się nawet tu, na ten brzeg, to z drugiej strony rzeki będziemy mieli otwartą połowę kraju. Jeśliby zaś zaszedł stamtąd, to mamy wyjście na tę, z kolei, część.**

**–Nie pytam zatem, jak skończyła się ta ostatnia próba – powiedział mag, wyciągając szyję, by jak najwięcej zobaczyć.**

**Bargden prychnął pogardliwie.**

**Mag pomyślał, że jednak – co by o tym nie mówić – ktoś aż tu dotarł, przebył połowę ogromnego kraju, stanął u wrót stolicy. Zamachnął się. Pewnie, nic więcej nie zwojował i chyba z podkulonym ogonem wrócił jak niepyszny. A może i nie? Ale przynajmniej miał odwagę chcieć...**

**Tuzinowy machnął ręką przed siebie. Dwaj wojownicy wysforowali się przed kawalkadę. Za nimi jeszcze dwaj, i jeszcze. Ci pierwsi zaczęli bezlitośnie siec pieszych i odpychać na pobocza. Dostawało się woźnicom i obrywały zwierzęta, osły reagowały przeraźliwym rozpaczliwym wrzaskiem, *mulfy* – posępnie i z rezygnacją kiwały łbami, jakby chciały powiedzieć: No właśnie, niczego innego nie można się było spodziewać. Po trzech parach oczyszczających szlak, reszta grupy względnie**

łatwo pokonywała drogę. Mag rozglądał się, ale widok specjalnie ciekawy nie był – setki i tysiące ludzi, kobiety, dzieci, starcy... Do tego drobne, radzące sobie nieźle w tym zbitym tłumie zwierzęta: koty, psy, szczury, fruujące nad głowami ptaki, wszystko to wzajemnie na siebie polujące. Do tego otaczający ze wszystkich stron wał dźwięków – rozmowy, krzyki, piski, gwizdy, śpiewy, płacz i śmiech, no i szczekanie, miauczenie, trele, charkoty, warczenie i – rżenie. Do tego – zgrzyt pił, trzask siekier łupiących drewno, trzask toporów kruszących kości na pniakach sprzedawców mięsa i przed kuchniami bogaczy, odgłosy kucia, grawerowania, rżnięcia, łamania... W niebo sunęły wstęgi dymów, mag pomyślał, że nigdy nie widział tylu rodzajów dymu; kiedy było ich tak wiele, okazało się, że i każde ognisko, piec i kuchnia mają swoje, różniące się od innych właściwości. Snuły się tu ciężkie dymy z małych i wielkich *shanjanów*, serwujących jadło dla podróżnych, którzy chcieli zaoszczędzić i najeść się przed przekroczeniem bramy żarłocznego i chciwego, drogiego miasta. Te były aromatyczne i tłuste, zmienne – białe, parujące, snuły się też z różną prędkością: gdy z ognia odstawiano na chwilę gar czy okrągłą, głęboką, skwierczącą patelnię, dym chyżo śmigał w górę, potem znowu zwalniał. Poza tym ulatywały dymy z kuźni, czadzące, ostre i czarne; z garbarni – kolorowe, parujące, wilgotne; i z setek palenisk domowych, różne, niemal każdy inny – cienkie, kłębiaste, wodne, skąpe, ciemne...

Każdy ogień ma duszę, przypomniało się magowi powiedzenie jego przyjaciela z młodości. Teraz, jadąc przez las dymów, widział, że tak właśnie jest – z każdego ogniska, pieca i paleniska wyciekał do niebios inny dym, zrodzony przez inny ogień.

Przemierzali podmurze, większe od niejednego miasta w Horfeu, w królestwie Klogeren, w Albanyai, w Srebrnej Chmurze czy w Slostwerde. Na szlaku, kiedy nadjeżdżali, zalegała cisza, ale trwała tylko przez chwilę: gdy milczący ludzie uznawali, że już zeszli z oczu jadącym, natychmiast podejmowali rozmowy albo śpiew, śmiali się albo wykrzykiwali obelgi, zależnie od tego, w czym szlachetna grupa im przeszkodziła.

– Teraz to ptaków tu mało – odezwał się Bargden Senny, żeby tylko coś powiedzieć. – Chyba w tych słupach dymu nie mogą latać, a poza tym śmietnisko jest tam – wskazał ręką gdzieś na zachód. – Tam jest ich raj. Zresztą i koci, i szczurzy... – machnął ręką, nagle rozmowny.

– Tak, rozumiem – odpowiedział mag, myśląc o czymś zupełnie innym.

Po może dwustu *poolee* końskie kopyta przestały zagłębiać się w gęstym pyle, najpierw uderzały głucho, przez cieńszą warstwę, potem, bliżej bramy, po kolejnych dwustu czy trzystu *poolee*, w bruk. Sodos Skrępowany, umyślnie nie rozglądający się, żeby nie psuć sobie pierwszego spojrzenia na imponujące mury, najpierw popatrzył na boki, potem dopiero przyjrzał się murom. Pod nimi rozłożonych były setki, może nawet tysiące namiotów i lekkich domków przedmurzej biedoty.

Mieszkańcy tego miasta nie obawiali się dowcipów chodzących po blankach żołnierzy, ich daszki przyklejone były do samych murów, na pewno sypały się na nie popioły z fajek i lał mocz, ale nie zwracali na to uwagi.

Mury były potwornie wysokie, czterdzieści, może pięćdziesiąt razy wyższe od najwyższego, na wzrost jeźdźca w siodle, namiotu. Dzielili się na odcinki: basteja – basteja, lub basteja – półbasteja, a co jakiś czas: basteja – korona, składająca się z bastei z dwoma półbastejami po bokach. Odcinki były murowane z wklęśnięciem od spodu, na całym przebiegu od bastionu do bastionu mury zapadały się do środka miasta, by pod blankami nagle wysuwać się na przedmurze; wspięcie się na nie nawet przy pomocy haków było wykluczone. Kilka tumtów pod krenelażami biegły jakieś parapety, a z nich wylaniały się i ginęły w dziwnych otworach w bastejach grube łańcuchy. Szturmującym niełatwo byłoby nawet przyłożyć drabinę do umyślnie nieregularnych płaszczyzn, choć – z drugiej strony – jacyś zręczni wspinacze mogliby bez specjalnego trudu dostać się na wysokość połowy muru. Inna sprawa – jak by się wspinali, gdyby te mury polaną zostały oliwą, a choćby i wodą. Albo w zimie, w śnieżycy.

Bargden wstrzymał swój ego ogiera. Wskazując blanki, powiedział:

–Widzisz, panie, te łańcuchy? – Mag przytaknął skinieniem głowy. – Chodzi o to, że kiedy już atakującym się uda, a nie przeszkadzamy im w tym zbytnio, przystawić do murów drabiny, to spuszczałyśmy końce łańcuchów obciążone worami z piaskiem, a one spadając, naciągają raptownie łańcuchy i odrzucają wszystkie naraz drabiny wraz ze śmiałkami dale-e-eko od murów. – Uśmiechnął się krwiożerczo.

–A potem? – zapytał zainteresowany Sodos.

–Potem? Worki, spadając, odrywają się, łańcuchy pod swoim własnym ciężarem wciągają do góry swoje końce, do których mocujemy kolejne wory balastowe i czekamy, aż na drabinach pojawią się kolejni śmiałkowie, chętni do lotu.

–Sprytne – skwitował mag jego opis.

Rzeczywiście, wyglądało, że mury miasta są nie sforsowania. Szczególnie, że od rzeki aż do samego miasta, do jego ścian mocarnych, nie widać było ani krzaczka, a tym bardziej lasu, z drewna którego dałoby się zbudować maszyny oblężnicze czy choćby owe drabiny, na które pewnie obrońcy czekali szczególnie niecierpliwie. „Ciekawe – pomyślał mag – czy od wschodu jest tak samo, czy umyślnie mi to pokazują i opisują, żebym nabrał pewności, że tak jest wszędzie? A zresztą, co mi to? I tak nie zamierzam szturmem zdobywać Gaybony”.

Bargden napiął mięśnie ud, jego wierzchołek ruszył, wałach maga za nim, bez komendy. Jechali już brukowaną drogą. Od bramy, to znaczy od murów po obu jej



stronach, wysuwały się dwa kły rawelinów. Mag zrozumiał, że skoro nie widzi połączenia z murami, to muszą prowadzić do nich podziemne korytarze. W każdym razie na pewno skutecznie i długo broniłyby podejść do bramy, i dopiero w rozpaczliwej sytuacji mogły być opuszczone przez obrońców. Ponieważ z obu stron zwiślały nad drogą z ich szczytów wysokie konstrukcje z drewna i kamienia, na pewno na koniec zostałyby podpalone, by spadając, zagruzowały drogę i zmiażdżyły hordy szturmujących.

Brama była potężna, Nie było fosy. Solidna krata, głęboko wpijająca się w specjalny, w kamieniu wyrzeźbiony rów, który teraz, kiedy przekraczały ją rzesze ludzi, przykryty był kładkami z wzmocnionej okuciami dębiny. Potem droga przez kilkanaście *poolee* wiodła pod dachem wieży, która – co sugerowało kilka zbędnych w innym przypadku solidnych klap w sklepieniu – mogła rzygnąć na szturmujących zawartością swojego wnętrza: głazami, belkami, sztabami metalu, może rozgrzaną smołą czy płonącym olejem, tworząc nieprzebytą plątaninę z mięsa, kości i głazów... Zaraz za bramą natknęli się na wysoki mur bez okien. Sodos Skrępowany pokręcił głową, rozejrzał się na boki. Dość obszerna ulica prowadziła w obie strony. Popatrzył na Bargdena.

–Gdybyś popatrzył na Gaybonę z góry, panie, to zobaczyłbyś, że ulice, wszystkie ulice, mają kolisty bieg. Dużo czasu musiałbyś tu spędzić, by wywiedzieć się, jak najlepiej podjechać pod serce twierdzy.

Mag przyglądał mu się zmrużonymi oczyma.

–A pewnie i tak nie odkryłbym tych najlepszych, tajnych szlaków?

Bargden Senny obojętnie odwrócił się i wydał krótkie polecenie. Potem popatrzył na maga.

–Przepraszam, nie dosłyszałem, panie?

–Nic ważnego – machnął ręką Sodos.

Przez półtorej *semii* kołowali po łukowych w kształcie ulicach: wjeżdżając w niemal każdą z nich, nigdy nie wiadomo było, czy poprowadzi na północny zachód, czyli do jądra miasta, czy na północny wschód, czy po prostu na wschód... Sodos podejrzewał, że nawet w tej matni można było z łatwością znaleźć inne, szybsze szlaki, ale umyślnie wikłano go w drogę, która miała przekonać o niemożności zdobycia miasta-twierdzy-pałacu. Dwa razy ich droga muskała obrzeża targowisk, zapewne różnych, ale mag nie zwracał specjalnej uwagi na drogę – przyjął, że zapamiętanie szlaku od pierwszego razu wymagałoby zbyt dużego wysiłku, niewarte było takiego wytężenia uwagi. W końcu nie był jeńcem, tylko gościem, kimś zaproszonym do wykonania zlecenia samego władcy kraju.

Ulice były na ogół niezbyt szerokie, ale na widok dwóch gwardzistów, wyprzedzających o sto kroków kolejną parę, wszyscy pryskali na boki, do domów, na podwórka, w najgorszym razie po prostu wtapiali się w mury dziwnych, pozbawionych niemal okien, domów. Kiedy przez chwilę jechali skrajem drugiego, a może tego samego, tylko widzianego z innej strony targowiska, Sodos zobaczył, że tu domy miały okna i to nawet niemal na poziomie bruku. Z tych okien prowadzono handel – były szerokie, dwa czy nawet trzy razy szersze od tych na drugiej kondygnacji i zapewne bardzo wygodne dla właścicieli albo dzierżawców. Tu ludzie też usuwali się z drogi oddziałowi, ale nie tak pośpiesznie, jakby wiedzieli, że targowisko jest ich i dla nich. Panował nad nim charakterystyczny zapach bazaru – wszystkiego jednocześnie: przypraw, potu, dymu, odchodów zwierzęcych, kwiatów i owoców... Pod kopułą woni panował równie znajomy i identyczny na wszystkich targowiskach świata gwar: świergot, ryk, jazgot, brzęczenie, kłaskanie, odgłosy wbijania gwoździ i cięcia desek, łamanie drewna, szczekanie i piski, i te najpowszechniejsze: nawoływania, kuszenia, jęki zawodu, śmiech zadowolonych kupców i krzyki rozpaczonych i złupionych przez miastowych spryciarzy...

Przez chwilę mag widział tu żywe, podobne do innych miasto, ale zaraz wjechali w kolejną łukowatą ulicę i przestraszone twarze kolejnych przechodniów przekonały go, że to miasto całe, albo niemal całe żyje dla pałacu i jego mieszkańców.

Słońce dawno zapadło się poza mozaikę dachów, kiedy wyjechali na pierwszy prosty kawałek ulicy. Ta prowadziła bezpośrednio do bramy pałacu, ale Bargden Senny tuż przed nią skręcił. Wjechali na teren pałacu bramą boczną.

## Rozdział 2

–*Chdewje?*...

*Samerantur* zatrzymał się zaraz za progiem komnaty. Mag pochylał się nad małą czarką i usilnie wpatrywał w jej wnętrze. Gdy *samerantur* odważył się powtórnie bąknąć w *tawlish* „panie?”, poruszył samymi oczami. Popatrzył na przybyłego spod gęstwy brwi, dopiero po chwili poruszył głową, odsunął się od stołu i, cofnąwszy o dwa kroki, usiadł na wysokim, niewygodnym, drewnianym zydlu.

We wskazanych mu trzech komnatach wszystko było wygodniejsze, wspanialsze, godniejsze jego osoby, ale mag tylko rozejrzał się po nich i natychmiast kazał przenieść swoje bagaże do komnaty w północno-zachodniej wieży, na poziomie wąskiej, krytej galerii, właściwie murowanego pomostu, prowadzącego do północnego skrzydła pałacu. Skąd wiedział, że jest wolna?

Teraz zajmował jedną, wielką, zatęchłą komnatę i dwie komórki doń przylegające. Co za kaprys! Służba jeszcze nawet nie zdążyła wygarnąć pajęczyn z kątów i okadzić izb aromatycznym dymem przeganiającym pluskwy. Ale widok z okien był

oszałamiający. W pracowniach dworu już dwaj czeladnicy wykrawali szkło, a uczniowie ciągnęli paski ołowiu, przed wieczorem miały być uzupełnione ubytki w witrażach okien.

*Samerantur*, wczoraj odziany w srebrzysty *kaitan*, wyraźnie dla zaimponowania gościowi, dziś nałożył szerokie, granatowe spodnie i tego samego koloru bardzo oszczędnie zdobioną kamizelę.

Dzisiaj w pełnym świetle, nie tylko w półcieniach, cieniach i odbłaskach kaganków, mag mógł swobodnie przyjrzeć się zarządcy dworu. Miał przed sobą wysokiego – jakżeby inaczej na dworze Trazwalara! – mężczyznę o długiej, pociągłej twarzy, z wypukłymi policzkowymi guzami i migdałowymi oczami pod niemal niewidocznymi brwiami. Garbaty nos, nieco za cienki, zapadał się między wystające policzki, nie pasował do twarzy. Może dlatego *samerantur*, Ob Rydel, od lat z widoczną przyjemnością hodował długie wąsy. W tej chwili sięgały mu piersi, od połowy długości były obficie wypomadowane, sklezione i ciężkie – majtały się przy każdym ruchu *samerantura*, ale to chyba sprawiało mu radość – ciągle poruszał głowę lekko na boki, lekko kiwał i zezował w dół, żeby popatrzeć, jak się poruszają końce wąsów. Mag stłumił uśmiech, pytająco popatrzył na *samerantura*.

–Nie znam prawie wcale *tawlish*, musisz, panie, męczyć się ze zwykłą mową ludu – powiedział.

Zarządca dworu odsunął się od drzwi, pochylił z szacunkiem głowę i powiedział:

–Pan mój, Trazwalar Wielki, chciał cię od razu, kiedy tylko przybędziesz, widzieć...

Z czarki, w którą tak uważnie wypatrywał się przed chwilą mag, buchnął syczący płomień, zwieńczony małym obłoczkiem dymu. Sodos Skrępowany skrzywił się niecierpliwie, machnął dłonią i ognek zniknął równie niespodziewanie jak się pojawił. Spokój *samerantura* prysł, z wysiłkiem przełknął ślinę. Jakby zapomniał na chwilę o długich, wypielęgnowanych wąsach.

–...wi-widzieć... panie – dodał wyraźnie sam zaskoczony skołowaceniem języka, obrotności którego zawdzięczał przecież wiele. Odetchnął głęboko, wziął się w karby i nieco pewniejszym głosem ciągnął: – Ale wyjechał w podróż, chce odwiedzić swoją matkę. Pani Janse Pszena w tej chwili bawi w sąsiedniej prowincji, Trazwalar Wielki wróci więc za cztery do siedmiu dni. Na razie mam ci służyć wszelką pomocą. – Nie potrafił się powstrzymać i na mgnienie oka oderwał spojrzenie od twarzy maga, by zerknąć na czarkę...- Prosi cię o widzenie dowódcy straży pałacowej. Może przyjdź do ciebie lub ty do niego... To nie jest audiencja – zastrzegł od razu.

–Idziemy! – Mag poderwał się z zydła, dwoma krokami pokonał dzielącą ich odległość. – Prowadź, czcigodny *sameranturze*.

Szli długo. Pałac Trazwalara – Sodos Skrępowany przyjrzał się mu z wysokości swojej wieży, nie najwyższej, ale drugiej co do wysokości – zbudowany był dość dziwnie: budowniczości i miasta, i zamku władcy cierpieli na wstręt do linii prostych. Mag widział już mury miasta, tworzyły wielokąt z wklęsłymi bokami, na każdym rogu wieża bastei ze wspaniałym ostrzałem w obie strony. Pałac zaś był otoczony dwoma liniami murów, pierwsza była dziwnie oszczędna, wysoka ściana z blankami, bez specjalnych umocnień i punktów ostrzału. Dopiero po przybyciu do jądra twierdzy okazywało się, że jest jeszcze jedna linia murów. Te znowu były przeznaczone do rozpaczliwej i długotrwałej obrony – wieże na murach pałacu miały wyraźnie wojskowe przeznaczenie, co podkreślały strzelnice w grubych, kamiennych ścianach, rzygacze na olej i smołę, skierowane i na zewnątrz, i do wnętrza, na przylegający do murów pierścień dziedzińca. Poza murem pałacu wyraźnie przeznaczone do obrony były jeszcze trzy wieże, przylegające do wewnętrznej potężnej budowli pałacu właściwego; właśnie izbę w jednej z tych wież zasiedlał od wczoraj mag. Wewnętrzna prostokątna budowla połączona była z murami trzema krytymi galeriami na kamiennych filarach, grubych i gładkich – w razie opanowania przez wroga części murów, można było, dowolną najbliższą galerią uciec w potrzebnym kierunku. Do tego wszystkiego dochodziły te wieże nieznanego przeznaczenia, może po prostu bastiony oporu? Poza tym znajdowały się tu otaczające pałac z trzech stron obszerne, niskie stajnie, kuchnie, kilkanaście kopuł skrywających wejścia do podziemnych spichrzy, piwnic, komór, loszków winnych i nie wiadomo czego jeszcze. Te zabudowania znajdowały się na dziedzińcu głównym, już za drugą linią murów, a do niego – przyjechali tu już w mroku, ale Sodos Skrępowany bardzo dobrze zapamiętał drogę – od zewnętrznego muru pałacowego prowadził kręty szlak umyślnie brukowany wielkimi, nieregularnymi głazami, by kawaleria wroga połamała tu sobie nogi. Ta labiryntowa droga prowadziła między strzelistymi murami; za każdym zakrętem, a było ich sześć, przejeżdżali solidne bramy. „Nie chciałbym być w skórze szturmujących – pomyślał wtedy mag. – Pod gradem strzał, włóczni, kamieni, w strumieniach waru i smoły kuśtykać pieszo, bo konie się połamią po kilku krokach, do kolejnego zakrętu, gdzie czekać będzie niespodzianka w postaci potężnych wierzei, których nie można wysadzić taranem, bo nie ma gdzie się nim rozpędzić, a z krenelaży ciągną ulewa strzał i wrzątku, i płonącego oleju, i grad kamieni, i jeszcze strzelnice!... I tak sześć razy. A na końcu wyczerpani zdobywcy dopełniają do ostatniej bramy, gdzie mogą już tylko położyć głowy na pniaku kata. Albo, jeśli dotrze ich więcej i jakimś cudem sforsują bramę, okaże się, że władcy już dawno nie ma w pałacu, bo po zdobyciu pierwszej bramy spokojnie wyszedł na mury i jakimś tajnym korytarzem bez pośpiechu wyszedł poza mury pałacu. Może dlatego nikomu dotychczas do głowy nie przyszło szturmować Gaybony?” -.

Szli najpierw po blankach muru wewnętrznego, właściwie specjalną krytą galerią pod parapetem z blankami i strażami, potem zagłębili się w labirynt korytarzy i schodów. Mag spodziewał się, że przewodnik będzie kluczył, może z chęci

zaimponowania gościowi rozmiarami zamku, może w celach zapewnienia bezpieczeństwa władcy, ale – nie: zorientował się, że zacierają niemal prosto na południowy zachód, przez cały czas schodząc, przecinając jakby dwór od góry do poziomego gruntu. Schodów przemierzali sporo; za oknem mignął wewnętrzny malutki dziedziniec, ciemny i ponury, kamienny. Potem zeszli już wyraźnie do podziemi, szli długą chwilę szerokim korytarzem, pozbawionym jakichkolwiek ozdób, z pochodniami, skwierczącymi na tle dużych, polerowanych, miedzianych płyt, z wartownikami, ustawionymi w plamach mroku pomiędzy plackami światła. Stanęli przed szerokimi drzwiami, których obramowanie tworzyli dwaj skamieniali wartownicy w pełnym uzbrojeniu.

*Samerantur* uniósł rękę i zastukał. Wartownicy udanie konkurowali z kamiennymi posągami. Wydawało się nawet, że ich oczy nie błyszczą, jak u żywych ludzi, że są matowe, jak u wyrzeźbionych mistrzowską naprawdę dłonią posągów.

Ze szczękiem otworzył się najniższy wizjer, mag z trudem powstrzymał się, żeby nie odskoczyć, spoglądając w dół; w ostatniej chwili ostrzegło go przed niespodzianką rzucone z ukosa szybkie spojrzenie *samerantura*. Zaraz potem szczęknął i huknął główny rygiel i drzwi w końcu stanęły otworem. Goście weszli.

Dowódca pałacowej straży był stosunkowo niskim, jak na dwór Trazwalara, pulchnym mężczyzną z pyzatymi policzkami, małymi skośnymi oczkami i czarnymi jak płynny węgiel włosami splecionymi w dwa warkocze. „Musi być piekielnie zręcznym wojem – pomyślał Sodos – skoro przy takiej posturze doszedł do stanowiska równego członkowi niejednej królewskiej rady. Albo może nie tyle zręcznym, co bardzo ustosunkowanym, ale wtedy niebezpieczny jest podwójnie. I tak, i tak – strzeż się go, Sodosie”.

– Witaj, panie – gospodarz poderwał się zza stołu, odsunął się i skłonił głęboko. – Zwą mnie Maretheba Sieć, pełnię na dworze funkcję *halemmeda*, dowódcy *halemu*, gwardii władcy naszego, Trazwalara Wielkiego.

Nawet nie próbował używać miejscowego języka dworskiego, wysokiego *tawlish*. Czyżby już wiedział, że mag nim nie włada? Splecione na podbrzuszu dłonie były upstrzone cętkami świeżych i starych zadrapań oraz plamkami oparzeń i otarć.

– Sodos Skrępowany, do usług, panie... – Mag ukłonił się równie głęboko. Potem wyprostował i zerknął na stół. Nie było na nim papierów, wyliczeń, raportów i piór. Były natomiast dłuta, kośćce, rylce do metalu, skrobaki, dzierżawki, noże, pilniki... Fura narzędzi, przy pomocy których Maretheba Sieć albo naprawiał, albo wytwarzał broń – wskazywało na to kilka świeżo wykutych nowiutkich ostrzy różnego rodzaju noży, kilka napoczętych i niedokończonych albo porzuconych rękojeści i cała masa najprzeróżniejszych kawałków metali, rogu, drewna w kilkunastu gatunkach, do tego jakieś rurki, trzpienie, bolce, kliny. W izbie panował zapach, kojarzący się raczej z

warsztatem niż z mieszkaniem – drewno, żywica, dym, spalenizna, skóra... Warsztat tłumaczył wygląd dłoni gospodarza.

–Ja... – odezwał się *samerantur* -...nie jestem tu i teraz potrzebny. Udam się do swoich obowiązków. Panie... – skłonił się przed Sodosem Skrępowanym, potem skinieniem głowy pożegnał Marencebę Sieć -...kiedy tylko zapragniesz, ktoś odprowadzi cię do twych... – przypomniał sobie, że mag zamienił trzy pokoje na jeden -...twojego pokoju.

Mag obojętnie skinął głową. Omal nie powiedział, że może już wrócić sam, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Odczekał, aż *samerantur* wyjdzie, a gdy trzasnęły drzwi i wartownik szczęknął rygłem, wskazał stół ręką:

–Sam, panie, broń dla siebie szykujesz?

–A kto mi lepiej przyładzi, jak nie ja sam? Kto wie, jak wyważyć albo do czego będzie mi potrzebna? – Marenceba Sieć obszedł stół i wskazał gościowi drugi, niższy, z dwoma wygodnymi choć tylko drewnianymi zydłami przy nim. Marenceba był wojakiem, ale na zydle narzucił ktoś grube futra. Na stole stał smukły, wąski, gliniany dzban i dwa smukłe, na ciemno wypalone, gliniane, polewane kielichy. – Znasz, panie, nalewkę z sześćdziesięciu sześciu ziół?

Mag uniósł brew.

–Trzydzieści trzy, tak. Sam się zabawiam przed zimą, bo nie znam niczego lepszego, co w tak małej ilości tak mocno rozgrzewa. Ale sześćdziesiąt sześć?...

Marenceba Sieć wskazał zydę, poczekał, aż Sodos Skrępowany usiądzie, i usiadł sam. Natychmiast sięgnął po naczynie i nalał ciemnej, oleistej połyskującej, gęstej cieczy do kielichów. Wypili. Chuchnęli jednocześnie i przeciągle.

–Pali... Ale pali miło! – powiedział mag.

–Tak – zgodził się *halemmed*. – Wiesz coś o xameleonach, panie? – zapytał obojętnie, ale zaskakujący przeskok od nalewki do tego pytania był zamierzony i przemyślany. Nie zaskoczył jednak maga. Gość potarł wysuniętą do przodu brodę i skrzywił się.

–Nikt tak naprawdę nie wie, jak wygląda xameleon – powiedział. – Jest to istota, ponoć najczęściej ludzka, potrafiąca zmieniać swój wygląd. Przybiera, krótko mówiąc, każdą postać, jaka jej się zamarzy.

–To nie są ludzie?

Mag wzruszył ramionami.

–Powiadam – nikt nie widział xameleona w prawdziwej, jego własnej, naturalnej postaci, no to jak mamy wiedzieć, kim czy czym są? Wszyscy świadkowie mówią o postaciach już przybranych. A jeśli nawet... Mhm?... – Zapatrzył się w sufit i wydał z siebie serię pyknięć wargami. – W dziele niejakiego Asmordelesta spod góry Totry jest opis xameleona, tak jak go widział skruszony zleceniodawca. Ale silnie podejrzewam, że widział on po prostu inną jego postać.

–Dlaczego tak sądzisz, panie? – zapytał Marecheba, napełniając kieliszki.

–Tak byłoby dlań bezpiecznie, prawda? – zapytał mag. – Pomyślmy, jak może myśleć xameleon: jeśli potrafię zmieniać postać kiedy chcę i na jaką chcę, to dlaczego miałbym ukazywać się komuś, dla kogo wykonuję nieprzyjemną pracę, w prawdziwej postaci? A nuż przyjdzie mu do głowy, że po wykonaniu roboty trzeba by pozbyć się głównego i jedyne go świadka? Nie sądzisz, panie? Tak bym postępował ja, będąc xameleonem. Pokazywałbym się zawsze w fałszywej postaci.

–A jeśli nie może tak się maskować? – widząc zdziwienie maga, *halemmed* wyjaśnił:  
– Mam na myśli, że nie może wchodzić w podwójną skórę?

–Hm... Przyznam, że też się nad tym zastanawiałem...

Wypili. Znowu westchnęli, jak dobrzy znajomi. Marecheba Sieć podniósł głowę i wpił się spojrzeniem w oczy maga. Bez cienia strachu.

–Zatem jak go wykryć? Skoro ciągle jest kimś innym? Jak widzę, powiedzmy, swojego brata, to nie wiem, czy to on, czy złudzenie? – zapytał Marecheba.

–Jest coś... – mag chciał rozejrzeć się, ale w ostatniej chwili rozmyślił się. Pochylił nad stołem. – Czy pytasz w jakimś specjalnym celu, panie?

–Oczywiście. Jestem dowódcą straży władcy. Muszę wiedzieć, co zagraża mojemu panu. Muszę wiedzieć, jak go bronić, czego się spodziewać po tym stworze... – zawiesił głos.

–Jak go schwytać... Tego xameleona... – mag pokiwał głową ze zrozumieniem. – Dokoła niego czasem panuje aura, taka swoista tylko dla niego – powiedział.

Nie rozglądał się, ale powiedział to znaczenie ciszej.

–Widzisz ją? Wyczuwasz?

Sodos Skrępowany patrzył w oczy wojaka i nie mrugał. Trwało to długo, tak długo, aż gospodarz mlasnął i puknął kilka razy grubym paznokciem o drewno stołu.

–Rozumiem. Masz swoje sposoby i swoje sekrety.

**–Iście.**

**Maretcheba Sieć uniósł swój pucharek i poczekał, aż to samo uczyni mag. Wypili i odsapnęli.**

**–Trazwalar Wielki dowiedział się skądś, że w Gaybonie siedzi xameleon, który zasadził się na jego życie. Nie wiem, skąd to wie – wykrzywił się, przesuając zuchwę na bok i chwilę tak trwał rozgniewany. – Poza tobą nikt nie wie, jak go wyłapać.**

**–Może mi się udać, ale nie jest to łatwe – szybko wtrącił się mag.**

**–Właśnie. Dlatego ja proponowałem panu, by wymienił całą załogę. Wszystkich – kucharzy, kuchcików, koniuszych, ogrodników, strażników...**

**–Przyjąć nowych – nie sztuka – odezwał się mag. – Trazwalar jest potężnym władcą, wielu ma poddanych i bez trudu może wymienić wszystkich. Ale kto zaręczy, że wśród nowoprzyjętych nie znajdzie się ponownie xameleon? Przecież może przyjąć postać... – urwał., Maretcheba Sieć posłał mu wyraziste spojrzenie. Sodos zmarszczył czoło, brwi złączyły się zjedną długą i gęstą kępkę.**

**–Chciałbyś wymordować wszystkich, a wtedy i xameleon byłby w ich gronie!...- wyszeptał ze zgrozą.**

**Maretcheba poderwał się i nagle trzepnął dłonią w stół.**

**–Moim naczelnym zadaniem jest chronienie życia władcy! – krzyknął. – Kuchcików chętnych do pracy dla Trazwalara w państwie jest wielu!**

**–Będzie ich znacznie mniej, kiedy się dowiedzą, jak ceni się ich życie.**

**Dowódca straży usiadł ciężko i poruszył zuchwą. Kilka razy mrugnął szczelinkami oczu, jakby ścierał łzy. Ale raczej jego żywotna natura wymagała, by się poruszał, a nie chciał biegać po izbie, zdradzając podniecenie przed magiem. Ten odchylił się do tyłu, skrzyżował na piersi ręce. Z małego palca lewej ręki błyskiem odezwał się cienki, srebrzysty drucik.**

**–Znasz, panie, przypowieść o mistrzu, co pół życia spędził na próbach podkucia pchły? – zapytał. Maretcheba Sieć popatrzył nań nieprzychylnie, nie odezwał się, pokręcił głową, – No więc bardzo się starał, starał, i wreszcie opanował tę sztukę, i podkuł pchłę. A ta przestała się poruszać, bo nie mogła już.**

**Pyzaty wojownik zastanawiał się chwilę. – Taki sam sens ma twoim zdaniem moje działanie – stwierdził po kilku uderzeniach serca.**



Mag wolno pokiwał głową, nie odzywał się jeszcze chwilę. Tak naprawdę, to w duchu czekał jak przyjmie *halemmed* jego pouczenia. Gospodarz jednak nie podrywał się, nie krzyczał, nie walił pięścią w stół. „Chyba jednak zawdzięcza stanowisko nie wpływom rodzinnym na dworze. Umie słuchać, słyszy i rozumie, co się do niego mówi” – pomyślał Sodos.

–Właśnie. Skąd miałbyś wiedzieć, czy xameleon nie przybrał postaci żony władcy czy jego brata? – powiedział na wszelki wypadek.

–Właśnie! – w końcu syknął Marenceba. Chwilę trwała cisza.

Mag wyprostował się i spokojnie rozejrzał po pomieszczeniu. Jego uwagę przykuła wstęga dymu ulatująca znad kopącego kaganka na półce pod ścianą, misa z płonącym olejem, służąca chyba do patynowania broni. Dym ulatywał w górę, jak i należało, ale potem skręcał i uderzał w ścianę, jakby się rozwiewał, znikał. A może to tylko gra światła i skutek plamy mroku, akurat w tym miejscu widniejącej?

–Jak szybko... – przelękając ślinę, gospodarz pozwolił domyślić się, że nie jest mu zrażenie zadać to pytanie:

–...zdołasz, panie, wykryć owego xameleona?

–Och, nie wiem. Naprawdę nie wiem – mag pochylił się nad stołem i zaczął mówić bardzo cicho, jednocześnie stukając podkutymi obcasami w podłogę. Marenceba Sieć najpierw zmarszczył brwi, nie rozumiejąc, po co ten hałas, potem szybko skinął głową i pilnie wsłuchiwał się w słowa gościa. A ten mówił: – Ja nie mogę być przez cały czas w objęciach magii, która pozwoli wychwycić aurę xameleona. Nawet nie dlatego, że mi się nie chce, czy dlatego, że to mnie męczy. Po prostu – magia mnie odrzuci. Wyrzuci jak pachółka z kolasy. Bo wiedz, panie, że każdy mag jest tylko petentem w krainie czarów. Jeśli któryś ci mówił co innego, to łgał okrutnie. Tak więc ja mogę wczuwać się, chodzić i szukać, potem odchodzić i wracać znowu... Nic więcej. Nie można zebrać wszystkich ludzi, co byłoby najprostsze, żebym ja przeszedł wzdłuż z szeregu i wskazał – oto jest!

–Dlaczego?

–Dlatego, że on może swoją aurę tłumić. Jak się dowie, że jestem blisko i szukam go, to rozwieje aurę i nic nie zobaczę. Musi być zaskoczenie, rozumiesz, panie?

–Ta... – mruknął z niezadowoleniem *halemmed*. – A jak...

–Wybacz, panie. Nie mogę więcej nic powiedzieć. – Nagle Sodos uśmiechnął się i wymierzywszy palec w Marencebę Sieć, rzucił wesoło: – Skąd mam wiedzieć, że nic jesteś sam xamelebnem?

**–Ja?! – wściekły Marenceba Sieć poderwał się na równe nogi.**

**–Ot, właśnie tak samo będą podskakiwali różni wielmoże, jakich na dworze pełno. Zaczną biegać do władcy, by ich zwolnił z ustawiania się w szeregu. Trazwalar Wielki będzie miał zepsuty dzień albo i dwa na tłumaczenia i przekonywanie. A i tak ktoś się obrazi, ktoś ucieknie, ktoś, nie wiadomo dlaczego, umrze ze strachu...**

**–A to dlaczego?**

**–Już tak bywało – Sodos wzruszył ramionami. – Niemal każdy ma coś na sumieniu, i jak się boi, że się dowiem co, umiera ze strachu. Dławili się mięsem, zachłystywali winem, potykali na schodach, spadali z krużganków... – mag machnął niedbale ręką, najwyraźniej nie przywiązując wagi do tych zgonów.**

**Popatrzyli sobie w oczy i jednocześnie pomyśleli, że w spojrzeniu siedzącego naprzeciwko mężczyzny widzą dużą część samego siebie. Dwaj dojrzali, doświadczeni mężczyźni, z wiedzą, z bagażem lat...**

**–Czy to oznacza, panie, że szukanie xameleona potrwa długo? – zapytał cicho Marenceba.**

**–Powiadam, że może trwać długo. Nie wiem ile – mag odsunął się i oparł plecami o wysoką, prostą ściankę zydła. Potem zaraz pochylił się i zapytał: – Ale wydaje mi się, że nie jest to zadanie szczególnie pilne? Wasz władca nie obawia się za bardzo xameleona?**

**Marenceba Sieć chwilę wpijał się w jego oczy spojrzeniem swoich, szarych, przenikliwych, władczych. Nagle nie małych szparek.**

**–Nie. Władca... I ja też... Sądzymy, że nie odważy się uderzyć pośpiesznie... bez przygotowania choćby drogi odwrotu.**

**–Nie wiem... – w powietrzu zawisło niewypowiedziane słowo „jeszcze” -...na czym się opiera twa, panie, pewność, ale wierzę, że wiesz coś, co ma wagę. To mi też odpowiada, daje czas na szukanie, bez pośpiechu, bo ten sprzyja mimikrantowi.**

**Wstał i trzepnął rękami w poły kaftana, by ułożyły się odpowiednio. Podniósł się z zydła i Marenceba, pokiwał głową do jakichś swoich myśli. Mag czekał chwilę, może na to, że wojak zdradzi sekret, ale po chwili skłonił się z szacunkiem dowódcy straży i odwróciwszy, poszedł do drzwi.**

**–Dowiedziałem się przez pocztowe kruki, że twoje domostwo... – Marenceba Sieć zawiesił głos.**

**–Splonęło doszczętnie? – zapytał mag, nie odwracając się.**

**Marecheba Sieć otworzył usta, potem żuchwa obsunęła się niżej i chwilę tak trwał z rozdziawionymi ustami. Sodos odwrócił się i widząc go w takim stanie, głośno kłapnął zębami, to przywróciło równowagę dowódcy pałacowego garnizonu. Przełknął ślinę.**

**–I to podczas deszczu...**

**Sodos niedbale wzruszył ramionami.**

**–Ono tam jest, nietknięte. To tylko czar, dzięki któremu spóółstwo nie będzie mi wężyc w domu. Kiedy wrócę, odeklnę dom i zamieszka z powrotem!**

**Nie zauważając zdziwienia gospodarza, skłonił się i wyszedł.**

**Za progiem czekał pacholek, przerwał dłubanie w uchu i zgrabnie uklonił się przed magiem, ani na chwilę nie spuszczaając zeń oka.**

**–Prowadź, ale drogą po blankach – poleciał mag. Szedł niby zamyślony, ale spod gęstych, twardych brwi rzucał szybkie spojrzenia, zapamiętywał wszystkie schody, krużganki, zakręty. Zapamiętał widok na miasto otwierający się z murów i nawet na rzekę, która w jednym miejscu oleistą barwą okrasila krajobraz. Droga powrotna zajęła niemal dwa razy więcej czasu niż wędrówka na spotkanie, ale mag był zadowolony. Pod drzwiami chwycił chłopaka za warkoczyk, ale potar mosił tylko delikatnie, a nienawykły do takich odruchów pacholek potulnie stał z głową wciągniętą między ramiona i czekał na uderzenie.**

**–Długo służysz w twierdzy? Chłopiec popatrzył zdziwiony.**

**–Zawsze... panie... Ja tu się urodziłem... i...**

**–Rozumiem. A jak masz na imię?**

**–Faseh Zielony, panie.**

**–Chcesz mi służyć?**

**Faseh Zielony wzruszył ramionami: „A co mi tam za różnica?”, a potem, widocznie uświadomiwszy sobie, że zaraz zostanie ukarany za ten gest, szybko powtórzył go, ale udając, że to kołnierz koszuli wpił mu się w szyję. Mag pstryknął go palcem w ucho.**

**–To chcesz, czy wolisz zostać tam, gdzie jesteś teraz?**

**–Mnie tam... – zaczął, i brakowało tym słowom tylko wzruszenia ramion. – Chcę! – zakończył szybko.**

–W takim razie zaniesiesz liścik... Chodź. – Weszli do izby Sodosy. Mag szybko skreślił kilka słów na płacie rozwalcowanej i wysuszonej łądygi brodymia. – Zanieś to *sameranturowi*, a potem, kiedy wyrazi zgodę, przynieś swoje skarby, zamieszkasz tu – wskazał drzwi jednej z komórek. – Niech tu zaraz przyjdą ze dwie kobiety wprawne w sprzątaniu. Niech przyniosą pościel, dla ciebie i dla mnie. Drewno do kominka.

Rozejrzał się dokoła, pokiwał głową, gdy nic nie przyszło mu do głowy.

–Idź.

Po wyjściu chłopca mag długą chwilę krążył po izbie, z pochyloną głową, od czasu do czasu, co kilka kroków rzucając kilka niezrozumiałych słów pod swoje stopy. Świeca z podziałką czasową spłynęła dwoma kreskami, zanim otrząsnął się z zamyślenia, otworzył dwa kufry, spokojnie spenetrował zawartość. Przyniósł na stół i zapalił dwie świece. Przez chwilę wpatrywał się w ich płomyki, następnie sypnął w ogniki po szczypcie ziół i zaczął znowu mruczeć pod nosem. Potem uniósł świece i trzymając je w rękę, chodził po izbie, przysuwając do ścian. Odnotował w pamięci dwa miejsca, w których dym zachował się inaczej niż gdzie indziej. W jednym wstęga wyprężyła się i pomknęła ku górze, w drugim przyłgnęła do ściany. Mag przesuwając się dalej i dalej, aż wykonał pełny obchód izby. Wtedy zrobił to samo, trzymając świece wysoko nad głową i nucąc monotennie. Trzeci raz przeszedł się niemal w kucki, okadzając ściany nieco ponad podłogą. W jednym z kątów stał prosty mały stolik z dwoma dzbanami wody i płaską misą, kąt – jak domyślił się mag – miał służyć mieszkańcowi izby do utrzymywania czystości. Za stolikiem do ściany przywarł drewniany pałak. Mag postawił świece na stoliku, pociągnął drąg, a ten odchylił się od muru, odsłaniając obrotową półkę na wysokości podłogi. Na półce stała szeroka i wysoka misa z szerokim, zagiętym do wnętrza brzegiem. Sodos chwilę przyglądał się naczyniu, potem roześmiał głośno, i kiwając z podziwem głową, powiedział do siebie:

–No, tu nie trzeba biegać na dwór za potrzebą. Co pałac władcy, to pałac władcy.

Chcąc przekonać się, że właściwie ocenił urządzenie, wyszedł na korytarz i siedł po korytarzu, przyglądając się ścianie. Za pierwszym zakrętem zobaczył niemal niewidoczną, wtopioną w mur dźwignię. Gdy ją pociągnął, otworzyła się wnęka i zobaczył tę samą misę, którą chwilę wcześniej widział od strony izby.

„Gdy ktoś zechce posłuchać, otworzy, wsadzi tu łeb, i nie zważając na smród, wysłucha czego będzie chciał – pomyślał. – Zaradzimy temu trochę”...

Wrócił do izby i zaczął szperać w swoich sakwach. Po chwili miał w ręku kilka małych bełtów, potem poszukał w skrzyni i wyjął kamienny tłuczek do ziół i nasion. Zbliżywszy się do ściany z wychodkiem, wbił nad drągiem dwa bełty, zawiesił na nich grubą derę i zadowolony odsunął się o krok, ale przypomniawszy sobie coś, odsunął zasłonę, otworzył drzwi i zastanawiał się chwilę. Potem uśmiechnął szeroko i znowu

wrócił do sakw. Chwilę potem cienka linka połączyła małą, szklistą kuleczkę z półką, linka mieściła się swobodnie w szczelinie. Każde otwarcie wnęki od strony korytarza musiało spowodować przesunięcie wsuniętej pod stolik kulki. Zadowolony z siebie otrzepał dłonie i pogwizdując pod nosem, wrócił do bagaży.

Rozległo się stukanie do drzwi, a potem w małej szczelinie pojawił się nos Faseha Zielonego.

–Panie, przyszły dziewczyny do sprząta...?

–Chodź, chodź! – mag machnął zachęcająco ręką.

Do pokoju wsunął się chłopak, za nim weszła cała grupa – dwie dziewczyny w szarych, obszernych szatach. Za nimi czterech pacholków niosło wiadra i pakunki. Mag położył rękę na ramieniu Faseha Zielonego.

–Wybierz dla siebie komórkę, tę niech sprzątną pierwszą. Potem do drugiej przeniosą to wszystko – powiedział, wskazując stertę swoich pakunków. – Nie próbując otworzyć czy nawet zaglądnąć do nich. Nałożyłem klątwy, nic wielkiego się nie stanie, ale mężczyznom usychają przyrodzenia, kobietom nosy... Powiedz im to.

Faseh Zielony rzucił kilka szybkich zdań w *tawlish*, wszyscy obecni z obawą zerknęli na bagaże, a jeden z pacholków coś mruknął.

–On pyta, panie, czy zakłęcie... nie... no, czy nie wyleje się przy przenoszeniu?

–Nie, wytrzymały podróż, to i wytrzymają przenoszenie. Póki nie wsadzi do sakwy czy skrzyni swego ciekawskiego nosa, może się nie bać o swoje dyndadło – odwrócił się i pociągnął za sobą chłopaka. – Chodźmy, oprowadzisz mnie po całej twierdzy... Aha, powiedz im, że jak wrócimy za dwie *semie*, ma tu już płonąć wesoly ogień, ma być przedtem przewietrzona, rzecz jasna. Pajęczyn i pajaków nie ruszać, wiem, gdzie są, zabiję, jeśli je ruszą, tak samo myszy. Poza tym ma być czysto. Moje posłanie wyłożył chmielem i tatarakiem, twoje jak chcesz. Idziemy.

Faseh Zielony radośnie przełożył słowa maga i dodał energiczny, ponaglący ruch dłoni. Stanowisko totumfackiego najwyraźniej coraz bardziej mu się podobało. Na korytarzu Sodos Skrępowany pstryknięciem w ucho przywołał chłopaka do porządku.

–Jak często opróżniane są kubły na nieczystości?

–Kubły?... – chłopak podrapał się po czubku głowy. – Ach, *kaploral*, przez cały czas chodzi po twierdzy takich kilku osiłeków i zmieniają *kaplory* na puste. Przez cały czas – dodał.

–Aha. Dobrze. Prowadź w takim razie na mury. Chcę obejść całą twierdzę...

–Teraz?! – jęknął Faseh. – Panie...

–Jak ci się nie podoba – wracaj do służby, bacz tylko, byś nie trafił do tej zaszczytnej gwardii, co się *kaplorami* zajmuje!

–Nie-nie, tylko to jest zajęcie na kilka dni...

–Zatem przez kilka dni to właśnie będziemy robili. – Mag chwycił chłopaka pełną garścią za gęste włosy i potarł na boki, niezbyt silnie, ale twarz Faseha wykrzywił grymas bólu, taki bardziej na zapas. – Zaczynamy od murów, potem będziemy schodzić niżej, aż dojdziemy do podziemi. Jeśli nie wiesz, jak to zrobić, to zaprowadź mnie do *samerantura* i...

–Panie? Ja nie znam??? Ja?! – Faseh Zielony uderzył się w pierś, aż rozległo się głucho dudnienie. Mag puścił włosy. – Cała moja rodzina tu żyje i służy od czterech pokoleń! Od pierwszych dni byłem noszony przez siostry i brata po murach i wszystkich niemal izbach...

Sodos ruszył korytarzem, nie oglądając się na stojącego jeszcze Faseha Zielonego, rzucił:

–Masz liczną rodzinę?

–Służą tu jeszcze dwie moje starsze siostry. Trzy najstarsze wcześniej wykupiły prawo na ożenek i żyją za murami. Jedna dwa miesiące temu...

–Brat? – zapytał mag, ruchem ręki ponaglając chłopaka, by szedł obok niego.

–Brat zginął... Posprzeczał się z pijanym koniuchem, tamten go zadźgał... Drugi w warsztacie terminuje... A starszy – nie żyje.

–Uhm... – maga nie wzruszył los brata Faseha. – Rodzice tu żyją?

–Ojciec jest skrybą w *kalemie* straży... Już mieczem nie może za bardzo... – uniósł brwi i pokiwał głową, demonstrując, że ojciec stary i słaby. – Matka pracuje w piekarni.

Zeszli kilkadziesiąt skręconych stopni w dół, wyszli na galerię. Mag przystanął i rozejrzał się.

–Zaplanujmy drogę tak, by za dwie *setnie* wrócić tu i zjeść coś. Będę wtedy wilczo głodny.

Chłopak zadarł głowę i patrzył chwilę na mury. Potem skinął głową do wymyślnego

planu i wskazał ręką kierunek:

–No to tędy, panie. Będzie akurat.

–Prowadź i objaśniaj. Odgałęzienia, dokąd prowadzą, galerie. Co się mieści za ścianami... Wszystko.

–Tak, panie – ruszył pierwszy i zaraz wskazał odchodzące bokiem, w górę i na dół schody: – Tu można zejść na dziedziniec, w połowie drogi jest odnoga do piętra królewskiego, ale lepiej tam nie chodzić bez potrzeby... – popatrzył na maga. – To znaczy, panie, ja tam nie chodzę – poprawił się.

–Prowadź! – warknął mag i wymierzył mu solidnego kopniaka.

Chłopiec podskoczył i szybko pomaszerował korytarzem. Bezgłośnie chichoczący Sodos ruszył za nim długimi krokami...

\*\*\*

Kiedy kończyli spóźniony obiad, Faseh Zielony – mlaszczący, siorbiący, bekający przy polewce – na ławie pod oknem, Sodos przy stole, z godnością wybierający gorący, niemal wrzący tuk z rozłupanego przed chwilą i podgrzanego w kominku olbrzymiego wołowego gnata, pod stolikiem z dzbanami i misą rozległo się ciche szuranie. Faseh Zielony przestał mlaskać, zamarł na chwilę z wysysaną chrząstką w zębach, potem wypluł ją do ręki i wskazując nią stolik, syknął:

–Mysz! Zaraz ją... – poderwał się z gotowością. – Stój! – Chłopak natychmiast zamarł w miejscu. –

Siadaj. – Usiadł posłusznie.

Sodos uniósł palec i powiedział, wyraźnie akcentując słowa, by zapadły pacholce w pamięć.

–Żadna istota w tych izbach nie jest zbędna. Możesz tylko tłuc wszy. Nie ruszać pajaków, szczurów ani myszy!

–Ale...

–Słuchaj, milcz i nie rozpowiadaj! – mag odczekał chwilę i powiedział już o wiele ciszej. – Uciekła mi jedna mysz. Zakląłem w nią pewnego hardego, syna karczmarza. Jeśli akurat ją skrzywdzisz – zajmiesz jego miejsce. Rozumiesz?

Chłopak długą chwilę wpatrywał się skamieniały w maga

–Dobra, chodź tu. – Sodos Skrępowany wstał od stołu, wskazał stojący przy

kominku dzban, a potem misę. – Polej mi ręce...

–Teraz wyjdź z izby i stój pod drzwiami. Nikomu nie wolno tu wchodzić, zaglądać, podsłuchiwać. Rozumiesz? Własnym życiem bronisz dostępu. Jakby coś się działo, wołaj mnie ile sił, a potem uciekaj, bo rozpęta się piekło. No!

Faseh Zielony posłusznie wyskoczył za drzwi. Sodos wolno podszedł do stolika w kącie i pochyliwszy się, naciągnął ponownie linkę z kulką, którą przesunął ktoś, kto zmieniał *kaplor*, albo tylko wsadzał ciekawskie uszy na szpiclowym łbie we wnękę od strony korytarza. Potem wyprostował się i rozejrzał po izbie. Przymknąwszy oczy, przypominał sobie przebieg korytarza, schodów i galerii, prowadzących do jego schronienia. Podszedł do jednej ze ścian, tej, przy której płomienie świec zachowywały się dziwnie. Położył obie dłonie na murze i zamarł, wsłuchując się w zmysły. Przesunął dłonie o łokieć w lewo, znieruchomiał znowu. Powtórzyło się to kilka razy. Potem nagle spod stolika z misą rozległ się cichy chrobot. Sodos syknął zniecierpliwiony, przesunął się jeszcze raz. Teraz stał długo, przesuwał dłonie wyżej i niżej, na boki. Potem przyklęknął z cichym mruknięciem i wpił się wzrokiem w kamienny mur. Po chwili sięgnął do pasa i wyjął sztylet. Czubek zaczął wsuwać w szczeliny między kamieniami i w ubytki zaprawy. Wargi poruszały się, z ust wypływał cichy szept, słów nie dawało się rozróżnić, nawet gdyby ktoś był w tym czasie w izbie i pilnie wsłuchiwał się w zaśpiew.

Potem mag znieruchomiał, zamilkł: sztylet niemal do połowy wszedł w jedną ze szpar. Przesunął ostrze w szczelinie w lewo, potem w prawo, coś metalicznie zgrzytnęło. Kawał ściany, tworzący wąskie, niskie drzwi, zapadł się w mur. Zadowolony z siebie mag chwycił kaganek i ostrożnie wsunął się w odsłonięty korytarz. Zaraz za progiem zatrzymał się i tylko rzucił okiem w ciemną czeluść tunelu. Zajął się mechanizmem drzwi. Po, chwili już wiedział, jak się go uruchamia od wewnątrz. Sprawdził tylko jeszcze, które z kamieni należy nacisnąć, by drzwi otworzyły się. Zamknął je, otrzepał dłonie.

Powiedział głośno:

–Fasehu Zielony, wracaj, chłopcze.

Chwilę potem w szczelinie drzwi pojawiła się głowa chłopaka.

–Wołałeś mnie, panie? – zapytał niewinnym i szczerym tonem.

–Tak. Podaj mi tę szkatułę.

Faseh Zielony podał wskazane puzdro. Mag otworzył je, a potem szybko i zręcznie poodsuwał zaczepy ścianek, tak, że po chwili na stole leżały tylko zawiasami połączone płytki.



**–Daj tu ręce – poleciał, wskazując miejsce na stole.**

**Chłopak wykonał polecenie, a wtedy Sodos Skrępowany jeszcze szybciej poskładał pudło i po chwili Faseh siedział z dłońmi uwięzionymi niezrozumiałym sposobem w kasecie. Teraz mag otworzył tylną ściankę, i wpatrując się w uwięzione dłonie chłopaka, powiedział:**

**–Jeśli poruszysz choćby palcem – nie będę mógł ci pomóc... Cii! Ani słowa! – powstrzymał zamierzającego coś powiedzieć chłopca, skulonego na zydłu z wytrzeszczonymi ze strachu oczami. Wysunął dłoń i palcem niemal dotknął czubka nosa mrugającego szybko, gotowego rozplakać się pacholka: – Powtarzam: cokolwiek się stanie ani drgnij. Teraz mów, co robiłeś na korytarzu?**

**–Stałem... i cze-czekałem, pa-pa... panie... – wykrztusił chłopak.**

**Mruganie nie wystarczyło, łzy zaczęły płynąć po twarzy, omijały pyzate policzki, spływały po szyi i ginęły za kołnierzem koszuli.**

**Mag sięgnął do kieszeni i wyjął stamtąd metalicznie połyskujący przedmiot. Szybko wpakował to coś do kasety i zamknął ściankę od swojej strony. Odetchnął z widoczną ulgą. Chłopak pisnął cicho, wpatrując się w kasetę.**

**–Pytam – po co włąziłeś za nocnik? – powiedział mag. – Do *kaploral***

**–Marecheba-ba-ba... kazał... panie!... – Faseh Zielony chrypiał bliski omdlenia.**

**–Zapamiętaj tę chwilę. Mnie wystarczy spojrzeć w twoje oczy, żeby wiedzieć to, co chcesz. Trzęsą ci się, bo kłamiesz, ale chcę, byś wiedział, że ktoś groźniejszy ode mnie strzeże prawdy w tej izbie – wskazał brodą kasetę.**

**–Masz w niej Węża Prawdy, Groila. Owinął się dokoła twych dłoni i czeka na kłamstwo, tylko wtedy może cię ukąsić. Dopóki mówisz prawdę, jesteś bezpieczny, ale kiedy zełżesz – ukąsi, a wtedy możesz iść i się utopić albo obwiesić. Tylko tyle zdołasz jeszcze dla siebie zrobić. Następnego dnia ciało zacznie ci gnić – mag wychylił się i wpił wzrokiem w na poły omdlałego chłopaka. – I umrzesz w męczarniach. Gadaj, co masz jeszcze robić? Szpiegować, i...?**

**–Tylko patrzeć i słuchać, ja... prawda...**

**Mag szybko otworzył tylną ściankę i wyszarpnął połyskliwy, długi kształt. Wsunął go do kieszeni i kilkoma ruchami rozłożył kasetę, uwalniając dłonie chłopaka. Były purpurowe i lodowate. Faseh Zielony przysunął je do siebie i patrzył, jakby widział po raz pierwszy w życiu. Z kącików oczu ciągle wypływały łzy, toczyły się i powiększały plamę wilgoci na kołnierzu.**

**–Zapamiętaj tę lekcję. W tej chwili należysz do mnie! Groil już cię zna, jeśli dowiem się, że mnie okłamujesz, wypuszczę go, a on niechybnie cię odnajdzie, tu i wszędzie indziej. Nie ukryjesz się przed nim i nie uciekniesz. Marechebie będziesz mówił tylko to, co ja ci powiem, rozumiesz?**

**–T-tak...**

**–Nie wymagam od ciebie przysięgi, niepotrzebna mi. Groil cię upilnuje – odsunął się od stołu, szerokim gestem wskazał resztki po obiedzie. – Uprzątnij to i idź do swojej komórki. Prześpij się.**

**Faseh Zielony rzucił się do sprzątanania. Ręce drżały jeszcze i nie odzyskały właściwego koloru, ale otarł już łzy i powoli bladeść ustępowała z twarzy. Wybiegł z komnaty z naręczem misek.**

**Mag wyjął z kieszeni mokry, połyskujący w padającym z okna świetle, jedwabny sznur, wyjął go, po czym włożył do kasety.**

**–Nie lubię tego – mruknął do siebie. – Młodziak chyba się za bardzo wystraszył... – Tknięty nagłą myślą odchylił się do tyłu i spojrzał na miejsce, zajmowane przed chwilą przez Faseha. Na podłodze widniała mokra plama. – No właśnie, tak myślałem – skwitował widok cichym mruknięciem.**

**Okrążył dwa razy stół. Zachowywał się jak człowiek nienawykły do małej, zamkniętej przestrzeni, jeśli siadał to na chwilę, jeśli nieruchomiał to na niedługo. Teraz też rozsiadł się na zydlu, wstał, znowu przemierzył komnatę kilka razy, zwałił na zydel. Siedział chwilę nieruchomo, wpatrując się pustymi oczami w przeciwległą ścianę, potem drgnęły jego palce i zabębniły o suche deski stołu. Wtedy ocknął się i podszedł do położonych na wystających ze ściany kamieniach desek, pełniących rolę półek, i przejrzał przyniesione z erzry swoje bagaże. Część rzeczy znajdowała się jeszcze w skrzyniach, kufrach i workach, ale dziesiątki małych szkatulek, z drewna i wypalanej gliny, skórzanych mieszkań, długich futerałów – stało już i leżało na półkach. Gospodarz dotknął palcem jednej szkatułki, drugiej, jakby sprawdzając dotykiem ich zawartość, pokręcił głową, a potem strzelił palcami i sięgnął po nieco większe od innych puzdro. Wróciwszy do stołu, otworzył je, wytrząsnął na blat zawartość – kilkadziesiąt suchych kulistych owoców, grzechotały cicho, gdy zaczęły turlać się po drewnianym blacie stołu.**

**W szczelinie drzwi pojawiła się para zaspanych oczu Faseha Zielonego.**

**–Wejdz – przyzwolił Mag. Począł, aż chłopak wszedł do izby. – Następnym razem, kiedy będziesz chciał wejść, nieważne – z korytarza, czy z komory – zastukasz tak... – Wystukał na stole prostą sekwencję. – Dwa szybko po sobie, raz i znowu dwa razy szybko. Zapamiętałeś? I czekasz na przyzwolenie, dopóki go nie będzie – nie**

dotykasz drzwi, cokolwiek by się nie działo. Rozumiesz?

Chłopak skinął głową, starał się patrzeć w oczy magowi, ale jego spojrzenie co i rusz uciekało na podłogę, do kątów, na półki. Trzymał ręce tak, by zasłonić plamę na szarych, przybrudzonych portkach.

–Teraz połup te owoce, i możesz iść spać. Jutro zgłosisz się gdzie trzeba, by ci dali czyste ubranie. Najlepiej dwie zmiany, żebym cię nie widział w porciętach z ubłoconymi kolanami.

–Tak, panie.

Faseh Zielony podbiegł do stołu i zajął się łuskaniem owoców. Miały cienkie, kruche skorupki, nie potrzebował żadnych przyrządów, ani nawet zębów, by wyłuskać z nich kilkaset małych, podobnych do soczewicy ziaren. Gdy skończył, mag otrząsnął się z zamyślenia, skorupy własnoręcznie wrzucił do ognia i wskazał chłopakowi drzwi do jego komórki. Zostawszy sam, zebrał nasiona w garść i wrzuciwszy do miski, zalał wodą, chwilę je mieszał w niej, a potem zlał wodę i postawił miskę na podłodze przy ogniu. Później otworzył drzwi do sekretnego korytarza i czekał chwilę. Nasiona w misie wyschły, zaczęły parskać, trzeszczeć i podrygiwać. Wtedy Sodos wziął miskę w ręce i przysunął najbliżej jak mógł do ognia, gdy nasiona rozćwierkotały się i zaczęły niemal wyskakiwać z miski, zrobił dwa długie kroki i sypnął zawartością naczynia w ciemność korytarza. Przez chwilę w ciemnościach słychać było cieniutkie trzaski i odgłosy turlania się napęczniałych, podsuszonych i pustych kulek. Potem wszystko ucichło. Mag odstawił miskę, chwycił kaganek i wszedł w korytarz. Już przy drugim kroku w ciemnościach rozległ się głośny trzask zgniecionej pustej powłoczki. Mag przykucnął i poświecił. Kulki zaścielały niemal całą powierzchnię podłogi korytarza na odcinku jakichś sześciu kroków. Zręczny kot miałby pewne trudności z przejściem tego odcinka tak, by nie trącić żadnej kulki, człowiek – na pewno musiał na którąś nadepnąć. Zadowolony z siebie mag wrócił do izby. Tu założył rygiel na pętlę zamka, zablokował to wszystko sznurem, podparł zydłem drzwi do komórki Faseha, sprawdził, czy ma przy pasie sztylet, a potem, wsunąwszy pod pachę dwie nienaruszone pochodnie, rozpałił w kominku trzecią i wszedł w tajny korytarz. Tu sprawdził zamknięcie drzwi, a potem posuwając się bardzo wolno, oszczędzając pajęczyny – pochylony tak, że niemal uderzał się kolanami w nos, i rozsuwając stopami kulki (dwie i tak strzeliły, co skwitował zadowolonym uśmiechem) przebrnął przez pułapkę, a potem utyłany w strzępach pajęczyn pomaszerował korytarzem na zwiedzanie drugiej, utajonej strony pałacu. Strony ukrytej przed okiem nieupoważnionej większości mieszkańców pałacu, sekretnej, ale pożytecznej dla niewielu innych, do tej wiedzy uprawnionych. Sodos miał szczerzy zamiar do grona tych wybrańców dołączyć swą osobę.

–Zaprosiłem was do siebie... – powiedział Marecheba Sieć, postukując szpicem sztyletu w stół. Ostrze odskakiwało od blatu, dźwięcznie brzęcząc -...bo chcę wiedzieć... – westchnął ciężko. – Ten mag i przekłety złudzieniec... Od chwili, kiedy dowiedziałem się o tym, niech go Gryeibes i Mune rozerwana strzępy, xameleonie... Same kłopoty! – zacisnął wargi i sapał chwilę wściekły. – Co o tym wiecie?

Naprzeciwko siedział Ob Rydel, *samerantur*, z długimi, wypomadowanymi wąsami. Zawdzięczał swoje stanowisko nie jakimś istotnym talentom, ale pokrewieństwu krwi, urodzeniu w odpowiedniej rodzinie – nie przesadnie zamożnej, ale też i nie za biednej. Jego starsza siostra była jakiś czas przyjaciółką żony władcy, umarła dwa lata temu, ale jakoś nikt nie pamiętał, że należałoby wymienić *samerantura*. Zresztą – powinnościami to stanowisko miało wiele i często wpadało się w oko władcy, a ten miewał humory. Nikt nie połaszczył się widocznie na ten zaszczyt. Tak więc dość łatwo utrzymywał się na tym chwiejnym tylko w miarę stołku; na pewno przy tym Ob Rydel nie był głupcem ani niezdara...

Drugim gościem był tuzinowy Bargden Senny. Równie wysoki – w otoczeniu władcy nie było karłów na wysokich stanowiskach, w ogóle – na żadnych stanowiskach; w ludziach niskich, zdaniem władcy, zbyt łatwo gniew z powodu ich fizycznych przymiotów brał górę nad rozumem i opanowaniem – z długimi bokobrodami, które miał zwyczaj poskubywać w chwili zdenerwowania czy zafrasowania. Tak jak w tej chwili. Odsunął się od stołu i popatrzył na *samerantura* Oba. Tamten wzruszył ramionami i popatrzył z kolei na niego. Bargden Senny odchrząknął i puścił bokobrody.

–Ja bym powiedział, że wymienieni przez ciebie, panie, bogowie zemsty i śmierci, to odpowiednie skierowanie – zaczął dwornie i wyraźnie chcąc sprawić przyjemność gospodarzowi. Po pierwszych słowach zawahał się.

–Nie znam go wcale, mówię o magu, bo o tamtym... – ręka powędrowała do bokobrodów, ale powstrzymał się.

–Widziałem przez mgnienie oka jego domostwo, Sodoso. Gdy przyjechałem po niego, był gotowy do drogi, nie zdziwiło go wezwanie. Czekał na nie. Był w domu, ale głos dochodził ze stajni. Zapakowaliśmy bagaże przygotowane do podróży, bo tak chciał, i nie widziałem powodu, by postąpić inaczej, a potem przywiozłem go tu. Po drodze jadł normalnie, pił, srał i szczał. Jak zwykły człowiek. Wydawało mi się czasami, że słyszy coś, czego ja nie słyszałem, jakby ktoś niewidzialny składał mu meldunek – uniósł brwi i chwilę tak trwał.

–Kiedyś tak właśnie jakby słuchał, potem kiwnął głową... Ale nic więcej nie widziałem – zastrzegł się szybko.

–A ty, panie? – zwrócił się Marecheba Sieć do Oba Rydla.

–Ja?... Ja przywitałem go po przybyciu do twierdzy... Najpierw nie spodobało mu się mieszkanie, przydzielone trzy izby. Wskazał od razu wieżę Jy-Lise, Północno-zachodnią. Tam była tylko jedna izba wolna, zakurzona i z wybitym oknem, ale od razu ją chciał. – Lekko poruszył głową i odruchowo zerknął w dół. – Następnego dnia przyszedłem po niego, siedział i wpatrywał się w czarękę. Potem oderwał się od niej i rozmawiał ze mną... – zmarszczył niewidoczne niemal brwi -...potem buchnął z niej ogień... To wszystko... Sprawia dziwne wrażenie...

–No to ja dodam też coś – powiedział Marenceba.

–Powiadomiłem go, że coś niedobrego stało się z jego domem. Nie zapytał, czy został okradziony, zajęty, splądrowany, tylko powiedział, że splonął?! Rozumiecie?

–Pytającym spojrzeniem obrzucił Oba Rydla, Bargdena i jeszcze raz w tej samej kolejności obu. – Dodał, że się tym nie przejmuje, bo to tylko czar, który ma właśnie ustrzec dom przed złodziejami. Powiedział, że ten dom tam jest, tylko udaje zgliszcza, i czeka na niego. No, dla mnie to jest... – wzruszył ramionami. – Stworzyć złudę pożaru? – pokręcił w podziwieniu głową.

Odłożył sztylet i chwycił ciężki dzban, z którego nalał do kielichów gościom, a potem sobie.

–Skąd wiesz, może to dla magów jak splunąć? – zapytał bez przekonania w głosie tuzinowy.

Marenceba Sieć znowu wzruszył tylko ramionami. Lewy warkoczyk zaczepił się o haft na kołnierzu i odstawał frywolnie.

–Wiem, że od dwu dni nie ma go właściwie w izbie, ale dziwnie jakoś go nie ma – ciągnął, gestem zapraszając gości do skosztowania wina. Skorzystali z zaproszenia, wypili. Jednocześnie otarli usta. – Wychodzi zeń, a potem widzą go ludzie w różnych miejscach jednocześnie: na wieży, na blankach, w piwnicach, w stajni i w bramie...

–Znaczy dobry mag – uśmiechnął się Bargden Senny, jakby ucieszony, że jego opinię o mocy maga potwierdzają i inni.

–Pewnie tak, ale ja muszę wiedzieć, co się tu dzieje. Jutro wraca Trazwalar i może zapytać, co wiem o Sodosie.

–Wychodzi do miasta – mruknął nagle Ob Rydel. – Często. Czasem z chłopakiem, czasem sam. Wszędzie go pełno.

–W nocy też – uzupełnił Marenceba.

–Tak – potwierdził *samerantur*. Wypili.

–Nie było go chyba tylko w skarbcu – powiedział Ob Rydel.

–Chyba? – uniósł jedną brew Bargden Senny. *Samerantur* w duchu przeklinał swój jęzor.

–Na pewno, oczywiście.

Maretcheba Sieć cmoknął, wyciągając spomiędzy zębów strzęp mięsa ze zjedzonego przed przybyciem gości plastra pieczeni z trajenki.

–Skopał zadek chłopakowi, który pod pozorem zmieniania nocnika chciał go podsłuchać; nie wiadomo skąd wiedział, że to robi.

–Pewnie niezgraba – rzucił lekceważąco Bargden Senny.

–Pewnie tak – zgodził się Maretcheba, ale z lekkim powątpiewaniem w głosie.

–Właściwie nie wiem, dlaczego mnie niepokoi ten Sodos – powiedział po chwili. – Sam Trazwalar go kazał sprowadzić. Poza tym, z tego, co mi mówił ów mag, musi on tropić, węszyć, niuchać przez cały czas, musi chwycić aurę tego mimikranta. Nie robi tego, jeśli będzie siedział w swojej izbie. Dlatego tak się kręci.

Pozostali popatrzyli na niego ze zdziwieniem i zgrozą.

–Na Noibosa! To by było... – sapnął Maretcheba. – No, nie wiem... Mam nadzieję, że nie...

–Ale logiczne – upierał się Ob Rydel; – Ponieważ ma węszyć, jak powiedziałaś, to stworzył kilka podobnych do siebie postaci i krąży po twierdzy.

–Przestań! – syknął Maretcheba Sieć i poderwawszy się od stołu, kopnął stółek stojący mu na drodze. Przeszedł się po izbie, ale po dwóch krokach zawrócił. Nie usiadł jednak. – Wiesz, co by to znaczyło?

–Co?

–Że żeby wypłoszyć z kurnika szczura, wpuściliśmy doń lisa! Co! Co! – I widząc, że obaj rozmówcy czekają na dalsze jego słowa, dodał: – Złudzeniec tropi złudzieńca!?

–No... tttak... – szepnął Ob Rydel. Bargden mlasnął i pokiwał głową.

–Tak wygląda. – Nawinał na palec i szarpnął się za włosy przy uchu. – Ale – uśmiechnął się nagle – tylko jeśli masz rację! Jeśli on ma kilka postaci. Bo jeśli tylko jest pracowity, to nie mamy co się zadręczać...

–Właśnie! – ucieszył się Ob Rydel.

–No to co – przydzielimy dodatkowe straże do niego? Bargden powiedział to z taką miną, że musiało do pozostałych dotrzeć, że on sam raczej wyklucza taki pomysł.

–Niby po co? – rzucił Marenceba. – Najpierw sprowadzamy tu maga, żeby wykonał swoją robotę, a potem, kiedy zaczyna działać – rzucamy mu kłody pod nogi?

–Ja proponuję – Ob Rydel postukał paznokciem w puchar – zostawić wszystko jak jest. Tyle, że my będziemy czujni i gotowi. Co szkodzi, że kilku bystrych, ale naprawdę bystrych ludzi nieco baczniej przyglądać się będzie magowi?

–Dziewki – mruknął Bargden. – Co?

–Dziewki – powtórzył tuzinowy. – Wielcy panowie zazwyczaj się ich nie krępują, gadają przy nich i tak dalej. Macie jakąś bystrą? Z dobrym słuchem i pamięcią?

Skierował to pytanie do Oba Rydla, to było oczywiste, że nie on, zwykły dowódca *halemu* konnych, i nie Marenceba, wojak, a właśnie *samerantur*, przebiegły dworak, musi mieć gwardię jakichś ludzi, którzy pomagają mu utrzymać się na powierzchni zdradliwej pałacowej toni, utrzymując przy okazji też samych siebie.

–No... – Ob Rydel postukał znowu w kielich, ale kiedy gospodarz pochylił się z dzbanem, nakrył kielich dłonią i pokręcił głową. – Pewnie coś się znajdzie...

–No to jakoś delikatnie wsadź ją do posług, i niech ona... Wiesz, co mam na myśli... Tylko tak: musi być taka niebojaźna, bo to wiesz – mag, pan, obcy, duchy... No i pewnie ładna jakaś musi być. Zresztą, co ja będę ci podpowiadał!

–Rozumiem – przytaknął *samerantur*, już szukający w głowie odpowiedniej dziewczyny. – Znajdę i poślę tam.

–Poślij, poślij – przytaknął Marenceba. Stał ciągle obok stołu, przygryzając dolną wargę. – I jak tylko czegoś się dowiesz – powiadom nas.

–Natychmiast – obiecał Ob Rydel. Wstał i bez słowa wyszedł z izby.

Wojacy popatrzyli na siebie, Marenceba Sieć usiadł i przysunął dzban. Nalał gościowi i sobie, uniósł kielich i odczekawszy, aż Bargden Senny uniesie swój, duszkiem wypił aromatyczne wino z ubiegłorocznego zbioru. Słodkie, z lekką goryczką kory, pachnące i upajające. Z rodzinnych stron. Dowódca straży nagle zatęsknił do winnic i sadów ojczystej okolicy. Tam zmartwieniem były mokre lata i mroźne zimy, ale ani jedno, ani drugie nie groziło utratą głowy i honoru. A tu...

Omówił nie powiedział tego na głos. Ale powstrzymał się. Długie lata służby w twierdzy-pałacu nauczyły go wielkiej umiejętności w odpowiedniej chwili przytraskiwania sobie samemu jęzora. Z gadatliwych najwięcej pociechy miał

królewski oprawca. W jego rodzinnych stronach mawiało się też: „Sakiewka kata wypchana jest językami ludzkimi”.

## Rozdział 4

–Chcesz... – Ob Rydel zawahał się i rozejrzał po stole -...może jakiś owoc? – zakończył niezgrabnie.

Nigdy wcześniej nie przyszłoby mu do głowy, że nie umie postępować ze służbą – kiedy trzeba było smagał batem, kiedy indziej rzucał monetę, albo – według uznania – przekleństwo, darował kopniaka lub pięścią pod żebro, jeszcze innym razem pokazywał psiarnię i kilka zajadłych wilkokłaczy, skaczących do każdego, kto *zbliżył* się do klatki, rzucających się na wszystko, co w niej lądowało: szmatę, kij, kość, ścierwo...

Teraz jednak siedział przed onieśmielonym Fasehem Zielonym i nie bardzo wiedział, jak zacząć wypytywanie pacholka. Zapytany nawet nie popatrzył na stół, świetnie wiedział, że tacy jak on nie rozkoszują się owocami w komnatach *samerantura*.

–Nie, panie – powiedział cicho.

–Fasehu Zielony – Ob Rydel postanowił przejść do rzeczy, a jak się nie uda – wrzucić chłopaka do wilkokłaczy i przysłać magowi kogoś innego. Poręczniejszego w przesłuchiowaniu. – Opowiadaj, co ostatnio działo się u maga.

–U maga?... – Faseh nie udawał gamonia, po prostu bał się w tej chwili wszystkiego i wszystkich. Wszystko, co docierało do jego uszu, przedzierało się przez pokłady lęku.

–Tak! U maga, na Mune! – *Samerantur* uniósł odrobinę dłoń i już miał plasnąć nią o stół, ale zawisała w powietrzu, by po chwili opaść miękko na drewno blatu. Chłopak stał i wytrzeszczał oczy, irytacja Oba Rydla sięgnęła szczytu. Jeszcze moment i Faseh Zielony pożałuje, że się...

–Rzucił na mnie wczoraj czar... – bąknął chłopak.

–Tak? No? Jak? Jaki?

–To tak... Kazał usiąść na zydlu... Coś podśpiewywał i machał rękami. Odjęło mi władzę w członkach... Nie wiem skąd, ale nagle miał w ręku sznur ze szklanych paciorków, różnokolorowych... Podsunął mi pod nos i zakręcił tak, że widziałem kulę... a ona się zrobiła taka... mleczna... Wielka... W izbie śmierdziało jakąś taką... jakby zimną wodą...

–Zimną?... wodą?...



–... potem podszedł do mnie... – szybko wyrzucił z siebie chłopiec -...i dał mi się jej napić. To było jak wodnisty lód, aż myślałem, że się uduszę... – Faseh Zielony sięgnął do krtani i pogłaskał ją. – A ja skamieniałem... Przez chwilę nic nie widziałem, potem znowu widziałem. Wtedy on... Sodos zaczął mi ginać z oczu. On... on ciągle coś mruzczał, ogień w kagankach przygasł, a mag nagle zniknął! – Chłopak po raz pierwszy odważył się podnieść wzrok na *samerantura*. – Stał przy stole i nagle go tam nie było! Był przy oknie! Zniknął spod okna i wyszedł ze swojej komory... Słyszałem go przez cały czas, ale widziałem tylko chwilami. A potem nagle zniknął i umilkł. A ja siedziałem nieruchomy i nie mogłem poruszyć ani palcem, ani głową... Mag wrócił nagle przez drzwi z korytarza... Musiał przejść jakoś przez ścianę, ale ja tego nie widziałem.

–I co dalej?

–Potem... pote-tem... przyszła ta dziewczucha... – Faseh Zielony z wysiłkiem przełknął ślinę. – I... i... i...

–I co? – ryknął zaintrygowany i nieco zaniepokojony *samerantur*. Nagle uświadomił sobie, że krzyczy, bo się boi. Rozjuszyło go to i... i przeraziło jeszcze bardziej. – Gadaj!

–I ona... Ona uklękła przed magiem, panie... i rozsunęła mu nogi, a potem go... mu... ustami...

–A on?

–On się kiwał... się kiwał i uśmiechał... Ale najgorsze... – zamilkł i chwilę męczył się z przełknięciem śliny. – Jego tam nie było, panie! – wyszeptał.

–Jak to, nie było?

–No bo zniknął! To siedział rozkraczony na zydlu, to nagle widziałem tylko zydel i dziewczuchę z rozdziawionymi ustami, rozczochraną, jak się kiwa i cmoka... Potem mag znowu był...

Ob Rydel wychylił się do chłopaka.

–I co dalej?

–N-nic... Ona skończyła. On ją pogłaskał po głowie, kazał iść do komory.

–A on?

–On podszedł do mnie i klasnął mi przed oczami, o tak! – Faseh Zielony wyciągnął przed siebie dłonie i klasnął głośno – nagle zrobiło się jasno i cicho, i mogłem się

poruszać...

*Samerantur* chwilę myślał.

–Coś jeszcze?

Faseh Zielony pokręcił głową. Milczeli chwilę.

–Miej oczy otwarte szeroko. Raz dziennie masz się zgłaszać do mnie, rozumiesz? Albo i częściej, jeśli zobaczysz coś niezwykłego. Ale żeby cię nie przyłapał na szpiegowaniu, bo obedrę ze skóry, rozumiesz?

–Tak, panie.

–No to zmykaj. I pamiętaj – nagroda i kara są równie bliskie. Widziałeś wilkokłacze naszego władcy?

Faseh Zielony zaczerpnął powietrza, skinął kilka razy głową, i nie odważając się odetchnąć, wyskoczył na korytarz i dopiero tam wypuścił powietrze. Chwilę stał oparty o ścianę, z miękkimi kolanami, dygocącymi, z zimnymi palcami i zębami tłukącymi się o siebie. Potem, gdy tylko poczuł, że może zaufać nogom, ruszył niepewnym krokiem do wieży maga.

„Akurat! Nie twojej kary się boję! – pomyślał. – Mag sięgnie mnie szybciej i niezawodniej. Nic nie poradzą twoje wilkokłacze na Sodosa. On jest... On...”

Zadrżał, przypomniawszy sobie, jak mag, kiedy wysyłał dziewczuchę do kąpieli, nagle popatrzył na niego i pchnął ją w jego kierunku. Miał zimne, wstrętne oczy.

–Chcesz też, Fasehu Zielony?

Przypomniał sobie nieziemską rozkosz, jaką poczuł, gdy dziewczyna uśmiechnęła się i uklękła przed nim. Musiał chwycić się ściany, by nie upaść na posadzkę. W uszach tłukło się echo własnych jęków, spazmu i krzyku na końcu.

A potem przypomniał sobie zakończenie tej zabawy. Siedząc rozparty na zydlu, otworzył oczy i zobaczył, że maga nie ma w izbie, że nie ma w niej dziewczyny, że jest w izbie sam i ma policzki zalane łzami. I że wcale nie ma rozpiętych spodni, obsuniętych do kolan, tylko zaciągnięte wszystkie troczki. I chłodną wilgoć w gaciach. Zimny lekki ból w lędźwiach. Przyjemne nasycenie.

Wstyd.

Wstyd. Dobrze, że nikt tego nie widział. I nikt się o tym nie dowie. Nawet wilkokłacze nie wyrwą mu tego z gardła.

\*\*\*

Sodos Skrępowany położył dłoń na ramieniu chłopca, a ten zwinął się jak uderzony kańczugiem w gołe plecy. Mag chwycił palcem wskazującym i kciukiem za przebiegający przez bark mięsień i ścisnął go mocno. Chłopiec zacisnął zęby i nie wydał z siebie dźwięku, jak oczekiwał tego mag, ale nie zapanował nad mięśniami i przykucnął, aż jego głowa niemal uderzyła o kolana. Dopiero wtedy palce maga wypuściły wrażliwe ścięgno i ból niemal natychmiast ustał.

–Masz patrzeć, owszem, i opowiadać – tak, ale nie wpychać się przede mnie – mruknął mag, wpatrzony w widok przed sobą.

–Już, panie...

Głowa chłopca wysunęła się poza parapet w tym samym wycięciu kamiennego zwieńczenia muru, ale w kąciku, nie przesłaniając magowi widoku.

„A i tak mu nie zasłaniałem – pomyślał Faseh Zielony. – Jest wyższy ode mnie chyba o trzy głowy...” Szybko przetarł zwilżone łzami oczy wierzchami dłoni i pociągnął nosem. Wpatrzył się w szerokiego węża z ludzi, koni, jednogarbnych i dwugarbnych *brelhedów*, olbrzymich słoni... Ciągnęła się ta karawana podobno od horyzontu i, płynąc głównymi ulicami miasta, sięgała już niemal swym czołem bramy serca twierdzy – zamku Trazwalara Wielkiego. Huknęły bębny i ryknęły dziwaczne, skręcone, dwugłose trąby, w które dmuchali parami pyzaci, purpurowi na twarzach, spoceni heroldzi. Trębacze na wozach byli już tak blisko, że widać było nabrzmiące na ich skroniach żyły. Ale też śpiew ich parzystych trąb wprawiał, zdawało się, w drżenie potężne mury cytadeli.

–Trazwalar wraca... – zaczął chłopak i nie dokończył, czując cęgi palców maga na swoim uchu.

Zamarł.

–Dla ciebie to jest Trazwalar Wielki, pojebcu! – syknął mag.

–Tak, panie. Trazwalar Wielki wraca – zaczął szybko chłopak. – Najpierw zawsze jedzie *halem* zwiadowców, z berkutami ułożonymi do polowania, a inne, te złociste do tropienia ludzi. Na tym wozie są klatki, a sześć ptaków zawsze jest albo na ręku... – wyciągnął szyję i chwilę wyteżał wzrok, a potem podniósł głowę i zlustrował niebo -... albo krążą nad karawaną. – Skrzywił się z rozczarowaniem. – Dziś nie fruują, bo to już miasto i twierdza...

–Za dużo ruchomego celu – mruknął Sodos. Chłopiec nie odważył się przytaknąć. Po pamiętnym zdarzeniu z kurewką bał się maga sto razy więcej niż wcześniej, a i mag zaczął traktować go chłodno, nawet oziębło, karał za byle przewinienie, a gdy nie było powodu do kary to albo szczypał boleśnie w policzek, albo ciągnął za włosy, podkręcał ucho... Faseh, przez kilka pierwszych dni szczęśliwy z powodu nowej

służby, teraz zatęsknił do prostych zajęć w kuchni, piwnicach, stajniach. Tam zwyczajnie obrywał ścierką, chwycił na tyłek kopniaka od stajennego, ale to wszystko było znajome i niebolesne. Mag zaś przerażał go, jego pastwienie było dokuczliwe, a niebezpieczeństwo kary wisiało nad chłopcem stale. Jak niebo. Na dodatek te codzienne raporty u Marenceby – ten też niezadowolony, że chłopak niczego nie może odkryć, że nie widzi, że nie wyśledził. Nie doniósł. A Faseh Zielony przecież opowiadał, co wiedział: Sodos zamykał się z kurewką i długo ją ryćkał, aż piszczała albo wyła niskim głosem, czasem – choć był sam w swojej izbie – rozlegały się stamtąd różne głosy, czasem sprzeczały się, choć wszystko w nieznanym Fasehowi języku. Raz rozległ się z izby głuchy łomot, jakby się Sodos z kimś bił, a dwa razy huknęło coś tak mocno, że z solidnych przecież, okutych drzwi sypnęło pyłem. Te opowieści, że śmierdziało niemal cały czas, że mag warzył coś, że kręcił przed oczyma sznurem kryształów – zbywał Marenceba Sieć machnięciem ręki.

–Za ptasznikami i zwiadowcami jedzie ośmiu Gellewarów, to ci z dwoma długimi sztyletami na plecach. Potrafią, walcząc mieczem, podrzucić go i dwoma rękami cisnąć po nożu. No a potem dobijają przeciwnika schwytanym w locie spadającym mieczem – dodał z wyraźną dumą i zawiścią w głosie.

–A ci za sforą wilkokłaczy?

–To Bastianowie – mistrzowie sznurów. Potrafią nimi wszystko – mogą spleść w mgnieniu oka lalkę z liny, albo puchar, albo sieć czy pęta nie do rozerwania, ale najchętniej łapią na arkany i bezgłośnie duszą. Zawsze są w grupach zwiadowczych! I mają podobno takie linki, że jak założą od tyłu i zacisną, to ofiara otwiera usta dopiero jak jej głowa turla się już po ziemi.

–*Stighaya* - machnął ręką mag.

Nie przejął się zbyt mistrzami lin. Podszedł bliżej i przycupnął na parapecie.

–Dalej! – zażądał.

–Za nimi idzie po ćwiartce *halemu* z każdego oddziału armii Trazwalara. Wielkiego! – dodał szybko, żeby uniknąć kary. – Każdy oddział zawsze wysyła swoich najlepszych wojów na wyjazdy Trazwalara Wielkiego – trajkotał możliwie szybko, raz – żeby zadowolić przekłętą magą, dwa – żeby nadażyć z opisem wsuwającego się w olbrzymią bramę węża. – Nawet na polowanie czy na kąpiel w Ptyonie na święto wiosny i Kalocerny. Zawsze. A tam idzie piechota Thankinu, łucznicy z Lemlille, topornicy...

–Poczekaj, ci łucznicy?... Co to za łuki oni niosą?

–A-a... To są takie łuki brzuszne, niewygodne jak nie wiem co, ale biją trzy razy dalej niż zwykłe. Napiera się brzuchem i wtedy one się naciągają, każdy to może, byle

ważył więcej niż ja. A potem się mierzy i strzela... – wzruszył ramionami.

–Aha, a zwykli łucznicy?

–Zaraz przed nimi, tylko ich mało widać, bo zasłaniają kopijnicy. Mój starszy brat pracuje w warsztacie, gdzie robią najlepsze łuki. On też gardzi tymi brzuchołukami – zmarszczył nos.

–Bardzo ważka jego wzgarda, jak się człowiekowi w bebechy wbije nie wiadomo skąd strzała wielka jak dzida – mruknął Sodos. Chwilę przyglądał się łucznikom, pokręcił lekko głową. – A ta karoca...

–Tak, to już karoca naszego władcy... Przyglądali się w milczeniu szerokiemu powozowi przypominającemu z góry kształt łodzi, z czterema masztami – z przodu wyższymi, wyposażonymi w wielkie sztandary, powiewającymi nad całym korpusem. Sterczące z tyłu w niebo maszty były nieco niższe, więc sztandary nie plątały się, ale powiewające z nich chorągwie były równie olbrzymie i – co widać było nawet z tej odległości – z najprzedniejszej steliny, lekkiej jak puch, powiewnej. I droższej od złota. Za te cztery sztandary cała fura księstw, a może i państw mogłaby żyć przez rok. Pod warunkiem, że ich władcy znaleźliby kupca tak bogatego jak Trazwalar, kogoś, kto mógłby kupić od nich te utkane jakby z dmuchawców proporce.

–Czasem on i jego rodzina jadą na dachu – odezwał się Faseh Zielony. – Zmieści się tam z pięć tuzinów ludzi. Kiedyś sprzątałem z sześcioma innymi chłopakami wewnątrz... – przeszedł na rozmarzony szept. Sodos przyjrzał mu się uważnie. Miał zmrużone powieki. – Jakież to piękne...

–Znalazłeś coś, prawda?

Faseh Zielony podskoczył w miejscu.

–D-dwa... dyw-dyw... dwa *sure*, panie... – szepnął.

–Dobrze, coś kupił za nie?

–Dał... dałem siostrze na wia-wia...

–Wiadro? – zakpił mag.

–Wian-no...

Sodos wpatrywał się w chłopaka wężowym wzrokiem.

–Wiesz, że za to przewinienie mogli ci wydziargać oko i odjąć łapę?

**Chłopak skinął głową, nie mogąc wykrztusić słowa. Mag rozejrzał się uważnie dokoła, przy każdej zębatej, prostokątnej sterczynie stało kilku dworaków albo żołnierzy, ale wszyscy mieli wzrok wbity we wspaniały, zapierający dech w piersiach widok na dole. Sodos wysunął przed siebie dłonie, między nimi wisiał, a właściwie już wirował sznur paciorków. Faseh Zielony zachłysnął się powietrzem, zeszywniał z wytrzeszczonymi ze strachu oczami, Mag puścił jeden koniec sznura i wirującą w powietrzu mglistą kulę przysunął do twarzy chłopca.**

**–Zapomnisz o tym – powiedział. – Zaklinam cię na Księgę Pamięci Noibosa! – syknął. – Niech Clarech, strzegąca jej, wydrapie ci oczy i wygryzie jądra, jeśli kiedykolwiek i komukolwiek o tym powiesz.**

**Gdyby ktoś ośmielił się stać obok i przyglądać się czarom Sodos, to i tak nie zauważyłby jak, kiedy i gdzie zniknął sznur szklanych paciorków. Faseh Zielony rozkaszał się tak, że musiał zgiąć się w pół i dobrą chwilę charczeć, póki mag nie plasnął go szeroką, twardą dłonią między łopatki. Kiedy chłopiec wyprostował się, postać maga rozpływała mu się w oczach.**

**Gigantyczny powóz władcy wjechał w bramę. Koła owinięte pasami grubej na dłoń skóry bagiennych byków niemal bezgłośnie wiozły władcę cesarstwa po nierównym bruku stolicy. Stukały tylko, zlewając się w ciągły hurkot, kopyta dwu tuzinów masywnych koni z owłosionymi aż do brzucha nogami i zadami tak wielkimi, że dopiero cztery tarcze piechoty mogłyby osłonić je przed strzałami czy razami. Wszystkie konie miały pyski oplecione skórzanymi, rzadkimi siatkami – więcej było odgryzionych palców w stajniach z tymi potworami z archipelagu Nangoole niż w psiarniach. Kiedy komnata na kołach zniknęła w bramie, Sodos zerknął na resztę kawalkady, zawahał się, ale machnął ręką, choć widok był nader zajmujący. Wskazał kciukiem za siebie:**

**–Wracamy do komnaty.**

**Faseh Zielony szybko pokiwał głową, ominął maga i pierwszy ruszył po szerokim balkonie; mag nie szarpnął go za włosy, nie kopnął, nie skubnął ucha – pewnie był zadowolony z pachołka, tak w każdym razie Faseh myślał, prowadząc Sodos po blankach. Ośmielił się nawet przy pierwszej grupce, gadających o czymś żołnierzy trącić jednego z nich w plecy, domagając się wolnego przejścia. Rozjuszony żołnierz odwrócił się i zamachnął na chłopaka, ale widząc idącego za nim maga, szybko opuścił rękę i ustąpił z drogi z lekkim skłonem głowy.**

**Faseh Zielony nagle poczuł radość i dumę. Oto okazało się, że stał się kimś ważnym, bo poprzedzającym kogoś znaczącego. W głowie zakotłowało się od pomysłów, jak wykorzystać tę sprzyjającą i niespodziewaną okoliczność. Kto będzie wiedział, czy część mocy Sodos nie przeszła na jego pomocnika, czy nie udało mu się podsłuchać jakiegoś zaklęcia przymuszenia? Do zwrotu długu? Do przekazania**

kawałka ciasta czy pieczonego skrzydła pawlicy?...

Życie odsłoniło mu kawałek przyjemniejszej strony służby u maga...

\*\*\*

Korytarz był wąski i niski. Miejsca w nim wystarczało tylko dla jednego, a i to, najlepiej, karła. Miało to swoje również zacne strony, nikt nie mógł zacząć się za żałomem, skoczyć zniecka z niszy, zwalić się z góry. Postać pochylała tylko lekko głowę. Gorące powietrze bijące z pochodni owiewało jej twarz, płyty sadzy co i rusz osiadały na nosie i czole. Co kilkadziesiąt kroków wędrowiec przystawał, nasłuchiwał uważnie, a potem odwracał się z trudem. Wpatrywał się w mrok przed sobą. Po chwili postać mozolnie odwracała się, sypała z sakiewki garścią biały puder.

Przemykający korytarzem mężczyzna co jakiś czas trafiał na własne ślady wcześniejszego tu pobytu, placki rozsypanej już mąki, w których odbiły się podeszwy miękkich butów. Zawsze przystawał i uważnie sprawdzał, czy oprócz jego tropów, podeszwy z umyślnie w tym celu tłoczonych w nieregularną kratę skóry, nie ma tam innych śladów. Raz coś go zastanowiło, przykucnął i długo patrzył w jakby dodatkową rysę na obrzeżu plamy mąki, ale zaraz potem zobaczył, jak jakiś żuk wlecze swe opancerzone ciało w poprzek korytarza. Po chwili namysłu chwycił owada i ustawił na placku mąki. Żuk tkwił chwilę nieruchomy w swoim, bezpiecznym w jego mniemaniu, pancerzu, a potem, uznawszy, że zagrożenie już minęło, ruszył przed siebie. Za jego owalnym tyłem zostawała wyraźna bruzda, identyczna jak ta, która przyciągnęła uwagę zamaskowanej postaci. Ta odetchnęła z lekką ulgą, podniosła się i ruszyła w dalszą drogę. Odliczywszy trzy skręty, przystanąła przy czwartym na dłużej. Tu włożyła pochodnię w tulejkę na ścianie odnogi, a sama cofnęła się w mrok o dobre dwadzieścia kroków, gdzie łagodny łuk korytarza sprawił, że przestała być widoczna na tle lekkiej poświaty. Tu ktoś obdarowany przez naturę kocim wzrokiem zobaczyłby, że postać skuliła się we dwoje, przyklękła na kolano i trzymając dwa długie sztylety z czarnymi ostrzami przed sobą, zamarła. Oczekiwanie na być może czającego się gdzieś za plecami wroga czy tylko tropiciela trwało długo, tak długo, że komuś, kto podążałby tym korytarzem na pewno znudziłoby się wyczekiwanie i ruszyłby przed siebie. Wprost na czyhające na taką okazję sibiridzkie ostrza dwu *kiryag*.

Ale nie było nikogo takiego. Nikt nie pomykał wąskim tunelem, ukrytym w grubych murach cytadeli Gaybony za małą, ostrożną postacią. W końcu nieufna sylwetka podniosła się i wykonała trudny manewr zawracania, lekko zaszurgotała odzież ocierana o nieregularne krawędzie cegieł. Potem nastąpiła cisza. A potem postać pojawiła się w mdłym świetle własnej pochodni. Sprawdziła odnogę wzrokiem i chwilą nasłuchiwania, a później zaczęła odliczać cegły w ścianie przed sobą.

–Trzy w dół – szeptała tak cicho, że sama nie wiedziała, myśl to tylko, czy też szepta,



ale pomagało to jej w wydobywaniu z zakamarków pamięci sekwencji ruchów. – Dwa w lewo, i dwa w dół. – Dłoń nacisnęła odliczoną cegłę. – Cztery w prawo od niej, dwa w dół, dwie obok siebie... ta i ta... – nacisk dłoni. – Sześć w dół, dwie w lewo i jedna opuszczona...

Jeszcze raz postać napała na mur, tym razem w dwu punktach, a fragment muru poruszył się. Ściana zamykająca prosty odcinek korytarza uchyliła się, rozwarła mroczną gardziel niczym leżący na boku leniwy, olbrzymi, syty drapieźnik. Postać ustawiła się bokiem do odsłoniętej odnogi, przywarła do ściany, ale nic się nie poruszyło, tylko falował chwilę płomień pochodni. Zamaskowany przybysz wsunął ją w ciemny korytarz, potem szybko sypnął pyłem w prawą odnogę, którą nie zamierzał iść, i odbił w pyle czubek swego buta, kierując ewentualnego tropiciela w tę stronę, po czym bezgłośnie wniknął w odsłonięty korytarz i napierając ramieniem, zamknął za sobą ścianę.

Tu tajne przejście było znacznie wyższe. Nie było tylu pajęczyn, a i samo powietrze było czystsze, świeższe, nie takie zapyłone, smakujące jak kawałek rozsypującej się ze starości szmaty. Postać przystanęła na chwilę i długo słuchała, węszyła, zastanawiała się. Potem wyjęła spod kaftana na piersi skórzastą płachtę i rozpostarła ją na kolanie, pochyliła pochodnię i długą chwilę wpatrywała się w plątaninę wyrysowanych na gałganie kresek.

Gdy prostowała się, zza rogu wypadła inna postać, z kapturem na głowie i dwuzębnym dzirytem w dłoni, nie zamierzała zachowywać się cicho i skrycie: napastnik z rozpędu usiłował wbić swą broń w brzuch wędrowca, ale ten uskoczył i ustawiając bokiem, uniknął niemal pewnego zatopienia długich zakończonych zębami ostrzy w swoich wnętrzościach. Chlasnął po drzewcu szerokim nożem. Ostrze wymknęło się z ręki i z brzękiem upadło na podłogę. Atakujący w kapturze błyskawicznie uskoczył, unikając cięcia po rękach, ale sam dziryt, nieco dłuższy od używanych powszechnie w oddziałach Trazwalara, został mocno nadcięty, i groziło, że pęknie w każdej chwili. Tym niemniej, nadal w wąskim korytarzu, gdzie nie dało się wykonać innego ruchu jak dźgnięcie czy cięcie z góry, nadal był groźną bronią – dwa groty sięgały niemal od ściany do ściany, nie pozwalając nikomu zbliżyć się do zakapturzonej postaci, a wystarczająco długie drzewce chroniło przed atakiem noża. Obie kryjące swoje oblicza postacie zamarły, zakapturzona jakby zaskoczona i rozeźlona, z mniejszej, zamaskowanej, biło zdecydowanie. Chwilę mierzyli się spojrzeniami spod osłon, a potem niski, odziany w skórę penetrator przykucnął, jednocześnie wyszarpując ze znajdujących się na plecach pochew sztylety z Sibinidzy. Jednym cisnął w napastnika, drugim zamarkował tylko rzut, w ostatniej chwili powstrzymując wypuszczenie czarnego ostrza z ręki. Miało pofrunąć dopiero za chwilę, gdyby pierwsze ominęło cel, albo trafiło na pancerz.

Ale nie trafiło.

Czarna, wąska *kiryaga* wbiła się w gardło zakapturzonej figury, której głowa odskoczyła do tyłu, jakby już zabity chciał jeszcze popatrzeć na niebo, ostatni raz... Spod kaptura bluznęła czerwona krew i rozległ się charkot. Człowiek ostatkiem siły pchnął dzirytem w stronę, swojego zabójcy, ale był to już czczy gest. Mężczyzna runął na plecy, głucho i obrzydliwie trzasnęła kość czaszki, pękając od bezwładnego uderzenia o kamienną podłogę. Zabójca przekręcił dziryt w rękę, zerknąwszy na czyniącą go niemal bezużytecznym sprzętem bliznę po swoim cięciu na drzewcu, ale nie odrzucił go, stał chwilę nieruchomo, znowu wszystkimi zmysłami chłonąc najbliższe otoczenie, potem podniósł swój sieczny nóż i przekroczył martwe ciało, pilnując się, by nie wdepnąć w rozlewającą się wolno kałużę krwi. Doszedł przyczajonym krokiem do załomu, wysunął zęby dzirytu, cofnął, odczekał chwilę i gwałtownym skokiem wypadł gotów do ataku i obrony. Korytarz był pusty. Widać to było w sączącym się z góry przez szereg wąskich szczelin świetle.

Zabójca rozejrzał się, wsłuchał, potem przyjrzał się twarzy napastnika. Pokręcił głową: nie znał tego mężczyzny, z małą blizną na lewym skrzydełku nosa. Przeskoczył przez zabitego i szybko ruszył do przodu, uważnie przypatrując się lewej ścianie, za zakrętem zwolnił, dzieląc uwagę między to, co przed nim i to, co z lewej. W końcu zadowolony skinął głową, przystanął i wsunął ostrze czarnego sztyletu w szczelinę między cegłami. Długą chwilę delikatnie manewrował ostrzem, w końcu naparł na nie, kierując do góry, rozległ się ostry szczęki kawał ściany, na wysokości głowy zapadł się. Teraz zabójca szybko pobiegł do ofiary, zdarł z niej portki, i przesunąwszy martwego, cisnął je w kałużę krwi, a ciało zaczął wlec po kamieniach do otworu. Kiedy dotarł do odsłoniętego szybu, zręcznie, wykazując się znaczną siłą, wcisnął głowę ofiary w otwór, a potem, popychając całe ciało ku górze, spowodował, że zmarły zniknął w otworze. Rozległ się przeciągły, cichnący szurgot, a następnie miękki, tłusty płask.

Zabójca wrócił teraz do miejsca potyczki, nogą długo przesuwając spodniami zabitego po kamieniach, usiłując możliwie dobrze usunąć ślady krwi, potem spodnie powędrowały do tego samego otworu, za nimi dziryt. Teraz mężczyzna czubkiem butów wyskrobał ze styku podłogi i ścian dwie garście pyłu i wróciwszy za zakręt, posypał nim plamy krwi. Nie było to zbyt skuteczne, ale już rozmazana krew nie rzucała się tak w oczy. Uchylony kawał ściany wrócił na swoje miejsce, pochodnia została ugaszona, i niski morderca ruszył dalej korytarzem. Po kilkudziesięciu krokach spostrzegł, że po prawej stronie, wysoko, pod samym sklepieniem, pojawiły się też jasne szczeliny. Węższe nieco jeszcze od tych z lewej, które najwyraźniej jakimiś krętymi kanalikami doprowadzały powietrze z zewnątrz, a przy okazji i nieco przytłumionego światła, musiały prowadzić do izb mieszkalnych, i to w skrzydle zamku zajmowanym przez samego Trazwałara. Ale nie można było do nich zajrzeć z podłogi, nawet najwyższy mężczyzna nie sięgnąłby ręką do tych szczelin.

Postać stała długą chwilę, wpatrując się w jedną ze szczelin, jaśniejszą od innych, jakby miała ujście do oświetlonej komnaty. Potem odsunęła się i przyjrzała ścianie

pod innym kątem. W końcu wyjęła obie *kiryagi*, przyjrzała się ostrzom, i westchnąwszy jakby z żalem, przystawiła jedną klingę w wypełnioną zaprawą szczelinę między cegłami nad swoją głową i uderzyła w główkę rękojeści nasadą dłoni. Wspaniale ostrze niemal bezgłośnie weszło w zaprawę. Potem postać wyjęła trzeci nóż, ten szeroki, i wpasowała go w inną wyszukaną szczelinę. Teraz, stanąwszy na tym szczeblu, chwyciwszy się rękojeści *kiryagi*, podciągnęła się i wbiła drugą *kiryagę* jeszcze wyżej. Podciągnąwszy się, zawisała na jednej ręce, ale szybko wyszukała palcami drugiej ręki bruzdę między cegłami i wpijając się czubkami butów w nierówność muru, wspięła się tak wysoko, że mogła przywrzeć okiem do promieniającej światłem szczeliny.

Zobaczyła fragment najwyraźniej ogromnej izby. Ściany pokrywały gobeliny, właściwie jeden, łączony z kilku tak, by przedstawiona na nim scena nie miała żadnej szczeliny. Przedstawiała barwny wiosenny ogród – wspaniale utkano na nim niemal naturalnej wielkości młode drzewka, obok nich naprawdę naturalnej wielkości, obsypane kwieciami krzewy; nad krzewami i łąką fruwały dwa pawie i kilka pasiastych papug, a po trawie kicały zające i skubały trawę łanie. Na granicy widoczności, z prawej, widniał ogromny czarny róg, tam najwyraźniej stał ogromny nosorożec, z drugiej strony – mężczyzna przesunął się, choć groziło to, że spadnie ze ściany – stała żyrafa z pochyloną głową, sięgając pyskiem do krzewu kłującego głogu ptasiego. Żyrafa, łanie, zające i – najwyraźniej – nosorożec były naturalnej wielkości, co dawało obserwatorowi wyobrażenie o wielkości komnaty i ogromie gobelinu.

W pole widzenia weszła kobieta w długim fartuchu, trzymała w wyciągniętej ręce stos jakichś poskładanych tkanin, przykucnęła przy stoliku przy szerokim łożu i zdjęła kilka wierzchnich, jak się okazało serwetek. Podeszła do niej druga, w chuście na głowie i marszczonej od pasa granatowej sukni. Serwetki przesunęła dalej, pod ścianę.

–Jak nie ma, to gotowa jest urwać głowę – powiedziała cicho do pierwszej. – A jak są... – wzruszyła ramionami.

–No bo pewnie nie potrzebuje – odezwała się pierwsza, biorąc ze stolika identycznie wyglądające inne serwety.

Ułożyła je na stercie i wyprostowała ramiona. Służba zawsze i wszędzie gotowa przerwać najciekawsze i najpilniejsze zajęcia dla plotek.

–Ty się lepiej zamknij! – syknęła pierwsza. – Wiesz, co będzie, jakby się... – pokręciła głową. – Nie potrzebuje! – prychnęła po chwili. – Co ja – nie wiem, kiedy potrzebuje? – zerknęła na stos. – Dlaczego tylko trzy? Gdzie jest czwarta?

–Ja użyłam – przyznała pierwsza. – Mają się zmarnować?

**–No?! Ty się doczekasz – pogroziła jej z uśmiechem druga.**

**–Patrzcie ją – jaka...**

**Nie dokończyła, wsłuchiwała się w odgłosy z korytarza, ale po chwili uspokoiła się.**

**–No, fruważ do pralni! – poleciła, a gdy kobieta znowu dygnęła, biorąc stertę na ręce, zdarła ze szczytu stosu jedną serwetę i machnęła nią: – Już-już!**

**Gdy została sama, rozejrzała się krytycznie, najwyraźniej sprawdzając wszystko w komnacie, potem zadarła spódnicę i gwałtownie sięgnęła między nogi. Nagle, w niewygodnej pozycji, z jedną ręką pod kilkoma warstwami tkanin, wymachując serwetą trzymaną w drugiej, pokicała w lewo i po kilku niezgrabnych susach zniknęła obserwującemu ją mężczyźnie z oczu. Usłyszał jeszcze jak stęknęła cicho, i zafurkotały warstwy strzepniętych tkanin.**

**–A ta też się doigra... – usłyszał jeszcze, a potem niewidoczna kobieta zanuciła, i chwilę słyhać było monotony zaśpiew.**

**Nie pokazała się więcej w szczelinie, szczęknęły rygle drzwi, a potem jakieś ciężkie skrzydła huknęły o futrynę i zapadła cisza. Mężczyzna zsunął się na dół, wyszarpnął najwyżej wbitą *kiryagę*, potem zeskoczył na podłogę i chwilę stał z opuszczonymi rękami, dając im wypocząć, a krwi – możliwość powrotu do normalnego rytmu. Potem wspiął się jeszcze raz, żeby wyjąć drugi sztylet, wyszarpnął nóż i sprawdziwszy, że na oko nie zmieniło się nic w tej ścianie, ruszył przed siebie.**

**Spod maski oczy czujnie penetrowały przestrzeń, ale umysł zajęty był czym innym. Zaprzętała go scena, której uważnym obserwatorem był przed chwilą. Miał poczucie, że widział coś ważnego, ale nie potrafił ubrać przeczucia w słowa, czy chociażby myśl. Ale nie lekcewał tego muśnięcia intuicji, ani go nie usuwał z pamięci.**

**To było ważne. Tylko musiał zrozumieć, co i dlaczego.**

## **Rozdział 5**

**Kiedy wezwany przez Trazwalara mag, w towarzystwie Faseha Zielonego wyszedł z krętego korytarza, zobaczył przed sobą salę o wielkości podwórza przeciętnego zamku i to zamku nie najuboższego kasztelana. Ale nie była to sala tronowa, do której prowadziła go czwórka gwardzistów władcy. To był przedpokój do niej. Przez drzwi, właściwie bramę, mogły wejść jednocześnie dwa słonie, ale gdy stanął przed nimi, a Faseh Zielony odsunął się na bok i z rozczarowaną miną poszedł do zaległej pod ścianą ławy, ich potężne skrzydła otworzyli dwaj tylko służący. Mag ruszył do przodu. Gdy tylko przekroczył próg, poczuł na plecach łagodne pchnięcie powietrza, drzwi już się za nim zamknęły.**

Zaraz za progiem niemal się zatrzymał. Chytry budowniczy, pewien, że każdy, oszołomiony wielkością sali tronowej, będzie szedł zagapiony w jej przestrzeń, zaraz za progiem umieścił jeden, jedyny, mały stopień, na którym wszyscy tracili rytm marszu i godny wygląd. Niektórzy potykali się, upadali, wymachując rękami. Dostarczali prostej ale miłej rozrywki siedzącemu na horyzoncie władcy.

Mag Sodos Skrępowany zręcznie ominął pułapkę i ruszył, by pod ostrzałem kilkuset par oczu pokonać kilkadziesiąt kroków dzielących go od tronu Trazwalara.

Sala była ogromna. Wiedział już, że w Gaybonie, mieście i twierdzy, jej środek zajmuje pałac monarchy, a jego z kolei jądrem jest właśnie ta sala; domyślał się jej kształtu i wielkości, obserwując z wież dach pałacu, jego kształt i wielkość potwierdziły szkice wykonane własnoręcznie i te wyszukane w bibliotece dworu. Poza tym przepytował kogo mógł o salę tronową. Sporo więc wiedział...

Jednakże otwarta przestrzeń okrada budowle z ich wielkości – dokoła ogromne miasto, wysokie wieże, rozległe dachy stajen i kuchni, oko obserwatora przyzwyczajają się do wielkich wymiarów, oczekuje czegoś naprawdę innego, by dopiero odnotowało te inne, te odbiegające od normy gabaryty. Ale wewnątrz!... Kiedy mag zerknął ku górze, zrozumiał, że okna, które widział z zewnątrz i na podstawie których oceniał wielkość sali, zmyliły go kompletnie – znajdowały się na wysokości nieosiągalnej dla żadnego wielkoluda, najwyższego z gwardzistów. Dopiero porządna, dwudziestoszczeblowa drabina pozwoliłaby dotrzeć do tafli tysięcy kryształowych płytek, oszlifowanych, podbarwionych i wprawionych w miedź; tafle z kolei wprawiono w masywne, rzeźbione, drewniane ramy. Strumienie światła tryskające przez nie do wnętrza barwiły się na wszystkie kolory tęczy, nadając i tak wspaniałemu pomieszczeniu dodatkowy czar. Sufit zdobiły ogromne trzy herby dynastii Neire-Lichchine – Linii Królewskiej: zielony, z karminowo cętkowaną łuską wąż oplatający szyję wołu i wpijający się w lewo oko zwierza, Linii Pah-Liva-Dar: krokodyl przeszyty mieczem, wygięty ku górze jak żywa jeszcze i wciąż przerażająca podkowa, i Linii Górskiego Kozła: aktualnie panującej odnogi, właściwie – rdzenia dynastii. Ściany między i pod oknami pokrywały wspaniałe malowidła, z tej odległości wyglądające, jakby były wykonane z niezrównanym mistrzostwem i równie bezgraniczną cierpliwością – pędzelkiem z jednym włoskiem. Przedstawiały wspaniałych wojowników ze wszystkich zapewne prowincji kraju, ze wszystkich formacji, piechotę, konnych, łuczników, kuszników, opiekunów wilkokłaczy, orłów i tropiących zwisłouchych psów ze sfor kolgotargów. Ogromne wierzchowce zdawały się być gotowe do stratowania zgromadzonego pod ich kopytami tłumu, a noże – trzymane przez wielkich Gellewarów, mistrzów ostrzy – gdyby opadły w dół, przepołowiłyby samym swoim ciężarem kilku co najmniej dworaków. Pod malowidłami stały, równie wyraziste, równie mistrzowsko wyczyszczone zbroje i garniery poszczególnych formacji.

Po obu stronach sali, nie przekraczając wyraźnie zaznaczonego na mozaice wzoru,

**złocisto-czarnego zygzaka, stały setki pstrych dworzan. Ta część pomieszczenia była obniżona, każdy zbliżający się do władcy był na widoku wszystkich obecnych, idący miał być widziany przez cały dwór. Zarówno po to, by poczuł się kim lepszym, kiedy stąpał po nagrodę, i by czuł się ostatnim śmieciem, pokazywanym reszcie przed egzekucją czy degradacją. Dworzanie sztywno patrzyli przed siebie, nie odprowadzali go wzrokiem, ale spojrzenia te miały niemal moc drewnianych tyczek podkładanych pod nogi, na pewno niejeden już się na nich potknął. Ale Sodos Skrępowany – nie.**

**Maszerował spokojnie środkiem gęstego szpaleru dworaków w barwnych i kosztownych strojach; jego stopy zdecydowanie uderzały w posadzkę godną świątyni najwyższego bóstwa – piękna mozaika z drobnych kosteczek przedstawiała wijącego się przez całą długość sali, olbrzymiego, długiego na kilkadziesiąt *poolee* węża Uikilli, z pyskiem otwartym i obnażonymi kłami jadowymi.**

**Przerażająca, wielkości wołu głowa gada znajdowała się tuż przed schodami wiodącymi na podwyższenie z tronem Trazwalara. Koniec sali, z tronem władcy, był rozświetlony mocniej niż cała reszta. Okna były tu z obu stron, i były większe, i sam tron znajdował się w plamie blasku, ale tuż przed schodami, przed głową węża, cień na kilka kroków gęstniał, stały tu dwa, niespotykanej w pomieszczeniu wielkości, drzewa *hoichena* w gigantycznych donicach.**

**Tuż przed schodami Sodos wszedł na łeb węża. Dokładał starań, by nie zmienić rytmu kroków, nie okazać lęku przed postawieniem stopy na kłach gada. W tej samej chwili, w kompletnej ciszy, na drzewie załomotały skrzydła, podniósł głowę – z gałęzi na gałąź przeskoczyła olbrzymia, biała papuga. „Na Noibosa! Jeszcze się okaże, że mają tu gniazdo w tych drzewach!? A dlaczego by nie? Dla tego władcy nie ma rzeczy niemożliwych!”**

**Pouczony wcześniej przez Oba Rydla wiedział, że ma stanąć na kłach Uikilli, i tam właśnie czekać rozkazów władcy. Zrobił to, uważnie przyjrząwszy się mozaice, szukając rys oznaczających klapę.**

**Gdy dotarł do pyska węża, uklęknął i przyłożył czoło do posadzki. Trwał tak chwilę z nerwami napiętymi jak postronki, z mięśniami przygotowanymi na wszystko, węsząc, czy spod posadzki nie dotrze doń zapach piwnicy, wody, pustki, wpatrując się w spoiny mozaiki.**

**–Możesz wstać – odezwał się głos z chrapliwym odcieniem, jakby przelatujący nad tarką, która nadawała mu lekką szorstkość, taką ukrytą pod spodem, jak porysowane o nierówne, kamieniste palenisko dno garnka.**

**Mag, nie wstając, podniósł głowę. W oczy wpadł mu wysunięty przed szeregi dworaków, stojący tuż przed schodami, karzeł z wysokim, miękkim nakryciem głowy,**

przypominającym kapelusza grzyba. Liliput z poorly płytami bruzdami zmarszczek płaską twarzą stał nieco z boku i dość lekceważąco machał na maga ręką. Sodos podniósł się i nieznacznie rozejrzał. Przed sobą miał sześć płaskich stopni. Na szczycie tej piramidy stał kuty, czarny ze złotym tron. Kowalscy arcymistrzowie, bo musiało to być dzieło kilkunastu szczodrze obdarowanych przez bogów talentem kowali, spleli z setek, tysięcy, dziesiątków tysięcy nici masywne nogi, siedzisko i oparcie, potem stopniowo rozplatali nici, tworząc ozdobną siatkę nad oparciem i tronem oraz z jego boków. Na gęstą sieć nałożyły się delikatne wzory: nad głową władcy widniała z czarnych i złotych nici kunsztownie spleciona głowa tygrysa, po lewej stronie – stał na tylnych nogach rozjuszony krokodyl. Z prawej strony za tronem ustawił się ktoś w ciemnych szatach, przez co wzór na siatce zlewał się z tłem i był niewidoczny. Tron, masywny i olbrzymi tam, gdzie pełnił funkcję siedziska, potem stawał się delikatny, wzorzysty, jak utkany z delikatnego, cienkiego tworzywa. Niezwykły tron spełniał kilka funkcji: był siedziskiem monarchy, ozdobił salę i oszalał kunsztem wykonawców, i osłaniał władcę i odgradzał go od poddanych.

Na tronie zasiadał wysoki mężczyzna z zaczesanymi za uszy długimi włosami. Miał sępi, mocny i duży nos nad długimi wąsami, których końce opadały poniżej brody. Ciemne oczy patrzyły badawczo, ale czaiła się też w nich kpina. Ręce splótł na piersi, po chwili wpatrywania się w maga jedną z nich wysunął do przodu, a potem zagarnął nią powietrze przed sobą. Miał długie, szczupłe palce.

–Idź! – syknął karzeł.

Mag ruszył, ale jednocześnie wystrzelił w gnoma takim spojrzeniem, że tamten drgnął wystraszony, ale zanim ktokolwiek zdążył mrugnąć okiem, przesadnie głośno, żeby zamaskować okazany lęk, pisnął, i kołysząc się na krzywych nogach, runął do ucieczki, za szpaler nieruchomych dworaków, mężczyzn, co do jednego uzbrojonych.

Sodos Skrępowany wolno wspinał się po schodach, starając się nie zgubić rytmu, dwa kroki, stopień, dwa kroki. Nie było to łatwe: albo budowniczy zakpił tu z dworaków, stawiając stopnie nieregularnej długości, by musieli cały czas czuwać nad swoimi krokami, albo działała tu jakaś moc, zakłócająca zmysły wstępujących pod tron. Jakby ktoś chciał powiedzieć: „Widzisz sam – droga tu nie jest łatwa!”. Po czterech stopniach okazało się, że piąty i szósty tworzy krata, wyraźnie wytwór tych samych mistrzów, którzy spleli tron: piąty stopień, krata przedstawiająca polowanie na wielkie koty z olbrzymimi grzywami i gęstym futrem na nogach; kolejny stopień, szósty, przedstawiał założyciela państwa Brachwalen, pierwszego jego króla, Uzgha Przyjaciela Bogów, i jego rodzinę, następców, dwór, sług i tak dalej. Niekończący się szpaler wykutych w metalu postaci biegł w obie strony, zapewne obiegał tron. Wchodzący na stopnie musieli tak stawiać stopy, by nie deptać po postaciach legendarnych władców.

**Ciekawe, co tam jest po spodem?– pomyślał mag. Przystanął. Złożył głęboki ukłon.**

**–Nie podejdziesz bliżej? – zapytał po chwili Trazwalar.**

**–Jeśli pragniesz mego życia, panie? Tak, podejdem. Jeśli mam ci jeszcze posłużyć, zatrzymam się tu.**

**–Obawiasz się pułapki? Magia ci nie pomoże? – zakpił Trazwalar.**

**–Magia może być pokonana siłą zewnętrzną, potężną. A ty, panie, taką masz.**

**–Hm... Miło się słucha, miło. Nie powiem. Podejdz, nie obawiaj się.**

**Sodos wszedł na kratę, zrobił krok. Trazwalar opuścił ręce i ułożył je na podłokietnikach. W tej samej chwili z hukiem otworzył się fragment kraty po lewej stronie maga i dwa fragmenty po prawej. Wszystkie zapadliska były nieregularne, przebiegały w połowie rysunków. Nie sposób było odgadnąć jak przebiegają. I na pewno nie były to jedyne ruchome kraty. „Pewnie całe te dwa stopnie są ruchome – pomyślał mag. – Można uruchomić dowolny odcinek. Na przykład ustawić tu swoich wiernych poddanych i potem wybiórczo zwalić część z nich do klatki z wilkokłaczami czy dusicielami, albo zwyczajnie do lochu”.**

**Trazwalar siedział nieruchomy, na wargach błąkał się lekki uśmieszek.**

**–Wyjaśnij mi, co powiedziałaś o magii?**

**–Panie – Sodos przyłożył rękę do serca i pochylił głowę. – Jeśli mam dla ciebie wykonać cokolwiek, to nie każ mi odsłaniać wszystkich swoich sekretów przed wszystkimi z twoich dworzan. To utrudni moje zadanie.**

**–Zaraz, mam rozumieć, że twoja magia jest tak słaba? Władca zmarszczył czoło, nachmurzył się, poruszył palcami. Mag nie odrywał spojrzenia od monarchy, ale wydawało mu się, że za plecami króla, na twarzach najbliższych zaufanych, pojawiły się uśmieszki.**

**–Magia moja i – zapewniam cię, panie – każdego innego maga, ma swoje ograniczenia i swoją moc. Jeśli ześlę głuchotę na tłum twoich dworzan, królu... – z przyjemnością zobaczył jak pierwszy szereg zafalował, jak zniknęły uśmiechy, jak kilku totumfackich przestąpiło z nogi na nogę -...jeśli roztrwonię jej część na to, co można załatwić skinieniem małego palca twej ręki, to być może zabraknie mi jej już za chwilę, kiedy będzie naprawdę potrzebna. To jest jak z przypowieści o Zeresie Leniwym: gdy zawędrował do lasu; porozsyłał wszystkich swoich służących, by mu szybko przynieśli wody ze strumyka, nazbierali trawy na posłanie, upolowali coś na kolację. Wytropili gniazdo pszczoł i podebrali dlań świeży, wonny miód, nazbierali orzechów i drewna. A gdy słudzy rozbiegli się wykonywać polecenie, z lasu wyszli**



**trzej cherlawi zbójcy, i choć byli cherlawi, to było ich trzech. I zabili Zeresa Leniwego...**

**–Ach, co za pouczająca historyjka! – plasnął w dłonie Trazwalar, nie kryjąc kpiny w głosie.**

**Sodos zacisnął szczęki, pierwsze chwile rozmowy z królem nie przebiegały po jego myśli. Trazwalar nie dał mu jednak możliwości naprawienia błędu, postukał w podłokietnik, zastanawiając się nad czymś, po czym wstał i skinął na maga.**

**–Podejdź, Sodosie Skrępowany... Dlaczego Skrępowany?**

**–W dzieciństwie brat mnie związał, bym nie szedł za nim nad rzekę na raki... Omal się nie udusiłem, panie...**

**–A! No tak – skwitował Trazwalar. – Chodźmy, ja ci coś pokażę, ty mi na coś odpowiesz...**

**Poszedł pierwszy po kratkach, nie zwracając uwagi na przybocznych ani na karła, który wybiegł z szeregu dworaków i chyżo wdrapywał się po stopniach. Mag kroczył za nim, starając się trafiać w te same fragmenty kratownicy. Złośliwość i przebiegłość władców była mu dobrze znana. Obeszli tron, władca przystanął i wskazał kratownicę-bramę za tronem, za skrzydłami sztandarów.**

**Sodos zerknął i zatrzymał się raptownie. Tu, znowu dobitnie zaświadczać o kunszcie twórców, po mistrzowsku wykute i wryte w metalowych płytach sceny przedstawiały zabawy władców z dziewczynami, dworkami, matronami, paziami, trajenkami, pawiami i jeszcze kilkoma stworzeniami, których nazw mag nie znał. Odchrząknął i zerknął na Trazwalara.**

**–Musiały te ich kobiety być strasznie szpetne – powiedział. – Żadnej, co prawda, nie widzę od przodu, ale chyba się nie rzucali na kozy, gdyby nie musieli?**

**–Tak samo sędzę – skinął głową monarcha. – Ale krata, jak nam się wydaje, powstała na dworze Brefiny, pretendenci do tronu, kilka wieków temu. Sędzę, że kiedy udało jej się na tronie zasiąść, choć wygniała go krótko, niecałe dwa lata, to zemściła się na naszej linii, każąc wykuć tę kratę, a może tylko niektóre jej fragmenty? A nam, w rodzie Dyetouchine to się podoba – z ukosa zerknął na maga, znowu charakterystycznym gestem zagarnął powietrze w swoją stronę.**

**–Idźmy dalej.**

**Spod ściany, z szeregu gwardzistów wystąpiła czwórka wysokich, potężnie zbudowanych mężczyzn. Szaty nie maskowały skórzanych, lakierowanych pancerzy, krótkie poły zdobionych kaftanów pozwalały na błyskawiczne wyciągnięcie szabel.**

Mag zerknął na nich, otwarcie oszacował wzrokiem. Trazwalar zachichotał.

–Podobają ci się? Jak ich oceniasz?

–Za wielcy, by mogli być tacy jak lubię, czyli zręczni i zwinni. Ale rozumiem, że tu, w twierdzy, mają nieco inne zadania do spełnienia, jak chociażby zasłanianie własnym ciałem swego pana – skłonił głowę przed władcą.

–Hm? – Trazwalar uniósł rękę i pomachał palcami. – Kerel? – syknął.

Karzeł przycwalał, sapiąc i kołysząc się na boki.

–Twardą *kiwaną*, szybko!

Karzeł rzucił się za szereg gwardzistów, a Trazwalar wskazał ich i powiedział:

–Wybierz któregoś.

Mag wskazał drugiego od lewej. Władca skinął na niego, a ten zbliżył się i przyklęknął na jedno kolano. Trazwalar odebrał z jego rąk szeroki *pugtusk* – rozszerzającą się ku końcowi szablę z dziwacznie wygryzionym szpicem i podał Sodosowi. Broń była ciężka, za ciężka, jak na jego gust, ale ostra niczym krawędź odłupanego kryształu. Pojawił się karzeł z dwoma służącymi niosącymi tacę ze stertą ogromnych, owalnych *kiwan*. Trazwalar rzucił jedną gwardziście.

–Ty trzymaj ją w wyciągniętych rękach, a ty, magu skrępowany, przetnij ją jednym cięciem, jeśli dasz radę.

Sodos skłonił się i podszedł do żołnierza. Ustawił się w odpowiedniej odległości, przymierzył tak, by *pugtusk* uderzył w owoc częścią ciężką, najszerszym odcinkiem klingi. Potem odwrócił broń i postukał w *kiwaną* płazem, odgłos świadczył o twardej skorupie. Mag rzucił władcy pytające spojrzenie. Ten pokiwał głową.

Rozległ się świst ciętego *pugtuskim* powietrza i klinga...

... ugrzęzła między złączonymi dłońmi gwardzisty! Mgnienie oka przed przecięciem owocu puścił go i klasnął. Szerokie ostrze znieruchomiało w jego dłoniach, jakby trafiło w jakiś gęsty, płynny kamień! Na twarzy nie widać było wysiłku, oczy obojętnie, spokojnie patrzyły ponad głowami władcy i maga. Na pewno ponad głową Kerela. Upuszczony owoc *kiwany* uderzył z głuchym łomotem o podłogę, pękł z zadowolonym trzaskiem. Obie połowy potoczyły się po podłodze, rozlewając aromatyczny sok ze swego niemal płynnego wnętrza, w końcu pokiwały się i zamarły.

–Uff! – odetchnął zaskoczony mag. – To jest coś... coś... co zapamiętam do końca życia...

Puścił *pugtusk*, a wtedy żołnierz niewiarygodnym, do perfekcji wyćwiczonym ruchem skręcił złączone dłonie. Broń ustawiła się szpicem w kierunku pochwy i ze zgrzytem się do niej wsunęła. Sodos klasnął trzy razy w ręce i pokręcił głową.

–Nie widziałem nigdy wcześniej niczego podobnego – przyznał. – Choć może i niezbyt pilnie, ale jednak przyglądałem się zawsze umiejętnościom wojowników – przejechał wzrokiem po szeregu. – Wszyscy są tak zręczni?

–Każdy z nich. Możesz wypróbować dowolnego.

–Nie, dziękuję, panie. Wierzę, wybrałem już jednego – uśmiechnął się. – Sam bym siebie ośmieszył.

Trazwalar pokiwał głową, potem ruszył w kierunku ściany, przywołując maga ręką. Gdy do malowidła, przedstawiającego siedzącego na skalnej turni orła, zostały dwa kroki, ściana cofnęła się na zawiasach, odsłaniając oświetlony kagankami korytarz. Stali tam dwaj gwardziści, którzy odwrócili się na palcach stóp i bezszelestnie stąpając, poszli przodem. Za Trazwalarem ruszyli dwaj inni wojownicy ochrony, za nimi ruszył Sodos Skrępowany.

Szli krótko. Raz skręcili i od razu znaleźli się komnacie odpowiadającej wielkością przedpokojowi, gdzie pozostał Faseh Zielony. Nie było tu żadnych drzwi, nawet progu, jakby budowniczowie podkreślali, że nikt niepowołany wejść tu nie może. Była to osobista zbrojownia władcy. W pochwach na ścianach wisiało kilkaset sztuk broni siecznej – broń długa, miecze, *pugtuski*, szable, *sreheny*, *karłty*, różnej wielkości, z różnymi rękojeściami. Część z nich zdradzała użycie, te były prostsze i wiało od nich mocą, inne były zabawkami, które miały rzucić na kolana swym kształtem czy bogactwem. Do wykonania niektórych użyto niezwykłych materiałów, czasem całkowicie wykluczających użycie „broni”, tak jak w przypadku wielkiego, wiszącego na ścianie *srehena* z głównią z mleczno-granatowego szkła, pokrytego cienkimi, jasnymi rytami – sceną polowania na jelenie ozdobione, nie wiadomo przez naturę, czy wyobraźnię snycerza, niezwykłymi, skierowanymi do przodu, wielkimi porożami. Pod i nad bronią długą przywarła do ściany krótsza – sztylety, *dagi*, *kiryagi*, *snetle*, *ugrisy*, noże do miotania i setki jeszcze innych. I dzidy, włócznie, oszczepy, łuki, proce... Ale czuło się, że władca szanuje tylko walkę oko w oko, nos w nos, klinga w klingę. Te drobniejsze narzędzia śmierci były tu tylko po to, żeby ogłuszyć i oszołomić liczebnością, najważniejsza jednak była broń sieczna.

Na środku komnaty stały ustawione w koło zbroje, może dwa tuziny najpiękniejszych pancerzy, jakie mag widział. Od wejścia patrząc stały łuskowe, w kilku odmianach barwienia: mieniające się jak boki pięknego okonia albo wręcz przeciwnie, maskujące – zielonkawo-bure, brązowawe i inne: jasne, niemal białe albo matowe i granatowe, prawie czarne, na pewno dostosowujące się swą barwą do otoczenia i światła, czyniące właściciela niemal niewidzialnym. Łucznikowi, na

przykład, na pewno musiały zlewać się z tłem, w lesie, na łące, na śniegu czy w nocy... Od innych, smoliście czarnych płyt, wiało grozą, sprawiały wrażenie, że za chwilę same ruszą do boju. Niektóre miały krechy cięć, które dosięgły Trazwalara.

W pewnej chwili zobaczył, że namalowane, jak sądził, na maskach wypełniających zbroje oczy poruszyły się. Mag ze zdziwieniem zrozumiał, że zbroje wypełniały nie maski i kukły tylko żywi, skamieniali ludzie. „Niezlą służba – pomyślał. – Stać tu całymi dniami, czekając na przyście Trazwalara, na to, że nabierze ochoty popatrzeć na swoje ulubione zbroje”.

–Ta, na przykład – wskazał władca ręką zbroję z wielkich łusek, mieniających się jak łuska ogromnego, nocnego węża czernią, granatem i karminem – jest z trzech rodzajów metalu Nie do przebicia ręką człowieka. A chciałbym, byś pokazał mi swą moc maga i przebił ją jednak.

–Panie, czy możemy rozmawiać tu zupełnie otwarcie? Nie podsłucha nas nikt?

Trazwalar Wielki przekrzywił głowę i chwilę przypatrywał się magowi. Potem pokazał coś za jego plecami. Za najbliższą zbroją widniał kolisty podest i to pokazywał monarcha Sodosowi. Podeszli tam.

Korony. Wspaniałe, bogate, bezcenne, ciężkie, mieniające się pasmami drogich metali. Misternie wykute, splecione, z pasm srebra i złota, zdobione rytami, wypukłymi i wklęsłymi ornamentami. Do tego niezliczone ilości drogich kamieni. W niektóre wpasowano niewyobrażalnie rzadkie i bezcenne okazy. Jak chociażby sterczący z jednej Zęb Diabła, wielkości kciuka czarny kryształ z Gór Wense, czy w innej – dwa pięknie wybarwione na błękitno, a opalizujące ciemnym seledynem kamienie z podwodnych jaskiń w paśmie przed ziejącymi ogniem Górami Piecowymi. Ale Trazwalar nie zwracał na nie uwagi. Obszedł dokoła podest i wskazał inną koronę, chyba największą, najwyższą. I najbardziej przerażającą.

Na jej szczycie widniała głowa kobiety, z kroplami krwi na wykrzywionej męką twarzy. Włosy miała niedbale i bardzo nierówno obcięte, z łatwością można było się domyślić, że uczynił to kat, tuż przed ścięciem jej głowy. Kobieta była piękna: pod wygiętymi jak bojowe łuki brwiami, promieniowały cierpieniem, wyraziste, ciemne oczy; wpijała ich spojrzenie w każdego przechodzącego przed jej twarzą – mag nie odważył się wejść w tę „przestrzeń. Prosty, szlachetnie wyrzeźbiony nos, pulchne wargi rozciągnięte w spazmie męki i goryczy. Głowa otoczona była wieńcem z odciętych dłoni, od czoła patrząc zęby korony tworzyły małe, dziecinne dłonie, wyprężone w bezgłośnym skowycie, boki tworzyły dłonie kobiece, wąskie, szczupłe, kształtne. Tył, za głową nieszczęsnej, zajmowały dwie olbrzymie, męskie dłonie, mocne, twarde, pewne.

Trazwalar bez cienia trwogi stanął przed nią, pochylił się i pogłaskał kobietę po

policzku.

–To jest korona, którą nakładam, gdy zasiadam jako sędzia. Mało kto nie zaczyna się jąkać na jej widok. To, oczywiście, rzeźba, nie prawdziwe członki, choć za modele posłużyły dziadkowi prawdziwe, żyjące osoby. Ta tu – wskazał głowę kobiety – to jego zdradziecka *manrelkina*, a te dłonie to jej, jej dwojga dzieci i niewiernego dowódcy jednego z pałacowych *halemów*. Bardzo mi ona ułatwia życie, choć nie jest ani wygodna, ani lekka... – uśmiechnął się król.

–Ale pocieszam się tym, że innym było jeszcze gorzej. Mój dziadek nosił koronę z prawdziwą głową i członkami. Podobno cuchnęła tak, że sądzeni przyznawali się do wszystkiego, byle tylko zejść jej z wyphywających, zapleśniałych oczu. Dziadek używał jej tak długo, aż nie odpadły mu dwie przegniłe dłonie. Wtedy z żalem wielkim kazał wykonać te rzeźby. Są znacznie lżejsze, ale wrażenie jest chyba równie dojmujące. W każdym razie często po prostu pytam zaperzonego *mataniona*, który spiera się ze swoim sąsiadem o kilka łąk czy tuzin poddanych, czy nie zechciałby pozować – snycerzowi. Nie masz pojęcia, jak to otrzeźwia ludzi...

–Panie, może cię to zezłości – odezwał się cicho Sodos Skrępowany, gdy Trazwalar umilkł i pozornie pogrążył się w szacowaniu swoich skarbów – ale muszę ci wyjaśnić trochę spraw związanych z magią. Potocznie uważa się, że mag może wszystko: rozmiłować w kimś kobietę, zważyć z przestworzy smoka, pokonać całą armię jednym kiwnięciem palca, wstrzymać bieg rzeki, zamrozić płomień i podpalić śnieg, zamienić lato z zimą i na piorunie usmażyć płótkę... Taka wiara w moce bardzo pomaga, bo często w ogóle nie trzeba nic robić. To trochę jak z twoją, panie, koroną – odważył się wskazać palcem przerażające nakrycie głowy.

–Prawda zaś jest taka, że nie ma magów, którzy mogą to wszystko i kiedy tylko chcą. Magii jest na tym świecie bardzo mało, żeby czegoś dokonać, jakiejś rzeczy niezwyklej, trzeba ją dopiero, okrucz po okruczu, zgromadzić. A wykorzystawszy, zacząć gromadzenie od początku. Mój mistrz mawiał: „magia to podkradanie części mocy Bogom, tylko głupiec będzie z tego korzystał pochopnie i bez umiaru. Tylko głupiec będzie szastał tym, co zdobył z wielkim trudem i ryzykując głową i męczarniami po śmierci. Bo nie znam bogacza, który pogodzi się z tym, że ktoś bezustannie podbiera mu z jego skarbnicy.”

–Muszę zatem znaleźć jeszcze kilku magów i na przemian korzystać z ich usług – ni to stwierdził, ni to zapytał władca.

–Nie, panie. Wybacz, ale nic to nie da. Magia jest odmierzona. Jeśli ktoś jeden ją ściągnie, to nie dostaną jej inni. A jeśli zaczną sobie wydzierać te dostępne okruczy, to żaden niczego nie dokona.

–A nie przeszkadza ci, że w tej samej chwili gdzieś jakiś inny mag też gromadzi te

okruchy magii?

–Nie, panie.

–Tak? A dlaczego?

Trazwalar odłożył koronę i wziął się pod boki.

–Jest nas czterech – właściwie trzech, bo czwarty to dopiero adept – prawdziwych magów, i zawsze wiemy, kiedy i który czego potrzebuje. Zwyczajnie – nie przeszkadzamy sobie. A ja, ponieważ, nie chwaląc się, wiedziałem od pewnego czasu, że będę tu wezwany, zagarnąłem tyle mocy, ile mi trzeba, nie łaknę na razie więcej...

–Tak, powiedzieli mi, że byłeś gotów do drogi na dwór – mruknął Trazwalar Wielki. Rozważał coś chwilę. – Czy nie pomogłoby ci, gdybym wymienił całą służbę?

–Masz na myśli, że xameleon może się kręcić gdzieś w pobliżu twojej osoby?

–A nie?

–Raczej nie sądzę, by był gdzieś w bezpośredniej bliskości... – mag wyraźnie nie dokończył myśli.

–Bo już by uderzył? – niedbale uzupełnił Trazwalar. Sodos pochylił głowę, nie odpowiedział.

–No to nie wymieniać służby?

–A wymienisz, panie, rodzinę? Trazwalar przytaknął:

–To też przyszło mi do głowy. Ale myślałem, że dokładnie sprawdzisz jakąś grupę ludzi, wskazaną przeze mnie, a cała reszta zostanie wymieniona.

–I zostaniemy zamknięci w szczelnej twierdzy, jak węże w słoju? A ja zostanę z tą grupą i będę ją po kolei sprawdzał? – Trazwalar skinął lekko głową.

–Panie, wybacz, ale nie dam rady sprawdzić takiej ilości ludzi w ciągu nawet dziesięciu dni, a jeśli to potrwa dłużej niż kilka *semii*, to przestaje mieć sens, bo zawsze ktoś się przemknie. Wystarczy, że złudzieniec przeniknie do grona wartowników, a potem do tej grupy już sprawdzonej. To tak, jak byśmy z wielkim trudem odszukali w stajni jednego ogiera złykowego, odstawili go, a potem wpuścili do niego goniące się kłacze, żeby napłodził dychawicznych źrebiąt...

–Rozumiem... No dobrze, ale przerwałem ci o mocy?...

**–To już wszystko, panie. Jeśli mam wykonać zadanie, wykryć xameleona, nie dopuścić do jego czynnego działania, muszę mieć tę swoją moc w zapasie, stale i ciągle. Jeśli zacznę popisywać się sztuczkami, sypać kolorowym deszczem, zmieniać miecze w żmije, kazać stołom tańczyć... to w potrzebie będę bezradny. Mogę machać mieczem, ale udowodniłeś mi, panie, że nie ma lepszych wojowników niż twoi.**

**Trazwalar, zerknął w końcu na maga, był zadowolony z jego oceny swoich gwardzistów.**

**–Hm... Szkoda. Chętnie bym zobaczył coś przekonującego, co...**

**–Panie? Jeśli mogę ci przerwać i zaproponować coś takiego – żebyś nie zastanawiał się, czy jestem magiem, czy mam moc, powiem ci, co udało mi się wyjaśnić w czasie mego tu pobytu, w ciągu tych ośmiu dni?**

**–Tak? No!?**

**–W sekretnym lochu masz, panie, uwięzionego przyjaciela i towarzysza tego złudzieńca.**

**Trazwalar błyskawicznie odwrócił się i jednym skokiem dopadł maga.**

**–Kto ci powiedział?!**

**–Nikt, panie. Nikt nie, ośmielił się zdradzić, a ja ani nie wypytywałem, ani nie przymuszałem. Po prostu, wiedząc, że ciebie tu nie ma, więc nie mam kogo chronić, odmierzyłem małą częśćkę *lairne*, tak nazywamy sypaną nam skąpo przez Noibosa moc, na zdobycie jakichś danych dodatkowych, które pozwolą mi wykonać zadanie. Najpierw szukałem tego mimikranta, nie odnalazłem go. Albo go nie ma w tej chwili w pałacu, albo ukrył się lepiej niż przypuszczałem. Może był z tobą w podróży...**

**–To nie jest moż... – monarcha urwał i zaczął się zastanawiać, potem potarł dłonie o siebie. – No i czego się dowiedziałeś?**

**–Masz tajny loch, wie o nim kilku najwierniejszych ludzi. Ja wiem o dwóch, poza tobą, panie. – Mag skłonił głowę. – Tam więziony jest ów człowiek. CATERON, jeśli dobrze odczytałem jego imię.**

**–Niezupełnie, Cadron – poprawił go król. – Trafisz tam sam? Otworzysz wszystkie drzwi i zamki?**

**–Gdyby cię, panie, nie było jeszcze tydzień, może bym i do tego doszedł, ale teraz – uważam – przede wszystkim muszę mieć baczenie na twoje najbliższe otoczenie. I jeśli w otoku, jaki stworzyłem dokoła ciebie, pojawi się xameleon, będę o tym wiedział. Gorzej, że on pewnie też, choć może siła mojej mocy pokona jego**

właściwości.

–Tak... tak...

Trazwalar Wielki pochylił głowę i długą chwilę stuknął czubkiem buta w wystającą krawędź płyty. Potem delikatnie pomasaował ucho. Rzucił magowi bystre spojrzenie.

–Wieczorem wydaję ucztę. Z okazji wyzdrowienia mojej matki. Będziesz siedział przy mnie. – Uśmiechnął się nagle szeroko. – Nie będziemy marnowali twojej cennej *lairne* na czuwanie na odległość.

Sodos Skrępowany przełknął wyraźną kpinę, skłonił głowę na znak podporządkowania. Trazwalar nagle stracił zainteresowanie rozmową. Odwrócił się na pięcie, i rzuciwszy w powietrze:

–Odprowadźcie czcigodnego Sadasa do jego komnaty! – ruszył do drzwi.

Mag został sam, niemal sam, jeśli uwzględnić ludzi stojących w zbrojach. Po chwili u jego boku bezgłośnie pojawił się sługa w zielonym turbanie, skłonił się i wskazał drzwi, których jeszcze chwilę temu w ścianie nie było.

Ruszył pierwszy, mag wyszedł, nie poświęciwszy skarbnicy już ani jednego spojrzenia. Ostatnią myślą, jaką pożegnał koronny skarbiec, było pytanie, czy monarcha zapomniał jak ma na imię mag, czy może umyślnie je przekreślił. A jeśli umyślnie, to jakiej reakcji Sodososa oczekiwał.

\*\*\*

Po wizycie u władcy mag przesiedział głęboko zadumany w fotelu pod oknem długą *semię*. Przypominał sobie każdy szczegół rozmowy z władcą, którego porywczność i uleganie złym humorom były szeroko znane. Zastanawiał się, czy wypadł dobrze, czy może liczyć na sukces na dworze, sławę i bogactwo, czy raczej na wizytę u nader sprawnego i dobrze wyszkolonego kata.

W końcu, nie doszedłszy do żadnych konkretnych wniosków, wstał i przywołał drzemiącego niespokojnie w swojej komórce Faseha Zielonego. Przebrał się w długą, czarną *zurbakhę* z szerokimi rękawami. Na głowę nałożył płaski, cienki, czarny turban z broszą, wykutym w srebrze pajakiem wystawiającym do uderzenia swoje zęby jadowe.

Wyszedł na korytarz, gdzie czekała już eskorta. Poprzedzany przed parę służących w zielonych turbanach powędrował na ucztę. Po drodze wypytał przewodników. Sala uczt znajdowała się dokładnie pod salą tronową, równie wielką jak i ona, choć kiedy Trazwalar miał ochotę na ucztowanie w mniejszym gronie, obwieszano ją ciężkimi tkaninami, tworząc odpowiedniej wielkości pomieszczenie. Dzisiaj sala nie była



pomniejszana. Dworacy mieli radować się z powodu poprawiającego się stanu zdrowia i lepszego samopoczucia Janse Pszennej, ukochanej matki Trazwalara.

Stoły ustawiono w podkowę, na szczycie wygiętego w łuk stołu. Nie mając nikogo naprzeciwko siebie, miał zasiąść Trazwalar Wielki i jego najbliżsi i najbardziej zaufani, zaprzyjaźnieni, najwierniejsi. Potem, na prawo od monarchy i w lewo od niego, już po obu stronach stołu, siedzieli podwładni w odpowiedniej, zapewne, kolejności. Im bliżej, tym wyżej stojący w hierarchii dworu, im dalej, tym dłuższą mając drogę do serca króla.

Ci nieznacznici i nieznaczący, lekceważeni, ale zawsze obecni na wszystkich ucztach świata, będący elementami systemu łagodnego nagradzania i bezbolesnego karania, odsuwani i awansowani: zasiadający na końcach stołów, już siedzieli i już – między ramionami podkowy – akrobaci i żonglerzy zabawiali tych najwcześniej przybyłych. Nie starali się zbyt, ot – kilka sztyletów w powietrzu, ot – dwie dziewczynki na rękach mocarnego atlety. Cztery kobiety wyginające się w łuki na podłodze, ze stopami kiwającymi się nad głowami, dwaj młodzieńcy utrzymujący nad głowami płaskie, wirujące na wtkach talerze...

Sodos został zaprowadzony wzdłuż lewego ramienia stołu do jego szczytu i gdy zielony turban wskazał mu miejsce pod ścianą, gdzie mieli poczekać na Wejście władcy, ryknęły dwa tuziny zdwojonych trąb, *ghuronów*. Trębacze stali, czego nie zauważył mag, pod ścianami przy wejściu, a może dopiero po jego wejściu przesączyli się bezszelestnie do sali, nie wiedział tego. Trudno było nazwać to jakąś uporządkowaną melodią – wyglądało raczej, że każda para trębaczy starała się wydobyć ze swego instrumentu możliwie donośny i przeraźliwy dźwięk – i ten dmuchający, najczęściej z okropnie wytrzeszczonymi oczyma i baniami rozdętych policzków, i ten na wylocie *ghuronu*, do którego w zasadzie należało wydobywanie przy pomocy kilku zapadek melodii z ogromnej trąby.

Od ryku instrumentów zakolysało się wino w wysokich, kryształowych butlach. Któraś z dam siedzących blisko końca stołu, gdy ryknęła gardziel trąby, rzeczywiście, wisząca niemal nad jej głową, poderwała się, i przydepnąwszy sobie długą połę sukni, zwała na plecy, przewracając przy okazji wysokie krzesło. Nie wiadomo skąd pojawili się trzej służący i w mgnieniu oka biedna, ogłuszona dworka została wyniesiona z sali. Ale nikt już na nią nie zwracał uwagi.

U szczytu stołu pojawił się Trazwalar Wielki w otoczeniu kilku najbliższych osób. Wszyscy obecni poderwali się na równe nogi i pochyliłi w głębokim ukłonie. Sodos nie pozostał w tyle...

Trazwalar Wielki wszedł i usiadł szybko. Machnął niedbale ręką, pozwalając usiąść wszystkim pozostałym. Za nim weszła i usiadła po prawej ręce pulchna kobieta w mieniącej się sukni. Tysiące pereł naszyto w pasma okalające dekolt od góry,

zbiegały się one potem między obfitymi piersiami i biegły w dół, by na dole znowu rozdzielić się i obiec skraj sukni. Suknia miała kolor ciemnej, bardzo ciemnej czerwieni. Tak ciemnej, że chwilami stawała się aż czernią, chwilami, w blasku lamp - karminem. Bufiaste rękawy przy każdym ruchu odsłaniały rozcięcia, w których błyskała jadowicie żółta tkanina. Wysoki czepiec niemal nie miał żadnych ozdób, był tylko haftowany perłowymi nićmi, a wzorami były kielichy kwiatów. Sądząc z miejsca, jakie zajęła, i swobody poruszania musiała to być żona Trazwalara, królowa Hanibeli Perła.

Obok niej szła młoda kobieta, znacznie skromniej ubrana – w prostą, jedwabną suknię, niemal bez dekoltu, z płaską piersią, jak domyślił się Sodos, skrępowaną szerokimi bandażami. „Władczyni ceni przede wszystkim własne cycki”, pomyślał złośliwie mag. Co nieco dotarło do jego uszu podczas kilkudniowego pobytu w Gaybonie. Kobieta musiała być żoną brata Trazwalara, Brulwerda Jasnej Nocy. Miała na imię Seina Toń i, o ile gadatliwi słudzy nie kłamali, była regularnie bita i poniżana.

Poza tą trójką nikt jeszcze nie zasiadł u szczytu łukowego stołu. Trazwalar rozejrzał się i dojrzał Sodosą Skrępowanego. Skinął niecierpliwie ręką, mag szybko skłonił głowę i po kilku krokach był już przy stole.

–Siadaj – monarcha wskazał magowi miejsce oddalone o dwa od siebie, po lewej ręce. Między nimi usiadł Brulwerd i jeszcze jeden mężczyzna, którego Sodos nie znał.

–Ciągle wydaje mi się, że o coś powinienem cię zapytać, magu, ale nie mogę sformułować pytania. Bądź zatem na podorędziu, bym miał możliwość, gdy sobie przypomnę.

–Jestem stale do twych usług, panie.

–Wiem – skwitował niedbale Trazwalar Wielki. Skinął ręką na znieruchomiłych akrobatów, klęczących z czołami dotykającymi podłogi.

–Dość tego wysiadywania! Pokażcie coś – chwycił puchar i umoczył usta w napoju, energicznie wyszarpnął z leżącego przed nim pawlina kawał pieczonej piersi i zaczął się posilać z apetytem. Akrobaci poderwali się i zawirowali w niewiarogodnym tańcu. Kobiety i dzieci wyfrunęły w powietrze, wirując i okręcając się, i nie zderzając ze sobą, co już wydawało się szczytem umiejętności. Przelatywały z jednych ramion w drugie, wybijane natychmiast w powietrze ze złączonych rąk mężczyzn. Potem kobiety, właściwie dziewczęta, ustawiły się po bokach, a w powietrzu śmigali tylko dwaj malcy z szerokimi szarfami w barwach sztandarów Trazwalara i z jego herbami. Następnie jeden z akrobatów wyjął skądś zestaw noży, i kiedy kolejny malec z drewnianym talerzem w ręku wylatywał w powietrze, ciskał nożami i udawało mu się wbijać dwa, potem trzy, a na końcu pięć ostrzy w drewno talerza. Mag na chwilę

oderwał oczy od mistrza miotania i zerknął na tych z gości, którzy siedzieli na linii rzutów – ci siedzieli dość sztywno. I uważnie obserwowali żonglera. Ale było to zainteresowanie innego niż ciekawość władcy rodzaju – niemal wszyscy dotykali palcami swoich talerzy, które miałyby ich osłonić w razie potrzeby. Sodos Skrępowany stłumił uśmiech. Potem pomyślał, że nie uśmiechałby się, siedząc na tamtym końcu stołu.

Trupa artystów skłoniła się i zamieniła miejscami. Teraz dziewczęta zaczęły składać się w przedziwne, niemożliwe na pozór piramidy. Zwijały się w niemal doskonałe w kształcie kule, które przerzucali i turlali do siebie mężczyźni. Kobiety wyginały się w tył i nakrywały nogami, mężczyźni nakładali je na siebie – dwa, trzy, cztery pasy, po czym sami stawali na rękach i tak przemierzali przestrzeń między stołami.

Dworacy zaczęli sięgać po jadło i napoje. Pokaz zręczności zaczynał nużyć, Trazwalar Wielki chwycił z leżącej obok niego tacy mały przedmiot i cisnął w powietrze. Wyprysnął z trupy malec, i fiknąwszy kozła, chwycił przedmiot tak szybko i zręcznie, że chyba nikt nie zauważył, co było nagrodą władcy. Cały tłumek akrobatów migiem zniknął za zasłonami. Nie było też już, co dopiero teraz zauważył mag, trębaczy – zniknęli ze swoimi *ghuronami* bezszelestnie, jakby parami trzymali nie długi rury, a małe, delikatne kwiaty.

Słudzy zaczęli pojawiać się i dolewać wina do kielichów, zmieniać wodę w miskach, w których splukiwano wzorem władcy zatłuszczone palce. Zresztą Trazwalar nie jadł długo: po kawałku pawia rozciął tylko olbrzymi, wielkości własnej pięści, wypełniony pestkami owoc *krespu* i wydłubując aromatyczne pestki, rozgniatą je w zębach. Najwyraźniej delectował się ich żywiczno-słonym smakiem. Siedząca obok królowa Hanibeli skubała tylko jakąś rybę, właściwie dotykała tylko jej mięsa i od niechcienia muskała potem czubkami palców swoje pełne, purpurowe wargi. Co jakiś czas, jak zauważył obserwujący ją, jak i wszystkich przy tym końcu stołu, Sodos Skrępowany, przez jej twarz przebiegał niemal niewidoczny skurcz. Nieco więcej jadła Seina, ale i ona nie miała apetytu, poskubywała mięsa, nadgryzała owoce, upijała z kielicha, ale wszystko w ilościach, jakie wystarczyłyby co najwyżej dla pisklęcia turkawki. Wyglądało, że obu kobietom ucztą nie sprawia przyjemności, dobrze bawił się przede wszystkim Trazwalar, jego brat i – sądząc z uradowanych twarzy – reszta obecnych dworaków. Mag przypiął się do średniej wielkości szczupaka, wspaniale usmażonego, z ciemnobrązową skórką i wnętrzem wypełnionym znakomitym nadzieniem z wątróbek rybich, orzechów, pietruszki i na pewno co najmniej kilku jeszcze składników, których nie potrafił określić. Jakiś mistrz kuchni niewiarygodnym, niemal magicznym sposobem wyjął bez szkody dla kształtu ryby wszystkie ości, w pysk za to włożywszy całego upieczonego w szpinaku okonia. Również wspaniałego w smaku. Sodos Skrępowany czuł się usatysfakcjonowany.

–Sodosie – odezwał się król. – Mimo wszystko, brak mi twojego występu tu – wskazał ręką przed siebie.

**W zwolnionym przez trupę akrobatów i żonglerów miejscu ogromny mężczyzna, zarośnięty gęstym, kruczoczarnym włosiem tak, że brwi łączyły się z czupryną, jedną ręką żonglował czterema toporami, którymi nie każdy z obecnych tu dworaków mógłby się zamachnąć.**

**–I ja, i inni... – zatoczył ręką koło nad głową-...chcieliby cię zobaczyć. Na własne oczy przekonać się, co możesz.**

**Sodos Skrępowany odsunął się od stołu, sięgnął do miseczki z podgrzaną wodą i opłukał palce. Trazwalar nie patrzył na niego, uśmiechał się do swojego *krespu*, ale mag zauważył, że najbliżej przy nim siedzący zareagowali niemal zgodnie. Zarówno brat, jak jego żona oraz sama królowa zmieszali się, przez ich twarze przebiegły leciutkie grymasy.**

**–Panie, wesolków i nader zręcznych akrobatów masz tu po dostatkiem – powiedział. – We wszystkich rodzajach sztuki zabawiania są lepsi ode mnie, a to znaczy, że mój kiepski występ nie przyniesie ci zadowolenia. Ani mnie – dodał i poczuł, że popełnił poważny, śmiertelnie niebezpieczny błąd.**

**Za fotela Trazwalara wychyliła się twarz z kulfoniastym nosem – pojawił się karzeł, Kerel Od Śmierci Włos. Rzucił magowi Sodosowi spojrzenie: „Ot, i koniec!”. Król wolno odłożył nożyk i umyślnie wolno przeniósł spojrzenie na maga. W sali poruszały się tylko olbrzym i jego topory. Przecinały ze świstem powietrze i lądowały obuchami na podstawionym zgiętym karku olbrzymia.**

**–Dotychczas niewielu się odważyło powiedzieć, że za nic mają moje prośby – cicho powiedział Trazwalar Wielki, kiedy jego spojrzenie sięgnęło maga.**

**–Ja też tego nie powiedziałem, panie – sprostował Sodos. – Chcę tylko, by zabawiali cię najlepsi w swoim fachu, ja w tym nie jestem najlepszy. Albo inaczej, nie w tym jestem najlepszy.**

**Trazwalar odwrócił się całym ciałem w stronę maga, splótł na stole palce, czoło przeorała bruzda namysłu. Hanibeli poruszyła głową jakby chciała wziąć maga w obronę, albo odwrotnie, zaproponować widowiskowe ścięcie. Siedzący między władcą i magiem Brulwerd Jasna Noc cofnął się, napierając plecami na oparcie. Najwyraźniej obawiał się, że grom gniewu władcy może po drodze sięgnąć, musnąć w przelocie i jego.**

**Sodos Skrępowany zetknął ze sobą wszystkie palce, Trazwalar w gniewie machnął ręką:**

**–Nie pokazuj mi tu jakichś sztuczek ze znikającym palcem czy papugą z rękawa. Chcę dowodu! – ryknął.**

Topór zwałił się żonglującemu gigantowi na podłogę. Rzucił się na kolana, zgarnął w jedną rękę wszystkie trzy i głęboko skłonił się Trazwalarowi. Jego asystent, chyba syn, równie zarośnięty, trzymał już w ręku wszystkie topory i aż przytupywał, przestępował z nogi na nogę, byle tylko szybciej zniknąć z oczu rozgniewanego władcy.

–Czy mogę, panie, udowodnić swe umiejętności tak, by nie zmarnować *lairnel*? To nie wpłynie na wagę pokazu, tylko pozwoli mi na zachowanie takiej ilości energii, bym mógł nadal ci służyć. Panie.

Władca skinął wolno głową. Jego but dotknął małej wypukłości na nodze stołu, trącił ją raz i drugi. Gdzieś tam, w komnacie przyległej do dziedzińca, kat poderwał głowę i wsłuchał się w zapadłą po cichym brzęknięciu ciszę. Karzeł złośliwie wykrzywił pysk i szybko przejechał bladym językiem po sinych wargach. Sodos Skrępowany wstał i podszedł do władcy. Szedł wolno, dając Trazwalarowi czas na odwrócenie się, nie chcąc rozzłościć go, gdy będzie musiał zbyt szybko odwracać się do maga. Sodos zatrzymał się przy królowej Hanibeli Perle.

–Czy mogę... – zapytał, wskazując puchar, z którego piła władczyni. – Dokoła królowej widzę miotające się duszki boginki Aerthe. Uczono mnie, i zawsze tak postępowałem, że nie należy lekceważyć ich przybycia.

–Możesz, pokaż je nam! – niecierpliwie machnął ręką król.

Jego stopa podskoczyła na podłodze, wydając dwa stuknięcia. Mag je usłyszał. Znaczące? Nie? Może? Pałacowy kat wolno zsunął się z posłania i rzucił spojrzenie na swój *pugtusk*. Naostrzony i wyczyszczony.

Sodos pochylił się nad kielichem. Hanibeli poruszyła ustami, najwyraźniej nie podobało się jej zainteresowanie maga widocznymi tylko jemu duszkami Aerthe.

–Panie, czy mógłbyś mnie zwolnić z obowiązku uczestniczenia w tym kuglarskim popisie? – jęknęła omdlewającym tonem.

–Nie!

Mag poruszył pucharem, wino zawirowało. Sięgnął do kieszeni i wyjął sznur kryształowych koralii. Podał rozciągnięty sznur Hanibeli.

–Weź, proszę, pani.

Władczyni zacisnęła usta, ale słysząc z boku „Ja też proszę, pani” z ust męża, chwyciła końce z obrzydzeniem, używając tylko dwu palców. Mag jeszcze przez chwilę trzymał sznur, jakby chciał się upewnić, że Hanibeli nie upuści go, potem odsunął ręce, chwycił puchar i przysunął do koralii. Chwilę jakby wsłuchiwał się w

**zaległa w sali ciszę, drgnął i poderwał głowę zaskoczony tym, co usłyszał. Wpił się spojrzeniem w królową, a ta zacisnęła usta. Na jej oblicze wypłynął rumieniec, ale zaraz potem zbladła i nieco bezradnie rozejrzała się, szybkim spojrzeniem lustrując najbliższych siedzących. Otworzyła usta, Trazwalar Wielki gwałtownie uniósł rękę.**

**–Milcz! Teraz milcz! – zaakcentował „teraz”.**

**Sodos Skrępowany odsunął się od królowej, ostrożnie odstawił puchar, wyjął z jej skamieniałych dłoni sznur kryształowych kuleczek.**

**–Panie, to ty musisz zdecydować, czy chcesz, by ktoś poza tobą usłyszał co powiem... – powiedział cicho do króla.**

**Zapytany skrzywił się i gwałtownie machnął w powietrzu ręką. Zawirowały postacie, zaszurały odsuwane zydle i fotele, najbliższych siedzący przyskakiwali na boki, jakby zobaczyli gotowego do walki skunksa. Albo kata z toporem wymierzonym w stopy opiesziałych.**

**Gdy w pobliżu nie było już nikogo, a określenie „w pobliżu” obejmowało już niemal strzał z łuku, mag pochylił się i powiedział:**

**–Panie, twoja żona jest brzemienna. – A gdy Trazwalar zmrużył oczy i zaczął wciągać powietrze do płuc, dodał: – Sądzę, że sama jeszcze o tym nie wie. Ale jej aura...**

**–To... powiedziało ci wino? – syknął Trazwalar Wielki.**

**–Nie. Wino i korale były tylko do odwrócenia uwagi duszków Aerthe. One są okrutnie ciekawskie, a ja musiałem dotknąć ich, siedzących na dłoni królowej. Inaczej musiałbym je chwytać, pętać... To był najłatwiejszy sposób na ich dotknięcie...**

**–Już mówiłeś! – przerwał monarcha. Chwilę milczał. Jego palce chwyciły obrus i zacisnęły się na tkaninie z nieludzką siłą. Ale twarz była spokojna. – Czy wiesz, jakiej płci jest dziecko?**

**–Tak. To chłopiec, panie.**

**–Tak?! – Trazwalar poderwał się na równe nogi, z całej siły szarpnął obrus.**

**Z brzękiem potoczyły się po stole i podłodze dzbany, misy, patery... Służba rzuciła się do zbierania, ale Kerel piskliwie wykrzyknął coś, służący wycofali się jeszcze gwałtowniej. Karzeł przysunął się o krok bliżej. Trazwalar zrobił krok w kierunku maga, wyciągnął rękę i sztywnym palcem uderzył w pierś Sodosy Skrępowanego.**

**–Jeśli mówisz prawdę, ozłocę cię. Jeśli łżesz, będziesz błagał o śmierć, ale nie przyjdzie przez kilka najbliższych lat. A potem zaleję twe szczątki ciepłą żywicą i po**

**zastygnięciu ustawię tu, obok tronu.**

**Sodos Skrępowany skłonił się bez słowa. Nie było tu nic do powiedzenia. Monarcha wpijał się wzrokiem w niego, potem odwrócił się i ruszył w kierunku żony, stojącej w otoczeniu służek, podtrzymywanej przez Seinę Toń. Trazwalar podszedł, i ująwszy głowę w dwie ręce, pochylił się i pocałował ją w czoło. Potem, nie zwracając uwagi na otoczenie, otoczył ją ramieniem i skierował się do wyjścia. Cisza była tak głęboka, że aż bolesna. Nikt nie śmiał się poruszyć. Goście, pochyleni w kierunku pleców oddalającej się pary, trwali w bezruchu, nikt nie ośmielił się rzucić spojrzenia na monarchę. Dopiero gdy szczęknął zamek drzwi, gwałtownie wyprostował się Brulwerd Jasna Noc, podskoczył do Sodosa:**

**–Co powiedziałaś królowi? – syknął.**

**–Panie, sam powiedziałaś, że powiedziałem królowi – twardo odparł mag, akcentując ostatnie słowo.**

**Brat władcy wpatrywał się w niego płomiennym wzrokiem, wściekły aż do szaleństwa, nie odważył się jednak nawet na okazanie tego inaczej niż wzrokiem. Poruszył wargami, odwrócił się i szybko skierował do wyjścia. Wiotka Seina rzuciła się za nim.**

**Mag powstrzymał się od wzruszenia ramionami, nie patrząc na nikogo, ruszył do wyjścia z sali. Po drodze przypominał sobie ułożenie ust, warg Brulwerda, i nie wychodziło mu nic innego, jak to, że brat królewski rzucił bezgłośnie: „Obyś zdechł!”**

## **Rozdział 6**

**...Shigh!-Sshigghi!Shigh!-Sshigghi! Cienki wizg ścieranego na kamieniu metalu nie przeszkadzał żadnemu z siedzących w pokoju mężczyzn. Jeden ostrzył nóż, było mu to zajęcie znane tak dobrze, jak wkładanie butów, drugi, choć sam nie trudnił się wykonywaniem dla siebie broni, polegając w tym zakresie na płatnerzach, to tylekroć ostrzył ich wyroby, że i jego nie denerwował wysoki, piskliwy zgrzyt, który każdemu innemu człowiekowi ciął serce czy duszę na bolesne niemal plastry. Maretcheba Sieć przerwał na chwilę wycieranie, wyciągnął rękę przed siebie i schwytał na ostrze płamę światła. Potem, delikatnie przechylając ostrze, przetarł blaskiem z kaganka klingę, i zadowolony z widoku opuścił rękę, by dopiero teraz poskubać ostrze opuszką kciuka.**

**–Pewnie byś chciał, by przecinało włos? – mruknął z udawaną dezaprobatą Ob Rydel.**

**–Wszystkie moje ostrza przecinają – odparował Maretcheba Sieć.**

**–Wiem. Chodzi mi, że wzdłuż włosa, a nie w poprzek.**

**–Wzdłuż też, tylko nie mam jak umocować włosa.**

**–Poproś maga, niech ci go przytrzyma.**

**Zmierzyli się spojrzeniami. Gospodarz wyciągnął rękę, ubrudzoną pyłem z osetki palcami chwycił dzban i nalał do obu szklanic. Stuknął dzbanem w naczynie gościa.**

**–Mag może za niedługi czas popróbować ostrza innego, katowskiego – powiedział wolno.**

**–A może – przytaknął *samerantur*, - A to może boleć, bo nie ty je ostrzyłeś.**

**Marecheba Sieć zerknął spod oka na gościa – nie kpi aby? Ale nie, nie kpił.**

**–Nasz kat też zna się na główniach – mruknął. – Ale... I nie kończąc, zamilkł. Obudał, że nie zauważył tego.**

**Uniósł swoją szklanicę i wypił połowę zawartości. Odetchnął i otworzył usta, by powiedzieć coś przyjemnego o winie, ale ze zdziwieniem usłyszał, że z jego ust ulatuje cichy, niemal niesłyszalny szept:**

**–Może też nadzieć się na inne os-sstrze... Gospodarz nie wydał się zdziwiony tymi słowami, ani sposobem ich wypowiedzenia. Też upił ze swojego naczynia. Uniósł spojrzenie na sufit i chwilę jakby rozmawiał sam ze sobą.**

**–Tak. Jak na tak krótki pobyt, narobił sobie potężnych wrogów.**

**–Pozwolę sobie poprawić cię, panie. Nie wrogów, a wroga, i nie potężnego, a bardzo potężnego!**

**–Zgadza się na poprawki – westchnął Marecheba Sieć. – A my, co?**

**–My... My musimy chyba strzec na razie tego maga?**

**–Strzec? Maga? Słyszysz, jak to brzmi? – gospodarz wstał, szybkim ruchem zerwał z siebie skórzany fartuch i cisnął go niedbale na drewniany warsztat, przesunięty dziś pod ścianę. – Jeśli mag nie potrafi sam siebie ochronić, to co to za mag!**

**Ob Rydel przyglądał na brzuchu koszulę, poprawił końce wąsów, odrzucił na boki poły kaftana, jakby chciał pochwalić się haftem na piersi, ale po prostu było mu gorąco. Kwatera Marecheby Sieci przylegała do olbrzymich pieców kuchni pałacowej. Sam ją sobie wybrał, bo pochodząc z leżącego daleko na południe archipelagu Wysp Perłowych, ciągle marzył w innych pomieszczeniach. Tu było mu ciepło. A goście ociekali potem po chwili pobytu. Czasem ściany były tak gorące, że gospodarz kazał sobie przynosić miskę surowego ciasta, on i goście odrywali**



kawałki i z całej siły ciskali nimi w ściany. Po dłuższej lub krótszej chwili mogli rozkoszować się świeżym podpłomykiem. Wtedy Marenceba Sieć był niemal szczęśliwy. I zdejmował na chwilę kaftan.

–Kiedyś, jako młody chłopak wdałem się w bójkę pod karczmą... – powiedział *samerantur*.

–Właściwie zostałem w nią wciągnięty, ale to nie waży na opowieści. Zostałem ranny w rękę, niegroźnie na pozór, i zlekceważyłem to, szczególnie że udało mi się swojego przeciwnika posłać do wszystkich jego załganych i wstrętnych przodków. Aleć drasnął on mnie ostrzem w gównie, że tak prosto powiem, wymoczonym, i wdała się w ranę gorączka gnojna. I byliby mi rękę odjęli uczeni medycy ojca, gdyby nie pojawił się jeden człowiek, który czymś serce matki podbił, i ta w tajemnicy przed ojcem mnie spod opieki jego uczonych wywiozła, a on mnie kurował. I wykurował. Tylko blizna została, czasem mnie rwie przed burzą.

–A opowieść ta ma na celu?... – zaczął i zawiesił głos Marenceba Sieć.

–Ano to, że wszyscy zgodnie uważali tego człowieka za oszusta, hochsztaplera i hucpiarza. Ale mnie uratował rękę, na którą już pospołu medyk i piła ostrzyli sobie zęby – zamilkł i postarał się, by milczenie to było znaczące.

–Jeśli mnie by się kto pytał, to nie dociekałbym, czy ratuje mi życie oszust czy fachowiec. Byle uratował. A i nagroda, i kara dla obu jednaka.

–Tak, tylko...

–Tylko?

–Tylko ilekroć bywali w Gaybonie magowie, to aż huczało od ich magii! Ognie, błyski, smrody... widma... złoto z piasku...

–A ilu odjechało stąd żywych? – przerwał mu Ob. – No... niby tak...

–Właśnie to mnie dręczy – powiedział po chwili Ob Rydel. Gospodarz podniósł wzrok na *samerantura*. – To, że nie usiłuje jakimiś sztuczkami przekonać do swego rzemiosła...

–Powiedziałbym, że zachowuje się jak ktoś pewny swego – mruknął Marenceba. – Jak ktoś umie mieczem rąbać, to nie chodzi z nim w rękę i nie macha we wszystkie strony.

Pokręcił głową, pomyślał chwilę i jeszcze pokręcił. Gość nie zmienił wyrazu twarzy, ale gdyby można było zajrzeć mu do duszy, to tam oblicze miałyby zmarszczone czoło i zmrużone pytająco oczy.

**–Czegoś jeszcze nie wiem? – zapytał *samerantur*.**

**–Och... ja też nie wiem... – *Halemmed* pałacowej straży objął palcami szklanice, ale nie podniósł do ust, tylko postukiwał w jej ścianki wszystkimi palcami. – Tylko... zaginął człowiek jeden... Z moich.**

**–Miał śledzić maga?**

**–Nie całkiem, ale jak i kilku innych, zaufanych, miał nieco baczniejszą uwagę na niego zwracać.**

**–I?**

**–I nie pojawia się od dwóch dni.**

**–Nie uciekł gdzie?**

**–Byłby to pierwszy przypadek w moim *halemieł***

**–Wszystko ma swój początek... – filozoficznie westchnął Ob, ale nie uśmiechnął się przy tym, ani nie machnął lekceważąco ręką.**

**–Tak, wiem.**

**Zaległa przykra cisza. *Maretheba Sieć* powiedział „hgm!”, i uniósłszy szklanice, skinął głową, a potem wypił duszkiem wino.**

**–No i się zastanawiam właśnie, czy uznać, że mag poradzi sobie sam, czy ryzykować pomoc?**

**–Dyskretna pomoc – ostrożnie podpowiedział *samerantur* – nigdy nie zaszkodzi.**

**Na twarzy *Maretheby Sieci* zagościło zwątpienie i wcale nie usiłował tego zamaskować. Potem wyraz twarzy zmienił się, jakby odłożył wątpliwości do lepszych czasów.**

**–A co takiego powiedział mag władcy naszemu? – zapytał. – Co zaszło podczas uczy?**

**Ob Rydel wzruszył ramionami: „nie wiem”, a potem, wyraźnie i niezdarnie dążąc do przekonania gospodarza, pokręcił jeszcze głową. Efekt był dokładnie przeciwny do zamierzonego. Ale *Maretheba Sieć* udał, że uwierzył.**

**–No bo... khgm! Ja widziałem tylko, że coś uczynił *Hanibeli Perle* – ciągnął, niezrażony nieudolnym kłamstwem *Oba*, jednocześnie zastanawiając się, dlaczego ten wybitny aktor, zawsze panujący nad twarzą lepiej niż on nad ukochanym**

rumakiem, nagle nie potrafił przekonująco udać niewiedzy.

–A potem zrobiło się tam zamieszanie... Wszyscy wybiegli... Nawet Kerel Od Śmierci Włos nie wie, o co chodzi? – rzucił pytanie w przestrzeń, a potem, jakby zadziwiony własną myślą, przeniósł szczere spojrzenie na *samerantura*.

Ten odpowiedział mu takim samym, szczerym i zdziwionym. Potem pochylił się nad stołem

–Wiem co nieco – przyznał się. – Ale, jeśli się Trazwalar dowie... – obrazowo przejechał kciukiem od czoła do brody. Tak ciął ułożonego na plecach skazańca królewski kat, tyle że ostrze jego *pugtuska* nie zatrzymywało się na brodzie. Dobrze wykonana egzekucja powodowała rozłupanie obwinionego od czubka głowy do pępka. – No?

–Urodzi się nam następca tronu – szepnął Ob Rydel.

–Uff! – pochylony do przodu Marecheba Sieć odchylił się z ulgą z powrotem. – To najlepsza nowina, jaką słyszałem od pół roku. A dlaczego to taki sekret?

–Władca chce najpierw powiadomić ojca, a potem w triumfalnym pochodzie wrócić do Gaybony, ogłosiwszy radosną nowinę na wszystkie strony królestwa i świata.

–Królestwa, a zatem świata – poprawił go gospodarz, wyraźnie kpiąc z kogoś.

Ob uśmiechnął się i skinął głową. On też wiedział, o kogo chodzi.

–Czyli szykuje się nam wyprawa?

–O tak! Za jakiś tydzień, jak sądzę. Może dwa. Zamilkli i długą chwilę trwali pogrążeni w namyśle – obaj myśleli o tym samym, ale każdy od swojej strony: jak wyjazd całego dworu zaważy na nich, na podległych im ludziach? Co trzeba będzie zrobić, jak można już przygotowywać się do drogi, nie zdradzając przed władcą, że jego niewyartykułowane jeszcze życzenie już jest realizowane? Czy coś można wysłać przodem, a jeśli tak, to co i kiedy?

–A mag? – rzucił w końcu Ob.

–Mag... – powtórzył *halemmed*. - No właśnie: mag?

–A może to nie nasze zmartwienie? – podsunął *samerantur*.

–Masz chyba, przyjacielu, rację – powiedział wolno dowódca straży pałacowej Trazwalara Wielkiego. – Jak na razie poczyną sobie i radzi nieźle. Nic nie wskazuje, żeby miał, czy miał mieć kłopoty...

–Jak coś zacznie wskazywać, to już będzie za późno – zawyrokował Ob.

–Kolejny raz muszę ci przyznać rację. – Gospodarz chwycił dzban i zakołysał nim. Coś cichutko plusnęło. – Poras! – wrzasnął. – Dzba-an! Migiem.

Za drzwiami rozległ się tupot butów. Oddalał się szybko. Dwaj mężczyźni czekali na wino i zastanawiali się.

## Rozdział 7

Gdy tylko wyszli z komnaty maga, Faseh Zielony poczuł się niepewnie – po raz pierwszy Sodos Skrępowany był uśmiechnięty, po raz pierwszy maszerował zamaszystym krokiem, i nawet pogwizdywał coś wesoło pod nosem! To nie zapowiadało niczego dobrego. Na szczycie schodów, kiedy mag, zamiast schodzić, skręcił w lewo i poszedł korytarzem prowadzącym do łącznika na mury, Faseh Zielony jęknął w duchu. Przeczucie domysłu podcięło mu ścięgna pod kolanami, potknął się dwa razy zanim zapanował ponownie nad własnymi nogami.

–Tu, panie, schody... – pisnął.

–E-gh! – wydał z siebie przeczący odgłos Sodos Skrępowany i maszerował dalej.

Chłopak podbiegł kilka kroków, wyprzedził maga i zajrzał mu w oczy.

–Nie idziemy do miasta, panie?

–Idziemy.

–To dlaczego kierujemy się na mury? – Starał się jak mógł, by jego głos brzmiał pewnie.

–Znalazłem tam skrót. – Mag rzucił mu szybkie, uśmiechnięte spojrzenie. – Wiesz, że nie trzeba pokonywać tych wszystkich zakrętów po bruku, na którym tylko kozice nie łamią sobie nóg?

–Tak?...

–Obłuda i kłamstwo są karane – rzucił mag, ale niegroźnym tonem. Po kilku krokach uzupełnił: – Użyjemy kołyski, Marecheba Sieć mi pozwala, a zaoszczędzi mi trudu w chodzeniu.

–Koł-łys... ki? – wychrypiał chłopak. – Ja?...

–My.

–Ja...

**–Przecież mówię, że my obaj! – zirytował się mag. Faseh potknął się znowu na równej posadzce, zwolnił.**

**Sodos zerknął przez ramię, a potem, widząc, że chłopak opiera się o ścianę, zatrzymał się i pokiwał głową:**

**–Patrząc na twoją gębę, wiem, czemu masz przydomek Zielony – powiedział. Faseh Zielony czknął. – To nic straszego. Raz przejedziesz i będziesz już mógł potem spokojnie... O? – Odskoczył i odsunął się o kilka kroków, żeby tryskające z chłopaka śniadanie nie pobrudziło mu butów. – Już? – zapytał po chwili, kiedy zapadła cisza, zakłócana tylko cichym postępowaniem chłopca. – Nie wysilaj się za bardzo, bo mnie to nie rusza, a jak mi obrzygasz buty, to zjedziesz w dół trzymany za burtą kołyski. – Po kilku krokach odwrócił się: – Mówiłeś, że byłeś wwożony do suszarni ziół, to o co chodzi?**

**–Suszszarnia jest nisko... i z kosza nic nie widać, a z mu-mu-mu...**

**–Krowa! – rzucił mag. – Tak robi krowa. Mu-mu-uu! A ty nie jesteś krowa, i cicho mi tu, nie chcę już słyszeć żadnych jęków.**

**Nie słyszał, Faseh został na chwilę z tyłu, odwołał do kilku sprzyjających bogów, pospluwał i dogonił Sodosą. „Przecież z magiem nic mi nie grozi – pomyślał. – Najwyżej pofruniemy!” Ta myśl spowodowała, że nie tylko zaginął gdzieś strach, nawet pojawiała się radość i wyczekiwanie atrakcji. Przeszli galerię, kilkaset kroków po blankach, dotarli do muru zachodniego, przeszli nim kawałek, wkraczając na przemian w plamy słonecznego światła i cienia, gdy mijali szeregi zębatach, prostokątnych sterczyn z prześwitami, dotarli do zajmującej całą szerokość balkonu muru wieżyczki z okratowanym przejściem. Gdyby jakimś szalonym a jednocześnie zdesperowanym i znakomicie wyszkolonym napastnikom udało się wdrzeć w jednym miejscu na mury, to co kilkadziesiąt kroków napotykaliby takie właśnie małe, ale skuteczne przeszkody w rozprzestrzenieniu się po murach – każdy łącznik, wszystkie schody na mury, znajdowały się między takimi dwoma wieżyczkami. Trudne życie czekało szturmujących, nie znaleźliby ani chwili wytchnienia nawet już na murach twierdzy, gdyby udało im się jakimś cudem na nie wdrapać. Twierdza, stolica ogromnego państwa, była przez wieki, umysłami uczonych, budowniczych i żołnierzy, rękoma tysięcy poddanych przekształcana w twór niezdojty, i chyba takim się stała.**

**Gdy zbliżyli się do wieżyczki z uchyloną jedną kratą, mag szepnął dowódcy, a ten skinął głową i zaraz potem ręką, i krata migiem uskoczyła do góry. Przemierzyli jeszcze pół setki kroków i dotarli do osłoniętej lekkim, nie mającym znaczenia fortyfikacyjnego, daszkiem platformy na murze. Wystawała poza i ponad mury, z trójnogu z solidnych bali zwisała pleciana lina, rozchodząca się poniżej w cały pęk, chyba z osiem, jak ocenił chłopak. Nogi drżały i uginały się pod nim, ale strach przed**

karą Sodosą był silniejszy, Poza tym na powietrzu, w świetle dnia, strach zaczął dziwnie z niego parować. Mag pochylił się i syknął:

–Dobra, poświęcę ci jeden mały czar, żebyś nie zabrudził portek, ale pamiętaj...

Mruknął coś, dotknął głowy chłopaka twardą dłonią, nadusił kciukiem na czoło, i Faseh Zielony poczuł nagle, że jest już tylko zainteresowany czekającą go przygodą.

Podeszli bliżej, mag zatrzymał się, przyjrzał konstrukcji, pokiwał głową, a potem zwrócił się do kościstego wąsacza, siedzącego spokojnie na zydlu w cieniu: – Mam pozwolenie od Maretheby Sieci...

–No to wchodź, panie. – Wąsacz mówił przez nos, jakby męczył go katar, ale była to raczej wina złamanej i źle zrosniętej przegrody nosowej, może też trochę wina znanego już magowi akcentu mieszkańców płaskowyżu Błękitnego Wiatru, którzy tak silnie zniekształcali język Lanyatty, że gdy przenosili się ze swej odizolowanej przez bagna wyżyny, musieli niemal od nowa uczyć się najpowszechniejszego w królestwie języka. Zagarnął ich ręką i skierował pod daszek, pod którym biegła krótka galeryjka zakończona drewnianym balkonem. Balkon, gdy weszli nań, zakołysał się lekko, będąc podwieszony do owych ośmiu lin. Gdy stanęli na środku platformy, wąsacz odchrząknął i powiedział, nie kryjąc ironii; – Na dół nie patrzeć, panowie, bo się posr... O, wybacz, szlachetny panie... Po prostu – nie patrzcie.

Machnął ręką i cofnął się. Z misy wypełnionej kamykami wyjął cztery i cisnął parami w dół, pod mur” gdzie jeszcze ani mag, ani Faseh Zielony nie zdążyli popatrzeć. Po chwili rozległ się stamtąd długi gwizd, a wtedy kościsty wąsacz pochylił się i pociągnął do góry jakiś drąg.

Balkon drgnął i zaczął zjeżdżać w dół. Zobaczyli jeszcze uśmiechnięte szyderczo wąsate oblicze, a potem tylko gładki mur. Po chwili Sodos ostrożnie przestawił stopy i stanął plecami do muru. Rozciągał się przed nim wspaniały widok na miasto i wzgórze za nim.

Białe mury zakończone brązowymi i czerwonymi dachami odbijały promienie słoneczne i niemal oślepiały patrzącego. Prawie na każdym dachu widniały brązowe i żółte plamy olbrzymich donic z niskimi zielonymi i ukwieconymi roślinami, a w ich cieniu siedziały kobiety, albo ustawione były kołyski dzieci. Na dachach kilku domów po prostu rosła trawa, a chodziło się po ścieżkach wytyczonych przy pomocy mozaiki z wypalonych ceglanych płyt. Niektóre, najwyższe budynki miały dachy spiczaste, Mag zakonotował w pamięci, by o nie zapytać. Popatrzył też na twierdzę, ale z powodu bliskości muru niczego specjalnego nie zobaczył – od tej strony, z tej odległości wyglądała zwyczajnie – nieprzystępnie. Może odrobinę jeszcze bardziej nieprzystępnie: gładkie, wysokie mury, wysokie, garbate nasypy pod nimi, nieregularne, uniemożliwiające ustawienie jakichkolwiek drabin czy machin, a przy

tym całe odcinki murów wklęsłe, by można było z całej długości odcinka ostrzeliwać każde miejsce, w którym wrogowi udało się osiągnąć jakiś sukces.

Koszmar senny dowódcy oblegającej armii.

Mag, pamiętając o kpiącym uśmieszku wąsacza, oczekiwał od obsługi jakichś specjalnych dowcipów – niespodziewanego przyspieszania, kiwania, szarpania, nic takiego jednak się nie stało. Zjeżdżali tak spokojnie, a widok był tak oszalamiający, że nawet blady Faseh przestał zaciskać palce na zwisającej z daszku linie, zaczął kręcić głową, przypatrując się miastu z nieznanego poziomu. Zresztą, z każdą chwilą byli wszak niżej i niżej, już tylko na poziomie dachów, już nie widzieli ogrodów na nich, już przesunęły się przed oczami ciemne, wąskie, wysokie, jakby zdziwione oczodoły okien. Platforma zwolniła i uderzyła w ziemię, znieruchomiała i zapadła w drzemkę do następnego wezwania. Mag zstąpił na ziemię, ponaglił Faseha.

–Prowadź – powiedział.

Najpierw pokonali niemal połowę *poolee* gołej przestrzeni – pałac i jego mury były najważniejsze. Potem, gdy wijącą się drożyną przekroczyli szpaler niskich krzewów, weszli na plac? polanę? – zaskoczony Sodos nie potrafił nawet określić rodzaju, miejsca, do którego trafili; przestrzeń między krzewami i ślepyimi ścianami pierwszych domów zajmował krąg z niemal jednakowej wielkości małych prostokątnych namiotów. Różniły się barwami, właściwie – zestawami barw, albowiem wszystkie były pstre, błyszczące, kolorowe, furkotały wstęgi i proporce na ich masztach. Przed namiotami stały dwa-trzy zydle, czasem jedna kozetka, siedziały na nich i kusząco leżały kobiety. Wszystkie młode, piękne, jak natychmiast dojrzał mag, który nie kryjąc zdziwienia i zaskoczenia, przystanął, i okręciwszy się dokoła, przyjrzał pobieżnie okolicy.

–Nasiębierki – mruknął z pogardzą Faseh.

–A ty co o tym wiesz? – Zapatrzony w najbliższą, niemal czarnoskórą dziewczynę, powiedział mag. Młoda kobieta miała bujne piersi, z których kryła, tylko szczyty, a i to dość niedbale, w każdym razie fioletowy tatuaż dokoła sutków widoczny był wyraźnie. – Bywasz tu?

–Panie... – Chłopiec nie krył pretensji. – To są dziwy za co najmniej trzy *drabenyl*.

Sodos gwizdnął przez zęby, cisnęło mu się na usta, że co najmniej niektóre z tych kobiet są warte i większych kwot, ale uprzytomnił sobie, że oto wdaje się w dysputę o ladacznicach z dwunasto-trzynastoletnim chłopcem. Jeszcze raz okręcił się na pięcie.

Dziewczyna o hebanowej cerze rozchyliła kusząco karminowe wargi, wolno wysunęła koniuszek wilgotnego, połyskliwego języka i przejechała nim po wargach.

Siedząca obok niej, kontrastowa posiadaczka mlecznobiałej cery, rzuciła jakieś pytanie w stronę Sodosy, może nawet nie tyle pytanie, co nie niosącą treści, ale kuszącą obietnicę. Siedząca na obszernym zydlu przed namiotem obok posiadaczka wysokiego rudego koku, uznawszy, że koleżanki już niemal zawiadnęły Sodosem, przeciągnęła się lubieżnie, wyciągając ręce do góry. Fasesh syknął przeciągle, gdy spod poły zdobionego cekinami i szkiełkami kaftana wysunęła się krągła pierś ze złotą plecionką wkłutą w sutek.

–Te! – Mag wyciągnął rękę i pacnął chłopaka w czubek głowy. – Idziemy.

Ruszył pierwszy, ale nie śpieszył się, rozglądał na wszystkie strony, jakby chciał dobrze zapamiętać oferowane wdzięki. Z jednego namiotu wysunęło się pośpiesznie pulchne dziewczę z małą *tsurną* w rękę, błyskawicznie usiadła ze skrzyżowanymi nogami i zaczęła wygrywać jakiś utwór. W ogóle – kiedy Sodos przestał się gapić nieruchomo i ruszył przed siebie, wszystkie kobiety ożywiły się, jakby w obawie, że mag wyjdzie ze sfery ich kuszących wpływów. Widocznie tak działała spisana czy nie umowa: póki mężczyzna był w kręgu – konkurowały ze sobą, gdy zaczynał wymykać się im z objęć – działały wspólnie. Ze wszystkich stron rozległy się ciche, pełne wdzięku i obietnicy okrzyki, w kilku co najmniej językach, dwie dziewczęta poderwały się ze swoich leżanek i zaczęły namiętnie się całować, zerkając spod uczerzonych rzęs na Sodosy. Osiągnęły to, czego akurat chciały uniknąć – mężczyzna roześmiał się, pomachał im ręką i wydłużył krok. Mieszkanki ulokowanych na wylocie placu, po obu stronach dróżki namiotów, zdecydowały się na działania jeszcze bardziej konkretne: tanecznie bujając biodrami, zrobiły po kilka kroków i po prostu zagroziły Sodosowi drogę. Obie ustawiły się w wystudiowanych pozach, nieco boczkiem, z głowami lekko odwróconymi, tak że patrzyły na mężczyznę kusząco, z ukosa, lubieżnie... Mag podszedł, i uśmiechając się lekko, ruchem ręki strącił kobiety z drogi. Nie poruszyły się. Wtedy wyciągnął rękę i błyskawicznym, węzowym ruchem wsunął dłoń pod tkaninę na piersi szczupłej dziewczyny z prawej strony. Mocno uszczypnął ją w sutek, dziewczyna rozchyliła wargi, ale widząc nagle żmijowy wzrok maga, odskoczyła tylko z otwartymi do krzyku ustami. Druga dziewczyna odskoczyła równie szybko, droga była wolna.

Mag pogroził uszczypniętej dziewczynie palcem, jakby ostrzegał ją przed dochodzeniem sprawiedliwości; przy ostatnim strzepnięciu palcem z jego dłoni wyleciała moneta i poleciała pod stopy ladacznicy. Rzuciła okiem i przyjemnie zdziwiona uśmiechnęła się, a potem przykucnęła i sięgnęła po srebrny krążek. Nagle rozchyliła bluzkę na piersi i pokazała drugą pierś, jakby proponując Sodosowi drugą chwilę podobnej przyjemności. Ale ten już maszerował odwrócony do niej plecami.

Dopiero teraz, przekroczywszy rubież pierwszych murowanych domów, weszli do miasta właściwego. Wąska uliczka wiła się dziwnie z woli budowniczych czy właścicieli budowanych przed laty domów – skręcała najpierw w lewo, potem, lekko wyginając brukowany grzbiet, spływała w dół i skręcała w prawo. Prowadziła między



wysokimi, głuchymi murami bogatych domostw, gdzie życie toczyło się w chłodnych wnętrzach i ocienionych podwórcach. Stąd na jej końcu, gdzie niczym korek w butli tkwił wąski, ale najwyższy chyba w okolicy dom i pracownia mistrza Hajmaleina Kruka, panowała cisza głęboka i miękka, jakby nie znajdowali się niecałe dwieście kroków od targowych ulic oplatających bazar, a na leśnej, głuchej, szczelnie otulonej wysokimi jodłami polanie, albo w dolinie otoczonej kamienną ścianą gór. Sodos Skrępowany już raz zastanawiał się, do czego przypisać ten rodzaj ciszy, na razie doszedł do wniosku, że w lesie cisza jest jednak nieco inna: stłumiona, sucha, szeleszcząca czasem. Ta była raczej kamienna, twarda, zimna i płaska...

Zatrzymał się przed drzwiami, wskazał Fasehowi Zielonemu kamienną ławkę pod ścianą. Zanim zdążył podnieść rękę i chwycić miedziane skrzydło frunącego przez drzwi sokoła, drzwi uchyliły się i wyszła kobieta w żółtej szacie ze szczelnie otuloną ciemnobrązowym szalem głową. Trzymała w ręku tacę z dwoma olbrzymimi kawałkami arbuza i pękatem kubkiem. Skłoniła głowę przed magiem, a potem zrobiła dwa kroki i postawiła tacę na ławie. Sama wróciła do drzwi i bez słowa wskazała wnętrze domu magowi. Zanim drzwi się za nimi zamknęły, Faseh już wpił się zębami w krwiście czerwony miąższ, dopiero po kilku pośpiesznych, żarłocznych kęsach usiadł i łyknął z kubka. Na jego twarz wypłynął szeroki uśmiech, na pierś i kolana spadły pierwsze krople lepkiego soku.

W korytarzu kobieta po kilku krokach bezszelestnie skręciła w odnogę i zniknęła za zasłoną z farbowanych sznurków, jej miejsce przewodnika zajął łysy sługa z kagankiem w ręku, skłonił się głęboko, a potem bez słowa ruszył pierwszy. Przemierzyli krótki korytarz, skręcili w prowadzącą do piwnicy odnogę. W jasno oświetlonej komorze czekał sam mistrz Hajmalein Kruk. Na stole przed nim rozłożone były płyty sprasowanych łodyg *brodymiła*, pokryte gęstą siecią kresek i regularnych, kanciastych plam. Przewodnik usunął się z drogi i stanął w milczeniu pod ścianą. Mag przystanął i pochylił głowę w pełnym szacunku ukłonie.

– Witaj, panie – odezwał się gospodarz. Szerokim gestem wskazał ławy pod dwoma sąsiadującymi ścianami z pełnym żaru koszem między nimi. – Usiądźmy, nogi mnie dziś łamią, na deszcz ani chybi.

Utykając wyraźnie, podszedł do ławy i zwałił się na nią, wyciągnął dłonie i chwilę grzał je nad mały koszem żarowym, potem rozgrzanymi zaczął głaskać lewe kolano. Musiało mu mocno doskwierać, i to od dłuższego czasu – miał wyraźne cienie pod oczami i tak głęboko osadzonymi, więc dziś przypominającymi głębokie, ciemne leje; wielki, przypominający dojrzałą purchawkę nos, zawsze wcześniej wesoło zadarty nieco ku górze, dziś jakby oklapł. Długie, siwe włosy Hajmalein miał wprawdzie gładko zaczesane do tyłu i spięte czarną klamrą, ale włosy były matowe i suche, jak zwisające ze sklepienia jaskini wyschnięte nici mchu zwanego Brodą Smoka. Mag usiadł na drugiej ławce, starając się nie zbliżać do promieniującego ciepłem kosza. Sługa podszedł z dwoma prostymi, glinianymi kubkami, Sodos Skrępowany już

niemal podziękował ruchem ręki za poczęstunek, ale ciepło pieca zmusiło go do zmiany zdania. Wziął kubek, wypił połowę, nieznacznie odsunął się od pieca jeszcze bardziej, rzucił spojrzenie na stół.

–Mam coś dla cię, panie – powiedział mistrz. – Interesujący fragment planów starej, bardzo starej fortyfikacji, na miejscu której chyba rozbita jest Gaybona. – Przerwał, na twarz wypłynął mu grymas, z zaciśniętymi powiekami czekał chwilę – na przejście fali bólu Prawa ręka ciągle delikatnie głaskała kolano. – Uff... – Łyknął z kubka pachnącego miętą i jeszcze jakimś gorzkim ziołem naparu. – To jest któraś z kolei kopia, nie ma żadnej daty, oczywiście, ale nie zdziwiłbym się, gdyby to była pierwsza twierdza – niecierpliwie skinął na sługę. – Przysuńże ten stół, gamoniu! – Gdy stół z planami został ze zgrzytem przysunięty, wymachami dłoni przepędził sługę. Wyciągnął na wierzch płat pożółkłego *brodymitu* z zatartymi krechami, nieco tylko ciemniejszego od tła koloru. Pochylili się obaj nad planem, chwilę wpatrywali, żeby przyzwyczaić wzrok do niewyraźnych rysunków, nie było łatwo rozeznaczyć się w plątaninie kresek, linii i oznaczeń, tak wytartych przez czas. Palec mistrza Hajmaleina Kruka zaczął wędrować po płachcie, mistrz jakby zapomniał o bólu stawów i objaśniał: – Tu, jak się domyślam był *dongon*, najwyższe miejsce w budowlu, jej jądro i miejsce ostatecznej obrony, dokoła mamy nasypy ze ścianami, a na tych pięciu narożnikach coś, co dziś nazywamy *basteiami*, a przynajmniej przypominające je, wysokie, jak miemam, na owe czasy nasypy, otwarte na dziedziniec. Pewnie na, krawędzi były mury, czy jakieś częstokoły, ale na rysunku ich nie ma. Przed dwoma *basteiami* widzę także pomocnicze nasypy, z których załogi uciekały do twierdzy, gdy już nie mogły zasypywać wroga strzałami. I nawet mamy jeden *drawelen*, tu... – postukał paznokciem w ledwo widoczny na pomarszczonym brązowym planie trójkąt. – Jeszcze mamy tu jakieś linie, ale na razie nie mogę ich połączyć w całość. – Milczał chwilę, wpatrując się w szkic. – To chyba jest kazamata... – wzruszył ramionami. – Te kreski mogą być podkopami-chodnikami, którymi załoga wypadła na tyły wroga na wycieczki...

Mag pochylił się i chwilę przyglądał rysunkowi. Delikatnie rozprostował kruchy arkusz, starając się nie pocierać rękami o miejsca, gdzie widniały ślady wyschniętego i nietrwałego barwnika.

–To rzeczywiście mnie interesuje – powiedział wolno.

–Widzę tu też słonobitnie, co najmniej dwie... – uśmiechnął się szeroko. – Nasi przodkowie mieli tęgie głowy, mistrzu, nieprawdaż?

Hajmalein Kruk przytaknął i łyknął naparu.

–Chcę za to dwanaście *kunstów*. To drogo, wiem, ale kosztowało mnie to sporo...

–Mistrzu! – przerwał z wyrzutem Sodos Skrępowany.

–Powiedziałem, że zapłacę ile trzeba i tak będzie. Nie zamierzam się targować.

–To dobrze, bo i ja dziś do targów nie jestem usposobiony.

Mag sięgnął pod kaftan, wyciągnął sakiewkę i wytrząsnął na dłoń ze dwadzieścia monet, odliczył tuzin i podał gospodarzowi, który pochwycił je, niedbale wrzucił w jakby obszerny rękaw, ale choć zaraz potem pochylił rękę, pieniądze nie wysypały się, widocznie dobrze już wpadłszy do wewnętrznej, popularnej u kramarzy kieszeni nałokietnej – drugiej warstwy tkaniny, w którą wpadało wszystko, co wsunęło się w rękaw na wysokość łokcia. Często stosowana przez kupców sztuczka. Przez kupców i złodziei. Mag nie dopytywał, kiedy i w jakich okolicznościach mistrz nauczył się posługiwania prostym a skutecznym schowkiem. Hajmalein Kruk pochylił się, jakby chciał wstać, głaskał obiema teraz dłońmi swoje kolana.

–Zostałbym chwilę, mistrzu i popatrzyl jeszcze raz na resztę map – powiedział pytającym tonem Sodos Skrępowany.

–Ile chcesz, panie. Ja udam się do łoża i każę się okleić żywicą, ale ty siedź ile chcesz, a potem tylko zawołaj, to Kudu cię wyprowadzi. Żegnaj.

–Żegnaj, mistrzu Hajmaleinie. Czy... – zawahał się.

–Tak? – Starzec zatrzymał się w pół kroku, ale nie chcąc nadwerężyć bolących stawów, tylko głowę odwrócił do maga.

–Jeśli chcesz – mogę przysłać ci swoje zioła na twoje dolegliwości...

Hajmalein Kruk rozważał chwilę propozycję.

–A kosztować będą dwanaście *kunstów!* - zapytał nieufnie.

–Nie. – Mag chciał powiedzieć, że nie będą w ogóle, ale zrozumiał, że wtedy nie wzbudzą zaufania mistrza. – Dwa.

–Za jednego – kupię – mruknął gospodarz.

–Tedy przyślę chłopaka z ziele. Zaparzyć, odcedzić, zalać gorącym mlekiem. Wypić i trzymać nogi w ciepłe.

–Dobrze. – Gospodarz skinął głową, potem stęknął cicho, i wyszedł, akcentując kuśtykawe kroki plaskaniem dłoni o ścianę; w progu wczepił się w ramię sługi i razem zniknęli za załomem. Mag został sam. Długą chwilę przekładał arkusze, potem zaczął raz jeszcze, teraz już uważniej, niektórym przyglądał się długo, innym krócej i wsuwał pod spód, pamiętając, by nie zmieniać kolejności. Zmiana w ułożeniu mogłaby nasunąć mistrzowi o bystrym, jak wiedział mag, umyśle, co interesowało

kupca najbardziej. W końcu, przejrawszy sumiennie wszystkie arkusze, i nie wybrawszy niczego, wrócił do pierwszego, za który zapłacił tyle, co za dwa wozy najlepszego ziarna. Ustawił się bokiem do wejścia – najlepsze światło z kilku naściennych kaganków, i niemal przez pół *semii* wpatrywał się w szkic. Potem wstał i długą chwilę trwał w bezruchu, patrząc w przeciwległą ścianę, aż w końcu skinął głową do jakiejś swojej myśli, szybko zwinął arkusz i postawił na przygasłym żarze w koszu. Niemal natychmiast rulon zajął się ogniem, chyży płomień skoczył ku górze, cały rysunek rozgorzał, kiwnął się i załamał. Mag przypatrywał się temu uważnie, gdy zwęglona tuba spadła do kosza, wyciągnął z pochwy sztylet i czubkiem zamieszał w popielniku, wszystkie spalone fragmenty rulonu rozpadły się i zniknęły w kopczyku rozżarzonych węgli. Mag obejrzał się na korytarz, otarł ostrze sztyletu o nogawkę spodni, sprawdził, czy nie rozgrzało się zbyttnio, i wsunął w pochwę. Wszedł w korytarz i klasnąwszy kilka razy w dłoń, poszedł w kierunku wyjścia. W połowie drogi z odnogi korytarza wyłonił się Kudu i bez słowa poprowadził maga do drzwi, tam otworzył je i cofnął się, przepuszczając. Nie odezwali się do siebie ani słowem. Sodos Skrępowany wyszedł na powietrze i odetchnął głęboko.

Faseh Zielony poderwał się na równe nogi i przytupnął. Obok ławki leżała taca, na niej do cna ogołoczone skóry arbuza, cienkie, zielone płyty i pusty kubek. Na murze widać było świeży wilgotny ślad, jakby dużej, mokrej podkowy.

–Obszczałeś mistrzowi dom – mruknął z przyganą mag, ruszając w kierunku wylotu uliczki.

–Musiałem, panie. Czuję się, jakbym wypił pół wiadra wody – usprawiedliwił się chłopak.

–No bo tak i było – machnął ręką mag.

Maszerowali chwilę w milczeniu. Potem Sodos ponaglił ruchem ręki idącego z szacunkiem krok za nim Faseha: – Chodź no bliżej! Gdzie na targowisku jest dobra zielarka? Znasz taką?

–Chyba tak, panie. Ale...

–Ale co? – Mag odwrócił się do chłopaka i zmarszczył gniewnie brwi.

–Miałeś dziś przed obiadem być w warsztacie łuczników – bąknął wystraszony jego miną chłopak.

–Tak, pamiętam – rzucił po kilku krokach Sodos roztargnionym głosem. Myślał o czymś innym, nawet na chwilę zatrzymał się, przez co chłopiec prawie zderzył się z jego plecami. W ostatniej chwili uskoczył w bok, potknął się i z trudem utrzymał równowagę. Sodos nie zauważył, że Faseh niemal rozplakał się ze strachu. – Pamiętam... – powtórzył mag obcym i obojętnym tonem.

Ruszył w kierunku wylotu uliczki, minęli oba jej skrzyżowania, hałas targowiska narastał, wrzaski sprzedawców, ryk wołów i miezgot *trajenek* splatały się z pobrzękiwaniem łańcuchów i zgrzytem płóz, odgłosami dzwonek bydła i przekleństwami strażników usiłujących zapanować nad tym zbiorowiskiem, jak co dzień zresztą, i jak co dzień nie udawało im się niczego dokonać, a życie i handel toczyły się tym niemniej swoim specyficznym rytmem: ludzie tu sprzedawali, kupowali, oszukiwali, płakali, kradli, jedli, piekli, prażyli, gotowali, smażyli, wycinali, odcinali, mierzyli i przeklinali. I sprzedawali, kupowali, oszukiwali...

Plac miał jeden narożnik, od południa, na pozostałych stronach świata kontury targowiska zacierały się, granica była kolistą i niewyraźną – najpierw pojawiały się, od środka idąc, wyższe kramy, drewniane domy, potem wyższe, murowane, potem nagle już była uliczka, jak na Gaybonę – szeroka, targowa: wielkie ziewy okien z szerokimi parapetami, na których wyłożone były towary. Niektóre okna były zakratowane, tu na parapetach leżały bele tkanin i błamy futer, wisiały kawałki dywanów, motki wełny, a dalej, w głębi, gdzie nie sięgały promienie słoneczne, które mogłyby wypalić kolory, leżały i wisiały jedwabie, muśliny, klaetony, masłaby i gotowe już futra: niedźwiedzie, borsucze, wilcze, kunie, sobole i najcenniejsze – z bradenswansa, tak rzadkie, że nie każdy nawet kupiec wiedział – zwierz to czy olbrzymi, futrzasty ptak. Mag, po wyjściu z uliczki mistrza Hajmaleina Kruka, skierował się w prawo, w taką bogatą uliczkę właśnie. Wolno przechodził przed oknami, przystawał, przyglądał się oknom i towarom, ale próby wciągnięcia go w rozmowę przerywał ruchem ręki, który można było tłumaczyć zarówno jako: „Daj mi spokój, człowiecze”, jak i grzeczniej sze: „Nie znam twego języka, panie”. Niektórzy z kupców od razu milkli, inni nie ustawiali w wysiłkach, kilku nawet wyszło z ocienionych kramów na zalaną słońcem ulicę, jeden chwycił Sodosę za ramię i pociągnął do wnętrza. Nawet spojrzenie, jakim obdarzył go mag, nie uspokoiło namolnego kramarza. Dopiero kilka słów rzuconych przez Faseha spowodowało, że puścił rękaw Sodosę i uskoczył z pochyloną głową do schronienia za progiem.

–Co mu powiedziałaś? – zapytał mag.

–Że rzucisz pleśń na jego futra – przyznał chłopiec, z niepokojem patrząc na Sodosę.

–Dobrze. To dobra myśl, tak im mów... Zadowolony z pochwały pacholek pokiwał zawzięcie głową.

Szli dalej. Sodos skręcił z uliczki w tłum targowy, tu przedzieranie się było utrudnione: po pierwsze, kramy stały ciągnącą linią, kto wszedł w szpaler mało miał szans na wyjście z niego, po drugie, przejście miało co najwyżej trzy kroki szerokości, a w tym wąskim pasażu przemieszczały się, wolno i szybko, gęste tłumy. Mag, widząc to, wyciągnął rękę, i chwyciwszy Faseha za kołnierz, wyprowadził przed siebie, i potem przez cały czas prowadził go w wyciągniętej ręce. Mijali pachnące

stragany z wypiekami, z daleka oznaczone przez chmary latających nad nimi much, na które z kolei co jakiś czas pikowały jaskółki, potem pojawiły się stragany z owocami. Leżały całymi górami, kopcami, czasem sięgającymi od ziemi do wysokości głowy dorosłego mężczyzny. Tu z kolei brzęczały osy, czasem rzucające się w kilka na pszczoły, nieśmiało usiłujące uszczknąć coś z ociekających sokiem owoców dla siebie i ula... Czasem z głośnym brzęczeniem przelatywał szerszeń, którego osy nie odważały się przegonić. Na jednym straganie kramarz mocnym uderzeniem skórzanej packi strącił olbrzymiego szerszenia na ziemię i szybko przydepnął obcasem. Faseh obejrzał się na maga.

–Idźmy szybciej, panie – poprosił.

–Bo co?

–Bo zaraz przyleci horda szerszenia... tego zabitego... Moją siostrę kiedyś ukąsił taki, to mało nie umarła...

–Jakim niby cudem horda się dowie? Co? Kto ci takich głupot nakładł do łepetyny?

–Panie?... Wszyscy wiedzą, że jak się zabije szerszenia, to one przylatują się mścić...

–Głupiś...

Poszli dalej. Przy pierwszej okazji skręcili w odnogę z przyprawami, wędrowali długą chwilę w aromatycznym tunelu. Tu było mniej ludzi i w ogóle nie było owadów. Dlatego kupcy usiłowali, widząc Sodosą, zmusić go do zakupu swojego wonnego i smakowitego towaru. Wciskali w ręce plastry korzeni, wysypywali na dłoń szczypty czerwonych, czarnych, żółtych i białych proszków, od woni których kręciło się w głowie. Kiedy niezbyt energicznie otrząsnął się z uchwytu pierwszego kupca, natychmiast z drugiej strony wczepił się drugi, wciskający w lewą dłoń maga całą wiązkę zielonych soczystych badyli. Obaj na wypródki zaczęli zachwalać swoje towary, przekrzykiwali się, wymachiwali sobie i magowi przed nosem rękami, ale – jak mu się wydawało – obrzucając wyzwiskami, jednocześnie zgodnie trzymali go w miejscu, nie dopuszczając do innych kramów, do innych kupców... Puścił Faseha, który przemknął pod łokciami kupców i zaczął bezczelnie odrywać liście z wiszących wiązek i wpychać od ust. Ktoś zwrócił na to uwagę kupców, odwrócili się, co wykorzystał Sodos, przemknął obok nich i poszedł dalej, ruchem ręki i głowy odpędzając z drogi innych zielarzy. Jednocześnie wypatrywał czegoś na straganach, i na jednym – znalazł. Przywołał Faseha i wskazawszy kilka suszonych pęków, kazał zapytać dokładnie o nazwy w *tawlish* i mowie ludu... Usłyszawszy wyjaśnienia, kupił cztery pęczki ziół i dwa gliniane dzbanuszki z pudrami. Potem obarczył zakupami Faseha i poszli dalej.

Skierował się na skrzyżowaniu w stronę części ze zwierzętami. Tu panował największy bezład, mag i Faseh Zielony zanurzyli się jak w tyglu, nawet gdyby ktoś tu rozpoznał maga, nawet gdyby się przestraszył i chciał usunąć mu z drogi – nie miał na to szans. Tłum, tłok, ścisk równały ludzi. Sodos Skrępowany musiał przedzierać się przez tłum jak każdy. Jak niemal każdy tu zacisnął jedną rękę na rękoności sztyletu, lewą na mieszk z resztą pieniędzy. Tę drugą nie po to, zresztą, by bronić jej przed jakimś rzeźnikiem, wręcz przeciwnie – uważał, że dla kilku czy kilkunastu nawet monet, nie warto narażać życia ludzkiego. Zwłaszcza własnego. Ale nie lubił być okradany, dlatego, na wszelki wypadek, pilnował trzosu. Raz wybuchła awantura zaraz za nimi, ktoś wzywał świadków niegodnego zachowania kupującego, ten z kolei głośno wyartykułował pretensje do kopyt muła, którego psi syn usiłował sprzedać jako zdrowego i silnego. Te krzyki nie przeszkodziły w marszu Sodosowi, ale po kilkudziesięciu krokach jeszcze głośniejsza awantura wybuchła przed nimi. Tu ktoś przyłapał złodzieja z ręką na postronku niezapłaconego tryka. Złodziej był przygotowany na taką okoliczność, bo zaraz ktoś pchnął gardłującego z całej siły kupca, ktoś inny trącił daszek nad jego żoną, ta rozdarła się wniebogłosy, uderzona żerdzią.

Faseh podskoczył kilka razy, chcąc zobaczyć coś więcej, nie udało się. Zobaczył leżący na ziemi drewniany ceber, szybko odwrócił go i wskoczył na denko. Wyciągnął szyję i nagle usłyszał coraz silniejszy szelest, jakby nadlatywały tysiące ciem, wystraszony myślą, że to tysiące towarzyszy zabitego szerszenia, rozejrzał się w panice. Maga nigdzie nie było widać. Natomiast zobaczył, że z bezchmurnego przed chwilą i jasnego nieba zwisają lśniące połyskliwe nici, kurtyna ta, szczelna i srebrzysta, sunęła w kierunku targowiska bydłowego. Ulewa! Zeskoczył z cebra, ale po dwóch krokach porzucił myśl o przedarciu się pod dach, dopadł tylko zwalonego kramu, spod którego wygramoliła się właśnie wrzeszcząca ciągle, jedyna tak głośna w okolicy, żona okradanego hodowcy. Faseh przemknął pod jej łokciem i wsunął się pod płachtę natłuszczonego płótna. Zaraz potem zadudniło po niej, zaterkotało, rozległy się piski i przekleństwa, ryknął jakiś kopnięty wół. Ktoś szarpnął płachtę, kobieta, która przed chwilą wyskoczyła spod niej, wracała szybko pod zbawczy „dach”. Nie zdziwiła jej obecność chłopca, coś warknęła do niego, odsunął się i podniósł ręce, robiąc z nich słupki dla płachty, udobruchana kobieta trąciła go łokciem, ale nie za mocno, żeby nie upuścił płachty. Sama zrobiła to samo, zobaczyli migoczące w powietrzu pięty i poły odzienia, ludzie uciekali z targowiska, błyskawicznie przemoczone zwierzęta przestępowały z nogi na nogę.

Beknęła jedna *trajenka*, odezwało się kilka innych. Pod płachtę wsunął się właściciel stada, bez skrpułów wypchnął Faseha na ulewę, sam zajął jego miejsce.

–Obyś się udławił pierwszym łykiem wody! – wrzasnął przemoczony już po chwili chłopiec. – Żebyś się zesrał po kolei we wszystkie swoje portki, kmieciu! – Splunął w kierunku wesoło śmiejącego się wieśniaka i pobiegł, ślizgając się w błocie, w kierunku najbliższego domu.

Zanim dobiegł, był kompletnie przemoczony. Gdy wbił się głową w szpaler przywierających do ściany domu ludzi, szmer ustał.

–Koniec – powiedział ktoś.

–Co za dziwo?... – warknął ktoś inny.

Tłum poruszył się, Faseh nagle *znalazł* się pod samą ścianą, która jeszcze chwilę temu była jego marzeniem. Teraz nie potrzebował już dachu, ulewa rozpoczęła się raptownie, skończyła jeszcze gwałtowniej. Urwała się, jakby ktoś po prostu jednym ruchem rąk zaciągnął kurtynę. Chłopak otrząsnął się, przetarł twarz, stracił wodę z rąk i wytarł oczy. Podniósł twarz do góry, żeby sprawdzić, co się dzieje w niebie.

I zamarł z rozdziawionymi ustami.

Jak wielu innych, dorosłych, na targowisku.

## Rozdział 8

Przez gęstą, lepłą ciemność czasem przepływały nieco jaśniejsze, nawet barwne strzępy, przypominające kolorowe sieci wielkiej pajęczycy przędzarki” oderwane przez łagodny podmuch wiatru, frunące nad ziemią, na wysokości oczu...

Najpierw usiłował schwytać taki frędzel, potem tylko wpatrywał się w mrok, aż do łzawienia oczu – naprawdę coś tu jest, czy zwid to tylko? Po kilkudziesięciu próbach wytłumaczył sobie, że skoro powietrze w lochu jest całkowicie nieruchome, martwe, skamieniałe, to nic nie może tu polatywać, zrozumiał kolejny raz, że jest tu zupełnie sam, i tylko pozbawiony bodźców wzrok płata takie figle, jakby namawiał do zmiany trybu życia: „Wyjdź stąd, odetchnij innym powietrzem, popatrz na świat, na coś, na cokolwiek! Tu nie widzisz nawet swoich palców!”.

Rzeczywiście – nie widział. Niezliczoną ilość razy (nie pamiętał już ile razy tak było) wydawało mu się, że w lochu pojaśniało. Wtedy machał sobie przed nosem rękami, przysuwał dłonie coraz bliżej, aż zaczynał czuć na twarzy ruch powietrza, a potem niewidzialne palce uderzały w nos. Ale i tak nie widział nic. Kilka razy, choć było to bolesne, wolno zbliżał palec do oka tak długo, aż czuł na gałce dotknięcie suchego czubka palca. Łzawił wtedy i przeklinał, ale po jakimś czasie, pod pierwszym nadarżającym się pozorem powtarzał doświadczenie.

Nie wiedział, jak często to robił. Nie wiedział, czy dokonywał tych prób naprawdę coś widząc, czy tylko pobudzony nadzieją i rozpaczliwie pragnący naprawdę coś zobaczyć.

Od uwięzienia tylko raz strażnicy pokpili sprawę – nie wygasili kaganka i udało mu się zobaczyć, gdzie się znajduje. Długo potem wspominał ten cudowny widok:



kamienne ściany, podzielone na osiem części wystającymi żebrami, które przesuwają się aż na sklepienie, wysokie na cztery-pięć *poolee* i tam łączyły na środku, kamienna posadzka okrągłej celi, drzwi, solidnie okute, ze sporym szybrem i półką. Kamienna półka-prycza z kilkoma skórami. „A może – myślał – strażnicy umyślnie raz pokazali mi więzienie, bym i wiedział, jak się po nim poruszać?”. Okowy były wystarczająco długie, by sięgnął półki na drzwiach i zabrał kubas z wodą, czasem nawet mlekiem, i kilka placków, a co dwa-trzy dni – kawałek zimnego i twardego mięsa. Mógł też dotrzeć do znajdującego się na styku łukowej ściany i posadzki dołu, który uznał za kloakę i słusznie, bo potem słyszał, jak strażnik, spluwając i mamrocząc coś pod nosem, zgrzytał od strony korytarza jakimś naczyniem o kamień, wybierając niespecjalnie obfite odchody jeńca.

Ogólnie rzecz biorąc, musiał to przyznać w duchu, niewola mogła być gorsza, tu karmili, jak na więzienie, nieźle, nie torturowali, nie kazali nurzać się w gównie i szczynach... Tylko, że niczego poza pierwszymi przesłuchaniami nie chcieli. No to po co?

I ta ciemność!... Powiadają, że ślepcowi wyostrza się słuch, dotyk, węch. Może. Węch tu nie był mu zupełnie potrzebny – pachniały tylko przynieszone przez wartowników placki, śmierdziało własne ciało i jego odchody; dotykać mógł ścian, a i to nie wszystkich, tylko tych, do których sięgał po naciągnięciu pęt. Jeśli mu nawet wyostrzył się słuch, to nie przynosił żadnych doznań, ot – szelest skór na legowisku, zgrzyt łańcuchów przy poruszeniach, wolne, ostrożne kroki strażnika, a dźwięki ludzkiej mowy tylko wtedy, kiedy sam się odzywał. Trochę do siebie na początku mówił, potem wystraszył się, że coś powie, że zdradzi, i zaniechał, przynajmniej świadomego gadania.

Dwa czy trzy razy budził się, słysząc czyjś głos. Za pierwszym razem ucieszył się i nabrał powietrza, by krzyknąć do rozmówcy, i wtedy usłyszał, że ten ktoś, kto powiedział: „...na pewno bym się odwinął i trafił go. Tylko jak ty wyskoczyłeś z za węgla z tym swoim Kroigiem, jak nie wrzasnąłeś...” zamilkł. A potem zrozumiał, że to on sam mówił, mówi do kogoś, kogo nie chciał ściągać tu, wprowadzić do tego lochu, więc z całej siły uderzył się pięścią w kolano. Potem jeszcze kilka razy słyszał głosy, ale już wiedział, że należy po prostu nakryć usta dłonią, a wtedy rozmówca nagle cichnie i też jakby nasłuchuje. W końcu, po trzecim czy czwartym takim przypadku, powiedział na głos: „Nie ma tu nikogo poza mną, i jeśli usłyszę czyjś głos, to znaczy, że mówię do siebie. A tego mi nie wolno czynić!”.

Wtedy głos umilkł i póki pamiętał, by nie otwierać ust – milczał.

Zostali mu wierni towarzysze, nieodłączna para, ponure stadło – mrok i cisza. Mroku nie mógł rozproszyć, z ciszą walczył, trochę mrużąc przez zaciśnięte zęby. Kilka razy nie wytrzymał i zaśpiewał. Śpiewał, żeby nie pogłębiać loszego nastroju nie o łąkach i pszennowłosych pannicach, tylko o polach bitwy, o krukach, o przeciętych

nicjach żywota, o oczekiwaniu, wypatrywaniu i wypłakanych oczach... Znał mało pieśni, jakoś nigdy wcześniej nie szukał w nich rozrywki, pociechy, natchnienia, podniety. Próbował ułożyć własną, ale musiał to zarzucić – najpierw nic nie wychodziło, a potem temat niebezpiecznie zbliżył się do tych zakazanych warstw pamięci. Nie, żadnych wspomnień, żadnych rozliczeń, a układania prostych, rymowanych opowieści o przygodach nieprawdziwych, wymyślonych ludzi nikt go nie nauczył. Śpiewał więc rzadko, powiedziawszy sobie, że to ostateczność. Że potem to już tylko zadzierzgnięcie łańcucha na szyi. Ale nie próbował jeszcze, nie przymierzał się.

Liczył czas mniej więcej tak – jedno krótkie posiedzenie przy wymacany w podłodze otworze – pół doby. Potem stwierdził, że wobec wielkości porcji może uznać, że wypróżnia się raz na dobę, i tak już liczył: kucanie – dzień i noc. Czasem jednak wyczuwał, że mała porcja pożywienia jakby cała pochłaniana jest przez wygłodniały organizm, wtedy dodawał hojnie jedną dobę.

Dwieście.

Naliczył ich dwieście. Korciło go powiedzieć więcej, trzysta. Ale bał się, że taka liczba go złamie, więc liczył oszczędnie. Skąpo odmierzał sobie doby.

A potem miał odwiedziny ducha.

Drzemał, może nie tyle drzemał, co trwał w zajmującym mu większą część czasu stanie – ni to sen, ni to jawa, półtrwanie, półzycie... Nawet nie wiedział, czy ma w tej chwili otwarte oczy czy zamknięte. Musiał specjalnie pomrużyć, żeby przekonać się, że ma otwarte. Przez tę krzątaninę z oczami przegapił pojawienie się upiора. Coś syknęło, właściwie – cicho zgrzytnęło, jakby ktoś pociągnął koniuszkiem cienkiego patyka po szorstkim kamieniu. W powietrzu wyrysowała się wygięta krecha zielonkawego światła, smuga pleśni na ścianie mroku. I zgasła. Poderwał się i, zapierając zakutymi w łańcuchy stopami w podłogę, napał plecami na ścianę, dziko rozglądając na boki. Przed sobą machał rękami, a potem i rękami, i nogami. Coś syknęło z lewej, w tamtą stronę wytrzeszczył oczy, syk rozległ się wtedy po prawej, po chwili znowu po lewej... Między tymi odgłosami, jakby upiornym dialogiem węży, poczuł na twarzy delikatny powiew powietrza... Wrzasnął z przestachu. A potem nie przestawał już wrzeszczeć. Ryczał z całej siły i wierzgał nogami, starając się wyciągać nogi możliwie daleko, niczego jednak nie sięgał. Więc przynajmniej krzyczał.

Jego wrzask zaalarmował strażników. Nagle zobaczył z prawej pionową krechę ostrego, żółtego światła. Gdyby nie był przerażony do granic możliwości, wiedziałby, że to światło kaganka któregoś ze strażników przebija przez szczelinę w futrynie, ale on pomyślał wtedy, że to... że to ostrze miecza, że na krawędzi głowni gra magiczne światło. Zamarł z wytrzeszczonymi oczami, zjechał po ścianie i siedział z nogami

wysuniętymi w kierunku promienia. „Lepiej – myślał – stracić nogę niżli rękę, lepiej nogę...”.

Gdy do lochu wpadli dwaj strażnicy, zobaczyli zarośniętego, chudego mężczyznę, z kajdanami na przegubach i nad kostkami stóp, z nogami zadartymi i skierowanymi brudnymi podeszwami w ich stronę. W jego wytrzeszczonych oczach rozbłysło światło, a wtedy można było zobaczyć, że objęte są szaleństwem.

–Czego? – wrzasnął pierwszy strażnik i przysunął kaganek do twarzy jeńca.

Drugi zachował się rozsądniej – odsunął kolegę barkiem i zasłonił sobą światło.

–Co się stało? – zapytał spokojniej. I do pierwszego: – Przecież nic nie widzi, jak mu tak ogień w pysk wsadzasz!

Więzień nie odpowiadał. Nie krzyczał już, nie wierzgał nogami, nie machał rękami, wodził tylko załzawionymi oczami po całym pomieszczeniu, usiłując wypatrzeć coś za ich plecami.

–Upiory... – wyrzucił w końcu z siebie.

Strażnicy wymienili spojrzenia, jednocześnie odwrócili się i skierowali do drzwi.

–Upiory! – prychnął ten pierwszy, wrzaskliwszy.

Drugi nic nie powiedział, ale zanim wyszedł, uniósł wysoko swój kaganek i uważnie rozejrzał się po lochu. Więzień naśladował go, nerwowo wycierając łzy płynące obficie z oczu. Potem strażnik przestąpił próg, a jego kolega huknął z całej siły drzwiami. Głuche echo potoczyło się po korytarzu i pomknęło schodami do góry. Jego małe odgałęzienie wpadło do krypty z więźniem, zakołowało po sklepieniu i zamarło. Przyczaiło się.

–Przybył po mnie – mruknął po chwili jeniec z rezygnacją. – Musiał przybyć.

Długą, długą, długą chwilę trwał w zupełnej ciszy, nasłuchując i wytrzeszczając w mrok oczy. Ale nawet kiedy spłynęły już do końca łzy, nie zobaczył niczego.

–Przygotuj się, Cadronie – powiedział więzień do siebie. – Przybył.

\*\*\*

Siedział na ławie pod ścianą prawie dwie *semie*, zanim w drzwiach pojawił się Kerel Od Śmierci Włos. Karzeł przekuśtykał całą obszerną poczekalną salę, przystanął przed magiem i wykonał coś, co tylko przychylnie nastawiony człowiek mógł uznać za ukłon. Mag spokojnie wpatrywał się w pomarszczone, wydłużone ponad miarę

oblicze karła. Małe, utopione w głębokich oczodołach oczka, ku którym zbiegały się zmarszczki od skroni i nosa, patrzyły nieprzychylnie i czujnie. Nos, przypominający małą rzepę, na dodatek rosnącą na skalistym podłożu, które spłaszczyło jej czubek, poruszał się cały niczym czubek nosa posokowca. Karzeł czekał pozornie spokojny, ale pod ostrym spojrzeniem maga jego odwaga zaczęła topnieć. Sodos wychylił się i powiedział cicho.

–Będziesz mi przeszkadzał, pożałujesz. Pomożesz, zyskasz wdzięczność moją i władcy.

Od razu zrozumiał, że popełnił błąd. Karzeł wcale nie poczuł się pewniejszy, może inaczej; pewniejszy tak, bo zrozumiał, że mag w jakiś sposób zabiega o jego przychylność, ale też od razu nabrał przewrotnej pewności siebie, co u takich ludzi, skrzywdzonych przez los, przekłada się na zapiekłe lekceważenie, potem pogardę, a na końcu chęć zemsty za strach, jakiego zażyli na początku. Mag zobaczył, że karzeł na pewno nie będzie jego sojusznikiem, dobrze jeśli nie będzie wrogiem. A po przyjrzeniu się uznał, że chyba jednak będzie.

–Ostrzegam – zakończył, nie mając pewności, czy w ogóle warto było odzywać się do małego złośliwca.

–Czy możesz mi powiedzieć, czego chcesz od naszego władcy? – Kerel Od Śmierci Włos raczył rozewrzeć wargi i wypowiedzieć pytanie, w którym zaakcentował słowo „mi”, co miało unaocznic magowi, kto tu jest petentem, a kto stoi górá.

–Chcę się widzieć z Trazwalarem Wielkim.

–W sprawie?

Kerel lekceważąco wystawił jedną stopę do przodu i skrzyżował ręce na piersi, ale przesadził. Mag poderwał się jak rozjuszona kobra. Zanim karzeł zdążył choćby mrugnąć, jedną ręką chwycił go za haftowaną koszulę na piersi. Szarpnięciem uniósł w powietrze i przysunął do siebie. Ich nosy niemal się zetknęły.

–Posłuchaj, kurczu jeden! – syknął Sodos Skrępowany.– Powtarzam, będziesz mi bruździł, ześlę na ciebie kilka plag, szczać będziesz nosem, a srać uszami, nie powiem, co ci będzie wychodziło zadkiem! Rozumiesz, karaponie? Nie myśl, że twoje ploty zaszkodzą mi u Trazwalara, na pewno zaszkodzą tobie! – potrząsnął karłem.

Wyglądał na wściekłego, ale nie był. Po prostu uznał, że popełnił błąd, odzywając się do karła, przez co pozwolił tamtemu nabrać pewności, zaryzykował więc teraz, by go z tego siodła wysadzić. Chyba się udało. Karzeł poruszył ustami, ale nie uleciał z nich żaden sensowny dźwięk, tylko skrzek.

–Pamiętaj, gnido!

Cięnięty do tyłu Kerel Od Śmierci Włos boleśnie walnął tyłkiem o śliską posadzkę, odjechał trochę i nakrył się nogami. Potem poderwał się i wykrzywioną z gniewu twarz skierował ku magowi. Ten szybko wyciągnął rękę i raz strzepnął wycelowanym w zauszniaka Trazwalara palcem. Wargi poruszyły się, jakby coś mówił. Liliput odwrócił się na pięcie i, wrzasnąwszy, pognął przed siebie. Mag przez cały czas, póki Kerel nie zniknął za drzwiami, trzymał wycelowany weń palec. Ale karzeł nie odwrócił się już, nawet zamykając za sobą drzwi, pamiętał, by nie skierować spojrzenia w stronę człowieka, który upokorzył go tak, jak nikt od czasu, kiedy zawładnął swoją obecną pozycją na dworze – stanowiskiem absolutnego totumfackiego, nie zadającego się z nikim na dworze, mającego dzięki temu ogromną i niepodważalną władzę.

Mag usiadł z powrotem na ławie. Spokojnym ruchem naciągnął kaptur na głowę, pochylił się i przygarbił, ręce ułożył na kolanach. Zamarł, zdecydowany czekać aż do skutku. Nie patrzył na wartowników przy trzech parach drzwi, nie widział więc, mając nasunięty na oczy kaptur, że cała szóstka wymieniła znaczące, radosne spojrzenia. Stojąc po trzy *semie* w kamiennym bezruchu, musieli nauczyć się zmieniać pozycje wewnątrz zbroi i trochę jakby wewnątrz ciała, tak że na zewnątrz nie widać było najmniejszego poruszenia, a jednak członki nie kostniały i nie sztywniały. Nauczyli się, pozornie patrząc przed siebie bez ruchu, wymieniać ważne informacje, przede wszystkim: „minęła *semia*... minęła druga...” albo „kręci mnie w nosie”, czasem „tego nie lubimy” albo „dobrze jej tak, niech idzie zażyć jadu”.

Kerel Od Śmierci Włos nie cieszył się szacunkiem innych dworaków i służby, załaząc złośliwie za skórę wszystkim i każdemu, ciesząc się władzą i korzystając z jej uroków. Spojrzenia wartowników mówiły „nie lubimy...niech...” Pół *semii* potem z drzwi wysunął się pokojowiec i szybko dotarł do maga. Ukłon był oficjalny, ale zgodny z etykietą dworską. Mag uniósł głowę, strącił kaptur z głowy.

–Panie, jeśli to sprawa pilna i ważna, władca nasz, Trazwalar Wielki, gotów jest udzielić ci chwili czasu.

–Tak, sprawa jest ważna i pilna. Inaczej bym nie kłopotał władcy swoją osobą.

–Zatem...

Pokojowiec wykonał szeroki gest i pochylił głowę z szacunkiem. Sodos Skrępowany poszedł pierwszy, ale przed samymi drzwiami zwolnił i ustąpił pierwszeństwa.

–Prowadź, wolę iść za tobą niż błądzić.

Trazwalar Wielki leżał w ogromnej niecce, zagłębionej w podłodze, wypełniającej niemal jedną trzecią komnaty, wyłożonej witrażowymi płytkami szkła. W parującej wodzie pływały ogromne liście nenufarów. Po jednej stronie wanny w kucki na

podłódze siedział Kerel Od Śmierci Włos, po drugiej dwaj nieznani magowi starcy. Naprzeciwko władcy Ustawiony był najdziwniejszy chór, jaki przyszło magowi widzieć. Stali w dwu szeregach wysocy, barczyści mężczyźni z gładko wygolonymi twarzami i pozbawionymi włosów głowami, których skóra zabarwiona została na ciemną czerwień. Na ich barkach zasiadały karły. Ci mieli oblicza okolone obfitymi brodami i długimi wąsami. Część z tych liliputów miała owłosienie spreparowane, ale robota była przednia, a każda broda warta połowy wioski czy kilku wozów miodu.

Mag zrobił krok w kierunku władcy i przyklęknął na jedno kolano, pochylając głowę.

–Panie, proszę o chwilę rozmowy, ale w cztery oczy... – powiedział.

–Hm? – Trazwalar zawahał się. – Dobrze. Kerelu, mój mały miły, idź sobie za parawan, wy też – odwrócił się do starców i wskazał im kierunek.

Karzeł, kiwając się na krótkich, krzywych kończynach, pomaszerował ku ścianie, przy której stał parawan ze ściankami przedstawiającymi nader sprośne sceny z życia ludu, wyróżniającego się wielkością organów płciowych. Mag odczekał, aż cała trójka zniknie za parawanem. Trazwalar skinął głową, jednocześnie wzywając maga na ławkę, którą opuścili starcy. Skinienie głowy skierowane było do chóru. Kiedy mag usiadł, mali ludkowie na ramionach gigantów zaczęli nową pieśń, ich wysokie, kobiece głosy zmieszały się po chwili z dudniącymi basami, dołączyło echo zrodzone przez wysokie sklepienie.

Mag pochylił się w kierunku władcy, zerknął w bok, na parawan. Jeśli ktoś tam przyłożył, oko do szczeliny, to i tak nie widział jego ust. Na wszelki wypadek usiadł na ławie jeszcze bardziej bokiem do parawanu.

–Panie, mam dwie prośby. Pierwsza dotyczy dwu zmian w najbliższym twoim otoczeniu. Po pierwsze, proponuję, byś zostawiał przy sobie nie dwóch, ale czterech żołnierzy. Przed drzwiami sypialni zwłaszcza. Ale nowej, nie tej, w której teraz śpisz. Już wyjaśniam, gdyby xameleon wcielił się w jednego z nich, to może poradzi sobie z drugim, ale z trzema będzie mu już trudno – Trazwalar póleżał w pachnącej wodzie, kiwał lekko głową, ale nie przytakiwał magowi, raczej taktował śpiew chóru. Sodos Skrępowany odczekał chwilę i mówił dalej.

–Po drugie, proszę o możliwość dostępu do twojego, panie, więźnia. Do przyjaciela złudzieńca, Cadrona.

–A dlaczego nie przesłuchasz tego człowieka przy użyciu magii?

–Nie tyle chodzi o przesłuchanie, panie... – mag westchnął. – On nie wie przecież, w jakiej postaci ten xameleon może tu wystąpić. Nie wie nawet, czy w ogóle tu przybędzie. Raczej chodzi mi o to, by posłużyć się nim jak przynętą...

**Monarcha wpatrywał się weń uważnie. Potem wychylił się w kierunku rozmówcy: – I to wszystko? Wszystko, na co cię stać?**

**Pod jego wzrokiem mag przełknął ślinę, oblizał suche wargi. Pokręcił głową:**

**–Nie, panie. To nie wszystko, i to nie jest mało. Tylko... Takie przebywanie w niematerialnym ciele jest, jest... niebezpieczne... Wiele rzeczy może spowodować... wolę nie mówić...**

**Podniósł spojrzenie na Trazwalara.**

**–Jeśli każesz, panie... Ale to nie pomoże...**

**Władca wyglądał na zadowolonego z własnej przenikliwości, która pozwoliła mu wydobyć z maga przyznanie do własnej słabości. Zastanawiał się chwilę.**

**–Cenisz swą skórę. Nie przywykłem do tego, by moi poddani ośmielali się w mojej obecności mówić o tym, że dbają o swoje nosy... – rozważał chwilę, czy go to zirytowało.**

**–Dobrze. Na razie rób, jak uważasz za właściwe. Na razie – powtórzył. Zabrzmiało to jak pewnego rodzaju groźba, albo przynajmniej ostrzeżenie.**

**–Jeśli... a zresztą... – odwrócił się do chóru i krzyknął: – Jeśli nie chce się wam śpiewać, to po co tu w ogóle stoicie?!**

**Chór jakby podwoił się, tony stały się czystsze i mocniejsze, czerwone dotychczas oblicza olbrzymów posiniały, natomiast blade twarze karłów zrównały się barwą z granatem ścian.**

**–Jeszcze jedno, panie – przypomniał mag Trazwalaro-wi. – Sypialnia...**

**–Dlaczego? – zmarszczył brwi monarcha.**

**–Równie mgliste przeczucia, jakby prądy przyszłości przyniosły mi wieść... że w starej komnacie... może być niebezpiecznie...**

**–O? Ciekawe... – mruknął monarcha. – Ciekawe. Aż mnie korci, żeby nie zastosować się i przekonać, czyja głowa pójdzie pod *pugtusk* kata...**

**–Ciekawość bywa obosieczna, panie – powiedział mag.**

**–Jeśli tak jesteś sprawny w magii jak w języku, magu, to mogę spać spokojny – powiedział.**

**Sodos Skrępowany przemilczał te słowa. Trazwalar kiwnął głową.**

–Dobrze. Będę cię słuchał, aż do chwili... kiedy już nie będę.

Podniósł głowę i uśmiechnął się chłodno.

–Podoba ci się? – zapytał.

Mag popatrzył na niego zaskoczony, król wskazał palcem chór. Połowa śpiewaków wyglądała, jakby miała za chwilę zemdleć. Sodos pomyślał, że dla siedzących na ramionach gigantów karłów mogło to być bardzo niebezpieczne, a na pewno bolesne. Jakby w odpowiedzi na jego myśli, Trazwalar Wielki wychylił się w kierunku maga:

–Najbardziej lubię, gdy zaczynają się walić jak miękkie gruchy z pleców tych wielkich głupków, a ci ze strachu nawet ich nie łapią – zachichotał, zasłaniając usta dłonią.

Potem tą samą dłonią machnął w powietrzu, zwalniając maga. Sodos poderwał się i pochylił w głębokim ukłonie. Potem szybko pomaszerował do drzwi. Nie zdążył – kiedy brakowało mu do nich dwóch czy trzech kroków, pierwszy karzeł, kwiknąwszy krótko, przechylił się i poleciał na posadzkę. Młasnęło i plasnęło. Mag wzdrygnął się i szybko przekroczył próg. Za drzwiami, nie zwracając uwagi na strażników, przystanął i odetchnął głęboko.

Ci, nie raz widząc takie zachowanie gości monarchy, nie drgnęli nawet. Ich dłonie wydawało się przyrosły do rękojeści krótkich, poręcznych szabel. Gdyby na wargach któregoś z nich osiadło piórko, nie odleciałoby, aż do zmiany warty. Mag odchrząknął i pomaszerował do drzwi.

Kamienne spojrzenia wartowników niosły nieczytelną dla obcego oka wieść: „jeszcze jedna *semia*...”

Gdy rozległo się pukanie do drzwi, Marecheba Sieć wskazał Ob Rydlowi drzwi do drugiej izby; *samerantur* na palcach wymknął się za nie, ale przymknął tylko, zostawiając szczelinę. Gospodarz odchrząknął i krzyknął „Wpuścić!”. Wszedł Faseh Zielony i przystanął zaraz za progiem. Dowódca straży wyciągnął przed siebie nogi w ubłoconych butach – przed chwilą wrócił z kontroli wart na zalewanych wiosennym deszczem łąkach za murami, na północ od miasta – i pomachał palcami w powietrzu, ponaglaając chłopaka do otwarcia list.

–On, panie, chyba zaklinał sztylet... Podglądałem przez szparę w drzwiach do komory... Łyskało w pokoju i coś warczało, a potem sztylet zniknął! Tak samo, jak on sam na targu – mówiłem!...

–Co – na targu? – Marecheba Sieć słyszał już tę opowieść, teraz pytał, żeby dać Ob Rydlowi okazję wysłuchania historii z ust świadka.



–No, toż mówiłem, panie – powiedział z pretensją w głosie Faseh. Ale widząc wyciągające się w jego kierunku stalowe palce *halemmeda*, szybko odskoczył: – Już, panie, już!... Bo byliśmy na targu, najpierw u tego zielarza... czy co on tam jest... potem poszliśmy na targ, Sodos kupił zioła, a potem zesłał deszcz i uciekł! – poskarżył się.

–Deszcz? Uciekł?

–No tak, z jasnego nieba chlusnęła ulewa, panie. Cały targ to widział. A potem... potem...

–No, gadaj!

–Potem była tęcza... – sapnął chłopak. – Piękna... wielka... Wystawała z dachu domu przy targu... Ludzie krzyczeli, że tam musi być złoto...

–I co?

Chłopak poruszył brwiami zdziwiony.

–Nie wiem... czy było złoto, bo...

–Nie o to pytam, durniu! – wrzasnął Marenceba Sieć.

–Złota mu się... – sapnął i pogroził pięścią. – Gadaj, co z magiem?

–A, no ja go już nie widziałem. Jak przyszedłem, to mi powiedzieli wartownicy, że nie wchodził do swojej komnaty, pukałem, ale się nie odzywał... Sprawdziłem... – nie przyznał się, że zajrzał do izby, korzystając z wnęki z *kaplorem* -...nie było go... A potem – bach, i zawołał mnie z izby!

Stał z rozdziawionymi ustami. Gospodarz powstrzymał się, żeby nie pacnąć pachółka w łeb. Co on, w końcu, winien?

–A co ze sztyletem? Jaki był ten sztylet? – zapytał po chwili milczącego namysłu. – Jakiś specjalny nóż?

Odruchowo omiółł spojrzeniem swoje skarby na ścianie i warsztacie, wszystko niby było na miejscu.

–Drewniany...

–Drewniany?! – Podciągnął nogi i usiadł wyprostowany. – Dlaczego?...

Niedokończone pytanie zawisło w powietrzu, chłopak pokręcił głową, jego ramiona drgnęły.

**–Dobra. Coś jeszcze? Gdzie byliście wczoraj?**

**–Na targowisku i u mistrza Hajmaleina Kruka... Sprzedaje książki... chyba leki też...**

**–Książki... – Zamyślił się, a opuszki palców wybijały długi rytm na pokrywcę puzderka z drobnymi ćwiekami, jakby na napiętą skórę bębna sypały się z rozprutego worka ziarna suchego grochu. – Ta dziewczka?**

**–Od trzech dni nie było. – Hm...**

**Jeszcze chwila sypiącego się grochu. Potem Marecheba Sieć splunął i przegonił chłopaka niedbałym ruchem dłoni.**

**–Uciekaj!**

**Gdy zamknęły się drzwi, z drugiej izby wyłonił się Ob Rydel. Przystanął przy stole warsztatu i grzebał chwilę w stosiku wiórów.**

**–Rozumiesz coś? Sztylet? Drewniany? – zapytał Marecheba Sieć.**

**–Nic.**

**–Ja też.**

**–I to zniknięcie w mieście... – mruknął Ob Rydel.**

**–Co do tego, to jestem... spokojniejszy – powiedział wolno Marecheba Sieć. – Jedna z tamtych dziewczek opłacana jest przeze mnie. – „Trzy, dokładnie rzecz ujmując – pomyślał. – Ale nie muszę się dzielić wszystką wiedzą, szczególnie, że ty się nie dzielisz żadną”. – Sodos pojawił się u niej i spędził na harcach dobre dwie *semie*.**

**–Na dziwce?**

**–To akurat nie jest dziwne, wiemy, że korzysta ile się da ze służek. Pytanie tylko – wywołał deszcz, żeby do niej uciec, czy wykorzystał deszcz, żeby do niej uciec?**

**–Ba! – mruknął w końcu Ob Rydel.**

**Chwilę jeszcze zastanawiali się, mając świadomość, że dziwne doniesienia chłopaka mogą być bardzo ważne, ale nie potrafili uchwycić nici, która zaprowadziłaby ich do jądra, do prawdziwego sensu i wagi informacji. Potem rozstali się, gospodarz nawet nie zaproponował wina, zresztą wybierał się za chwilę na jeszcze jedną kontrolę wart.**

**Nie zdążył. Załomotały w drzwi dłonie w okutych metalem rękawicach. Gdy Marecheba Sieć otworzył je, zobaczył dwu strażników, którzy nie pochylili głów w powitalnym ukłonie, tylko rozsunęli się, robiąc mu miejsce. Nie pytał, bo nie musiał,**

kto go wzywa, a oni nie odzywając się ani słowem, poprowadzili swojego dowódcę w kierunku komnat monarchy. Po drodze zastanawiał się, czy jest jeszcze ich przełożonym. I czy przekazał siostrze ostatni mieszek z zaoszczędzonymi monetami, na wiano dla jej najstarszej córki... Czy będzie miał jeszcze szansę przekazania?

Nikt nie zatrzymywał ich, nie zwalniali przy posterunkach, przechodzili pałacowymi korytarzami przez warty, jak nóż przez gęstą śmietanę. Wyglądało, że wszyscy wiedzieli o ich nadejściu i uciekali im z drogi. Na jego widok Kerel Od Śmierci Włós wskoczył do sypialni władcy, po krótkiej chwili wypadł z niej i, nie zamykając drzwi, wskazał je Marencebie Sieci. Przekroczył próg sypialni Trazwalara.

–Co to jest? – rzucił od razu pólężący na miękkiej kanapie władca.

Cisnął pod nogi Marenceby jakiś patyk. Kiedy Marenceba Sieć pochylił się, poczuł uderzenie krwi do głowy. To był dość niedbale wystrugany sztylet, zaostrzona szczapa podłego drewna, patyk znaleziony pewnie nad brzegiem Ptyonu.

–Panie, gdzie...

–Na moim łożu. Leżało sobie na moim łożu! – Trazwalar zmełł w ustach przekleństwo i powtórzył, dzieląc słowa na sylaby: – Na-mo-im-ło-żu!

Marenceba milczał, monarcha chwycił dzban z winem i cisnął nim z całej siły w ścianę. Na biało-złotym kobiercu rozkwitła czerwona plama, skorupy rozsypały się po podłodze. „Dziwnie podobna – pomyślał o plamie Marenceba Sieć – do plam na podeście kata...”. *Halemmed* kilka tylko razy w życiu czuł taką lodowatą kulę w brzuchu, ale – bez względu na to, ile razy ją czuł – wiedział, co oznacza i nie lubił tego uczucia. Nie lubił się bać.

Trazwalar Wielki posłał kielich nad głowę Marence-by, ten nawet nie poruszył brwią. Za plecami rozległ się trzask szkła. Monarcha, prychnął i raptownie uspokojony, niedbale sięgnął do złotej misy i wrzucił do ust jądro gawroniego orzecha. Marenceba pomyślał, że władca nie lubi, kiedy podwładni widzą go nie panującego nad sobą. Kilku za pamięci *halemmeda* przypląciło to głową. Choć oficjalne wyroki były inne...

–To będzie chyba... maga...- powiedział.

„Dwa mieszki, tak, na pewno zostały mi nie wysłane dwa mieszki – myślał z goryczą. – Na Gryeibesa, który mnie pokarał głupotą! Jak mogłem tak zwlekać z przekazaniem złota? Teraz ktoś skorzys...”

–Maga. Tak. Tak myślałem. – Trazwalar pokiwał głową. Potem chwycił jeszcze jeden orzech, ale zanim włożył do ust, skinieniem ręki przywołał bliżej Marencebę Sieć.

–Rano poprosił mnie, bym zmienił sypialnię – wpił się spojrzeniem w oczy dowódcy swojej straży. – To jest, jak rozumiem, jego ponaglenie, takie popchnięcie do działania: „Tu nie jesteś bezpieczny!” powiada do mnie – westchnął.

–Chodzi mi po głowie, by przekazać go w ręce Krokassa Zguby. Nie lubię, jak mi ktoś mówi, co powinienem zrobić.

Wrzucił jądro orzecha do ust, podniósł głowę i z dołu popatrzył na swojego *halemmeda*. To też nie wróżyło mu dobrze – monarcha nie cierpiał ludzi niskich. Ale jeszcze bardziej – wyższych od siebie. Właściwie można powiedzieć, że uparcie i skutecznie tępił takich.

Maretheba Sieć zastanawiał się chwilę. Monarcha lubił zaskakiwać podwładnych, teraz też mogło być tak, że niby radzi się, czy oddać maga w ręce kata, a gdy ucieszony, że nie jego los się rozstrzyga, *halemmed* powie „tak-tak!”, dowie się, że będzie ich dwu w loszku przy pracowni Krokassa Zguby.

–Nie wydaje mi się, panie – powiedział cicho. – Na razie nie widzę niczego podejrzanego w jego postępowaniu. Jest dziwny, ale to mag – pozwolił sobie na lekkie skrzywienie ust.

–Dowiedział się jakoś, że mam tego Cadrona – mruknął Trazwalar Wielki.

Grzebał palcem w misce z orzechami, ale nie przejawiał większej ochoty na ich słone jądro.

Maretheba Sieć syknął głośno, zacisnął pięść tak mocno, że trzasnął jakiś staw. Chciał zapytać „jak?”, ale uświadomił sobie, że zachowałby się jak podniecony, załamujący dłonie młodzian, a nie dowódca pałacowej straży: „Jak to się stało? Jak to się mogło stać?”. Milczał więc. Milczał przez chwilę, a potem już czuł, że im dłużej milczy, tym niezręczniejsz będzie przerywać ciszę.

–Chce mieć do niego dostęp – rzucił przed siebie monarcha. – Chętnie bym posłuchał, o czym będą rozmawiali.

–Przenieść więźnia do innego lochu? – zaproponował Maretheba Sieć.

Trazwalar Wielki cmoknął i pokręcił głową. Już nie wyglądał na zagniewanego, po prostu radził się zaufanego człowieka. Maretheba Sieć pomyślał, że może jeszcze zdąży wyposażyć małą Yan-Limi, zanim jej wuj trafi na gorszy humor władcy. Poczuł, że kręci mu się w głowie, i od razu uświadomił sobie, że to z powodu powstrzymywanego od kilku długich, jak połowa życia, chwil oddechu. Wciągając przeponę, żeby władca nie zauważył głębszego wdechu, zaczerpnął nieco więcej powietrza. Przed oczami fruwały czerwone rozbłyski, w skroniach pulsowały bębny.

–Nie... On się dowie, że podsłuchujemy. Na razie niech się cieszy z własnego sprytu – rzucił król.

–Ciągłe jest o krok przede mną, a mnie to irytuje. Zabiorę się do niego, jak już będzie po wszystkim. Przyjdzie mu pozbyć się kilku swoich magowych sekretów! – rzucił cichą groźbę, patrząc na swoje zaciśnięte dłonie. Potem podniósł wzrok na Marencebę:

–Od zaraz, straż pod drzwiami z czterech ludzi, nie z tych specjalnie przygotowanych, tylko z wybranych przy pomocy losowania z całej formacji. Odpowiadasz za to, losowanie i od razu do wykonania, bez żadnych przerw i zamian. Żeby nie było żadnych szans na podmiannę, porozumienie się z kimkolwiek. Każde wykroczenie od tej reguły – kat. Rozumiesz? – dowódca straży skinął głową, nie zdążył nic powiedzieć.

–Pół tuzina w korytarzu i czterech pod drzwiami, rozumiesz? Jak masz za mało ludzi, weź od Festru Szpaka, zabierz swoich z innych posterunków, mają być w najbliższym otoczeniu.

–Tak, panie.

Marenceba Sieć kiwnął się na palcach, jakby zamierzał odwrócić się i wyjść, by wydać odpowiednie rozkazy. W rzeczywistości – zachwiał się z braku powietrza.

–Czekaj! – syknął monarcha.

–Twoi ludzie mają poruszać się po służbie trójkami, co najmniej! – uniósł palec do góry.

–Jeśli ktoś gdzieś kiedyś zobaczy dwóch gwardzistów, obaj idą na pień, jasne? Którykolwiek oddali się od kolegów na chwilę chociażby, do Krokassy, albo nie, egzekucja w *halemmesiel* Sami! – Marenceba odważył się na dwa głębokie oddechy, pokiwał energicznie głową. – Ten... Ca-dron... Niech zostanie tam, gdzie jest. Mag może do niego przychodzić, kiedy chce. Za drzwiami niech siedzą dwaj skrybowie i pilnie notują wszystko, co będzie w lochu powiedziane. Nie muszą się kryć, nawet mają się nie kryć. A Sodosowi powiedz, że oni mają rozmawiać głośno i wyraźnie, bez ukrywania ani jednego słowa.

–Tak, panie.

–Gotuj się do drogi, za trzy, cztery dni ruszamy z wizytą do mojego czcigodnego ojca, wrócimy przez równinę Egzeh, goszcząc w kilku moich zamkach i na kilku co znacniejszych dworach. Potem powiem ci, w jakich. W każdym razie, przygotuj swoich ludzi, uzupełnij zaciąg, i tak dalej – Trazwalar Wielki ułożył się na plecach, przeciągnął i przymknął oczy.

**–To wszystko. Dziś śpię w komnatach w zachodnim skrzydle.**

**–Panie, czy specjalną opiekę roztoczyć również nad królową Hanibeli Perłą?**

**–Mmm?... – Monarcha otworzył oczy i zmierzył Marencebę Sieć czujnym spojrzeniem. – N-no... Tak. Tak – powtórzył. – Ale tak, by nie była tym zmęczona, rozumiesz? Nie chcę wysłuchiwać skarg...**

**–Tak, panie. Rozumiem.**

**–No to...**

**Marenceba Sieć skłonił się głęboko i tyłem dotarł do drzwi. Przekroczył próg twarzą do monarchy. Za drzwiami wyprostował się, a odetchnął dopiero na schodach. Potem spadł na swoich ludzi jak jastrząb na stado drobiu.**

**–To nie będzie dla nich męczące – powiedział Marenceba Sieć do tuzinowych. – I tak są cały czas w swoim towarzystwie, tyle tylko, że odtąd będą wyłącznie i zawsze w swoim towarzystwie. Ty – wskazał najmłodszego z tuzinowych, Buza Kopcia – udasz się do warsztatów stolarskich i każesz od ręki wykonać kości do losowania. Sześćdziesiąt klocków podzielonych na dwadzieścia kolorów, po trzy w każdym. Tym będą się dobierali. Też losowo, czasem na cały dzień, czasem co posiłek, czasem na pół nocy. Nikt nie może znać i nie będzie znać rytmu losowań, bo go nie będzie. – Płasnęła dłoń w kolano. – Wy macie obserwować swoich ludzi bacznie, tak bacznie, byście wiedzieli nawet kto o czym myśli. Pamiętajcie, nie chcę nikogo przykładowo karać, nie lubię mordować swoich ludzi, ale też nie położę za nich głowy. Król nasz, Trazwalar Wielki rzekł: Jeśli zobaczycie kiedykolwiek kóregokolwiek samotnie, dajcie szyję! Jeśli będzie ich tylko dwu, obaj idą na pień. Sądzę, że ich tuzinowi też. Obym ja nie.**

**Skrzywił się i popatrzył po kolei w oczy swoim dowódcom. Żaden nie odwracał spojrzenia, nie oblizywał nerwowo warg, byli szkoleni od dziecka do ochrony władcy, i pod tym względem nic się nie zmieniło. A to, że Trazwalar okazał im w pewien sposób nieufność, trudno. Taka władcy wola.**

**–Żeby żaden z was i żołnierzy nie miał przy sobie żadnej dodatkowej broni, tylko *sreheny*, tarcze i tak dalej... Wiadomo. Żadnych dusilinek, żadnych specjalnych noży, strzałek, szpil i tak dalej. Dacie im *semię* czasu na oznakowanie broni, każdy ma mieć broń oznaczoną swoją marką... I pancierz też – dodał po krótkim namyśle.**

**–Nie zdążymy, panie – odważył się zaprotestować Bargden Senny. – Na samo cechowanie broni zejdzie...**

**–Dobra – natychmiast ustąpił Marenceba Sieć. – Do wieczornej zmiany! Powiadomić Slokai Iglę, że jej hafciarki mają migiem oznakować każdemu**

wojownikowi jego odzienie, każdą jego część! Umówcie się, z czego ma się składać komplet dla każdego strażnika, i nic nie wolno poza tym! – uniósł głowę i chwilę patrzył w niebo.

Kołowały po nim dwa sokoły, pewnie te strażnicze, które atakowały wszystkie gołębie, prócz zielonoskrzydłych fechtali, których nie wolno nikomu mieć poza władcą.

–Odzienie? Gacie? – nie wytrzymał najstarszy tuzinowy, siedzący obok Bargdena Sennego.

–Tak – Maretheba Sieć popatrzył zniecierpliwiony na pytającego. „A co on winien, że nie rozumie? – pomyślał. – Czy ja więcej wiem?”.

Odetchnął, ale postarał się, żeby nie było to westchnienie zniecierpliwionego głupotą podwładnych dowódcy.

–Wyobraź sobie, że ktoś się przedziera do komnat władcy. Zostawia w ręku straży kawałek kaftana. I co mam powiedzieć, że nie wiem, kto to był?

–Ale to może być kawał kaftana bez jego miana! – uśmiechnął się tuzinowy, zadowolony, że przyłapał dowódcę.

–Ale będzie musiał wyrzucić resztę, bo po oderwanym kawałku dojdziemy do właściciela reszty, a nie ukradnie innemu, bo tamte będą oznaczone innym imieniem prawda?

Tuzinowemu uśmieszek spelzł z warg. Pozostałych dwudziestu trzech wymieniło spojrzenia.

–Czy jeszcze coś? Może o czymś zapomniałem? – nikt się nie odezwał. Po kolei, gdy padało na nich spojrzenie, tuzinowi kręcili przecząco głowami.

–No to idźcie dopilnować swoich ludzi. I – na Noibosa – pilnujcie ich dobrze, dla dobra swoich własnych głów. My i nasze *halemy* musimy być poza najmniejszym podejrzeniem. Jasne?

Poderwali się i stali nieruchomo aż do chwili, kiedy Maretheba Sieć odwrócił się i odszedł w kierunku stajni. Chwilę po tym, jak przekroczył jej próg, z wnętrza zaczęli wybiegać najpierw niewolnicy, potem, według rangi, chłopcy od obroku, uprzężni, wozacy, stajenni, zarzął przeciągle jakiś wierzchowiec, jakby przekazywał innym otrzymane od Maretheby Sieci instrukcje. Potem dwaj niewolnicy wypadli ze stajni i naparli na ramiona pompy, chlusnęła struga zimnej wody do koryta. Popłynęła wartko do zbiornika, w którym trzej inni niewolnicy zaczęli energicznie pracować na obrok.

Gołym okiem widać było, że ochrona władcy przygotowuje się do działania. Gołym okiem.

A takich oczu wiele wpatrywało się w energicznie krzątających się po dziedzińcu ludzi.

Wieża z lochami miała chyba kiedyś być czwartą wieżą pałacową, ale podobno zasłaniała ponad sto lat temu widok z okien komnaty królowej Salli. Dlatego została zburzona od połowy albo nie wyciągnięta w górę. Jedni mówili, że królowa zburzyła, inni, że nie pozwoliła budować. W każdym razie został na dziedzińcu obszerny walec z kopulastym dachem w kształcie olbrzymiego łusko-watego grzyba. W jednym miejscu budowniczy wysunął dach daleko poza obręb ściany, tworząc okap nad drzwiami. Pod dachem stali zawsze dwaj przypominający nieruchome, nieżywe kukły wartownicy.

Kiedy Sodos Skrępowany pojawił się przy wejściu do lochu, strażnicy nie okazali zdziwienia. Nie okazali w ogóle niczego. Trwali nieruchomi, jak wykonane przez wspieranego przez nieludzkie moce rzeźbiarza posągi. Dopiero gdy nagle szczęknął jakiś rygiel, odsłoniło się okienko na wysokości piersi, a potem, po serii innych szczęknięć, otworzyły się drzwi i pojawił nieco zapasiony dowódca, dwaj wartownicy wykonali zwrot ku drzwiom, z jednoczesnym cofnięciem o krok. W tym małym szpalerze ustawił się pulchny, ale mocno zbudowany wojownik i bez słowa wpatrywał się w Sodosę. Mag milczał również. Trwało to tak długą chwilę, że jeden z wartowników nie wytrzymał i mrugnął.

–Czekamy na coś? – zapytał mag. – Jestem Sodos Skrępowany. Mam zgodę monarchy na widzenie z pewnym więźniem.

–Wiem, panie. Czekamy na skrybów.

Odpowiedź padła szybko, była przygotowana i spodziewano się jej wygłoszenia. Głos dowódcy był dziwnie chrapliwy, tacy pulchni ludzie zazwyczaj miewają głosy piskliwe, ale gładkie, jakby smarowane wewnętrznym tłuszczem. Jednak kiedy Sodos Skrępowany przyjrzał się szyi stojącego nieruchomo naprzeciwko niego mężczyzny, odkrył na niej dwie blizny, jakby ktoś dźgnął w miękką szyję dwuzębym nożem. I tak pewnie było.

Sodos cofnął się o krok, odwrócił, przespacerował po placyku przed niskim budynkiem. Po kolei popatrzył na obie podeszwy swych butów, bo przechodził obok psiarni. Potem spenetrował spojrzeniem niebo, a w końcu wrócił do strażnicy. Z nudów przyjrzał się wieży. Zazwyczaj wejścia do lochów znajdowały się w podstawach bastionów, czasem po prostu w podziemiach głównych budynków. Tu nie, kwadratowy budynek o zaokrąglonych rogach nakryty był niemal idealnie okrągłym, kopulastym dachem. Dachówki wykonane zostały z takim mistrzostwem,



że z trudem, chociaż krawędź dachu tylko nieznacznie przekraczała wzrost wysokiego mężczyzny, zobaczyć można było ich łączenia.

Tknięty przecuciem Sodos Skrępowany obszedł wolno całą budowlę, uważnie wpatrując się w złączenie dachu i ścian. Było lite, szczelne, bez żadnych widocznych otworów. „Ta-a-ak... – pomyślał zadowolony. – Musi być inne też połączenie z powierzchnią ziemi, udusiliby się inaczej...” Gdy wrócił przed wejście, stali tam dwaj mężczyźni w płaskich czapeczkach z wystającymi do tyłu czubami. Skórzane kaftany miały po kilka kieszeni na wysokości piersi i niżej, tkwiły w nich pióra, wystawały rękojeści nożyków do ostrzenia, a z nieco większych wystawały szyjki glinianych kałamarzy. Łopatki obu skrybów zakrywały niewielkie tablice z cienkich deseczek, ten starszy nieco się garbił, dlatego jego tabliczka odstawała i wyglądała niemal jak przenośny pulpit widzianego na targowisku rachmistrza. Obaj stali ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, obaj jednocześnie skłonili się przed Sodosem. Skrzyżował ręce i skłonił się również. Trzymany pod pachą drewniany kuferek, właściwie płaskie puzdro omal nie wypadło mu na ziemię. Pulchny dowódca cofnął się, pchnął drzwi i gestem zaprosił maga.

–Pójdę pierwszy, panie, i będę wskazywał drogę.

Za drzwiami nie było nic poza dwoma ławami, drewnianymi, twardymi i wytartymi do głębokiego, ciemnego blasku spodniami setek strażników w ciągu tysięcy dni. W kilku niszach stały małe stoliki, na nich dzbany i kubki, i kaganki. Kaganki płonęły również w paru miejscach na ścianach. Przy schodach stali jeszcze dwaj strażnicy, którzy wykonali identyczny manewr, jak ich druhowie przed drzwiami do lochu.

Schody były strome i najpierw prowadziły prosto, ale już po kilku stopniach skręcały, stawały się jeszcze mniej wygodne i wymagały w tym momencie zdwojonej uwagi schodzących. Potem dopiero zaczynały prowadzić w dół przytulone do ściany, nieco łagodniejsze, ale za to pozbawione poręczy, a sądząc z chłodu emanującego z dołu, głębokość lochu musiała być znaczna. Dowódca straży wziął pochodnię z pęku umocowanego do ściany i przypalił od kaganka. Sodos Skrępowany, nie pytając, wziął drugą, skrybowie nie ruszyli ich, musieli dobrze znać drogę, albo woleli mieć wolne ręce. Jeden z wartowników zapalił jeszcze jedną pochodnię i zamknął pochód.

Schodzili w milczeniu, szurały tylko podeszwy na drewnie schodów. Poskrzypywały czasem drewniane belki, syknęła i strzeliła iskrą pochodnia maga; jeden ze skrybów, widocznie zbyt blisko idący ściany, otarł się brzegiem tabliczki o ścianę, krótki zgrzyt spowodował, że wszyscy poza przewodnikiem drgnęli i na krótką chwilę stracili rytm schodzenia.

Echo kroków odzywało się jakby szybciej, jakby ożywiło się, obudzone i ucieszone wizytą. Jeszcze kilkanaście ostrożnych kroków i schody skończyły się. Stanęli na brzegu okrągłego, wykutego w kamieniu pomieszczenia.

Dowódca straży podszedł do wstawionego w prosty, mosiężny pierścień pęku pochodni i po kolei, nie przerywając milczenia, zapalił sześć. Zrobiło się jasno. Mag zaczął się rozglądać. Zapłonęły jeszcze dwa pęki pochodni, mniejsze, po cztery sztuki.

Tu brały początek trzy korytarze, odchodzące nie, jak należałoby się spodziewać, w trzy świata strony, tylko właściwie w jedną. Trzy ciemne odnogi znajdowały się blisko siebie, musiały rozchodzić się promieniście, oddalać od siebie, żeby w ogóle można było między nimi rozmieścić jakieś pomieszczenia.

Milczący przewodnik, nadal nie odzywając się, rozdał nowe pochodnie, tym razem młodszy skryba również wziął jedną. Wszystko odbywało się w milczeniu, wszyscy uczestnicy wyprawy do lochu znali swoje zadania, mieli opracowane metody postępowania i trzymali się ich z zapalem nowicjuszy, choć byli znakomicie wyszkolonymi praktykami. Przewodnik skierował się do najdalszej od schodów sztolni. Przeszli nią kilkadziesiąt kroków i znaleźli się przed kolejną komorą, identyczną jak poprzednia, tyle że bez schodów. Większą część komory zajmowała cela więźnia. W ścianach komory wykuto trzy otwory, w jednym były pochodnie, w dwu pozostałych łuczywo.

Dowódca straży wskazał gościom, że powinni pozbyć się nadmiaru pochodni. Mag szybko wsunął swoje dwie w szczeliny, otrzepał dłonie, i wyjąwszy spod pachy puzdro, położył na posadzce.

Na kamiennej ławie, pod stertą niezbyt czystych der i skór poruszyło się ciało. Przewodnik wsunął rękę z pochodnią przez pręty i uważnie przyjrzał się celi. Od lewej ściany do pryczy więźnia prowadził solidny łańcuch. Teraz, kiedy jeniec się poruszył, drgnęły i okowy. Po chwili spod sterty okryć wysunęły się nogi, a potem stos odfrunął, odgarnięty silnym ruchem ręki, odsłaniając siadającego na ławie mężczyznę. Dowódca sięgnął do sakwy, wyjął odpowiedni klucz i niemal bezszelestnie otworzył zamek, potem włożył klucz do sakwy, a sakwę odczepił i podał jednemu ze skrybów, temu starszemu. Dopiero wtedy wszedł do właściwej celi. Obszedł ją wolnym krokiem, oświetlając wszystkie jej zakamarki, następnie stół, kamienny szeroki kloc na środku celi, i dwie kamienne ławy po obu jego stronach, sprawdził wielkie, drewniane wiadro, podszedł do więźnia i oświetlił go. Mag podszedł do kraty, kątem oka widział, że to samo zrobili pozostali świadkowie.

Więzień był mocno zbudowanym mężczyzną, chyba dość wysokim, o ile można było to ocenić, gdy siedział. Miał długie włosy porządnie splecione w dwa warkocze i nieporządną brodę, wynik kilkumiesięcznego braku ostrego noża. Nie widać było, jakiego koloru ma oczy, mrużył je oślepiany niezwykle widocznie dla niego ilością światła.

–Wstań i usiądź tam – odezwał się w końcu dowódca straży.

Więzień jakby zastanawiał się chwilę, może zresztą nie znał języka, dopiero widząc towarzyszący słowom gest, zrozumiał, czego się od niego oczekuje. Wstał i wtedy Sodos Skrępowany zobaczył, że się nie mylił. Mężczyzna był i mocno zbudowany, i wysoki. Po prostu – duży. Przetarł oczy, zrobił dwa kroki, usiadł. Wszystko po omacku, łzawiące oczy nie pomagały mu jeszcze w niczym. Potrząsnął głową, a potem sprawdził, jak ułożyły się warkocze. Ręce położył płasko na kamiennym, poplamionym blacie. Na prawej miał pierścień, nic cennego, pewnie srebro, bez kamienia. Spod rękawów ciepłego, owczego *bursa* wystawały brudne końce białej kiedyś koszuli, tak samo brudny był kołnierz. *Burs* najwyraźniej otrzymał tutaj, wojskowy, używany, naddarty na plecach. Spodnie chyba miał swoje, skórzane, z kilkoma troczkami na łydkach, z pętelkami, w których pewnie mocowane były kiedyś pochwy noży.

Więzień siedział spokojnie wpatrzony w przeciwległą ścianę. Na jego twarzy nie rysowały się emocje, tylko po policzkach spływały łzy z podrażnionych światłem oczu. Strażnik obszedł stół, splunął do wiadra i wskazał magowi miejsce po drugiej stronie bryły stołu. Więzień nie odwrócił głowy, choć nie ulegało wątpliwości, że widzi kątem oka zbliżającą się postać, potrząsnął głową, strząsnął trochę łez, przetarł oczy, ale od razu znowu zasnęła je wilgoć.

Mag podszedł i usiadł po drugiej stronie stołu, już idąc, zerknął na okowy więźnia, jeden łańcuch prowadził do kostki nogi, rozgałęział się na drugi, doprowadzony do kajdan na prawej ręce. Łańcuch odmierzony był tak, że więzień mógł dojść do stołu i usiąść przy nim. Prawą dłoń mógł oprzeć o kamienny blat, ale nie sięgnąłby przez stół, nawet do jego połowy. Nie groziło zatem z tej strony niebezpieczeństwo. Natomiast lewą ręką mógłby, gdyby się trochę powyginał, miał na to czas i ochotę, sięgnąć może i przez stół. Siadając, mag już zobaczył to wszystko, ocenił i ruchem ręki przesunął więźnia na ławie w lewo, sam usiadł po przekątnej stołu, niemal na rogu. Odwrócił się do strażnika.

–Następnym razem ma być przygotowany łańcuch na drugą rękę – powiedział.

–Mogę go skuć teraz, jeśli sobie tego życzysz, panie – w głosie pulchnego dowódcy straży rozbrzmiewała uraza.

–Gdybym sobie życzył, to bym powiedział. A powiedziałem przecież: następnym razem.

Sodos Skrępowany położył na stole szkatułę i otworzył ją. Ponad stojącym pionowo wiekiem przyjrzał się uważnie więźniowi. Ten często mrugał oczami, ale nawet tego nie można było wziąć za oznakę zdenerwowania. Kolejny raz otarł oczy.

–Zwą mnie Sodos Skrępowany – powiedział mag.

**–Wierzę.**

**–Gdzie cię ujęto?**

**–W Sogoy-Segaynie.**

**–Co tam robiłeś?**

**–Jak ci powiem, że wyrwano mnie z łóża pewnej młodej nasiębierki, to nie będziesz pytał, co jej robiłem. Czy to też mam opowiedzieć?**

**–To tej nocy, kiedy cię pojmano – mag mówił spokojnie, tak, by przesłuchiwany zrozumiał, że pokłady jego cierpliwości są niewyczerpane. – Ale w ogóle, co robiłeś w tamtej okolicy?**

**–Przyjechałem... kupować.**

**–Co?**

**–Co się da – więzień wzruszył ramionami. – Skoro już dotarłem tak daleko, głupio by było nie założyć karawany, by wrócić do ojczystych ziem bez zysku.**

**–A dotarłeś, jak powiedziałeś „tak daleko”, po co?**

**–Dla samego dotarcia – uśmiechnął się zapytany. – Taką mam naturę, że jak widzę jaką drogę, to od razu muszę nią iść, żeby zobaczyć, kto jest na drugim jej końcu.**

**–Kto?**

**–No tak. Przecież drogi budują ludzie. Zawsze są jacyś na jej końcach – uśmiechnął się wesoło więzień.**

**–Zwą cię Cadron, prawda?**

**–Cadron też. Matka mówiła Cehmel, ojciec Basiuta. Służyłem też pod kilkoma innymi imionami, między innymi pod takim.**

**–Ale ostatnio – Cadron? – upewnił się mag, sięgając do puzderka.**

**–Nie zawsze, ale na ogół tak.**

**–Nie, to nie tak. Ostatnio, czyli od kilkunastu już lat, od czasu, kiedy spiknąłeś się z xameleonem zwanym Hondelykiem, nazywałeś się zawsze Cadron?**

**Mag nie podniósł głosu i jego palce nadal spokojnie penetrowały zawartość kasety, ale nagle w lochu zapadła tęższa, cięższa cisza. Słysać było przez chwilę chrobot**

pióra po arkuszu, potem, kiedy skryba skończył notować ostatnie słowa, nawet to ucichło. Sodos Skrępowany wolno odwrócił głowę i popatrzył przez kratę. Pisarze siedzieli ze skrzyżowanymi nogami, na których ustawili swoje pulpity i notowali. Pulchny dowódca kucnął pod ścianą i wpatrywał się w podłogę. Może drzemał, ale mag raczej na to nie postawiłby ani jednego *surę*.

–Hondelyk był z tobą?

–O nie! – roześmiał się swobodnie więzień nazwany Cadronem. – On się nie rusza, jeśli nie ma okazji wypchać trzosa. On powiada, że musi być wypas, żeby mu się opłacało ruszyć z ciepłej izby. Woli grzane wino, zimne piwo, soczyste mięsiwo i szczuple dziewoje.

–Tak?. – mruknął mag.

Nagle odsunął puzdro a jego ręce zaczęły poruszać się tak szybko, że ciągle jeszcze łzawiące oczy więźnia nie nadążały z obserwowaniem czynności. Mgnienie oka i na stole stały cztery płaskie, trójkątne miseczki – nie miseczki, coś przypominającego *klaicas*, używanych do palenia kadzidłowych wosków. Mag przesunął się i siedział teraz dokładnie naprzeciwko Cadrona. Między nimi pojawiło się na stole coś, czemu więzień nie zdążył dokładnie się przyjrzeć. Sodos zaczął szeptać, potem głos jego stał się mocniejszy, ale i tak nie sposób było zrozumieć ani jednego słowa. Z miseczek wynurzyły się długie płomyki dziwnego, zielonego ognia, płomyki wyciągały w górę cienkie ozorki, wyglądały na zimne, nawet mokre. Cadron zmarszczył czoło, chciał podnieść wzrok na siedzącego naprzeciwko maga, ale między płomyka-, mi poruszyło się coś, uniosło głowę, i wtedy zaskoczony mężczyzna zobaczył, że jest to niewielka jaszczurka zwana diablím ogonem. Zwierzątko podniosło się na tylnych, łapkach i poruszyło głową.

–Przysuń do niej rękę – dał się słyszeć głos maga. Nie maga, ten nadal mamrotał inkantację, między nimi, jakby spomiędzy *klaicas* wysnuwał się głos kogoś trzeciego. Cadron zeszywniał, rzucił bezradne spojrzenie na pisarzy, znieruchomiałych, wychylonych do przodu, za nimi oparł się rękoma o kolana strażnik, ale nie podnosił się tylko wpatrywał zaniepokojony w oświetloną zielonym, „spleśniałym” płomieniem scenę. Cadron poczuł, że ponad jaszczurką wpija się w niego spojrzenie kogoś potężnego, wielkiego, twardego, nieustępliwego i niepokonywalnego. Złego. Chciał odsunąć się od stołu, ale był jakby do niego przykuty. Zobaczył, że własna lewa ręka wysuwa się do przodu, że z cichym szelestem przesuwają się po zakurzonym, kamiennym blacie, przysuwają do zwierzęcia. Jaszczurka opadła na cztery łapki, śmignęła do przysuwających się palców i gdy zaskoczony Cadron chciał cofnąć dłoń, przemknęła po wierzchu dłoni, zanurkowała pod rękaw i pomknęła po ramieniu do góry. Mężczyzna krzyknął i szarpnął się do tyłu, ale już było za późno. Poczucił zęby gada wpijające się w kark. Zapominając o łańcuchu, uniosł obie ręce, żeby złapać, albo zmiażdżyć zwierzę, choć najgorsze i tak już się chyba dokonało. Okowy

**brzęknęły mag przestał mamrotać.**

**–Zostaw! – krzyknął władczo.**

**–Zostaw... – powtórzył ciszej. – Tam nic nie ma... już.**

**–Co zrobiłeś? – warknął Cadron.**

**–Och, niemal nic... – niedbale rzucił Sodos Skrępowany. Przykrył dłońmi trójkątne miseczki, zgasił płomień w dwu, potem w kolejnych. – Jesteś w mojej mocy. Moje zaklęcie wniknęło w ciebie.**

**–Ale... diabli ogon...**

**–Och, to nie była jaszczurka... – odwrócił się do siedzących ciągle jeszcze nieruchomo skrybów.**

**–Piszcie, bo stracie głowy! – roześmiał się swobodnie.**

**Z pisarzy spadł omam, rzucili się do wykonywania jego rady, strażnik pochylił się, jakby miał runąć na nos, poderwał, wstał, zatoczył się jeszcze raz, ale ustał.**

**–To tylko tak, żeby ci było łatwo uwierzyć, że nie masz co ze mną walczyć.**

**Wstał i zaczął pakować szkatułę.**

**–Musi tu być światło. Niewiele, ale jeden kaganek musi być. Może w tej części, poza jego celą... – wskazał ścianę naprzeciwko kraty. – I to już od teraz. Słyszysz?**

**–Tak, panie...**

**–No to wracamy.**

**Podszedł do pochodni i, nie zwracając zupełnie uwagi na pozostałych, wyjął jedną ze szczeliny, po czym ruszył tunelem do schodów. Zanim pisarze zakorkowali swoje kałamarze, pochowali pióra i zwinęli niewiele zapisane arkusze, kroki maga rozlegały się już na schodach. Przewodnik i strażnik wybrał najmniej wypaloną pochodnię i zostawił w szczelinie. Potem zamknął kratę, sprawdził zamek i popatrzył na więźnia. Ten siedział przy stole i masował miejsce na ramieniu, gdzie poczuł ukąszenie diabiego ogona. Pewnie by się zdziwił, słysząc, że ani strażnik, ani pisarze jaszczurki nie widzieli, słyszeli tylko o niej z ust rozmawiających...**

**Gdy sapiący dowódca straży, umyślnie idący przed pisarzami, żeby przypadkiem go nie wyprzedzili i nie pogrążyli w oczach podwładnych, wyszedł na powierzchnię, po magu nie było już śladu.**

Na dole, gdzie teraz jedna tylko pochodnia oświetlała koliste, wykute w skale pomieszczenie, przedzielone kratą, więzień siedział nadal przy stole, zapatrzony w przestrzeń przed sobą. Miał światło, oczy przestawały łzawić. Już chociażby to uznał za szczęśliwą odmianę w więziennym żywocie. Zamyślił się. Gdyby ktoś Obserwował go w tej chwili, musiałby pomyśleć, że ten przykuty do ściany mężczyzna widzi coś, czego nie dojrzy nikt poza nim. Jego oczy pozornie nieruchomo wpatrywały się w ścianę, ale w rzeczywistości poruszały się szybko, jakby przyglądał się z daleka detalom jakiejś obfitującej w szczegóły sceny. Po długiej chwili drgnął i odzyskał ostrość spojrzenia. Nadal jeszcze siedział przy stole, potem syknąwszy, wyprostował ścierpnięte ramiona. Potarł znowu bark, przetarł łzawiące jeszcze trochę oczy.

Wstał, i cicho brzęcząc łańcuchem, przespacerował się na odcinku wyznaczonym przez okowy. Potem usiadł na swoim łóżu, naciągnął na plecy jedną z derek i długo wpatrywał się w płonącą pochodnię. Kiedy pół *semii* później podszedł do kubła i ulżył sobie, nagle poczuł się nieswojo, do tego stopnia, że nie wytrzymał i obejrzał się. Nikt go nie podglądał, cały loch był pusty, był tu jedyną żywą istotą.

Ale już od tej chwili nie mógł się pozbyć wrażenia, że ktoś, coś snuje się po jego lochu i obmacuje go miękkim i obojętnym spojrzeniem.

Hanibeli Perła z niepokojem wpatrywała się w męża. Władca ziem od Morza Lodowego Smoka do Gór Ognistych, leżał brzuchem do dołu na przykrytej cienkim, jedwabnym prześcieradłem podłodze. Postękiwał i chrząkał – po plecach dreptał mu siedmioletni chłopiec. Malec miał już dużą wprawę w masowaniu władcy, stawiał stopy piętami, jak lubił Trazwalar Wielki, ale unikał okręcania się, bo wtedy skóra monarchy marszczyła się i odczuwał bolesne szczypanie. Trwało to już dobre ćwierć *semii*, Hanibeli starała się nie okazywać niepokoju, ponieważ jej mąż nie lubił pokąsanych warg i rozbieganego spojrzenia. Dlatego siedziała nieco z boku, żeby musiał okręcić głowę, chcąc ją zobaczyć.

Milczeli wszyscy. Dzieciak – wiadomo – nie po to tu był, miał ostrożnie, ale zdecydowanie stąpać po plecach władcy, tak długo, aż usłyszy „dość”. Kerel Od Śmierci Włos siedział ze skrzyżowanymi nogami pod ścianą i przeżuwał słodką lodygę syropowca.

–Uciekaj – powiedział Trazwalar Wielki i odwrócił się na plecy, ale nie wstawał z podłogi.

Chłopcu udało się zeskoczyć z pleców króla bez wzbudzania jego złości, udało się zachować równowagę. Wsunął stopy w drewniane trepy i, postukując piętami, przemknął do drzwi. Szklana kurtyna cichym, bogatym dzwonieniem skwitowała jego wyjście. Za kilka opali, nanizanych na sznury można było wyposażyć *halem* wojska.

–Dlaczego nie powiedziałaś mi, pani, że nosisz w sobie mojego potomka? – zapytał leżący z zamkniętymi oczami Trazwalar Wielki. Wyciągnął ramiona ponad głowę jakby chciał sięgnąć czegoś za sobą, ale tylko się przeciągał. Długa blizna na dolnych żebrach po prawej stronie rozciągnęła się i zaczęła przypominać rysunek długiego, cienkiego jataganu. W jego głosie nie słyhać było groźby ani, pretensji. Jak mógłby władca połowy świata mieć o coś do kogoś, poza sobą, pretensje? Znaczyłoby to, że ktoś jest w stanie go dotknąć! Ale słowo „mojego” uderzyło Hanibeli Perłę w twarz jak mokra ścierka.

Leżąca na boku królewska małżonka odłożyła połówkę *tliffy* i oblizała mokre, lepkie i nieco cierpkie palce.

–Sama nabrałam pewności rano. Chciałam ci powiedzieć, panie, wieczorem. Chociaż, jeśli mam być szczerą, to niewiasta nabiera pewności jeszcze później. Nie wiem, jak ten mag...

–W końcu to mag, prawda? – powiedział Trazwalar, nie otwierając oczu.

–Powinien wiedzieć to, czego inni nie wiedzą. – wyciągnął do góry ręce i wyprężył palce. – Wiele bym dał, żeby wiedzieć, czy tak jest naprawdę. I może się dowiem.



**–Zawsze myślałam, że oni zajmują się jakimiś rzeczami wielkimi – Hanibeli pomachała paluszkami w powietrzu. Przez sufit i ściany przemknęło kilka świetlistych plamek, odbić światła w kamieniach jej pierścieni, w złocie bransolet. – Kierują wiatrami, osuszają jeziora, przywołują armie duchów... A nie, że interesują ich kobiece przypadłości...**

**Karzeł z bezczelnym cmoknięciem wyjął łodygę z ust. Wargi i język miał zdrętwiałe od oszałamiającego soku syropowca, ale nie przejmował się tym, że mówi niewyraźnie. Po syropowcu mało kto się czymkolwiek przejmował.**

**–Twoja przypadłość, pani, jest dla państwa równie ważna jak użyź... nia...niające pola wlewy Ptyonu – wybełkotał.**

**–Wspaniałe powiedziane, Kerelu – pochwalił go Trazwalar Wielki.**

**Odwrócił się na bok, plecami do karła, twarzą do małżonki.**

**–Przecież wiesz, że i ja, i cały lud czekamy na następcę... – powiedział łagodnie, ale jego oczy wcale nie patrzyły łagodnie. Hanibeli Perła któryś już raz podziękowała bogini wiosny, Wiilce, swojej patronce, że jest przy nadziei.**

**–To będzie chłopiec? – zapytał niby niedbale, ale nie udało mu się zamaskować niepokoju w głosie. – Wiesz to?**

**–Tak, wiem, Wiem, że to ważne I dlatego nie chciałam pośpiesznie chwalić się wstrzymaniem krwawienia. A czy to chłopiec... Tak czuję.**

**–Nieważne – machnął ręką jej mąż i ułożył się z powrotem na plecach, z rękami pod głową i zamkniętymi oczami. – Sodos Skrępowany powiedział, że chłopiec. Chyba mu ufam.**

**Hanibeli zacisnęła wargi, jej oczy błysnęły jakimś złym światłem. Natychmiast opanowała się. Trazwalar Wielki nie zauważył niczego. Ciągle leżał z przymkniętymi powiekami.**

**–A jeśli to tylko kilkudniowe opóźnienie? – powiedziała cicho Hanibeli Perła.**

**–No, teraz już wiemy, że nie – machnął ręką monarcha. – Chodź tu do mnie, słodczy moja.**

**–Tam, na kamienie? Panie?! – powiedziała z wyrzutem Hanibeli Perła. – Będę miała posiniaczone całe plecy! – poskarżyła się, ale jednocześnie zsuwała na podłogę i przysuwała do męża.**

**–Nie, poświęcę swoje plecy – powiedział Trazwalar, Objął żonę jedną ręką, drugą**

wsunął za pasek jej miękkich, wełnianych, bufiastych spodni. Hanibeli zachichotała i wciągnęła brzuch, uciekając jednocześnie biodrami. Ale jej ręka wsunęła się w spodnie męża, gdzie sztywniał jego członek. Trazwalar Wielki wsunął dłoń głęboko między jej rozchylone nogi, a potem bez większego trudu uniósł ją i ułożył na sobie. Hanibeli syknęła, przyssała się do jego sutka, powyżej blizny.

Karzeł wsunął znowu łydycę syropowca do ust, a potem lepką dłoń w swoje szarawary. Ułożył się wygodniej, żeby widzieć monarszą parę i głośno siorbnął.

–Niech on wyjdzie! – syknęła Hanibeli Perła do ucha męża.

–Dlaczego? Od kiedy ci przeszkadza? – zdziwił się. Wyprężył biodra i wszedł w małżonkę. – Dobrze, Kerel, wynoś się stąd!

Karzeł poderwał na równe nogi, zatoczył i chwiejnym krokiem dotarł do drzwi, Trazwalar Wielki ponad ramieniem żony przyglądał się, jak dopiero za czwartym razem udaje mu się, wspiąwszy na palce, sięgnąć klamki i otworzyć drzwi.

–Umyj ręce! – zawołał za nim, – Bo się przykleisz do zadka jakiejś dziewczki! – roześmiał się. Nagle syknął: – Co robisz, pani?...- Albo – dobrze – rób...

\*\*\*

Smród, wyczuwalny już o kilkadziesiąt kroków od budynku, tu, na progu uderzał w nozdrza z niewyobrażalną siłą. Mag skrzywił się i zatrzymał przed niewidzialną, ale tak skuteczną kurtyną. Czeladnik, którego na wyraźne życzenie Sodoso Skrępowanego przysłał mistrz Zurg Chowany, zatrzymał się i z kamienną twarzą czekał na polecenia maga. Ale ten właśnie spokój i tę niewzruszoną twarz odebrał Sodos jak wyzwanie. I kpinę. Uznał, że lepiej będzie przyznać się i nie udawać, że nie czuje fetoru. Pokręcił głową. Chwycił się za nos i ścisnął nozdrza.

–Dzo dam madzie? Zmiednik z rzedźni? Młodzieniec uśmiechnął się szeroko:

–Śmietnik z rzeźni? – powtórzył, tyle że wyraźniej. – Niemal tak, panie. Tu wybieramy kości, przydatne potem, do tego ścięgną, jelita...

–Oszczędź mi dego obisu – Sodos puścił nos, ale i tak mówił z zatkanym nosem, jakby włożył w nozdrza jakieś owoce, głogu na przykład. – Już rozumiem. Ten warsztat możemy sobie darować.

–Dobrze, jak sobie życzysz, panie. Zrozumiałem, że chciałeś prześledzić wszystkie koleje powstawania...

–Wszystkie – tak. Ale tę część już sobie wyobrażam. Zresztą – nie zamierzam sam robić dla siebie łuku, co najwyżej kupię sobie taki – roześmiał się Sodos i cofnął o

dwa kroki.

Niewielka odległość, ale ulga była wyraźna.

– Takich się nie sprzedaje. Są wytwarzane tylko tu i tylko dla gwardii Trazwalara Wielkiego – beznamiętnie sprostował czeladnik, już niemal wyprowadzony w mistrzów, może dlatego tak odważnie rozmawiający z magiem – magów świat znał wielu, mistrzów łuków gwardii Trazwalara – kilku za ledwie.

– Możemy pójść dalej i wejść do tamtego budynku.

Wskazał ręką, Sodos ruszył pierwszy. Pracownice łucznicze zajmowały trzy budynki, niskie, przysadziste, z niepomiernie dużą ilością kopcących i dymiących nawet teraz, w upale, kominów. Dwa pierwsze budynki stały obok siebie, tworząc dwa boki prostokąta, trzeci, choć też był jego bokiem, to odsunięty był od reszty.

– Czyli ten pierwszy, to tylko kości i jelita? – upewnił się mag, wskazując budynek, wzdłuż którego w pewnym oddaleniu szli. Smród i tu uderzał w nosy i niemal powodował zawroty głowy, ale – o ile się nie było po obfitym posiłku – można było to wytrzymać. Mag był na czczo.

– Z jednej strony – tylko, z drugiej – to ważne miejsce. Tu decydujemy o materiałach...

„»Decydujemy«, zatem dobrze wyczułem, że niemal pasowany już na mistrza – pomyślał Sodos Skrępowany. – Dlatego taki hardy. Ale i kunszt ich wysoki jest bardzo”.

– Do łuków potrzebujemy kawałków kości, a te nie mogą być od zwierząt starych czy chorych, ani też za młodych, z terenów podmokłych i pustyń, czerwonoskórych...

– Na Noibosa! – Mag zwolnił i z niedowierzaniem przyjrzał się czeladnikowi. Z szacunkiem. – To jakie zwierzęta mogą dostarczyć wam kości?

– Młode, ale wyrosnięte. Najlepiej z gór, te mają kościec mocniejszy. Nie za grube i nie wychudłe. No i nie czerwone. Krowy i byki z czerwoną skórą mają kości łatwo łupiące się.

– Ach tak? – Ruszył dalej, uśmiechnięty, z niedowierzaniem kręcąc głową. – A ścięgna i jelita? Na cięciwy?

– Niezupełnie. – Czeladnik darował sobie „panie”. Tu czuł się pewnie i widział podziw gościa. – Jelita, owszem, tu się je wybiera na cięciwy, potem idą do kotłów, kwaszą się, moczą, naciągają, następnie są suszone i splatane. To, w zasadzie wszystko z jelitami i cięciwami. Ale ścięgna są używane przede wszystkim do łączenia kawałków

fuku, spajania ich. Czasem wplata się je w cięciwy, ale tylko na tereny suche, bo namoczone szybko pękają.

–Każdy wojownik ma pewnie kilka cięciw, na różne okoliczności?

–Jak i kilka kompletów strzał – potwierdził czeladnik. – Inne na pancerną jazdę, inne do zabijania koni przeciwnika, inne do ludzi bez pancerzy. No, i inne do lasu i na wodę...

Stanęli przed drugim budynkiem. Teraz widać było, że w przestrzeni między węglami budynków znajduje się kierat, do którego zaprzęgnięto dwa osły. Mały chłopiec siedział na taborecie przymocowanym do osi kieratu i długim batem muskał co jakiś czas zady zwierząt.

–Napędza prasę – wyjaśnił nie pytany czeladnik. – Ale to zaraz stanie się widoczne...

Podprowadził maga do drzwi i ustąpił mu drogi. Sodos Skrępowany wszedł do pracowni.

Panował tu już zupełnie inny zapach: przede wszystkim drewna, struganego, moczzonego i suszonego drewna. Kora, wióry, opiłki zaścielały podłogę grubą warstwą, i mag pomyślał, że to nie niedbałość czy lenistwo terminatorów, tylko sposób na zagłuszenie dominującej w sąsiednim budynku woni. Chyba sposób skuteczny, bo można już było przestać napinać mięśnie brzucha. I odszpuntować zatkaany jakąś przegrodą w gardle nos. – Tu z kolei wybiera się drewna, bo taki łuk, o którym mówimy, *gliss*, a tylko takie tu wyrabiamy – podkreślił z dumą czeladnik – robiony jest z sześciu, a czasem aż z czternastu kawałków drewna.

–Jakiego?

–E-e-e... Różnego... – bąknął gospodarz.

Mag uniósł brew, ale nie naciskał. Wszystkie cechy rzemieślnicze zawsze miały swoje sekrety, tym bardziej cech tak ważny, tak wyróżniany przez wielkiego monarchę. Dlatego Sodos podszedł tylko do stojącego nieopodal pod ścianą pęku długich drzazg i przyjrzał się im. Rozpoznał cis, modrzew, wydawało mu się, że był tu i czerwony dąb, i nie łamiące się, ale łupiące na płaty dziwne i rzadkie drewno piaskownicy, i tyczki z kruszy, ale był też pewien, że niektóre ważne gatunki przechowywano i ukrywano gdzie indziej. Ale to aż tak bardzo go nie interesowało. Wrócił do czeladnika. – No i?...

–Spaja się te... odpowiednie... gatunki w długi na cztery łokcie pręt i daje pod prasę. Na cztery miesiące. Oto tam... – wskazał palcem pod ścianę.

Tam właśnie dwaj uczniowie przerzucali jakieś dźwignie, połączone z kieratem, bo po chwili unosiły się długie, kamienne, okute mosiądzem bele, a wtedy jeden z uczniów szybko wyciągał spod nich pręty, a drugi wkładał inne, właśnie przygotowane, posklejane, powiązane, grubsze wyraźnie od tych gotowych.

–Potem odcinamy z prętów niepotrzebne końce i... – Wskazał kierunek. Mag posłusznie ruszył do przodu, czeladnik dreptał tuż za nim i opowiadał dalej: -...I kiedy mamy mniej więcej trzyłokciową formę, zaczyna się jej... O, tu się odcina.

Wszędzie dokoła fruwał drobny, trocinowy pył, na stolarskich stołach młodzi ludzie, nadzorowani przez starszych, piłowali, mierzyli, sprawdzali według mosiężnych prętów, docinali, wygładzali wyjęte spod prasy pręty.

–Potem się je moczy i wygina, suszy, moczy, wygina, suszy... Szlifuje, oczywiście, dopasowuje...

Czeladnik doprowadził Sodosą do końca długiego warsztatu, przystanął pod drzwiami i wyraźnie czekał na pytania.

–No to pokaż, jak się to robi. – Mag postanowił sprawić przyjemność czeladnikowi, niemal mistrzowi. – To jest ten szczyt, to zakończenie dzieła, które, jak miemam, powoduje, że te łuki, *glissy*, są tak wspaniałe i tak cenne. To mnie właśnie interesuje!

–Wybacz, panie, ale tam nie ma wstępu nikt poza trzema mistrzami i dziewięcioma czeladnikami – bąknął zaniepokojony młodzian. Albo nie należał do tej grupy, albo nie wolno mu było wprowadzić kogokolwiek do siedziby tajemnicy. – Ja... nie mogę...

Sodos Skrępowany cofnął nieco głowę i odwrócił nieznacznie, by móc popatrzeć na gospodarza z ukosa, z niedowierzaniem i – udawanym – zaskoczeniem.

–Mam zezwolenie władcy! – syknął.

–A ja i my wszyscy gardłem ręką, że nikt poza tą dwunastką i Trazwalarem Wielkim nie wejdzie do tego warsztatu.

–Czy wiesz, psie...

–Panie, gdybym nawet chciał złamać rygory – nie wpuszczą nas, drzwi mocne, nie do sforsowania, a od wewnątrz zawsze stoi jeden czeladnik na straży! – błagalnym tonem przerwał czeladnik. – Ja tam też nie mam wstępu. Powiadam – dwunastu ludzi, a oni prawie nie wychodzą na zewnątrz. – Odważył się popatrzeć w oczy maga. – Wiem, panie, widzę, że masz złoty pas, który daje władca, kiedy pozwala wchodzić wszędzie, ale nawet ten pas nie daje wstępu do komnat króla, do skarbcza i tam – wskazał ręką i ruchem głowy drzwi, za którymi był i dziedziniec, i przejście do trzeciego budynku.

**Stali chwilę nieruchomo, adept wpatrzony w maga z prośbą w oku, Sodos przyglądający się ścianie nad jego głową, potem zrozumiał, że im dłużej tak będzie stał, tym wyraźniej okaże rozczarowanie. Wzruszył więc ramionami, klasnął w dłonie i prychnął:**

**–Cóż, woła władcy. – Poklepał czeladnika po ramieniu. – Dzięki, mam sporą wiedzę o tych łukach. W każdym razie wiem, że nie każdy może je robić.**

**Zgarnął ze stołu cienką drzazgę, i włożywszy ją do ust, wyszedł bez pożegnania i od razu skręcił w lewo, omijając dużym łukiem sekretny budynek. Usłyszał za sobą tupanie, zanim się odwrócił, dogonił go czeladnik.**

**–Panie, wybacz, ale... – Mężczyzna przełknął ślinę i nerwowo uniósł rękę, wskazał na twarz maga, jakby chciał powiedzieć, że ma usmarowane policzki.**

**Ten stał chwilę nieruchomo.**

**–Nie-e-e... Chcesz powiedzieć, że nie wolno mi wynieść drzazgi do podłubania w zębach?! – Wyjął drewnienko z ust i przyjrzał mu się z niedowierzaniem.**

**–Nie tylko tobie, panie. Nikomu nie wolno. Wszystko jest spalane w naszych piecach i suszarniach. Stąd nic nie wychodzi. Prócz gotowych łuków... Taka tradycja... I głów kilka spadło...**

**Mag wyciągnął rękę i podał mu drewnienko. Czelnik odebrał, ukłonił się i szybko podreptał z powrotem.**

**Sodos Skrępowany stał jeszcze przez chwilę nieruchomo, ale w końcu, uświadomiwszy sobie, że z okien mogą widzieć go i mistrzowie, i czeladnicy, i nawet uczniowie, i parobkowie grzebiący w gnijącym mięsie i ługu, wyprostował się i odszedł. Dopiero teraz rzuciło mu się w oczy, że po tym, wydzielonym – co zauważył dopiero teraz – dziedzińcu, nie krzątała się prosta służba, nie było wozów, dziewuch służebnych, zasmarkanych dzieciaków... Było tu cicho – słychać było tylko poskrzypujący rytmicznie kołowrót kieratu, pusto – poza, co też zobaczył dopiero teraz, kilkoma widocznymi łucznikami na murach, i nie wiadomo ilu ukrytymi za szczelną drewnianą balustradą. Trazwalar Wielki pilnie kazał strzec jednej z ważniejszych tajemnic wojennych sukcesów swojej armii. Mag przekroczył pozornie niestrzeżoną furtę w murze, kilka zwykłych, nie magicznych kroków przeniosło go w zwyczajny świat pałacowej krzątaniny: stukot kopyt i pisk niesmarowanych osi, wizg świni, chichot dziewczyny, zgrzyt oselki... Parobek, żołnierz, dwie dziewuchy, matrona, kuchcik, koza, kucający pod murem dzieciak, i drugi obok, przyglądający się jego zadkowi z zainteresowaniem. Zwykły dzień, zwyczajne życie. Tuż obok tajemnicy. Sodos Skrępowany pokręcił głową do swoich myśli i nagle, przypomniawszy sobie coś, ruszył w kierunku kąta, gdzie stacjonowała gwardia**

**Trazwalara.**

**Marecheba Sieć, jak powiedział mu jeden z tuzinowych, którego Mag nie znał, a rozpoznał po *lus*, czerwonej z cienkimi., pionowymi paskami szarfię, przewiązywanej w łokciu i na ramieniu prawej ręki, znajdował się na błoniach za miastem i miał tam spędzić cały dzień, dokonując przeglądu swoich ludzi. Sodos Skrępowany zastanawiał się chwilę, potem z roztargnieniem skinął na Faseha Zielonego, który nagle pojawił się u jego boku.**

**–Ćwiczysz na mnie podchody? – mruknął Mag. – Czy podwędziłeś mi czar skradania?**

**–Ja?... Ja...**

**–Cicho... – zastanawiał się chwilę. – Pędź do stajni i powiedz, że mają migiem przygotować dwa konie, dla mnie i dla ciebie. Dla mnie jakiegoś... – Podniósł głowę i wpatrywał się w niebo, mocno też wciągnął powietrze nosem -...karego wałacha. Dla siebie jasną klacz, byle nie siwą! Goń.**

**Chłopiec pobiegł co sił i po chwili zniknął za rogiem. Mag ruszył jego śladem, ale bardzo wolno. Szedł zamyślony, nierównym krokiem, zwalniając i niemal zatrzymując się w miejscu, z głową nisko pochyloną, mamrocząc coś do siebie, czasem unosił głowę i rozglądał się, jakby widział coś niewidzialnego, albo może tylko słyszał czy wyczuwał węchem. Albo jakimś swoim magicznym, nieznanym innym ludziom czuciem. Raz nawet uskoczył w bok, oparł się plecami o mur i chwilę trwał z rękami wyciągniętymi przed siebie i rozcapierzonymi palcami. Ale po chwili ruszył dalej, jeszcze kilkanaście kroków i nagle wyprostował się i szedł już normalnym krokiem, spokojny, uśmiechnięty lekko. Nie widząc co najmniej kilkunastu zaniepokojonych par oczu czeladzi i co najmniej trzech par innych, bardzo uważnie mu się przyglądających.**

**Pod stajniami czekali już dwaj chłopcy stajenni z wierzchowcami, a między nimi stał Faseh Zielony i podnieconym głosem coś objaśniał. Gdy mag wyłonił się zza rogu budynku, jeden z chłopców syknął i Faseh natychmiast umilkł. Sodos Skrępowany podszedł i pstryknął go w ucho.**

**–Nie plotkować, bo ci język uschnie – wskazał palcem jednego i drugiego chłopca. – A wam gnój zacznie płynąć z uszu!**

**Jeden z chłopaków głośno przełknął ślinę, potem obaj ukłonili się i uciekli, mlaszcząc po wilgotnych od końskiego moczu i wody kamieniach dziedzińca bosymi piętami. Faseh został.**

**–Panie, ja tylko... tylko powiedziałem, że to takie konie mają... być...**

**Mag, nie zwracając na niego uwagi, wskoczył w siodło i poczekał, aż chłopak wdrapie się na swoje.**

**–Po prostu – uważaj komu i co gadasz. Gdzie trzeba – trudno, ale nie mając ozorem bez potrzeby, bo się zdziwisz pewnego dnia, że masz kolek, który ci nawet nie pomoże w jedzeniu. Trzeba ci będzie wkładać karmę do gęby łychną i wpychać w gardło trzonkiem łopaty.**

**Trącił wierzchowca piętą, dobrze ułożony koń posłusznie skręcił w miejscu i ruszył kłusem w stronę wewnętrżnej bramy.**

**Dopiero *semię* później znaleźli się za miastem – musieli wolno przedzierać się przez wszystkie dziedzińce twierdzy, na których kotłowała się czeladź, szykując wyjazd władzy. Potem kręte, wijące się uliczki miasta, na których ludzie niechętnie, a w każdym razie bez pośpiechu ustępowali drogi konnym, jeśli nie mieli jakichś wyraźnych znaków monarchy. Magowi to nie przeszkadzało, pokonywał odległość stępa, rozglądając się, zaglądając dyskretnie do okien, przyglądając się życiu na ulicach. W końcu dotarli do właściwych murów twierdzy, pojechali wzdłuż, aż dotarli do właściwej bramy. Tu strażnicy, których wyczulone oko od razu dojrzało znaki stajen królewskich, rozpędzili przy pomocy kilku okrzyków i tyłuż strzałów z bata w powietrzu zgęstek ludzki pod bramą. Dowódca straży uważnie przyjrzał się magowi, nie pochylił głowy. Straż nie musiała. Skorzystał z tego prawa, z tego nakazu.**

**Wijąca się, nierówna droga wiodąca do i z Gaybony, zatłoczona była ponad miarę, kilka razy musieli nawet cofać się o kilka kroków, by przepuścić jakieś wozy czy tabory, a raz wbili się w stado *trajenek* i konie ich zaczęły nerwowo chrapać od ciąglego cienkiego wizgu zwierząt i świstów poganiających je pastuchów. Nic więc dziwnego, że gdy zostawili za sobą miasto i rozległe podgrodzie, obrastające je niczym piana brzegi stawu – lepianki, szałasy i ziemianki, przyspieszyli. I wierzchowce, i ludzie z przyjemnością wdychali czyste, chłodne powietrze i rozkoszowali się wolną przestrzenią, choć droga była też zatłoczona. Dopiero gdy Faseh wskazał odnogę i skręcili w nią, można było puścić wodze. Wjechali w drogę prowadzącą przez największe, jakie widział w życiu Sodos, pole trzciny syropowca. Krzątało się po nim kilka tuzinów wieśniaków, dwukołowe erby stały na drodze, wyładowane narzędziami, wysokimi tubami koszy na dojrzałe wczesne łądygi, czasem służące też jako sypialnie dla małych dzieci. Zaraz za polem znajdowała się obszerna i łąka, na której Marenceba Sieć i ośmiu jego tuzinowych dokonywali przeglądu tej części gwardii.**

**Widok był zadziwiający i spowodował, że mag ściągnął wodze i długą chwilę przyglądał się scenie, wstał nawet w strzemionach, potem pokiwał głową z aprobatą.**

**Gwardziści rozlokowali się na lewym skraju łąki. Tam stały przy czterech okrągłych koniowiazach, nie spętane ani nie wiązane, odpowiednio ułożone, wierzchowce.**



Chodził między nimi jeden z młodszych tuzinowych i dwaj czeladnicy, przypatrywali się uważnie siodłom, ogłowiu i workom obrokowym – *shaderom*. Dalej leżał w kilku szeregach cały oręż gwardii: miecze, łuki, kołczany, sztylety, tarcze, włócznie; w drugim – wierzchnie odzienie: kolczugi, kirysy, taszki, nagolenniki, rękawice, hełmy; potem, w trzecim szeregu, dokładnie na wysokości poprzednich dwu, odzienie niższe. Gdy skierowało się wzrok w prawo, widziało się grupę z półtorej setki prawie nagich, z przepaskami na biodrach tylko gwardzistów, z nudów, z zimna, a może na polecenie tuzinowych, porozbijanych na pary i oddających się zapasom. Jeszcze dalej na prawo siedzieli na ustawionych z czterech siodeł stosach Marenceba Sieć i trzech tuzinowi. Przed nimi wolno przechodzili gwardziści, ciężko dyszący po zapasach, pokazywali nadgarstki i uszy: tatuaże na wierzchu dłoni i zanitowane na stałe kolczyki. Mag spokojnie czekał, aż zoczy go ktoś o odpowiedniej randze, nie chciał przeszkadzać i wprowadzać zamętu do – jak widział – doskonale zorganizowanego przeglądu, nie chciał też narażać się na odmowę albo wyrzuty Marenceby Sieci. Nie czekali długo. *Halemmed* odwrócił głowę, wyraźnie na rzuconą cichym głosem uwagę kogoś z otoczenia, zauważył Sodoso Skrępowanego. Gestem odsunął dwóch pochylających się do niego żołnierzy, przesunęli się w lewo i zaczęli pokazywać swoje cechy siedzącemu obok Marenceby tuzinowemu. Marenceba Sieć wstał, zrobił dwa kroki, rozglądając się dokoła, a potem, uspokojony, że wszystko idzie gładko, szybko pomaszzerował do maga. Sodoso Skrępowany zeskoczył z wierzchowca, gdy dowódca gwardii był o piętnaście kroków od niego.

–Witaj, panie – powiedział szybko, podkreślając, że wie, kto tu jest gospodarzem, a kto ma poczucie bycia intruzem. – Chcę ci zabrać tylko chwilę cennego, jak widzę, czasu.

–Witaj, Sodosie Magu – odpowiedział Marenceba Sieć. – Chwilę zawsze da się wygospodarować...

Zawiesił głos i czekał na wyjaśnienie powodu obecności tu maga.

–Chciałbym, kiedy masz tu wszystkich czy niemal wszystkich swoich ludzi, skorzystać i dotknąć każdego z nich. W twierdzy to nie będzie łatwe, trzeba będzie ustawić skrybów z listą, sprawdzać każdego, kim jest, czy nie jest kim innym... Potem dobierać z tych, co ich nie było. A tu – wskazał palcem – nie mogą nic wymyślić...

–Wymyślić – co?

–Wymyślić uniku – spokojnie odparł Sodos. – Odwiedziłem dziś warsztat łuczniczy, w tym samym celu – wietrzę. Nie wszystko tam sprawdziłem, ale ogólnie tak. Teraz, ponieważ czeka nas wyprawa, chcę sprawdzić dokładnie ludzi, od których zależy w niej bezpieczeństwo władcy. Jeśli wśród nich są zdrajcy, czy nawet niewinni ludzie opętani przez innego maga albo... – Odwrócił się nagle i ostrym tonem rzucił do

**Faseha: – Znikaj mi stąd! Wracaj tam, pod ten krzak i czekaj. – Odwrócił się do Marenceby: – Będę mógł wyczuć, czy jest wśród nich złudzieniec albo jego pomocnik, albo ktoś spętany innym czarem. I tu nie mogą się wykręcić od sprawdzenia, a jakby uciekali...**

**Marenceba Sieć zastanawiał się chwilę.**

**–Jak myślisz to załatwić?**

**–Potrzebne mi są trzy małe ogniska i to wszystko.**

**–Długo potrwa? – Ilu tu jest ludzi?**

**–Dwadzieścia tuzinów. Bez dwóch żołnierzy: chory i ranny. No i dwa tuziny pełnią wartę w Gaybonie.**

**–No to... Niech pomyślę. Niechby się ustawili w szeregu i po kolei wchodzili między te trzy ognie. Ja tam będę i reszty dowiedzą się na miejscu. Po wyjściu nie wolno im podchodzić do tych, co jeszcze nie byli, ani dawać znaków. Po prostu mają sobie iść w drugą stronę.**

**–A ci z twierdzy? – szybko zapytał Marenceba Sieć.**

**–Jak z nimi będzie?**

**–Nieważne. Potem to już będzie nieważne – machnął niedbale ręką mag.**

**–Dobrze. Coś jeszcze, panie?**

**–Nie. Tylko te trzy ogniska.**

**–Dobrze. To ja wracam do swojego. Zaraz ognie...**

**–Odwrócił się i wskazał ręką miejsce: – Może tam być? Po przeglądzie u mnie będą szli do ciebie, panie, a potem wracali do odzienia i broni.**

**–Bardzo dobrze.**

**Mag pokiwał głową z aprobatą.**

**Dowódca gwardzistów odwrócił się i poszedł z powrotem, Sodos przerzucił wodze przez szyję wierzchowca, skinął na Faseha Zielonego.**

**–Zabierz konia! – zawołał.**

**Chłopiec ruszył biegiem, chwycił wodze i poprowadził konia w kierunku swojej,**

przywiązanej do krzaka klaczy. Sodos wolno poszedł we wskazanym przez Maretchebę kierunku. Jeden nagi gwardzista, błyskając białymi pośladkami w stronę maga, już układał tam stos gałęzi. Sodos Skrępowany podszedł i polecił, by podzielił drewno na trzy stosy, ogniska miały być małe. Zapłonęły już po chwili. Mag usiadł w środku trójkąta, niedbale strzepnął ręką w kierunku każdego ognia, a płomienie najpierw na chwilę przygasały, a potem zaczynały się jarzyć jadowitą zielenią. Wąskie strużki gęstego dymu poszybowały w niebo. Posłuszny ruchowi ręki maga pierwszy gwardzista wszedł w trójkąt, stanął przed Sodosem. Ten coś powiedział, żołnierz pochylił się i chwilę trwał, zasłaniając wypiętym zadkiem niemal całą postać siedzącego w kucki maga. Chwilę potem wyprostował się, odszedł wolno, niechętnie albo nie czując dobrze ziemi pod nogami. Mag skinął na drugiego, zanim żołnierz podszedł, cisnął na trawę przed sobą dwie skrzyżowane gałązki, na nich kazał stanąć gwardziście i scenka powtórzyła się: żołnierz słuchał chwilę, mag wyciągnął ku niemu rękę, gwardzista pochylił się, trwał tak czas jakiś i odszedł. Sodos Skrępowany już niecierpliwie machał na następnego.

–Co on tam robi? – mruknął cicho jeden z tuzinowych, kiedy ostatni jego podwładny, po sprawdzeniu tatuażu i kolczyka pomaszerował do długiego szeregu czekających na spotkanie z magiem.

–Każe im chuchać, czy nie pili dziś... – zaczął wesoło drugi, ale Maretcheba Sieć zgasił go ruchem ręki.

–Ciekawym, czy oni będą pamiętać... – powiedział wolno. – Ale nie lekceważyłbym tego, co robi. Gdyby chciał nam mydlić oczy, to kazałby ustawić namiot, cztery *ghurony*, dwu bębniarzy, ofiary z *trajenek* i takie tam inne... Dużo machania rękami, wycie i tak dalej.

–A może właśnie to jest jego taka chytra zasłona? – powiedział Truchła Osa, najstarszy z tuzinowych. – Wiesz, że niby nic nie ukrywa, wszystko widać, czyli oznacza, że musi to być prawdą? – Splunął raz i zaraz drugi w trawę.

–Może?...

Przyglądali się jeszcze chwilę działaniom maga. Gwardziści weszli w rytm, wiedzieli już kiedy należy ruszać, by bez zwłoki wejść w trójkąt z ognisk. Ci, co przeszli przed Sodosem, ubierali się, rozmawiając ze sobą. Maretcheba Sieć gestem powstrzymał Truchle Osę, gdy ten mruknął, że podejdzie do żołnierzy i zapyta co się tam dzieje.

–Nie widzisz, że każdy wzrusza ramionami i kręci głową. Daję głowę, że pytają się wzajemnie, co który pamięta. Pewnie rzuca jakiś czar zapomnienia czy maskujący, czy jeszcze jakiś tam... – powiedział cicho. – Nie dowiemy się niczego, a jeśli nawet coś pamiętają, to będzie to takie dziwne, że nic nam z tego nie przyjdzie. – Uderzył pięścią w kolano. – Trudno, nie nam go sądzić. A najważniejsze, że ma do wykonania

**zadanie i oby się z tego wywiązał, nic innego od niego nie chcę.**

**Dwie *semie* później ostatni z gwardzistów wyszedł z trójkąta, mag niedbale machnął po kolei ręką w stronę każdego z ognisk, przygasły, płomienie zżółkły, ale nie zgasły, tylko jakby przetały się, wyczyściły, pozbyły nadanej im obcej domieszki. Sodos siedział jeszcze chwilę, potem złączył łokcie rąk i nakrył głowę rękami, w takiej pozycji przesiedział kilka oddechów, wyprostował się i, jak się wydawało obserwującemu go uważnie Marechebie, odetchnął głęboko, z ulgą, albo odpędzając zmęczenie. Potem wstał, i nie dbając kompletnie o ogień, skinął na Faseha. Odjechali, nie żegnając się. Gwardziści w tym czasie kończyli ubieranie się i uzbrajanie. Marecheba Sieć siedział zadumany i co jakiś czas głaskał kolano okrągłymi ruchami dłoni. Dowódcy poszczególnych tuzinów i dwaj dowódcy *halemów*, formacji składających się z jedenastu tuzinów oddalili się, niemal skradając, by nie przeszkadzać – Marecheba Sieć rzadko zapadał w stan głębokiego zamyślenia, a to można było poznać po ogłaskiwaniu prawego, wyszczerbionego niegdyś *kantem* kolana – wyrwany z zadumania potrafił być przykry, a nawet niebezpieczny. Podwładni energicznymi gestami ponaglili gwardzistów, przez senny już nieco obóz przebiegło drżenie i wszyscy nagle zaczęli poruszać się szybciej, nawet kilka koni odważyło się zarzęć.**

**Marecheba Sieć ocknął się zadumy dopiero wtedy, gdy niemal wszystko było gotowe do powrotu. Przez chwilę wyglądało, że jest zły. W to, że może być wystraszony nikt by nie uwierzył, nie odważyłby się uwierzyć. Dlatego, nie zmawiając się, cała gwardia uznała, że Sodos musiał rzucić czar, albo powiedzieć Marechebie coś, co ostatniemu się nie spodobało. Potem jednak, gdy Marecheba Sieć zlustrował swoich dwustu ludzi, bruzdy na jego czole wolno się wygładziły. Przywołał do siebie Truchle Osę i zapytał, ile w sumie było uchybień.**

**–Trzy – odpowiedział tuzinowy. – Wszystkie trzy to niecechowane części odzienia. Drobiazgi.**

**–Dobrze. Ale to nie drobiazgi, tylko niewykonane polecenia. Idziemy.**

**Stanęli na czwartym boku kwadratu.**

**–Ci trzej, co nie mieli cech na odzieży, i ci, co popełnili uchybienia, których nie zauważyliśmy, zostają tu i wymierzą sobie wzajemnie po trzydzieści batów. Reszta – w szyku wyciągniętym za swoimi tuzinowymi.**

**Odwrócił konia i ruszył pierwszy. Po kilku chwilach odwrócił się i ze szczytu płaskiego wzgórzka popatrzył do tyłu. Musiał zmrużyć oczy, by zobaczyć, ilu gwardzistów zostało na łące i szykowało się do wysmagania swoich pleców. Pięciu.**

**Z zadowoleniem pokiwał głową i poprowadził oddział straży pałacowej do twierdzy.**

## Rozdział 9

Nadeszło południe trzeciego dnia wyprawy.

O świcie, jak co dzień, Faseh przybył do wozu maga. Nie dziwił go już zapalający się samoistnie ogień w miseczkach z mocno pachnącymi w dymie ziołami. Opowiadał ze szczegółami Marencebie o codziennym rytuale, o dziwactwach maga i o jego mocy. Przystanął przed stolikiem z trzema kadzielniczkami, zamknął – jak nakazywał mag – oczy, ale nastawił ciekawie uszu. Usłyszał, że mag przechodzi za plecy, zaczyna rozmawiać z kimś o niskim, chropawym głosie. Słów nigdy nie udało się Fasehowi zrozumieć. W nozdrza uderzył wonny dym, jak zwykle po porannym sprawdzeniu, czy xameleon nie zawładnął duszą chłopaka, co wyjaśnił mu mag przy pierwszym rytuale.

Pachołek ustawił się przy drzwiach, a Sodos, zaszedłszy od tyłu, nałożył na chłopaka koło z miękkiej witki, po czym tym kołem, jak obręczą, przemierzył czterokrotnie całe ciało chłopaka, od czubka głowy do stóp. Potem jeszcze coś pomruczał, zapach na chwilę jakby stał się inny... Uwalniające klepięcie w ramię. Faseh Zielony z ulgą powitał zakończenie rytuału.

Po drugim razie, jeszcze w Gaybonie, zapytał maga, co się stanie, jeśli się okaże, że xameleon wsączył się w jego duszę? Spojrzenie było aż nadto wyraziste i chłopak już nie powtarzał pytania. I za każdym razem, gdy jego ciało „przeszywało” magiczne wnętrze magicznej witki, dygotał ze strachu.

Zresztą w ogóle bał się maga znacznie bardziej niż, chociażby, Marenceby Sieci. „Panie – tłumaczył, kiedy ten zażądał, by spenetrował skrzynie i sakwy maga – on wie za każdym razem kiedy byłem jego pokoju, nawet gdy jest w innym miejscu, jak chociażby wtedy, kiedy był u ciebie, panie, a ja wszedłem, żeby sprawdzić, czy nie trzeba rozwiesić na słońcu jego opończy. Jak tylko wrócił, od razu zapytał, co robiłem w jego wozie! On wszystko wie! Ukarze mnie straszliwie za grzebanie w jego bagażu.”

Marenceba Sieć machnął na razie ręką. Zresztą, miał inne kłopoty na głowie w karawanie. Wbrew opinii *samerantura*, który uważał, że życie chłopca nie ma w tym przypadku większego znaczenia, odpuścił Fasehowi i nie kazał narażać się magowi. Ale i tak chłopiec codziennie, czasem dwa razy dziennie, biegł do *halemrheda* i zdawał relację z ostatnich godzin, z ostatnich dziwactw, ostatnich manewrów maga.

A ten stale, uparcie i nieodmiennie penetrował karawanę; nieustannie przemierzał jej długość, przemykał między gwardzistami, nie zauważając ich niechętnych spojrzeń, między pasterzami prowadzącymi trzodę i bydło, na postojach – między namiotami i wozami.

Trzeciego dnia podróży mag wysforował się przed całą karawanę. Droga przez cały czas prowadziła przez nudną równinę. Przez pierwsze dwa dni łąsiły się do niej uprawne pola i podkładały grzbiety groble i mosty, obok widać było pola, półka i poletka: ryż na wygrzebanych równych nieckach, między wałami z ziemi, poza tym kukurydza, pasieczka, amarant, ciecierzycyca, kuska, szafran, mięta, hyzop... Kropki wieśniaków klęczących z głowami pochylonymi nisko, tak, że płaskie kapelusze ze słomki, zawsze ze zwiniętymi na uszy bokami, wyglądały z daleka jak jasne słupy, w które rolnicy trykali głowami. Musieli tak trwać, biorąc pod uwagę długość konduktu, kilka *semii*, niemal pół dnia, ale tym nikt się nie przejmował, nikt nawet nie patrzył w ich stronę. „Dziwne – pomyślał mag – że nigdy nie widać tych ludzi z bliska? Zawsze są daleko od drogi, jakby na widok orszaku, albo ostrzeżeni jakimś sposobem, uciekali daleko w pole. Albo – może nie są to nawet żywi ludzie, tylko kukły jakieś ustawione przez chytre chłopstwo... Ale nie, nie odważyliby się...”.

Trzeciego dnia pola skończyły się. Droga lekko wspięła się, odsunęła od rzeki, grunt przybrał barwę wypłowiałej marchwi, brakowało kanałów, więc zapiekł się po ostatnich deszczach i stwardniał, kopyta koni i obręcze kół dudniły głucho, jakby uderzały w grubą skorupę nad jakąś niewyobrażalnie wielką jaskinią.

Po prawej wypiętrzył się zaskakujący na tym płaskowyżu kopiec, mag odłączył się od kawalkady, chcąc przyjrzeć się całej karawanie.

Kiedy o świcie, obudzony przez Faseha, przekąsiwszy kawałkiem zimnej piersi indyczej, cwałował na czoło pochodu, zobaczył, jak ustawiają się wozy z aprowizacją. *Mully* były już wprężone, pochrypując, „przestępowały z nogi na nogę, krzatali się przy wozach i zaprzęgach powozowi. Woźnice, ważni, nieruchomi, siedzieli już na kozłach z długimi na osiem łokci batami, których rzemienie sięgały aż do pierwszej z pięciu par. Podobno, tak z dumą powiedział Faseh Zielony, którego starszy brat był powozowym, potrafili koniuszkami bata ubić gza na zadzie zwierzęcia i to tak, że wół odczuwał tylko ulgę, gdy owad przestawał ssać jego krew. Właśnie pomocnicy woźniców zaczęli zgodnie biegać wzdłuż wozów i zaprzęgów.

–Co oni robią? – zapytał mag, wskazując na krzątających się wozaków.

–Spinają łańcuszkiem wozy – odpowiedział zdziwiony chłopak.

–Po co?

–Żeby żaden nie odstawał od innych. Wszyscy jadą dokładnie tak samo, zachowują te same odstępy. Kto zerwie łańcuszek, spada z kozła. Na jego miejsce wchodzi najstarszy z pomocników. – Chłopak pomilczał chwilę, wpatrując się w długi szereg wozów, zwierząt zaprzęgowych, ludzi... – Mój brat jest już pierwszy.

Mag już chciał powiedzieć, że to sztuka nie lada – jechać w łańcuchu kilkudziesięciu

wozów, nie odstając na więcej niż trzy łokcie i o tyleż samo nie wyprzedzając innych, ale zobaczył, że chłopak gwałtownie zamyka usta i czerwieni się.

–I może powiesz, że żaden z nich nie ma zapasowego łańcuszka, którym może zastąpić w razie złego manewru ten zerwany?

–Za... za to grozi znajomość z *pugtuskim* kata... – drżącym głosem odpowiedział chłopak.

–Ale jeśli się uda... – Sodos Skrępowany przyjrzał się uważnie chłopakowi. – Od zręcznego pomocnika wiele zależy, prawda? Wszak to on skacze między *mulfy*, żeby wymienić łańcuszek. Jak się nie pośpieszy, to woźnica idzie do mieszania nawozu za stajniami, co?

Faseh milczał.

–Umówmy się, że przemilczanie odpowiedzi na moje pytania to to samo, co zerwanie łańcuszka – rzucił pogodnie w przestrzeń przed sobą mag.

–Tak, panie.

–Tak – co?

–Że pomocnicy mogą pomóc woźnicy albo go pogrozić.

–A ty nie chciałeś być takim pomocnikiem? A potem woźnicą?

–Chciałem! – chłopak popatrzył na maga z podziwem i grozą. – Skąd wiesz, panie?

–Na szczęście ja nie muszę odpowiadać na twoje pytania. Ale odpowiem – ja wiem wszystko. Wszystko, czego chcę się dowiedzieć, staje się dla mnie jasne. Tylko nie zawsze mi to potrzebne – westchnął i poprawił się w siodle. – Dlatego nie sieję dokoła siebie tysięcy pytań – mruknął do siebie.

–Brat mi zakazał – niespodziewanie powiedział Faseh Zielony i zamilkł, jakby zaskoczony własną gadatliwością.

–Czy jakiś woźnica dożywa sędziwej starości?

Chłopak wytrzeszczył oczy.

–Tak mi powiedział brat. Na kozłach nie ma starych woźniców. Starzy są tylko w mieście, w stajniach, warsztatach...

–No to widzisz, jak dobrze trafiłeś?

Mag zamilkł i nie odzywał się już, kłusując wzdłuż taboru. Minęli w świeżym, nie zakurzonym jeszcze powietrzu całą karawanę, za nimi rozległy się salwy z batów i pohukiwania wozaków. Tabor ruszał, by wyprzedzić właściwą karawanę o co najmniej *semię*, żeby rozbić się w miejscu nowego popasu zanim dojedzie Trazwalar Wielki i – co ważniejsze chyba nawet – by zdążył opaść kurz po kopytach i kołach. Zresztą dwa ostatnie wozy wiozły olbrzymie beczki, z których zlewano wodą drogę w miejscach szczególnie zapyłonych.

Mag z Fasehem stali na zboczu kopca i patrzyli na karawanę. Tabor dawno temu zniknął na horyzoncie, została po nim świeżo zryta kopytami, ciemniejsza ziemia na drodze. Teraz na wysokości kopca defilował pierwszy tuzin gwardii. Za nim jechał Marecheba Sieć, widząc maga, pomachał do niego ręką, powiedział coś do mężczyzny jadącego obok na bułanku, Ten skinął głową, i odłączywszy się od karawany, ruszył po zboczu w kierunku Sodosy.

–Witaj, panie.

–Witaj, *sameranturze*. Nie widzieliśmy się przez kilka dni...

–Tak, miałem trochę zajęć. Dodatkowych, związanych z wyprawą.

–Nie wątpię – Sodos Skrępowany ogarnął ręką drogę. – Tu jest więcej czeladzi niż na niejednej wyprawie wojennej żołnierzy.

–Bo też i władca nasz jest wielki! – ostro powiedział Ob Rydel, jakby ganiąc maga za zdziwienie.

–Bez wątplenia. – Sodos Skrępowany poważnie skinął głową. – Czy mógłbym cię prosić o ustawienie dziś mojego namiotu bliżej namiotu Trazwalara Wielkiego? Możliwie blisko, żeby nic mnie nie odgradzało?

Ob Rydel uważnie patrzył na maga, ale nie zdołał niczego wyczytać z ciemnych oczu.

–Dobrze. Tak rozkażę. Coś jeszcze?

–Tak, jeśli mogę – niech ten więzień będzie też blisko. Najlepiej zaraz obok mnie, ale nie między mną a namiotem króla, tylko z drugiej strony. Żebym ja był między nim i królem.

–Dobrze.

*Samerantur* przesunął swego wierzchowca i stał teraz obok maga, z wyraźną przyjemnością chłonąc widok. Pojawiła się karetka Trazwalara, olbrzymia, niemal wielkości małej karczmy, na ośmiu kołach, z czterema gwardzistami na dachu. W tej



chwili, ponieważ nie było kurzu i słońce jeszcze nie przypiekało, przypominające łuski ogromnego gada ściany z pokrytych białą laką płyt były uniesione, najeżone. W razie upału płyty opadały, zacieniały wnętrze. W razie napaści, konieczności obrony, gwardziści na dachu spuszczaali ciemne, gęste, druczane sieci, zmieniając wóz w niezłe opancerzony pojazd. Z powodu swych wymiarów na dołożonym z tyłu koźle siedziała para wozaków, kierujących zaprzężoną do tylnej, ruchomej osi czwórka koni, przez co nawet ten gigantyczny wóz był przyzwoicie zwrotny. Zresztą, jak się dowiedział mag, droga była specjalnie wytyczona tak, by królewska karawana nie musiała się wic jak tabory wieśniaków.

Za kareta prowadzone było małe stadko ulubionych wierzchowców Trazwalara Wielkiego, Hanibeli Perły i kilku jeszcze członków rodziny, którzy mogliby mieć, ochotę na krótką lub dłuższą przejażdżkę w siodle. Za nimi sunęły chyba trzy tuziny łuczników, potem kawaleria i pikinierzy, którzy w razie ataku ustawiali się dokoła wozu i tworzyli podwójny szpaler pik, kolczastego węża dokoła wozu. „A czy ktoś kiedyś zaatakował monarchę?” – zapytał Mag Maretchebę pierwszego dnia podróży. „Kto by się odważył?” – odpowiedział pytaniem *halemmed*, nie dostrzegając sprzeczności między tym, co widział, i co mówił.

–Przez cztery dni podróży nie miałeś, panie, żadnych życzeń. Teraz chcesz istotnie zmienić obyczaje w obozie... – odezwał się Ob Rydel.

Mag spokojnie popatrzył na niego i skinął głową. Ale nie odezwał się. *Samerantur* kontynuował:

–Czy te zmiany, to znak czegoś? Czy coś się wydarzyło? Może powinien ktoś o tym wiedzieć?

Sodos Skrępowany długą chwilę wpatrywał się w długi szereg wozów i konnych.

–Czuję narastanie czegoś... – rzucił w końcu niechętnie. – Nie wiem czego, nie wiem skąd. Coś się jednak odezwało. Dlatego chciałbym być możliwie blisko władcy.

–A więzien?

Mag uśmiechnął się i popatrzył na Oba.

–Panie, przecież tak samo dobrze jak i ja wiesz, że to drugie miejsce, wokół którego może krążyć złudzenie.

Można przypuszczać, że zamach na Trazwalara Wielkiego i uwolnienie druha stoją w parze. Nie wiadomo jednakże w jakiej kolejności.

–Ale jesteś pewien, że nie dopuścisz...

–Jestem pewien, że potrafię powstrzymać mimikranta – ostrym tonem rzucił Sodos Skrępowany. – Czy sądzisz, że odważyłbym się okłamywać tak potężnego króla jak Trazwalar Wielki?

–No, jeśli już mam być zupełnie szczery, to wielu próbowało – spokojnie odparł Ob Rydel. – Oczywiście, ich głowy długi czas służyły za pokarm mrówkom, osom i meszkom, a potem wyczyszczone z mięsa zostały umieszczone na murach Gaybony. Widziałeś, panie?

–Nie zwróciłem uwagi. Takie rzeczy mnie nie interesują.

–Oczywiście.

Przez chwilę Fasehowi Zielonemu wydawało się, że widzi, jak cisza wije się i skręca – obaj czekali na pierwsze słowo drugiego, przetrzymywali się wzajemnie. W końcu *sa-merantur* powiedział „hm-hm!”, strzepnął wodzami, jego wierzchowiec jakby się obudził, przestąpił z nogi na nogę.

–Przekażę twoje życzenia, panie. Czy poza tym masz jakieś wytyczne? Wzmóc strażę, albo...

–Nie. Żadnych więcej zmian, i te dwie wystarczą, by xameleon zauważył je i może się zaniepokoił. Mam tylko nadzieję, że je zlekceważy, albo uzna za sprzyjające jego planom.

Ob Rydel trącił piętami wierzchowca, klacz ruszyła, wtedy Sodos Skrępowany dodał obojętnym tonem:

–Czy władca jest w namiocie zawsze z... królową... czy...

–Tak. Z Hanibeli Perłą.

–A kto jeszcze w pobliżu ma namioty?

–Brat króla, Brulwerd Jasna Noc z małżonką, Seiną Tonią. Potem jest pierścień straży, a za nim reszta obozu – dworzanie, służba...

–Tak, to wiem. Dziękuję.

Ob Rydel chwilę jeszcze trwał nieruchomo, potem, nie skinąwszy nawet głową, odjechał. Na wysokości karawany przyspieszył i pognął wzdłuż szerokiej, wielobarwnej taśmy ludzi, zwierząt, tobołów i bagaży. Brakowało tylko stad bydła, *trajenek* i trzody, zwierzęta rzeźne i kilkanaście gatunków ptactwa były dostarczane do karawany z okolicznych stad, mięso było świeże, z nie zagonionych zwierząt. Tylko małe stadko niskich, tłustawych, rzeźnych koników, karmionych trawą i

sianem z dodatkiem mięty i pojonych *pillem*, ulubione mięso Trazwalara Wielkiego, towarzyszyło karawanie. Mag był świadkiem, jak drugiego, dnia rzeźnicy odpięli od stadka jedną klaczkę, niemal w biegu zaszlachtowali zwierzę, część wrzucili na ruszt specjalnej platformy, gdzie już żarzyły się węgle, a parującą wątrobę, opłukaną tylko w zimnej wodzie i obsypaną drobno posiekanymi, świeżymi ziołami, zanieśli do wozu władcy.

Mag poczekał, aż kareta Trazwalara ich minie, trącił swego wierzchowca piętami i zaczął powoli wspinać się wyżej, na szczyt wzniesienia. Nie oglądając się, wiedział, bo sprawdził to dwukrotnie, że z karawany już wysuwa się czwórka żołnierzy, ale nie z gwardii Marecheby Sieci. Jednak tym mag nie zaprzętał sobie głowy. Za każdym razem, gdy odjeżdżał na pewną odległość od karawany, z jej węża, nieważne w jakim miejscu się znajdował, wysuwała się czwórka łuczników na wspaniałych rumakach, a to oznaczało, że gdyby chciał oddalić się na większą odległość, jego koń, a może i on sam, mogliby stać się ruchomym celem dla znakomitych królewskich łuczników. Ze szczytu kurhanu rozciągał się wspaniały widok, powietrze było czyste i przejrzyste, ale sama okolica ciekawa nie była: podpieczony słońcem płaskowyż, równina, nieliczne płaty łąk w nieckach, niemal na horyzoncie jakaś osada. Dopiero kiedy patrzyło się przed czoło karawany, widać było ciemnozielony mur lasu Treder. A po długim wpatrywaniu się w pasek nieba nad lasem stawały się widoczne zamglone, zamazane, wtopione w wyblakły błękit góry Shezma Kol-Zui. Przedgórzem, kierując się na zachód, mieli dotrzeć do pałacu i twierdzy Tunne-Wynn, siedziby ojca Trazwalara Wielkiego. Ale to dopiero za pięć-sześć dni. Co prawda Faseh, czerpiący swą wiedzę od brata, którego codziennie pozwalał mu mag widywać, poinformował Sodosę, że bardzo prawdopodobny jest dłuższy popas w jednej z trzech osad wasalnych, bo zawsze tak podczas podróży władcy bywało.

Wierzchowiec Sodosy Skrępowanego, kierowany naciskiem stóp, ruszył swobodnym kłusem z kopca na równinę. Kątem oka mag widział, jak Faseh Zielony rzuca szybkie spojrzenie za siebie. Sodos puścił wodze, wyciągnął ręce w górę i mocno się przeciągnął. Jechał chwilę nie dotykając wodzy, energicznymi wyprostami ramion rozciągnął sztywne jeszcze po nocy mięśnie.

„Dziś się stanie... – pomyślał mag. Przygryzł wargi.

–Noc będzie ciężka, i nie wiadomo do końca jak i co się wydarzy... Muszę porozmawiać z jeńcem. Szkoda, że nie można teraz...Miałbym więcej czasu...”

Całą karawanę można było z grubsza podzielić na trzy części: tabor czołowy z namiotami, zapasami żywności i materiałów do reperacji wozów, drewnem i wodą... Druga część – właściwy orszak władcy: wozy Trazwalara i jego rodziny, najbliższych i zaufanych. Część trzecia to druga, mniejsza część taboru, zapasy broni, trochę drewna. W każdej z części były tuziny gwardii, w każdym też – kilka wozów pilnie strzeżonych, Mag nie wiedział, co w nich jest. Był przekonany, że w jednym z nich

znajduje się Cadron, ale nie wiedział w którym. Więcej nawet – sądził, że codziennie lokalizacja jego wozu zmienia się, tak żeby nie można było zaplanować na przykład napaści na tylną część karawany w celu jego odbicia. Sodos Skrępowany nie pytał nikogo o miejsce pobytu jeńca, żeby nie narazić się na uniesioną z niedowierzaniem brew: „Mag i nie wie!?” , albo podejrzania, że coś knuje. Zresztą do tej chwili jeniec nie był mu do niczego potrzebny.

Chwycił wodze, ale nie wracał na szlak. Całe przedpołudnie towarzyszył karawanie z boku. Dopiero kiedy zobaczył, że z czoła kolumny oddzielają się kolejne dwie pary żołnierzy i kłusują obok kolumny, tak samo oddalone od niej jak on z Fasehem, uznał, że dalsze denerwowanie Maretheby czy któregoś z innych dowódców nie będzie posunięciem mądrym. Skręcił wierzchowca, po długiej chwili wtopił się w karawanę, a jeszcze ćwierć *sepii* później cisnął wodze chłopcu, a sam przeskoczył na kozioł wozu i wyciągnął się na rozłożonej na płaskim dachu derce. Droga była gładka, podłożył ręce pod głowę i zasnął na *semie*.

Wieczorem odnalazł go pacholek wysłany przez Ma-rettebę.

–Pan-je... – chłopak musiał być z jakichś odległych prowincji królestwa, być może specjalnie nieszkolony w języku, by nie rozumiał, co przekazuje. – Marcheba Sze, prószy do szebe...

Uklonił się nisko i stanął bokiem do maga, ręką wskazując kierunek. Rozśmieszył maga, który, przechodząc obok niego, dźgnął go palcem w brzuch, chłopak jęknął i zgiął się energicznie.

–Prowadź.

Szli długo, omijając najpierw namioty, obowiązkowo z ogniskami przed nimi, potem wozy, posterunki, potem skromniejsze namioty – służby, na końcu proste, brunatne, z godłem Trazwalara – pawiem siedzącym na długim mieczu, żołnierskie. Weszli w małą gwardyjską osadę. Przy jednym z namiotów stał połowy, lekki, trójkątny stół na trzech nogach. Maretheba Sieć kończył posiłek, na widok maga otarł usta ręką, skinął na pacholeka, by podał jeszcze jeden kielich, ale Sodos Skrępowany odmówił ruchem ręki.

–Dziękuję za poczęstunek, jeśli ci, panie, o to chodziło. Dziś muszę mieć umysł jasny.

–Dziś szczególnie?

Maretheba Sieć miał opuchnięte oczy. Lewy kącik ust podrygiwał mu lekko. Był zły.

–Słyszałem o twoim życzeniu...

–O rozmowie z jeńcem? – wskoczył mu w słowo mag. – Czy to cię dziwi, wszak mam zezwolenie króla?

Złość dowódcy gwardii przybocznej wyraźnie się rozrastała. Mag spokojnie patrzył obok niego na ustawiane przez jednego z tuzinowych warty, gwardziści prezentowali tatuaże, broń, otwierali usta, okręcali się, pokazując pozbawione kieszeni odzienie. Dowódca wybrał z tuzina czterech i ich zrewidował, i sprawdził jeszcze raz. Potem odesłał na ławkę, poza tą czwórką nikt się do niej nie zbliżał. Mag domyślił się, że to czwórka gwardzistów, która dziś będzie najbliżej monarchy.

–O rozmowie w ogóle nic nie wiem – powiedział *ha-lemmed* wolno i wyraźnie, przesadnie wolno i niepotrzebnie aż tak wyraźnie – dowiedziałem się tylko, że chcesz być w noc blisko namiotu Trazwalara Wielkiego.

–Tak, blisko. Blisko również namiotu, czy wozu z jeńcem, jak wolisz, on nie musi być wolny, ani nic takiego, niech tylko będzie blisko. Może nawet spać... – uniósł palec. – To nawet dobry pomysł, dajcie mu wiadro wina, niech śpi mocno. Ale dopiero po rozmowie ze mną! To jest ta trzecia sprawa.

Maretcheba Sieć chwycił kość i cisnął nią w psa zbliżającego się niepewnym krokiem, zwierzę uskoczyło zręcznie, szybko porwało kość i, niezrażone zamachem, pognało za namioty rozprawić się z gnatem.

–Czy jeszcze coś muszę wiedzieć?

–Och, na pewno jest wiele rzeczy, o których dowódca pałacowej straży musi wiedzieć – powiedział poważnie mag. – Ale ja nie mam nic więcej do powiedzenia, Zapytasz pewnie dlaczego właśnie dziś o coś proszę – wzruszył ramionami.

–Przecucie, Wieje magią. Gęstnieje aura w okolicach... – przerwał. – Nieważne. Teraz chcę porozmawiać w więźniem.

–Dobrze. – Maretcheba Sieć obejrzał się i skinął na stojącego nieruchomo na tle jednego z namiotów Bargdena Sennego. – Zaprowadź maga do więźnia.

Sodos Skrępowany miał wrażenie, że słowa nie były potrzebne, że mieli dokładnie omówione wszystko. Ale tylko skłonił głowę i ruszył za Bargdenem Sennym.

Zagłębili się w labiryncie namiotów, wchodzili w szpalery koniowiązów, kręcili się dość długo po uliczkach z namiotów. Wszędzie panował nieludzki ład. Żadnej krzątaniny, biegania, głośnych rozmów... Jedni byli na posterunkach, wolni od służby odpoczywali, nabierając sił do swojej warty. W końcu przy jednym z namiotów, niczym nie różniącym się od innych, przystanęli.

–To tu. Odsunął się.

**Mag wszedł do namiotu.**

**Jeniec leżał na grubej derce z rękami pod głową. Od każdej ręki prowadziły do dwóch z czterech słupów cienkie łańcuszki. Niemal każde poruszenie więźnia przenosiło się na podpory namiotu. Na widok maga jeniec podniósł głowę, zmrużył oczy i chwilę wpatrywał się w gościa.**

**–Ach, to ty, panie... – usiadł. – Nie wiem, kim jesteś, ale najpewniej to tobie zawdzięczam odmianę mej doli. Wdzięczny jestem bardzo. W tym mroku zaczynałem się czuć szczurem, a może nawet robakiem.**

**–Nie zrobiłem tego dla ciebie – powiedział mag, siadając na zydlu. – Gdybyś był szczurem czy robakiem, to nie nadałbyś się do niczego.**

**–A do czego, jeśli mogę zapytać, mogę się przydać władcy tak wielkiego królestwa? Co ja mam do wykonania?**

**Mag milczał. Przez długą chwilę słyhać było tylko odgłosy z zewnątrz: ciche kroki po jeszcze nie wygniecionej murawie, skrzyp rzemienia.**

**–Jak wielką moc ma twój przyjaciel? – zapytał cicho mag. – Do czego używa magii?**

**Jeniec wpatrywał się uważnie w oczy Sodosy. Westchnął.**

**–Nie używa żadnej magii. Nie jest magiem, wróżem, czarodziejem... Nic mi o tym nie wiadomo.**

**–Może nie jest też złudzieńcem?**

**–Złudzień... A, xameleonem?! – machnął niedbale ręką Cadron. – To dla gminu, dla zleceniodawców... Kiedyś sprzedano nam takiego jaszczura, dwugrzebieniasty był, z rozdwojonym jęzorem, mały, wielkości dłoni – pokazał wielkość jaszczura. – Ale najważniejsze w nim było to, że potrafił on zmieniać swoje barwy. Położony na trawie po prostu rozmywał się w oczach. Jak się odwróciło na chwilę wzrok – znikał. Położony na derce przybierał jej kolor i też znikał. Ho... – rozkaszał się nagle gwałtownie. – Kho-kh! Hogh!...**

**–Hondelyk – odpowiedział z ironią w głosie mag. – Zapomniałeś imienia przyjaciela? – zakpił. – Mów dalej... Przecie znam imię twego druha. Co z tym jaszczurem?**

**–Uciekł... Pewnego dnia odwróciłem wzrok na zbyt długą chwilę.**

**–Ale co dalej?**

**–No, dalej to ja wymyśliłem, że będziemy go nazywali xameleonem... Że niby tak zmienia skórę, barwę, postać... To brzmi tajemniczo i kusząco. Potrzebne w wykonywaniu jego zawodu.**

**–Jakiegoż to?**

**–Zwyczajnie – wykonywał dokładnie to samo, co robi cała masa ludzi: mszczą się, karzą, uwalniają... Tylko wykonują to dla pewnych osób, czasem w ich imieniu, a Hondelyk robi to samo, tyle że w określonej, zamówionej postaci. Tym sposobem tchórzliwy młodzian ma szansę zdobyć serce kasztelanki, pokonując bandę leśnych włóczęgów. Albo inne takie.**

**–Jakież?**

**–Och, wykonywaliśmy mnóstwo takich zleceń. Od śmiesznych, miłosnych, do poważnych...**

**–Jak poważnych?**

**Cadron odwrócił odrobinę twarz i spod brwi wpatrywał się w sufit namiotu.**

**–Poważnych, po prostu – powiedział w końcu. – Atu?**

**–Tu... Tu nic nie wiem o zleceniu. Pół roku temu zaczęło się na nas polowanie. Uciekaliśmy, ale się nie udało – wzruszył ramionami. – Zostałem schwytany, a Hondelyk uciekł. Ale nadal nie wiem, dlaczego polowano na nas.**

**–To twoje słowa, to twoja strona zagadnienia.**

**–A jaka jest ta druga?**

**Sodos Skrępowany wyciągnął przed siebie rękę, w palcach trzymał małą srebrną monetę.**

**–Co tu jest?...**

**–No, herb...**

**–A z drugiej strony?**

**–Pewnie... Nie wiem... Wartość? Mag odwrócił monetę.**

**–O? To samo na obu stronach? Dlaczego?**

**–Żeby ci uzmysłwić, że widzisz tylko jedną stronę, a o drugiej możesz tylko sądzić i zgadywać. Twoja strona jest taka, że jesteś niewinny, a moja – inaczej. Moja to**

taka, że twój druh został wynajęty do zabicia Trazwalara Wielkiego.

–To bzdura! – powiedział spokojnie Jeniec. – Hondelyk nigdy nie podejmował takich zleceń. Nigdy nie zabijał skrytobójczo, na zlecenie. Co innego, na przykład, wykurzyć jakiegoś napastnika z zamku prawowitego właściciela, a co innego zamordować brata, pretendenta do tronu, czy narzeczonego czyjejś ukochanej, która nie obdarzyła kogoś afektem. Mielśmy takich życzeń aż nadto i nigdy nie podjęliśmy się takiego!

–My?

Jeniec objął się rękami, łańcuszki podkreśliły ruch lekkim brzęczeniem. Potem odezwały się krótko, gdy Cadron wzruszył ramionami.

–Przecież mu pomagałem. Nie potrafię zmienić postaci, ale przydawałem się – uśmiechnął się lekko. Potem spoważniał: – Ale powtarzam, panie, nigdy nie podjęliśmy się żadnego haniebnego zadania, Nie przeklinają nas wdowy po niewinnie zabitych ludziach, nie modlą się o pomstę sieroty.

–Widocznie coś się zmieniło – rzucił lekkim tonem mag, Więzień nie odpowiedział, ale był zaniepokojony. Od czasu pierwszej wizyty maga w podziemiach przyzwyczaił się całkowicie do światła, którego był pozbawiony niemal przez pół roku, Blizna, ciągnąca się od ucha do lewej dziurki nosa, miała sino-szkarłatną barwę i na tle bladej skóry wyglądała na głębszą i szerszą niż zapewne była w rzeczywistości. Koloru oczu, powleczonych warstewką wilgoci, nie dało się zobaczyć, ale nagle Jeniec potrząsnął głową i przetarł oczy. Były błękitne, właściwie błękitno-szare, dość niezwykle w zestawieniu z ciemnymi, niemal czarnymi włosami, Odwiedzał go chyba codziennie cyrulik, oblicze było wygolone, ubranie czyste, Więzień nie był traktowany źle, mag skinął głową do swych myśli, Przeniósł spojrzenie na leżące znowu na kolanach dłonie Cadrona – wąskie, szczupłe, długie palce, wierzchy dłoni mocno owłosione, nawet palce, kilka mniejszych i większych blizn.

–Jakiego boga czci ten Hondelyk? – zapytał mag.

–Jak i wszyscy w naszym kraju – Kreista – spokojnie odpowiedział Jeniec.

–A innych? Skąd czerpie moc?

–Innych? – wzruszenie ramion. – Jak każdy, a to Weine, patronka drogi, Guldermenan, opiekun zbroi i broni... Jak wszyscy...

–Ale moc? Jak się zmienia?

Mag wychylił się i wpił wzrokiem w oczy więźnia.



**–Mów!**

**–Nie mam wiele do powiedzenia – znowu wzruszenie ramion. – Kiedyś, dawno temu, był kalekim dzieciakiem, miał chyba niedowładną nogę i rękę... Pewnego dnia natknął się w lesie na coś, czego nie potrafi do dziś zrozumieć. Miejsce, gdzie czas płynął chyba wolniej, jak kiesel, gdzie spętało go powietrze... Słyszał tam głosy, różne głosy, potem coś go obmacywało. I wyszedł z tego cały i zdrowy, na dodatek odkrył potem, że może zmienić swoje ciało w niemal dowolne inne.**

**–Jak?**

**–Nie wiem, i on też nie bardzo wie. Po prostu, jak masz, panie, kawałek gliny, to możesz ulepić z niego figurkę kogucika, a potem sklepać glinę i ulepić psa, a potem zajączka albo dziewczynkę. I on to robi ze swym ciałem. Poza tym ma niezwykłą zdolność uczenia się mowy innych narodów. Wystarczy mu *semia*, by rozumieć z grubsza, jeden dzień, by wszystko rozumieć i dogadać się jako tako. A po dwóch dniach gada jak urodzony w tej okolicy.**

**Mag prychnął i odchylił się na swoim zydlu, skrzypnęły wyschłe w podróży czopy i kliny drewnianego mebla.**

**–I powiesz mi, że to zwyczajna sprawa? Że to nic niezwykłego, że wielu jest takich ludzi, mogących się zmienić w dowolnego człowieka i gadających w dowolnym języku?**

**–Nie, nie powiem. Takich ludzi jest niewielu. Pewnie on jeden tylko – spokojnie odparł Cadron. – Jest niezwykły, przyznaję. Tak samo niezwykły jak ludzie, którzy potrafią poskromić dzikie zwierzęta, a przecież tacy są i nikogo nie dziwią, choć są podziwiani, prawda? Są tacy, co potrafią z pszczołami się dogadać, tacy, co widzą ryby w głębinach wód, i nikt ich nie posądza o magię?...**

**–Ale ten Hondelyk mógłby wejść do zagrody, zmienić się w byka i spokojnie włączyć się w stado, albo skoczyć do wody i zmienić się w rybę, popłynąć z ławicą węgorzy... To już nie jest takie zwyczajne. Czy może się mylę? – zakpił mag.**

**–Nie. Nie mylisz się, panie. To by było niezwykle zaiste. Hondelykowi nigdy się to nie udało. Powiedział mi, że raz tylko przymierzał się do ptaka, ale od razu poczuł, że nic z tego nie wyjdzie...**

**Umilkł.**

**–I? – nacierał Sodos Skrępowany.**

**–I... wydawało mu się, że to może być niebezpieczne... – dokończył jeniec.**

**Sodos Skrępowany parsknął i wyciągnął palec w kierunku Cadrona.**

**–No tak! Bo bogowie przyznali mu tylko taki zakres, od człowieka do człowieka! A ty mi mówisz, że nie ma w tym żadnej magii!**

**–Bo nie ma. Ale nie przekonam cię, panie, skoro nie chcesz być przekonany.**

**Zapadła cisza. Gdzieś za połą namiotu zgrzytnął jakiś miecz ostrzony na osełce.**

**–A jak się porozumiewacie?**

**Cadron wytrzeszczył oczy i przez długą chwilę wpatrywał się w maga, potem zaskoczył swego gościa – parsknął śmiechem.**

**–Jak? Mówimy do siebie, krzyczymy, szepczemy, bełkoczemy... Zwyczajnie, jak ludzie. Bo przecież jesteśmy ludźmi.**

**–Ludźmi... – mruknął powątpiewająco mag. Bębnił palcami w wierzch uda. Jeniec wpatrywał się w poruszające się szybko palce. – To mnie właśnie ciekawi – powiedział. – Dlaczego on ukrywa swoją moc?... Zazwyczaj jest tak, że każdy byle chłystek z mizerną mocą, każdy władca os czy znawca ziół trąbi o swej potędze, co mu daje i bogactwo, i władzę nad ludem. A ten...**

**–Bo on nie jest magiem i jest uczciwy! – powiedział z mocą Cadron.**

**–Tak-tak – zgodził się mag powątpiewająco, jak człowiek, który wie swoje i słowa rozmówcy słyszy, ale nie wierzy w nie kompletnie. – Tak...**

**Poderwał się.**

**–Nie wiem, czy ma sens przemawianie do ciebie, ale dla spokoju sumienia powiem: gdybyś usłyszał swego druha, wyczuł go, czy zobaczył, to dla jego i swojego dobra, radziłbym się ujawnić. Dopóki kręci się dokoła Trazwalara Wielkiego jest jego wrogiem, i jako taki ty też jesteś traktowany. Jeśli zaś, jak mówisz, jest niewinny, niech się pokaże, niech powie, kto go wynajął i do czego. Łaska władcy jest niechybna.**

**Nie czekając na odpowiedź jeńca, wyszedł.**

**Nie widział więc, jak jeniec zaczął szybko przecierać oczy, nie widział uśmiechu na pochylonej twarzy. Kiedy zaś jeniec przestał trzeć oczy i odsłonił twarz – jego oblicze było już spokojne i nie malowały się na nim żadne wyraziste uczucia.**

**–Żyje więc... Inaczej by się nie wypytywali o niego... – szepnął do siebie, może nawet nie do siebie, bo tak cicho, że sam słów swych nie usłyszał.**

A mag przystanął po wyjściu z namiotu, wpatrzył się w niego i chwilę jakby wietrzył. Potem skierował się do swojego namiotu. Tam kazał przyturlać beczkę i przynieść kilka wiader wody, rozebrał się i zanurzył w beczce, do której wsypał uprzednio po szczypcie ziół i jakichś proszków ze swoich obfitych pakunków. Potem zażądał czystych ubrań, a kiedy się ubrał, owinął obszernym, ciemnobrązowym płaszczem, narzucił kaptur, i wygoniwszy Faseha Zielonego z namiotu, pogrążył w myślach.

Kiedy zapadł zmrok, Sodos Skrępowany wyprostował się, przywołał chłopaka i kazał rozpalić węgle w żarnicy. Przy pomocy Faseha i wysokiego, ponurego draba zgarniętego z łąki, podwiesił na żerdzi sufitu skórzany worek wypełniony korzennym naparem i delikatnie przekłuł jego dno. Podstawił pod wypływające i spadające krople żarnicę i sprawdziwszy, że krople spadają dokładnie w wydzielający mocny aromat żar, z zadowoleniem skinął głową. Ciecz spadająca do ognia nie gasiła go i nie wzmagała, nawet nie było słyhać syku. Mag znowu usiadł ze skrzyżowanymi nogami i jakby zasnął. Pod nasuniętym na twarz kapturem nie widać było twarzy, ale Fasehowi, który tym razem został na polecenie Sodosy Skrępowanego w namiocie, wydawało się, że mag jakimś cudownym sposobem opuścił obszerny płaszcz i pod kapturem, w płaszczu nie ma już nikogo. Że tkanina nieznanym sposobem utrzymuje tylko kształt ciała. Przeczyły temu lekkie poruszenia przebiegające przez płaszcz, jakby wypełniało go nie ciało maga, a ciepłe powietrze. Jednakże Sodos tam był. Za ścianami namiotu zapadła ciemność.

Właściwie było cicho. Zza otaczających namiot Trazwalara Wielkiego mniejszych namiotów dworzan rozległ się dźwięk *tsurny*, niski, posępny, drażniący. Ale był to ulubiony instrument władcy, więc nikt nie odważył się zaprotestować, *tsurna* czasem pojękiwała basowo do północy, raz niemal do rana. Odezwała się przed chwilą i nie wiadomo było, kiedy władca pozwoli muzykom udać się na spoczynek.

Niemal całą *semię* spędzili tak, mag nieruchomy i cichy, niemal niewidoczny, Faseh Zielony coraz bardziej zaintrygowany i zmęczony niemożnością poruszania się. Z bukłaka wypłynęła połowa cieczy. Mocna woń rozżarzonego kamienia panował w całym namiocie.

Nagle mag poderwał się, mruknął coś do Faseha i szybko wyszedł. Chłopiec wybiegł za nim. Długimi krokami, niemal biegiem Sodos Skrępowany sadził między namiotami, przeskakując linki, omijając beczki, drągi i płachty. Dotarli niemal pod sam namiot Trazwalara Wielkiego. *Tsurna* pojękiwała teraz wyraźnie, muzyk siedział po drugiej stronie namiotu.

Dziś był to ten z dwu rozbijanych na zmianę – czarny, w złote smoki i srebrno-karminowe pawie. Przed wejściem stali czterej gwardziści, dwu przy samych drzwiach, przesłaniając wejście, dwaj o półtora kroku przed nimi, twarzą do siebie. Mag podszedł do nich, ale już znacznie wolniej.

**Szedł ostrożnie, przestawiając stopy ze starannością bociana, skradającego się do, drzemiącego węża. Kiedy zbliżył się na odległość trzech kroków, zatrzymał się i stał chwilę nieruchomo. Potem zaczął coś mówić, ale Faseh Zielony, stojący zaledwie o dwa kroki za magiem, nie rozumiał ani słowa. Po krótkiej chwili niewyraźnego mamrotania mag wyciągnął ręce przed siebie, palce były rozcapierzone, jakby opierał się nimi o niewidzialny, stojący między sobą i gwardzistami mur.**

**–*Themes sa malgher i oba serg!* – krzyknął nagle wysokim, cienkim, łamiącym się głosem.**

**Uniósł wysoko dłonie, kierując palce w dół, jakby chciał z góry wskazać nimi coś na ziemi, a wtedy stojący po jego prawej ręce gwardzista szarpnął się, cofnął o krok i nagle, zanim ktokolwiek zdążył mrugnąć drugi raz powieką, rzucił się do namiotu władcy. W rękę trzymał już wyostrzony i wypolerowany do blasku zwierciadła *ugris*, drugą ręką usiłował wyszarpnąć krzywy miecz. To samo zamierzali uczynić dwaj strażnicy stojący przed wejściem do namiotu, ale nie mieli szans, by zdążyć przed atakiem.**

**–*Beise!* – krzyknął mag i machnął ręką przed siebie. Jasna, podłużna skra przecięła ze świstem powietrze i ugodziła żołnierza w kark. Stęknął głośno, potknął się, ale niemal nie zwolnił biegu, tylko bezwładnie opadły mu ręce. Zachwiał się. Dało to czas jego towarzyszom z gwardii. Miecze wyfrunęły w końcu z pochew i oba wpiły się w szyję zamachowca, z prawej pierwszy, z lewej, chwilę potem, drugi. Głowa kiwnęła się do tyłu i zwiśla na strzępach ścięgien, nogi wykonały jeszcze pół kroku, miecze uderzyły raz jeszcze, zgodnie tym razem, w łokcie niedoszęłego królobójcy. Ciało okręciło się i z cichym chrzęstem skóry i metalowych taśm zważyło na ziemię.**

**Dopiero teraz rozległ się pełen zaskoczenia okrzyk Faseha Zielonego. Gwardziści, już wszyscy trzej, stali z obnażonymi mieczami. Nerwowo rozglądali się dokoła. Poła namiotu szarpnęła się i wyszedł na zewnątrz brat Trazwalara Wielkiego, Brulwerd Jasna Noc.**

**–Kto odważył się zakłó... – wyjrzał pomiędzy barczystymi gwardzistami i zobaczył leżące na ziemi z rozrzuconymi rękami ciało zamachowca. Brulwerd rozejrzał się dokoła.**

**–Kim jesteś?! – zapytał maga. – Zatrzymać go! – krzyknął piskliwie.**

**Gwardziści poruszyli się, nie bardzo wiedząc, czy powinni opuścić posterunek i wykonać polecenie królewskiego brata, czy strzec władcy, narażając się na gniew Brulwerda. Czyjaś ręka spoczęła na ramieniu mężczyzny, wyjrzał zza niego Trazwalar Wielki, ale nie wysuwał się przed brata.**

**–Zostawcie! – polecił oszołomionym gwardzistom. – To mag, powinieneś go**

pamiętać, był na audiencji, podczas której powiadomił mnie, że królowa jest przy nadziei.

Popatrzył uważnie na maga.

–Chyba, że to podstęp tego xameleona – powiedział głośno.

Sodos wolno uniósł ręce, tak, że dłonie wyjrzały spod poły opończy. Nie trzymał w nich nic. Jego sztylet tkwił w karku zamachowca.

Z tyłu rozległy się szybkie, ciche kroki, zza namiotu wyskoczył Marenceba Sieć i dwaj tuzinowi, Bargden Senny i drugi, magowi nieznany. Za nimi bezgłośnie z mroku wyłoniła się szóstka gwardzistów.

–Co się stało? – zapytał *halemmed*. – Kto go zabił?

Wyciągnął rękę z mieczem w kierunku najbliższego stojącego żołnierza i dźgnął go czubkiem broni w brzuch, osłonięty łuskami blach, przyczepionych do skórzanego fartuszka.

–On przełamał mu kark *kiryagal* – szybko odpowiedział zapytany. – Cisnął nią w kark... Potem my cięliśmy...

–Dlaczego?

–Rzucił się na nas! – powiedział zaskoczony żołnierz. Z jego miny widać było, że uważa sprawę za jasną. – Chciał wdrzeć się do namiotu!

Marenceba Sieć przeniósł spojrzenie i czubek miecza w stronę drugiego ze stojących na tle połyskującego w świetle pobliskich ognisk namiotu.

–Tak, panie. Tak było. Tylko... – zawahał się.

–Tylko co?

–Mag coś zagadał, dopiero potem Gloi Huba rzucił się na nas...

Wszystkie oczy zwróciły się na maga. Ale ten patrzył tylko na Trazwalara.

–Nie mam sekretów, panie. Ale cały obóz nie musi wiedzieć...

–Tak, tak. Wejdz. I ty, Marencebo!

Trazwałar Wielki wszedł do namiotu, jego brat stał jeszcze chwilę nieruchomo, potem odwrócił się na pięcie i wszedł również. Teraz ruszył Marenceba Sieć, ale przed samym wejściem odsunął zasłonę i wskazał magowi wejście. Nie wypuszczał z

dłoni miecza, a kiedy mag przechodził obok niego, wskazał wolną ręką opończę, a wtedy Sodos Skrępowany, nie zdradzając zniecierpliwienia ani zaniepokojenia, rozchylił jej poły i pokazał, że nie ma żadnej widocznej broni. Weszli do namiotu.

–Panie! – mag nie czekał na wezwanie, pochylił głowę. – Pani!... – skierował ukłon w stronę siedzącej z szeroko otwartymi oczami Hanibeli Perły. – Ten człowiek chciał cię zabić. Miał takie zadanie...

–Xameleon! – jęknęła Hanibeli Perła.

–Skąd wiesz? – zapytał Trazwalar Wielki, sadowiąc się na stosie poduch w rogu dywanu, obok grubego masztu, na którym wisiał solidny *pugtusk* i dwa *ugrisy*. Być może po drugiej stronie słupa była jeszcze jakaś broń, ale nie była od tej strony widoczna.

–Panie, przez cały czas czekam na wzmocnienie *lairne*, magicznej karmy, mocy... To zawsze musi nastąpić, jeśli ktoś spęta czarem jakąś osobę, a ta zacznie wykonywać przeznaczone dla niej zadanie. Od kilku dni wyczuwałem nasilania się *lairne*... Dziś jej nasilenie było już tak mocne, że nie ulegało dla mnie wątpliwości – to dziś ma nastąpić zamach. Dlatego też przygotowałem się, wychwyciłem kierunek... – wzruszenie ramion. – Przybyłem.

–Ale przecież kontrolowałaś, panie, moich żołnierzy! – wykrzyknął wściekły Marenceba Sieć. – To co się stało? Nie mogłeś wcześniej ich wskazać? Narażałeś życie...

–Nie krzycz, Marencebo – przerwał mu niedbale Trazwalar. – Czyżbyś czuł się winny i teraz zagłuszał wrzaskami w moim namiocie wyrzuty sumienia?

Marenceba Sieć runął na kolana, położył miecz przed sobą i pochylił głowę tak, że od główki dzieliło go co najwyżej grubość dłoni.

–Mów dalej, magu – polecił Trazwalar Wielki, nie zwracając uwagi na korną postawę dowódcy swojej straży przybocznej.

–Nie sprawdzałem ich wtedy, panie. To znaczy – sprawdzałem, ale jeszcze nie było nic od nich czuć. Ja im tylko kazałem ujawnić się, gdy z kolei ja użyję *lairne*.

–To ciekawe, magu – Trazwalar sięgnął po puchar, napił się i odstawił na miejsce. – Jak to objaśnisz?

–Panie, kiedy pobierałem nauki, jeszcze będąc dzieckiem, to często było tak, że niektórzy chłopcy zasypiali podczas nauki. Po nocnych modłach, czy czuwaniach, po wartach... Wtedy nasz mistrz, widząc takich śpiących, mówił nagle: „Kto śpi, niech szczerknie!” i wtedy wszyscy, którzy drzemali i mieli z tego powodu nieczyste

sumienia, podrywali się i zaczęli gorliwie szczekać. Tak mniej więcej jest i tu. Zabity strażnik nie jest niczemu winny, on został spętany czyjąś mocą, a ja tylko kazałem mu zaszczekać...

–A jeśli to sam złudzieniec? – zapytała nagle Hanibe-li Perła.

–Nie sędzę, pani – pokręcił głową mag. – Nie będzie ryzykował w pierwszym zamachu, nie skorzystał wcześniej z innych możliwości. To chytra bestia – pokiwał głową do swoich myśli. – Nawet swojemu druhowi się nie odsłonił, tylko kazał mu wierzyć, że nie ma żadnej mocy magicznej.

–Czyli, to nie był on, ten... – Trazwalar Wielki skinął głową na wejście do namiotu. Właśnie w tej chwili dobiegły stamtąd odgłosy uprzątań zwłok, zaszeleściła trawa, po której wleczone było ciało.

–Nie, panie. To nie on – mag odetchnął głęboko. – Więcej powiem – jeszcze kilku gwardzistów jest spętanych jego *lairne*. I zaraz ich wyłapiemy. Dziś jest dobra noc, dziś się nie ukryją.

–A nie lepiej by było... – wtrącił się Brulwerd Jasna Noc -...zostawić ich i czekać, aż się będą porozumiewać ze złudzińcem?

–Nie będą. Nie mają takiej potrzeby. Jego rozkazy już są w ich głowach, będą tylko czekali na sprzyjający moment, i na pewno się już nie spotkają. Zresztą, kto wie, czy w ogóle się spotkali!...

–No to co masz zamiar zrobić? – po chwili ciszy zapytał Trazwalar Wielki.

–Udamy się do garnizonu i wyłapiemy tych pozostałych, jednego czy dwóch. Jeśli się uda ich przesłuchać – dobrze, jeśli nie, a pewnie tak będzie, bo oni zapewne mają nakazane dać się zabić w razie niepowodzenia, przynajmniej wyczyścimy gwardię...

Trazwalar sięgnął jeszcze raz do pucharu, ale naczynie było puste. Ze złością cisnął nim w kąt namiotu. Hanibeli Perła poderwała się i pobięła do niskiego stolika, na którym stały trzy szeregi dzbanów z winem. Sodos Skrępowany pochylił się w głębokim ukłonie.

–Dobrze. Idźcie. Potem ty, Marencebo, przyjedziesz i powiesz mi, co się wydarzyło...

–Udam się z nimi! – poderwał się ze swych poduszek Brulwerd Jasna Noc. – Dopilnuję wszystkiego i opowiem z pierw...

–Nie.

**Król nie podniósł głosu, wręcz przeciwnie, zabrzmiało to cicho i głucho. Brulwerd poruszył wargami, ale nie próbował się sprzeczać. Trazwalar Wielki gestem wyprosił gości z namiotu mag skłonił się, wycofał pod drzwi, tam odwrócił się i, nie czekając na wstającego z kolan Marencebę, wyszedł przed namiot.**

**Było już zupełnie ciemno. Świecący na zachodzie księżyc zalewał jasną poświatą pełni wszystko dokoła. Na namiocie władcy, na czarnym tle srebrne smoki, poruszające się po odrzuceniu przez maga wejściowej płachty, wyglądały jakby kiwały ze złością głowami. Sodos Skrępowany odszedł kilka kroków i zatrzymał się, czekając na Marencebę Sieć. Kiedy ten, zmieniawszy trzech wartowników na sześciu nowych, podszedł doń, mag powiedział cicho:**

**–Kiedy dojdziemy do twoich ludzi, od razu każ wszystkim bez wyjątku ustawić się w krąg. Najlepiej jakby trzymali się za ręce za plecami, wtedy jest szansa, że kiedy zdrajcy... Może niewinni, nieświadomi, ale jednak zdrajcy, będą chcieli się zabić, ci inni ich powstrzymają... chociaż – wątpię, by się to udało. Zazwyczaj to jest pierwszy i nadrzędny nakaz przy takim opętaniu: zniszcz siebie, kiedy nie możesz wykonać zadania...**

**–Ostrzegę zaufanych...**

**–Nie, panie. Nikogo. Wszyscy stają w kręgu, ja będę w środku. Dla ciebie byłoby dobrze, gdybyś...**

**Nie dokończył, ale Marenceba Sieć skinął głową.**

**–Tak. Stanę ze wszystkimi.**

**–To dobra myśl. Trazwalar Wielki musi być pewien swoich dowódców.**

**–A ty?...**

**–Ja?**

**–Co z tobą, panie? Jak ty udowodnisz, że nie masz niczego wspólnego ze złudzieńcem?**

**–Otóż tu jest problem, drogi Marencebo – powiedział, westchnąwszy, mag. – Nie ma takiego sposobu. Musisz mi zaufać.**

**–Nie ufam nikomu – rzucił cicho dowódca gwardii.**

**–Masz powody – rzucił Sodos Skrępowany lekko. Mag kroczył między namiotami pierwszy, Marenceba Sieć za nim. Nie rozmawiali już po drodze. Doszli do części rozległego obozowiska, gdzie stały namioty gwardii Trazwalara. Kilkadziesiąt**



namiotów rozbito bez specjalnej troski o ładny szyk, zostawiono tylko spory kawałek placu na środku ordynku. Tam stanął mag i skinął głową. Marenceba Sieć podszedł do dwóch dyżurujących przy ognisku tuzinowych i wydał im cichym głosem rozkazy. Po chwili rozległ się głuchy odgłos niskiego gongu, poły namiotów zaczęły się poruszać trącane przez budzących się gwardzistów.

Kilka chwil potem żołnierze zaczęli wybiegać na polanę. Tuzinowi już wiedzieli, co mają zrobić. Po chwili dokoła maga, tyłem do środka kręgu, ustawił się podwójny pierścień gwardzistów, trzymających za plecami jedną ręką kolegę z drugiego rzędu. Drugą ręką towarzysza od lewej. Przypominało to figurę tańca grupowego, ale nikt się nie uśmiechał, nie przytupywał, nie szukał wygodniejszej pozycji.

–Za chwilę okaże się, kto z was oddał się na służbę xameleonowi, zamierzającemu dokonać zamachu na naszego władcę Trazwalara Wielkiego! – głośno powiedział Marenceba Sieć.

–Wiecie, co powinniście uczynić. Schwycić zdrajców, a na pewno nie pozwolić im umknąć. To wszystko.

Zrobił dwa kroki i przerwał łańcuch swoich gwardzistów, wszedł weń i wczepił się, jak i oni, rękami w ręce innych. Stali zwarcie ciasno przy sobie.

Mag okręcił się wolno w miejscu, potem usiadł na ziemi i rozłożył dokoła siebie opończę. Przez chwilę nic się nie działo, potem z ust zaczęła wypływać monotonna recytacja. Niezrozumiałe słowa wygłaszał niskim, dudniącym głosem, przechodzącym czasem w ponure wycie. *Halemmed* odwrócił głowę, niemal trzasnęły kręgi szyjne, ale udało mu się zobaczyć, że Sodos Skrępowany kiwa się w miejscu. Głowę osłania mu kaptur, a posępny głos unosi się wyraźnie nad nim. Potem, jakby w rozmowie, odezwał się drugi głos, wyższy, sykliwy... Przez długą chwilę nad magiem kotłowały się te głosy, a potem nagle Sodos zwałił się na trawę przed sobą, rozplaszczyl, a Marenceba Sieć, który nie wytrzymał i obejrzał się znowu, zobaczył, że opończa rozkłada się na trawie, z grubsza zachowując kształt człowieka pod sobą, ale spłaszczając się tak, że musiałby być grubości placka jęczmiennego. Głosy przekrzykiwały się, potem ścichły, aż wszystko umilkło. Nawet z obozu nie dochodziły żadne dźwięki.

I nagle jeden z gwardzistów szarpnął się, pochylił, i niemal waląc na twarz, wyrwał dłoń z uchwytu towarzyszy. Potem wyskoczył z szeregu, okręcił się na pięcie i chwycił za gardło. Ktoś zawołał go po imieniu. Z jego ust wyrwał się głośny charkot, rzucił się ku niemu Marenceba Sieć i jeden z tuzinowych, ale żołnierz już wyszarpnął spod bluzy cienki, długi *sneti* z ciemnej stali i pociągnął ostrzem po szyi. I gdy walił się na ziemię, buchającą z rany krwią plamiąc sięgające już go niemal dłonie, z innego miejsca w szeregu wyrwał się inny żołnierz. Teraz okrzyki przybrały na mocy, krzyczeli tuzinowi, krzyczeli najbliżsi odszczepieńcom towarzysze. Gwardzista

usiłował przebić się przez kordon, jakby chciał zaatakować maga, został natychmiast uderzony dwoma czy trzema sztyletami z szeregu. Zatrzymał się, z ust wydostał się ponury skowyt, który niczym zimny miecz przyłożony do pleców wywołał ciarki w słuchających, i chwycił się za gardło. A potem stała się rzecz niebywała: zacisnął dłonie na swojej szyi i nagle tak mocny spazm skręcił mu palce, że najbliżej stojący i biegnący ku niemu gwardziści usłyszeli, jak trzasnęły kręgi w szyi. Wiotczące natychmiast ciało okręciło się na tracących sztywność nogach i zwało na trawę. Biegający w różnych kierunkach gwardziści zwalniali i stawali w miejscu. Nastąpiła cisza.

Nie słychać już było spierających się głosów nad głową maga. Nie odzywał się nikt z rozdartego, postrzępionego, podwójnego kręgu żołnierzy. Ktoś głośniejsz odetchnął czy sapnął, ale zaraz ucichło i to. Marecheba Sieć podszedł do gwardzisty, który własnymi rękami skręcił sobie kark, stał chwilę nad nim, a potem gwałtownie odwrócił się i ruchem ręki przegonił stojących mu na drodze żołnierzy. Pośpiesznie rozsunęli się na boki, ustępując drogi rozjuszonemu dowódcy.

Dowódca gwardii Trazwalara Wielkiego wszedł w zwichrowany krąg swoich żołnierzy i podszedł do leżącej bezwładnie opończy. Pod nią nie było nikogo. Marecheba Sieć energicznym ruchem zawinął ją sobie na przedramieniu. Potem wszedł na trawę, na której jeszcze chwilę temu leżała opończa, i kilka razy mocno tupnął. Jakby sprawdzał, czy pod darnią nie ma ukrytej ziemianki. Potem splunął z całej siły w trawę i przywołał gestem tuzinowych.

–Żołnierzy do namiotów – syknął. – I żadnego gadania!... – odetchnął głęboko, uderzył pięścią w otwartą dłoń. Rozejrzał się ze zmarszczonymi brwiami.

–Co tak śmierdzi?

Stojący z boku tuzinowy podniósł rękę. – To Loca Feir Słodki... Ten, co skręcił sobie kark... – pokręcił głową albo w zdumieniu, albo sprawdzając swoje kręgi, czy trzymają głowę. – On się... wypróżnił... Strasznie cuchnie...

Marecheba Sieć chwilę przeżuwał coś – myśli? słowa? Potem zacisnął jedną pięść w drugiej tak mocno, że strzeliły kostki.

–Musiał się bać, jak nigdy w życiu – powiedział cicho. – Też bym się bał. I jeśli mam być szczery, zaczynam się bać tego maga – zastanawiał się chwilę.

–Tak, wcześniej mu nie ufałem, a teraz zaczynam się bać. I wy też się bójcie. Ale tak, żeby nie stracić głowy. I twarzy.

–Ale co tu się, panie, działo? – zapytał inny tuzinowy.

–Co? A skąd mam wiedzieć? Powiedział, że ktoś opętał dwóch naszych

gwardzistów, że ten ktoś kazał im w odpowiedniej chwili uderzyć na Trazwalara Wielkiego... Mag ich zwęszył, ale naczelny nakaz był taki, że mieli się w takim momencie zabić... – milczał chwilę. – A dajcie mi spokój!

Machnął ręką, łącząc w tym i polecenie dla tuzinowych, i odmowę odpowiedzi na kolejne pytanie.

–Do namiotów! Ścierwa poza obóz.

Sam poszedł składać meldunek Trazwalarowi Wielkiemu. Tuzinowi zatrzymali kilku żołnierzy, ci chwycili ciała i ponieśli cisnąć za obozowisko, na żer dzikim psom i towarzyszącym taborowi szczurom.

Po głowie dowódcy gwardii królewskiej kołatały się jego własne, wypowiedziane do maga słowa: „Nie ufam nikomu”.

Z trudem powstrzymał się od wyszarpięcia miecza, gdy zza mijanego namiotu wyłonił się nagle Faseh Zielony.

–Mag prosi o zwrot opończy – powiedział drżącym głosem chłopak.

Maretcheba Sieć zacisnął zęby, cisnął płaszcz chłopakowi w twarz, i mocno wbijając stopy w ziemię, kontynuował marsz. Gdy podszedł do pierwszego namiotu, wyszarpiął z pochwy *srehen* i ciął linki. Naprężone sznury pyrknęły tylko, końcami chlasnęły powietrze, z namiotu wyskoczył dworak, ale widząc szaleństwo w oku *halemmeda*, szybko odwrócił się i zanurkował w na poły zwalonym namiocie. Szybko tam znieruchomiał. Maretcheba Sieć maszerował już dalej przez obozowisko, drogę znaczyły przecięte bambusowe paliki, zwisające linki, powalone namioty. I nie tylko: jeden nieostrożny i pechowy psiak po spotkaniu z nim uciekł w ciemność, zdziwiony, że nagle nie ma czym machać przed tym mężczyzną. Dopiero w mroku zwinął się w kłębek na trawie, żeby zająć się wylizywaniem zaskakującej, krwawiącej obficie rany.

## Rozdział 10

Od trzech dni, od kiedy mag ujawnił zamachowców, na polecenie Trazwalara Wielkiego namiot maga zawsze był rozbijany w najbliższym otoczeniu namiotu władcy. Nauczył się nawet dzielić dni na takie, kiedy był to czarny w złote smoki i srebrno-karminowe pawie, i te, gdy monarcha wypoczywał w błękitnym w białe, kudłate małpy i czarne węże. Również brat monarchy, Brulwerd Jasna Noc miał rozbijane na przemian dwa namioty: granatowy ze słupami, po których biegały żółto-zielone jaszczury, i biały w różnokolorowe motyle nad seledynowymi żółwiami. Dzięki systemowi dwu namiotów służba zajmująca się nimi wyjeżdżała długo po tym, jak w drogę wyruszali ich mieszkańcy, ale nie musiała śpieszyć się i wyprzedzać karawany, by rozbić na czas namiot. Inna drużyna, na czele karawany już od kilku *semii* podążała do miejsca następnego popasu. W karawanie, w małym ruchomym

miasteczku, kilka grup ludzi żyło w kilku jakby różnych torach czasowych. Jedni jeszcze spali, kiedy drudzy już wyruszali, a jeszcze inni od dawna już byli w drodze. Tryby maszyny podróźnej poruszały się w różnym tempie, ale pracowały w sumie zgodnie na jedno – składały się na wyprawę Trazwalara Wielkiego.

Przez dwa dni po pamiętnym wieczorze mag nie wychylał nosa z namiotu, a w dzień walił się na wezwany wóz i spał.

–Powiedział, że odsypia wyprawę po magicznego przewodnika, który mu wskazał zdrajców – powiedział Faseh Zielony do Maretheby Sieci, gdy ten wezwał go do siebie na relację. – Jest strasznie zmęczony, ledwo może utrzymać w ręku puchar z winem. Przez cały czas ktoś gada w namiocie, kiedy on śpi. I na wozie też.

–Zapytaj go, czyj to głos – powiedział Ob Rydel obecny przy rozmowie.

–Panie?... – chłopak niemal się rozplakał. – Boję się...

–A co to mnie obchodzi! – wycedził zduszonym głosem rozgniewany *samerantur*. – Chcę wiedzieć, kto niewidzialny łązi po moim obozie!

–Poczekaj – powstrzymał go Maretheba. – Myślisz, że Sodos powie dzieciakowi, kto się wokół niego kręci?

*Samerantur* zaczerpnął powietrza, by potwierdzić, że tak, powie, ale przez perzynę gniewu czy strachu dotarło do niego, że okaże w ten sposób słabość. Wypuścił powietrze i pokręcił głową.

–Wynoś się! – syknął na Faseha Zielonego. Gdy chłopiec prysnął biegiem i zostali sami na leżącej kłodzie, pod gałęziami ogromnego, największego w okolicy dębu szkarłatnego, huknął pięścią w drzewo, aż strzeliło, sucho i odpadło pasmo kory. – Całe dnie i noce zastanawiam się nad tym magiem... I ciągle wydaje mi się, że jego obecność tu do niczego dobrego nie prowadzi.

–Jak na razie, to uczynił więcej niż my. Aż się trochę dziwię naszemu władcy – Maretheby Sieci nawet największy kłamca nie określiłby dziś mianem „wesoly”. Wzruszył ramionami i pokręcił głową.

–Za mniejsze przewiny głowy fruwały z murów Gaybony i turlały się po podgrodziu – parsknął gorzkim śmiechem – Dobrze, że jeszcze mam czym kręcić!

–Nie przesadzaj, *halemmedzie*. Masz wielkie zasługi.

–Kai-Ho Słupiec też miał wielkie. Ob Rydel sapnął, milczał chwilę.

–Ale... – zaczął, lecz bez przekonania.

–Wykrył trzech zdrajców! – powiedział z mocą Marenceba. – On! Nie ja, nie ty, i nikt inny. Ale ty nie musiałeś, a ja powinienem był – zerknął spode łba na *samerantura*. - A to, że się go boisz, to ludzka rzecz – podniósł rękę i stłumił rodzący się protest rozmówcy.

–Ja też się boję. Nie tak, że nie stanąłbym z nim do walki. Ale boję się tego, co dokoła niego jest. Te głosy, te ognie... Wygląda, że wie więcej o ludziach z pałacu, choć mieszka w nim od dziesięciu dni a my przez całe życie. Wiedział, że mamy jeńca...

–Może chłopiec mu powiedział...

Marenceba Sieć spojrzał na *sameranturę* z takim politowaniem, że Ob Rydel nie dokończył nawet słowa. Mimo to Marenceba wbił gwóźdź:

–Myślisz, że ten szczylec wiedział o jeńcu?

–Nie, nie myślę...

–Właśnie. A on ciągle coś wie, ciągle czymś zaskakuje!... Wstrząsnął nim dreszcz.

–Czy to aż takie wielkie czyny? – Ob Rydel nie chciał czy nie mógł pogodzić się z mocą maga. – Głosy czy og...

–A to, że na moich oczach rozpląnął się i znalazł w swoim namiocie? – Marenceba Sieć, zanim wykrzyknął te słowa, rozejrzał się i ocenił jak daleko jest najbliższy człowiek. – Mało? To pokaż mi więcej!

Ob Rydel majtnął głową: „No pewnie. Już lecę!”. Siedzieli chwilę w milczeniu. Zza szpaleru tworzących obrzeże obozu namiotów wypadł Faseh Zielony i gnał w ich kierunku.

–Na Grebha Czarnego, coś się dzieje – syknął na jego widok Marenceba Sieć.

Ob Rydel zbladł i zacisnął zęby. Jego prawa ręką wpiła się w naderwany płat kory, i już chyba nawet głębiej – pazurami w twarde krwawej barwy drewno dębu.

–On... on... wyszedł i... i... posz... do jeńca! – wychrypiał chłopak.

Mężczyźni wymienili spojrzenia. Nie mieli sobie nic do powiedzenia, ale obaj odkryli w oczach drugiego ulgę – nic się, właściwie, nie stało. Tyle, że mag odespał chyba wysiłek i odzyskał siły. Chyba. Chyba nic to nie znaczy.

–Dobra, uciekaj, ale odsapnij, bo cię zapyta gdzie byłeś! Chłopak skinął głową i cofnął się kilka kroków, nie tracąc mężczyzn z oka, dopiero potem poderwał się i

biegiem, mimo polecenia Marenceby, pognął do obozu. Nie powiedział, że nawet mu nie przyszło do głowy próbować okłamać maga. Służył Marencebie, bo musiał, ale maga bał się panicznie. I na wszystkie jego pytania odpowiadał szczerze i wyczerpująco. Nie zamierzał dla Marenceby kłamać, kręcić, oszukiwać.

Tyle że mag go od dawna o nic ważnego nie pytał.

A wszystko wiedział.

\*\*\*

Jeniec wyglądał znacznie lepiej niż w dniu, kiedy Sodos Skrępowany zobaczył go po raz pierwszy. Nawet to mizerne światło przenikające przez poły namiotu, przez szczeliny w wozie, sprawiło, że jego twarz pociemniała z lekka, blizna stała się nie tak widoczna. Oczy przestały łzawić.

Więzień, jak zwykle, miał kajdany na przegubach. Łańcuchy prowadziły pod półą namiotu na zewnątrz, gdzie były przytwierdzone do wbitych głęboko w ziemię pali. Na łańcuchach wisały grona niewielkich mosiężnych kul wypełnionych kamykami. Każdy ruch więźnia kwitowały głośnym grzechotem, próba wyrwania pala, skazana na niepowodzenie z powodu ich wielkości, obudziłaby nawet głuchego.

Jeniec nie próbował wyrwania pali. Siedział ze skrzyżowanymi nogami na stercie derek z posłania. Jego głowa znajdowała się niewiele wyżej niż pas maga, ale nawet z tej pozycji nie pozwalał magowi, by myślał o sobie, że góruje nad przyjacielem złudzieńca.

–No to jak twój druh przemienia swoje ciało w... na przykład... konia? – rzucił mag, uważnie wpatrując się w twarz Cadrona.

–Nie przemienia się. Mówiłem to. W zwierzęta nie może, a poza tym nie przemienia się, bo wtedy wchodziłby w duszę takiej osoby...

–Właśnie! – mag aż poderwał się z przyniesionego przez strażnika zydlu. – Kiedy wchodzi w duszę innego człowieka... – więzień pokręcił głową z lekkim uśmiechem rodzica, któryś z kolei raz tłumaczącego dziecku tę samą prostą rzecz -...to co wtedy? Ma jej pamięć? Potrafi, na przykład, odnaleźć zakopaną przez nią w ogrodzie kasetę ze; złotem?

–Mówiłem, panie, nie wciela się w tę osobę – cierpliwie powtórzył jeniec. – On ją naśladuje. Przybiera jej powłokę. Przecież, jeśli jakiś młody a tchórzliwy szlachciura nie może walczyć z pustoszącym jego marne i tak ziemie pirogiem, to płaci, prawda? Myśmy go ukryli w izbie karczmy, a Hondelyk wyszedł w jego postaci, ubił gada i wrócił. Po czym wyszedł z izby młodzian i odbierał wiwaty gawiedzi. Ale on przez cały czas żył, pił i ryćkał pewną dziewczkę, pijaną i troszkę odurzoną, by nie powiedziała

**potem za dużo. To jest tak, jakbyś, panie, włożył szaty uszyte na wzór czyichś innych szat. Żeby odtańczyć jeden taniec z jakąś miłą dziewczyną, zaczem je spalił. A ona pamiętała tylko, że ten dworzanin w zielonym kaftanie bardzo jej przypadł do serca w tańcu.**

**–No to dlaczego, patrząc na konia, nie może przyjąć jego postaci, niechby sobie stał obok drugi taki koń? – zapytał rozeźlony mag.**

**Cadron wzruszył ramionami.**

**–To też już mówił...**

**Mag poderwał się i trzasnął więźnia w twarz, aż ten poleciał na bok. Rozległ się głośny grzechot kamyków w kulach przytroczonych do kajdan.**

**–Nie tobie sądzić, co było, co można, co należy mówić! – wrzasnął wściekły. – Ja pytam, ty odpowiadasz! Jeszcze nie słyszałeś własnego wycia w lochu, kiedy zaczną cię skubać moi niewidzialny słudzy! – wysyczał w twarz jeńca.**

**Ten chciał otrzeć, może dotknąć tylko twarzy. Rozdzwoniły się znowu kule za namiotem, jeniec szybko opuścił rękę. Ale nie wyglądało, żeby chciał przeprosić. Milczał i patrzył na maga, a ten tylko miał głowę wyżej, ale sam czuł, że nie patrzył na więźnia z góry. Długą chwilę trwał milczący pojedynek na spojrzenia. Mag cofnął się i usiadł.**

**–Musi zatem wyciągać jakąś esencję życia z tych naśladowanych osób. Coś jak przepis na takie ciało, jakie ma ze swojego zrobić? A z konia nie może, bo koń sam nie zna takiego przepisu? Tak?**

**Jeniec przez chwilę milczał, jakby zastanawiał się nad tym, czy warto odpowiadać na pytania maga.**

**–Zawsze możesz wrócić do ciemnicy – powiedział cicho Sodos, najwyraźniej czytając w jego myślach.**

**Cadron potarł zaczerwieniony policzek.**

**–Nie wiem. Ja, nie obraż się, panie, ale nie znam przepisu na swoje ciało.**

**–A naśladował je kiedy?**

**–Nie. Przynajmniej ja o tym nie wiem.**

**–A kobiece?**

**–Och, kobiety nawet kilka razy. I młodą dziewczynę, i starszą, grubaskę...**

**Dziewczynę... Zaraz, po co mu to było?... Nie pamiętam, jakaś taka biedna sprawa. Młodzi mają się ku sobie, a kasztelan nie chce... Nie pamiętam. Naprawdę. Nic się tam nie działo takiego, co by mogło do legendy przejść.**

**–Ta stara też?**

**–Nie, tu było inaczej. W pewnej miejscinie, do której prowadzi właściwie tylko jeden szlak, zagnieździła się sprytna, piękna i zręczna w szermierce osóbka. Zebrała wokół siebie grono bandziorów i postawiła rajcom warunek: albo płacą jej dywidendę, a ona w zamian nie będzie ruszała towarów do i z miasta płynących, i jeszcze pilnowała szlaku, albo będzie łupiła karawany, a wtedy miasto podupadnie, bo będą je wszyscy omijali. Hondelyk wtedy przyjął postać niskiej grubaski, w tej postaci ją poskromił w pojedynku. Kobieta straciła władzę nad swoimi ludźmi i spokój powrócił na szlak.**

**–Och, takie to zawile, że aż się nie chce wierzyć – w głosie Sodoso zabrzmiała kpina. – Białogłowa-rozbójnik, przywódczyni mężczyzn? Wytrzepotaliby ją nieohybnie a nie służyli pod jej rozkazami.**

**–Akurat! Ten, co chciałby ją wytrzepotać bez jej zgody, raczej potem sam by trzepotał na wisielicy, a w najlepszym wypadku szukał swojej fujary w krzakach czy w psiarni!**

**Sodos Skrępowany wstał i wyciągnął w kierunku Cadrona palec:**

**–Na razie rozmawiamy spokojnie, nikomu nie dzieje się krzywda. Ale moja cierpliwość powoli paruje, jak woda z misy w upalny dzień. Zostanie niewiele, sam osad, ostrzegam cię. Nie lubię postępować gwałtownie, ale też nie chcę, by Trazwalar Wielki pomyślał, że torturowaniem mnie osiągnie więcej niż do tej pory. A on, powiem ci w zaufaniu, chyba wierzy, że tortury są dobrym sposobem na każdego, i aż oblizuje usta, kiedy myśli jak możemy obaj ładnie dla niego wyć.**

**Wyszedł z namiotu, zaraz za progiem splunął serdecznie w trawę i pomaszerował do swojego namiotu, przycupniętego w cieniu olbrzymiego błękitnego domostwa króla, jedwabne ściany którego przedstawiały białe, futrzaste mały bijące się między sobą na gałęziach drzew i czarne węże, pod drzewami i owinięte na pniach.**

**Czatuujące na pokonanych.**

**W swoim namiocie jeniec wstał i wolno, starając się nie szarpać linami i nie wzbudzać dźwięku, który nieumiarkowanie i niewytłumaczalnie go irytował, wykonał kilka prostych ruchów dla rozprostowanie kości i rozciągnięcia zeszywniałych mięśni. Przeciągał się długo i starannie, potem wykonał kilka wolnych skłonów, kilkanaście przysiadów. W końcu ułożył się na pościeli z rękami pod głową.**

**Pytania maga dawały do myślenia. Z jednej strony radowały więźnia, oznaczały, że**



mag wyczuwa bliską obecność Hondelyka. Z drugiej obawiał się, że przyjaciel przesadzi w staraniach i sam wpadnie w sidła Sodosy Skrępowanego.

„Jak to się wszystko skończy? Dlaczego w ogóle się zaczęło? Z jakiego powodu Trazwalar uznał, że chcemy go zabić? Hondelyk nigdy się nie najmował jako płatny skrytobójca. Zabijał, ale tylko kiedy nie było innej drogi, a śmierć przynosiła korzyści ludziom w ogóle, a nie tylko zleceniodawcy... A najczęściej załatwiała się sprawy inaczej... Przecież na tym turnieju w Trullebergu...” Oddał się wspomnieniom, popłynął ku szczęśliwym chwilom, na wolności, w ciepłe słońca i w jego blasku. Na usta wypłynął mu lekki uśmiech...

Chwilę potem zasnął.

\*\*\*

Obaj walczący mieli już dość pojedynku. Ramiona im omdlewały, z coraz wyraźniejszym wysiłkiem unosili tarcze. Zamachy mieczem wyprowadzali, starając się używać wszystkich jeszcze jako tako funkcjonujących mięśni. Przez co miotali się i wili, uderzali, licząc bardziej na ciężar broni i nieuwagę przeciwnika niż na własną siłę i umiejętności. Nie brakowało im ani jednego, ani drugiego, ale tłukli się od niemal *semii*. Wszyscy inni już leżeli, a ci dwaj, pokonawszy po kilku innych, i uniknąwszy ich ciosów, starli się jako ostatni. I nie potrafili rozstrzygnąć pojedynku. Skwar rozgrzał ich hełmy, a walka ciało. Pot zalewał oczy, szczypał i piekł. Potrząsali więc głowami, usiłowali ustawić się tak, by słońce świeciło w oczy przeciwnikowi, ale ponieważ obaj mieli taki sam plan, krążyli tylko, marnując resztki sił na taniec w żelastwie.

Cadron uznał, że nadszedł czas na jakieś zdecydowane działanie. Czas uciekał, siły wyciekały z ciała, za chwilę zostanie taka tylko resztką, która nie pozwoli na rozstrzygnięcie. Przez chwilę jeszcze dreptał wokół rywala, obserwując jego kroki dokoła siebie.

Zamarkował pchnięcie, potknął się i niemal odsłonił całkowicie, przyklękając na kolano. Jego rywal obleczony w połupaną już zbroję uznał, że należy kończyć. Zamachnął się potężnie i wyprowadził obszerny młynek, ale kiedy jego wypolerowany do lustrzanego blasku miecz runął w dół, tam już nie było przeciwnika. Cadron markował tylko potknięcie. Uskoczył w bok i ciął mocno w trzymającą miecz rękę. Zarest zawył i wypuścił broń. W następnej chwili zderzył się z tarczą Cadrona, a miecz atakującego, wetknięty między nogi Zaresta, zadziałał jak kajdany. Biedny rycerz chciał się cofnąć... ale tylko górna połowa ciała wykonała ten ruch, nogi zostały w miejscu. Rycerz jęknął, wyrzucił ręce w górę, z brzękiem blach i przekleństwami na ustach zwałił się na plecy. Uderzenie było tak mocne, że Cadron, który już odrzucił miecz i tarczę, nie miał kogo zapytać, czy się poddaje. Dopiero gdy niecierpliwie pomachał ręką, podbiegł z konwią wody pacholek i chlusnął zawartością na głowę Zaresta. Na polecenie Cadrona zdarł z jego głowy hełm, a zwycięzca huknął przegranego kilka razy w policzki. Dopiero wtedy pokonany zatrzepotał powiekami, otworzył oczy, zezował chwilę, potem wrócił do rzeczywistości.

–Zdajesz się na łaskę? – zapytał Cadron.

–Och... Tak, na bogów... – wychrypiał Zarest. – Zejdź, panie, ze mnie, bo się posram...

Cadron zsunął się z przeciwnika. Zdjął z głowy hełm i pochylił się w głębokim ukłonie przed nasypem, na szczycie którego siedzieli najznamienitsi i najzamożniejsi mieszkańcy Trullebergu. Czyli najstarsi kupcy, przywódcy kilku gildii, z żonami, córkami, synami. Niektórzy także z wnukami.

Herold, chrapliwym już, nadwerężonym całodziennym wysiłkiem głosem obwieścił

glorię szacownego Cadrona z Meltsydy. Nagrodziły jego wysiłek zdawkowe okrzyki młodzieży i oklaski starszyny. Powlókł się pod dach, gdzie czekała czeladź i przyjaciele walczących. Na niego czekał tylko jeden.

–No, już myślałem, że trzeba będzie ci pomóc, podstawiając mu z tyłu nogę – powiedział Hondelyk, niemal wrywając mu ze zgrabiących palców miecz i tarczę. – Co się tak z nim cackałeś?

–Powiedział ten, co ma guza na łbie jak pół dojrzałej dyni – sapnął Cadron, waląc się na ławę.

Chwycił kubas i łapczywie łyknął. Wypluł.

–Na Kreista, toć to wino?!

Hondelyk odruchowo dotknął głowy, syknął.

–Nie krzycz tak. A co ma być, woda? – Woda!!! Wody...

Dostał wody, jego druh poczekał, aż kupiony na trzy dni turnieju giermek zdejmie zbroję, odejdzie z blachami i ustawi się w kolejce do skrzyń z wilgotnym piachem i popiołem, w których czyścili pancerze giermkowie wyeliminowanych wcześniej uczestników turnieju.

–Dobrze, że tylko tyle – przyznał samokrytycznie Hondelyk. – Jakby miał więcej miejsca i lepiej się zamachnął... – powiedział, wskazując guza.

Pokręcił głową. Ale zaraz uprzytomnił sobie, że nie on tu jest w tej chwili postacią najważniejszą. Poczekał, aż Cadron napił się wody i podał drugi kubek z wypalanej gliny, wypełniony wodą z kwaśnym winem. Zwycięzca boju z wdzięcznością przyjął i tę porcję, łapczywie wypił całą zawartość.

–Och, to słońce... – jęknął.

–Pali, prawda – przyznał Hondelyk. – Nawet zacząłem się cieszyć, że już nie muszę się tłuc w blachach. Co najwyżej sobie jeszcze wieczorem postrzelam z łuku i... wio!

–Co wio? – zapytał Cadron, odgarniając sklezione potem włosy z parującego czoła.

–No, wyjeżdżamy – odparł Hondelyk.

Mówił cicho, tylko do przyjaciela. Rozejrzał się nieznacznie po najbliższym otoczeniu. Zarest dokuśtykał w salwach śmiechów i kpin do swojego namiotu, ale już nie zdążył spuścić poły: przykucnął od razu nad dużym, drewnianym cebrem i krzywił się niemiłosiernie, nie wyglądał w tej postawie ani godnie, ani dostojnie, ani

miło. No i te kiszne odgłosy...

–Chodźmy – powiedział Cadron. Odetchnął głęboko, zrzucił resztę zbroi. Odwrócił się i poszukał wzrokiem chudego giermka, który za cztery klemy zgodził się zaopiekować zbroją i mieczem, wskazał mu blachy, a tamten uśmiechnął się krzywo i pokiwał głową, że niby wie, co ma robić.

Wstali z ławy i wyszli na upał. Bez słów dotarli do cienia, i szpalerem wysokich krzewów poszli w kierunku stawu.

Wszędzie dokoła byli ludzie. Dzieciaki ganiały z piskami czasem tak wysokich tonów, że aż świerbiło w okolicach łędźwi, grupy pacholków pociągały z garnców albo zastanawiały się skąd zdobyć pieniądze na kolejny dzban. Wszyscy byli weseli i uśmiechnięci. No, może z wykluczeniem tych, co już z turnieju odpadli. Ci, ponurzy i źli, pakowali się, albo upijali przy którymś z kiermasznych stołów, albo już leżeli pijani. Para przyjaciół doszła do stawu, pływał w nim tylko jeden starszawy jegomość, chyba kupiec. Tłuscioch z białym, pulchnym ciałem i ogorzałą, opaloną na targowisku, pyzată twarzą.

–Dlaczego nic nie mówisz? – zapytał Hondelyk, patrząc na zrzucającego przepoconą odzież Cadrona. – No, odpowiedzże mi!

–Co chcesz usłyszeć? – Cadron wyraźnie grał na zwłokę.

Wyskoczył z kalesonów i już odwracał się w kierunku wody, gdy Hondelyk chwycił go za rękę.

–Chcę usłyszeć, co robimy po wieczery. Albo i przed nią. To znaczy, gdzie się udajemy.

–Ja chcę zostać do jutra – powiedział Cadron tonem człowieka, z którego siłą wydarło przyznanie.

–Zwariowałaś! Jak to? Chcesz walczyć? – Tak.

Hondelyk wpił się spojrzeniem w przyjaciela.

–Rozumiem, że czegoś nie wiem – powiedział w końcu wolno. – Inaczej...

–Na Kreista! Nie wyciągaj ze mnie...

–Muszę – rozejrzał się po okolicy.

Blady kupiec wyszedł na brzeg. Tłuste, galaretowate pośladki dygotały i niemal trzepotały, kiedy machał rękami, strzepując wodę.

–Gadaj. Albo chcesz okłamać gildię, a to niegodne i niebezpieczne, albo...

–Przecież mnie znasz, Hondelyku – powiedział z wyrzutem Cadron.

–Znam. Dlatego mnie to niepokoi. I zaczyna mnie korcić, by złapać cię za...

Cadron poklepał przyjaciela po ręce.

–No więc... Nie chciałem... I nie zamierzałem ci mówić... Wiesz, nie przyznałem się siedem lat temu, i z każdym dniem było mi trudniej. Ale postanowiłem sobie, że jednak to kiedyś zrobię.

–Czekaj! Nie chcesz powiedzieć, że jesteś ze szlachty? Że przez te siedem lat byłeś moim sługą?! A ja...

–Teraz ty poczekaj! – przerwał mu Cadron. – Gdybym przez te lata odczuł jakoś twoją pogardę dla mojego stanu, jakieś... lekceważenie, dyshonor... Gdybyś zachowywał się niegodnie tylko dlatego, że jestem niższego stanu – odszedłbym, rzucając ci z pogardą prawdę w pysk. Ale – czy kiedykolwiek kazałeś mi czyścić konie, a sam poszedłeś do ciepłej izby na wino czy piwo? Czy kiedykolwiek wysłałeś do gorszej izby czy do stajni, sam wylegując się w puchowych piernatach? Czy jadałeś lepiej ode mnie?

–Ale co to ma do rzeczy, człowieku? – Rycerz poderwał się na równe nogi. – Przez siedem lat godziłeś się na bycie sługą, bo... bo... No właśnie – dlaczego?

–No wiesz... – Cadron zwałił się na plecy i przeciągnął. – Dwaj szlachetni rycerze bez służby są podejrzani... Albo to tacy są, co wzdrygają się na widok białogłowy, albo oszuści dwaj... Jak mielibyśmy przekonać kogoś do swoich kompetencji, skoro nawet nie stać nas na służącego? A wiadomo, dlaczego nie możemy pozwolić, by się ktoś kręcił koło nas... No i – powtarzam – gdybyś ty był jakimś durnym szlachetką z wybujałym mniemaniem o sobie, to może bym i pokazał ci Tacelet Szlachecki, sygnet i takie tam, resztę... Ale tak...

Usiadł i potarł dłońmi ramiona.

–Nie gniewaj się. Wiem, że nie postąpiłem dobrze, i uwierz mi, że to była udręka, taka drzazga. I cieszę się, że już mam to z głowy... A teraz idę się splukać, bo śmierdzą jak napalony cap, nie wytrzymałbyś ze mną w izbie. – Wstał i zrobił dwa kroki w kierunku wody. Odwrócił się i rzucił weselszym tonem: – Chyba że od teraz każesz mi spać w chlewiku...

Hondelyk cisnął weń nieznanym w trawie kawałkiem wieprzowego gnata, ale – umyślnie – chybił. Zastanawiał się chwilę; potem rozejrzał raz jeszcze. Grubas z galaretowatym, wysiedziałym dupskiem zniknął, nikogo poza porykującym już w

wodzie Cadronem nie było w pobliżu. Zrzucił szybko ubranie, kiesę cisnął w krzaki i wskoczył do wody.

Był przyjemnie nagrzana, chłodziła delikatnie, właściwie owijała się dokoła ciała, łagodnie łaskotała, niemal pieściła. Zanurzył głowę w wodzie, potrząsnął nią mocno, poczuł jak rzemyk, którym związane były włosy, rozwija się i gęste pukle zaczynają falować w toni. Wynurzył się na powierzchnię.

–A wiesz, że kilka razy rozważałem takie coś? – zawołał do prychnącego przyjaciela.

–Skrzywdziłbym cię, mówiąc, że to było trudne! – odkrzyknął tamten. – Nawet chyba czekałem na twoje pytania!

Najwyraźniej był zadowolony, że zrzucił z siebie dokuczające mu brzemie wyznania. Podpłynął i ułożył się na plecach, wolnymi, obszernymi ruchami rąk utrzymywał się na powierzchni.

–Ale dlaczego akurat teraz? – zapytał Hondelyk, ułożywszy się podobnie na wodzie. – Tak ci zależy na tym trzosiku? Chudy dość. A ta tarcza i miecz, oferowane przez gildię... - pokręcił głową z politowaniem -...kiep-ścizna wielka.

Cadron chwilę utrzymywał się na powierzchni, nie odpowiadając na pytanie przyjaciela. Potem chlapnął sobie wody do ust, przeplukał je i wypluł wodę długą strugą...

–Widziałeś tę panią Sewrenę? Tę wdowę, co prowadzi młyn po mężu?

–U-ee-ch... – powiedział przeciągle Hondelyk. – A-a-a... to jest owa przyczyna-a-a? No-o... Widzieć, ją widziałem, jak miałbym nie widzieć, skoro to kobieta piękna po prostu. A wśród tej całej tłustej bandy wygląda jak królowa, naprawdę! Pierś ma wysoką, pięknie sklepioną, może, nie opuszczając wzroku, widzieć haft na staniku... Choć, prawdę mówiąc, nie ma właściwie sukni w tym miejscu... I stan piękny! Wąska w pasie, a potem przechodzi to w piękną, krągłą, soczystą linię bioder. Jak sobie wyobrażę... Och-ch...

–No to sobie nie wyobrażaj! – Cadron prysnął wodą w towarzysza, ten rozkaszał się, kiedy kilka kropel trafiło w otwarte usta. – Ta kołyska nie dla ciebie!

–A-a! Kchr! Myślisz, że się pobujasz?

–A pobujam! Pobujam. Tylko muszę dokończyć szturm! Jutro. Powalę tego Letsenberta, i poczuję bicie jej serduszka w swojej dłoni.

–Za małą masz dłoń – roześmiał się Hondelyk.

**–Dłoń to betka!... – zanurkował, wynurzył się, wypłuł wodę i potrząsnął głową na boki. – A wiesz, co to betka? Bierzesz swojego pryńcia w dłoń, potem w drugą dłoń, przekładasz znowu pierwszą dłoń i to, co ci z niej wystanie, to właśnie jest betka!**

**–Za dużo słuchasz gadek pijanych pacholów w karczmach.**

**–Nie słyszałem tego od pacholka, tylko od swego wuja.**

**–Strega z Upsmaelle?**

**–Tak, opowiadałem ci o nim... – skierowali się do brzegu. – Tylko nie mówiłem, że ma... Miał dość znaczącą twierdzę, nie za dużą, ale na dość gościnnym szlaku... To on wprowadzał mnie we wszystkie takie męskie sprawy. Z nim się napiłem pierwszy raz, on mnie kurował następnego ranka, on opowiadał o kobietach. Tylko raz się zaczerwieniłem, przy pierwszej opowieści. Potem, wszystkie inne to była...**

**–Betka! – wskoczył mu w słowo Hondelyk. – Żebyś wiedział. Pokazywał mi malowidła, które kryły się w jego komnacie za gobelinami. Pewnie nawet ciotka o nich nie wiedziała. Takie, bracie, malowidła, że służba za najwyższe szczęście uważała przydział do sprzątanania, zwłaszcza podczas jego nieobecności.**

**–Dobrze się składa – dość enigmatycznie skwitował jego słowa Hondelyk, wyłaząc na brzeg.**

**–Ale co?**

**–No, będziesz miał co opowiadać, jak będziemy pośpiesznie wynosili się stąd bocznymi drogami. A już myślałem, żeśmy sobie wszystko do cna opowiedzieli i będziemy musieli do kompanii przyjąć trzeciego, by się nie zanudzić...**

**–Dlaczego pośpiesznie?**

**Obaj skakali na jednej nodze, wytrząsając wodę z uszu. Podobni do siebie z zarysów postaci. Wysocy, żyłaści, szczupli. Po kilka blizn, długie włosy, Hondelyka nieco jaśniejsze, w kolorze szlachetnego miodu gryczanego, Cadrona ciemne, ciemnobrązowe. Zaczęli się ubierać.**

**–Dlaczego sądzisz, że będziemy uchodzili stąd w pośpiechu? Wszak to wdowa?**

**–A! No i co z tego? Na pewno ostrzy sobie na nią zęby połowa gildii, ta połowa, co sama by wtuliła się w jej łono i marzyła o, czymś więcej, a druga, co marzy o jej młynie i że ożeni ją ze swoim niedojdą synem.**

**–Nooo... Może...**

**Hondelyk poszedł w krzaki, wyjął z trawy trzosik. Potrząsnął nim.**

**–Wystarczy mi na wino do rana, na tobie zaoszczędzimy!**

**–A nie będziesz strzelał? Mówiłeś, że...**

**–Nie-e-e wie-e-em... – skrzywił się Hondelyk. – Jak mi się zechce... – błysnął okiem do przyjaciela, i odsunąwszy się, zakpił: – Ja nie muszę się wysilać. Ty, to co innego.**

**Wykonał leniwy zamach, ale nawet nie próbował się zbliżyć do przyjaciela. Przypasał trzos, w którym, po prawdzie, znajdowała się najmniejsza część całego ich dobytku. Obaj mieli poza tym trochę monet w pasach, w obcasach butów, w rękawach, a najwięcej w ciasno owiniętych surowymi, wilgotnymi skórami rulonach, które włożyli od razu pierwszego wieczora za jedną z desek w ścianie ich izdebki. Dla pewności wyłamawszy i niedbale zamaskowawszy wyłamywanie innej deski. Takie czasy, tacy ludzie dokoła – powiedział kiedyś Cadron, a dziwiący mu się wtedy Hondelyk musiał po kilku miesiącach przyznać rację przyjacielowi.**

**Ruszyli łąką wzdłuż wału miejskiego, obłego nasypu za płytkim i wąskim rowem, do swojej oberży. Szańce miejskie wyglądały jak kpina z ewentualnych napastników, ale cóż, skoro takich nie było tu od stu czterdziestu lat. Równa, krótko wyskubana miękkimi, owczymi pyskami trawa mile sprężynowała pod stopami na błoniach przed miastem. Znajdujące się na zbiegu dwóch ważnych i trzech pomniejszych szlaków miasto, z którego wynurzał się tylko jeden, zawsze zapchany ludźmi i taborami szlak, znajdujące się w centrum bogatej i dobrze strzeżonej krainy, bez – na dodatek – graniczących z nią wrogimi krajami czy dziedzinami, to miasto nie potrzebowało murów. Po prostu – nadane mu sto pięćdziesiąt lat temu przez króla Nednera – prawo reprezentacji prowincji, rajcy wykorzystali i odmówili na wieczne czasy budowy murów. Owszem, utrzymywano silne rozjazdy, penetrujące drogi prowadzące do miasta od wschodu i północy, owszem, obsadzano mocno mosty, istotnie skracające i ułatwiające podróż przez pasmo Gór Upalnych, ale były to jedyne siły Trullebergu. Ale dzięki temu, że garnizon ten był znakomicie opłacany, był jednocześnie silny i sprawny. I nie było w nim grubasów z czerwonymi kinolami, częsty widok w innych miastach, gdzie przez kilka lat nic się nie działo, załoga chłała i żarła, a potem, w chwili potrzeby nie mogła się wgramolić sprawnie na zapasione konie. Albo chude szkapy, zależy, czy dowództwo okradało też wierzchowce z owsa czy nie.**

**Ominęli stadko przeznaczonych na różny jagniąt pilnowanych przez grające z zapalem w kilpę dzieciaki. Cadron sięgnął do trzosa i – ot tak, z nadmiaru szczęścia – cisnął dzieciakom dwa nitty. Teraz z tyłu towarzyszyły im radosne wrzaski i podziękowania.**

**–Za każdym razem, kiedy tędy idę, dziwi mnie nawet już nie tyle brak murów –**



**powiedział Hondelyk – co brak podgrodzia.**

**–Nie dostaje ci tego smrodu, brudu i harmideru? Chudych psów i dzikich kotów, umorusanych dzieciaków i kobiet z powybijanymi zębami?**

**Jego druh prychnął i trącił go pięścią w ramię.**

**–Bogate miasto, to i nie ma biedoty. Dla każdego kapnie ze skarbca... – powiedział.**

**–Nie oszukujmy się, kto nie chce żyć w taki sposób, jaki zalecają rajcy, wylatuje stąd poganiany długim korbaczem – rzucił z ironią Cadron.**

**–Potępiasz ich za to?**

**–Czy ja wiem? Nie zawsze bieda wynika tylko z lenistwa...**

**–No więc, jak nie jesteś leniwy, to tu możesz nie być biedny.**

**–Pewnie tak.**

**Ale w głosie Cadrona nie było wiele pewności.**

**Zeszli z trawy na brukowaną już w tym miejscu drogę. Skierowali się w prawo, do miasta. Z lewej ciągnęła tylko jedna dwukołowa erba. Jeszcze dalej, przy zakręcie do brodu, sterczała w niebo wysoka wieża strażnicza. Twarde obcasy wystukiwały podwójny rytm na kamieniach drogi.**

**–Zimnego piwa najpierw – rozmarzył się Cadron. – A w tym czasie na ruszt pójda raki. Potem drugi kufel piwa, z parzącymi rakami. Następnie pierś pawia, obłożona z dołu chudym boczkiem, a z góry śliwkami i orzechami. Spryskiwana winem gęstym od dodanych ziół. Ale tej piersi niewiele, tylko dla smaku, żeby się nie zapchać. Potem szynka z ziołami, roszonek, rzepą pieczoną i czosnkiem. Dziś jeszcze mogę!**  
**– uprzedził przyjaciela, który chciał coś powiedzieć o smrodliwych pocałunkach.**

**–Następnie pucharek tego muszkatołowego, co tu odkryliśmy, wiesz to cierpkie i zimne, jak miętowe...**

**–Czekaj...**

**Hondelyk psyknął w znany im obu sposób: „uważaj”.**

**Przed nimi w ciasnej uliczce pojawiła się czwórka mężczyzn. Nie mogli mieć dobrych zamiarów. Twarze wysmarowali błotem, błyskały tylko białka oczu i sterczały w dwu gębach nastroszone, niewiadomego koloru wąsy. Cała czwórka miała pałki, takie na dwa, dwa i pół łokcia, poręczne w manipulacji na wąskiej uliczce. Lewoflankowy wyraziście klepnął pałką o dłoń.**

**–Mieszki, szanowni panowie, i rozchodzimy się bez krzywdy dla was!**

**–A dla was?**

**Cadron obejrzał i syknął przez zęby. – Dwu z tyłu. Na nich uderzymy.**

**Hondelyk mruknął „yhy”, i kładąc dłoń na rękojeści kordu, powiedział do herszta:**

**–Odstąpcie, to i jajca wyniesiecie stąd cało. A jak nie, to sam ci je urwę, a potem sprzedam cię, durniu, do cienkopieznego chóru przy grodzkiej świątyni!**

**–Aż ty, kurwią twoja mać! – ryknął oburzony herszt. – Harkie! Michniarz! Na nich!**

**Przyjaciele wykonali zwrot i, nie czekając na atak, uderzyli sami. Rozpędzili się i pognali z powrotem na dwu trochę skonfundowanych zbójów. Tuż przed nimi, kiedy przeciwnik Cadrona już wyprowadzał uderzenie, Cadron padł na ziemię, przeturlał się, tak że palica walnęła w ziemię obok niego, podciął napastnikowi nogi i, kiedy miał go już obok siebie, uderzył kantem dłoni w grdykę. Niedbale i słabo, żeby nie zmiażdżyć.**

**To się zemściło. Mężczyzna zdołał podstawić swoje przedramię, cios nie sięgnął celu, a Harkie, czy jak on tam się zwał, zaczął brykać kolanem, usiłując spełnić groźbę Hondelyka, choć nie do tej osoby skierowaną. Cadron zdołał łokieć wpakować Harkiemu w dołek, chwycić za pałkę i wykręcić ją tak gwałtownie, że zbój jęknął „Au-aua-uaj!”, puścił palicę i – świadomy swej bezbronności poderwał się na równe nogi. Równie szybko powstał Cadron, kiedy jego napastnik odwrócił się do ucieczki, Cadron sięgnął go końcem drąga w krzyż, tuż nad lędźwiami.**

**–Ło-ech! – ryknął Harkie i zwał się na ziemię, wygięty w łuk jak bujak kołyski. – Ułaj-jaj... – ryczał, wijąc się na ziemi.**

**Hondelyk zakończył już zapasy ze swoim przeciwnikiem. Okręcił go dokoła siebie za rękę i puścił, podbijając kopniakiem nogę. Zbój trzasnął pyskiem w mur domostwa i zjechał po nim, zostawiając na ścianie ślad śliny i rysę wygrzebaną zębem.**

**Teraz i on, i Cadron uzbrojeni byli w zdobyczne palice, czwórka z hersztem dobiegła akurat, ale zwolniła, widząc pewną odmianę w siłach.**

**–Tym trzem darujemy – Hondelyk wskazał ich palicą. – Ale ten wszarz jest mój – oświadczył głośno.**

**To osłabiło ducha atakujących. Ten z prawego brzegu zamachnął się i cisnął swoją pałą w Hondelyka. Kiedy ten mocno uderzył w lecący drąg, rozległ się trzask i złamana na dwie części pała upadła na boki. Miotacz kurwnął i rzucił się do ucieczki. Cadron przesunął się tak, by Hondelyk stanął naprzeciwko przywódcy.**

–Ja też któremuś chcę zgnieść jaja – powiedział, przymierzając się do pozostałych. Ostentacyjnie mierzył ich wzrokiem i kiedy wybrał już jednego, ten poszedł w ślady znikającego w tym momencie za rogiem towarzysza.

–Szkoda – rzucił Cadron i skoczył na tego, który też miał ochotę zwiać, ale nie zdążył.

Wymienili kilka sparowanych uderzeń. Odskoczyli od siebie. Cadron umyślnie, dając przeciwnikowi okazję do ucieczki, ale ten, albo był większego ducha, albo zapomniał o tym, że nogi mogą go łatwiej uratować niż ręce. Zaatakował nawet.

–Sam! Chciał! Łeś!... – zawołał radośnie Cadron, parując jego prostackie sztychy. Potem pozwolił przeciwnikowi sparować jego dwa i w końcu zastosował coś, co Hondelyk nazywał triadą Ueejca: dźgnął parobka odpowiednio w dołek, zaraz potem w krocze i na końcu w czoło. Po każdym dźgnięciu ten posłusznie wypowiadał: „Ue!”, „Ej!”, apała, zderzywszy się z jego czołem, dopowiedziała „C!”. Uderzenie w czoło wyprostowało zginającego się na dwa takty napastnika, wygiął się w pałąk do tyłu i huknął czubkiem głowy mur, po czym osunął się już bez odgłosów na ziemię.

Cadron zerknął na Hondelyka, który właśnie pałką walnął herszta w ucho i poprawił od spodu w żuchwę. Kłapnęło głośno.

I wtedy kątem oka Cadron zauważył ruch, poruszenie cienia na ścianie. Zaczął się odwracać, zaczął się uchylać, ale było już za późno. Pierwszy powalony drab, ten, któremu przyłożył końcem pały w krzyż, podniósł się i zamiast uciekać, przywlókł się na miejsce bitki. W ręku trzymał połamaną przez Hondelyka pałę i właśnie chciał jej najeżony kolczastymi drzazgami koniec wbić Cadronowi w kark. Zaatakowany miał tylko czas uchylić się, okręcić na nodze, osłonić częściowo ręką.

I właśnie w rękę, w mięsień ramienia wbił szczapę napastnik. Zaraz potem zwałił się na ziemię po mocnym uderzeniu pały Hondelyka, ale to jeszcze pogorszyło sprawę: upadając, pchnął z całej siły drąg ku dołowi. Cała, wbita w mięsień ramienia szczapa złamała się, pozostawiając w ciele dziesiątki większych i mniejszych kawałków drewna. Cadron ryknął z bólu i dokończył wyprowadzany już cios. Ale było za późno. Drab miał wklęśniętą czaszkę, miał tyle lat, ile przeżył do tej chwili, bo już zakończył żywot. Ale ostatnie przed śmiercią dźgnięcie niemal doprowadził do końca.

Hondelyk cisnął pałę i skoczył do przyjaciela. Ten opierał się o ścianę domu, zaciskając ramię lewą ręką, poniżej rany. Krew obficie zmoczyła rękaw kaftana, spływała po ręce i kapiała gęsto na ziemię. Cadron zacisnął zęby na dolnej wardze, zacisnął powieki i wsysał ze świstem powietrze przez zęby.

–A ż-ż-żeby go Lorgot porwał i wyżarł trzewia na żywca-ch!... – jęknął po chwili.

Przyjaciel oderwał go od muru i wyprowadził na słońce.

**–Stój tu, bo tam już ciemno... – błyskawicznie wyszarpnął kord. Zanim przystąpił do cięcia tkaniny, rozejrzał się po uliczce. Jeden martwy, trzech ogłuszeni, albo i któryś martwy, ale wszyscy jednakowo nieruchomi.**

**–Czekaj... czekaj... – wsunął ostrze pod rękaw przy nadgarstku i, mocno piłując, by jak najmniej poruszać zranioną ręką druha, rozciął kaftan i koszulę aż do ramienia, odgarnął mokre, zakrwawione, lepkie strzępy. – To gówno jest, a nie rana – relacjonował, przyglądając się ręce przyjaciela pod różnym kątem. – Tylko krwawi... Trochę drewna w ciele, to nie żelazo... – Dmuchnął z całej siły na ranę, a kiedy obficie spływająca krew na chwilę odsłoniła ciało, chwycił opuszkami palców kilka drzazg i zdecydowanym ruchem wyszarpnął z ciała Cadrona. – Nie – zdecydował. – Nic tu nie zdziałam, trzeba wody, szarpil. Idziemy do oberży.**

**Ruszyli. Mijając herszta, Cadron nie potrafił się powstrzymać i przeszedł po leżącej bezwładnie dłoni. Trzasnął staw.**

**–Nie patrz tak na mnie! – syknął, widząc zdziwioną minę druha. – Przez okurwieńca jednego będę jutro walczył opuchniętą łapą!**

**–No tak – zgodził się Hondelyk. – Chcesz, to wrócę i jeszcze mu coś dołamię? – zaproponował figlarnie.**

**Cadron parsknął śmiechem.**

**–Przestań! Ale jak spotkam strażę, to nie będę się litował i wyślę je w tę uliczkę! – zagroził.**

**–Wyślij-wyślij! Ale na razie chodź pod studnię, a potem każę zaparzyć ziele, przemyjemy, opatrzymy i jutro... – Cmoknął i pokręcił głową. – Szczerze mówiąc, to wydaje mi się, że będziesz miał puchlinę, jakbyś włożył łapę w barć... Ale zobaczymy.**

**Pod strumieniem zimnej wody, gdy na chwilę krew przestała płynąć i przesłaniać widok, humor Hondelyka zwarzył się. Cadron siedział blady i sapał gniewnie przez nos.**

**–Poślę po medyka – oznajmił Hondelyk i gwizdnął na parobka.**

**–Aż tak źle?**

**–Może nie jest źle, ale niewiele drzazg masz wystających, wydaje mi się, że tam siedzi cała fura takich krótszych...**

**–Sz-sz-szła i szlag! – warknął Cadron. – Złamał pałę, kiedy go huknąłeś w czerep.**

**Chłopak przystanął i gapił się na ranę.**

–Goń po jakiegoś zręcznego łapiducha! – polecił Hondelyk. – Migiem. – Odwrócił się do Cadrona: – My możemy już iść do izby. Chodź. – Odwrócił się do biegnącego już chłopaka:

–Hej, jak spotkasz strażę, to ich powiadom, że w tamtej uliczce leży kilku zbójców. Niech ich zgarną i klemo wypalą – dodał mściwie.

Zanim przybiegł pulchny, rumiany i gadatliwy medyk, wychylili po kielichu mocnego, aromatycznego muszkatela.

–Przyjacielowi zbój wsadził szczapę w rękę – wyjaśnił Hondelyk krótko, gdy mężczyzna wtoczył się do izby i rozejrzał w poszukiwaniu pacjenta.

–O? No to już my go... Już go... Gdzie to? A! Tu? No-no... Medykowi usta się nie zamykały. Jak nie wypływał z nich strumień słów, to przynajmniej pomruki, cmokania, różne „hm-hm?”, „ocho-chocho”, „lej?”, „at-to ci!”...

Potem wyjął z torby kilka sakw, pomrukując do siebie, zmieszał coś, roztarł w małym moździerzku, dokropił czegoś gęstego, w drugim moździerzku utłukł zioła, dosypując proszku, i to wsypał do wina.

–Teraz tak – to wypić proszę... Wypić. No? Wypić duszkiem, dobre nie jest w smaku, ale w działaniu – tak. No?

Zalany potokiem poleceń Cadron wypił szklanicę zaprawionego driakwią wina. Medyk zaś odczekał chwilę, odsunął głowę Cadrona, i polał ranę pierwszą miksturą.

–O-och... Co to jest?! – syknął Cadron. – Jakoś mi się wydawać zaczyna, że tamte łachmyty z uliczki będą mieli lepszego kata...

–Zaraz się, panie szanowny, przekonasz... Zaraz się przekonasz! Że Mastylec wie, co robi, wie, co robi...

–Jeszcze grozi – rzucił Cadron do Hondelyka. Zmrużył oczy, z trudem podniósł powieki: – Coś mi się spać zachciało przemoż... Uech-ch-ch... – ziewnął potężnie. – Zadałeś mi co, czy jak?

–No przecież! – obruszył się medyk. – Jak miałem ciąć – na żywego?! Toż tu trza prawie do kości się dostać. Takie drzazgi będą się gnoić, aż rękę się odejmie... A tak, pan szanowny sobie pośpi do południa, a ja...

–Co?! Do jakiego południa?! Chyba zwariowałeś?! – Cadron poderwał się, ale powstrzymał go Hondelyk, – A walka? Wal... Jakie południa... połud... nie... – język zaczął mu się plątać, poruszył kilka razy ustami, ale bezgłośnie.

Słysząc było tylko sapanie i postękiwanie, umysł chciał coś przekazać, mięśnie, złożone opiatem, odmawiały nawet poruszania językiem. Zwalił się na posłanie.

–Walka! – prychnął medyk, – Chyba z poduszką! – Zaraz! To on nie będzie w stanie walczyć jutro?

Przed południem? – zapytał Hondelyk, chwytając medyka za ramię.

Ten znieruchomiał, popatrzył na niego przez ramię.

–Jak mu nie wyjmę tych kilkudziesięciu szczap, to kilka z nich zostanie, zaczniesz się gnoić i za miesiąc trzeba będzie odjąć mu rękę, A jak wyjmę, to przez miesiąc nie będzie jej podnosił powyżej barku, ale będzie miał czym ruszać w ogóle. – Odwrócił się i zaczął podśpiewywać pod nosem.

–Bo jak nie-e-e... bo jak nie-e-e, w ranie gnojno robi się-e-e...

Nawet z odległości dwóch kroków widać było, że szarpie przecierające ranę co i rusz zaczepiają o wystające drewniane kolce. Hondelyk przyjrzał się twarzy przyjaciela, spał spokojnie. Cofnął się o dwa kroki i stanął pod oknem przesłoniętym kilka razy łątaną, cienką skórką, chyba jagnięcą. Mocny, drażniący zapach ziół, wypełnił izbę, świdrował w nosie, szczypał w oczy... Hondelyk wyszarpnął z pochwy kord i chlasnął ostrzem po błonie. Do pomieszczenia zaczęło napływać chłodne, przedwieczne powietrze.

„No to się pięknie porobiło – pomyślał Hondelyk. – Cały plan Cadrona lichy wzięło. Będzie wściekły...” Wyciągnął szyję, żeby zobaczyć ponad ramieniem medyka, co się dzieje, ale widząc, że ten rozpala mały kaganek, żeby oczyścić w nim ostrze cienkiego, wąskiego nożyka, wzdrygnął się i odwrócił wzrok. Podszedł do stołu, na którym stał dzban z przyjemnym, cierpkim winem o lekkim miętowym posmaku. Nalał sobie do kubka, ale wypił bez przyjemności, jaką sprawiał mu trunek jeszcze *semię* temu. Usiadł bokiem do stołu, żeby kątem oka widzieć medyka i jednocześnie nie widzieć szczegółów operacji. Ciszę zakłócało tylko pomrukiwanie medyka, docierały do Hondelyka tylko pojedyncze słowa, kiedy odwracał się, by strząsnąć z ostrza noża albo palców drzazgę, czy kilka kropel krwi.

–...jeszcze jedna... trochę juszki... długa-ga-ga... chyba się połu-u-upa-pa-pała-a...  
– Przy tym ostatnim to nawet postukiwał do rytmu stopą.

–Cichożesz bądź! – nie wytrzymał wreszcie rycerz. – Albo przynajmniej nie wyśpiewuj mi tu, jak dłubiesz w żywym ciele, tylko może coś... innego...

–Nie potrafię śpiewać ballady o Molce Cwanej i jednocześnie wyluskiwać drzazgi! – obruszył się medyk. – Jak się szanownemu panu nie podoba...

Hondelyk odwrócił się i zmierzył Mastylca takim spojrzeniem, że tamten nie dokończył groźby i szybko wrócił do rany. Po chwili wrócił też do pomrukiwania. Musiał ten nawyk być silniejszy nawet od strachu przed Hondelykiem. Ten westchnął i nie odzywał się już. Dopiero gdy Cadron jęknął i poruszył się, podskoczył na zydlu, ale widząc, że medyk nie zwraca uwagi na jęk, uspokoił się i on.

„Na pewno go nie boli – pomyślał. – Na pewno. W końcu – nie raz sam byłem usypiany... Nie boli. I się zagoi. Ach, do licha ciężkiego! Nie wystąpi rano, za nic nie wystąpi!...”

Pół *semii* później Mastylec zgarnął całą krew z ramienia, przyjrzał się jeszcze raz ranie. Kilka nacięć rozwarło się, medyk, nie patrząc, poszperał w torbie, pomrukując coś pod nosem, wyjął grubą szklaną kwadratową taflę i przez nią przyjrzał się ranie.

–No, co tam?

–Do-oobrze-e... – zanucił medyk i, przypomniawszy sobie dopiero teraz groźbę Hondelyka, gwałtownie urwał.

–Dobrze jest – powiedział. – Nie widzę więcej drzazg, rana czysta, na szczęście to nie był jakiś kołek z oszczanego płotu... Po południu przyjdę założyć nowy opatrunek. – skropił czymś ranę i szybko, zręcznie owinął ją długim pasmem lnianego płótna.

Z torby wyjął mały, gliniany walec, pokazał Hondelykowi.

–Jakby się obudził i bardzo – z naciskiem wymówił ostatnie słowo i nawet uniósł palec – bardzo narzekał na ból, to kilka kropel, tak z osiem, nie więcej niż dziesięć, do wody, może z winem. Ale lepiej, żeby nie zażywał tego. To świństwo, ale czasem nie ma wyjścia. W każdym razie będzie spał nawet nie jak kłoda, a cały sąsiek. Ależ tą raną nie powinno być kłopotów. No – wstał i przeciągnął się.

–Idę sobie pośpiewać – powiedział przekornie.

Hondelyk mruknął coś przepaszająco, sięgnął do trzosu.

–Dwie likry – powiedział medyk. Wyciągnął rękę, popatrzył na monety. – Dwie, nie sześć.

–Reszta z przeprosinami za moje krzyki o twym śpiewie, mistrzu. Nie gniewaj się. I dziękuję.

–Nie gniewam się. Mam żonę, ona mi już dawno uświadomiła, że z moim śpiewaniem powinienem zajmować się wzdętymi krowami! – uśmiechnął się szeroko mistrz.

Chwycił swój kapelusz z wysokim denkiem i owalnym rondem, galantnie zamiótł nim podłogę i wyszedł. Hondelyk podszedł do przyjaciela, ale nie było tu nic do roboty. Czoło było chłodne, rana opatrzona fachowo. Śpiący nie chciał pić, warg nie paliła gorączka... Hondelyk na palcach wymknął się z izby, na korytarzu odszedł kilka kroków i gwizdnął niezbyt głośno, powtórzył. Otworzyły się drzwi na końcu korytarza, w szparze pokazała się głowa ryżego parobka, przywołany gestem żwawo przybiegł.

–Dawaj... Tak, piwa garniec, mięsa, korzeni, grzybów... A, i gorzały szklanice. I szybkimi ruchy, chłopcze!

–Tak, panie. Będzie migiem.

Rudzielec rzucił się do wykonywania polecenia. Hondelyk odwrócił się i cicho, niemal na palcach wrócił do izby, nasłuchując. Stary odruch, dobrze wiedzieć, co się dzieje w innych przyległych izbach, ale nie działo się wiele. Ktoś chrapał okrutnie, ktoś inny układał chyba psa, bo słyhać było: „Kładź się, i ogon pod siebie, obszczymurze jeden!”. A może?... Hondelyk pokręcił głową i wrócił do izby.

Kiedy chłopak z drugim pomocnikiem, przytaszczyli kasztę z kolacją, w drugiej ręce trzymając deskę z dzbanem, ozdobionym czapą z żółtawej piany, i grubą szklanice z okowitą, Hondelyk przyłożył palec do ust i gestem nakazał ciszę. Chłopcy pokiwali ze zrozumieniem głowami i rzeczywiście bez szmeru rozstawili zapasy na stole. Dostali za to osiem nitt i nisko się kłaniając, wypadli z pokoju.

Hondelyk zasiadł do obfitej i cichej kolacji. Potem przysunął zydel do okna, dosunął tam stół, i rozsiadłszy się wygodnie, patrzył, jak zapada mrok na uliczce. Nie było wiele do oglądania.

Dwie *semie* później Cadron obudził się pierwszy raz, płaczącym się językiem poprosił o wodę, wypił kilka łyków, coś mruknął o sokole, który ciągle nie siada na rękawicy, a wyżej, i przez to drapie rękę... Zasnął. Potem, przed świtem obudził się drugi raz, przytomniejszy. Posykiwał z bólu i poruszał się na łożu bardzo ostrożnie. Poprosił o szklankę wina, a potem, po pytaniu przyjaciela, zgodził się na kilka kropel łagodzącego ból środka. Hondelyk nie wdawał się w detale działania specyfiku. Chwilę rozmawiali o niczym, potem Cadron niemal w pół słowa zapadł w głęboki, twardy, kamienny sen.

Obudził się wczesnym popołudniem. W izbie poza nim był mały rudzielec. Stał przy oknie, sięgał co i rusz do worka i ciskał kamykami do ptaków zwabionych przed stajnie końskim łajnem i pojedynczymi ziarnami owsa. Oszołomiony lekiem i długim snem Cadron dopiero po chwili odnalazł w pamięci gdzie jest i dlaczego. Dotknął ramienia. Bolało trochę. Pod dotknięciem ból zaczął wiercić się w ranie, jak przebudzony szczeniak w kojcu. Ranny nabrał powietrza i zawołał:



**–Te! Wynająłeś sobie u nas miejsce do rzucania kamieniami?**

**Chłopak drgnął i szybko pozbył się ostatniego kamyka. Otrzeptał dłonie.**

**–Nie, panie. Dlaczego? – zaparł się bezczelnie.**

**–No, nie bądź tylko taki cwany – zagroził Cadron. Popatrzył w okno. Widok, choć nie było z jego miejsca widać niczego poza niebem, zaniepokoił go. – To południe?**

**–A skąd?! Już dawno po! – zameldował uradowany chłopak.**

**–Jak to po?! – mężczyzna poderwał się do siadu. Szarpnął lewą ręką dwie derki, którymi był przykryty. – Dawaj odzienie, gamoniu!**

**–Nie dam, bo i nie ma – powiedział chłopak, przesuając się wolno ku drzwiom. – Pan, co to wyszedł, zabrał wszystko. Kazał powtórzyć, żeby się pan nie ruszał z łóża.**

**Nie wychodzić. Spać, nabierać sił, jeść. I czekać. Spokojnie czekać – wyrecytował, stojąc już pod drzwiami. – Że nic, panie, nie stracisz.**

**Cadron jęknął i rozejrzał się w panice. Izba była pusta. Zerknął pod derkę. Był od pasa w dół nagi. Nie było też butów. Jedyna rzecz, jaką miał na sobie, to koszula, z jednym rękawem całym i drugim poszarpanym, ale i tak zakrwawionym. Hondelyk zabezpieczył się dobrze i odciął przyjacielowi wszelkie możliwości wyjścia z izby.**

**–Przynies mi odzienie! – ryknął do chłopaka.**

**–A tyle! – rudy cwaniak podpatrzonym u starszych gestem walnął dłonią w wyprężoną lewą rękę. Ale zaraz wyjaśnił: – Tak kazał ten pan pokazać!...**

**–Czekaj, kurwisynu! Jeszcze cię złapię, a wtedy będziesz szukał swoich uszu w gnojówce. Albo wrywał psom z pysków.**

**–Dokładnie tak powiedział ten pan, że pan tak powi, i że mam się nie bać. – Chłopak pociągnął nosem, ale nie udało mu się wciągnąć wszystkiego. Przyłożył kciuk do jednej dziurki i potężnie smarknął drugą. Roztarł gluta bosą stopą.**

**–Mam nic nie podawać, ino wina trochę i jadła do woli... – wskazał stół z misami, dzbanem i dwoma kielichami.**

**–Bodaj cię sraczka dopadła! – jęknął Cadron. – Dawaj mi to natychmiast. – Chciał usiąść wygodniej, ale gdy poruszył ręką, poczuł nagłe ukąszenie bólu. Opadł na poduszkę, podciągnął się, by oprzeć plecami o ścianę. – Wina. Wina dawaj, gamoniu...**

**Rudy podskoczył do stołu, chlusnął z dzbana do kubka i podał Cadronowi.**

**–A mój druh dokąd poszedł? – zapytał Cadron, wypiwszy połowę zawartości.**

**–Nie wiem, nie powiedział. – Nie powiedział...**

**Dopił wino i oddał kubek chłopakowi.**

**„No i jak to mawiał obrzydliwiec wuj Streg – pryń-ciem zamieszało, aż się zesrało... Hoża Sewrena nie mnie pisana. A tak mi się wydawała apetyczną... W końcu kiedyś trza będzie rzucić te jazdy ciągle i stare kości wyłożyć w jakim wyrze ciepłym. A jej łoże ciepłe musi być, albo nawet gorące... Ech, życie wredne...” – pomyślał.**

**Ułożył się na plecach, podłożył lewą rękę pod głowę. Poruszył prawą, bolało, była sztywna, drewniana, ale słuchała go. Wpatrzył się w sufit, w układzie słoików i sęczków po chwili wyszukał taki, wcześniej, przedwczoraj znaleziony, co przypominał profil mężczyzny z wielkim nosem i kitą z bażancich piór na czubku głowy. Potem sprawdził, czy nadal widzi na pewnym wgnieceniu deski bojowy topór skrzyżowany z lancą... U-ech...**

**Zasnął.**

**Obudził go Hondelyk. Dotknął lekko ramienia, potrząsnął delikatnie łokciem.**

**Gdy Cadron otworzył oczy, jego przyjaciel lekko zmrużył dwa razy lewe oko: „nie dziw się niczemu i nie zaprzeczaj!”**

**–Przyprowadziłem czcigodnego Mastylca, zmieni opatrunek – powiedział.**

**Odsunął się. Czcigodny już zaczynał pomrukiwać pod nosem. Przysiadł przy siedzącym już Cadronie i zajął się odwijaniem opatrunku, Cadron ponad jego ramieniem szukał spojrzenia przyjaciela, ale Hondelyk najpierw łapczywie pił, a plamy potu pod pachami i na plecach świadczyły, że odczuwa prawdziwe pragnienie, a nie szuka tylko okazji do uniknięcia pytającego spojrzenia druha. Ale potem, po osuszeniu dwóch kubków wina, podszedł do okna i oddał się obserwacji interesującego widoku na podwórze oberży. Tymczasem Mastylec, pomrukując swoje melodyjne diagnozy -...oj goi się znakomi-i-icie... nie widzę żadnego obrzęku ani rumie-e-e-enia... – cisnął zużyty bandaż na podłogę, z torby wyjął buteleczki i sakiewki. Zmieszał nową driakiew i zawiesił dłoń nad raną.**

**–Będzie bolało przez chwilę, ale potem będzie jak nowe. Nawet dzisiejsze trudy waść zapomnisz...**

**–Go, mistrzu...**

**Hondelyk zaczął pogwizdywać i pocierać kark. Cadron umilkł, podporządkowując się sygnałowi.**

Rana, rzeczywiście, odezwała się paleniem i szczypaniem. Zaciśnął zęby, udało mu się powstrzymać od syknięcia. Po chwili ranę ogarnął chłód, przestał po prostu czuć rękę na tym odcinku. Odetchnął.

–No i tyle, panie – mistrz Mastylec owinął ramię nową szarfą, sprawdził, czy opatrunek trzyma się dobrze. – Jeśli panowie będziecie tu jeszcze pojutrze – to bym zmienił na świeży. Jeśli wyjeżdżacie jutro, to...

–Pojutrze, pojutrze! – zapewnił go Hondelyk. – Nie śpieszy się nam.

–No pewnie! – zgodził się medyk. – Tyle honoru... A i trzosik...

Pokiwał głową i zaczął zgarniać swoje bambetle. Hondelyk czekał już nań przy drzwiach z zapłątą w dłoni. Mistrz przez chwilę krygował się, coś pomrukując o wczorajszej zapłącie, ale nie opierał się długo. Potem skłonił się przed Hondelykiem, odwrócił do Cadrona, i wzburzywszy powietrze zamaszystym zagarnięciem kapelusza, oznajmił:

–A i tak się waści dziwię! I podziwiam, bo to boleć musiało i...

–Tak! Ja też mu to mówiłem! – Hondelyk zdecydowanie klepnął mistrza w łopatkę, ten musiał poprawić kapelusz. – Dziękujemy, przyślę po waści chłopaka!

Wypchnął Mastylca za drzwi i, nie patrząc na przyjaciela, podskoczył do sakw. Cadron milczał, a Hondelyk szybko wygrzebał z sakw czystą koszulę i cisnął Cadronowi: – Przebierz się, powóz czeka!

–Ale chciałbym wiedzieć...

–Ci! – Przyłożony palec do ust i wytrzeszczone oczy uciszyły Cadrona. – Wszystko będziesz wiedział za chwilę – powiedział szeptem. – Jak wyjdziemy stąd...

Cadron szarpnął bezlitośnie koszulę, i tak nie miała rękawa, zdarł ją z siebie, z pomocą przyjaciela nałożył czystą i świeżą. Wstał z łoża i już bez pomocy, nawet pomagając sobie prawą ręką, wsunął końce koszuli w spodnie, przypasał kord i rozejrzał się po izbie.

–Kaftan – podpowiedział Hondelyk.

Podskoczył do bagaży i podał Cadronowi kaftan i buty, nie te wczorajsze, ciężkie i twarde, tylko lekkie, miękkie, wytworne. Przez cały czas unikał wzroku Cadrona, a ten zaczynał kipieć i wrzeć.

–Zaufaj mi! – syknął w końcu Hondelyk, wyczuwając nastrój przyjaciela.

Wyszli przed oberżę. Na obszernym placu z koniowiazami stał pod dwoma rozległymi, starymi gruszami powóz. Hondelyk skierował przyjaciela w tamtym kierunku, ścisnął go za łokieć porozumiewawczo i syknął: – Niczemu się nie dziw. Nie miał ozorem, oczy otwarte, gęba przytrzaśnięta...

–Ale co się, do licha ciężkiego, dzieje?! – Cadron usiłował wyszarpnąć łokieć, ale Hondelyk przewidział to i utrzymał w cęgach palców. – Nie zamierzam...

–Jak chcesz wszystko popsuć to – owszem, zaczniemy gadać, tłumaczyć do usranej śmierci – warknął, wyraźnie coraz bardziej rozeźlony, Hondelyk.

Cadron sapnął wściekle, pomaszzerował do powozu. Wskoczył do środka i posunął się, robiąc miejsce druhowi.

Ale Hondelyk odskoczył, trzasnął drzwiami i przeraźliwie gwizdnął na woźnicę. Ten, widocznie znając kierunek, zawinał i trzasnął z bata. Para koni rześko skoczyła do przodu, a Cadron tylko zdążył pogrozić pięścią przyjacielowi. Potem rozsiadł się na dość twardej ławie i zaczął zastanawiać się, w co pakuje go przyjaciel. Nic mądrego nie udało się wymyślić.

Powóz od razu skierował się na obrzeża miasta, nie, jak oczekiwał pasażer, w stronę rynku. Nie wyjechali jednak poza wał graniczny, wąskimi uliczkami posuwali się na wschód. Ulice były właściwie puste, wszyscy chyba mieszkańcy musieli udać się na błonia, tylko od czasu do czasu na przydomowej ławeczce albo na ganku widać było jakąś staruszkę łuskającą groch czy haftującą coś na białym płótnie. Raz zatrzymali się, woźnica musiał usunąć z drogi śpiącego na niej młodego łuczniaka, widocznie usilnie pocieszającego się po porażce na turnieju.

„A! Niech będzie, co być ma! – zdecydował Cadron. Oparł się wygodnie i ziewnął. Dotknął ręki. Znakomita driakiew mistrza Mastylca spowodowała, że właściwie mógł ręką poruszać w każdym kierunku, lekkie tylko odrętwienie czując w ramieniu. Nawet lekkie poklepywanie nie wzbudzało bólu. – No i dobrze!”

Skręcili i wyjechali z zabudowań, ale zaraz przejechali przez kamienny, wypukły mostek nad rzeczką i z bruku skręcili w gruntową odnogę. Cadron zmarszczył się i przysunął do okna. Z tej strony jednak niewiele było widać. Rzucił się do drugiego okna, ale tu, jak na złość akurat powóz zaczął skręcać. Stanął. Nie było na co czekać, Cadron wyskoczył na trawę, ale nadal niewiele widział. Woźnica strzelił z bata i zmusił niedawnego pasażera do uskoczenia. Dopiero kiedy odjechał, Cadron zobaczył, że stoi przed murowanym, solidnym budynkiem, otoczonym gęstą, starą zielenią. Z lewego boku budynku płynęła rzeczka, słychać było chlupot i to olśniło Cadrona.

–Młyn! – pacnął się w czoło. – Młyn?!

**Z okna wychyliła się nadobna pani Sewrena, zapraszająco skinęła ręką.**

**Oszołomiony Cadron ruszył do drzwi, kiedy już zwalniał, bo ciągle były zamknięte, otworzyły się i stanęła w nich gospodyni. Wykonała energiczny i głęboki dyg, ukazując pięknie wymodelowane piersi. Cadron poczuł mrowienie na karku, odskoczył o krok i wykonał głęboki dworski, może nieco nie na miejscu skłon. Ale ten został bardzo miło przyjęty. Sewrena zarumieniła się i cofnęła.**

**–Zapraszam, panie...**

**Cadron potknął się lekko w progu. Jego oszołomienie sięgnęło szczytu i rozsiało się na nim mocno. Po przekroczeniu progu zatrzymał się i popatrzył na gospodynię. Ta, zamknawszy drzwi, odzyskała nieco kontenans, a w każdym razie, chyba wyczuwając zmieszanie mężczyzny, sama stała się odważniejsza.**

**–Jakiś nieswój jesteś, panie?... – powiedziała. – Czyżbyś zaczął żałować swojej wizyty?**

**–N-n-nie... Kh! Chg! – odkaszlnął w kułak. – Pani! Byłżebym aż takim idiotą? – Poczucił się pewniej – Sewrena rozchyliła pulchne wargi i szybko pokręciła głową. – Wiedząc, jakie tabuny kołaczą do twych, pani, drzwi... Bezskutecznie...**

**–Ach... – piersi Sewreny zafalowały, a Cadron poczuł, że do zdrętwiałego ramienia dołączają inne członki. Na czele z językiem. – Panie... Co mi tam ci mieszczańscy zalotnicy, kiedy...**

**Spiekła takiego raka, że prawdziwy, choćby nawet i gotujący się, pozazdrościłby barwy. Przemknęła obok Cadrona, szepcząc z głębi piersi:**

**–Panie?...**

**Cadron przełknął ślinę i ruszył za nią. Mijali pokoje, zbiegli po kilku schodkach, jakby w kierunku piwnicy. Zdziwienie Cadrona zaczynało przebijać się przez zaskoczenie i oszołomienie, spotęgowane jeszcze przez widok kształtnych nóg gospodyni odsłoniętych, gdy zbiegając po schodkach, uniosła i gładkie, i marszczone spódnice, całą ich stertę. Przeskoczyła jeszcze jeden próg, Cadron za nią. Znaleźli się w ogrodzie.**

**Było tu pięknie, malwy i cerelie kwitły, prześcigając się w wielkości i dorodności kwiecica, wysokie krzaki czerwonej leszczyny osłaniały kolisty zakątek z pokrytym sztywnym, śnieżnobiałym obrusem, stołem, na którym ustawiono i kilka dzbanów, i chyba ze trzy tuziny mis i misek. Po prawej chłodem dyszał niewielki staw z czystą, przepływową wodą.**

**–Czeka... czekałaś, pani? – bąknął Cadron.**

**–No jakżeby nie? – zapytała zdziwiona. – Wszak rozmawialiśmy...**

**„Rozmawialiśmy!?! – zadudniło w głowie Cadroną. – Kiedy, na Kreista!”**

**Okręciła się na palcach stopy i podskoczyła do stołu. Szerokim gestem zaprosiła gościa do poczęstunku. Ale kiedy podszedł na sztywnych nogach, odwróciła się i zapytała cicho.**

**–Naprawdę walczyłeś, panie, dla mnie? Tak jak powiedziałeś? Czy tylko to taka zabawa z prostą młynarką?**

**–Pani, ja nie kłamię! – „Akurat! A co teraz robię? I co dalej robić? Co ona wygaduje? Co mogłem i kiedy...” – Nigdy nie kłamię, nie starczyłoby mi śmiałości patrzeć w tak cudne oczy... – „Oczy? Aż mnie boli powstrzymywanie się od gapienia w jej piersi, och!” -...i kłamać...**

**Pani Sewrena zerknęła nieśmiało, potem śmieiej, potem już otwarcie. Kawaler był taki, jak sobie wymarzyła, ale nieśmiały jakiś, może zmęczony... Zrobiła krok, drugi i nagle Cadron poczuł jej wargi na swoich. Na barkach poczuł mocne ramiona młynarki, przez koszulę jej twarde niespotykane piersi. Nagle całe oszołomienie opadło, dotarły doń i aromat powietrza, i śpiew ptaka, i woń w mięcie wmytych włosów Sewreny...**

**Za krzakami leszczyny była mała polanka, na której ktoś – ktoś?! – ustawił szeroki szeslong... A trawa była bujna i tak gęsta, że nawet stos odzienia, jaki na niej wylądował, nie był w stanie jej przygnieść. Oddawali się miłości zapalczywie, mocno, radośnie... I wielokrotnie. Bez słów. Nie były potrzebne.**

**Potem Sewrena przytuliła się policzkiem do piersi Ca-drona i powiedziała:**

**–A wiesz, że jak cię zobaczyłam tu, to pomyślałam, że nic z tego nie będzie... Że przyjechałeś tylko powiedzieć... No wiesz, że...**

**Cadron przesunął się nieco i już otworzył usta, żeby zadać kilka naprowadzających pytań, ale nie zdążył. Sewrena poderwała się i cudownie naga, wspaniałą bielą ciała i jego konturami, rysującymi się niebiańsko na tle ciemnopurpurowego listowia, podskoczyła do luki w wysokich krzewach.**

**–Chodź, wykąpiemy się! – rzuciła. – Tu jest wspaniała woda, czysta i pachnąca lipą, bo wpływa do niej źródółko spod tego drzewa. No? Chodź!...**

**Pobiegła pierwsza. Cadron odsunął pytania na późniejszą porę. Kiedy równie nagi jak Sewrena, wychyliwszy tylko pucharek wina, raczej kiepskiego (na winach pani Sewrena się nie znała, ale co tam wina!), pojawił się nad oczkiem stawu, Sewrena już niemal nieruchomo leżała na wodzie, leniwie rozgarniając wodę rękami i nogami.**

Cadron poczuł, że za chwilę będzie się wstydził własnego ciała, więc szybko pokonał kilka kroków i, omijając drabinkę, wskoczył do wody. Podpłynął do Sewreny.

–Masz boskie ciało – powiedział, parsknięciem strząsnąwszy wodę z włosów.

–Tak? – zapytała figlarnie. – A co takiego w szczególności?

–W szczególności... Och, siła by mówić...

–Mów! Kobiety lubią takie rozmowy...

–No, cycuszki wspaniałe, choć małe nieco...

Chlapnęła wodą w jego usta, rozeźlona pozornie. Podpłynęła pod brzeg, chwyciła się drabinki i odwróciła do Cadrona. Wisiała na wyprężonych ramionach, a jasne sutki wspaniałego biustu to zanurzały się na krótko w wodzie, to wynurzały, lizane falami wzbudzonymi przez podpływającego Cadrona. Uchwycił się drabinki nieco wyżej, przytulił całym ciałem do jej ciała. Pocałował w lekko zadarty, tak miło zadarty, nosek.

Puściła jedną rękę, dotknęła mokrego opatrunku na ramieniu.

–To dziś? – zapytała. – Nie zauważyłam, kiedy cię trafił... Ale taka byłam... rozgorączkowana... – Przytuliła się mocniej i skubnęła zębami ucho kochanka. – A kiedy go powaliłeś...

„Jakie – dziś? O czym ona... Czyja czegoś nie wiem?... Powaliłem? Kogo?”

–A potem... – zachichotała. Jej ręka z ramienia Cadrona ześliznęła się niżej, na jego brzuch. Potem jeszcze niżej. Cadron jęknął i zapomniał, o czym myślał.

–A potem, kiedy udało ci się zaskoczyć mnie w powozie... – szeptała Sewrena przytulona do Cadrona. – I kiedy mnie pocałowałeś, tak z zaskoczenia... Myślałam, że niebo zważyło mi się na głowę...

„A mnie teraz się wali...” – pomyślał mężczyzna.

–I kiedy powiedziałam, że może ktoś widzi... A, właśnie! – odsunęła się i z figlarnym uśmiechem przekrzywiła głowę. Wiedział, gdzie spoczywa jej dłoń. – Powiedziałam, że nie obchodzą mnie plotki ludzi, że to betka, a ty powiedziałeś, że jak przyjedziesz, to mi powiesz, co twój wuj nazywał betką. No?

Szarpnęła lekko.

„Hondelyku!!! – zawył w myślach Cadron. – Zabiję cię! Zabiję!...”

Pani Sewrena pociągnęła znowu, a potem nagle puściła szyję Cadrona i zjechała pionowo w wodę.

„O-o-o-och... Nie, nie zabiję... – jęknął w duchu Cadron. – Będę ci wdzięczny za ten „wygrany” turniej do końca ży... O? Życia-cia-cia-ćś-ś!...”

\*\*\*

Jeniec obudził się i chwilę leżał na plecach z uśmiechem na ustach. Zachodzące słońce oświetlało jeszcze dach namiotu, kilka fałd płótna przecinało ciemnymi szramami jasną powierzchnię, udając znaki tajemniczego pisma. Chwilę Cadron leżał, wpatrując się w „list”, potem, kiedy uświadomił sobie gdzie jest i dlaczego, zacisnął mocno wargi. Ale zaraz rozwarł szczęki i z jego ust wyrwał się głośny, przeciągły jęk.

Zaniepokojeni wartownicy wymienili spojrzenia; prawoflankowy poderwał się i wpadł do namiotu. Po krótkiej chwili wyszedł, nie było w namiocie nic ciekawego, nic poza leżącym na kilku derkach więźniem, wpatrującym się z dziwnym wyrazem twarzy w sufit namiotu. Z jego ust wyrwał się cichnący, ni to jęk, ni to przeciągły, dziwaczny chichot...

## Rozdział 11

Dwaj tuzinowi, Listy Tryk i Kopiec Całus, cwałowali o pół długości konia za Marechebą. Dziś karawana popasała. Nie dzieliła się, więc była niemal dwukrotnie większa, ponieważ nie wyruszyły wozy, które codziennie o świcie śpieszyły na miejsce kolejnego popasu, by przybyły władca miał już gotowy posiłek i rozbity namiot, zacieniony ogromnymi sztandarami. Za to więcej zajęć miała gwardia, a przede wszystkim jej dowódca. Zbliźali się do obozowiska, gdy na spotkanie trójki konnych z szeregu namiotów wysunął się samotny jeździec i pokłusował w ich kierunku.

–To *samerantur*, Ob Rydel – wyrwał się Kopiec Całus.

–Widzę, jeszcze oczy mam w porządku – warknął niezadowolony Marechebą Sieć.

Ten dzień był dlań wystarczająco nieprzyjemny, by tolerować jeszcze czyjeś uchybienia.

–Do obozu – rzucił. – Sprawdź medyków, na wóz i niech już jadą pod wzgórze. Jak któremu czegoś zabraknie – sam osobiście pogonię pieszego na czubek i zrzucę na dół.

Obaj tuzinowi wyprzedzili go, konie zaczęły wyrzucać spod kopyt pacyny gliniastej ziemi. W tej okolicy, na zachód od pasma wzgórz Wen-Grece, gleby były ciężkie, nieurodzajne, nadające się co najwyżej do wypasu *trajenek*, które – wydawało się –



potrafiłyby w razie potrzeby zjadać glinę. A na pewno wystarczały im porosty i krótka, przypominająca nieco mech, trawa zwana lichotrawiem. *Samerantur* zbliżył się i ustawił tak, by Marenceba Sieć musiał zatrzymać wierzchowca. Najwidoczniej nie chciał, by od razu wracali do obozu. Dowódca *halemu* zaklął pod nosem, ale zwolnił i uniósł rękę w pozdrowieniu.

–Witaj, *sameranturzel* - ściągnął wodze, zatrzymał ogiera. – Coś się stało?

–Mam nadzieję, że nic – rzucił Ob Rydel. – A jeśli tak, to dowiem się od ciebie.

Przeniósł nogę nad łękiem siodła i zeskoczył na ziemię na sposób szlachty, która czymś chciała różnić się od pospólstwa. I żołnierzy. Marenceba Sieć został w siodle, delikatnie nacisnął piętą na bok wierzchowca, tamten niecierpliwie przestąpił z nogi na nogę. Ob Rydel powinien był zrozumieć aluzję. Ale nie rozumiał, albo udawał, że nie rozumie.

–Niepokoi mnie ten mag – powiedział, patrząc w bok. Marenceba Sieć milczał, ale już rozumiał, że rozmowa nie skończy się na dwóch-trzech zdaniach.

–Kompletnie go nie rozumiem, a to mnie niepokoi.

–Mnie też on niepokoi. Ale, cóż... Nie my go tu sprowadziliśmy, nie nam decy...

–Powinniśmy się go pozbyć! – warknął *samerantur*. - Jest niebezpieczny. Kompletnie nad nim nie panujemy! Przez niego straciło życie kilku naszych ludzi, a my nawet nie wiemy dlaczego, czy słusznie, i jak do tego doszło!

–Bo nie jesteśmy magami, nie gramy z mocami niewidzialnymi, i... I co ci będę tłumaczył, władca chce go mieć, to ma i będzie mieć.

–Ale...

–Ja na pewno nie pójdę do Trazwalara, żeby mu podpowiedzieć zgładzenie maga. Pomyśl sam, monarcha sprowadza na dwór człowieka, który ma zapobiec zamachowi na jego życie, a ja przychodzę i proponuję, żeby go usunąć! A jeśli Trazwalar Wielki zapyta: „O, Marencebo, Marencebo... Jaki jest twój interes w tym, by się pozbyć człowieka, który ma walczyć z moim wrogiem, co? Zagraża ci on może, czy jak?” A ja co odpowiem?

–Odpowiesz, że on jest niebezpieczniejszy od tego domniemywanego Hondelyka! – Ob Rydel aż tupnął ze złości w ziemię. – Czy ty, zresztą, sam tego nie dostrzegasz? Po tym jak zmusił twoich ludzi do popełnienia samobójstwa, stał się bardzo poważaną osobą w królewskim namiocie. Jego wpływy rosną i niedługo będzie nam rozkazywał!

–No-o-o... Nie tak szybko, Obie, nie tak szybko... A poza tym, pozwól sobie to uprzytomnić, ja nie jestem w pałacowych pokojach, ja jestem dowódcą gwardii ochrony władcy. Nie knułem i nie knuję, i nie będę knuł. Nie obchodzi mnie, kto i jakie plotki podsuwa Trazwałarowi...

–Ale nie jesteś też dzieckiem, które po raz pierwszy pojawiło się na dworze! – parsknął Ob Rydel. – Masz swoje lata, wiele widziałeś i wiesz.

–Tak. I, uwierz mi, bardzo, ale to bardzo czujnie przyglądam się Sodosowi Skrępowanemu i jak na razie nie znalazłem niczego, co by mnie zaniepokoiło. Poza tym, że wyczynia rzeczy niezrozumiałe, tajemnicze...

–No, jakie?

–Rozmawia z kimś, kogo nie widzę – Marecheba Sieć wysunął pięść przed siebie, a z niej kciuk. – Wystawił zdrajców z mojej gwardii... – Wysunął wskazujący.

–Jesteś pewien, że zdradzili? A może ich poświęcił, by zyskać na wiarygodności? Żebyś ty i Trazwałar, myśleli o nim jak o zbawcy?

–Też to rozważałem od tej strony. Przecież powiedziałem ci, że bardzo czujnie się mu przypatruję. Ale – nie. Pierwszy zdrajca przecież rzucił się do namiotu, a nikt mu niczego nie kazał, tylko on sam poczuł, że za chwilę już mu się nie uda dokonać zamachu. Poza tym – byłem przy rozmowie z jeńcem. Sodos Skrępowany opowiedział mu jedną z historii z życia tego Cadrona i złudzieńca. Mianowicie, jak xameleon udawał swego przyjaciela, który z powodu przypadkowej rany nie mógł stanąć do pojedynku o najważniejsze trofeum w jakimś turnieju. A złudzieniec przybrał jego postać, wygrał turniej i pomógł w ten sposób zdobyć wdzięki pewnej... młynarki... Właściwie – wdowy po młynarzu. I – uniósł rękę i wskazującym palcem zaakcentował słowa: – Widziałem, jak Cadron rzucił się na maga rozjuszony do krańca. Jak niemal wyrwał sobie ręce ze stawów, toczył pianę i gdyby nie był w więzach, to chyba przyszłoby nam go zabić, by uratować maga z jego rąk: A ten stał spokojnie i tylko przypatrywał się więźniowi. A potem wyciągnął rękę i trącił go w czoło. I koniec. Tamten zwałił się jak rażony piorunem. Dwie doby leżał nieprzytomny. A straż meldowała mi, że z jego namiotu, gdzie był sam, kilka razy słyszeli jakieś warkotliwe odgłosy, jakby ktoś rzucał groźby w nieznanym języku...

Ob Rydel wyciągnął rękę do *halemmeda*.

–Widzę, że nie zdołam cię przekonać?

–Nie, mnie przekonuje to, co widzę na własne oczy. A słowa to tylko słowa. Czasem to mocna rzeczy, ale nie moja broń. A teraz wybac, muszę jeszcze dopilnować kilku spraw, a do wyścigu zostały niecałe dwie *semie*.

Bez pośpiechu ominął *samerantura* i jego wierzchowca, przyspieszył, przeszedł w kłus i galop. Zanim wściekły Ob Rydel podszedł do konia i wskoczył w siodło, zniknął za pierwszym szeregiem namiotów, fragmentem wielkiego pierścienia, otaczającego namiot Trazwalara Wielkiego.

Z obozu rozległ się długi, przeciągły i głośny gwizd. Sygnał zbiórki uczestników wyścigu do stanowiska tuzinowego gwardii Trazwalara Wielkiego.

\*\*\*

Trazwalar Wielki siedział na ogromnym ogierze, białym w duże rude łaty. Na niewiele mniejszym wałachu, tyle że czarnym z grzywą i ogonem splecionymi w warkoczyki, na końcach których powiewały frędzeli z czerwonej wełny i kilka malutkich, złocistych dzwoneczków, siedział Kerel Od Śmierci Włos. Krótkie nogi karła nie pozwoliłyby mu wysiedzieć na obszernym grzbiecie wierzchowca. Miał na nim zamocowane dziwaczne, wysokie, zwężające się ku górze siodło, na którym klęczał raczej niż siedział. Na widok maga gniewnie wessał wargi i przygryzł je. Sodos Skrępowany obdarzył go przeciągłym spojrzeniem, które, miał nadzieję, oznaczało: „Rzucić na niego klątwę już teraz, czy jeszcze poczekać?”, ale karzeł nie przestraszył się i nie spadł z konia.

Mag zeskoczył z wierzchowca, i puściwszy wodze, przyklęknął na kolano, pochylił głowę i czekał na słowa króla. Trwało chwilę, zanim Trazwalar Wielki rzucił:

–Wstań, magu, i wsiadaj na konia – i kiedy Sodos wykonał polecenie, rzucił w powietrze: – Nie było już lepszego konia w moich stajniach?

Przez chwilę nikt nie odpowiadał, a kiedy milczenie stało się męczące, mag powiedział: – Ten mi bardzo pasuje, panie. Nie mam do niego zastrzeżeń. Nosi mnie lekko i słucha...

–Bzdura! – przerwał Trazwalar. – Nie jesteś, to widzę, pałacowym paniczykiem. Siedzisz w siodle jak wojownik, może nie jak moi gwardziści, ale też nie jak ten pokurcz. – Nie zwracał sobie głowy wskazywaniem, kogo właściwie ma na myśli. – Zresztą – uśmiechnął się złowrogo – za dwie *semie* zwolni się kilka koni w naszych stajniach. Jedziemy. Ruszył pierwszy, palcem wskazał magowi miejsce przy swoim lewym boku. Niezrażony pogardliwymi słowami monarchy, Kerel Od Śmierci Włos ustawił się przy prawym boku króla. Wyprzedziwszy dostojnika z miną doskonale obojętną, wcisnął się w szereg przy władcy, nie zauważając wściekłego spojrzenia dworaka.

–Raz do roku urządzamy tu sobie wyścig – powiedział lekkim tonem Trazwalar do maga. – Słyszałeś o Głowie Węża? Nie? – zanim Sodos Skrępowany zdążył się odezwać, mówił dalej.

–No tak, w tym waszym barbarzyńskim kraju... Patrz przed siebie – wskazał ręką, w której trzymał szpicrutę z naciągniętego, wysuszonego i wyprawionego członka wielbłąda.

Na horyzoncie, z lekko pofałdowanej płaszczyzny wystawała grupa kopców, trzy czy cztery, w każdym razie w pierwszej linii tyle właśnie.

–Specjalnie zbaczam tu w drodze do moich szanownych rodziców. Jedno z tych wzgórz ma na swoim zboczu drogę na płaski szczyt. Dzięki temu wygląda jakby na kopcu spał owinięty na nim wąż. Na jego głowie ustawiony jest proporczyk. Kto go zdobędzie, wchodzi do mojej gwardii z patentem tuzinowego.

–Czyli ich liczba ciągle rośnie? – zapytał mag, kłusując obok Trazwalara.

–Niekoniecznie. Często nikt nie zdobywa proporca – uśmiechnął się, patrząc przed siebie, król. – A zdobywca musi jeszcze czasem poczekać, aż się zwolni miejsce. Czasem, jak nie ma innego wyjścia, wszyscy tuzinowi walczą w gonitwie, czasem *halemmed* musi znaleźć zwycięzcy miejsce, czyli zwolnić jednego z tuzinowych. Najgorszego.

–Rozumiem. Nieustający wyścig. To ich utrzymuje w odpowiedniej dyspozycji.

–Tak, właśnie tak. Tak się dzieje w hordach szcurów. Najgorszy jest pożerany albo zdycha z głodu, będąc ostatnim w kolejce do żarcia, nieustannie muszą walczyć o miejsce na szczycie. To jest jedyna rzecz, która naprawdę pozwala osiągnąć wielkość: stałe doskonalenie. Z własnej woli, a jak nie, to wymuszone. Każdy władca to wie. Każdy poddany musi czuć, że wspina się po schodach, a o pół kroku za nim podąża ktoś, kto pożąda tego właśnie wyższego stopnia... – roześmiał się.

–Oczywiście, to się nie stosuje do mnie! – odwrócił się i popatrzył wbrew uśmiechowi czujnie w oczy maga.

Ten pokiwał poważnie głową, ale zanim otworzył usta, Trazwalar zawołał: – Pośpieszmy się!

Jego koń, smagnięty szpicrutą, skoczył do przodu i pomknął jak burza, w cwale wyciągnął szyję, jakby się obniżył. Oddalał się w tempie dla maga niewyobrażalnym. Kerel również pchnął swego rumaka w cwał, zresztą, jak wszyscy, ale nikt nie miał szans dogonić króla. Galopując, pochylony nad końską szyją mag pomyślał, że to jakby naoczne zakończenie jego wypowiedzi sprzed chwili. Nikt nie kałał pożądanym oddechem monarszego karku.

Cwałowali pół *semii*. Grunt był wprost wymarzony dla takiej jazdy: równina o twardej gliniastej, wyschniętej skorupie, z liszajami niskiego, zwartego lichotrawia. Jeszcze kilkaset *poolee* i Trazwalar w końcu zlitował się nad orszakiem, zwolnił do

wyciągniętego kłusa. Głowa Węża leżała dwieście tumtów na zachód. Dogonili monarchę. Pierwszy Kerel Od Śmierci Włos, potem gwardziści, chyba umyślnie wstrzymujący trochę swoje wierzchowce, kilku dworaków, na końcu Sodos Skrępowany. Monarcha skinął ręką, jeden z żołnierzy zeskoczył z siodła, szybko wyszarpnął strzałę z dziwnym grotem. Skrzesał ognia, rozпалиł garść wełny i przytknął ów grot do ogienka. Potem pośpiesznie wycelował w jasne niebo, i rozciągnąwszy łuk do granic możliwości, wystrzelił w kierunku wylegujących się na nieboskłonie obłoków.

Strzała pomknęła, zostawiając za sobą nieregularną spiralę jasnego dymu, potem zawisała i po chwili zaczęła spadać, wtedy nagle dziwaczny grot rozprysnął się na wszystkie strony, odgłos pęknięcia chwilę potem dotarł do obserwujących. Na nieboskłonie pojawiła się czarna chmurka, pękaty, ciemny, puchaty kształt z pryskającymi na boki iskrami.

–My też mamy swoje czary! – zawołał zadowolony z efektu Trazwalar...

–To nie czary, wasza wysokość – spokojnie odparował Sodos Skrępowany. – Tym się podpala osadzone twierdze. Nazywają to purchawkami diabła, albo ogniami kleistymi, bo jeśli się trafi czymś takim nawet w kamienny mur, to będzie się paliło chwilę. A drewno... – machnął ręką.

Monarcha nie zwrócił uwagi na wyjaśnienia maga.

–Wystartowali! – Odwrócił konia i skierował go, ale nie do Głowy Węża, wzgórza, którego zbocze poprzekre-ślane było ukośnymi, wyraźnie się już rysującymi kreskami wyciosanej w korpusie drogi. – Wjeżdżamy na tamto wzgórze – wskazał bliższy i niższy kopiec, z jednym zboczem łagodniejszym.

Z tej odległości było widać, że droga na szczyt Głowy Węża jest niezbyt stroma, ale wąska. Jeden jeździec nie powinien mieć z pokonaniem zbocza kłopotu, ale dwaj już nie powinni się na niej zmieścić. „Pewnie wszyscy – myślał Sodos Skrępowany, kłusując za monarchą – będą się starali rozstrzygnąć wyścig na równinie. Bo tu, na zboczu, będzie bardzo niebezpiecznie.” Popatrzył na szczyt. Rysowała się tam samotna pika z proporczykiem. Sądząc z tego, że była widoczna z tego miejsca, dość blisko podstawy wzgórza, można było sądzić, że sam szczyt, to niewielki placyk, gdzie z trudem odwróci się niepłochliwy wierzchowiec, płochliwy zaś spadnie w dół.

Byli w połowie zbocza, kiedy Sodos Skrępowany, odwróciwszy się, zobaczył kilkunastu jeźdźców galopujących wściekle po ich śladach. Za nimi druga grupa, dobre półtora tuzina już odstających. Albo inaczej rozgrywających gon.

Wyścig trwał. Sodos pomyślał nagle, że Trazwalara Wielkiego bawią i cieszą oznaki jego wielkiej władzy, szafowanie ludzkim żywotem, wierność poddanych, ich

poświęcenie... Zastanawiał się chwilę i postanowił sprawdzić słuszność swego domysłu.

–Ten wyścig, jak miemam, pochłania kilka żywotów? Bo na pewno walczą do ostatniego kroku?...

Trazwalar Wielki wstrzymał konia, zresztą byli już o kilka kroków od wcięcia w zboczu, naturalnego a może i wykopanego specjalnie, by władca mógł wygodnie oglądać wyścigi. Kilka wielkich głązów ociosano, by można było, wygodnie na nich siedząc, wpatrywać się w rozgrywkę na Głowie Węża.

–Oczywiście, czasem z dwóch tuzinów przeżywa pięciu-siedmiu. Ale jak ktoś jest niezgułą, to mnie nie interesuje. Ja potrzebuję do swojej armii ludzi silnych, sprytnych, walecznych, odważnych... Twardych i odpornych na śmierć, jak koty. Inni i tak by zginęli przy pierwszej okazji. – Wzruszył ramionami i pokonał ostatnich kilka kroków.

Tu zeskoczył z konia, i przeciągnąwszy się, skierował do centralnie ulokowanego głązu. Usiadł na nim i niecierpliwie machnął ręką na zasłaniających mu widok jeźdźców. Gwardziści migiem prysnęli na boki, zeskoczyli z siodła i ustawili się z boku. Kerel, z trudem utrzymujący się w siodle na stoku, sapał i bryzgał śliną, coś do siebie mamrocząc. Jeden z gwardzistów podskoczył, ściągnął go z siodła, mimo sprzeciwów karła, postawił, właściwie upuścił go na ziemię, a sam chwycił wodze i szybko odprowadził wierzchowca Kerela na bok. Karzeł musiał zbiec kilka kroków, w końcu opadł na zadek, przejechał kawałek i w końcu wyhamował. Chwilę potem był już na platformie, obok monarchy.

–Tego... – wysapał -...ściać! Frch!...

Wskazywał na grupkę gwardzistów, najwyraźniej żądał śmierci dla jednego z nich za niedbałe potraktowanie.

–Głupiś! I zamknij się. Ktoś ci kazał ze mną jechać? – rzucił Trazwalar, wpatrując się w kłęb kurzu poprzedzany dwoma czy trzema jeźdźcami.

–Chcesz wiedzieć o wszystkim, co się dokoła mnie dzieje – rzucił karłowi twarde spojrzenie – to siedź cicho. A jak nie, z twoim karkiem *pugtusk* też sobie poradzi.

–Nie poradzi, panie – zachichotał karzeł. Jego purpurowa twarz spurpurowiała jeszcze bardziej – Garb zachodzi na...

–Garb się zestruga! Cicho! – Władca machnął ręką, a karzeł podskokami usunął się na bok. Gdzie wtulił usta w zgięcie łokcia i zaczął sapać w rękaw.

Sodos Skrępowany rzucił mu ironiczne spojrzenie, ale albo totumfacki monarchy

nie zauważył tego, albo nie miał siły na utarczki z magiem. Syczał, kaszlał i chlipał, wytrzeszczając oczy na świat.

Tymczasem na równinie ścigający zbliżyli się do wzgórz. Na czele wściekle cwałowali nie dwaj i nie trzej, jak się wydawało magowi wcześniej, lecz czterej jeźdźcy. Ich twarze oczywiście nie było z tej odległości widać, ale na pewno miały zacięty wyraz, wykrzywione z gniewu i wysiłku. Jeden z jeźdźców wściekle smagał swego wierzchowca krótkim batem. „Pewnie już odstaje – pomyślał mag. – Albo czuje, że jego koń słabnie i chce dotrzeć do tarasowej serpentyny w grupie, a tam, na wjeździe na kopiec, wszystko wydarzyć się może, ktoś się potknie, ktoś kogoś zepchnie, kogoś się ściągnie... Tu, albo trzeba urwać się wszystkim i samotnie wpaść na wzgórze, albo... O?!”

Ten smagający konia zaczął odstawać. Jeździec rozejrzał się na boki, a pędził jako drugi z prawej, i nagle smagnął z całej siły konia rywala w pysk, może trafił samego rywala, w każdym razie koń albo uderzony, albo szarpnięty wodzami, dziko poderwał głowę, skoczył w bok, trącił sprawcę zamieszania... Zaraz potem zgubił rytm; może przyczyniła się do tego jakaś nierówność gruntu, może wybujała kępa lichotrawia, albo odwrotnie, niższa od innych... Prawoflankowy wierzchowiec potknął się i nagle runął, i przekoziółkował kilka razy. Po krótkiej chwili na zbocze wzgórza dotarł przeciągły kwik rumaka. Impet upadku był tak duży, że i koń, i jego pan koziółkowali przez mgnienie oka, nie tracąc dystansu do reszty. Potem jednak zwalili się na bok i obaj zamarli. Później koń uniósł głowę, i po chwili dotarło do widzów jego długie, pełne skargi i bólu rżenie.

Mężczyzna leżał nieruchomo. Dogoniła ich grupa, piętnastu na oko, reszta ścigających się. Wierzchowce, na drodze których leżał i on, i jego koń, nie zbaczając ani o jotę pędziły przed siebie, przeskakiwały przez ich ciała. Jeszcze jeden nie miał szczęścia, leżący koń usiłował się podnieść, skaczący nad nim uderzył nogą w bok. Już w powietrzu jeździec wybił się z siodła, nie chcąc być przygniecionym przez własnego wierzchowca. Gdy uderzył o ziemię, zwinął się w kłębek i przetoczył kilka razy. Jego koń natomiast walnął w grunt bokiem, odbił się, przekręcił w powietrzu. Aż tu dał się słyszeć trzask kości, a potem rozpaczliwy kwik konia. Upiorny wizg trwał tak długo, póki mężczyzna nie poderwał się na równe nogi i nie podbiegł do wierzchowca, unosząc rękę z *ugrisem* do ciosu. Po chwili kwik konia ustał. Wojownik zatoczył się i zwałił na lichotrawie. Teraz dogonili go dwaj zamykający stawkę jeźdźcy.

Tymczasem w pierwszej grupie, ku której skierował się z powrotem wzrok maga, odstający i chwytający się rozpaczliwych chwytów wojownik, uderzony bokiem konia, którego sam smagnął pejczem, zboczył z drogi i trącił jeźdźca po swojej lewej stronie. Ten już chyba widział, co się święci, bo zamachnął się od lewej i na odlew chlasnął napastnika swoim batem. Lewoflankowy delikatnie odsunął swojego wierzchowca, widocznie wymyśliwszy sobie, że lepiej nieco zboczyć z najkrótszej,

drogi, niż dać się wciągnąć w bijatykę, a na pewno najkorzystniej by dlań było skorzystać, z jej efektów. Ale nie widział tego, co widzieli obserwatorzy na zboczu. Przed nim ciemną plamą wyłożyła się na równinie niecka. Chyba niezbyt głęboka, ale przy tym wściekłym cwale każda zmiana rytmu biegu konia musiała skończyć się albo przegraną, albo upadkiem.

Trazwalar pochylił się nisko, niemal oparł piersią na udach, zacisnął dłonie na kostkach. Chłonał wyścig całym sobą. Mag chwilę patrzył na niego, a potem zobaczył, że sam stał się obiektem obserwacji. Kerel Od Śmierci Włos wpatrywał się w niego zmrużonymi oczami. Mrużył je albo z nienawiści, albo chcąc lepiej zobaczyć maga. Jak rozumieć jego spojrzenie, Sodos Skrępowany nie wiedział. Zakonotował sobie w pamięci wzrok karła, postanowił w wolnej chwili zająć się niskim złośliwcem. Skąd się wziął, po co, dlaczego jest tak mocny i czy jest rzeczywiście taki mocny, jak sobie otoczenie wyobraża? „Chyba jest – odpowiedział sam sobie. – Nie ma przy Trazwalarze nikogo z rodziny, ani żony, ani brata... No, Hanibeli Perła może wykazuje się troską o dojrzewający w jej łonie nowy pęd rodu Trazwalara Wielkiego. Ale Brulwerd Jasna Noc?! No właśnie, co z nim? Dlaczego nie ma go w świecie? Czyżby nie lubił krwawych wyścigów, a może to Trazwalar go nie lubi?”

–To jest wyścig tylko dla kandydatów na tuzinowych, panie? – zapytał monarchę. – Czy każdy może w nim wziąć udział? Ja?... – pomachał ręką, wyszukując kandydatów. – Twój brat, czy Kerel?...!

–Mój brat? A po co mu to? – prychnął król, nie odrywając wzroku od sceny na równinie.– Zresztą za bardzo dba o swoje zdrowie – dodał z leciutką przyganą w głosie.

I zaraz zmarszczył na krótką chwilę brwi, niezadowolony z siebie:

–Ty, panie, uczestniczyłeś!... – usłużnie odpowiedział Kerel Od Śmierci Włos.

–Tak. Raz. To było głupie. Nikt nie chciał mnie wyprzedzić, nikt nie próbował mnie zepchnąć z drogi, nawet nie wjeżdżałem na górę – wzruszył lekceważąco ramionami.

–Może powinno się zakładać maski? – odpowiedział mag.

Rzucił pierwszą myśl, jaka mu przyszła do głowy; tak naprawdę, to zwracając się wzrokiem i myślami do wyścigu, nie chciał zostawiać bez odpowiedzi słów porywczego monarchy. Ale niespodziewanie jego niedbale rzucona myśl zainteresowała Trazwalara Wielkiego.

–Jak?... W maskach? O, to dobry pomysł!

–Nie, to niedobry pomysł! – zaskrzeczał karzeł, mierząc Sodosą wściekłym spojrzeniem.



**–No tak, ciebie trzeba by było nakryć beczką! – roześmiał się król.**

**Wychylił w bok i, nie patrząc, poczęstował pupila kuksańcem w ramię. Miało to znaczyć: tylko tak sobie żartuję. – Albo inaczej – wszyscy jadą w beczkach! – Na krótką chwilę oderwał spojrzenie od wyścigu i zerknął na karła. – Wszyscy równi!**

**Na równinie tymczasem wierzchowce smagane były pejciami. Jeździec z lewego skrzydła prowadzącej ciągle jeszcze trójki, ten, który chciał się odsunąć od wymachującej pejciami na wszystkie strony pary, zobaczył wreszcie, że tamci dwaj kierują go w niekę a może tylko w plamę wyższej roślinności, skutek musiał być taki sam. Pędzący co sił rumak zachowywał równowagę, tylko utrzymując niezmienny rytm, na trzy. Niecka czy tylko miękki dywan z trawy musiał wytrącić konia z rytmu, w najlepszym, bardzo fortunnym dlań razie, tylko spowolnić jego wściekły cwał. Jeździec wychylił się i z całej siły zamachnął się wyprostowanym na całą długość ramieniem z pejcem. Jednocześnie skierował swojego wierzchowca w prawo! Miał chyba nadzieję, że uderzony w pysk koń rywala uskoczy w bok, zwalniając mu drogę, może nawet zderzy się z prawoskrzydłowym, ale nie sięgnął pejcem... Jego rumak zbliżył się do konkurenta, ale stracił na tym dystans niemal pół swojej długości. Nie było już czasu na chłostę, wojownik z lewej uderzył swoim koniem w konia przeciwnika, ten w środku, wzięty w kleszcze, z całej siły uderzył pejcem w rywala po lewej, sam oberwał takim samym kańczugiem po plecach... Ich bójka wpłynęła na tempo gonitwy, zmęczone już konie, nie czując bata, zaczęły zwalniać, z tyłu zasiedli im na karkach co szybsi przeciwnicy, wyprzedzeni przez lepsze wierzchowce w pierwszej partii zawodów. A może ci z tyłu byli sprytniejsi, przewidujący, co może się stać z tymi na czele?**

**Teraz wyglądało to tak: do wzgórza nazwanego Głową Węża zostało prowadzącej trójce nie więcej niż pół *wisty*. Dla przeciętnego wierzchowca to najwyżej sto oddechów, a ścigający znowu się zgrupowali. Trójka, nieznacznie wyprzedzająca pozostałych, smagała się już bezlitośnie, właściwie jakby zapomniawszy o celu wyścigu, za nimi cwałowała reszta, półtora tuzina żądnych zwycięstwa wojowników. Ścigający nie próbowali ominąć czołowej trójki, nie było już czasu, nie było szans objechać ich i wyprzedzić, i konie były zmęczone, i za mała odległość. Wszyscy widzieli już jęzor pochylonej na zewnątrz drogi w kolorze wypalanej, wysuszonej gliny.**

**I stało się to, co mag przewidywał od dłuższej chwili. Środkowy w okładającej się trójce otrzymał mocne uderzenie w twarz, chyba stracił przytomność, bo odchylił się do tyłu w siodle, a potem po prostu zwałił do tyłu na krzyż konia i w końcu fiknął kozła. Wprost pod kopyta doganiającego go już, rozpędzonego wierzchowca. Koń zareagował szybciej nawet niż jeździec, rozpaczliwym susem usiłował przeskoczyć upadającego, i może nawet mu się to udało, ale wzbity kopytami koni pył przesłonił widok. Ale zaraz potem, po skoku, koń zderzył się z gwałtownie zwalniającym, pozbawionym jeźdźca koniem wybitego z siodła wojownika. Na nich wpadło jeszcze**

co najmniej pięciu jeźdźców. W powietrze wylecieli ludzie i dwa czy trzy konie, wszyscy turlali się po stepie, kotłowali, tratowali wzajemni, gnietli, skręcali i dusili. Z tej odległości głosów ludzkich nie było słychać, być może wojownicy Trazwalara Wielkiego nie pozwalali sobie na oznaki słabości, może zwyczajnie zagłuszały je, słabe z powodu odległości, kwiki, rzenie i chrapanie koziółkujących koni...

Do wzgórza pędziła teraz para, po prawej doganiała ich czwórka, za nimi bez litości smagała pejciami konie, rozpaczliwie starając się zmniejszyć dystans, pozostała szóstka czy siódemka. Kątem oka Sodos Skrępowany zobaczył, że Trazwalar, nie odwracając głowy, macha niecierpliwie ręką do karła, a ten szybko sięga w zanadrze i krzesze ognia, by rozpaść fajkę, wcześniej już wyjętą. Kiedy rozpaloną podawał królowi, monarcha tak energicznie wyszarpnął ją z ręki karła, że ten runął na ziemię, ale zręcznie przewinął się przez bark, dodał jeszcze od siebie jednego kozła, poderwał się i zwałił jeszcze raz, łypnąwszy przedtem okiem na króla. Ten roześmiał się, oderwawszy na chwilę od fajki, do której chciwie się przyssał. Mocny zapach zawisł w nieruchomym powietrzu na zboczu wzgórza. Sodos Skrępowany wciągnął powietrze przez nos, starannie ukrywając, że węszy. Na chwilę, choć pozornie wpatrywał się w walkę na równinie, skoncentrował się na węchu. Coś obcego było w woni ulatującego z płuc Trazwalara dymu. *Ghaimisl*. Warto zapamiętać, pomyślał mag, i odłożył tę myśl do zakamarka z pożytecznymi wiadomościami.

Tymczasem na równinie para już nie usiłowała nawet ponaglać i tak zmęczonych ponad miarę szaleńczym cwałem koni... Okładali się po prostu z całych sił. Wykorzystała to ścigająca czwórka, której, jak na razie, najważniejszym celem było dogonienie czołowej dwójki. Udało im się, ominęli ich tak, by nie narazić się na przypadkowe uderzenie pejczem czy potknięcie o upadającego konia. Ale zaraz potem ten z wojowników, który był na zewnątrz zataczanego przez grupę łuku, uznał, że jeśli nie zacznie energicznie walczyć o miejsce, to po prostu nie zmieści się na wąskiej, przyklejonej do zbocza Głowy Węża ścieżce – po prostu wbije się wraz z rumakiem w stok. Ściągnął lewą wodzę, naparł na najbliższego rywala, ten, opierając się, sam wyleciałby z najlepszej trasy, powtórzył więc ruch i uderzył swoim koniem w sąsiada z lewej. I ten nie znalazł lepszego rozwiązania, jak postąpić podobnie. Ale każdy z nich tracił podczas tego manewru po jednym, może po pół skoku konia. W ten sposób ten ostatni, który i tak był najlepiej ustawiony, bo dokładnie na wprost ścieżki na szczyt, nagle, nic jeszcze nie przedsięwzięwszy, znalazł się o pół kroku przed rywalami.

–No! – Trazwalar pyknął kilka razy, rozpaść fajkę i zaciągnął się mocno. Wstrzymał oddech i dym w płucach i trwał chwilę nieruchomo, potem poderwał się i wypuścił dym. – Teraz coś się dzieje! – Jak małe dziecko niemal podskoczył w miejscu, wskazał palcem podnóże wzgórza.

Prowadząca dotychczas para zbaczała coraz bardziej z trasy. Okładali się wzajemnie, i na pewno, gdyby mieli ostrą broń, sięgnęliby już po nią, ale mieli tylko

pejczy, więc korzystali z nich ochoczo. Zmęczone wierzchowce zwalniały, ich nogi poruszały się coraz wolniej, coraz zaś szybciej ręce kawalerzystów uzbrojone w nahaje. Jeszcze chwila i nagle jeden z nich, ten zaatakowany przez rywala, jak kot rzucił się na przeciwnika, strącił go z siodła i spadł razem z nim wczepiony w jego szyję. Poturlali się po równinie, skłeszzeni w jeden zwarty kłęb z ośmioma kończynami, wszystkimi używanymi do walki. Ich wierzchowce po kilkunastu krokach zwolniły, potem, ułożone, by nie oddalać się od jeźdźców, przysiadły na zadach i zatrzymały. Z pysków kapiała ślina, ze spoconych szyj spadały płyty piany.

–Ten pierwszy z lewej wygra! – krzyknął Trazwalar Wielki i uderzył się dłonią w biodro.

–Kerel? Co sądzisz? – i zanim karzeł zdążył otworzyć usta, zawołał, nie odwracając głowy: – A ty, magu? Jak sądzisz?

–Nie znam tych ludzi, panie – wykrętnie odparł mag, zastanawiając się, jaką taktykę obrać. – Wszystkim bardzo zależy na zwycięstwie – wpadła mu do głowy dobra, jak sądził, myśl. – Służba w twojej gwardii, panie, jest dla nich...

–Pytam cię jak mężczyzna mężczyznę, a ty mi się wykręcasz jak wizgun... – odwrócił i popatrzył na maga z wyraźną kpina w wzroku. – Widzisz to, co i ja. Nie znam tych ludzi, tak jak i ty, ale ty masz jeszcze magię, której ja nie mam. Dlaczego więc się boisz postawić na kogoś?

–Mój ojciec, panie, powiadał, że od wygranej ze swoim królem głupsze jest tylko żądanie wypłaty tej wygranej – powiedział Sodos Skrępowany.

–Ach, ojciec... – Trazwalar Wielki już z powrotem patrzył na równinę. – Mój ojciec też ma zawsze rację. – Zdobył się na oderwanie wzroku od wpatrywania w walkę tuż przed wzgórzem i rzucenie magowi dziwnego spojrzenia. Odwrócił się i nagle ciszej uzupełnił: – Mam nadzieję, że mój syn będzie mnie słuchał z szacunkiem...

Karzeł pochylił głowę i otworzył usta, ale z niezadowolenia malującego się na jego twarzy można było wnioskować, że nie usłyszał, co powiedział Trazwalar Wielki.

Tymczasem konie ścigających się zbliżały już do wzgórza, zostało kilka chwil... I nagle jeden jeździec zdarł wodze, to samo, o mgnienie tylko oka później zrobił drugi. Ci dwaj, jak domyślił się mag, zdecydowali, że pojedą z tyłu, czekają na starcie dwu prowadzących, zaatakują z tyłu, może będą czyhali na wynik walki na ścieżce... Za nimi, ale daleko, ze stratą dobrych dwustu *pool*ee, pędziła jeszcze piątka wojowników, może szóstka lub siódemka, obłok kurzu przesłaniał rozległą połąć widoku.

W takim szyku jeźdźcy wpadli na spiralę drogi, właściwie ścieżyny, omotującej wzgórze. Pierwszy jeszcze smagał wierzchowca, na pewno miał plan polegający na

oderwaniu się od ścigających. Może liczył na to, że będą się strącali wzajemnie, blokowali, przeszkadzali, z korzyścią dla niego właśnie. Trochę było w tym racji: dwaj zamykający tę grupę jeźdźcy rzeczywiście zwolnili i zajęli się sobą: przedostatni odwrócił się w siodle i wymieniał razy z ostatnim, przy tym on usiłował trafić w oko wierzchowca, ten cofał się i uskakiwał, ryzykując spadek z drogi, a jego pan starał się trafić przeciwnika kańczugiem i jednocześnie utrzymać swojego wierzchowca na tarasowej drodze. Wyglądało, że ci dwaj już pogodzili się z przegraną i postanowili wyładować złość na tym, na czym mogli, na sobie.

Drugi w kolejności spokojnie gonił prowadzącego, koncentrując się na utrzymywaniu dystansu i wyczekiwaniu na sprzyjający moment... Zapewne liczył na błąd pierwszego jeźdźcy, ale nie zanosilo się na to. Dystans między nimi utrzymywał się niezmienny, pół długości konia, za daleko, by sięgnąć pejcem. W takim szyku zniknęli za zakrętem. Uwaga patrzących przeniosła się na ostatnią grupę, która w miarę zgodnie, pogodzona z przegraną, spokojnym kłusem zmierzała do drogi na kopiec, właściwie jeźdźcy tylko jakby oprowadzali kłusem zgonione wierzchowce. Zmienił się natomiast co nieco układ na równinie. Kilku wojowników nadał leżało, ale część już podnosiła się, wstawaly również konie, dwa kulały, pozostałe chyba tylko były wycieńczone szaleńczym galopem. Wojownicy otrzepywali się, przywoływali wierzchowce, poklepywali je po szyjach. Jeden nie wytrzymał i poczęstował kuksańcem swojego rumaka. Trazwalar wskazał go palcem i coś powiedział do najbliższego gwardzisty. Obecni zgodnie pomyśleli, że los tego pechowca jeszcze się dziś pogorszy, gdy tylko gwardzista przekaże jego tuzinowemu uwagę monarchy.

Na pierwszym zwoju spirali pojawili się dwaj wyprzedzający wszystkich jeźdźcy, pierwszy gwardzista starał się oderwać ód pościgu, ale drugi chyba miał wierzchowca z większym zapasem sił: wisiał na ogonie poprzednika, smagał jego konia bezlitośnie. Pierwszy nie był zdecydowany, jak powinien postąpić: z jednej strony ponaglał swego konia, a co kilka kroków, jakby rozjuszony ucieczką, odwracał się i, zwalniając wyraźnie, usiłował trafić rumaka przeciwnika w oko. Kompletnie niespodziewanie osiągnął swój cel. Mocno trafiony wierzchowiec rywala cofnął się o krok, a jego noga trafiła na spadek, poza obrębem drogi. Koń przysiadł, rozpaczliwie szarpnął się w bok, ale już było za późno. Dziko rzucając głową, poleciał na bok. Jeździec z niebywałą zręcznością przewinął się na siodle, przekoziółkował przez krzyż wierzchowca i wyładował na nogach na drodze. I od razu, ku zdumieniu wszystkich, rzucił się szaleńczo na konia rywala, napał z całej siły. I... Strącił go ze ścieżki! A potem rzucił się po zboczu w dół. Niemal tak szybko, jak rozpaczliwie rżące i kwiczące, łamiące nogi, miażdżące jeźdźcy, przetaczające się dwa konie...

–O? Ten mi się podoba! – zaskrzeczał karzeł. – Będzie walczył!

Rzeczywiście, podczas gdy jego wierzchowiec miotał się już na lichotrawie u podnóża kopca z połamanymi nogami, gdy przywalony swoim własnym rumakiem rywal jeszcze machał wolną ręką, usiłując jakoś wydostać się spod dygocącego w

agonii konia, podczas gdy na równinie (gdzie uczestnicy wyścigu nie widzieli już szans na walkę) odbywało się porządkowanie odzienia, dobijanie poranionych koni i sprawdzanie stanu leżących nieruchomo ludzi, on podbiegł do cudzego wierzchowca, który, straciwszy swego jeźdźca, stał blisko kopca. Zwierzę dyszało ciężko, przez jego skórę przebiegały częste krótkie dreszcze, ale na nogach stało pewnie, przestępowało w miejscu czekając widocznie na swojego pana. Zajadły wojownik z rozbiegu wskoczył w siodło. Kilka chwil trwało poskramianie wierzchowca, ale udało się! W tym czasie z piątki już pogodzonej z przegraną wyprysnęła para, wyprzedziła znacznie zniechęconą pozostałą trójkę i wpadła na drogę. Ten na cudzym koniu, który był już drugi, a teraz, odzyskawszy rumaka, spadł na trzecie miejsce, nie rezygnował, włączył się, mimo wszystko, dość niespodziewanie do rozgrywki.

Ruszył w pościg za prowadzącą dwójką. Zdobywczy rumak nie wykazywał się specjalną ochotą do walki, ale podporządkował się woli jeźdźca, smagnięty zaś pejczem skoczył dość raźnie do przodu. Jeszcze zanim ta nowoutworzona para zniknęła za zakrętem, o poziom wyżej pojawili się prowadzący w niezmienionej kolejności. Ale drugi zbliżył się odrobinę do prowadzącego. Galopem pokonali część obwodu. Trzeci zniknął za zakrętem.

–Pierwszy wygra? – Trazwalar odwrócił się do maga i wycelował w niego ustnik krótkiej fajki. Oczy mu błyszczały podnieceniem. A może spowodował to *ghaimisl* – Co sądzisz, magu?

–Ja bym wolał, by wygrał ten trzeci – odpowiedział mag, ważąc słowa. – Może początek miał nie najlepszy, ale jest drapieżny, waleczny, szybko orientuje się w sytuacji, migiem podejmuje decyzje. – Zmrużył oczy i uśmiechnął się przebiegle. – Jeśli nie wygra, to może go od ciebie kupię, panie? Przydałby mi się taki towarzysz.

–Do czego? – zainteresował się monarcha. Mag wzruszył ramionami.

–Jestem coraz starszy. Od dawna chodziło mi po głowie, że powinienem mieć obok siebie kogoś zaufanego, sprawnego, wiernego, odważnego... Dotychczas udawało mi się bronić własnymi siłami, czasem magią, ale, jak mówiłem, każdy jej okruczeństwo zmarnowany na rzeczy powszednie jest zmarnowany po stokroć. A własne siły... nie są niezmiernie. A nawet, powiedziałbym, wyraźnie maleją...

Para zniknęła za zboczem wzgórza, chwilę potem pojawił się trzeci. I tak trwało przez dłuższą chwilę: dwaj pierwsi znikali, pojawiał się trzeci, znikał trzeci, wyłaniali się prowadzący... Po czwartym okrążeniu, kiedy do szczytu zostało jeszcze dwa, drugi wojownik zdecydował się na atak. Na szczęście dla widzów odbyło się to na tej zwróconej do nich części wzgórza. Obserwowali to i monarcha z magiem i karłem, oraz niedawni rywali na równinie.

Wojownik, którego koń trącał już pyskiem zad prowadzącego, nagle podciągnął nogi, wskoczył na swoje siodło i wyprysnął jak pantera do przodu, ponad głową swojego wierzchowca, ponad krzyżem rumaka prowadzącego. Wczepił się w ramiona rywala i zdarł go z siodła. Zwalili się na prawo, pod zbocze. Przez chwilę nic nie było widać, zasłoniły widok oba zapierające się kopytami w ziemię konie. Potem pojawili się obaj rywale. Jeden, nie wiadomo było w tej pozycji i z tej odległości który jest którym, ale jeden bronił się słabo, leżał na plecach i tylko bezładnie majtał rękami, usiłując osłonić się przed wściekłymi razami drugiego.

Na to wszystko po chwili nadjechał trzeci. Gdy wyłonił się zza zakrętu i zobaczył nagle przed sobą zaporę z koni i kotłujących się na ziemi konkurentów, uniósł się w siodle, a potem zaciekle smagnął zdobycznego rumaka pejczem i pogonił go na przeszkodę. Zanim walczący na ziemi zorientowali się, że coś się zmieniło, że w ich wyścigu do zwycięstwa pojawił się trzeci zawodnik, ten przemknął obok walczących. Ten zajadły, siedzący na przeciwniku, chciał poderwać się i zaatakować przybyłego, ale leżący, pokonany właściwie, wczepił się w jego rękę i powstrzymał go, nie wiadomo, świadomie na złość, czy po prostu oszołomiony. Uderzony pejczem zwałił się na ziemię, a zwycięzca tego pojedynku wbił się piersią swojego konia w bok stojącego po skosie drogi rumaka i zwałił go bezlitośnie w dół. Nieszczęsne zwierzę runęło ze stoku. Do uszu obserwatorów po chwili dotarł przeraźliwy kwik, potem cichszy i cichnący łoskot osuwającego się rumowiska. Zwierzę upadło z łoskotem na przebiegający poniżej odcinek tarasu, przekręciło i potoczyło dalej. Kwik ustał, hurkot osypujących się kamieni trwał.

Ścigała się już tylko para. Właściwie było już po wyścigu. Zajadły, zaciekły gwardzista na cudzym wierzchowcu był już pod szczytem, drugi dopiero wskakiwał w siodło swojego rumaka... I tak dotarli do szczytu. Tu prowadzący wojownik podjechał do piki i wyszarpnął ją jedną ręką, a potem triumfalnym gestem uniósł i potrząsnął w powietrzu. Po krótkiej chwili dotarł do widzów jego triumfalny, przeciągły, modulowany okrzyk.

Trazwalar Wielki uniósł obie ręce i wydał z siebie bardzo podobny okrzyk. Konie drgnęły i położyły uszy po sobie. Monarcha odwrócił się do maga, niedbale cisnął fajkę za siebie, Kerel Od Śmierci Włos chwycił ją i zaczął wystukiwać żar na dłoń.

–Nie miałeś szczęścia, gdyby ten... – wskazał palcem szczyt Głowy Węża -... przegrał, darowałbym ci go... – zmarszczył czoło. – A może jednak to ja nie miałem? – przekrzywił głowę i popatrzył pytająco na maga.

–Gdybyś postawił na niego, to bym przegrał. A może użyłeś swojej magii? Co? – zaczynał się złościć. Wyścig albo narkotyk w tytoniu podnieciły go, a zakończenie rozjuszyło. – Przyznaj, użyłeś magii przeciwko mnie? Nie pozwalałem...

Mag zrozumiał, że za chwilę padną słowa, od których nie będzie powrotu, z których

**Trazwalar Wielki się nie wycofa. „No i głupio się stało – pomyślał ze smutkiem. – Nie za bardzo tu się spisał... I w ogóle żal...”**

**Z niespodziewaną odsieczą przyszedł mu błazen:**

**–Syn *samerantura* nie wygrał, panie! – zawołał, w podskokach zbliżając się do monarchy od krawędzi tarasu. – Przegrał! Widzę go, leży jak ścięty pień! Tam! – wskazywał na największą grupę koni i ludzi. Dotarli już do niej inni jeźdźcy z taboru, zbliżały się wozy, na których ułożeni mieli być ranni i ci, którym powiodło się jeszcze gorzej od rannych.**

**–Ale chyba poruszył ręką... – powiedział, jakby tracąc nadzieję na coś miłego.**

**Trazwalar zamknął usta, otworzył, zamknął znowu, chyba zgrzytnął zębami.**

**–A... – Król zaczął, zawiesił głos, a potem wstał, i nie kończąc, skinął na gwardzistę ze swoim ogierem.**

**Wskoczył w siodło i, nie zwracając uwagi na pozostałych, zaczął zjeżdżać ze wzgórza. Karzeł pośpieszył za nim.**

**Sodos Skrępowany powstrzymał się od wzruszenia ramionami, jego wałacha już prowadzono ku niemu, wskoczył w siodło i podążył za kapryśnym monarchą. Z jakiegoś powodu zakończenie wyścigu nie spodobało się Trazwalarowi, czy to nie wygrał jego faworyt, czy może zezłościł go triumf jeźdźca, którego pochwalił mag, a może myśl, że Sodos użył magii do wsparcia swojego wybrańca? Być może rozeźliła go wiadomość o przegranej syna Oba Rydla albo o jego ciężkim stanie, a musiał być ciężki, musiał, skoro dopiero teraz, w ćwierć *semii* niemal od upadku, poruszył ręką... I tylko nią.**

**Zwycięzca wyścigu zaczął wolnym, pozwalającym nasycić się zwycięstwem, kłusem zjeżdżać ze szczytu z piką w ręku. Z równiny ktoś krzyknął coś do zwycięzcy, odpowiedział przeciągłym gwizdem i potrząsaniem zdobyczą nad głową. Król kłusował już po równinie, doganiał go niezgrabny, podskakujący i majtający się w siodle błazen. Maga wyprzedzali również gwardziści. Pokonywał zbocze ostatni, usilnie zastanawiając się nad dalszym postępowaniem wobec kapryśnego monarchy.**

**Tymczasem na dole trwała gorączkowa krzątanina. Z wozów wyładowywano bale drewna, jak się po chwili domyślił mag – na stos albo dla padłych lub dobitych wierzchowców, albo dla wojowników, którzy stracili w wyścigu życie. Albo dla jednych i drugich jednocześnie. Z innych wozów łańcuszki biegających pacholek wyładowywały i rozwijały na trawie olbrzymie kobierce, ustawiały na nich stoły, ławy i zydle... Z trzeciej grupy kilku wozów pośpiesznie wynoszono skrzynie z owocami, dzbany o wąskich, zakorkowanych szyjkach i drewniane koryta z upieczonym drobiem, *trajenkami* i prosiakami.**

## Uczta!

Na równinie Trazwalar Wielki już szedł z wielkim kubkiem w ręku w kierunku kilku par noszy, na których leżeli ranni. Było ich pięciu. Trzej z nich uśmiechali się nawet i siedzieli albo półleżeli, bladzi, ale usiłujący wyglądać zuchowato. Dwaj pozostali leżeli bezwładnie. Od strony Głowy Węża zmierzało kłusem kilku jeźdźców, dwaj mieli przerzucone przez siodła ciała zabitych. „Wyścig kosztował życie... – Sodos obrzucił okiem prowizoryczny tabor – pięciu ludzi. Chyba że któryś z rannych jeszcze nie przetrzyma. Ale ci dwaj, na przykład, wyglądają kiepsko...”

Buchnął ogień obszernego, płaskiego stosu. Trzy konie już na nim leżały, po drugiej stronie stosu – ciała dwu wojowników. Musieli to być ci, którzy mieli najgroźniej wyglądające upadki. Pierwszy na równinie, drugi już z Głowy Węża. Zanim mag zbliżył się do służby i zeskoczył z siodła, dołożono tam przywiezione właśnie ciała; dwaj na noszach widocznie jeszcze żyli, ale jakiś pękaty medyk, co i rusz pochylał się nad jednym z nich, soczyście oblizywał wierzch swojej dłoni, po czym przykładał do ust rannego. Ponieważ powtarzał tę czynność, musiał wychwytywać chłód oddechu, prostował się, by po chwili powtórzyć działanie. Ten wojownik widocznie już odchodził do krainy wiecznej szczęśliwości.

„Dwie *semie* temu wyjechałem z Trazwalarem na równinę – pomyślał Sodos Skrępowany – i proszę: kilka trupów, pokaleczone konie. I uczta. Za dwie *semie* cały wyścig przejdzie do historii, zapomną o nim wszyscy. No, może nie zwycięzca, zjadły wilk, i może kilku, co przegrało, ale przeżyło”.

Służący podał mu puchar z zimnym winem, kwaśnym, cierpkim, słabym, ale wspaniale gaszącym pragnienie. Wypił połowę, stanął z boku, potem przesunął się i wszedł na jeden z wozów, by lepiej widzieć, co się dzieje.

Przed Trazwalarem Wielkim klęczał zwycięzca wyścigu. Król przywiązał do jego zdobyczy, piki, złotą szarfę, potem podał klęczącemu wielki puchar z winem. Wojownik upił trochę, zwrócił naczynie monarsze, który również napił się z niego. Potem odwrócili głowy w kierunku stosu, mag odruchowo zerknął na medyka. Ten kolejny raz przyłożył wilgotny wierzch dłoni do ust umierającego, a potem, zasłaniając obszernym zadem głowę rannego przed Trazwalarem i świtą, przycisnął wnętrzem do ust wojownika i trzymał, trzymał, trzymał... Jedna stopa konającego i jego lewa ręka drgnęły, ale tylko tak, i to krótko broniła się resztką życia w ciele wojownika. Sodos Skrępowany zamarł, rzucił okiem na boki, ale wyglądało, że prócz niego nikt nie widzi tej sceny dobijania. Nikt nie widzi, albo nie widzi potrzeby widzenia. Wrócił wzrokiem do medyka, który wyprostował się, zniechęcony pokręcił głową: „Szkoda, ale nie udało się nic zrobić...”, a potem, wyprostowawszy ręce, uniósł je do góry. Sterczące z pięści kciuki i małe palce naśladowały rogi byków Grebha Czarnego, opiekuna zmarłych w boju wojowników. Czterej służący migiem podbiegli do zabitego, chwycili za ręce i nogi i kilka chwil później, narażając się na



oparzenia, ale świadomi, że oczy władcy spoczywają na nich, spokojnie i zręcznie ułożyli ciało na buchającym coraz większym ogniem stosie.

„Nie bardzo nawet wiadomo, kto w większym stopniu przysłużył się temu biedakowi – pomyślał mag. – Konkurent z wyścigu, czy ten upiorny medyk, który się bał narazić Trazwalarowi i przyspieszył koniec rannego. A jakby ten utrzymał się przy życiu? No, chyba nie... Gdyby nie było mu to sądzone, to medyk nie mógłby...”

Poczuł, że ktoś szarpnie go za rękaw.

–Panie, Trazwalar Wielki każe ci przyjść do stołu! – Młody żołnierz z oddziału sprząającego równinę z ciał wskazywał za siebie ręką. Ręka drżała. Widocznie mag zbyt wolno wychodził z zamyślenia.

–Panie, Trazwalar Wielki... – zaczął jeszcze raz.

–Słyszę; już idę.

Sodos Skrępowany zeskoczył z wozu, podał pusty kubek gońcowi i pomaszerował szybko do stołu. Siedzieli przy nim tylko trzej ludzie: monarcha, przy jego boku stał Kerel Od Śmierci Włos, i naprzeciwko zwycięzca gonitwy, rozgorączkowany jeszcze, spocony wojownik o obfitym wąsie. Przez jego czoło biegła krecha po trafieniu nahają, lewe ucho miał zaklejone zakrzepłą już krwią. Tu musiał go kańczug rywala trafić po raz drugi. Wojownik wychylał już chyba kolejny puchar. Oczy miał lśniące, rozbiegane, jakby chciał wszystkich objąć spojrzeniem, albo wszystko dojrzeć i zapamiętać. Karzeł wskoczył na stół, między misy z owocami i nalewał mu kolejną porcję ciemnego, niemal czarnego wina, gęstego jak rozgrzana smoła. Nie ulegało wątpliwości, że wojownik, a świeżo mianowany tuzinowy, właściwie nie tak, tuzinowy, który właśnie wydarł to miano śmierci z łap i rywalom z rąk, będzie pijany już za chwilę, a za dwa dni, jeśli nie jest wyjątkowo odporny na wino z piwnic Trazwalara Wielkiego, będzie zdychał z przepicia i pewnie dopytywał się co i jak było. Może, zresztą, o to w tym rytuale chodziło, by zapomniał, że jego tytuł jest okupiony kilkoma trupami? Ale żywot wojownika to nieustanne potykanie się o krzywy niczym kosa miecz Grebha Czarnego.

Monarcha też pił ciężkie wino z Ferhayer. Ale, mimo że podniecony, wesóły, bratający się ze zwyczajnymi wojownikami, nawet nie z tuzinowymi, których tu nie było, mag czuł, że król jest spięty i ostrożny. Czuł i widział co jakiś czas jego ostre, przenikliwe spojrzenia, i nawet kiedy sam na Trazwalara Wielkiego nie patrzył, to wydawało mu się, że król co i rusz nań zerka.

Za plecami króla widział, jak pół tuzina kucharzy i pomocników krząta się przy ulubionej polowej potrawie monarchy. Osiem, może dziesięć wydartych z łona kotnych *trajenek* płodów zostało migiem sprawionych i zaszytych. Teraz słudzy przy

**pomocy mosiężnych szczypiec wyjmowali z ognia rozgrzane niemal do białości kamienie i wrzucali je do tuszek przez dziurę między tylnymi nogami. Kiedy tusze zostały wypełnione, otwory zaszyto, tuszki podwieszono, przy każdej stanęło po dwu kuchcików, by palcami oskubać piekące się od środka mięso z delikatnego, jeszcze błyszczącego wodami owocowymi futra. Sodos powstrzymał się od splunięcia, przysiągł sobie, że nawet kat nie zmusi go do przełknięcia kawałka królewskiego specjału.**

**Po jakimś czasie, po dwóch kielichach ferhayerskiego, skorzystał z chwili, kiedy monarcha odwrócił się do jakiegoś siwego wiarusa z twarzą tak pokreśloną bliznami, że przypominała raczej skórzany wór wypchany słomą, na którym adepci ćwiczyli cięcia szablą, i pobiegł za wozy ulżyć pęcherzowi. Kiedy stał tak z portkami opuszczonymi do kolan i z ulgą celował strumieniem moczu w kępę lichotrawia, ktoś odkaszlnął za jego plecami. Odwróciwszy się, zobaczył karła.**

**–Jeśli o mnie chodzi – powiedział rozweselony mag – to możesz szczać tu, albo nie. Mnie nie przeszkadzasz...**

**–Szczam, gdzie chce sam – odparował wierszem Kerel. – Chcę ci tylko powiedzieć, że jesteś tu jedyną niewłaściwą osobą. Żebyś o tym wiedział! – uniósł małą, pulchną dłoń i wyprostowanym palcem dwa razy strzepnął w kierunku maga.**

**–Niewłaściwą? Co ty, pokurczu, pleciesz? Zostałem przywołany przez króla Trazwalara Wielkiego, jeśli ci o tym nie wiadomo!**

**Kiwnął się i zaczął podciągać spodnie.**

**–To jest wyścig, na którym zawsze jest tylko władca i jego żołnierze. Nigdy nie ma tu tuzinowych, rodziny dostojników...**

**–A ty? – mag przypomniał sobie, że przed chwilą wymsknęło mu się „pokurczu”, i że może to mu kiedyś zaszkodzić. Skorzystał więc z okazji, by ugłaskać karła, podkreślając jego wyjątkową pozycję.**

**Chyba się udało. Kerel Od Śmierci Włos przyklepał na piersi skórzany, zawiązywany na boczne troczki, perslowany złotem *klarsen*. Cmoknął zadowolony z siebie. A może ze zdobnego odzienia?**

**–Ja... To co innego. Ale zawsze są tylko uczestnicy gonitwy, król i czeladź. Tym razem wyjątkowo jesteś i ty, by strzec monarchy – podskoczył w miejscu, tupnął nogą: – Więc nie celuj tu szczykami w koniki polne, tylko tam! Tam – wskazał za siebie łapką – pilnuj!**

**–Idę. – Sodos Skrępowany miał ochotę podejść i kopnąć karła w wypukły zadek. Powstrzymał się. – Może nie widziałeś tego, ale obszedłem całą tę okolicę, otarłem**

się o każdego z obecnych. Nie ma tu xameleona. A jeśli jest, to tak zamaskowany, że nikt go nie odkryje.

–To za co ci płacimy? Nie jesteś pewien, jest tu czy nie? Taka ta twoja służba?!

Mag jednym susem dopadł karła, i chwyciwszy go za ubranie na piersi, podniósł w powietrze.

–Posłuchaj, dyndusie, nie tobie służę, jasne? Służę Trazwalarowi Wielkiemu, i on może mnie rozliczać z obowiązku i jego wykonania. Ty – nie! Chyba że król powie co innego. Ale na razie nic takiego mi nie powiedział. Więc się nie wtrącaj do mnie, nie ponaglaj i nie knuj, bo cię pomniejszą jeszcze bardziej i będziesz nosem psom pod ogony sięgał. Rozumiesz?

Zamierzał jeszcze raz potrząsnąć błaznem, potem mocno postawić na ziemi.

Nie zdążył.

Karzeł błyskawicznie podciągnął nogi, oplótł nimi rękę maga, w mgnieniu oka przekręcił się, powodując, że palce Sodosy zostały wkręcone w tkaninę. Mag odruchowo wyszarpnął je, puszczając karła, a Kerel opadł na nogi i niedbale otrzepał koszulę i kaftan. Musiał nie raz wykonywać taką wolnę i nie raz widział osłupienie w oczach tych, z rąk których się wyrwał. Teraz też wykrzywił się i nagle mrugnął do Sodosy Skrępowanego: „Możesz ty i mag, ale nawet twoja magia nie pomogła ci w utrzymaniu Kerela!”

Odwrócił się, i kołysząc na krótkich i krzywych nogach, pomknął z powrotem do stołu.

„Kolejny osobnik, którego muszę się strzec – pomyślał mag. – Zresztą, chyba od początku był na liście moich wrogów”. Ruszył za karłem i nagle przystanął, uświadomiwszy sobie, że powinien wystrzegać się innych. Najgroźniejsi są na pewno ci, którzy nie znaleźli się na tej liście. Utajeni, przyczajeni, skryci, niewidoczni i niewyczuwalni. Nie tacy rzucający się w oczy, tak jak hardy błazen Kerel Od Śmierci Włos.

Wrócił do stołu. Zwycięzca gonu, Ludue Pieczara, miał kłopoty z utrzymaniem głowy w trwałym pionie, kilku jego niedawnych rywali już obijało czołami blat stołu, uklękawszy przy nim. Trazwalar Wielki trzymał w ręku swój puchar i otwarcie kpił sobie ze swoich wojowników. Dopiero teraz mag dojrzał, że kilku, sześciu czy ośmiu gwardzistów nie uczestniczyło w świętowaniu, stojąc w rogach stołu i uważnie przyglądając się uczującym i otoczeniu. W maga, gdy się zbliżył, wpiło się od razu kilka czujnych spojrzeń. Ucieszyło go to. Nie tylko on troszczył się o stałe bezpieczeństwo władcy.

Przystanął nieco z tyłu i z boku, podejrzewając, że niemądrze byłoby na jego miejscu pchać się w oczy rozeźlonego władcy. Król nie patrzył w jego stronę, ale, nie odwróciwszy głowy, powiedział nagle.

– Za trzy dni będziemy w pałacu mojego ojca. – postawił puchar, ale nie wypuszczał go z ręki, bębnił palcami po złotej powierzchni czary. – To ważna chwila...

Nie wyjaśnił, dlaczego tak powiedział. W miarę upijania się i zasypiania uczestników gonitwy Trazwalar Wielki pochmurniał. Nie odzywał się już i wypił jeszcze tylko kilka łyków. Pół *semii* później, gdy przy stole trwał tylko on, mag i Kerel Od Śmierci Włos, i tylko jeden ze ścigających się mamrotał coś do siebie pod nosem, usiłując schwytać umykający jego ręką kielich, monarcha nagle poderwał się, i nic nie mówiąc, pomaszerował do swojego ogiera, wskoczył w siodło i niespiesznym klusem ruszył w stronę właściwego obozu. Chwilę potem dogonili go trzej gwardziści z ochrony a i karzeł, który spoliczkował jednego z wojowników, zbyt wolno podsadzającego go w siodło, puścił się za swym panem cwałem. Za nimi pogonili pozostali trzeźwi wojownicy, potem mag.

Odjeżdżając, rzucił okiem za siebie. Pogrzebowy stos dymił wprawdzie, ale drewno było znakomicie wysuszone, wiatr sprzyjał, równy i mocny podsycał swym tchnieniem żar, a dym przeganiał na zachód tak skutecznie, że siedzący tyłem do stosu pogrzebowego mag zapomniał o tym, że kilkadziesiąt kroków od stołu zwycięzcy płonęły wspólnie ciała wojowników i wierzchowców, zjednoczonych tym, że stracili życie w jednym wspólnym wyścigu do stanowiska.

Stół, zastawiony mięsem i owocami, niemal nietkniętymi, okupowało kilkunastu wojowników – spali z głowami między misami i paterami. Któryś poruszył ręką i wyrócił dzban z winem. Struga ciemnego wina zaczęła spływać na ziemię. W jasnym świetle słońca okazało się, że nie jest brązowe ani czarne. Tylko bardzo, bardzo czerwone.

„Skrzep też w pierwszej chwili wygląda na brunatny, ale to tylko barwa głębokiej czerwieni, głębokiej krwi” – pomyślał mag, klusując za oddalającą się grupą.

Z tyłu coś brzęknęło. Albo ktoś, kto pozostał w małym obozie zaczął sprzątać, albo któryś ze śpiących potracił kielich., Wyścig zakończył się nieodwołalnie i ostatecznie.

\*\*\*

Ob Rydel wychylił duszkiem swoje *menes*, sfermentowane, zaprawione mocnymi ziołami, mleko *trajenek*, zmieszane ze świeżym krowim i kobyliczym. Nie ocierając warg, przyskajac białymi kroplami z koniuszków długich wąsów, ciągnął z pasją: – Na karła nie możemy liczyć! To małe ścierwo tylko swego patrzy, ale my, my dwaj powinniśmy

strzec władcy. – Rozejrzał się szybko na boki i zniżył głos do szeptu niemal: – W końcu, my się trzymamy tronu i sami go podtrzymujemy, to prawda, ale gdyby na tronie zasiadł kto inny, to i takich podtrzymujących znajdzie sobie innych.

–Mmm... – mruknął nie przekonany Marenceba Sieć. – Ja dowodzę gwardią króla, króla Trazwalara Wielkiego. Nie mogę się wikłać w intrygi, z kimś trzymać, kogoś podchodzić... Z drugiej strony Kerel Od Śmierci Włos jest oddany monarsze nad podziw...

–To nie są podchody, Marencebo! – syknął Ob Rydel. *Samerantur* sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie słuchał słów oponenta. Jego oczy zaczynały płonąć niedobrym, czerwonym blaskiem, Marenceba Sieć nie wiedział: wynik to odbłasku zachodzącego słońca, nieprzespanej, spędzonej przy pościeli poturbowanego syna nocy, czy jeszcze czegoś. A tego właśnie, tego, czego nie wiedział, obawiał się najbardziej. I Ob Rydel, nie wiedząc, nie rozumiejąc, że jego zapał i napór działają wręcz odwrotnie – gaszą ochotę rozmówcy, oddalał się coraz bardziej od celu rozmowy.

Który jeszcze ćwierć *semii* temu był stosunkowo bliski i dość prosty do osiągnięcia: *halemmed* był oddany władcy nad życie i na początku rozmowy niemal zgodził się z Obem, ale teraz ponownie zaczynały go trawić wątpliwości, te same, jakie niedawno udało mu się przy pomocy Oba Rydla stłamsić.

–Ten obcy, mag, omota władcę i wtedy... – mówiący pokręcił głową, usiłując w tym prostym ruchu zmieścić całą grozę. Nie był pewien, czy do rozmówcy dotarło, co mówi, więc dodał:

–Spęta magią monarchę, ten zmieni swoją gwardię, co, nie bywało tak? Nie wymordował Onuchei Garb połowy swojej armii, zanim, oby go Munc ucałował, sam się nabił na miecz!?! Nie było tak? Poczekaj!... – powstrzymał Marencebę, który usiłował zaoponować. – Ja nie mówię o takiej prostej rzeczy, ale jeśli Sodos zawładnie królem, to po prostu może spokojnie siedzieć u jego boku, podpowiadając co należy robić... Będzie po prostu władał całą Lanyattą. Rozumiesz?

–To jest wizja co najmniej przesadna i...

–To jest wielce prawdopodobna wizja, *halemmedzie!* – *Samerantur* jeszcze zniżył głos, ale pasja, z jaką wyrzucał słowa, spowodowała, że wyszło to jak „chalemmmmmesie”. – Nie boję się maga, tylko obawiam się jego działania.

–Przecież nie jest stale przy władcy – usiłował zlekceważyć problem Marenceba Sieć. Coraz wyraźniej widział, że nie jemu wdawać się w jakieś dworskie intrygi, nawet w komitywie z Obem Rydlem, ale obawa, że przegapi coś istotnego, albo nie zareaguje na czas, spowodowały, że nie odmawiał wprost *sameranturowi*, tylko

łagodnie negując jego słowa, zyskiwał na czasie potrzebnym do namysłu, wyciągał z Oba Rydla istotne informacje i sprawdzał na słuch, co warte są jego obawy. – Ty tam jesteś częściej!

–A wyścig?

–To Trazwalar Wielki go zaprosił. Tamten się nie wpraszał.

–Skąd wiesz? Skąd wiesz? – *Samerantur* postukiwał palcem w stół przy, każdym słowie. – Może Trazwalar obudził się z taką myślą: „A, wezmę ze sobą maga!” Ale myśl zaszczeplił mu we śnie Sodos Przeklęty! Przecież sam wiesz, że mrok to jego sprzymierzeniec!

–No tak...

–Skoro tak, to musimy zacząć działać!

–Co masz konkretnie na myśli? Chcesz... – zamilkł, ale zrobił wyrazistą minę, którą jego rozmówca odszyfrował jako „Chcesz pozbyć się maga?”

–Jest kilka dróg. Wiele o tym myślałem – zaczął pośpiesznie Ob Rydel, kolejny raz obrzuciwszy namiot szybkim – „złodziejskim”, pomyślał Marenceba Sieć – spojrzeniem.!

–Pozbycie się maga to ostateczność. Gdyby nie było innej drogi. Ale jest. Bo o co chodzi? Chodzi o to, by wykorzystać go, schwytać owego złudzieńca i nie pozwolić magowi opętać władcy. Czyli wyprzedzić maga – pokazać Trazwalarowi Wielkiemu, kto jest jego wiernym sługą, na kogo może liczyć, że nie na przybłądę z mocą, nie wiadomo jakiego pochodzenia, tylko na nas, na swoje wierne i niegodne pył z jego stóp zdmuchiwać sługi.

–Możem za głupi, ale nadal nie rozumiem, jak chcesz wyprzedzić maga? Co, wziąć go na tortury? Żeby wyznał, co wie, i pójść tym tropem?

–Nie! Nie-nie! – Palec *samerantura*, już chyba bez woli Oba Rydla stukał w stół i to, nie wiadomo dlaczego, strasznie, coraz bardziej irytowało *halemmeda*.

Przed oczami duszy zobaczył, jak uderzony w złączenie dwóch kości ostrzem jego sztyletu palec Oba dzieli się na dwie części: jedna się cofa, druga zostaje na stole, uderza jeszcze dwa razy opuszką w blat i zamiera w małej kałuży krwi.

–Nie ruszamy maga, tylko go nadal śledzimy.

Marenceba Sieć już miał powiedzieć, że ma poważne zastrzeżenia co do wartości podglądania maga, ale w ostatniej chwili powstrzymał się. „Nie musisz się dzielić

**wszystkim, co wiesz – pomyślał. – Idą takie czasy, że każda myśl i każda wiadomość mogą być warte tyle, co cały *halem* straży”.**

**–Ale najważniejsze, ten jeniec. Jeniec-sss! – syknął On Rydel. – Mag coś z niego wyciąga. My też możemy. A kiedy się dowiemy, jak rozpoznać xameleona... – odchylił się na krześle i popatrzył na Marechebę Sieć z triumfem i pokiwał głową, nie kończąc myśli.**

**Marecheba Sieć chwilę się zastanawiał. „To można – myślał. – To jest działanie dla dobra Trazwalara Wielkiego, niczym mu nie szkodzę, mogę tylko pomóc. To, że magowi bruździmy – trudno, w słusznej sprawie. A i o swoich sprawach też należy myśleć. Na szczęście Trazwalar Wielki nie każe *halemmedom* uczestniczyć w wyścigach, nawet tuzinowym nie każe. Ale kto wie, czy jutro nie zmieni obyczaju, i o stanowisko trzeba się będzie ubiegać? Robię się stary, przecież...”**

**Milczał jeszcze chwilę. Potem sięgnął po swój kubek z wodą, do której ostentacyjnie, tak, by widział Ob Rydel, wlał tylko kilkanaście kropel wina, i wypił go wolno, jakby smakując.**

**–Dobrze – powiedział w końcu. – Coś z tym zrobimy...**

**„Tylko czy się nie uwikłamy ponad miarę i ponad swoje możliwości?”- pomyślał chwilę później.**

## **Rozdział 12**

**Wystrzeliwszy drugi kołczan, Sodos Skrępowany poczuł, że wspaniały łuk, podarowany przez monarchę, zaczyna leżeć w dłoni.**

**Rano, właściwie o świcie, kiedy przeciągał się przed namiotem, podszedł do niego Kerel Od Śmierci Włos z gwardzistą. Żołnierz niósł łuk w pokrowcu z utwardzonej sokiem lipownicy i wytłoczonej we wzory skóry. W bruzdy i rysy jakimś sposobem rzemieślnik wprowadził pasemka i nici miedzi, srebra i złota, rysując tym sposobem na stronie kołczanu scenę walki z wielkim kotem, na drugiej orła unoszącego w szponach wydrę. W drugiej ręce żołnierz trzymał kołczan z takiej samej skóry z dwoma tuzinami strzał, i drugi zapasowy, z kolejnymi trzema i kilkoma przyszytymi skórzanymi puzdra-mi, na zapasowe cięciwy, toczydła i jeszcze coś.**

**Mag zamarł z uniesionymi do góry rękami, potem opuścił je, i przycisnąwszy prawą do serca, skłonił głowę przed karłem.**

**–Pan mój, Trazwalar Wielki, przesyła ci ten łuk w darze! – powiedział Kerel Od Śmierci Włos, nie wysilając się na powitania. – Jak również masz już wierzchowca bardziej pasującego... – zrobił przerwę, pewnie po to, by mag zrozumiał, że on się z tym nie zgadza -...dla twojej osoby. Panie – dodał już z wyraźnym wysiłkiem. – Z**

**wyboru Trazwalara Wielkiego!**

**–Przekaż królowi moje najszczerze podziękowania. O takim łuku może tylko marzyć każdy, kto w ogóle umie trzymać tę broń w ręku. I za wierzchowca. Na pewno jest to coś szczególnego, jeśli wybierał go sam monarcha...**

**Gwardzista na znak karła wystąpił o krok i złożył łuk i dwa kołczany na ziemi, cofnął się. O ile w oczach Kerela widniała wrogość, to w jego spojrzeniu przeważało obrzydzenie z wyraźnym nalotem strachu – Na pewno widział, jak z mocy maga jego koledzy z *halemu* popełnili samobójstwo. Pewnie wolałby, żeby zakończyli żywot zdrajcy w tradycyjny sposób – spętani, poddani torturom, ścięci, spaleni. Taki koniec miał chyba w jego wyobrażeniu jakieś znamiona końca godnego – zapłata za żywot. Ale samobójstwo i to takie – wymuszone przez moc magiczną, na oczach wszystkich, z wytrzeszczonymi oczami...**

**Kerel Od Śmierci Włos skinął głową, odwrócił się na pięcie i odszedł...**

**„Gdybym nie podziękował, doniósłby na mnie natychmiast – pomyślał mag. – A ponieważ jednak podziękowałem, to przekaże je w taki sposób, że Trazwalarowi przyjdzie pewnie ochota na postawienie mnie w charakterze tarczy w zawodach łuczniczych”.**

**Potrząsnął głową, skinął ręką na Faseha Zielonego, sam podniósł łuk, wyjął z kołczanu i przyjrzał się. Gładkie, wypolerowane łuczysko, pod przezroczystą, szkliwiastą warstwą czegoś jak twarda żywica, widoczne miejsca złączenia, sklinowania, zespolenia różnych gatunków drewna, kości i jeszcze czegoś. Szybko, podniecony jak dziecko, założył cięciwę, i nabrawszy powietrza w płuca, naciągnął ją. Podała się nadspodziewanie lekko, jakby łuk był wykonany ze zbyt wiotkiego materiału, do dziecinnych ćwiczeń tępyimi strzałami. Spuścił naciągniętą cięciwą, obejrzał łuk jeszcze raz. Podał Fasehowi.**

**–Daj mi coś do jedzenia i idziemy do koni.**

**–Tak, panie.**

**Kiedy weszli do namiotu w kątach płonęły cztery małe lampki. Kiedy wychodzili, po codziennym rytuale sprawdzania i oczyszczania, Faseh Zielony widział dokładnie, że były ciemne i zimne. Teraz długie płomyki, zabarwione na końcach na zielono, zakołysały się na powitanie. Sodos Skrępowany zatrzymał się zaraz po wejściu, skłonił głowę przed każdym po kolei płomykiem, zadał pytanie w niezrozumiałym, bełkotliwym języku. Spod sufitu warknęło coś, jak rozzłoszczony kabaniec. Faseh poczuł, że włosy jeżą mu się na głowie i ciepła struga wilgoci spływa po nodze. Zadygotał.**

**Sodos Skrępowany uniósł ręce na wysokość uszu i wyśpiewał długą, urwaną**



gwałtownie frazę. Płomyki zakołysały się, zadrżały i zgasły. Nie jednocześnie, ale w krótkich odstępach czasu. Mag stał jeszcze chwilę, potem zdecydowanie podszedł do stolika ze śniadaniem i usiadł. Faseh Zielony wiedział, że rano mag je tylko owoce, kawałek suchara z dużą ilością wonnego miodu, popija mlekiem, czasem kumysem, zagryza garścią pestek – dyni, słonecznika albo kilkoma miodowymi orzechami. Do tego ze dwie garście *isjumu* z olbrzymich winogron. Różniło się to od wymarzonego śniadania dzieciaka tylko ilością zjadanych przysmaków.

Dziś też pochłonał dwa placki z miodem, łyknął mleka, wsadził do kieszeni dwa jabłka i do drugiej *isjum*, garść pestek wsypał do ust i z wypchanymi jak chomik policzkami wskazał Fasehowi wyjście z namiotu. Po trzystu krokach doszli do zagrody, w której trzymana była klacz maga i wałach, dosiadany przez chłopca. Klacz spokojnie skubała trawę w kącie, a przy wejściu stał wałach Faseha i piękny kary, jak noc w nowiu ogier, już z rzędem maga. Podejrzliwie przyjrzał się wierzchowcowi, niemal pewien, że koń jest specjalnie ułożony do zrzucania jeźdźca i cała ta zmiana koni to robota karła, który gdzieś teraz ukrywa się i chichocze w kułak.

Pochylił się i przeszedł pod drągiem ogrodzenia. Podszedł do ogiera i uważnie mu się przyjrzał. Rumak był przed chwilą wyczyszczony, zwierzę było zadbane i wspaniale utrzymane. Krucza barwa złamana była tylko na ganaszu, gdzie widniały obok siebie dwie siwe cętki. W ciemnych oczach zwierzęcia nie widział żadnych oznak utajonego szaleństwa, przysunął się do pyska rumaka i węszył chwilę, ale w oddechu konia nie czuł żadnych obcych, ziołowych woni, które ostrzegłyby go, że kapitalne zwierzę zostało napojone szalejem. Nie zostało mu nic innego jak dosiąść wierzchowca. Uczynił to. Nic się nie stało. Koń stał jak wmurowany. Potem, kierowany lekkimi naciskami łydki, delikatnymi poruszeniami wodzy przemierzył po przekątnej zagrodę. Robił to z wdziękiem, chętnie i czuło się, że to tylko część tego, co naprawdę potrafi. Mag uśmiechnął się i podjechał do bramy. Nie osłabiając czujności, skinął głową na czekających przy niej pacholków, migiem przesunęli drągi, mag w towarzystwie Faseha Zielonego wyjechali z zagrody i pokłusowali, przecinając pierścienie taboru ku jego obrzeżom. Po drodze mag wskazał Fasehowi dwie tyczki leżące na ziemi przy jakimś wozie i wór ze słomą.

Odjechali od obozowiska na odległość niemal połowy *wisty*. Sodos przez cały czas wypróbował swojego nowego wierzchowca i coraz bardziej był nim zachwycony. Niemal ćwierć *wisty* koń przekłusował do tyłu, ani razu nie oglądając się za siebie, całkowicie ufając swojemu, nieznanemu przeciw, nowemu jeźdźcowi. Mag, gdy zeskoczył z siodła, przesunął się do pyska zwierzęcia i chwilę głaskał szlachetnie wymodelowaną głowę. Ogier prychnął raz, nie kwapił się do okazywania miłości, znał swoje obowiązki, wykonywał je chętnie, bo lubił, i tyle.

–Jak na razie nie przeszkadzam ci, co? – zapytał mag. Podjechał Faseh Zielony, zeskoczył z siodła, zaczął odwiązywać tyki i worek wypełniony łupinami fasoli.

**–Pędź na pięćdziesiąt kroków i wbij te tyki, na nich ustaw worek, żeby stał jak człowiek...**

**Wyjął łuk, sprawdził wszyte w duży kołczan sakwy, znalazł nowe cięciwy, ale tylko się im przyjrzał, został przy tej już nałożonej. Kilka razy naciągnął łuk, wolno, starannie, potem szybko, jakby miał strzelać w pośpiechu. Uśmiechał się cały czas, broń bardzo mu się spodobała. Wyjął strzałę, nałożył na cięciwę i popatrzył na wór. Był już ustawiony, ale Faseh Zielony truchtał po najkrótszej drodze, czyli zasłaniając worek. Sodos Skrępowany zachichotał i udał, że celuje w worek, a może w Faseha. Chłopak jeszcze chwilę kłusował, potem zrozumiał, co mu grozi, pisnął i skoczył w bok, a po kilku krokach po prostu rzucił się w trawę. Dopiero teraz mag wycelował naprawdę i puścił cięciwę.**

**–No i dobrze ci tak, postrachu biednych dzieciaków – mruknął do siebie widząc, że strzała wyraźnie zgórowała i przemknęła nad celem z takim zapasem, że ledwie może zahaczyłaby o wysoką czapkę jeźdźca. – Niżej, bez takiego zapasu – poinstruował siebie.**

**Druga strzała poszła też za wysoko i bokiem, trzecia – z drugiej strony. Dopiero ósma strzała szarpnęła worem. Przeszła na wylot.**

**–No, sukces!... – mruknął rozeźlony mag. Kątem oka zobaczył, że zgięty w pól Faseh dobiega już do konia. Wystrzelił jeszcze trzy razy, żadna strzała nie trafiła w cel.**

**–Wracaj, gamoni! – krzyknął do chłopaka. – Pozbieraj strzały, jednaście.**

**Poderwał łuk, i polegając na doświadczeniu i ułożeniu ręki, wystrzelił niemal nie celując.**

**–Dwanaście! – wrzasnął, widząc, że i ta strzała przeleciała wyraźnie nad celem.**

**Faseh Zielony zawrócił i, sprawdzwszy, czy mag nie składa się przypadkiem do strzału, pobiegł do worka. Sodos Skrępowany odłożył łuk na worek i podszedł do wierzchowca. Obszedł go dokoła, przyglądając się teraz uważnie budowie zwierzęcia. Nie było do czego się przyczepić.**

**–Gdybyś sprawiał podobne kłopoty jak ten wspaniały łuk, to leżałbym na ziemi co cztery kroki – powiedział do wierzchowca.**

**Przejechał dłonią po skórze zwierzęcia, była chłodna i sucha; pól *wisty* to nie była jakaś duża odległość, ale połowę z tego rumak przekłusował tyłem, i w ogóle, dla mądrego wierzchowca nowy jeździec zawsze jest kłopotem. Tylko bardzo mądry koń przyjmuje z godnością nowego pana, co prawda bardzo głupi też. Kiedy Faseh Zielony wrócił ze strzałami i zdyszany włożył je do kołczanu, a potem wysunął z jego**

końca ukryty boleć i ten wbił w ziemię, mag psyknął na niego i zapytał:

–Nie wiesz, jak się zwie to piękne zwierzę?

–Wiem, panie – widząc zdziwioną minę Sodosa, dodał: – Tu przecież jest napisane! Gaerhei. – I od razu przetłumaczył: – Tancerz.

–Tancerz – mruknął mag. – Ciekawym, skąd wiesz...

Faseh wskazał palcem srebrne, małe tarcze na złączeniu ogłowa. Obrzeżem biegł szereg znaków, w których mag z trudem rozpoznał pisany *tawlish*.

–A... Dziwne znaki.

–To jest uproszczony *tawlish* - odpowiedział chłopak. – Dla służby, pospólstwa...

–A ty znasz pisany język? – Sodos Skrępowany miał już odejść do łuku, ale zatrzymał się i patrzył na chłopaka, marszcząc czoło. – Ten, czy *tawlish* wysoki też?

–Oba, panie! – Faseh Zielony nie krył dumy. – . Jak inaczej mógłbym się znaleźć na służbie *samerantural*

–No tak, słusznie – mruknął mag.

Poszedł do wbitego ku jego wygodzie kołczanu, zastanawiał się po drodze, dlaczego nie wpadł na myśl, że ktoś szpiegujący go na co dzień i stale, po prostu musi być dobrze przygotowany do skutecznego wykonywania swego zadania. Uwikłany w rozgrywki między Trazwalarem Wielkim, Marechebą Siecią, jeńcem, i jeszcze pewnie kimś nieznanym, zapomniał, że w najbliższym otoczeniu znajduje się jeszcze jeden mały, ale – jak się właśnie okazało – niebezpieczny gracz.

–Jakie jeszcze języki znasz? – rzucił przez ramię, słysząc szelest kroków chłopca za sobą.

–Wszystkie trzy stopnie *tawlish*, poza *ylei*, kapłańskim – powiedział chłopiec. – *Ariewe*, *jupnamski*, narzecza *lorg*, *choilk* i słabo *dware*...

–Aha... Nieźle.

„Chłopak przygotowywany jest od kołyski do wysokiego stanowiska na dworze, wysokiego, ale nie... No, chyba nie takiego jak Ob Rydel. Chociaż, co ja wiem o zwyczajach na tym dworze? Trazwalar wygląda na takiego władcę, co to może wynieść ponad wszystkich kogoś z ludu, tylko dlatego, że mu zaufa, dlatego że ten ktoś go przekona do swych umiejętności. Albo dla kaprysu – taki Kerel, na przykład!”

**–A Kerel Od Śmierci Włos, skąd pochodzi?**

**–Nie wiem, panie... – Chłopak zadarł brodę i wysoko uniósł ramiona, niemal wtulając w nie uszy. Przez moment wyglądał jak udająca sen czapla, co to tylko łypie spod oka, ezy jakaś ufna rybka nie skróci sobie drogi przez toń obok jej nóg. – Zawsze był... Znaczy – zawsze, od kiedy ja przybyłem na dwór...**

**–Brat cię sprowadził?**

**–Tak. Ale nie trafiłem do cechu mistrzów łuku. Wymiotowałem przy tych kotłach... – Skrzywił się. – Raz, kiedy nie mogłem odejść od kotła, zwróciłem do niego i widział to czeladnik. Kocioł został wylany, a mnie wysmagali... – przerwał na to bolesne wspomnienie.**

**–Nie przegnali się z Gaybony? – zdziwił się mag. – No-o... brat...**

**–No tak, brat to ważna rzecz i pomoc...**

**Złożył się do strzału, kolejny raz zadziwiony, jak łatwo naciąga się cięciwę i jak, prostując, straszliwie daleko posyła strzałę. „Całe szczęście, że wytwarzanie tej broni jest tak kłopotliwe i drogie, inaczej Trazwalar Wielki podbiłby cały znany sobie świat. Armia takich łuczników nie dopuściłaby do siebie żadnego przeciwnika!” – pomyślał.**

**Strzała przemknęła tuż obok wora, tak blisko, że słyhać było, jak pierzysko musnęło sztywną tkaninę wora. Faseh syknął.**

**Druga i trzecia strzała były jeszcze zmarnowane, kolejne cztery już nie. Mag zaczynał trafiać. Ale nie osiągnął specjalnie dobrych wyników – na pięć strzał, dwie trafiały w cel, był jednak z siebie zadowolony. Jeszcze bardziej z prezentów. Był w świetnym nastroju.**

**Póki nie wrócił do obozu, z którego wyjechała już karawana z namiotami i zapasami na wieczór, a reszta obozu powoli zaczynała się budzić; płonęły już tu i ówdzie ogniska, krzątały się tłumy ciurów, słyhać było, na skraju, rzecz jasną, odgłosy trzepania, czyszczenia, ostrzenia...**

**Przed namiotem Maga nie było nikogo, ale jakiś dźwięk przykuł uwagę maga. Szybko wskazał Fasehowi namiot, gdzie miał zanieść łuk i oba kołczany, a sam, wydłużając krok, skierował się do tej części obozu, gdzie na obrzeżu najważniejszego, centralnego kręgu znajdował się namiot z jeńcem. Przed wejściem stali dwaj dodatkowi gwardziści, na widok maga skrzyżowali włócznie. Zrobili to błyskawicznie, wyćwiczonymi ruchami. Podszedł bliżej, ale nie napierał na wartowników.**

**–Sodos Skrępowany! – zawołał w stronę namiotu. – Chcę wiedzieć, co się dzieje z jeńcem! – krzyknął głośnie.**

**Chwilę trwała cisza, potem płachta zakrywająca wejście odleciała szarpnięta niecierpliwą dłonią, spod niej wyrzwał wściekły Marenceba Sieć. Syknął do wartowników, a ci w okamgnieniu wykonali zwroty z odsunięciem włącznie i usunięciem się z drogi maga jednocześnie. Sodos szybko przeszedł między nimi i wszedł do namiotu.**

**Jeniec siedział przy stole z rękami przykutymi za pośrednictwem łańcuchów do pali poza namiotem. Marenceba Sieć przechadzał się przed stołem ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, mocno wbijając pięty w ziemię. Na lewej kości policzkowej jeńca wzbierała opuchlizna. Mag przystanął zaraz po wejściu i chwilę chłonał widok. Na zewnątrz zabrzęczały okowy, coś brzęknęło, zagrzechotało... Ktoś syknął: „Rozpalaj, durniu, szybciej!”.**

**–Nie mamy czasu na zabawy! – warknął nagle *halemmed*. - Przepytały więźnia dokładnie. Nie musisz przy tym być, ale możesz, jeśli wspomóżesz kata swoimi umiejętnościami to będzie nawet lepiej.**

**–Czy to nakazał król? – zapytał cicho mag.**

**–Król jest w niebezpieczeństwie, sam to stwierdził. A ja odpowiadam za jego życie i zdrowie, więc mogę podejmować decyzje sam.**

**–Jestem przeciwny temu – powiedział Sodos. – Zmaltretujesz, panie, jeńca, a potem ja nie dotrę do jego ducha, bo ten będzie wył i domagał się śmierci, albo przeklinał i wzywał Gryeibesa, boga zemsty. Albo po prostu zdechnie pod okładami z rozżarzonego metalu!**

**–Ale jak się za niego nie weźmiemy... – Marenceba Sieć nadal maszerował w te i z powrotem po namiocie. Nie dokończył myśli, ale nietrudno było się jej końca domyślić.**

**–Niczego się nie dowiedziałeś.**

**Sodos zrobił trzy długie kroki, przystanął przed stołem. Nagle pochylił się i chwycił twarz jeńca w dłonie. Kciuki wparł w skórę na czole nad oczodołami i naciągnął mocno, tak że więzień nie mógł zamknąć oczu. Środkowe palce wpiły się w uszy Cadrona. Nie mógł ani poruszyć się, ani nie patrzeć. Wpił w maga pełne złości i nienawiści spojrzenie. Sodos natomiast zawisł nad stołem i poruszył lekko na boki. Spod poły kaftany wysunął się medalion na misternej, metalowej plecionce; wysunął, zawisł przed oczami jeńca i poruszył, gdy mag przestąpił z nogi na nogę.**

**Marenceba Sieć znieruchomiał i wpatrywał się w maga, a ten dmuchnął w szeroko**

otwarte oczy Cadrona, wzrok więźnia zamglił się, zeszklił i stracił swoją energię. Mag puścił głowę Cadrona i odsunął się od stołu.

–Nie sądzisz, panie, że gdyby Trazwalar Wielki chciał sięgnąć tortur, to by już dawno to uczynił? Ile ten, jak mu, Cadron, tu siedzi? Pół roku?

Odpowiedziało mu nieartykułowane warknięcie Marenceby Sieci. Biedny *halemmed* był w rozterce: z jednej strony bezczynność nie pasowała do jego charakteru wojownika, z drugiej strony – tortury chyba już wykraczały poza władzę nadaną przez monarchę, a przynajmniej tak mogło to być przez niego i innych odczytane, na dodatek – mag miał swoje, chyba ważne argumenty. Rzucił pełne rozterki spojrzenie magowi, potem odwrócił się do więźnia. Ten siedział z otwartymi szeroko oczami, wpatrzony w jakiś inny świat, posąg przykuty nip wiadomo po co, bo nawet oddech nie poruszał piersią.

–On nas nie usłyszy, ale odpowie na każde twoje pytanie. Mag wyciągnął rękę i Marenceba Sieć zobaczył, że podaje mu długą, cienką szpilę. Wahał się chwilę, ale potem wziął ją w palce, zaszedł jeńca od tyłu, odczekał chwilę i nagle wbił mu igłę w mięsień ramienia. Cadron ani drgnął, w jego oczach nie błysnęła nawet iskierka uczucia. Marenceba Sieć, nie wyciągając szpili, obiegnął więźnia, przeskakując nad kajdanami, i popatrzył mu w oczy.

Wyprostował się, cofnął i dopiero teraz odwrócił do maga.

–Męczy mnie bezczynność – usłyszał własny głos. „Czy ja też jestem opętany? – pomyślał. – Muszę się bronić!” – Coś się dzieje niedobrego, a ja nie mogę nic uczynić. To jak niedobry sen, widzę, że ktoś strzela do mnie z łuku, widzę lecącą ku mnie strzałę, ale mam nogi przyklejone do podłogi i nie mogę nawet krzyknąć...

–*Halemmedzie*, to niezupełnie tak jest... Co do tego złudzieńca, xameleona, to ręczę, że jego tu w tej chwili nie ma! Tu i teraz on nie może zaszkodzić władcy!

Uwagi Marenceby Sieci nie uszło akcentowanie słów „jego”, „on”... Potrząsnął głową. Zerknął na skamieniałego jeńca, odsunął się o dwa kroki.

–Gwarantujesz to, magu?

–Oczywiście.

–Mhm... – Marenceba Sieć podrapał się za uchem. Ta pewność siebie maga przyniosła mu widoczną ulgę. Podrapał się za uchem. – Ale, tak w ogóle, nie zaprzeczasz istnienia xameleona?

–Oczywiście, że nie.

**–I tego, że zabił czworo naszych ludzi? W ten czy inny sposób, to znaczy – spowodował, że sami się zabili? Jestem bardzo zaniepokojony. I ja, i Ob Rydel...**

**Sodos chwilę milczał, patrząc przed siebie, wsłuchany w coś, czego Marecheba Sieć nie słyszał, wpatrzony w niewidzialne. Potem potrząsnął głową.**

**–Temu też nie zaprzeczam. – Skrzyżował ręce na piersiach. – W każdego z nich włożył po dwa zaklęcia: jedno**

**–„Idź i zabij króla!” i drugie: „Jak cię oskarżą – zabij się, a będziesz nagrodzony!”**

**–Czy... ty... też...**

**–Co?**

**–Potrafisz tak nagiąć człowieka?**

**–Są sekrety, którymi niechętnie się dzielę, i takie, którymi nie dzielę się w ogóle, *halemmedzie*.**

**–A odpowiedź na moje pytanie należy do których?**

**–Żadna to różnica, bo i tak nie odpowiem. – A!**

**Dowódca straży skubnął wąs, westchnął.**

**–Dobrze. Odstępuję od tortur. Ale mówiłeś, że mogę go teraz przesłuchać?**

**–Tak powiedziałem, i to jest prawda, Możesz. Zadawaj pytania.**

**Sodos Skrępowany odsunął się pod ścianę, stanął tam z rękami za plecami, zakołysał się, przenosząc ciężar ciała z czubków palców na pięty i z powrotem.**

**Marecheba Sieć podszedł do więźnia.**

**–Gdzie jest twój pan? Gdzie jest xameleon? – zapytał Cadrona.**

**–Nie-e-e wie-e-em... – Głos jeńca był słaby, ale nie trzeba było pochylać się, by go usłyszeć. – Nie wiem co się z nim dzieje od pół roku...**

**–A jeśli jest w pobliżu, to w jakiej postaci?**

**–Może być... w każdej...**

**–W każdej, ale ile? Przez ile czasu może być w cudzym ciele?!**

**–To nie jest cudze ciało, to jest jego własne przemienione – wtrącił się mag.**

***Halemmed* machnął ręką ze zniecierpliwieniem.**

**–Nie wiem... Nigdy nie był dłużej... niż kilka dni...**

**–Łzesz! – Sodos Skrępowany szybko podszedł do stołu i plasnął pięścią w stół. – A kiedy udawał króla Ttafeonda?**

**Jeniec pokręcił głową, właściwie – majtnęła mu się trochę bezwładnie na boki i do przodu, i tyłu.**

**–Nie cały czas...**

**Maretheba spode łba zerknął na maga.**

**–A kiedy udawał ciebie? Ile to trwało? Ty się ryćkałeś z hożą młynarką, a on w tym czasie w karczmie wino pił... Ile to trwało? A może na zmianę się ryćkaliście? Raz ty, raz on w twoim ciele? Co? Może...**

**Cadron nagle wydał z siebie niski, chrapliwy ryk, jego tępe spojrzenie nagle nabrało ostrości, wzrok przeskoczył z miejsca w pustej przestrzeni na jednego mężczyznę, na drugiego. Jakby szukając celu... Niespodziewanie jego miękkie, bezwładne do tej pory ciało, zesztyniało. Na szyi pojawiły się liny ściągania i żył. Mężczyzna poderwał się, rzucił do przodu. Ręce, kajdanami połączone z łańcuchami, wyprężyły się do tyłu. Maretheba Sieć odskoczył i błyskawicznie wyszarpnął z pochwy krzywy miecz, dłuższy niż zazwyczaj *srehen*, Sodos stał spokojnie, nie poruszywszy się ani o włos.**

**Więzień ciągnął, w jego gardle rodził się i krzepł niski, podobny do psiego warkot. Zgrzytnęły zęby, i to tak głośno i przeciągle, że zaprawiony w walkach, odporny na krew i wrzaski konających wojownik zdrygnął się. A mag – nie. Jeniec naparł jeszcze mocniej, wydawało się, że za chwilę wyrwie sobie ręce ze stawów.**

**I wtedy puścił jeden z wbitych w ziemię kołków, do których umocowane były pęta Cadrona. Więzień nagle zakręcił się i runął na Sodosę, ale mag był przygotowany. Jego prawa pięść wystrzeliła do przodu i uderzyła mężczyznę w brodę, druga zaraz potem trafiła go w skroń. Chyba już nawet niepotrzebnie. Zwalił się po pierwszym ciosie na ziemię. Mag nawet zdołał podtrzymać go i złagodzić skutki upadku. Potem odwrócił się do nieruchomo stojącego Maretheby Sieci.**

**–Moglibyście mu odciąć wszystkie członki i tak by nic nie powiedział. On po prostu nic nie wie. – Zrobił krok i stanął tuż przed *halemmedem*: - Jest bardzo cenny, ale tylko jako przynęta na złudzieńca. Kocha go całym sercem, a jeśli tamten oddaje to uczucie, to przybędzie. A wtedy go usłyszę. Ale ten tu nic o planach przyjaciela nie wie. Nie wyczuwam w nim, ani dokoła niego śladu magii, najmniejszego. Tamten się**



nie dzielił swą mocą. Nie wiem dlaczego, ale tak jest.

Podkreślił ostatnie słowa stuknięciem palca w pierś Marenceby, to znaczy – chciał w nią stuknąć. Błyskawiczny ruch ręki i palce maga znalazły się w uścisku mocnych jak cęgi palców wojownika.

–Nie lubię, jak ktoś mnie trąca palcem!

–Wybacz, panie – powiedział mag.

Cofnął się i wyszarpnął palec z garści *halemmeda*. Zdawał sobie sprawę, to widać było na jego obliczu, że popełnił błąd, i że te ostatnie kilka chwil w namiocie nieprzytomnego więźnia dało przewagę Marencebie. Mag skłonił głowę, i przyłożywszy dłoń do piersi, pożegnał się; wyszedł pierwszy, omijając ciągle stojącego ze *srehenem* w ręku wojownika. Gniewnie tupiąc, pomaszerował do swego namiotu. Po drodze skręcił w uliczkę, gdzie stały cztery namioty dziewczyn podróżujących tylko dla przyjemności wysokiej rangi wędrowców. Zgarnął pierwszą, jaka pokazała się, gdy uderzył w mały gong wiszący przed namiotem. Dziewczyna ukłoniła się i szybko pomaszerowała za nim.

Chwilę potem zniknęli w namiocie maga. Faseh Zielony odczekał, aż przestanie szeleścić zrzucone odzienie, podszedł na palcach do namiotu i, starając się nie poruszać tkaniną, zasznurował starannie wejście. Potem położył się na trawie o kilkanaście kroków od namiotu i oddał łuskaniu nasion buczyny. Co jakiś czas sięgał do krocza i poprawiał sterczący w gaciach członek, tak, by przyjemność maga nie owocowała bólem dla niego. Po kilku chwilach jednak pobiegł za namiot, i uznawszy, że nikt go nie widzi, użył ręki do wytryśnięcia rozkoszą. Zaklął w duchu, widząc, że dwie czy trzy krople nasienia spadły na ścianę namiotu.

„Jak Sodos wyjdzie muszę wyczyścić – pomyślał. – Zobaczy, domyśli się i wysmaga mnie. Albo i jaja urwie”.

Wstrząsnął nim dreszcz. Odechciało mu się buczyny, ale i tak leżał przed namiotem i łuskał nasiona. Żeby mag sobie czegoś nie pomyślał, żeby nie zaczął podejrzewać...

## Rozdział 13

Wczesnym popołudniem tabor dotarł do płytkiej, szerokiej rzeki. Przeprawa przez nią zamieniła się w wielką zabawę z wodą, której poddał się nawet sam Trazwalar Wielki i jego przybocznicy.

Woda w rzece była krystalicznie czysta, przeświecona promieniami popołudniowego słońca, dno piaszczyste, jasne. Kiedy olbrzymi wóz z monarchą dojechał do brodu, ktoś z wnętrza wozu zobaczył, jak na przeciwległy brzeg pośpiesznie gramolą się dziesiątki osób obu płci, ociekający wodą, uśmiechnięci, potrząsający głowami.

Popiskiwały jakieś dzieciaki, podszczypywane przez dorosłych, ponaglone, by szybciej wyskakiwały z wody. Wóz zatrzymał się na środku nurtu, rozchyliły się łuski ścian po prawej stronie, gdzie woda już splukała wzniecony nogami *mulfów* i koni drobny piasek i znowu stała się klarowna.

Z wozu wyskoczyła nagle szczupakiem jakaś postać, ciało zanurzyło się w wodzie, przepłynęło pod lustrem, świetnie widoczne z powodu purpurowej koszuli, kilkanaście stóp, potem mężczyzna wynurzył się i wydał z siebie przeciągły, ostry gwizd. Brat króla, Brulwerd Jasna Noc, machał ręką; chwilę potem z wozu wyleciał, najwyraźniej przy pomocy obcych, mocnych rąk Kerel Od Śmierci Włos, a zaraz po nim wyskoczył zwinięty w kłębek sam Trazwalar Wielki. Potem skoczyło jeszcze kilka osób, a jeszcze po chwili pośpiesznie przebijająca się przez wodę, młócając zawzięcie rękami powietrze, pojawiła się czeladź ze schodkami. Zeszły po nich Hanibeli Perła, Seina Toń i kilka innych kobiet. Miały na sobie białe, bufiaste spodnie i luźne bluzy, zachowywały się dostojniej) niż ich ważni mężowie, ale widać było nawet z brzegu, na którym zamarły wężę powozów, wozów i ludzi, że kąpiel sprawia im ogromną przyjemność, spotęgowaną jeszcze przez odmianę w monotonii wcześniejszych ośmiu dni podróży.

Karzeł pływał w kółko, powizgując wesoło i wzbijając w powietrze cztery fontanny wody małymi dłońmi i drobnymi stopami, Brulwerd ochlapywał wodą brata, a ten, władca potężnego państwa, rozciągającego się od Morza Kryształowego Dna do Pustyni Jęczących Jaszczurów, pan życia i śmierci tysięcy i setek tysięcy ludzi; odpowiadał mu tym samym. Z brzegu przyglądały im się tłumy, ale to nie psuło humoru nikomu z kąpiących. Mężczyźni schwyтали karła i w pięciu czy sześciu wyrzucali go w powietrze, starając się cisnąć nim jak najdalej, by wpadł do wody możliwie blisko popiskujących kobiet. Kerel Od Śmierci Włos wpadał w toń, wypływał, rozpaczliwie wymachując kończynami, wypluwał wodę, krztusząc się i charcząc, po czym nurt znosił go w zagon czekających nań mężczyzn, którzy chwyтали go, wrzeszczeli radośnie: „hoi-hoi-hos!” i wyrzucali majtającąw powietrzu rękami ofiarę, by ta ochlapała kąpiące się kobiety. I one dołączały się do zabawy, ochlapując nieszczęśnika, gdy wynurzała się nad powierzchnię wody jego głowa. Powtarzało się to tak długo, aż wyrzucony kolejny raz Kerel już nie machał w powietrzu kończynami, plusnął w wodę bezładnie, a gdy po długiej chwili częściowo wynurzył się z toni, to spływał w kierunku monarchy już jak bezładnie unoszony przez nurt gałgan, topielec, zewłok. Przyciągnął go do siebie któryś z mężczyzn, odwrócił na plecy i leżącego na wodzie energicznie spoliczkował, aż bryznęło kroplami na boki. Kerel Od Śmierci Włos szarpnął się, rozkaszał potężnie, aż słyhać go było na obu brzegach. Mężczyzna chwycił go garścią za ubranie na piersi, wyciągnął z wody na powietrze, potrząsnął, a potem niedbale cisnął w kierunku wozu.

Karzeł rozpaczliwie zamachał rękami, krztusząc się, kasłając i spluwając, dopłynął do wozu, chwycił się koła, długą chwilę leżał na wodzie, chwyając oddech, potem

wygramolił się z wody na krawędź wozu i stamtąd pokazał mężczyznom obraźliwy gest, co wywołało gremialny śmiech. Tylko Hanibeli wrzasnęła coś do karła, coś, co miało oznaczać, że nie życzy sobie takich gestów w swojej obecności.

Mag, który od dłuższej chwili przyglądał się zabawie monarszego orszaku, nie miał wątpliwości, że karzeł zbyt dobrze na początku zabawy pływał, by potem tak raptownie iść na dno. Widocznie uznał, że samo rzucanie jego ciałem musiało się już monarsze znudzić, dlatego udawał, że tonie; zbyt dobrze znał bawiących się jego kosztem, by nie wiedzieć, że uznają to za godne zakończenie miłej zabawy. Oddanie monarsze? Strach? Chciwość? Mag długą chwilę zastanawiał się, co powodowało Kerelem, co sprawiało, że tak chętnie, tak gorliwie służył monarsze. Pewnie – to wielki król, największy monarcha największego państwa, jakie mag widział, ale inni w otoczeniu władcy, choć służyli sercem, rozumem i ręką, aż tak mu nie nadskakiwali. Czyżby karzeł bał się utracić sympatię króla, czy może czuł, że ta już się wyczerpała? Czy jeszcze coś innego?

Kąpiel trwała jeszcze całe pół *semii*, potem najpierw kobiety weszły do wozu, a służba opuściła łuski ścian, potem trzech mężczyzn wdrapali się na dach pojazdu i rozebrawszy do naga, ani odrobinę nie skrępowani nagością, okrzykami polecili ruszać. Konie, schłodzone i napojone, a nawet wypróżnione, ochoczo pociągnęły. Karawana ruszyła w dalszą drogę. Zaraz po przekroczeniu rzeki przez wóz monarchy zaczął padać drobny deszcz, ale zanim Trazwalar Wielki i jego najbliżsi zeszli z dachu, ustał. Służba w marszu podała im na dach suche odzienie, przebrali się i zapalili długie fajki – właściwie jedną fajkę, tak zwany *slegesthoi*, do głowicy którego prowadziło tuzin ustników, i król mógł zaszczycić wspólnym paleniem ziała fajkowego z domieszką *undry* kogo tylko chciał. Po deszczu zrobiło się ciepło i świeżo. Trazwalar klasnął w dłonie i wydał polecenie jednemu ze służących. Ten zeskoczył na drogę, wskoczył w siodło podprowadzonego pośpiesznie luzaka i pocwałował do tyłu taboru. Jakiś czas potem pojawił się z galopującym za sobą magiem. Sodos Skrępowany zeskoczył z konia przy wozie, i widząc sznurową drabinkę, podobną do tych służących do zdobywania murów twierdz, zaczął się po niej wspinać. Służący przytrzymał koniec, po krótkiej chwili mag był na dachu kołyszącego się lekko pojazdu. Widok stąd był wspaniały, ale Sodos nie rozglądał się. Przyklęknął na jedno kolano i nisko pochylił głowę.

–Siadaj, magu – łaskawie wskazał poduchę naprzeciwko siebie Trazwalar Wielki. – Co i rusz słyszę o twych wyczynach?... Nie pozwalasz się nam nudzić...

–Dokładam starań, ale, panie, nie do rozbawiania mnie wszak wezwalesz. Wiem o tym dobrze, pamiętam i boleję, że ciągle widmo tego Hondelyka krąży dokoła nas...

–A krąży? – szybko zapytał Brulwerd Jasna Noc. – Jak na razie to ty zabiłeś czworo naszych ludzi!

–Nie tknąłem ich palcem i nie wydawałem rozkazu. To nie moich rąk i nie mojej magii dzieło. – Spokojnie odparował mag, po czym zamilkł na chwilę, odwrócił się do monarchy: – Nie wyczuwam go tu, w karawanie – powiedział poważnym tonem. – Nie ma go też w najbliższej okolicy, zresztą podjazdy by go wytropiły wcześniej czy później.

–Skąd wiesz o podjazdach? – zapytał nieznany magowi mężczyzna. Ktoś kiedyś straszliwie ciął go w lewe ucho, pozbawiając całkowicie małżowiny i mięśni na zuchwie z lewej strony. Niemal bezpośrednio pod blizną znajdowała się kość, każdy ruch zuchwy powodował falowanie szramy. Na lewej dłoni brakowało trzech palców, od najmniejszego do trzeciego. – Nie wtrącasz się aby, magu, w sprawy, które nie powinny cię obchodzić?

–Trudno, panie, nie zauważyć tropicieli, jeśli się samemu opuszcza co i rusz karawanę, a ja opuszczam, bo sprawdzam okolicę. No i widzę *fluhany* nad swoimi głowami, a wiem, jak je układcie – do wskazywania zdobyczy... – wzruszył ramionami. – Skoro więc za każdym razem, kiedy stracę z oczu wozy, widzę nad sobą *fluhana*...

–Od jutra będziesz miał się gdzie ukryć – rzucił karzeł słabym głosem. Najwidoczniej jeszcze nie odzyskał oddechu po kąpieli. Ale nie zamierzał marnować okazji do przycięcia magowi.

–A dlaczego niby miałbym się kryć?

Sodos zerknął na Trazwalara, który wskazał mu fajkę, pochylił się więc ku swojemu ustnikowi i pociągnął mocno. Chwilę trzymał aromatyczny dym w płucach, potem wytchnął go długą strugą. Gorzki, aromatyczny dym przeleciał między dwoma stojącymi na rogach strażnikami i uleciał nad drogę za wozem.

–Słyszałeś o Sachlemie Sadzy? – zapytał król. – Inne jego miano to Sachlem Latawiec, bo kochał ich puszczanie. Miał też jeszcze jedno imię...

–Nie, panie – odpowiedział zdziwiony mag. – Nie słyszałem o nim.

Monarcha zaciągnął się i skinął na brata: – Opowiedz mu, ty się zaczytywałeś kiedyś historiami z jego życia. – Nie krył, że tłumy śmiech, Brulwerd uśmiechnął się także.

–Przede wszystkim dlatego, że prowadził dziennik swoich wyczynów w haremie – pisał Kerel Od Śmierci Włos.

–Masz rację, ale czegoś tam jeszcze się dowiedziałem.

–No to opowiedz – rzucił Trazwalar Wielki, układając się na poduszkach.

**Chwycił ustnik w zęby i czekał. Brulwerd zaciągnął się, wypuścił dym.**

**–To był dziwak i chyba szaleniec. Żył osiemdziesiąt kilka lat temu. Teraz wiemy, że na dworze nazywano go po cichu Fenfei Psim Gównem, bo – jak mówiono – tyle są warte jego pomysły. – Odwrócił się do maga. – Wiesz, że Ptyon raz do roku zmienia kierunek i płynie z powrotem?**

**Mag skinął głową: – Tylko nie bardzo wiem, dlaczego.**

**Kłamał. Wiedział, dlaczego. Ale chciał, by Brulwerd odzywał się do niego bezpośrednio. Jego opuszczanie zwyczajowego „panie” mogło być oznaką lekceważenia albo tylko przeoczeniem, i Sodos Skrępowany chciał wiedzieć, jak ma to rozumieć.**

**–Po prostu – naniesione przez Ptyon muł i piasek osiadają w jego delcie, bo tam nurt zwalnia i rozlewa się, a wtedy przeniesiona glina tworzy tamy, i okazuje się, że wcześniej w biegu rzeki leży dolina Xiwe-Xeiwe. A leży niżej od rozlewiska przy ujściu. Zatem – bo wiesz, że woda zawsze chce być na jednym poziomie? – Mag skinął wolno głową. Brulwerd nie powiedział: „...wiesz, *panie*, że woda...”. – Dlatego więc woda spod ujścia zaczyna się cofać, zalewa całą tę dolinę, nanosi żyzny muł i nawadnia ziemię przed zimą. Do następnego roku, do wylewu Ptyonu, jest to najżyźniejsza połać kraju. No i nasz Sachlem Sadza wymyślił, że można tak odmienić kilka innych rzek, bo wtedy kraj byłby bogaty w płody. Wysłał tysiące, dziesiątki tysięcy ludzi na przekopanie jednej rzeki. To znaczy – równolegle kazał kopać nowe jej koryto, że niby potem skieruje się wody z powrotem. I tak będzie co roku – wiosną i latem rzeka Eiweo popłynie ze wschodu na południowy wschód, na jesieni – odwrotnie. Wtedy... – Brulwerd uniósł rękę, i potrząsając wskazującym palcem, zaczął przemawiać jak władca do słuchających go podwładnych -...przepowiadał Fenfei Psie Gówno, będą dwie doliny żyzne: jedna u ujścia, druga przy drugim ujściu. Che-che!... – zaciągnął się mocno dymem i chwilę chłonał go płucami.**

**–Ale dokończ: co z tego wyszło? – zażądał Trazwalar. Jego oczy błyszczały jak przesmarowane cienką warstwą łez.**

**–No-o-o... Nic. To znaczy – kiedy przekopano kanał łączący dwa koryta, to rzeka rozlała się, i owszem, ale wody jej było za mało. I wyschła. Nie od razu, ale z roku na rok było wody coraz mniej...**

**–Parowała szybciej w płytszym korycie – oświadczył mag.**

**–Zgadza się – Po chwili, jakby niechętnie zgadzając się z magiem, skinął głową Brulwerd Jasna Noc. – Zrobiła się tam pustynia. Do dziś jest i chyba już zawsze będzie. Zamiast rzeki Eiweo mamy pustynię Eiweo. Ale Sachlem Łatawiec się nie zrażał. Wpadł na inny pomysł – kazał przekopywać tunele pod Górami Świetlistymi.**

Miały skrócić drogę, bo istniał tylko letni trakt, a w innej porze roku trzeba było okrążyć je dookoła. Nawet przekuł się przez jedną górę...

–No to chyba dobrze? – zapytał Sodos.

–Tak, ale zasypało ten tunel następnego roku, pogrzebało dwie karawany...

Zapadła cisza. Siódemka mężczyzn, dymiąc potężnie, oddawała się przez chwilę nałogowi. Potem królewski brat oderwał się od ustnika. Wskazał drogę przed wozem:  
–

Ale jutro będziemy korzystali z jedyne go mądrego pomysłu Sachlema Sadzy, z Drogi Szmaragdowego Słońca.

–A co to jest, panie? – zapytał mag, widząc, że wszyscy czekają na to pytanie.

Pozwolił sobie też na leciutkie zaakcentowanie słowa „panie”.

–Wymyślił on sobie, że skoro droga prowadzi na południe, to nie obsadzi jej drzewami po bokach, bo to sprzyja zasadzkom, tylko posadzi szpaler drzew pośrodku.

–Nie rozumiem – zmarszczył brwi Sodos.

–Kiedy drzewa wyrosną, rozumował Fenfei Psie Gówno, dadzą cień. Przed południem od strony zachodniej, po południu – od wschodniej, prawda? Tylko w samo południe będzie gorąco. A zasadzek nie będzie, bo oddziały ochrony mogą jechać po obu stronach szpaleru.

–To mu się udało – wtrącił się Trazwalar Wielki. – Przemierzałem tę drogę do pałacu Tunne-Wynn... Nie wiem – dziesiątki razy? I zawsze podziwiałem ten prosty i skuteczny pomysł. Będę musiał... – zastanawiał się chwilę. – Może i inne drogi tak obsadzić? Jak myślicie? – powiódł spojrzeniem po obecnych.

Mężczyzna ze straszliwą szramą na twarzy skrzywił się, przez co blizna nagle wypiętrzyła się i wyglądał przez chwilę, jakby ukrył za policzkiem orzech. Pozostali też mieli na twarzach zwątpienie. Zresztą odurzające ziele *undry* dodane w tytoniu nie sprzyjało jasnemu myśleniu. Brulwerd Jasna Noc odezwał się pierwszy:

–To wymaga poszerzenia drogi – powiedział. – Albo dokładnego sprawdzenia, po której stronie mają być drzewa. Przecież nie wszystkie prowadzą na południe. I wiją się.

–No tak. – Trazwalar Wielki jakby stracił zainteresowanie pomysłem. Zaciągnął się mocno i długo trzymał dym w płucach. *Undra* spowodowała, że oczy zaczęły mu

błyszczące jeszcze mocniej, na skroniach pojawiły się kropelki potu. Monarcha po prostu potrząsnął głową, strząsając je. Kiedy odezwał się po chwili, pierwsze słowa zabrzmiały bełkotliwie, narkotyk w dymie spowodował usztywnienie języka i zdrętwienie warg. Ale Trazwalar usłyszał siebie, w miarę jak mówił, mówi coraz wyraźniej: – No t-to po prostu... niech zoss-tanie jak jest... Nie będziemy się przejmowa-li Psim Gównem...

–Jeszcze jedna rzecz mu wyszła – zaskrzeczał karzeł, któremu najwyraźniej po zakrztuszeniu się wodą głos odmawiał posłuszeństwa, ale inaczej niż odurzonemu z lekka narkotykiem władcy. Kerel Od Śmierci Włos, podobnie jak mag, zaciągał się rzadko, a jeśli już, to płytko. – To podziemne miasto... państwo właściwie.

–A tak! – zgodził się Trazwalar Wielki. – Tak, to mi się zawsze podobało. Zwłaszcza kiedy byłem dzieckiem. Bo to zabawa dla dzieci, albo dużych, starych dzieci.

–Podziemne państwo? – zainteresował się mag.

Król skinął głową, nie patrząc na Sodosa, jakby pogrążył się w myślach. Podwładni cierpliwie czekali, nikt nie odważył się odezwać, ani nawet zbyt gwałtownie poruszyć. Tylko weteran ze szramą, jakby pokazując, że ryzyko jest jego żywiołem, pochylił się do swego ustnika, ale i on poruszał się wolno, płynnie, nie hałasując, jakby wiedział, że można do pewnego momentu bawić się z ogniem, ale jeśli się włoży rękę zbyt głęboko w palenisko, to można się nieźle poparzyć. Mag siedział nieruchomo, nie demonstrując odwagi. Jak i pozostali.

–No... – mruknął po chwili Trazwalar, język monarchy nadał był skołowaciały z powodu *undry*. - W podziemnej grocie urządził... tam jest jakby wielka mapa mojego królestwa... moja Lanyatta, Chineo Niebiańskiego Wiru. To znaczy – wtedy jego królestwa... Ta grotka jest olbrzymia, w jej sklepieniu były szczeliny, Sachlem kazał je założyć kryształowymi oknami, więc jest światło, słońce wędruje po podziemnej krainie... Przez cały dzień nie obejrzysz dokładnie całego tego cuda. Są tam góry i płaskowyże, i rzeki, jeziora... Lasy. Pustynie. W rzekach mam tam płynne srebro, to samo w jeziorach. Tylko za tę srebrzycę można kupić kilka okolicznych państweczek... Wszystko tam mam... Wszystko jest wiernie odwzorowane! – Uniósł głowę i popatrzył zmętniałymi oczyma na maga. – Wszystko. I twierdze, i przełęcze, i miasta, i strażnice... – Zachichotał krótko. – Dlatego nikt z obcych tego nie widział i nie zobaczy. Zbyt wielką wiedzę... by posiadał. Nawet ty, magu. Nawet kiedy... nawet jeśli schwytasz xameleona – poprawił się. – Bo tam są...

–Panie?... – odważył się odezwać weteran z blizną.

–Co?... – Trazwalar poderwał głowę i zamrugnął powiekami. – Ach, Bezzo Skrzydlaty, masz rację. Nawet mnie nie wolno powiedzieć, co tam jeszcze jest...

Roześmiał się i nagle cisnął na dach wozu swój ustnik, odchylił się do tyłu i odetchnął kilka razy głęboko. Kiedy wyprostował się, mag ze zdziwieniem zobaczył, że oczy monarchy już tylko błyszczą, siłą woli Trazwalar Wielki przegnał oszołomienie i chwiejność umysłu. „Niewiarogodnie silna wola – pomyślał Sodos. – Niesamowite – tylko siłą woli oderwać się od narkotyku? Kto by tak nie chciał! O, to jest władca nad władcami!”

–Czy xameleon może zmienić się częściowo? – zapytał nagle niemal całkowicie trzeźwym głosem Trazwalar Wielki.

–Częściowo?... To znaczy jak? – zająknął się całkowicie zaskoczony niespodziewaną zmianą tematu mag.

–No, na przykład czy może sobie dorobić skrzydła, jak u nietoperza? Albo czy może zmienić tylko oblicze, zachowując resztę ciała? Jeśli jest łysy, czy może sobie dodać włosy?

–Albo powiększyć fiuta? – pisnął Kerel Od Śmierci Włos.

Nikt się nie roześmiał. Sodos Skrępowany zmarszczył czoło, wykręcił splecione dłonie, aż trzasnęły dwa stawy.

–Nie. Nie może – powiedział z pewnością w głosie.

–To nie jest magia twórcza, tylko odtwórcza. – Popatrzył prosto w oczy monarsze. – Coś jak forma na gliniane naczynia, można tworzyć takie same albo podobne, ale nie można z tej samej formy wypuszczać różnych przedmiotów. On potrafi odwzorować na swoim ciele inne ciało, ale nie może połączyć i stworzyć siebie z kopytami, żeby szybciej wędrować, czy skrzydłami, by przelecieć nad górami. Nie może dodać sobie drugiej pary rąk, by strzelać z dwóch łuków, czy...

–Wystarczy, rozumiem – skrzywił się Trazwalar. – Kerel Od Śmierci Włos mówi co innego. Przysięga, że to, co mówi to prawda. Tak? – popatrzył na karła.

Ten skinął energicznie głową.

–Panie, prawd najczęściej jest tyle, ile ust, co je głoszą... Mówiący może być nawet przekonany, że mówi prawdę, ale w tym przypadku to nie tak. Xameleon to magiczny odprysk, taka uboczność magii... Jak przy szlifowaniu kamieni szlachetnych powstają odpryski, które dobry złotnik wykorzysta w innym pierścieniu.

–Coś jak tłuszcz powstający przy smażeniu prosiaka? – zakpił karzeł, nie kryjący, że jest zły. Niewielka porcja narkotyku spowodowała, że Kerel stał się zły i napastliwy.

–Jeśli moje porównanie jest dla ciebie zbyt złożone, to możemy zatrzymać się na



twoim – odpalił bez namysłu mag.

Trazwalar Wielki zarechotał. Karzeł poderwał się i zatupał nogami, częściowo tylko dla spotęgowania wesołości swego pana.

–Uspokój się, pokurczu – rzucił monarcha. – I tak ci nie wierzyłem. Bardziej wiarygodne wydaje mi się to, co powiedział Sodos – że magia to podkradanie mocy bogom, i należy to robić ostrożnie i małymi porcjami, bo jak się zorientują...

–Tak powiedziałem, panie? Jeśli tak, to jestem z siebie dumny. – mag pochylił głowę w ukłonie.

–Chyba ty. Bo kto by inny?

Zapadła cisza, nikt się nie przyznawał. Trazwalar uśmiechnął się, palcem wskazał liliputowi poduszkę, a ten posłusznie podskoczył i wylądował na niej tyłkiem. Uśmiechnął się krzywo, ale na ten uśmiech nie odpowiedział nikt z obecnych.

–Dobra. Zostawcie mnie z magiem – powiedział Trazwalar.

Pierwszy poderwał się na równe nogi Bezzo Skrzydlaty. Dwoma krokami dopadł krawędzi z umocowanym na wysokości kolan sznurem, chwycił go prawą ręką i skoczył w dół. Brulwerd i karzeł ruszyli do drabinki, obaj zjednoczeni niechęcią.

–No? – mruknął władca.

Karzeł przyspieszył, brat monarchy odwrócił się, jakby chciał coś powiedzieć, ale powstrzymało go wyraziste spojrzenie króla. Po chwili i jego głowa zniknęła za krawędzią dachu. Wóz zakołysał się na jakimś wyboju, z dołu, spoza granicy widoczności rozległ się wrzask Kerela, pewnie cisnęło nim o burtę albo spadł. Trazwalar nie zainteresował się losem swego błazna. Chwycił ustnik fajki i zaciągnął się tak łapczywie, że w ustniku zabulgotało, monarcha chciwie zaciągnął się drugi raz, i od razu trzeci, tak że przez chwilę oddychał niemal tylko aromatycznym, odurzającym dymem ziela. Odrzucił głowę i zachichotał, ale zaraz spoważniał.

–Posłuchaj, Sodosie – powiedział cicho i wyraźnie, ale ton jego głosu był taki, że magowi zjeżyły się włoski na karku. – Ile czasu może trwać to polowanie na xameleona?

Mag stłumił westchnienie.

–Panie, gdybyśmy go schwytali albo zabili – to byłby koniec. Wiedzielibyśmy, że już po wszystkim. A tak – kiedy go nie ma, to nie wiemy, czy nie ma go, bo i nie zamierzał tu przybyć, czy tylko trzyma się z daleka, czekając na okazję, usypiając naszą czujność... – Sodos Skrępowany rozłożył ręce. – Nie wiem, co można na to

poradzić...

–Nie wiesz... – mruknął Trazwalar, patrząc gdzieś w bok. – Ty się oszczędzasz, szanujesz swoją magię, tłumaczysz mi, jak to niebezpiecznie wdawać się w targi z bogami... A ja mam czekać? Cierpliwie? – Rzucił magowi spojrzenie, które mówiło wyraźniej od słów, że jest o włos od wybuchu.

–Nie przywykłem do tego, że obojętne: moi poddani, słudzy czy opłacani ludzie, oszczędzają siebie moim kosztem. – Wolno odwrócił się i popatrzył magowi w oczy, a ten poczuł, jakby gorący, suchy, parzący wiatr chlasnął go po twarzy.

–Nie obchodzi mnie skąd pochodzisz, skąd przybyłeś do Lanyatty, dlaczego u nas mieszkasz. Ale skoro tu mieszkasz, to nie masz innego władcy poza mną.

Słowa padały jak kanciaste kamienie w głęboki staw.

Trazwalar zaciągnął się jeszcze raz, z odrazą odrzucił ustnik i sięgnął do sakiewki przy pasie. Wyjął z niej wąską, złotą rurkę, niedbale złamał złoty futeralik, podniósł pokrywkę *sleges-thoi* i wysypał zawartość na malinowo-czarną grudę żaru i zielnej zgorzeli. Szybko zamknął pokrywkę, rzucając z dołu kąsę spojrzenie na Sodosą, a potem zaciągnął się jeszcze kilka razy.

Już na pierwszy rzut oka widać było, że czuje się teraz co najmniej dwukrotnie silniejszy od siebie samego sprzed chwili, i kto wie, czy nie było tak naprawdę.

–Nie ścierpię, by ktoś oszczędzał siebie moim kosztem – wycedził.

Sodos poczuł powiew zimna na twarzy.

Monarcha odwrócił się od maga i rzucił kilka słów przed siebie. Jeden z wartowników, z tych, co stali przy słupach na rogach pojazdu, odsunął się od słupa, odwrócił do monarchy i zadał pytanie w tym samym języku. Tra-zwalar powiedział coś, na co wojownik nagle usiadł i zanim zaskoczony i nic nie rozumiejący mag otworzył usta, wyciągnął z pochwy wspaniałą *srehen*, i wyprostowawszy lewą nogę, ciął z całej siły w stopę. Ostrze ciężkiej, krzywej szabli gładko odcięło połowę ułożonej bokiem stopy i ugrzęzło w drewnie dachu. Jedynym dźwiękiem był chrzęst i cichy trzask krojonych kości, bryznęła krew. Wartownik cicho sapnął, znacznie ciszej niż mag. Sodos wzdrygnął się i otworzył usta, ale widząc, że wartownik unosi szablę, skuty błyskiem jej ostrza, znieruchomiał. Gwardzista ciął po raz drugi, przecinając własną nogę w połowie łydki, to było łatwiejsze chyba, bo zaraz uniósł *srehen* i ciął po raz trzeci, tuż pod kolanem. Teraz zachwiał się, jakby z powodu naruszonej równowagi. Na skroń bryznęła krew i szybko spłynęła po zalanej potem twarzy, barwiąc policzek na bladoczerwony kolor. Sodos poczuł, że pęcznieje w nim poranny posiłek.

Gwardzista tymczasem odzyskał równowagę, ale przyszło mu to z trudem, podsunął się do słupa, żeby oprzeć plecami przy następnym cięciu. Trazwalar prychnął i rzucił dwa słowa, potem jeszcze kilka. Gwardzista z odciętą połową nogi, chlustający krwią na podłogę dachu rzeczowo włożył okrwawioną szablę do pochwy, chwycił kikut w kolanie i ścisnął mocno.

–Zadziwiające, nieprawdaż? – zapytał lekkim tonem monarcha. – Spełnić rozkaz.

Dwaj inni wartownicy już klęczeli obok gwardzisty, jeden zdartym z ramienia sznurem zaciskał mu nogę powyżej cięcia, tuż pod kolaniem, drugi wpychał w usta kolegi owiniętą skórzanym paskiem kościaną rękojeść sztyletu.

„Każe mi uleczyć! - rozległo się w głowie maga. – To próba!”.

Ale jeśli to była próba, to poddany jej został tylko nieszczęsny gwardzista.

–Widziałeś? – zapytał król. Spojrzenie jasnych, jakby rozżarzonych od środka oczu badawczo wpijało się w oczy Sodosy. – Jeśli powiem, że ma sobie odciąć nogę, to może tylko zapytać: w kostce, w kolanie czy powyżej? Myślisz, że będzie się zastanawiał? Albo może od razu odetnie nad kolaniem? Na pewno nie! Jeśli chcesz, możesz to jeszcze raz zobaczyć.

Sodos chwilę usiłował przepchnąć jędrną kulę blokującą gardło, udało mu się, choć nie był pewien, czy długo będzie nad własną krtanią panował.

–Panie... nie wątpiłem, że spełni twe życzenie. Ja...

–Ty też?

–Ja nie odetnę sobie nogi. Wybacz, ale takie dowody wierności dają ci, co sami mogą zwątpić w swoją wierność. Ja nie wątpię, więc nie muszę.

–Ach, nie musisz?

Monarcha wyprostował się i wpił spojrzeniem w maga. Widać było, że obraca w myślach jakieś straszliwe polecenie, ale zdaje sobie sprawę, że wtedy albo straci maga, albo każe stracić maga. Znowu szalone spojrzenie świdrowało Sodosy, a ten starał się nie stracić w tym pojedynku twarzy i jednocześnie nie rozjuszyć jeszcze bardziej króla. W końcu, po długiej chwili opuścił spojrzenie na wyścielający dach dywan. Od rogu, gdzie gwardzista dokonał bezsensownej, potrzebnej tylko do okazania nieskończonego wiernopoddaństwa, egzekucji, bezcenna tkanina nasiąkała połyskującą tłusto krwią. Wykonawca rozkazu króla stracił przytomność.

–Odejdź – mruknął po długiej chwili namysłu szalony monarcha. – Wzbudzasz we mnie dziwne i poplątane uczucia – z jednej strony ufam ci i wierzę w celowość twoich

posunąć, w końcu udowodniłeś swoją moc, wykrywając tych zdrajców... Ale z drugiej opierasz się mi, a znacznie słabszy opór poił *pugtusk* kata. Korci mnie dać cię do polechtania jej pomocnicom. – Podniósł głowę i rzucił magowi długie, mętne i obiecujące coś niemiłego spojrzenie. – Wiesz, że w moim państwie katami są kobiety? Nie? No to już teraz wiesz. Wybiera się je... – machnął ręką...podobno tylko się wybiera z grona małych, skrzywdzonych przez mężczyzn dziewczynek. Ja tam myślę, że jak nadchodzi czas doboru – pozyskuje się je po prostu. – Pokręcił głową, splunął gęstą, włóknistą śliną. – Nieważne... A dziewczynki nigdy nie zapominają wyrządzonej im krzywdy, zatem nie ma lepszych katów: chętnie torturują kobiety, bo im zazdroszczą, że te nie zostały zgwałcone przez czterdziestu urzędników, a mężczyzn – bo urzędnicy nimi byli. Proste, prawda? Nie ma u nas takiej oprawcy, która by się nie starała dla samej siebie. A cóż może być lepszego od gorliwości płynącej z duszy? – Opadła mu głowa, sapał chwilę, jakby walcząc z sobą. – Ojciec mój powiada, że dobry władca nie zapomina o tym, że kat i jego tuzin muszą mieć dużo okazji do ćwiczeń, że dobra kat, to mocne państwo, kiepska kat – szykuje się zmiana rządów.

–W wielkim państwie, jakim jest twoje, panie, jest wielu dobrych ludzi i musi być sporo złych. Na pewno kat ich albo powstrzymuje przed folgowaniem sobie, a jeśli i folgują, to wycina ich ze zdrowego pnia poddanych... Ale ja do nich nie należę. Cokolwiek myślisz, panie, cokolwiek ci o mnie mówią – ja jestem ci wierny. I nie myślę o niczym innym, jak o tym, by uchronić twe szlachetne zdrowie...

–O niczym? – Nagle uśmiechnął się władca. Uśmiech był niedobry, zimny i niepokojący, jak pierwsze osypisko śniegu zwiastujące lawinę. – A kto te dziewczyny młóci tak zawzięcie? Wtedy też myślisz o mnie?

–Panie. – Mag rozłożył ręce, jakby chciał objąć świat. – Wiesz przecież, że mężczyznę potem ogarnia spokojność i zaczyna myśleć inaczej, leniwie na pozór, ale owocnie...

–A dlaczego? – niespodziewanie zainteresował się monarcha, już zapomniał, że przed chwilą kazał swojemu wiernemu słudze odciąć sobie połowę nogi, zapomniał, że omal nie posłał po kata, by zainteresowała się ciałem i duchem maga, że jeszcze po chwili odprawił go. – Dlaczego tak jest? Kobiety wszak inaczej, wyskakują z łoża i są gadatliwe, podśpiewują, tańczą... Miotają się bez sensu... – skrzywił się.

Sodos wzruszył ramionami.

–Uczeni gadają, że mężczyzna pozbywa się nasienia, części siebie, ciała i umysłu, i dlatego musi przez chwilę zbierać siły. Nawet jestem skłonny w to uwierzyć, bo popatrz, panie – kobiety nie wyzbywają się nasienia i pewnie dlatego wypuszczone z uścisku zaczynają paplać, oczy im błyszczą, język się majta w ustach... A może – odwrotnie, posiadłszy nasienie... – „Gadam bez sensu – pomyślał. – Chyba tylko po

to, by poprawić humor satrapy...” -...stają się spełnione, zadowolone... Dlatego czegoś chcą, do czegoś namawiają...

-Z dobrym często skutkiem – uśmiechnął się Trazwalar Wielki.

Opary *undry* uleciały z jego głowy, zachowywał się normalnie. Tylko ta purpurowa gęstniejąca kałuża w rogu dachu...

-Właśnie! Wtedy wyciągają z nas pieniądze na ozdoby, obietnice na jakieś dziwne rzeczy, których nigdy byśmy nie obiecali, gdyby nie to wyzbycie nasienia.

-A to one je już mają...

-No właśnie, to nasza energia, która na nie przechodzi...

-No to – Trazwalar niósł palec – należałoby mieć stado wiernych sług, które częstowałyby swego pana własną energią – parsknął krótkim śmiechem.

-To nie jest wcale takie rzadkie – powiedział mag, gorączkowo zastanawiając się, do czego zmierza Trazwalar, i czy ku czemuś zmierza.

-Nie jest. Weźmy chociażby Fenfei Psie Gównno czyli Sachlema Sadzę. Miał olbrzymi harem, dwa haremy. Z dziewczętami i dziewczynkami, i drugi z mężczyznami. Podobno wszyscy byli potężni, owłosieni, dzicy... Niektórych, jak mówił mi Brulwerd, który bardzo się interesował pamiętnikami z jego czasów, sześciu ludzi musiało trzymać w kolczastych okowach, kiedy uprzyjemniali życie swemu władcy.

Wziął do ręki ustnik *sleges-thoi*, ale tylko pobawił się nim chwilę, nie palił już. Ziewnął.

-Takie mam wrażenie, że jeśli ktoś tu ma coraz większą wiedzę, o tym, co się dokoła mnie dzieje, to nie jestem nim ja, a ty, magu – powiedział niedbałym tonem. – To jest jak drzazga, jak kamyk w bucie, jak piekąca dupa. To mnie denerwuje... Tak samo jak twoje, czytane w obie strony imię...

Mag milczał.

-Idź już sobie!... – Trazwalar Wielki zacisnął pięści, potem zauważył to i wyprostował palce.

Mag poderwał się, i pochyliwszy głowę, chwilę trwał w ukłonie. Monarcha nie patrzył na niego. Zgarnął dwie poduszki i położył się na boku. Sodos podszedł do drabinki i wszedł na ostatni stopień, tam odwrócił głowę i przywołał jeźdźcę trzymającego wodze jego wierzchowca. Na tym poziomie świeży zapach krwi uderzył w nozdrza, mag szybko zsunął się jeszcze dwa stopnie, stanął na ostatnim. Po chwili

przeskoczył w siodło, i usunąwszy konia z drogi, czekał długą chwilę. Wóz Trazwalara nie zginął mu z oczu, był przecież niemal dwa razy wyższy od innych, ale Sodos czekał, aż olbrzymia karoca, dom na kołach oddalił się na pół wisty i dopiero wtedy sam wtopił się w zwarty i szeroki nurt karawany.

## Rozdział 14

Kolejne cztery dni karawana podsuwała się wzdłuż Wielkiej Góry Nożowej. Sam straszliwy grzbiet, sięgający obłoków, sterczący z równiny jednym gigantycznym wypiętrzeniem bez żadnych przełęcz czy parowów, przypominający rzeczywiście ostrze noża ułożonego przez bogów po to, by kroił nieboskłon i chmury, rzucał pozorny cień na wędrowców. Wiało od niego chłodem, wszyscy przypomnieli sobie, że mają w bagażach ciepłe kaftany, wieczorne ogniska płonęły obfitsze i bliżej ognia siedzieli ludzie. Do namiotu Trazwalara Wielkiego wnoszono rozgrzane miedziane walce, wymieniano je co *semię*, Sodos nie chciał walca, odmówił, kiedy Faseh Zielony zapytał, czy ma przynieść i co ile wymienić.

Trzeciego dnia jazdy wzdłuż ponurej, ciemnej ściany sięgającej nieba, mag poprosił Marechebę Sieć, by opisał mu najbliższą okolicę; żołnierz przykucnął na poboczu i zaczął rysować czubkiem sztyletu na ukłepanej ziemi.

–To jest wyspa Cuchiwa. – Miała kształt olbrzymiego ziarna bobu, z wklęsnięciem na zewnętrznym, północnym czubku. – Góra Nożowa dochodzi niemal do samej wyspy, o tu. – Zaznaczył górę, rysując wyciągnięty owal i poszatkował go przecinającymi się ukośnymi kreskami.

–Z drugiej strony wypływa niezbyt tu jeszcze szeroka, ale głęboka rzeką, Tunne-Tey. Za jeziorem, zwanym Małym Morzem Srebrnym, ciągnie się na cztery dni szybkiej jazdy pagórkowata równina. O tyle trudna, że z wypalanej gliny, nie do przebycia bez zapasowych koni, furazu i dużych zapasów wody... – pokręcił głową. – Nie wiem, czy ktoś ją przebył bez dobrego przygotowania...

–Czyli stamtąd xameleona możemy się nie spodziewać... – na głos wypowiedział myśl mag.

Marecheba Sieć popatrzył nań zdziwiony. Otworzył usta, ale nie odezwawszy się, zamknął je i czekał.

–Właściwie, to i od strony Góry też go nie będzie – ciągnął Sodos.

–Na pewno – prychnął wojak. – Nie słyszałem, żeby ktoś kiedykolwiek pokonał Nóż Bogów! Najwyższe miejsce, na jakie można się wspiąć, to Wiedźmi Trójkąt.

–Co to takiego?

–W jednym miejscu – Marenceba Sieć obejrzał się na górę – już je minęliśmy, jest takie... wypiętrzenie nie wypiętrzenie... Z gładkiej jak wszędzie ściany wystaje trójkątny klin, jakby ktoś od środka wybił i wysunął na sześć kroków trójkąt. Można się nań wspiąć... Tam raz do roku przywożone są z całego kraju kobiety oskarżone o współdziałanie z siłami nieczystymi... Takie, którym tego nie udowodniono, ale i nie uniewinniono. – Pokiwał głową, widząc zmarszczone w niezadany pytanie czoło maga.

–No bo jakoś trzeba to rozstrzygnąć...

–I jak się to rozstrzyga? – zapytał mag, ale takim tonem, by Marenceba Sieć wiedział, że on już wie.

–Prosto – spycha się ją z czubka trójkąta. Gdyby okazała się wiedźmą i chciała odlecieć – na dole stoją młodzi łucznicy i szyją do niej co sił.

–A gdyby się okazało, że nie jest wiedźmą?

–To przynajmniej ma lekką śmierć, bo żadnej nie udaje się bez kilku strzał w ciele spaść na ziemię.

–Och, to kamień z serca! – zakpił mag.

–Możesz sobie, panie, szydzić, ale nie wszystkie prawdziwe wiedźmy posiadały też sztukę latania. Niektóre potrafią człowiekowi silnie zaszkodzić, ale nie są aż tak sprawne, by latać. A tak – już nie zaszkodzą. No i te najzręczniejsze są też i najsprytniejsze, i rzadko dają się złapać na gorącym uczynku.

–A kiedy usiłowała odlecieć ostatnia taka spryciara? Marenceba Sieć wydał wargi, myślał chwilę, potem posłał magowi krzywe, porozumiewawcze spojrzenie.

–Nie tak dawno, ze dwa wieki temu.

Sodos Skrępowany milczał chwilę, potem zerknął na Górę Nożową, ledwo widocznie wzruszył ramionami.

–A tędy? – wrócił do tematu rozmowy i wskazał miejsce, gdzie góra niemal stykała się z Małym Morzem. Niemal.

–Nie – krótko odpowiedział Marenceba Sieć, i nie wdawał się w szczegóły.

Mag pokiwał głową. Każdy mający jakiegokolwiek pojęcie o wojaczce tam właśnie ustawiłby porządną strażnicę, odcinając w ten sposób niemal cały południowy kierunek od jeziora.

–Rzeka też strzeżona? – zapytał.

–Od strony rzeki też nie nadejdzie – unikając odpowiedzi wprost, rzucił *halemmed*.

–Czyli – tylko za nami – skwitował mag. – Albo już jest na wyspie.

Maretcheba Sieć pozwolił sobie na pełne oburzenia cmoknięcie.

–Niby jak? Mógłby tam się dostać tylko przez most, żadna łódź, żadna tratwa...

–Przez most – powiedział mag. – Właśnie przez most. Pod postacią... służącego, kuriera, gościa czcigodnego... Jak się zwie ojciec władcy?

–Boicosta Mokre Dłonie.

–No. Gdybyśmy wiedzieli, że od trzech tygodni, a jeszcze lepiej – od czasu, gdy Trazwalar Wielki zdecydował i oznajmił, że jedziemy do jego ojca, nikt nie wszedł na wyspę, to można by było przypuszczać, że złudzieńca tam nie ma. Ale tak... – Nie krzywił się i nie wruszał ramionami, jak to czynią na ogół ludzie wygłaszający te słowa, ale nie musiał – jego wątpliwości podzielał Maretcheba Sieć, to on pokiwał głową i westchnął przeciągle. Potem wstał i wsunął sztylet do pochwy. – Wybacz, panie. Muszę podjechać na czoło.

Stuknął się pięścią w lewą pierś i odszedł.

Mag pozostał sam nad rysunkiem, wpatrywał się weń jeszcze chwilę, potem zatarł podeszwą buta linie i podszedł do wierzchowca. Nie wskoczył jednak w siodło, długą chwilę stał przy głowie pięknego ogiera; najpierw drapał go między uszami, potem wytarł z kącika oka kroplę śluzu. W końcu wyjął z kieszeni marchewkę i skarmił ją wierzchowcowi, potem drugą i trzecią. Koń prychnął i trącił go kilka razy pyskiem w pierś.

–No-o! Myślisz, że je wytrząsniesz ze mnie? – Sięgnął jednak do kieszeni i wyjął jeszcze jedną. – No, ostatnia. Nie rodzą mi się w kieszeni – powiedział z uśmiechem w głosie.

Którego właściwie stale brakowało mu w rozmowach z ludźmi. Ale Gaerhei już zajmował w sercu maga miejsce szczególne. Zasłużenie.

Wskoczył w siodło i naciskiem łydki i pięt, nie używając wodzy, skierował wierzchowca wzdłuż karawany, do tyłu. Tancerz kłusował z lekkością motyla, udowadniając kolejny raz, że otrzymał imię nieprzypadkowo. Przejechali niemal pół *wisty*, zanim w ciągu wozów, powozów i arb pojawił się okratowany wóz, wiozący więźnia Trazwalara Wielkiego. Mag zeskoczył z wierzchowca i podał wodze jednemu ze strażników. Sam wskoczył na stopień i poczekał, aż drugi strażnik, klucznik,



otworzy drzwi.

Jeniec leżał na pościeli z rękami pod głową. Gdy snop światła wpadł do ciemnego, przeszytego tylko w kilku miejscach klingami promieni słonecznych pomieszczenia, przekręcił głowę, ale i tak musiał zmrużyć oczy.

–Możecie odsłonić okna? – zapytał mag. Klucznik przekręcił głowę i zastanawiał się chwilę, potem wskazał na swoje ucho i pokręcił głową. Albo pokazywał, że jest głuchy, albo że nie rozumie *tawlish*. Sodos wskazał na okno, a potem zrobił ręką ruch, jakby odsłaniał okiennice. Strażnik skinął głową, przyłożył pięść do serca i wyszedł, ale zaraz wrócił i ustawił się w kącie. Chwilę panowała ciemność, potem najpierw jedna, potem druga okiennica z trzaskiem opadły, w ruchomej ciemnicy zrobiło się jasno. Mag podszedł do krótkiej ławy przytwierdzonej do ściany, usiadł.

–Uskarżasz się na co? – zapytał, jak zawsze na początek rozmowy.

–Jedzenie. Podłe i monotonne – powiedział jeniec, siadając ze stęknieniem.

–Nie przesadzaj – warknął Sodos Skrępowany. – Nie jesteś tu miłym gościem. Twoje życie przez cały czas wisi na włosku. A cienki to włos, sam byś się zdziwił, widząc go.

„Moje nie na wiele grubszym wisi – pomyślał z goryczą. – Tylko ta jest różnica, że ja sam się uwikłałem w tę opresję, a on został uwikłany wbrew woli. I druga – że o grubości tego mojego włoska wie tylko Trazwalar Wielki i ja.”

–Jak się człowieka powiesi na takim włosku – oświadczył dość butnie więzień – to najpierw wisi, wstrzymując oddech, nie pozwalając sobie na najmniejszy ruch. Ale po jakimś czasie musi odetchnąć, a podrapanie się po nosie staje się ważniejsze od zachowania równowagi na tym włosku. I się drapie, i kołysze, a jeszcze po jakimś czasie zaczyna nawet podrygiwać...

–Żebyś nie przesadził z tymi podrygami...

Wyjął z wewnętrznej kieszeni kaftana płaską butelkę obszytą skórą, okratowaną paskami metalu dla ochrony przed zgnieceniem. Wyciągnął szpunt i podał Cadronowi. Ten przyjął butelkę z uśmiechem i pociągnął z niej smakowicie. Odkaszał, otarł usta, zwrócił naczynie. Mag łyknął również i zakorkował butelkę.

–Wielu zabiliście z tym twoim druhem? – znów podał flaszkę Cadronowi.

Ten przyjął butelkę z uśmiechem i pociągnął z niej.

Zastanawiał się przez kilka chwil, niby wpatrzony w drzwi, ale na pewno ich nie widząc, jego spojrzenie sięgało tylko czubka nosa. Potem wydłużyło się, popatrzył na

maga.

–Nie wiem. Nigdy nie zabijaliśmy na zlecenie, ale zdarzało się, owszem, że w wykonaniu roboty przeszkadzał nam ten i ów... Raz Hondelyk wszedł do obozu dzikiej hordy... W postaci kobiety-wojowniczk... Nie wiem dokładnie, co się tam działo... Nie chciał opowiadać... Ale myślę, że tam jego sztylet opił się juchy wrażej. Zdarzało się, że podczas drogi napadali na nas zbójujący kmiecie, to się posiekło tego i innego. Do tego kilka pojedynków... – wruszył ramionami.

–Twój druh musi się zjawić lada chwila, bo niedługo znajdziemy się w takim miejscu, do którego się nie przedostanie bez trupów, a wtedy poderwie cały garnizon. Z Trazwalarem nie ma żartów – jest gotów wyciąć w pień nawet kilkadziesiąt osób... Co ja mówię – setki! Przy byle podejrzeniu... W pierwszej dziesiątce będziesz... – „A tam, nie ma co kryć!”, pomyślał -...będziemy my obaj!

–Nie obraż się, panie, ale twój los mnie nie ziębi, nie grzeje, nie porusza...

–To mniej więcej tak, jak twój mnie... – Milczeli chwilę. – Siadaj – Mag wskazał miejsce obok siebie.

Cadron podniósł się, zrobił dwa chwiejne kroki, bo wóz akurat wjechał w jakąś koleinę, i ciężko opadł na ławę. Mag odwrócił się do niego, przyłożył zgięte dłonie do skroni, tak że jego oczy zginęły w mroku, i powiedział:

–Patrz mi w oczy. Zobaczysz w nich wzrok Mune niosącego śmierć. Przypatrz się i zapamiętaj – ten mrok, ten płomień, ten chłód dopadną cię natychmiast, kiedy zechcesz mnie okłamać czy zataić coś. Słyszysz mnie? Słyszysz Mune?

Jeniec wpatrywał się w oczy maga z wytężoną uwagą, nawet nie zauważył, że ma otwarte usta. Po chwili wypłynęła z nich cienka strużka śliny, Cadron zakołysał się, opadł plecami na ścianę wozu. Powieki mu opadły, poruszył wargami.

–Widzę go... – wychrypiał. – Ma czarne spojrzenie, lód i war, woda i płomień, skała i powietrze...

–Uważaj! Opowiedz mi, jak poznałeś xameleona?

–Nie... – wycharczał jeniec.

–Na Mune zaklinam – opowiadaj!

Cadron poruszył głową, kolisty ruch zakończył się mocnym uderzeniem tyłem głowy w ścianę wozu.

–Po... wiem...

Mag odczekał chwilę, położył dłoń na czole jeńca, przytrzymał chwilę. Cadron rozluźnił się, zaciśnięte palce wyprostowały się, przestał chrypieć...

–Opowiem...

Sodos cofnął dłoń, wyjął z kieszeni flaszkę i pociągnął z niej łyk. Odetchnął.

–Opowiadaj.

Zgodnie z tym, co mu powiedział wędrujący z dwoma chłopakami dziad wierszokleta, po dwóch wiorstach drogi zobaczył las, a kiedy go zobaczył, wystawił dwa palce, przymierzył się, i dotarłszy do zapamiętanego miejsca, trafił na ścieżkę.

–Zjedź teraz ze szlaku – pouczał go dziad rano – i jedź prosto na słońce. Od wschodniego skraju – na dwa palce. Tam jodła jedna wielka wystaje. A ta drożyna, co ją drwale wydeptali, zaprowadzi cię, panie, do Suchej Lipki. Tam i gospody dwie do wyboru... Dla mnie lepsza ta nad stawem, tam mi więcej dają. Ale dla ciebie – ta przy kasztelanowym dworku. Tam zaciejsze grono bywa.

Dziadowi dał dwie *sury*, chłopakom – kupiony na ostatnim popasie worek z suszonymi morelami. Dziad w podzięcie wyrzeszczał na pożegnanie:

*Kasztelanowa z Suchej Lipki*

*Rozetę miała zamiast cipki.*

*I w cieniu dworskich wież*

*ryćkał ją mąż*

*Wałem wielkim jak zwie-e-erz!*

*A na obiad zjedli gęsie pipki!... I-i-jich!!!*

Cadron roześmiał się i pomachał do nich, potem skierował konia prosto na słońce, a po południu, zgodnie z zapowiedzią dziadka zobaczył ciemną krechę lasu, zwartą i szczelną, z tej odległości – po prostu jednolitą ścianę ciemnej zieleni. Prychnął jeszcze ze dwa razy na wspomnienie wierszyka dziada, aż zdziwiony wierzchowiec zastrzygł uszami. Pochylił się i poklepał szyję konia, potem wyprostował się, przeciągnął. Czwarty dzień w siodle dawał już mu się we znaki. Zapasów miał aż nadto, obroku dla wierzchowca też, ale jeden cały dzień spędził w mżawce, następne dwa – w wilgotnym odzieniu. Chętnie zasmakowałby suchego łoża, może nawet z lnianą pościelą... Dzban korzennego wina... Ech...

Westchnął i spał konia. Zgodnie z informacjami dziada, ścieżka drwali winna

krzyżować się w środku lasu z drogą; wcześniej, przy dróżce miał znaleźć źródło, od którego brał początek strumyk, przecinał drogę i dalej płynął przy tej samej, niemal niewidocznej ścieżce. Cadronowi trzeba było teraz podążać owym szlakiem drwali cały następny dzień, a potem las powinien się przed wieczorem skończyć. Tuż przed Suchą Lipką. I znacznie miało być szybciej niż drogą, co to prowadzi przez las niby i krócej, ale w sumie dłużej się nią jedzie. No, tyle że nie można nią podróżować z wozami, po drugie – trzeba trochę odwagi, no i trzeba znać ten drwali skrót!

Ścieżka była niemal niewidoczna, ginęła w głębokim cieniu gałęzi olch i leszczyn, dorodnych w ciemnym i wilgotnym lesie, ale samo podłoże było równe, bez dołów i przeszkód, choć paprocie obfitymi pióropuszcami czasem całkowicie zasłaniały szlak. Po kilkudziesięciu krokach Cadron, nabrawszy niejakiego zaufania do jakości drwalowego skrót, odprężył się i zwolnił wodze, polegając na wzroku i doświadczeniu swojego wałacha. Sennie rozmyślając o tym i owym, kiwał się w siodle przez ponad dwie *semie*, zanim natrafił na źródło; zatrzymał się rad z przestanku, zeskoczył rażno z siodła i pozwolił napić się rumakowi. Sam sprawdził wodę w swoich bukłakach, i stwierdziwszy, że ta w źródle ma lepszy smak, wylał swoje zapasy i zaczerpnął świeżej. Napił się do woli i odszedł kilka kroków, by ulżyć pęcherzowi. W końcu chwycił wodze i poprowadził wierzchowca, chcąc trochę rozprostować kości. Szedł tak dobrą wiorstę, kiedy do jego nozdrzy dotarła słaba woń dymu. Zatrzymał się i zastanawiał chwilę. Pożar albo ognisko? Pożar raczej wykluczony – nie fruwały zaniepokojone ptaki, nie trzeszczały gałęzie łamane przez uciekającą w panice zwierzynę, no i najważniejsze – koń spokojnie szedł za Cadronem, nawet nie wietrząc.

„Ognisko”, pomyślał Cadron, zwalniając mimo wszystko.

Okolica nie była zbyt niebezpieczna, *cascellan* Mahower trzymał chłopstwo w mocnych, choć podstarzałych dłoniach, zawsze jednak zdarzy się ten i ów, co mu się nie chce orać i siać, a zjadłby i wypił jak każdy poczciwiec. Na dodatek takim suczysynom przyjemność sprawia walenie po łbach bogatszych od siebie, a nawet i odzieranie ciał z szat. I chociaż po owej niepokojącej woni nie został w powietrzu najłżejszy nawet ślad, Cadron miał się już na baczności. Uszedł może kilkaset kroków, gdy słyszał jakieś krzyki, nie nawoływania bynajmniej, nie wesole śpiewy – ale bitewne wrzaski. Zaczął biec w tamtym kierunku. Bitwa – to znaczy ktoś potrzebuje pomocy: albo ludzi prawych, tłukących zbójów należy wesprzeć, albo – odwrotnie, bronić się z nimi przed łotrami i łotrzykami.

Kiedy wyraźnym się stało, że do miejsca potyczki zostało co najwyżej kilkadziesiąt kroków, zaplątał wodze dokoła pnia brzozy, wyszarpnął z przytroczonej do siodła pochwy długi, lekki miecz, niemal rapier, sprawdził, czy sztylet na swoim miejscu u pasa, a potem uwagę poświęcił już tylko temu, by jak najciszej dotrzeć na miejsce.

Hałasy ucichły, potem nagle buchnęły z nową siłą, ale już inne, przez gęstwinę

**docierały nawet pojedyncze słowa:... wiel!... sznura!... krew?! Paskuda!**

**Zwolnił jeszcze, wpatrywał się z uwagą pod własne stopy, by przypadkiem nie stąpnąć na kawałek chrustu, by nie trącić jakiej zdradliwie trzeszczącej gałęzi. Najwidoczniej potyczka skończyła się, ale nie wiadomo kto zwyciężył, dobro czy zło. A może coś innego? A – w ogóle – może być coś innego?**

**Po kilkudziesięciu ostrożnych krokach zobaczył niebo przed sobą, las rzedł; Cadron poruszał się teraz na palcach, bezszelestnie.**

**Dotarł na skraj lasu, na obrzeże drogi. Zszedł ze ścieżki, by – w razie gdyby komu przyszło do głowy ową ścieżkę sprawdzić – nie zdradzić swej obecności pozostawionymi na niej śladami, wszedł w las. Przesunął się w prawo, zbliżył pochylony do kępy cisowej, wsunął pod nią, wpełzł w końcu. Miał już widok na wydłużoną polankę, miejsce, gdzie szlak jakby napęczniał, poszerzał się... Może z powodu dwu dużych grabów, pod którymi nic nie rosło, a popasali chyba wszyscy podróżni, może z powodu nieco szerszego tu i głębszego, wydeptanego kopytami i stopami brzegu strumienia...**

**Pięciu mężczyzn, o których od pierwszego wejrzenia nie dałoby się powiedzieć wiele dobrego, obstało półkolem jedno z dwu wielkich starych drzew. Ten stojący na prawym skrzydle postąpił naprzód i lignął nogą w solidnym kopnięciu. Wtedy dopiero Cadron zauważył, że do pnia przywiązany jest siedzący na ziemi mężczyzna. Kopnął go jeszcze i ten środkowy. Pozostali trzej obwiesie tylko się przyglądali. Mężczyzna milczał, a i trudno by mu było odzywać się z kneblem w ustach. Potem piątka zwycięzców niemal jednocześnie odsunęła się i odwróciła w stronę drugiego drzewa. A pod nim leżało nieruchome ciało. Nawet z tej odległości nie pozostawiało żadnych wątpliwości, co do tego, że duch bezpowrotnie je opuścił. Wierzchowiec pokonanego stał przy młodym dębczaku, blisko strumienia. Koni zbójów nie było widać, może ich nie mieli, może ukryli gdzieś w lesie, rychtując zasadzkę na podróżnego. No bo tylko tak można było tłumaczyć sytuację na polanie – raczej spętany sam nie napadłby sześciu mężczyzn, zresztą i odzienie jego było znacznie bogatsze od okryć bandytów, i wierzchowiec wskazywał na znaczniejszy stan swojego właściciela.**

**–No i dograł się Hotter – powiedział jeden z mężczyzn, ten, który kopnął jeńca jako drugi. Podniósł prawą rękę i czoło na chwilę wtulił w zagłębienie łokcia, potem przejechał nim po głowie, po rzadkich, spoconych włosach. – Już nie ma Hottera.**

**Splunął mocno, siarczyście. Z niemal nieukrywanym zadowoleniem.**

**–Wierzył, że już fechtuje łącznie i że się może postawić takiemu... – powiedział nie tak uradowany, drugi z piątki, wysoki, chudy, ale z wystającym bandziochem, przypominający cherlawego pajęczka z wypukłym brzuszkiem. – Na co się pchał? Można było ustrzelić z kuszy i po zabawie.**

–Właśnie – po zabawie. – Trzeci, też wysoki i chudy, bez bębna przed sobą, jednak nadal bardzo podobny do swojego przedmówcy, może jego brat, odwrócił się do drogi i zaczął gmerać w gaciach, widocznie zamierzając wyszczać się i uspokoić. Może zresztą, tylko pcheł szukał?

–A Mahower chce się z nim zabawić, bo go zeźlił czymś, ten tam... – Rzucił spojrzenie na jeńca.

–To co – może go tknąć nie pozwolisz, co? – Pierwszy, który skwitował splunięciem śmierć Hottera, najwyraźniej mierzący na dowodzenie kompaniją, ustawił się, podboczył, nieznacznie trącając palcem czubek rękojeści sztyletu u pasa. – Jakby ci twemu braciarowi kiszki wypuścił, to byś taki spokojny, srulu, nie był!

–Hotter to też i nie twój brat był – mruknął czwarty.

–On wogle brata nie miał.

–Dobra, cichajcie. Chłopy – o co się krzeszecie? Hotter był i ni ma Hottera. I już. My mielim tego zlichawca pojmać i przyprowadzić pod bramę Mahowera. On nam zapłaci, a my tedy – do swojego pójdziem. Pra?

–Zapłaci! – prychnął ten już niby-wódz. – A jak nie? Mahower to fałszywa gnida jest! – Nagle roześmiał się i wskazał brudnym palcem jeńca: – Temu też obiecywał gościnę, jadło i piwo, i co? Zara za nim puścił ogary! I to nie tylko nas, co nie?

–Jak nie zapłaci nawet, to i tak, to, co już mamy, to już mamy – odzienie, buty, broń i sakiewkę. Tego nam nie odbierze – rezolutnie odezwał się ten pająkowaty. Jemu wyraźnie się nie podobało, że kwestia przywództwa została już tak jakby rozstrzygnięta. – Tylko jak go ździabiemy tu, to trza będzie ciało wieźć do *cascellana*, a na chier nam to? Niech sam jedzie spentany.

–Można samą głowę zawieźć! – warknął przywódca.

–Chciał się zabawić z nim, nie słyszałeś?! – wrzasnął brat pająka. – Może chcesz, żeby się nami pobawił?

Nastąpiła cisza. Sapali i mierzyli się spojrzeniami spode łba.

–Dobra, chłopy – pojednawczo mruknął po chwili świeżo upieczony herszt. – Tak postanowilim, to tak uczynim. Dziś już nie jedziemy nigdzie, zostajemy na popas, a rano...

–Nie pochowamy Hottera?

Pająkowaty jeszcze nie ustawał, jeszcze nie godził się na nowe przywództwo, ale

czekał na jakieś wyraźniejsze poparcie pozostałych. A tamtym było za jedno, albo woleli łysawego.

–Pochowamy, jakże by nie! Ot, las wielki, jakieś miejsce się znajdzie, Lutku.

Lutek jeszcze się wahał, ale już ustępował, zajęcze serce, jakby obsuwał się po zboczu ugody tchórzostwem posmarowanym. Skinął w końcu głową, pogmerał w ziemi czubkiem buta.

–Wiele tam w mieszkaniu jest? – zapytał pojednawczo niby, ale podsłuchującemu Cadronowi przyszło do głowy, że ostatni raz próbuje skłócić kompanię, podbechtać ją przeciw nowemu hersztowi i samemu tym sposobem wskoczyć na stołek wodza.

Zapytany wyjął z kieszeni sakiewkę, zważył w dłoni. Potem rozsypał troczek i wysypał zawartość na dłoń.

Błysnęła struga złota, pozostali trzej nadciągnęli do niego długimi, sępimi krokami. Z tej pozycji Cadron nie widział dokładnie, ile tego złota było, ale musiało być znacznie, bo cała czwórka zaczęła hikać, czkać, tańcować w miejscu, grzmocić się po łopatkach, a podochocony Lutek nawet kopnął brata w zadek. Na co tamten się nie obraził, tylko oddał. Radości nie było końca.

Cadron przeniósł spojrzenie na jeńca. Teraz wreszcie przyjrzał się uważnie.

Ręce miał mężczyzna wykręcone za plecy, związane za pniem drzewa. Dodatkowa pętla przyciskała jego pas do grabu. I to wszystko. Ale po co więcej? Ręce wykręcone i unieruchomione, w zasięg nóg nikt nie zamierzał podchodzić, a i co mógł nogami, prawda, długimi, ale to i wszystko, zrobić? Jeszcze miał na stopach buty, ale już niedługo pewnie. Jeszcze odziany był w skórzany kaftan, też któryś zaraz odbierze, bo noc za pasem. Mężczyzna miał wąską, drapieżną twarz z orlim nosem, gęste, krzaczaste, zrosnięte nad nosem brwi. Dziwnego koloru, szaro-brązowe włosy od czoła i boków miał gładko szczesane na tył, gdzie splatały się w gruby ogon, opleciony mocną stalową siatką, chroniącą kark przed poziomym cięciem. Z rozciętego czoła spływała strużka krwi, jeniec co chwila przekręcał głowę, starając się skierować krew w bok, by nie zaskorupiła mu oka. W rozdziawionych ustach tkwił kłęb jakiejś zielonej szmaty, na oko kawałek derki spod jego własnego siodła.

Cadron zastanawiał się chwilę.

Jak sami zbóje przyznali, najlepszy z nich szermierz już nie żył. Czyli i z tą czwórką można by sobie poradzić. Ot, wyskoczyć z krzaków, chlast, ciach i pierdut! Ale nie – któryś kuszę wspomniał, a na kuszę Cadron w życiu się nie pchał, dlatego i życie jeszcze posiadał. Trzeba kunsztykiem jakimś, sposobem, cwanie...

O, gdyby ów napadnięty mógł się też ruszyć! Co dwu to nie jeden, no i zaskoczenie...

Cadron zmarszczył brwi i podążył za tą myślą.

Tymczasem herszt wsypał złoto do sakiewki, sakiewkę wcisnął za pas, do jakiejś głębokiej kieszeni.

–Podzielimy później – powiedział. – Tera trza godny pochówek Hotterowi sprawić.

„Akurat! – pomyślał Cadron. – A w tym czasie kilka monet przeniesie się cudownie do twojej innej kieszeni!”

Podobnie chyba myśleli trzej na polanie, ale już inicjatywa była nie w ich ręku. Teraz, kiedy ten z sakiewką stał się ich przywódcą, musieliby się zbuntować, a to już nie było takie łatwe. Pomruczeli coś, pospluwali, któryś kopnął jakąś szyszkę, czy grudkę ziemi...

I poszli do lasu szukać miejsca pochówku. Został tylko brat „pająkowatego” Lutka. Cadron bezszelestnie wycofał się, korzystając, że pozostali czynią w lesie hałas jak stado dzików, i poszedł dalekim łukiem w przeciwnym kierunku. Kiedy zobaczył, że droga skręca lekko i może ją przekroczyć, nie ryzykując, że któryś z bandytów go dostrzeże, przeskoczył na drugą połąć lasu i ponownie zaczął zbliżać.

Teraz kierował się na grab z przywiązany doń mężczyzną. Ćwierć *semii* później przywarował w linii krzewów za dwoma drzewami, naciągnął kaptur na czoło, by biel skóry nie zdradziła go w ciemniejszym lesie, i oparłszy brodę na płasko leżących dłoniach, zaczął planować. Chwilę potem drgnął, nerwowo sięgnął po miecz, ale było za późno – trójca wracała z lasu.

„Ależ cembalista ze mnie! – sklął się w duchu. – Mogłem tego jednego usiec, więźnia uwolnić i albo uciec zwyczajnie, albo się zasadzić na tych trzech! Och, na Kreista! Głupiec, głupiec i głupiec! Ale już za późno... A może jeszcze nie? Przecież pójdą z ciałem do lasu!”

Oddychał przez szeroko otwarte usta, przywarł do ziemi i czekał.

Wracali. Ale gdy już-już byli na polanie któryś krzyknął:

–Hej! Tu jest najlepsze miejsce! Wykrot głęboki, i kopać nie trza, bo i tak łopat nie mamy!

Cadron zaklął w myślach. Cała czwórka udała się w kierunku, skąd wrzeszczał zbój, ale przez listowie widać było ich plecy, jak pochylali się nad czymś i radośnie gaworzyli, szczęśliwi, że nie trzeba kopać rękami głębokiego dołu. Cadron



**błyskawicznie podjął decyzję. Wyszarpnął z kieszonki na piersi pięcioramienną stalową gwiazdę z ostrymi jak sztylet krawędziami, poderwał się niemal bezszelestnie, zrobił dwa kroki i cisnął z kierunku grabu. Trafił znakomicie – tuż pod liną łączącą spętane przeguby więźnia. Cichy odgłos wbijającego się w drzewo metalu spowodował, że jeniec podniósł głowę i wpił się spojrzeniem w niebo, nasłuchiwał; czwórka grabieżców nie usłyszała niczego. Szczęśliwy Cadron wrócił w swoje krzaki, delikatnie ułożył przed sobą miecz, ostrożnie przysypał go mokrymi liśćmi, by nie błysnął zdradziecko, i czekał na rozwój wypadków.**

**Wszystko zależało od tego, kiedy pojmany zrozumie, co się wydarzyło, kiedy pojmie, że ma kogoś do pomocy, kogoś, kto nie może otwarcie wystąpić do walki, ale pomoże, jeśli tylko on się uwolni i jakoś się przy... czy... ni...**

**Zbóje wracali na polanę. Teraz jeniec powinien był szybko podjąć próbę uwolnienia się z więzów, bo za chwilę któryś z bandziorów mógł po prostu podejść, by sprawdzić pęta. Mógł odkryć gwiazdkę, mógł chlasnąć więźnia przez szyję nożem...**

**Pęta drgnęły. I tylko tyle. Cadron z rozpaczą zrozumiał, że ten ma ręce wykręcone tak mocno, sznur napięty tak silnie dokoła grubego pnia, że w żaden sposób nie jest w stanie poruszyć rękami ani w górę, ani w dół. Ani o włos! Gwiazdka zupełnie nie spełniła swego zadania.**

**„No i co teraz? Jest szansa, że pójdą grzebać ciało, wtedy mogę skoczyć, chlasnąć po więzach, wrzasnąć coś, że niby okrążajcie ich, psichsynów! Pierwszego, przyjmijmy, zasiekę. A wtedy może ten nieborak spod drzewa się poderwie, chwyci coś i będzie nas – jak dobrze pójdzie – dwóch na trzech?! A kusza gdzie? Ot, zawęzliło się wszystko. Dupam, bom nie skorzystał z okazji...”**

**Cała czwórka pojawiła się na polanie. Podeszli do ciała byłego herszta. Cadron uniósł nieco głowę, sądząc, że obok ciała powinny leżeć manele żyjących i kusza, czy kusze, których najbardziej się obawiał, Kątem oka zobaczył ruch na pniu drzewa: jeniec trzepotał palcami. Jakby chciał pokazać, że już zrozumiał: ktoś zamierza mu pomóc, i dawał znać, że rąk sam nie uwolni.**

**„No, przynajmniej tyle”, pomyślał Cadron.**

**Mężczyźni rozmawiali o czymś, ale zbyt cicho, by cokolwiek usłyszeć. Po chwili herszt pochylił się, podniósł dwie kusze i usunął się nieco z drogi.**

**–Lutek i Garceli, weźcie go i pogrzebcie, jak się da. A my tu ogień skrzeszemy, coś by się zjadło... – Nie zauważając miny Lutka i sapania Garcelego, wskazał kuszą kierunek, w jakim mieli się poruszać. – Może w jego sakwie coś się znańdzie...**

**–Ty, to Borek, zawsze sobie lepszą robotę znajdujesz... – mruknął Lutek.**

**Ale od razu pochylił się i chwycił umarlaka za ręce, podniósł i posadził. Bezwładnie zwisająca głowa ze sklejonymi trupim potem kosmykami czarnych włosów majtała się na boki; nieżywy przywódca małej konfraterni miał chudą, lisią twarz, małą, czerwoną zgorzel po lewej stronie czoła i grubą, czerwoną bliznę pod ustami, przez co wyglądał, jakby miał dwa komplety warg. Te właściwe były jednak w tej chwili już sinoszare. Garceli pochylił się i chwycił trupa za nogi i bracia ponieśli ciało w las. Herszt popatrzył wyczekująco na kompana, a nie wypuszczał kusz z ręki, zatem ostatni z podwładnych wzruszył ramionami i ruszył do lasu, pochylając się co i rusz, by podnieść chrust. Po chwili przyniósł kilka garści wodzowi i wszedł ponownie w las, skąd zaczęły się rozlegać łomoty i trzask odłamywanych gałęzi, a może nawet całych suchych chojaków.**

**Przywódca bandy, dokładnie tak, jak Cadron przewidywał, wyszarpnął sakiewkę, pośpiesznie, dygocącymi z chciwości palcami, wyłuskał kilka monet i, wsunąwszy do innego mieszka, przewieszzonego pod brudną koszulą przez ramię, ulokował go następnie głęboko pod pachą. Ukrył z powrotem lżejszą nieco sakiewkę za pasem i, przykucnąwszy, zajął się krzesaniem ognia. Moment był dogodny, tyle tylko, że kucnął dokładnie twarzą do Cadrona, najmniejszy ruch w zaroślach przyciągnąłby jego uwagę...**

**Cadron posłał w myślach litanie do Fii, bogini cierpliwości. Borek w tym czasie sprawnie podpalił jakąś kępkę suchego mchu, dołożył suszu, rozdmuchał. Błysnął płomyk, w ciemniejące niebo pomknęła kita dymu. Chwilę później wysłany do lasu po drewno kompan przywłókł na dwóch drągach stertę chrustu i kilka grubszych bali. Bez słów zaczęli ustawiać większe gałęzie w stos nad wątłym jeszcze ogniem.**

**A pojmany nagle zatrzepotał bardzo energicznie palcami, jakby chciał przyciągnąć uwagę Cadrona, poruszył stopami...**

**Cadron napiął mięśnie, czując, że zaraz stanie się coś ważnego, ale nie miał pojęcia co. Ugiął nogi w kolanach i czekał.**

**Jeniec nagle zaryczał głośno. Obaj krzątający się przy ogniu odwrócili się do niego i – ku zdziwieniu Cadrona – poderwali się na równe nogi. Z tego miejsca nie widział, co tamten zrobił, co mógł zrobić, przywiązany mocno do drzewa, ale na pewno stało się coś, co wprawilo w przerażenie obu zbójów. Teraz nie było już na co czekać.**

**Cadron poderwał się i runął na polanę. Zbóje stali bokiem do niego, bliższy był nowo ujawniony herszt. Stał jak wmurowany i gapił się na jeńca, dlatego nie zdążył się uchylić, ani powstrzymać ostrza miecza, które wniknęło głęboko w jego ciało. Jeszcze nie ugięły się pod nim nogi; jak Cadron wyszarpnął klingę i po dwóch krokach ciął pod kolana drugiego bandytę. Walącego się na ziemię przy-szpilił do niej, i nie przejmując się specjalnie dwoma konającymi, odwrócił do jeńca.**

Teraz i on zamarł. I poczuł zimne ciarki, które łąwą ruszyły od pleców ku głowie, po drodze szybko i sprawnie stawiając na sztorc każdy włos.

Pod grabem siedział nieżywy przywódca małej szajki!

Strzęp szmaty tkwił w rozdziawionych ustach ulokowanych na trójkątnej, lisiej twarzycze. Czerwona plama na skórze wykwiłała po lewej stronie czoła jeńca, ale nie było to skaleczenie, jakie widział Cadron ćwierć *semi* temu, tylko wypukła zgorzel. Do czoła przykleiły się zlepione brudem i łojem czarne włosy. No i ta szrama, buro-czerwona szrama tuż pod dolną wargą...

Przeszyty mieczem Borek zacharczał, podniósł się trochę, ręką macał dokoła siebie, szukał noża, miecza, kuszy... Trafił spojrzeniem na siedzącego pod drzewem zabitego kompana. Jego twarz wykrzywił rozpaczliwy spazm. I z takim przerażeniem w oku zwałił się na plecy. A zanim głowa uderzyła o, łysą jak klepisko, glebę polany – skonał.

Cadron odwrócił się do związanego mężczyzny, ale zanim zdążył otworzyć usta, z łomotem i chrzęstem wypadli na polanę dwaj bracia. Garceli wpatrywał się zaskoczony w Cadrona, potem sięgnął do pasa i wyszarpnął nóż niemal długości niewielkiego mieczyka, drugi – zerknął na więźnia. I to on wyciągnął rękę i powstrzymał brata.

–Pa... pa... pacz!... – wyjąkał.

Obaj wpili się wzrokiem w jeńca, Cadron tymczasem przełknął ślinę, przygryzł wargi, usiłując przegonić ich odrętwienie.

Lutek pierwszy stęknął i pociągnął brata do tyłu. Potknął się, zwałił na zadek, ale natychmiast się poderwał i – już nie szarpiąc brata – pognął w las. A i nie mógł szarpnąć, bo Garceli gnał pierwszy, przeskakując nader sprawnie co niższe krzaki, przez wyższe i gęstsze przedzierając się jak byczyniec. Chwilę potem już ich nie było widać, odgłosy ucieczki ucichły zaraz potem.

Cadron patrzył im w ślad długą chwilę. W duchu wiedział, dlaczego – nie dlatego, że chciał być pewien ich rejterady, albo że interesowało go, gdzie ukryli swoje konie. Nie, nie chciał odwracać się do jeńca. Ale kiedyś przecież musiał. Chyba żeby nie odwracając się, poszedł do pozostawionego w gęstwinie konia, wskoczył w siodło i zapomniawszy o wszystkim, co się tu wydarzyło, zawrócił, zostawiając mężczyznę przywiązanego do drzewa.

Odchrząknął, żeby jakoś odpędzić głuchą ciszę, zawisłą nad polaną, splunął i odwrócił się do jeńca.

I powtórnie oniemiał. Pod drzewem siedział ten pierwszy mężczyzna, ten wysoki, z

rozciętym czołem, z orlim nosem i kitą szaro-brązowych włosów. Patrzyli na siebie. Cadron w myślach polecił się Guldermenanowi, tej jego domenie, która zajmowała się obroną... Przez głowę ponownie przemknęła myśl o ucieczce, ale zaraz potem pojawiła się inna myśl.

„Gdyby był jakimś demonem, to nie dałby się spętać tym pierdzidupkom! Pokonałby ich przy pomocy magii. A nawet jakby go zaskoczyli, to by się sam uwolnił, sznury by zetlały, albo spłonęły... Może kazałby im samym się wymordować? Może skamienieliby jak głązy? A gdyby nawet nie, to rzuciłby na mnie czar, żebym ja... Ale ja... Hm... Co tu robić?”

Jeniec odczekał chwilę, widocznie świadom, jakie rozterki targają w tej chwili Cadronem, ale po chwili majtnął stanowczo głową, jakby przywołując Cadrona do siebie, pobudzając do działania. Ten stał jeszcze chwilę, ale w końcu doszedł do wniosku, że może tylko albo odwrócić się i pobiec do swojego konia – ale wtedy musiałby i tak tędy przejechać, albo wracać na szlak i objechać las... Albo – uwolnić imaćca i wysłuchać jego tłumaczenia...

Wybrał to drugie. Podszedł do drzewa, obszedł dookoła, wyrwał swoją gwiazdkę i dwoma cięciami przeciął więzy.

Jeniec mruknął z zadowoleniem, poruszył się, ale zdrętwiałe ręce nie działały sprawnie i zwałił się na bok. Cadron uskoczył i czekał z mieczem w ręku. Mężczyzna majtnął nogami, usiadł, z wysiłkiem sięgnął ust i wyszarpnął knebel. Chwilę spluwał i kaszlał, jednocześnie rozcierając sobie przeguby. Cadron przesunął się o krok, zlustrował mężczyznę w poszukiwaniu broni, ale zbóje wcześniej ją mu odebrali. W końcu jeniec podniósł wzrok ku górze i posłał Cadronowi uprzejmy uśmiech.

–Czy mogę wstać, panie?

–Ależ tak – padła odpowiedź.

Jednak mężczyzna jeszcze chwilę siedział, to rozcierając dłonie, to pocierając nimi kolana. W końcu wstał.

Był wzrostu Cadrona, lecz nieco tęższy. Niewiele, ale zawsze. Odzienie miał bardzo porządne, skórzany kaftan co prawda i spodnie ubrudzone ziemią, gdy rzucali nim o nią bandyci, ale spodnie z grubej i miękkiej chesaniczy, takiej, co to wody nie przepuszcza, skóra na kaftan z brukenastów, zacnie wygarbowana i cienkimi rzemykami zszyta. Koszula z jedwabiu, dwie krowy by za nią kupił. Mężczyzna potrząsnął głową, jakby sprawdzając teraz czy i ona jest na swoim miejscu, i powiedział:

–Hondelyk. Szlachcic. Bez ziemi i rodowej majątności.

**–Kchm... Cadron.**

**Zawisła cisza. Hondelyk przestąpił z nogi na nogę. Dotknął ostrożnie czoła, syknął cicho, przetarł brew i policzek.**

**–Mghm... Ta-ak... Nie wiem jak wyrazić swoją wdzięczność, panie, z powodu twojego nadzwyczaj odważnego postępowania... – zaczął, ale Cadron przerwał mu:**

**–Wyjaśnij lepiej, panie, com widział, i na tym poprzestańmy. Hołotę tępić się powinno, to obowiązek każdego. Ale tu się stało coś, czego nie potrafię wyjaśnić, chyba że omamem jakimś czy... czy...**

**–Nie jestem żadnym demonem, duchem czy magiem! – powiedział mężczyzna, zważając się Hondelykiem.**

**Ciągle stał o trzy kroki od Cadrona, nie wykonywał żadnych gwałtownych ruchów, nie zbliżał się ani nie oddalał od zbawcy. Jakby przez cały czas okazywał, że czuje się w jakiś sposób zależny od wyzwoliciela.**

**–No, co nieco widziałem, na własne oczy coś, co trudno mi wytłumaczyć bez sięgania do... do...**

**–Wiem. Zaraz spróbuję to wyjaśnić... – Hondelyk dotknął strupa na czole. – To trudne... Ja zwyczajnie potrafię czasem przybrać postać inną, podobną do... czyjejs postaci...**

**–Zwyczajnie?... – prychnął Cadron. – Tak zwyczajnie, to zwyczajni ludzie nie potrafią przybierać innych postaci... – Cadron odsunął się o pół kroku. – A ja widziałem dokładnie tego zabitego przez ciebie, panie, herszta... Włosy, znamię, blizna, kształt twarzy...**

**–Owszem, jak się postaram, to wychodzi mi lepiej... A tu się starałem, w końcu chodziło o moje życie.**

**–Ale jak bez magii można... – Cadron wzruszył ramionami, nie potrafiąc wytłumaczyć, o co mu chodzi.**

**–Zapewniam cię, panie, że można. Tylko... To niełatwo jest wytłumaczyć... I długo by trwało... – Zaciśnął wargi, a potem rozwarł je z cmoknięciem, westchnął. – Wiem, że jeśli nie zechcesz mi dać wiary, to nie uda mi się wytłumaczyć wszystkiego. Są takie jaszczurki, srebrzanki, widziałeś kiedyś taką? – Cadron pokręcił przecząco głową.**

**–Mają tak mocno lśniące srebrzyste łuseczki, że właściwie odbijają to, co jest dookoła nich. Nigdy nie dojrzysz jej na trawie czy na piasku, bo się zlewa z**

otoczeniem. Są też inne gady, xameleonami zwane, potrafią przybrać dowolną barwę i wtapiają się w kolor liścia czy gruntu. Więcej – gdy położysz takiego na kraciastej derce, to staje się kraciasty! I to trochę tak jest ze mną – potrafię przyjrzeć się komuś i przybrać jego lustrzaną postać. Został mi kiedyś przekazany taki dar, przez bóstwa czy moce nadludzkie – nie wiem. Ale nie ma w tym nic z niegodnej magii, zapewniam cię, panie. – Rozłożył ręce na boki, pokręcił dłońmi.

–Możesz albo mnie związać i... nie wiem... Albo przeszyć swoim mieczem... Albo – uwierzyć, a ja klnę się na swój honor, że jedno słowo z tego co powiedziałem nie odbiega ani o włos, o cień włosa od prawdy.

Stali i patrzyli na siebie, Cadron uważnie, czujnie, nieufnie, Hondelyk – lekko uśmiechając się, jakby nie potrafił uwierzyć w nieprzychylny dla siebie wyrok. W końcu Cadron westchnął.

–Na pewno nie dam rady teraz dźgnąć cię, panie Hondelyku. Najlepiej będzie, jeśli się teraz rozstaniemy i... I już.

–No tak. To jest jakieś wyjście. – Przesąpił z nogi na nogę. – Czy... Chciałbym teraz ulżyć pęcherzowi, bo prze mnie od... Właśnie stanąłem pod krzaczkiem, a ci mnie wtedy napadli od tyłca.

Cadron parsknął śmiechem i odstąpił o krok, gestem oddając Hondelykowi we władanie całą polanę. Ten pokłusował pod krzaki i, odwróciwszy się twarzą do lasu, z westchnieniem ulgi długą chwilę spędził na błogim posapy waniu i postękiwaniu. W tym czasie jego wyzwoliciel odebrał Borkowi sakiewkę Hondelyka, potem przeciął mieczem – sam nie wiedział po co, chyba żeby nie dawać Hondelykowi groźnej broni do ręki – cięciwy kusz i obie szerokimi zamachami posłał w las, gdzie po jakimś czasie miały zgnić i zmarnieć doszczętnie. Na koniec zgarnął całą resztę broni – dwie palice, trzy miecze i dwa noże. Już na pierwszy rzut oka widać było, który nóż i miecz nie służyły do zbójowania – te były zadbane, czyste, wyostrzone, co prawda bez herbu, ale szlachetne na oko i wykonane przez zacnych mistrzów. Od lasu podszedł Hondelyk, szedł wolno, ale głośno, nawet kaszlnął, żeby tylko Cadron nie pomyślał, że się skrada.

–Mógłbym pokazać ci, panie, jak przybieram inną postać, ale za bardzo jestem teraz skonany... Takie gwałtowne przemiany kosztują mnie sporo sił... Może tyle?...

–Wysunął do przodu rękę. Miał szczupłe długie palce, na czwartym osadzony był masywny pierścień z literą „x”, wyrzezaną w srebrze. – Zobacz...

Na oczach Cadrona paznokcie zaczęły się wydłużać, grubieć, krawędzie, jeszcze przed chwilę gładkie i równe, postrzępiły się i połupały, zdradzając, że ich właściciel sporo ciężkich prac wykonuje własnoręcznie i nie przejmuje się wyglądem dłoni.

Skóra ściemniała, w oczach wysunęły się z niej czarne szczeciniaste włoski. Cadron mimowolnie odsunął się o krok. Hondelyk cofnął rękę, ukrył ją za plecami. Odetchnął głęboko, pokazał znowu dłoń. Zwyczajną, swoją.

–No i tak to się dzieje... – powiedział. Oszołomiony Cadron stał chwilę nieruchomo, potem wyciągnął ręce: – Twoja sakiewka, panie. I broń. – Drżały lekko palce.

Uwolniony Hondelyk wziął miecz i sakiewkę podrzucił ją w rękę i zapytał:

–Co do sakiewki... Hm, czy byłoby zgodne z twym życzeniem, panie, by...

Cadronowi krew napłynęła do twarzy.

–Gdybym się czał na sakwę, to mogłem ją zabrać i pójść swoją drogą! – warknął.

–Na pewno! Ale chciałbym, na przykład, żebyś mógł, panie, za moje i swoje zdrowie... – Hondelyk uniósł obie ręce i wtulił głowę w ramiona. – Jeśli cię uraził, to na pewno nie rozmyślnie! Wybacz, wybacz i jeszcze raz wybacz, panie.

Cadron sapał chwilę, a potem nagle powiedział:

–Jeśli udajesz się w stronę Suchej Lipki, to zapraszam do wspólnej wędrówki. A tam w gospodzie wypiję chętnie twe zdrowie!

„Po co ja to mówię? – pomyślał. – Po co mi to? Czyja nie mam dość ludzi i ich głupich...”

–Z ogromną przyjemnością, panie Cadronie! – zawołał Hondelyk. – Tom właśnie chciał zaproponować, tylko nie wiedziałem, czy nie uznasz za nadmierne wykorzystywanie twej dobrej woli.

–Na pewno nie. Zresztą, okolica, jak widzę niezbyt miła i mało jakby... ghm... gościnna...

–A, ci... – Hondelyk spochmurniał na chwilę. – To wina *cascellana* Mahowera. Nie spodobało mu się, że odmówiłem mu wykonania pewnej... Ach, to świnią i już. W skrócie – jego emisariusz rozповідаł, że jego pan szuka xameleona, a ja – przyznaję – wykonuję często jakieś takie zlecenia, korzystając ze swojej zdolności do mimikry... Przybyłem do *cascellana*, ale okazało się, że miałem pod postacią jego sąsiada najechać innego możnowładcę. Tak, by potem Mahower mógł zagarnąć włości obu – jednego za karę, drugiego, bo nie miał następców. To chciwe i mściwe bydło. – Popatrzył na Cadrona. – Jeśli zechcesz, panie, to ci opowiem szczegółowo. Jestem twoim dozgonnym dłużnikiem i niczego przed tobą ukrywać nie zamierzam.

–Z przyjemnością wysłucham. Potem, może w drodze. – Obejrzał się za siebie. – To

ja idę po swojego konia... Zaraz! – Jakaś myśl wyskoczyła z mroku niepamięci. – Jak powiedziałeś?... o tym gadzie? Xameleon?

Nowy znajomy skinął głową.

–Teraz sobie przypominam – coś, gdzieś, kiedyś... W jakiejś oberży minstrel bąkał o xameleonie... Tylko on prał, że człowiek ów wchodzi w ogień i wychodzi inny... Ale ja to kładł między baje, jak i wiedźminów różnych, i kocłianice polne, i wampierzaki... – Pokręcił głową, ale widać było, że wspomnienie opowieści bazarza przyniosło mu wyraźną ulgę. Zrobił dwa kroki i wyciągnął do Hondelyka rękę. Tamten miecz wbił w ziemię, czego chyba – sądząc z blasku ostrza – wcześniej nie czynił – i mocno uściśnął podaną dłoń.

–Jak długo będziesz chciał będę, panie, twym druhem. Dziękuję.

Odsunął się i poszedł do swojego wierzchowca, po drodze podnosząc walającą się na ziemi pochwę miecza.

Cadron pomaszerował drożyną po swojego konia, a wracając, pomyślał, że pewnie nowego przyjaciela już na polance nie ma. „A i dobrze by było – przemknęła harda myśl. – Po co mi nieznany przyjaciel? Ani go znam, ani... No, właśnie...” Tylko zdziwił się, że te butne myśli nie sprawiają mu takiej przyjemności, jaką powinny. Nie uspokajają, a wręcz złością.

Hondelyk czekał na niego. Ciała zbójów znikły z polanki, tak samo jak i ich broń. Hondelyk stał przy swoim wierzchowcu, zaciągając popręg siodła. Stanęli naprzeciwko siebie. Potem Cadron uśmiechnął się, skinął głową i pierwszy wskoczył w siodło.

–Oczywiście, jeśli tylko to nie sekret, opowiedz mi, panie, co się nie spodobało Mahowerowi.

Skierował wierzchowca w miejsce, gdzie powinna być ścieżyna. I była.

Jechał pierwszy, plecami do nowego druha.

I wcale nie czuł się zagrożony.

No, może przez pierwszą *semię* - tak.

Ale potem już nie. Przez całe następne osiem lat.



Mag odchylił się na ławie, oparł tyłem głowy o trzęsącą, rozdygotaną ścianę. Kilka chwil trwali nieruchomo: jeniec sztywno wyprostowany, wpatrzony w coś przed sobą, czego nikt inny nie widział. Sodos Skrępowany wstał, i ustawivszy się przed więźniem, przyłożył dłonie do jego skroni.

–Wracaj! – powiedział z naciskiem.

Cofnął się, kiedy Cadron mrugnął kilka razy powiekami, potem uniósł dłonie, chwilę wpatrywał się w nie, a następnie użył ich wierzchów do przetarcia oczu.

–Powiedziałeś mi, że trafiłeś ową metalową gwiazdką pod sznurem pętającym tego xameleona?

Jeniec wpatrywał się maga z oszołomieniem w oczach.

–Powiedziałem?... Kiedy?

–Nieważne. Tak powiedziałeś. A ja ci na to odpowiadam, że ta gwiazdka trafiła ponad więzy. Co nie zmienia niczego, bo on rzeczywiście był tak skrępowany, że nie potrafił poruszyć rękoma ani w górę, ani w dół. Udało ci się więc uwolnić go z łap tych zbójów tylko dzięki temu, że zastosował złudzieńczy fortel.

–No... tak...

–Jeszcze mi tylko powiedz – ów Mahower, co to kazał Hondelyka ująć i doprowadzić do swego zamku, to się mścił za co?

–Za odmowę wykonania... zadania... – wykrztusił jeniec.

–A! – Mag przeszedł się po pomieszczeniu, od jednej ściany do drugiej. Zerknął przez dwie wąskie szczeliny krat, przez które wpadało do wozu więźnia światło. – *Cascellan* chciał, jak mi się wydaje, by xameleon przyjął postać sąsiada, Trussa Kościstego, uprzednio zabiwszy prawdziwego Trussa, a potem najechał innego sąsiada. Mahower natomiast „ukarałby” Trussa, po czym zagarnął jego włości. Gdyby się udało, to w zamieszaniu zginąłby i ten najechany, a jego majątność dostałaby się tak czy inaczej w łapy chciwego *cascellana*. Tak było?

Na twarzy jeńca odmalowało się bezgraniczne osłupienie.

–Skąd... wiesz...

–A jak myślisz, głupcze? – warknął mag. – Od ciebie! Jak ci mówię, że mogę z ciebie wydobyć wszystko, co tylko zechcę, to jest to prawda!

Szybkim jak myśl ruchem wyprostował rękę i lekko uderzył w czoło więźnia. Ten jęknął i zwałił się na bok na ławę, a z niej osunął się bezwładnie na podłogę. Sodos Skrępowany, odwrócił się i skinął na wartownika. Gwardzista, usiłujący zapamiętać wszystko, co było mówione i jednocześnie nie zdradzić się ze znajomością języka, zatrzasnął otwarte usta i szybko skoczył do drzwi. Wywrzeszczał przez szczelinę komendę, zahurkotała przesuwana na prowadnicach sztaba, wpasowane w ościeżnicę drzwi charknęły i stanęły otworem. Mag wyszedł i skinął na gwardzistę trzymającego wodze jego wierzchowca. Wskoczył w siodło, odjechał w bok, zatrzymał wierzchowca i dobre ćwierć *semii* czekał w zamyśleniu, aż nadjechał jego wóz. Nie zauważył, jak szpiegujący go żołnierz podbiegł do Maretheby Sieci i zaczął gorączkowo coś mówić, jak *halemmed* zbył go puchem ręki. Po chwili Sodos przeskoczył z siodła na kozioł obok Faseha Zielonego, namotał końce wodzy na pałąk podtrzymujący płócienny dach, rozsiadł się wygodnie i sięgnął do kieszeni po wyklepaną ze srebrnej blachy manierkę. Zagulgotało, gdy pociągnął długo. Otarł usta.

–Niech to wszystko... – mruknął.

Faseh Zielony zerknął zezem, ale nie poruszył nawet głową. Powstrzymał się nawet od poruszenia lejcami, choć jeden z *mulfów* wierzgnął i należały mu się ze dwa baty za nieposłuszeństwo w uprzęży.

–Dziś nie zatrzymujemy się na popas dzienny – odezwał się nagle Faseh cicho. – Będziemy jechali tak długo, aż dotrzemy do wyspy Cuchiwa, do pałacu Tunne-Wynn. Tak rozkazał Trazwalar Wielki...

–No, skoro tak rozkazał monarcha, to nie ja się będę sprzeciwiał. – Mag przeciągnął się, wystrzelił w górę rękami, jakby chciał nimi sięgnąć nieba. – Ue-aach!... – No to idę spać...

Przerzucił nogi przez oparcie kozła, i odsunąwszy połę, wsunął się do wozu. Po chwili Faseh usłyszał odgłos od-szpuntowywanej butli, bulgot, potem pełne zadowolenia, przeciągłe sapnięcie. I jeszcze jedna seria bulgotu. Pisnął wciskany korek, zaległa cisza. Wóz był nieporównywalnie mniejszy od karocy monarchy, ale – tak uważał Faseh Zielony – tylko dla kaprysu maga rozbijał co wieczór namiot. Na tym wozie mogło spokojnie spać sześć osób.

Droga monotennie wyciągała grzbiet, poddawała się naciskowi kół i deptaniu kopytami, nieboskłon zalała szaro-sina breja, zaciągnęła tak grubą warstwą niebo, że nie wiadomo było, gdzie znajduje się słońce. Monotonnie mijane z lewej, posadzone w równych odstępach buki, sosny, graby, dęby, buki, sosny, graby, dęby usypiały swą regularnością. Co jakiś czas trafiały się drzewa oplatane pasożytniczymi pnączami, ale to było wyraźnie za mało, by przerwać monotonię podróży. Woźnice drzemali na kozłach, konni kiwali się w siodłach. Tylko podjazdy kłusowały tam i z

powrotem wzdłuż karawany. W sennym nastroju karawana zbliżała się do jeziora Merwengo, Małego Morza Srebrnego. Na mętnym niebie pojawiły się czajki, przenikliwie krzyząc, penetrowały karawanę i, nie widząc dla siebie pożywienia, zawracały.

Mag obudził się pod wieczór, kiedy nad szlakiem zaczynał ciążyć zmrok, na każdym co dziesiątym wozie zapalono już wysokie pochodnie, wstawione w uchwyty pozwalały ocenić długość taboru. Sodos Skrępowany wstał na koźle i popatrzył do przodu, potem do tyłu.

–Będę powoził – zaproponował Fasehowi. – Idź się prześpij.

Chłopak nie oponował. Wsunął się do wozu, ale po chwili wyjrzał i podał magowi duży kawałek twardego *khazenake*, orzechów zapieczonych w miodzie i wysuszonych następnie na słońcu. Mag mruknął coś, chwycił płat twardego jak deska smakołyku i zaczął podgryzać brzeg. Pół *semii* później widać było już tylko ogniki pochodni, i w jednym miejscu, ćwierć *wisty* przed nim, olbrzymi wóz monarchy – oświetlony kilkunastoma kagankami i pochodniami.

Tabor zmierzał ku Merwengo. W powietrzu można już było wyczuć wilgoć, zapach gnijącej roślinności wodnej... Zmęczone dzisiejszym długim marszem z dwoma krótkimi popasami konie i *mulfy* zaczęły porykiwać i rzeć, dołączyły się do harmideru bardzo przetrzebione i już niewielkie stadka *trajenek*, owiec, długonogich i hodowanych specjalnie na długie przemarsze świń taborowych, nawet kury, kaczki, indyki, *plezany*, całe to ptasie bractwo nagle powyciągało głowy spod skrzydeł i wdało się w długie, wrzaskliwe klótnie. Sodos Skrępowany skrzywił się, wstał, a potem wskoczył na koziół. Przed nim, na czele karawany ogień rozjeżdżały się na boki, wyciągały wzdłuż brzegu jeziora.

–No tak, pierwszy pojedzie wóz Trazwalara Wielkiego – mruknął do siebie mag.

Z wozu wygramolił się Faseh Zielony, Starannie i długo drapał się po głowie, potem potrząsnął głową, ziewnął, nie otwierając ust.

–Brat mi mówił, że tu zawsze tak jest, wściekły harmider, jak wyczują wodę - powiedział i ziewnął potężnie.

–Zamknij gębę, bo połkniesz przelatującego demona i będziesz go utrzymywał w swoich trzewiach – rzucił mag obojętnie, a wystraszony chłopiec zatrasnął usta tak energicznie, że dał się słyszeć kłapanie zębami. – Trzymaj wodze.

Rzucił końce Fasehowi, a sam zeskoczył na ziemię i szedł, trzymając się bocznej ściany wozu. Zorientował się, że szpaler drzew po lewej zniknął. Zastanawiał się przez chwilę. „Pewnie jak brakuje drewna, sięgają po najbliższe – pomyślał. – Jeśli nakreślona przez Marencebę Sieć mapa nie kłamie, to nie masz tu za bardzo

lasów...” W mroku, porykiwania i rzenie, kwakanie i kwiki, przypominały odgłosy zaniepokojonego obozu – przerwany nocny popas, atak drapieżnika na stado, może zbójcy, usiłujący wykorzystać sen podróżnych... Do tego dołączyły się pokrzykiwania woźniców, którzy już z tej odległości ostrzegali się wzajemnie o zjeździe ze szlaku, przekleństwa tych, których zaprzęgi zaczynały się niecierpliwić i sprawiać kłopoty, pisnęła jakaś kobieta – nie wiadomo: spadła z wozu, przygniotło ją coś, czy uszczypnął podochocony, przewidujący jakieś figle podczas resztki nocy żołnierz.

Mag maszerował długim krokiem, zastanawiał się nad czymś.

„Małe zamieszanie, noc... Czy xameleon mógłby teraz uderzyć?”. Oderwał się na chwilę od ponurych rozmyślań, rozejrzał się dokoła. Przechwycił pytające spojrzenie Faseha.

–Jak będziemy w pałacu, postarasz się dla mnie o pokój blisko jeńca, a najlepiej jak...

–Ale... panie?! Ja nie będę w pałacu! My zostajemy tu, na brzegu! Przez most nikt ze służby nie przejedzie! To mi powiedział brat...

–O? A... a gwardia? – zapytał mag, zastanawiając się, dlaczego dopiero teraz dowiaduje się o takim rozwiązaniu. „Czy to oznacza, że nie wtajemniczają mnie umyślnie, że już jestem w głębokiej niełasce Trazwalara Wielkiego? Czy po prostu taki jest obyczaj i nikomu nie przyszło do głowy powiadomić mnie o rzeczach dla wszystkich oczywistych?” – Jak wielki jest pałac na wyspie?

–Gwardia też zostaje. Tam jest garnizon ojca naszego władcy. I tylko on będzie na wyspie. A sam pałac jest, mówił mi brat, dużo mniejszy od Gaybony...

–Myślę! – syknął niecierpliwie mag. – Gaybona to największa twierdza, jaką widziałem na oczy, i nawet nie słyszałem o większych... A co ja sobie głowę zawracam...

Zwolnił i po kilku krokach dogonił go tył wozu, gdzie przywiązany był koń Sodosy. Odplątał wodze, wskoczył w siodło.

W pierwszym porywie zamierzał pogalopować bliżej wozu monarchy, teraz jednak, już siedzącego w siodle opadły wątpliwości. Na razie więc jechał stępą, wpatrując się w upstrzony ćwiekami ogników mrok przed sobą. Półtorej *semii* później dojechali do jeziora. Wozy karnie skręcały, co drugi w prawo, co drugi w lewo. Nikt o nic nie pytał, nikt się nie wahał. Na wprost widać było most oświetlony dwoma szeregami ognistych kropel: pochodni umoczonych w tłuszczu, który płonął jaskrawym, zielonkawym ogniem.

Olbrzymi wóz Trazwalara Wielkiego stał nad samym brzegiem, a z jego wnętrza słudzy wyprowadzali Hanibeli Perłę i inne kobiety, wszyscy jadący tym wozem przesiadali się do znacznie mniejszych karet, czekających już na brzegu. Kiedy zdziwiony mag podjechał bliżej, zrozumiał dlaczego. Most na Małym Morzu Srebrnym był zbudowany z połączonych ze sobą płaskodennych łódek. Przycumowane i unieruchomione jedna względem drugiej, przykryte deskami, tworzyły długi na niemal pół *wisty* pomost. Łodzie były olbrzymie, przypominały promy na Ptyonie, i tak dobrze ze sobą połączone, że pomost niemal się nie kołysał, Ale na pewno nie utrzymałyby nacisku osi olbrzymiej karocy Trazwalara. Monarcha siedział już w siodle, wierzchowiec przestępował z nogi na nogę, w szczelnym pierścieniu gwardzistów Marecheby Sieci. Sodos Skrępowany ściągnął delikatnie wodze, zatrzymał konia w miejscu. Sięgnął za pazuchę i wypił kilka łyków z płaskiej flaszki. Robiło się chłodno, lekki wiatr od jeziora obficie nawilżał powietrze. Mag rozejrzał się, żeby znaleźć swój wóz i chwycić z niego coś na grzbiet, ale ani Faseha, ani wozu nie było już widać, nawet nie zauważył, w jaką stronę skręcił.

Wstrząsnął nim dreszcz, Potrząsnął ramionami. Od jeziora zbliżał się jeździec, mag rozpoznał Oba Rydla. Ten, nie zwalniając, powiedział:

–Poczekaj chwilę, panie. Mam sprawdzić jedną rzecz i zaraz przyjadę po ciebie.

–Jeniec też będzie na wyspie? – upewnił się Sodos Skrępowany.

–Oczywiście! – rzucił *samerantur* przez ramię. Zniknął w mroku, pojawił się znowu, przejeżdżając obok wyposażonego w pochodnię wozu. Mag odprowadził go wzrokiem.

„Za bardzo bywam tu na widoku”, pomyślał nagle. Przeczucie, powiew grozy, może fala niechęci czy złości dotarła doń i zjeżyła włosy na karku. Szybko, ale nie zwracając uwagi na siebie, odjechał w bok i ukrył się w mroku, W gęstych, lepkich i zimnych ciemnościach, słysząc skrzypienie kół i stukot kopyt, przesunął się wzdłuż karawany, zsiadł z wierzchowca i przyłożył ucho do ziemi. Nasłuchiwał chwilę, ale tyle kopyt uderzało w glebę, tyle setek skrzypiących, okutych kół przetaczało się po szlaku, że nie sposób było wyróżnić z nich kroków jednego człowieka, jednego wierzchowca. Sodos chwycił wodze i wolno poprowadził konia z powrotem, oddalał się od jeziora, Gdyby ktoś chciał go odnaleźć, raczej pomyślałby, że zbliża się do jeziora, do jasno oświetlonego lampionami i pochodniami mostu i placu przed nim. Przeszedł tak jedną trzecią *wisty*, potem wskoczył w siodło, i podjechał do karawany, wybrał wóz równo oddalony od oświetlonych z przodu i z tyłu, podjechał blisko i osłonięty z boku wracał nad jezioro. Po chwili zobaczył, że w miejscu, gdzie poprzednio się znajdował, stał Ob Rydel.

–Jestem – powiedział, zbliżając się. Zaskoczony *samerantur* obejrzał się przez ramię.

–Nie wiedziałem, gdzie się podziałeś, panie – oświadczył z dziwną nutką w głosie.

–Musiałem odjechać, by ulżyć sobie – lekkim tonem rzucił mag. – Tam – wskazał brodą – może nie być miejsca...

Ob chrząknął, jak się wydało magowi, z przyganą, ale już się nie odezwał. Po prostu ruszył wodze i skierował wierzchowca ku wodzie. Sodos podążał za nim. Kiedy zbliżyli się do cumowiska, lekkie wozy z kobietami wjechały już na pływającą groblę i z głośnym hurkotem pokonywały ją. Trazwalar Wielki stał z kielichem w dłoni, przed nim zamarł w kornej postawie niski staruszek w wysokim kołpaku na głowie. Ob Rydel zeskoczył z siodła, cisnął wodze parobkowi, pokazał gestem magowi, by zrobił to samo. Podeszli bliżej, ale zatrzymali się w pierścieniu otaczających monarchę zauszników i oficjeli.

–A mój czcigodny ojciec? Jak się czuje? – usłyszał mag pytanie Trazwalara.

–Jest w pełni sił, najjaśniejszy panie – odpowiedział staruszek, pochylając głowę.

Omal nie trącił przy tym czubkiem kołpaka Trazwalara Wielkiego w twarz. Monarcha odskoczył, machnął z niezadowoleniem ręką, jakby opędzając się przed namolną muchą, ale nie trafił. Resztką wina wychlusnęła z kielicha, szereg kropeł łukiem rozleciał się i opadł na trawę, jak szarpnięty i rozerwany sznur karminowych pereł rubino-pława. Niezrażony staruszek ciągnął:

–Wybrał się na południowy brzeg. Jest pora wypełzania na brzeg węgorki. Zaczęła się wędrówka największych i najstarszych okazów...

–A, no tak. Ojciec... Mój szanowny ojciec nie popuści niczemu, co ma ogon i płetwy. – Trazwalar Wielki zerknął do kielicha, odsunął go na bok i poczekał, aż sługa podskoczył i dolał do naczynia wina. Łyknął z kielicha. – Choć płetw te stwory raczej nie mają – odwrócił się do grubasa w podobnym spiczastym kołpaku, dowodzącego przeprawą.

–To co, możemy i my się przeprowiać?

Grubas odskoczył, jakby obawiając się, że jego cielsko, rzeczywiście imponujące, może przeszkadzać Trazwalarowi. Monarcha był w złym humorze. Skinął na Marencebę Sieć, gdy dowódca gwardii podbiegł, chwycił go za łokieć, i przyciągnąwszy do siebie, poprowadził w bok od mostu. Drugą ręką skinął na najbliższego żołnierza z pochodnią w ręku. Odeszli od grupki oczekujących na przeprawę, Trazwalar ustawił się plecami i coś mówił do dowódcy swojej gwardii. Po kilku słowach Marenceba Sieć pochylał się do monarchy, jakby ten ściszył głos, ale Sodosowi wydało się raczej, że *halemmed* nie wierzy własnym uszom, że monarcha powiedział coś, z czym doświadczony wojownik nie może się pogodzić. Trazwalar Wielki wyciągnął rękę i, unosząc ją z wyprostowanym wskazującym palcem, wyraźnie

zabronił jakichkolwiek komentarzy czy sprzeciwu. Marenceba Sieć wyprostował się, drgnęły mu ręce, ale zaraz opadły i bezsilnie zwisły wzdłuż boków. Monarcha stał jeszcze chwilę, potem dopił wino i niedbale cisnął puchar wart połowy prowincji w stronę wozu. Służący rzucił się, by go podnieść.

Mag wpatrywał się w dwuszerę pochodni płonących na tyczkach w każdym segmencie mostu, który pokonywały trzy wozy, tylko trzy. Sodos zmarszczył lekko brwi i chwilę ważył coś w myślach. Obliczał.

Potem odwrócił się i ciągle zamyślony wrócił do kręgu rozświetlonego oliwnymi kagankami, których płomienie osłonięto walcami ścianek z cienko łupanych płytek *klazu*. Widząc Marencebę Sieć, podszedł doń, zapytał cicho:

–Czy moje rzeczy znajdą się w pałacu na wyspie?

–Tak. Ale jutro – *Halemmed* odpowiedział, rozglądając się dokoła, ponad głowami wysokich mężczyzn z otoczenia władcy. W końcu, zakończywszy przegląd, popatrzył na maga. – Jeśli coś musisz mieć już dziś, to zabierz za sobą, ale wiedz...

–Tak, wiem, służba nie wchodzi – przerwał mag. – Kilka drobiazgów zabiorę teraz, ale proszę o specjalną wartę przy moim wozie, póki reszta moich rzeczy nie znajdzie się przy mnie.

–Dobrze.

Sodos odwrócił się i patrzył chwilę na korowód wozów, rozświetlonych pochodniami i ciemnych. Skinął głową Marencebie i poszedł na spotkanie zbliżającego się wozu. *Halemmed* widział, jak gestem kazał zjechać woźnicy na bok, coś powiedział do Faseha i wskoczył na platformę wozu. Po chwili zniknął we wnętrzu drewnianej budy. Woźnica wyprowadził wóz z karawany i zatrzymał na trawie. Po chwili i on, i Faseh zaczęli zgodnie kiwać głowami, jakby zamierzali nosy wbić w kolana. Dwa nietoperze, bezszelestnie powtarzając ewolucje w powietrzu, okręciły się kilka razy dokoła płomienia pochodni i zniknęły bezgłośnie w mroku. W oświetlonym kilkunastoma pochodniami kręgu Trazwalara pojawił się *samerantur*, za nim do kręgu wstąpili pachołkowie niosący stoły-lektyki. Parowało na nich przed chwilą wyciągnięte z ognia mięso, władca klasnął w dłonie i ruszył ku kolacji.

Znajdował się o krok od pieczystego, już wyciągał rękę do wachlarza z grubych plastrów marynowanej, ugotowanej i podsmażonej następnie piersi pawia, przekładanej cienkimi płatkami bardzo ciemnej, niemal brunatnej, korzennej i ostro bejcowanej wieprzowiny, gdy z ciemności, przez które przebijała się karawana, rozległ się wysoki, przenikliwy wizg. Z mroku wypadł nagi, ciemnoskóry mężczyzna, z czerwonymi, ukośnymi pasami na skórze, od pępka do ramion, wymachując trzymany w prawej ręce czarnym sztyletem, w lewym ręku trzymając sznur z

szeregiem węzłów na całej długości. Kilkoma skokami dopadł wozu Sodosa, jednym długim susem wskoczył na próg budy i zniknął w jego wnętrzu. Wszystko odbyło się tak szybko, że Trazwalar Wielki jeszcze sięgał po kawał mięsa, ale nawet nie zdążył dotknąć gorącego mięsiwa. Strażnicy potrząsali głową, a Marecheba Sieć, i tak najszybszy ze wszystkich, dopiero dotykał koniuszkami palców rękojeści swojej szabli.

Smoliście połyskujący mężczyzna zniknął w wozie maga, krótką chwilę potem z wnętrza dobiegł wszystkich powtórnym upiornym wizg, a potem głośny huk, i nagle cały wóz drgnął, prysnął deskami na wszystkie strony, a potem jakby przysiadł i – nabrawszy mocy – wypchnął wysoko w górę dach.

Cała ta scena okraszona była błyskiem i kulistym płomieniem, który walnął w plecy i tak już spadających z kozła woźnicę i Faseha Zielonego. Ćwierć mgnienia oka później ognisty i dymny kłęb uderzył w zady ostatnią z trzech par *mułów*. Wystraszony zaprzęg szarpnął, rżąc i kwicząc, zerwał wszystkie więzy i pocwałował przed siebie, w ciemność, zostawiając platformę, na której chwilę jeszcze temu znajdował się dom maga.

Rozległo się kilka okrzyków, Trazwalar Wielki ruch ręki po mięso zmienił w wyciąganie swojej szabli, strażnicy wykonali już po dwa-trzy skoki w kierunku wozu maga. Najbliżsi monarsze gwardziści rzucili się zasłaniać go własnymi ciałami.

Mag, w strzępach odzienia podniósł się z platformy, i na kolanach dotarłszy do krawędzi, zwałił się w trawę. Strażnicy już otoczyli pierścieniem platformę, na której płonęły, dając wystarczającego światła, ubrania, jakieś kawały mebli, wełniany koc na posłaniu maga. Kilka cienkich smug ognia wylewało się poza krawędź platformy – widocznie pękło naczynie z oliwą do kaganków...

Czarnego mężczyzny nie było.

Marecheba Sieć gwizdnął i zatoczył ręką obszerne koło, nadbiegający żołnierze natychmiast zmieniali kierunek i wkrótce dokoła grupki tuzina mężczyzn i dwóch wozów stał szczelny kordon sześćdziesięciu, może siedemdziesięciu uzbrojonych wyśmienicie i znakomicie wyszkolonych żołnierzy.

Czarny, nagi zabójca zniknął...

–Światło! – ryknął władca.

Marecheba Sieć uniósł prawą rękę i wykonał palcami dwa krótkie ruchy; co siódmy żołnierz wypadł z szeregu, luki po nich zostały natychmiast wypełnione, a oni migiem wyrwali z uchwytów w najbliższych wozach pochodnie, rozpalili je i zbliżyli się do Trazwalara Wielkiego. Władca wskazał na leżącego bez ruchu maga.



–Co z nim?

Pochylał się już nad nim Marecheba Sieć, kiwając się na krzywych nogach, galopował w jego kierunku Kerel. *Halemmed*, rozejrzawszy się dokoła i uznawszy, że na razie nic nikomu tu nie zagraża, przykucnął przy magu i ostrożnie najpierw dotknął jego szyi, potem odwrócił mężczyznę i chwilę się mu przyglądał. Potem skinął głową do mówiącego coś cicho karła i podbiegł do monarchy z meldunkiem:

–Ogłuszony, poparzony trochę, potłuczony, może ma coś złamane albo zwichnięte, ale nic więcej nie widać na pierwszy rzut oka. Krwi nie ma, tylko kilka drzazg wbitych w twarz i pierś. Lepiej poczekać na medyka, pewnie już tu pędzi...

–Tak, dobrze... Dobrze... A co...

Trazwalar Wielki zacisnął zęby i zmrużonymi oczami jakby usiłował przebić się przez mrok.

–Nie wiem, panie. Widziałem tylko jakiegoś czarnego ni to demona, ni to mężczyznę... Wpadł do wozu i wóz wybuchł... – zerknął na boki i ściszył głos:

–Dziwny jakiś wybuch, nie z proszku ognistego, i też nie jak gaz błotny...

–Płomień był niebiesko-biały, widziałeś, prawda? – zapytał przez zęby Traszwalar, patrząc obok Marecheby.

–Tak. Dlatego mówię, dziwny, niezwykły...

–Może to magia? *Halemmed* skinął głową.

–Też tak sędzę – powiedział. Traszwalar Wielki zauważył, że obie dłonie wojownika zaciśnięte są na rękojeści miecza. Zapewne ten uścisk miał ukryć ich drżenie. Władca siłą powstrzymał się przed rzuceniem spojrzenia w dół, na swoje dłonie. – Może były nałożone jakieś zaklęcia strażnicze i czy jakie tam oni stosują... Ten ktoś...

–Xameleon! – warknął Traszwalar, w jednej chwili odzyskując równowagę ducha.

Marecheba Sieć pochylił głowę, ale nie przytaknął. Po chwili, kiedy uznał, że monarcha na razie nie będzie się odzywał, dokończył:

–Zamachowiec... – poczekał znowu chwilę. – Bo chyba chciał zadźgać maga? Wpadł na jakąś magiczną pułapkę...

–Może. Tylko dlaczego sam mag... – wskazał brodą leżące na trawie ciało.

–Nie wiem, panie... – poderwał głowę. – A może ten czarny zaatakował go

zaklęciem?

–I co – sam zginął? – zapytał z niedowierzaniem, zastanawiając się nad przypuszczeniem *halemmeda*, Trazwalar.

–Może ich zaklęcia starły się ze sobą i wybuchły?

–A ten czarny?

–Zniknął przy użyciu magii – coraz pewniejszym tonem odpowiadał Marenceba Sieć. Widać było, że jest zadowolony z siebie i swoich domysłów.

–To dlaczego równie niewidzialnie i magicznie nie przybył do maga? – Trazwalar Wielki wyciągnął rękę, położył ją na ramieniu Marenceby i, mocno zacisnąwszy, potrząsnął dowódcą swojej gwardii. – Dlaczego, wreszcie, nie wpadł do mojego wozu, niewidzialny i bezgłośny, by mi poderznąć gardło? – Puścił *halemmeda* i potrząsnął głową. – Nie, skoro się pokazał, to musiał, nie mógł tego uniknąć...

–Ale czy w ogóle był to obdarzony ciałem człowiek? – bąknął *halemmed*.

–Myślisz, że demon?

–No... może... Może wysłany przez kogoś, ale kiedy trafił na zaporę maga, to pękł jak... rybi pęcherz...

Wychylił się, żeby widzieć maga. Medyk właśnie przebił się przez kordon żołnierzy i biegł w kierunku króla. Ten zdecydowanym gestem wskazał mu leżącego na trawie Sodos. Obok niego znajdował się już *samerantur*, nadal pochylał się, jakby pilnując pierwszej oznaki życia, Kerel Od Śmierci Włos.

–Musi komuś przeszkadzać – cicho mruknął Marenceba Sieć.

Kątem oka zobaczył, że monarcha rzucił mu kosę spojrzenie, ale nie odezwali się do siebie. Po dłuższej chwili Kerel stęknął, i poderwawszy się z klęczek, pobiegł do władcy.

–Osmalony – rzucił. – Dech mu sparło... To coś, co rozwalilo wóz, huknęło pewnie i w niego...

–A toś mi nowiny przyniósł! – zakpił Trazwalar. – Gdzie ten czarny? Co rozwalilo wóz? Kiedy Sodos zacznie mówić?

–Zaraz mu medyk tylko oczy przemyje, bo się skleiły powieki... – karzeł zerknął przez ramię. – Dadzą mu coś do ubrania i pić...

–Dobrze. W takim razie – trącił *halemmeda* w ramię.

–Niech gwardziści czuwają, może on wyleciał z wozu i leży gdzieś, może jest niewidzialny... A ja bym bardzo chciał go wziąć nad Studnię Głów – w okrutnym uśmiechu błysnęły wilcze zęby króla. – Pokazałbym mu Zrywacza...

–Nie zmrużymy oka – zapewnił go Marecheba Sieć.

–A Sodos?... – zawiesił głos.

–Pod silną strażą do wozu i na wyspę. Tylko to nie znaczy, że macie go pilnować, tylko że macie go strzec. – Odwrócił się, i zanim odszedł, rzucił jeszcze przez ramię:

–Teraz zrobił mi się bardziej potrzebny niż kiedykolwiek wcześniej...

*Halemmed* pochylił głowę w ukłonie, Kerel podłubał w ucho. Odczekał, aż władca oddali się na bezpieczną odległość.

–Ciekawym, do czego Trazwalar chce wykorzystać maga? – sapnął.

## Rozdział 15

Do południa brakowało trochę ponad *semię*.

Podtrzymywały go pod łokcie dwie przydzielone do pielęgnacji kobiety; wolno dotarł do kładki, gdzie – uruchomieni krótkim ruchem brwi Marecheby – podskoczyli dwaj gwardziści i wprowadzili obolałego maga na pokład. Kobiety przez całą noc czuwały przy potłuczonym Sodosie, co *semię* wybierały jakiś słoiczek albo jedną ze skrzynek z drewna śliwowego i zaczynały celebrować nacieranie. Mimo bólu mag zasypiał, czy raczej zapadał w dziwny półsen, a one, cicho coś nucąc, polewały go chłodzącymi, tłustymi olejkami na zmianę z lepкими, żywicznymi maściami. Wszystko to pod ich zręcznymi dłońmi wchłaniało jego ciało, ból ustawał...

Teraz, przekazawszy podopiecznego gwardzistom, pochyliły się w niskim ukłonie i odeszły. Sodos, przez krótką chwilę stojący o własnych siłach, dotknął przelotnie kieszeni, gdzie spoczywał mały flakonik z kroplami, których dziesięć miał zażyć, gdyby poczuł się osłabiony. A wiedział, że na słabość nie może sobie pozwolić.

Gwardziści wprowadzili maga na pokład tratwy powstałej po złączeniu ośmiu łodzi, zazwyczaj tworzących most na wyspę Cuchiwa, podprowadzili do krzesła i posadzili na nim, nie zwracając uwagi na to, że widząc Trazwalara i resztę świty, chciał zatrzymać się i złożyć ceremonialny ukłon.

–Nie wstawaj! – rzucił władca.

Stał przy poręczy, przeciągnął się, aż trzasnął jakiś staw.

Obok siedział na poręczy Kerel Od Śmierci Włos, po drugiej stronie, w ogromnym krześle, wyplatany z cienkich korzonków drzewa *sulaho*, zasiadała małżonka króla, Hanibeli Perła. Zdawało się, że nie dostrzegła przybycia maga; Sodos Skrępowany, zastanawiając się nad wyraźną niechęcią królowej do siebie, doszedł do wniosku, że sam jest sobie winien: sekret monarchini, którym zamierzała oszołomić małżonka, on podał Trazwalarowi jak zwyczajną wiadomość o zdobyciu mało ważnego grodu. „Być może Hanibeli Perła – myślał mag – chciała przy okazji wytargować dla siebie coś, a ja pozbawiłem ją tej możliwości i na dodatek naraziłem na odruchową złość króla”. Nie zaliczał więc mag monarchini do grona życzliwych sobie ludzi. Obok siedziała żona brata władcy, Seina Toń, ta może była mu obojętna i on jej, ale obok stał Brulwerd Jasna Noc, trzymał rękę na ramieniu małżonki, w nieco upozowany sposób, w jaki często, a nawet tradycyjnie malowane były konterfekty w innych, znanych magowi krainach.

Po drugiej stronie karła znajdował się interesujący warsztat, trzy lekkie stoliki na cienkich nóżkach ustawione w podkowę, na prawym stała na grubej kracie, ułożonej na grubej warstwie kamieni, taca, pełniąca rolę paleniska. Już buchał z niej wesóły ogienek. Centralny stolik wyłożony był deskami, na lewym znajdowało się kilka kwadratowych mis z wodą.

Na tratwie znajdowało się jeszcze ośmiu gwardzistów, *samerantur* Ob Rydel i trzech kruchych, pomarszczonych starców. Jeden z nich, wychylony przez burtę, wypatrywał czegoś w toni, dwaj stali przy jego bokach, jakby sprawdzali jego ruchy albo pilnowali, by nie zwałił się przez poręcz. Trazwalar Wielki wyciągnął rękę i łyknął z podanego przez karła kielicha.

–Zawsze świetnie się tu czuję – powiedział, zataczając ręką niemal pełne koło.

Tratwa odbiła już od brzegu, na dolnym pokładzie poszły w ruch wiosła, statek zdolny do przewiezienia kilkudziesięciu osób i dwu tuzinów koni, łagodnie odsunął się od przystani. Mimo deklaracji władcy, nie wyglądał on na zadowolonego ani szczęśliwego.

–Wiesz, jak w moim królestwie kształci się monarchę? – zapytał maga. Nie czekając na odpowiedź, a raczej pewien jej brzmienia, kontynuował: – Następca tronu musi odbyć dziewięcioletnie przeszkolenie w jednej z podstawowych dla państwa rodzin. Wybiera się rodzinę przeciętnego rolnika, rybaka, myśliwego, kapłana lub wojownika. I oddaje się do niej następcę, kiedy ma sześć lat. W ten sposób mamy pewność, że przyszły król będzie dobrze wiedział, na czym opiera się jego państwo, jak utrzymać je w sile, jak dbać o te podpory! A ponieważ nigdy nie są to te same słupy pod rząd, to kolejni władcy dbają o kolejne instytucje podstawowe dla potęgi królestwa...

Mag odkaszlnął, przyciskając dłoń do piersi.

–To niezwykły sposób, ale skuteczny jak sądzę – powiedział.

–Jak się czujesz? – zmienił kompletnie temat władca.

–Obolały, jakby mnie kilku zuchów okładało kijami przez pół *semii*.

–A nie podzieliłbyś się z nami swoją wiedzą o tym wypadku? – rzucił od niechcienia Brulwerd Jasna Noc.

–Oczywiście, panie, że się podzielę – mag ostrożnie zaczerpnął powietrza, w jego oczach przez króciutką chwilę gościł błysk bólu.

–Przeglądałem swoje rzeczy, żeby wybrać te, które chciałem w pierwszej kolejności zabrać na wyspę Cuchiwa, kiedy otworzyły się drzwi i rzucił się na mnie czarny mężczyzna. To był *khuremes*. Różnie ich zwa, widmołakami, dusiergami, Czarnymi Obłokami... Widziałem takich *khuremes* podczas jednej z wędrówek w czasach młodości. *Khuremes* w jednym z zapomnianych czy zakazanych języków znaczy Posłaniec Śmierci. Ten był albo jakimś czarownikiem, albo stworzonym tylko do tego jednego celu *ghoisem*... - poruszył ramionami zapominając o sińcach, i znowu błysk bólu przemknął przez spojrzenie maga.

–Nie miałem czasu na żadne subtelne manewry, nie miałem szans go obezwładnić, powstrzymać, unieruchomić... Po prostu odruchowo huknąłem w niego całym zapasem magii, jakim dysponowałem w owej chwili. Albo było tego za dużo, a może starły się dwa rodzaje magii, nie wiem, ale stało się to, co się stało: mój wóz wybuchł, mną cisnęło w powietrze. Niewiele więcej pamiętam – uśmiechnął się lekko.  
– Sam lot nie trwał wystarczająco długo, by o nim opowiadać...

–A nie wiesz dlaczego ów czarny nie rzucił się na męża? – wtrąciła się nagle Hanibeli Perła. – Przecież celem xameleona nie jesteś ty?

Po raz pierwszy królowa odezwała się do maga, wcześniej chyba nawet nie miał okazji usłyszeć brzmienia jej głosu.

W jej twarzy o doskonałych proporcjach, z pulchnymi, czerwonymi ustami, oczy patrzyły jak dwa wycelowane w rozmówcę groty. W tym momencie ujawniła, że nie tylko nie lubi maga – wręcz go nienawidzi.

–Nie wiem tego, pani – mag zdobył się na wysiłek, wstał i pochylił się w długim, pełnym szacunku ukłonie. – Mimo usiłowań nie jestem w stanie dotrzeć do umysłu złudzieńca...

–O jakich to usiłowaniach mowa? – kpiącym głosem rzucił Brulwerd Jasna Noc. – Do tej chwili, a minęło sześć kwadr twojego pobytu na dworze mojego brata, nie zrobiłeś nic. Chyba że mówimy o zabiciu czterech ludzi – prychnął pogardliwie,

sugerując, że sam zabija taką ilość wrogów jeszcze przed śniadaniem. – Nie przekonałeś mnie ani do jednego swojego ruchu, ani jednego czynu...

–Zapewne nie wiesz, bo dlaczego miałbyś, panie, zaprzętać sobie głowę moimi działaniami, ale odbyłem z jeńcem, najbliższą xameleonowi osobą, kilka długich rozmów. To, co on mi powiedział z własnej woli to jedno, co wyciągnąłem z niego sam – to inne rzeczy. Trochę ich poznałem, dlatego mogłem blokować pewne jego ruchy, gdyby się na nie odważył.

–Jakie to ruchy? – Brulwerd puścił ramię żony i postąpił krok do przodu. Był wściekły. – Może coś nam wreszcie powiesz?

–Nie – odparł spokojnie mag. – Panie – dodał po króciutkiej chwili.

Oczy brata monarchy zapłonęły szalem. Sodos przypomniał sobie wzrok samego Trazwalara podczas przeprawy przez rzekę, kiedy władca przeholował z *undrą*. Kątem oka widział, że tym razem król nie angażuje się w rozmowę, już właściwie spór, przygląda się z boku, obserwuje, wyciąga dla siebie wnioski.

–Ale nie wiesz przecież, panie – zwrócił się do Brulwerda mag – czy przypadkiem twój brat nie znajduje się pod kurtyną, jaką dokoła niego rozciągnąłem? Mam nadzieję, że właśnie to sprowokowało zamachowca do uderzenia we mnie. Tak myślę...

–Co mnie twoje myśli obchodzą?! – wrzasnął rozjuszony brat króla.

–Ale mnie, Brulwerdzie, obchodzą – odezwał się w końcu władca.

Powiedział to cicho, spokojnie. Brulwerd natychmiast zwiotczał, odwrócił się i przyłożył rękę do piersi.

–Bracie, przecież wiesz, że to tylko troska i zaniepokojenie działaniem tego...

Znakomicie stłumił ostatnie słowo, tak że wszyscy obecni wiedzieli jak brzmi: „oszusta”.

–Dobrze, bracie. Daj mi zadać też jedno pytanie magowi – poprosił król.

Brulwerd cofnął się, nie odrywając ręki od piersi.

–Powiedz mi zatem – jak to się ma do kosztów, o których sporo mi mówiłeś? Że czasem nie warto, że to kosztuje, że niebezpieczne?

–To wszystko jest prawdą, panie. Ale przecież nie mówiłem, że dysponuję mocą, której nigdy nie używam. Im dłużej tu byłem, tym bardziej atak złudzieńca stawał się

**prawdopodobny, więc już nie było na co czekać...**

**–Czy teraz też dokoła mnie jest kurtyna? – zapytał monarcha ironicznie nieco, przeszywając powietrze w kilku miejscach palcem.**

**–Zwolnij mnie z odpowiedzi, panie.**

**Trazwalar Wielki otworzył usta i za chwilę uleciałyby z niego niezbyt miłe dla maga słowa, ale w tym momencie starcy wyciągnęli na pokład węcierz z rybami, rozległ się chlupot wody, trzepot łuskowanych ciał na drewnie podkładu. Starcy radośnie zaczęli rozmawiać ze sobą w nie znanym magowi języku, jeden z nich rzucił mu dziwne, jakby ostrzegawcze spojrzenie.**

**–Zwalniam na jedną *semię*, nie więcej! – rzucił twardo władca, podnosząc głos, by jego słowa dotarły do maga, – Potem wszystko mi powiesz.**

**Rozejrzał się dokoła, tratwa odpłynęła już dobre ćwierć *wisty*. Na pokładzie nic się nie zmieniło. W każdym rogu stali twarzami do jeziora dwaj gwardziści, każdy pilnował jakby końca swojej burty. Kerel po taborecie znowu wdrapał się na barierkę. Obie kobiety siedziały w milczeniu, piękne jak nie z tego świata, porcelanowe, skończonej urody lalki w strojach wartych połowę co poniektórych księstewek... Królewski zaś brat jakby zapadł się w siebie, jakby całą energię zużył na sprzeczkę z magiem. W rogu stał jeszcze Ob Rydel, ale wyglądało, że interesuje go tylko przemieszczanie się pozostałych łodzi, które odcumo-wywały od wyspy, jeszcze chwilę temu tworząc girlandę dokoła zamku Tunne-Wynn, i pędziły teraz na swoje miejsca w długim rzędzie, który miał utworzyć most. Pływający most, codziennie w nocy rozbierany, i codziennie rano montowany z powrotem.**

**–Teraz mój ojciec, Boicosta Mokre Dłonie, z pomocnikiem, ugotują najwspanialszą na świecie rybną zupę! – powiedział nagle Traszwalar Wielki, gładko przechodząc od groźby do radosnej zapowiedzi.**

**Jeden ze starców, ojciec monarchy, stary król, ten, który spojrzeniem chciał chyba ostrzec przed czymś maga, podszedł do stolików z paleniskami, deskami i wodą. Drugi dokładnie wytrzepał zawartość węcierza na pokład łodzi, rozgarnął kilka nici wodorostów, skrupulatnie przejrzał wszystkie ryby, jakieś trzy tuziny. Drugi pomocnik, choć monarcha mówił o jednym tylko, popatrzył pytająco na ojca Traszwalara. Sodos zauważył, że miał kolorowe ręce, pokryte tak szczelnym tatuażem, że wyglądały jak pomalowane farbami! Lewa ręka była niebieska, prawa czerwona.**

**Kerel Od Śmierci Włos, widząc kierunek spojrzenia maga, parsknął chichotem.**

**–Widzisz jego ręce? – zapytał.**

**–To złodziej. Jak się takiego złapie, to w ramach łaski wkłada się ręce schwytanego**

do kopca mrówek siarkowych, których ukąszenie powoduje jakby oparzenie, następnie te kłody wkłada się do dwu naczyń: w jednym jest zawartość worków kilkunastu kałamarnic, w drugim sok z owoców *shin-hine*. Zabarwiają mu się. Nie wszyscy to przeżywają, ale i tak wolą to niż odcinanie ręki. – karzeł zeskoczył z poręczy i dumnym krokiem przeszedł się po tratwie.

–Wiesz, magu, że tak samo karano gwałcicieli, tylko nie zabarwiano, oczywiście, ręk. Ale ten sposób zarzucono, a wiesz dlaczego? Bo nikt nie przeżywał bólu i nie było zatem kary, tylko uśmiercenie. Ale czasem tak się karze uciekinierów z pola walki...

–Kerel – wesoło jęknął Trazwalar. – Dość, jesteś gadatliwy jak stado srok. – Popatrzył na ojca, i widząc jakiś niewidoczny dla innych znak, pochylił głowę.

–Mój ojciec, Sodosie Skrępowany... – chyba po raz pierwszy użył pełnego imienia maga -...chce ci podziękować za uratowanie życia jego synowi...- uśmiechnął się krótko, przelotnie -...władcy Lanyatty. Uważa, że obraziłby cię, proponując pieniądze czy zaszczyty. Dlatego chce się z tobą podzielić sekretem gotowania najlepszej na świecie zupy rybnej. Sekret ten zdradził mu jego przybrany na kilka lat w dzieciństwie ojciec, a on podzielił się nim dopiero trzykrotnie: z moim bratem, ze mną i ze swoim przyjacielem – wskazał ręką pomocnika. Tego z rękami w kolorze ludzkiego ciała.

–To jest Shiywen Śpiący Pies.

Staruszek wskazany przez króla pochylił głowę, ale wyraźnie przed nim, nie przed magiem. Sodos jednak ukłonił się ojcu Trazwalara i Shiywenowi.

–Tak więc – możesz obserwować kunszt mojego ojca... – Trazwalar Wielki wyraźnie zawiesił głos, zawahał się i jednak nie dokończył.

Mag zrozumiał, że następnymi słowami byłyby te ostrzegające przed lekceważeniem zaszczytu. Nie zamierzał go jednak lekceważyć.

–Panie, nie to cenne, co wszyscy uważają za skarb, tylko to, co my sami za skarb uważamy – powiedział, kierując te słowa do ojca Trazwalara, a tamten podziękował krótkim skinieniem głowy i bez słowa zabrał się do pracy. Pomocnicy, rozumiejący się z nim znakomicie, ustawili się po obu bokach.

Najpierw cała trójka zwróciła głowy ku zawartości wię-cierza. Palec byłego monarchy bez wahania wskazał sporego miętusa, który został od razu chwycony przez białą ściereczkę i wrzucony do wiadra, następnie starcy przykucnęli i uważnie przyjrzeni się pozostałym rybom. Później wybrany został szczupak, jeden z trzech, średni, najmocniej miotający się po pokładzie pokrytym grubymi, konopnymi matami. Potem wybrano największego okonia, wielkość którego najwyraźniej bardzo



przypadła do gustu starszkom, i na końcu wrzucono do wiadra podobną do sandacza rybę, tylko bardziej pękata i z płetwą grzbietową niemal błękitną. Reszta ryb została natychmiast przez „nieistniejącego” barwnorękiego pomocnika zmieciona do wody.

–To jest bardzo istotny moment – odezwał się Tra-zwalar, popykując ze *steges-thoi*, niewielkiej, tym razem z jednym tylko ustnikiem. Gorzki zapach *ghaimisu* roz-szedł się dokoła.

–Muszą być cztery gatunki ryby, nie trzy i nie pięć. Choć zdarza się, że gotuje się z sześciu, dodając drobnicę, ale mój czcigodny ojciec nie uważa tego za właściwe.

–Rozumiem – powiedział mag i nagle dodał:

–Szczерze mówiąc, to za bardzo wyrafinowane jak na mnie. Nie rozumiem. Ale przyjmuję do wiadomości, że mają być cztery gatunki.

Nagła jakaś myśl zaprzątnęła na chwilę jego uwagę, ale ponieważ przemknęła tylko przez umysł i zniknęła gdzieś w jakimś ciemnym jego zakątku, to odłożył wyszukanie jej na później, i wrócił do przyglądania się przygotowaniu zupy.

Ojciec Trazwalara, Boicosta Mokre Dłonie, zapuścił rękę do wiadra, błyskawicznie wyjął szczupaka, i wsunąwszy palce pod skrzela, ułożył na desce, chwilę potem jednym precyzyjnym uderzeniem w głowę ogłuszył rybę. Ułożył brzuchem do siebie, z pęku noży wyjął cienki i spiczasty, i mocnym ruchem nadciął rybę przy głowie, potem odwrócił i powtórnym, identycznym ruchem dokończył odcinania głowy. Bezimienny pomocnik błyskawicznie pochwycił deskę z korpusem szczupaka i odłożył na bok, podstawiając staremu monarsze czystą deskę. Ten ułożył głowę na wierzchniej części, nadciął ją od dołu i rozwinął jak małą, niekształtną książkę. Następnie odwrócił głowę, i odciągnąwszy policzek ryby, zdecydowanym ruchem wyrwał skrzela, a potem wsunął palec i wydusił na zewnątrz oko, a kciukiem przydusił tak mocno, że ścięgno puściło, a oko, błysnąwszy w słońcu wesoło, wpadło do podstawionej miseczki. To samo stało się z drugą połową głowy i drugim okiem. Głowa została opłukana i wrzucona do garnka z zimną wodą, a garnek Shiywen Śpiący Pies ustawił na nikłym ogniu. Ojciec Trazwalara chwycił już w tym czasie bezgłowy korpus, i włożywszy szpic noża, w otwór wydalniczy, jednym zdecydowanym ruchem rozplatał rybę, ciało drgnęło, ale tyle było tego ruchu. Palce starca rozłożyły na desce wnętrzności.

–Potrzebna jest wątroba i pęcherz – wyjaśnił Trazwa-lar z fają w ustach. – I mlecz, oczywiście, albo ikra, w zależności od pory roku.

Wymienione części ryby zostały odłożone na bok, reszta wrzucona do miseczki z oczami.

Nóż w ręku Boicosty Mokre Dłonie zręcznie objechał płetwę odbytową w kierunku ogona, potem odcięta została grzbietowa i płetwy brzuszne. Teraz ryba została ułożona na desce i kilkoma niewiarygodnie precyzyjnymi ruchami pozbawiona ości. W każdym razie mag ledwo **zdążył** odetchnąć dwa razy, a na stole leżały dwa piękne kawałki mięsa na skórze i oddzielnie kręgosłup z żebrami i ogonem. Ości i odcięte płetwy, opłukane przez Bezimiennego Złodzieja, wpadły do garnka z głową, a starzec zabrał się do odcinania skóry od mięsa. Ostry nóż i pewna ręka spowodowały, że i ta czynność wyglądała na łatwą i prostą, ale Sodos wiedział, że to pozory, zrodzone przez nieprawdopodobną wprawę i doświadczenie. Po chwili na stole zostały dwa płaty czystego mięsa, a skóra wylądowała w garnku. Teraz Shiywen Śpiący Pies szybko uzupełnił wodę i dołożył do ognia dwie garście drobno połupanych, suchych drzazg.

Ojciec Trazwalara odsunął się od stołu, a jego miejsce zajął Bezimienny. Podobnie wprawnie postąpił z trzema pozostałymi rybami, mimo że jedną z nich był śliski miętus, ale przy pomocy Shiywena oprawienie ryb zajęło mu tylko tyle czasu, ile ojcu monarchy dokładne opłukanie rąk. Staruszek chwycił podaną przez młodszego syna fajkę z *undrą* i z przyjemnością zaczął pykać, zerkając na pomocników. A ci powtórzyli wszystkie jego czynności, odcięli głowy, oczyścili je z oczu i skrzeli, wypatroszyli ryby, odłączyli wątroby i pęcherze. Przy miętusie Bezimienny jakby z triumfem pokazał wszystkim jak okazała jest jego wątroba. Potem starcy, zręczni jak kuglarze na jarmarku, oczyścili stół z resztek, opłukali deski i odsunęli się. Ojciec Trazwalara wrócił do stołu.

Oczyszczone płaty mięsa pociął migiem na paski, posolił i posypał jakimiś ciemnymi, drobno potłuczonymi ziarnami, wydusił na to dwie zielone *limeny* i szcudrze posypał posiekaną drobno pietruszką. Potrząsnąwszy miską, wyrzucił jej zawartość w powietrze i... wszystko wylądowało z powrotem w misce, wymieszane, ale niewystarczająco, bo powtórzył to jeszcze dwukrotnie, a potem przydusił zawartość miski pokrywką i odstawił do wnętrza skrzyni, z której buchnęła zimna para, widocznie w jej wnętrzu kryły się kawały lodu. Bezimienny podał mu oczyszczone już marchwie i kilka cebul. Teraz kucharz zmienił nóż na tasak i zaczął siekać jarzyny tak szybko, że w powietrzu rozległ się werbel, jakby gwardia sposobila się do manewru. Shiywen Śpiący Pies postawił na drugim palenisku głęboką patelnię, i wkrótce w skwierczącym oleju wylądowały posiekane jarzyny. Złodziej z kolorowymi rękami podał mistrzowi tacę z przyprawami, a ten zaczął dorzucać po listku, po ziarnku, starannie wybierając, dobierając, rozważając, niektóre przyprawy przed wrzuceniem próbując. Potem podniósł pokrywkę z garnka, zebrał pianę, startł ze ścianek naczynia zapieczone szumowiny i dorzucił tam startą przez Bezimiennego cebulę. Odczekał chwilę, a z nim pomocnicy. Bezimienny szybko wyjął spod stołu czystą ścierkę, złożył ją i podstawił nad drugi garnek, Shiywen Śpiący Pies przelał wywar przez tkaninę, a Bezimienny ścisnął ją, wyciskając wszystko do garnka. Teraz cała trójka pochyliła się nad garnkiem i chwilę zastanawiała się nad czymś.

**–Teraz, o ile wiem – wyjaśnił monarcha – będzie klarował zupę. Ojciec nie znosi mętnego wywaru, musi być złocisty.**

**Barwnoręki bezimienny pomocnik szybko wstawił gar z wywarem do miski z zimną wodą, a w tym czasie Shiywen Śpiący Pies rozbił jajko i oddzielił żółtko od białka, żółtkiem beztrzesko chlusnął za burtę, a miseczkę z białkiem podał staremu królowi. Ten wyskrobał z podsuniętego ceramicznego gara trochę szronu i zaczął energicznie ubijać białko z lodem. Kiedy uznał, że wystarczy, sprawdził temperaturę naczynia z zupą, wlał tam białko i szybko rozmieszał; gar wylądował na mocnym ogniu. Staruszek ostrożnie mieszał teraz przez cały czas pęczkiem wiklinowych witek, a gdy zupa zagotowała się ponownie, została na chwilę wstawiona do misy z zimną wodą, a potem precedzona bardzo ostrożnie, by nie poruszyć szlamowatego osadu na dnie gara.**

**–Zbliżamy się do końca – zbulgotał Kerel Od Śmierci Włos. Roześmiał się i otarł usta wierzchem dłoni. – Ślina mi leci – oznajmił beztrzesko.**

**Shiywen Śpiący Pies wsypał do ponownie gotującego się na wolnym ogniu wywaru pokrojone w kostkę jakieś bulwy, zamieszał, odczekał kilka chwil i dołożył spasowaną cebulą i marchew. Po doprowadzeniu do wrzenia, Shiywen Śpiący Pies prysnął na szczapki wodą, zmniejszając na chwilę ogień. Stary monarcha ponownie zapalił fajkę, a rozpaliwszy ją, skinął głową. Bezimienny wyjął miskę z kawałkami ryb z lodowni, wymieszał je, a potem wsypał kawałki do bulgocącej zupy. Po wymieszaniu wszyscy oddali się na chwilę rozmyślaniom.**

**Mag ostrożnie, by nie zostać na tym przyłapanym, rozejrzał się po tratwie. Wyglądało, że rytuał gotowania zupy rybnej przez byłego monarchę jest ważniejszy niż by się na pozór wydawało. Na twarzach wszystkich, nawet na obliczach kobiet, które wcześniej starały się upodobnić do pięknych, ludzkiego wzrostu lalek o porcelanowych twarzyczkach, widniała niemal modlitewna rozkosz. Tylko gwardziści byli odporni na silny i jednocześnie delikatny aromat. Wcale nie taki, jaki panował w tawernach portowych czy nawet dobrych karczmach, w których serwowano rybną polewkę.**

**Stary król podał fajkę Bezimiennemu, który natychmiast z szacunkiem pyknął dwa razy i trzymał ją w pogotowiu dla swego pana. A starzec postawił przed sobą miseczkę z wątrokami, mleciami i ikrą, szybko posiekał młodą zieloną cebulkę i, dołączwszy do podrobów, energicznie roztarł to wszystko porcelanowym tłuczkiem i wlał do garnka z wysoka, płynnym, triumfalnym i wyćwiczonym gestem unosząc rękę. Shiywen Śpiący Pies już czekał z dużą garścią drobno posiekanej pietruszki, płatków *limeny* i miseczką z jakimiś ostrymi, roztartymi na pył ziarnami. Wszystko to wsypał do zupy, a po chwili, kiedy stary monarcha wciągnął powietrze i skinął przyzwalająco głową, dołał tam kieliszek przezroczystej cieczy, jak się magowi wydawało mocnej wódki. Ojciec Trazwalara odczekał chwilę, potem włożył do garnka**

długą warzāchew i łagodnie zaczął mieszać w gotującej zupie, kiedy w środku wytworzył się wir, wyjął warzāchew, szybko sięgnął do ognia, wyjął długą szczapę, zdmuchnął popiół i włożył żar do zupy.

–To nadaje osobliwy, delikatny, a niezbędny aromat dymu – niewyraźnie, widocznie mając usta wypełnione śliną, powiedział Kerel Od Śmierci Włos.

Nikt poza nim się nie odzywał od dłuższej chwili, jakby uczestniczyli w obrzędzie, którego nie śmieli zakłócać trywialnymi słowami.

Garnek został zdjęty z ognia, stary król chwycił swoją fajeczkę i usunął się, a Bezimienny zaczął rozlewać zupę do miseczek, dbając, by w każdej miseczce ze złocistym bulionem pływało po kilka kawałków ryby. Shiywen Śpiący Pies roznosił małe tacki z miseczkami. Pierwszą dostał stary monarcha, potem Trazwalar Wielki, królowa... Mag usunął się nieco na bok, by nie przeszkadzać krzątającemu się Shiywenowi. Ale ten podążył za nim z miseczką w ręku i wręczył mu ją z lekkim skłonem głowy. Sodos odnotował, że otrzymał zupę przed Brulwerdem i widział, że ten również to zauważył. Zanurzył kruchą łyżkę z cieniutkiej, prześwitującej mlecznym światłem porcelany w zupie, podniósł do ust i skosztował. Na jego obliczu odbiła się jak w lustrze wyraźna rozkosz. Zupa rzeczywiście była królewska – aromatyczna, ale nie powalająca wonią ryby, klarowna, ale jakimś cudem gęsta, złocista w kolorze, łagodnie pieprzna, z posmakiem dymku. A jednocześnie rozgrzewająca i podniecająca. Po drugiej łyżce mag podniósł spojrzenie, chcąc Boicoście oddać hołd, ale zobaczył, że stary monarcha zmierza w jego kierunku z miseczką w dłoni.

–Panie – powiedział szybko mag – w chwili, kiedy przełknąłem pierwszą łyżkę, stała mi się krzywda, albowiem już nigdy nie tknę innej zupy rybnej, a na dodatek będę zawsze tęsknił do tej właśnie...

Boicosta Mokre Dłonie pochylił głowę z wdzięcznością, a potem nagle odezwał się w *tawlish*:

–Życie mojego syna jest droższe nade wszystko. Jest potrzebny swojemu narodowi, który prowadzi do wielkości i przewodzenia w tej części świata. A może i całego świata. Zawsze wiedziałem, że będzie wodzem nad wodzami i władcą nad wszystkimi. Dlatego... – pochylił się, i wyłowiwszy z miseczki kawałek rybiego mięsa, włożył do ust. Jego *tawlish*, jak odnotował mag, miał wyraźny akcent, świadczący o tym, że nie był to ulubiony język monarchy. – ...gdy tylko mogłem, zrzekłem się tronu na jego korzyść, i nigdy, ani przez mgnienie oka, nie miałem wątpliwości, że postąpiłem słusznie. Nawet powiedziałbym, że ten czyn nadaje sens mojemu istnieniu. Władca jest pierwszym niewolnikiem swojego ludu i może osiągnąć wielkość tylko jako niewolnik przydatny, pożyteczny, pożądaný. Dlatego, kiedy dowiedziałem się, że grozi mu niebezpieczeństwo z ręki tego xameleona...

Zamilkł i długą chwilę natrętnie wpijał się wzrokiem w oczy maga.

–Skąd, panie, dowiedziałeś się tego? – cicho zapytał Sodos.

–Chyba powiedział mi Brulwerd – równie cicho, jakby zdając sobie sprawę, że wszystko w tej rozmowie, nawet intonacja, siła głosu, wyraz oczu – mają znaczenie, odparł Boicosta Mokre Dłonie.

Mag pokiwał głową. Nad czymś przez chwilę się zastanawiał.

–Mogę cię tylko zapewnić, panie – powiedział nadal cicho, z szacunkiem – że bez wahania poświęcę swoje życie dla uratowania życia twego syna. Nieważne są powody, przyznaję – nie z miłości, nie znam go przecież niemal wcale, więc nie będę cię oszukiwał. Ale tak będzie. Mam jednak nadzieję, że tak się nie stanie, że obaj zachowamy życie i zdrowie...

–Zdrowie? – wtrącił się do rozmowy Trazwalar Wielki, podchodząc z tyłu. – Po tej zupie nawet umierający zaczyna szukać butów, by wstać i iść na spacer. Jedyna jej wada, że nie wychodzi gotowana w wielkich ilościach – uśmiechnął się do ojca. – Inaczej odpowiednio wielki kocioł natchnąłby moje wojsko taką siłą...

–Rzeczywiście – cztery ryby to jest granica – potwierdził starzec. – Nawet dodanie drobnicy dla zawiesistości może zepsuć smak, dlatego rzadko się na to decyduję.

Zobaczył, że mag trzyma w ręku miseczkę, trzyma łyżkę i nie je. Zaprosił go gestem do jedzenia i oddalił się, Sodos czekał chwilę, ale kiedy i Trazwalar podniósł miskę z zupą zapraszając do jedzenia, z zapalem powrócił do rozkoszowania się wspaniałą potrawą. Przez kilka chwil łykali z królem zupę, potem ten wyciągnął rękę w bok, Kerel Od Śmierci Włos pochwycił jego miskę, wyciągnął nawet rękę i odebrał miskę maga. Monarcha ominął maga i pociągnął go za sobą w odległy kraniec tratwy.

–Jeszcze kilka dni temu wydawało mi się... – powiedział i zamilkł.

–Nieważne... Dzisiaj jest inaczej i muszę ci coś powiedzieć. Nie mam czasu na czekanie w nieskończoność na zamach, na cios z za węgła. Czekam na następcę tronu, nie mam pewności czy ten xameleon nie uderzy w moją żonę, w moje dziecko. Dlatego podjąłem pewne kroki... wymuszające... – podniósł wzrok i odmienionym w mgnieniu oka, lodowatym, przeraźliwie obojętnym spojrzeniem obrzucił Sodosa. – Wszyscy poza kilkoma osobami otrzymaliście w jedzeniu i winie, jeszcze w drodze, truciznę. Nawet powiem ci, co to jest. *Jiytana*, wyciąg z korzenia *harny*. Po pierwsze, rzadki niesłychanie i – jak sądzę – cały zapas i tajna hodowla znajduje się w moim ręku. Po drugie, tylko w moim pałacu jest człowiek, który potrafi warzyć ten jad, i odtrutkę, rzecz jasna. Wraz z nim ta wiedza umrze, bo nikogo nie szkoli. Ale to nie jest ważne. Ważne jest to, że nie pozbędziesz się jej, magu, w żaden sposób, ani przy pomocy wymiotów, ani spuszczenia krwi, ani czyszczenia trzewi olejkami

***naracsenu*, tylko odtrutka może uratować was od śmierci... – wzruszył ramionami. – Żal mi tych ludzi, ale nie mam wyboru... Nawet trochę żal mi i ciebie.**

**„Akurat – pomyślał mag. – Widziałem, jak żałowałaś gwardzisty na dachu wozu”.**

**–Tych ludzi? – zapytał cicho Sodos. – Czy mówisz, panie, o całej tej wyprawie?**

**–Tak. Inaczej to nie miałyby sensu. Wszyscy, którzy pozostali na brzegu, mają trzy dni, może cztery, życia. Potem muszą dostać odtrutkę. Ty też. Ale dostaniecie tylko wtedy, gdy dasz mi złudzieńca. Inaczej – będzie wielkie grzebanie, a z wyspy wyjadę tylko ja i moja rodzina.**

**–A Kerel? – zapytał mag cicho. – A Ob Rydel?**

**–Ci dwaj są poza podejrzeniami. Mieli tyle okazji, żeby mnie zabić... – Trazwalar Wielki wyciągnął rękę, potrząsnął niecierpliwie palcami, jego żona pierwsza zrozumiała, o co mu idzie, poderwała się i podała mu fajkę.**

**Została z boku i krok za mężem. Patrzyła w pokład, ale mag odniósł wrażenie, że z napięciem słucha rozmowy. Oczywiście, sama się nie odzywała, Sodos pomyślał, że słyszał z jej ust kilka zaledwie słów, na pierwszej oficjalnej audiencji i teraz, przed paroma chwilami. Czy była taka małowówna? Monarcha pyknął kilka razy, zaciągnął się gorzkim, pachnącym dymem, potrzymał go w płucach i wolno wypuścił.**

**–Zastanawiałem się, czy ci powiedzieć, ale uznałem, że powiem. Trucizna działa na niektórych mocniej niż na innych. Na szczęście na ciebie tak nie działa, bo już byś nie żył...**

**Trazwalar pyknął dymem, wonny, cierpki obłoczek zawirował i wolno wzniósł się nad głowę monarchy, i tam rozstąpił w klarownym powietrzu.**

**–Panie, wydaje mi się, że jakaś informacja wisi między nami w powietrzu... – powiedział cicho Sodos.**

**–Na ciebie nie działa nadmiernie silnie – odezwał się Trazwalar, patrząc ponad głową maga na pałac. – Ale na innych tak. Zmarło siedemnaście osób na lądzie – wskazał brzeg nefrytowym ustnikiem fajki. – Ten chłopak też.**

**–Faseh Zielony?!**

**–Nie wiem, jak miał na imię – obojętnie rzucił monarcha.**

**–Władca połowy świata nie musi znać imion swoich poddanych! – wycedziła przez zęby Hanibeli Perła.**

**–Właśnie – pochwalił ją spojrzeniem król. – Tak samo, jak nie musi czekać, aż ktoś go obroni swoim słowem...**

**Hanibeli skrzyżowała ręce na piersi i ukloniła się głęboko.**

**–Panie, jak tylko...**

**–Wiem – przerwał jej małżonek. – Wiem, dziękuję. I milcz – odwrócił się do maga: – Co to ja mówiłem?**

**–Że zmarł ten chłopiec, mój służący, Faseh Zielony – powiedział mag, nie kryjąc przygany. – Twój wierny sługa, cała jego rodzina...**

**–Zmarłby tak czy owak, wszystkich to czeka – Trazwalar niedbale machnął ręką z fajką. Kilka iskier wypadło, dwie czy trzy opadły na ubranie maga, do jego nozdrzy dotarła woń palącej się tkaniny, ale nie poruszył się. – Nie czyn mi wyrzutów, nie potępiaj, dobrze ci radzę. I zmienmy temat.**

**Sodos milczał. Potem pochylił głowę. Król pyknął kilka razy, zaciągnął się mocno. Chwilę trzymał dym w płucach, potem wypuścił.**

**–Mamy tu w górach taki kwiatek, niepozorny i beż zapachu, miodowiec fałszywy. Rośnie zazwyczaj tam, gdzie nie ma innych kwiatów albo i w ogóle innych roślin, pewnie nie chce, żeby inne go przesłaniały, bo jest mały, drobny, ma żółte płatki, czarny środek, wąskie, bladozielone liście. Ale kiedy tak rośnie samotnie na jakiejś łące, nad niską trawą albo między kamieniami, niezawodnie ściąga uwagę zwierząt, ptaków i nawet ludzi. Wystarczy się do niego zbliżyć, jak płatki zaczynają falować, różowieją na końcach a kwiatek zaczyna wydzielać bardzo mocną i bardzo przyjemną, nieporównywalną do niczego woń. Pachnie intensywnie i pięknie, ale dopiero gdy ma jakieś towarzystwo, kiedy na przykład zbliża się doń człowiek i jest przy nim dłuższą chwilę. A ten aromat niezawodnie ściąga drapieżnego kota, który zawsze jest gdzieś w pobliżu, atakuje jak błyskawica i pożera ptaka, kozicę czy człowieka, przy tym kwiatku. Który tymi resztkami się właśnie żywi, dlatego może rosnać na kamieniu. – Trazwalar obdarzył maga nieco mętnym spojrzeniem.**

**–Ty jesteś teraz takim miodowcem. Po tym zamachu jestem już pewien, że xameleon istnieje, a skoro tak, to chcę go zwabić i zabić. Zwabić i zabić!!! Tu, w Cuchiwa Tunne-Wenn, pałacu na wyspie. Jest tu Studnia Głów, słyszałeś o niej? Nie? Może ci opowiem... kiedyś... potem... Mamy jeszcze trzy dni. Ty mi posłużysz za miodownik. Za miodownik fałszywy!...**

**–Rozumiem – powiedział po chwili Sodos. – Trzy dni?...**

**–Raczej cztery, ale na twoim miejscu chciałbym zażyć odtrutkę już jutro. *Inaczej jiytana* zeżre ci wnętrzności, rozpuści je, umiera się ciężko i boleśnie... Wszystko co**

w sobie masz wypłyń z siebie wszystkimi możliwymi otworami, a czasem nawet pojawiają się niespodziewane i nowe.

–Cztery dni – powtórzył mag. – Cztery... Dlaczego cztery ryby i cztery dni?... – powiedział do siebie. Potrząsnął głową, popatrzył przytomniej na króla. – Rozumiem.

–Ten Cadron jest na wyspie i też jej nie opuści – powiedział Trazwalar.

–Tak, oczywiście – pośpiesznie odpowiedział mag. Nie musiał specjalnie wsłuchiwać się w ton głosu monarchy, groźba brzmiała w nim bardzo wyraźnie. A jeśli nawet nie groźba, to co najmniej ostrzeżenie. Kątem oka zobaczył, że z piersi Hanibeli Perły wrywa się długie ale bezgłośnie westchnienie. Ulgi? Niepokoju?

Monarcha zmrużył ciemne oczy, przez wąskie szparki przyglądał się magowi. Rzadko ktoś odważał się w jego obecności mieć taki nieobecny wyraz twarzy, ale Trazwalar Wielki rozumiał, że myśl, jaka trapi w tej chwili maga, musi być bardzo ważna. Zacisnął więc tylko zęby i, odwracając się, by odejść, rzucił:

–Tak więc czas zaczyna płynąć coraz szerszą strugą. Niektórzy poczują się źle już jutro. Inni dopiero za trzy dni. Nie wiem, jak odporny ty jesteś, magu. Na twoim jednak miejscu zacząłbym działać bezzwłocznie. I nie interesują mnie dyskusje o magii, o celowości używania, o ograniczeniach. To wszystko już nie jest ważne, nie chcesz się narażać bogom, twoja sprawa. Twoja. Narazisz się mnie. A mnie interesuje już tylko prawda. Prawda.

Sodos pokiwał głową, wyciągnął nagle przed siebie dłoń, leżała na niej drobna moneta, *surę*. Wytłoczony w mennicy króla wizerunek góry Upte-Ghaul i Jastrzębia Królewskiego.

–Co jest z drugiej strony, panie? – zapytał.

–Księżyc i Słońce – odpowiedział zdziwiony król. – Wiadomo.

Mag poruszył dłonią, moneta przewróciła się, ukazując swoją drugą stronę, identyczną jak poprzednia.

–Tak bywa z prawdą – oświadczył mag. – Wydaje się oczywista, a jest inaczej. Wydaje się pewna, ale zaskakuje, bo ktoś inny przy niej manipulował, jak przy tej monecie oszust targowy... Czasem wydaje się, że tyle jest prawd, ile ich głosicielei.

Trazwalar otworzył usta, ale nie zdążył nic powiedzieć. Zza maga wyłonił się karzeł, podskoczył, i uwiesiwszy się dłoni Sodosy, przygiął ją, popatrzył na monetę, potem wyłuskał ją z dłoni maga, podrzucił w powietrze.

–Trazwalar Wielki ma sposób na prawdę – powiedział, i zachichotawszy, kilkoma



**susami dopadł barierki. Postawił na niej na kancie monetę i wyszarpnął skamienialemu gwardziście szeroki na dłoń *srehen* z pochwy, podał władcy.**

**Ten przyjął broń, wyprostował dłoń, obrócił kilka razy, sprawdzając, czy głównia jest prosta, potem nagle rzucił w powietrze krótki okrzyk i ciął w barierę. Ostrze zagłębiło się w drewnie, moneta upadła, ale już był przy niej karzeł.**

**Kerel Od Śmierci Włos podbiegł do maga i wysunął swoją pomarszczoną, drobną, pulchną dłoń. Leżały na niej dwie połówki monety, jedna odrobinę tylko cieńsza od drugiej, obie połyskujące świeżym metalem z jednej strony, tak samo obie ukazujące Upte-Ghaul i Jastrzębia z drugiej.**

**Mag pokręcił głową.**

**–Gdybym tego nie widział...**

**Podniósł wzrok na monarchę. Ten gwizdnął krótko, cisnął miecz gwardziście, który chwycił go, ucałował głównię i włożył do pochwy. Trazwalar Wielki odwrócił się i odszedł, nie zwracając już uwagi na pochylonego w ukłonie maga. Kerel Od Śmierci Włos zaczął truchtać za nim, ale nagle zawrócił i podbiegł do maga.**

**–Myślisz, że nie wiemy, magu, że prawda ma tyle twarzy, ile pysków ją głosi?**

**Odwrócił się i pognął za oddalającym się monarchą. Trazwalar przeskoczył zwężającą się szczelinę, karzeł poczekał jeszcze chwilę i dopiero gdy szpara zniknęła, wskoczył na brzeg, pogalopował za swoim władcą.**

**Tratwa stała już przycumowana do pomostu. Mag zamyślił się na chwilę, potem częściowo wrócił do rzeczywistości i ponownie na jego czole pojawiło się kilka poziomych bruzd. Zastanawiał się głęboko, długo, aż słabe drgnięcie pokładu uświadomiło mu, kolejna osoba wyszła na brzeg, właściwie wszyscy już, poza nim i gwardzistami, wyszli na stały ląd; mag pośpieszył za nimi, ale ciągle zamyślony.**

**Po kilku krokach po ziemi nagle przystanął.**

**–Cztery... – syknął do siebie. – Cztery ryby!... dni... Cztery życia!!!**

**Gdyby ktoś przyglądał mu się w tej chwili, zobaczyłby, że mag spurpurowiał, jakby właśnie zakończył biegiem wędrowkę po schodach na szczyt wysokiej wieży, albo wyszedł z łaźni wypełnionej kłębam wrzącej pary.**

**A tak się właśnie złożyło, że ktoś maga w tym momencie obserwował.**

Z przystani do pałacu prowadziła brukowana droga. Kilka dobrych *semi* temu, o świcie, czy lepiej by było powiedzieć: przed świtem, kiedy władca jeszcze spał, droga ta została wymieciona do czysta, szczeliny między bulwiastymi kamieniami wysypane piaskiem i płatkami *lanibis*, *bonvy* i *taratamatki*. Sodos szedł wolno, zapatrzony w kamienie pod stopami, jakby bał się potknąć czy postawić stopę w szczelinę. W rzeczywistości pochylił głowę, by nikt postronny nie widział, że ma rozpalone policzki i gorączkowy błysk w oku. Mimo najlepszych chęci nie udało mu się zrzucić widocznego podniecenia na wspaniałą zupę Boicosty, ani na wino czy narkotyki, którego przecież nie zażył.

Ani na działanie trucizny.

Szedł wolno, powtarzając w myślach: „Cztery, cztery... Dlaczego to takie ważne?! Cztery! Cztery!”

Zamek Tunne-Wynn nie był otoczony szczególnie wysokimi czy grubymi murami. Budowniczości polegali widocznie raczej na wodzie otaczającej pałac, na braku lasów w pobliżu, które dostarczyłyby drewna na łodzie czy tratwy, no i na samo położenie pałacu, środek potężnego państwa. Jeśli tu dotrą wrogowie, rozumowali budowniczości, to i tak już nic ich nie powstrzyma. Dlatego mury nie przesłaniały kilkunastu wysokich pawilonów ze spiczastymi dachami, pokrytymi glinianymi gontami, na które wylano potem cienką warstwę roztopionego ołowiu, tworząc nieregularne, miękkie łuski, ciemne i połyskujące, kontrastujące z czerwienią murów i złotem okien.

Mag odetchnął kilka razy głęboko, wsłuchał w bicie serca, chyba już wróciło do normy. Dobrze, pomyślał, na razie nie myślimy o tym słowie. Samo wyskoczy. Samo.

Szedł wolno, podniósł głowę. W szerokiej, zupełnie nie pod kątem obronności budowanej bramie czekał na niego Ob Rydel. Skinął na maga, ale tak obraźliwym gestem, że Sodos wyraźnie zwolnił choć jednocześnie skinął głową – widzę i kieruję się ku tobie.

–Trazwalar Wielki polecił mi pokazać ci Studnię Głów – powiedział oschle *samerantur*.

Mag zrozumiał, że Ob Rydel jest wściekły, ponieważ większą część zaplanowanej co do minuty wycieczki po jeziorze spędził w odległym kącie tratwy, nie wzywany w bezpośrednie towarzystwo władcy. Czy to znaczyło, że utracił część łask? Czy może tylko on sam tak myślał? Mag powstrzymał się od powiedzenia *sameranturowi*, że już wczoraj obejrzał sobie to przerażające miejsce. Ob miał go tam zaprowadzić, żeby jeszcze raz przypomnieć, ostrzec, przestraszyć...

Pawilony pałacu połączone były, podobnie jak budynki Gaybony, zakrytymi,

murowanymi galeriami. *Samerantur* poprowadził pod kilkoma z nich Sodosą, obojętnie wpatrzony w przestrzeń przed sobą. Mag maszerował równie obojętny. Dotarli do obszernego placu na wschodnim końcu wyspy. Brukowaną przestrzeń placu w dwóch trzecich zamykały mury, w zachodnim końcu ograniczały plac wyraźnie niższe od innych pawilony, pewnie dlatego niższe, by nie przesłaniały widoku na Studnię Głów z okien kolejnych budynków.

–Sto siedemdziesiąt lat temu prowadził na wyspę most – powiedział Ob Rydel, zatrzymując się kilkanaście kroków od studni. Sześciokątna cembrowina z wyłożonych zeszkliwionymi kaflami cegieł nie była przykryta żadnym daszkiem, choć wyraźnie widać było miejsce, gdzie stały słupy, na których kiedyś musiał być zamocowany dach. – Zbuntowana armia Kurbawy Deszczowca dotarła tu, wdarła się do pałacu i wyrznęła wszystkich jego mieszkańców. Ich głowy wrzucono do studni, a ciała do jeziora. Studnia wypełniła się po brzegi, a węgorze od tamtej pory są tu największe i najtłustsze. Jak i raki – popatrzył na maga.

–Raków jeszcze tutejszych nie próbowałeś, panie? Mag nie odpowiedział. Ob nie czekał na odpowiedź.

–Gdy bunt został stłumiony, głowy zostały wydobyte i pochowane. Most zburzono.

–I od tej pory codziennie most jest rozwijany i zwijany. *Samerantur* skinął głową, patrząc gdzieś ponad magiem.

–A jedni mają do wiosłowania mało – Sodos nie wiedział, dlaczego, ale coś mu kazało przeciągać rozmowę, nie wypuszczać Oba z pola widzenia – a inni całe jezioro. Czy może się zmieniają?

*Samerantur* wreszcie zainteresował się magiem. Popatrzył na niego zdziwiony.

–A kogo to obchodzi? Nie mają nic innego do roboty jak budować codziennie most.

–Nudne i jałowe to życie, nieprawda? Ob Rydel zmarszczył brwi.

–Trazwalar Wielki może kazać zamienić się miejscami tym ludziom ze swoimi doradcami i ci bez szemrania będą codziennie wiosłowali na swoje miejsce w szyku, i wieczorem wracali na miejsce w przystani. Kto odważy się sprzeciwić władcy tak potężnemu? – patetycznie zakończył *samerantur*.

Zabrzmiało to odrobinę fałszywie. Mag szybko odwrócił spojrzenie, by nie zdradziło go przed rozmówcą. Ten stał chwilę, jakby czekał na pytania. Potem wzruszył ramionami. Potoczył posępnym spojrzeniem po placu.

–Coś jeszcze?... – zapytał jakby siebie.

Mag postanowił, że – choć chwilę temu jeszcze chciał zadać ostatnie pytanie – nie da mu satysfakcji i nie zapyta o przeznaczenie wyrastającego z bruku, wysokiego i grubego pala, z dziwnym systemem jakichś kół i dodatkowych listew i drągów. Mógłby to być żuraw studzienny, miał długie cieńsze ramię, które mogłoby służyć do wyciągania wiader z wodą, gdyby nie fakt, że studnia była kiedyś przykryta dachem, że nikt na pewno nie czerpał z niej wody od stu siedemdziesięciu lat, i że słup i ramię były na pewno znacznie młodsze niż cała reszta tu na placu. No i słup stał oddalony o dobry tuzin *poolee* od studni; kto mądry będzie czerpał wodę, stojąc kilkanaście kroków od studni?

A potem nagle zmienił zdanie:

–A ten słup? – zapytał.

–To kat.

Ob Rydel odwrócił się, i nie zważając już na maga, poszedł w kierunku, z którego przyszli. Osiągnął swój cel, powiedział magowi, co chciał, i teraz zamierzał wykorzystać efekt. Może też czekał, że Sodos pobiegnie za nim i zacznie, dopytywać się o szczegóły. Ale mag stał tylko chwilę, tyłem do wszystkich okien, potem, chcąc jeszcze chwilę być sam, obszedł dokoła studnię, zajrzał do jej wnętrza. Nieprzyjemnie zdziwiło go odbicie, widok swojej ciemnej głowy, dziwnie i niepokojąco odkrojonej od reszty ciała, na tle jasnego nieba. Odsunął się szybko, ale uświadomiwszy sobie, że ktoś mógł mu się przyglądać, umyślnie postąpił chwilę przy studni, po chwili, tak samo wolno, udając, że pilnie ogląda dziwny pał, w rzeczywistości pogrążony w dotyczących zupełnie czego innego rozmyślaniach, obszedł dokoła, nie dotykając, „kata”, odwrócił się plecami do studni i tajemniczego pala i wolno pomaszerował do swojego pokoju.

Przywołał starego sługę przydzielonego mu przez *samerantura* pałacu i polecił, by czuwał pod drzwiami i poza poleceniami władcy nie przekazywał żadnych innych. Co najmniej przez *semię*. Potem, długo, z namysłem, jakby odciągając decydującą chwilę, rozstawiał na stole różne przedmioty: miseczki z ziołami i inne, wypełnione grudkami czegoś, co przypominało wyschnięte kulki z gliny, między nimi rozłożył krzyżujące się pasy z wyhaftowanymi znakami. Niektóre były nadpalone, leżały na wierzchu, kiedy jego wóz wybuchł w starciu z *khuremesem*, inne były zupełnie nowe, wydobyte dopiero teraz z jednej ze skrzynek Sodosy. Na dodatkowym stoliku ustawił dwie inne większe miski, włożył do każdej po kilka węgielków z paleniska i przysypał żółtym w jednej, czarnym w drugiej proszkiem. Buchnął gęsty, aromatyczny dym, Sodos szybko zrzucił ubranie i chwilę jak oszalały biegał dokoła stolika, starając się, by jego ciało jak najdłużej znajdowało się w wonnym obłoku. Potem, kiedy dym zrzędł, nałożył ubranie i wrócił do większego stołu. Sprawdził ułożenie taśm, przestawił dwie świece, tak, by stały na przecięciu wstęg. Potem odchylił się, skrzyżował ręce na piersi i znieruchomiał.

Kiedy pół *semii* później sługa zajrzał przez sekretne oczko do pokoju, mag nieruchomo trwał na krześle. Kiedy minęła *semia* również.

Mag poruszył się chwilę po tym, jak sługa, zerkający na czasomierz wodny, stwierdził, że minęła *semia* i popatrzył na nieruchomego maga. Kiedy odsunął się od ściany przy drzwiach i przykucnął naprzeciwko, Sodos poruszył się, otworzył oczy, wyprostował ręce, aż trzasnęły stawy, wstał i podszedł do okna. Wsunął głowę w wąską przestrzeń między nadspodziewanie grubymi murami, To było jedyne miejsce w pomieszczeniu, gdzie mógł ukryć twarz przed wzrokiem nasłanych szpiegów, jak ten sługa w korytarzu, czy zwyczajnie ciekawskich z grona dworzan i sług. Wiedział, że nikt nie widzi jego oblicza, dlatego pozwolił sobie na szeroki uśmiech. Ale jak się nie drażni Noibosa, to i on nie szydzi z ludzkich radości. Mag stał uśmiech, odwrócił się i zaczął krzątać się przy swoich stolikach, zwijał wstęgi, wysypywał niespalone resztki ziół do paleniska, przecierał miseczki. Kilka chwil potem tylko mocny zapach pozostały po paleniu i prażeniu świadczył o rytuale.

Oczywiście, Sodos odnotował gdzie, w jakie szczeliny murów komnaty wsiąkał dym.

Wrodzona podejrzliwość kazała mu już pierwszego wieczora, mimo że był oparzony i ogłuszony, zwlec się z łoża i zlokalizować dwa wziery do swojego pokoju z korytarza. Dopiero potem sprawdził, co ocalało z wybuchu, a ocalało właściwie wszystko. Wory i sakwy nosiły ślady ognia, ale przemysłne węzły były nienaruszone, wieka skrzynek nie nosiły śladu włamania. Ale skoro ktoś splótł linę, to ktoś ją rozplecie, skoro ktoś zamknął wieko, inny ktoś może je otworzyć. Z niepozornej skrzyneczki wyjął gliniany słoć z gęstą, ciągliwą masą, z trudem wydłubał jej kawałek, niemal łamiąc czubek noża. Włożył do ust i zaczął pracowicie rozgniatać zębami. Pachniała cynamonem i goryczą, i rzeczywiście była gorzka, tak przynajmniej mógłby sądzić każdy, kto podglądał w tej chwili maga, chwilę siedział wykrzywiony, machając rękami jak nieudolnie ćwiczący wzloty młody rybołap, potem otrząsnął się, napił wody z winem i dopiero wtedy położył się z powrotem na łożu. Następnego dnia wyszedł z komnaty i dokładnie spenetrował jej okolicę, poruszając się wolno, posykując, i opierając się na ramieniu oddanego mu do dyspozycji dziarskiego, żylastego starca... Dzięki temu mógł do woli opierać się o ściany, obstukiwać je kostkami palców, przytulać się do murów, i jeśli chciał, pod pozorem odpoczynku stać chwilę w jakimś miejscu, a wypoczynek „maskować” docieklivością.

–Co to za galeria? – pytał obojętnie, dysząc ciężko, a starzec objaśniał.

–A te schody, to do komnat władcy? – a kiedy przewodnik odpowiadał, przerywał mu w połowie odpowiedzi, kiedy już uzyskał potwierdzenie, by zadać inne.

Osiągnął cel. Kompletnie zmylony staruszek starał się nie okazywać, że świetnie widzi podchody maga, że Sodos niemal obraża go pytaniami o budowlę, nieudolnie odwracając uwagę od tego, co najważniejsze:,od swojej niemocy. Po pół *semii*

spaceru, litując się nad poturbowanym magiem, zaproponował, by wrócili, maskując tę propozycją własną słabością, bólem kolana. Mag przetrzymał go jednak drugie tyle, z pogardą rzucając, że w pałacu powinien znaleźć się ktoś młodszy i silniejszy. Wtedy uparty starzec zaproponował lektykę, na co Sodos sklął go potwornie, a potem, nagle „osłabły”, z ciężkim oddechem, drżącymi rękami wczepił się w rękaw staruszka i tak wrócili do komnaty Sodososa.

Tej nocy, w najgłębszej jej części, w tej, kiedy na tabory uderzają zbóje, na obozy przeciwnika oddziały zwiadowców, kiedy wartownicy mają największe kłopoty z utrzymaniem otwartych oczu, Sodos ześliznął się z pościeli i przemknął pod ścianę, gdzie nie mógł być widoczny, zostawiając na łóżku pośpiesznie ułożoną w „śpiącą postać” pościel. Sam nałożył na siebie przygotowany wcześniej ciemny strój z miękkiej, cieniutkiej wecowej skóry, przypasał dwa sztylety, dłuższy, niemal mieczyk, i krótszy, do rzucania, z ruchomą, dobijającą ostrze rękojeścią, do kompletu dołożył *stighayę*, dusielnicę z dwoma kulkami-uchwyty. Kilka razy użył zresztą kulki do uderzenia w czerep przeciwnika i nie pamiętał, by któryś po takim trafieniu miał ochotę na opór czy – po prostu – na życie.

Dość długo penetrował cienką, giętą, sprężynującą, blaszką szczeliny w murowanej ścianie, w miejscu, gdzie dym wsiąkał niemal ze świstem, aż udało mu się natrafić na taki sam rygiel, jak w Gaybonie. Chwilę potem był w korytarzu. Przykucnął o dwa kroki od ściany i zamarł na kilka długich chwil. Przymknął oczy i w kompletnych ciemnościach czekał na jakiegokolwiek dźwięki. Po jakimś czasie doczekał się – gdzieś zaskrobała pazurkiem w mur mysz, może jakiś kawałek zaprawy wypadł i cicho uderzył w kamienną podłogę. W końcu uznał, że albo – jeśli ktoś jest w korytarzu – zachowuje się tak cicho, że nie da się go odkryć, albo – ma szczęście i jest tu sam. Bezszelestnie wstał, i energicznie krzeszał ogień, rozpałił małą, cienką, przypominającą kadzidłową pałeczkę pochodnię.

Ruszył na najważniejszą w swoim życiu wędrówkę po tajnych korytarzach pałacu Tunne-Wynn.

\*\*\*

Ob Rydel obudził się z przeświadczeniem, że nie jest sam w swojej niewielkiej komnacie. Poruszył się na łóżku i nagle przeświadczenie zmieniło się w pewność, coś, ktoś opadło mu na brzuch, powodując, że jęknął i poderwał się do siadu, ale nie usiadł. Mocne uderzenie w skroń pozbawiło go przytomności.

Kiedy się ocknął, czując wodę na twarzy i potworny ból głowy, komnatę nadal wypełniał mrok. Ktoś kończył pętanie *samerantura*, w usta miał wbity jakiś ogromny kłęb tkaniny, zacisnął z całej siły szczęki, zwały się odrobinę, szmata była naprawdę mocno zbita i wtłoczona w jego usta, porządnie wtłoczona. Nie mógł nawet poruszyć językiem. Nagle uprzytomnił sobie, że teraz wystarczy, by napastnik lekko ścisnął

skrzydełka jego nosa, a Ob Rydel przeniesie się niezbyt łatwo i bardzo nieprzyjemnie do krainy zmarłych. Rozum mówił mu, że poruszanie kończynami nie ma absolutnie sensu, ponieważ czuł mocne pęta na kostkach, w kolanach, łokciach i przegubach, poruszył głową, zapłacono mu za to policzkiem, mocnym.

–Nie ruszać się! – warknął ktoś.

Napastnik zeskoczył z łoża, przez chwilę w ciemnościach trwały szmery, potem Ob Rydel poczuł, że jakaś ręka przemyka po jego piersi, natrafia na podbródek, twarz, dociera do nosa i zamiera. *Samerantur* poczuł wilgoć i ciepło w kroku. Palce napastnika ujęły nos, w uchu rozległo się zadane szeptem pytanie:

–Twi współnicy?

O Mune Wielki! Zadygotał Ob Rydel. Nie chodziło o... O co? Myśli wystraszone, jak potraktowane kamieniem stado wróbli, prysły na wszystkie strony, zawirowały, zakotłowały się, nie dały przez długą chwilę okiełznać, pozbierać... No przecież jasne, o co jeszcze mogli pytać? „Tylko o to. Tylko to mam na sumieniu – pomyślał Ob Rydel. – Tylko, ale to śmierć, skoro ktokolwiek wie poza mną, poza nami”

–Powiesz, czy mam cię...

Palce niewidzialnego, utkanego z mroku przeciwnika mocniej oparły się na czubku nosa *samerantura*, usłyszał sapanie, swoje sapanie, powietrze już nie docierało swobodnie do płuc. Szarpnął się, choć jakaś cząstka umysłu podpowiadała mu, że pogarsza tylko swoje, i tak fatalne, położenie.

Śmierć przycisnęła miękkim palcem lewe skrzydełko nosa. Ob Rydel zaczął wciągać powietrze z rozpaczliwą siłą, jakby zamierzał zrobić sobie z niego jakiś zapas. Napastnik wgramolił się na łożo i usiadł na piersi *samerantura*, z gardła duszonego wydobył się stłumiony, rozpaczliwy ryk. Został za to ukarany mocnym uderzeniem pięścią w czoło.

–Gadaj! – syknął napastnik.

„Na pewno nie! – pomyślał. – Lepiej już teraz...”

Przeciwnik czekał chwilę, nie za długą. Potem warknął nieco głośniejsze:

–Sam do siebie wezwalesz Gryeibesa, niech się mści.

Nos *samerantura* dostał się w małe imadło, zawył z całej siły, trochę by okazać sprzeciw, trochę po to, by jak najszybciej zużyć cały zapas powietrza, jaki ma, i odejść, może właśnie do domeny Gryeibesa, boga zemsty. Miotął się kilka chwil, czując jak pękają mu płuca, jak łamią się żebra... Pomyślał jeszcze: „Tak myślałem,

przecież nie mogło się udać...”

Zapadł w mrok dziwnie jaśniejszy od tego w komnacie, srebrzysty, zimny i parzący...

Napastnik natychmiast puścił nozdrza i zsunął się z piersi Oba Rydla. Przysunął ucho do jego twarzy, ale nawet nie musiał – oddech *samerantura* słychać było wyraźnie. Mrok ucieleśniony w postać wylał na górną wargę Rydla gęstą cieczą, sam przy tym wstrzymując oddech. Potem zawiązał na wysokości ust jeszcze jedną szmatę i tę obficie skropił tą samą cieczą. Potem uśpionego, przekonanego, że został uduszony, *samerantura*, dość bezceremonialnie zrzucił z łoża i wturlał pod nie. Nie zapalając światła, rozrzucił pościel mocno, by sugerowała, że Ob Rydel nie całkiem sam wstawał z łoża, sprawdził po omacku, czy skotłowane koce zwisają do podłogi, choć zdawał sobie sprawę, że marne to maskowanie.

Następnie cień utkany z mroku wyniósł się z pokoju *samerantura*.

\*\*\*

Mag Sodos Skrępowany powrócił do swojej komnaty dopiero wtedy, gdy w korytarzu przez nieliczne szczeliny pod dachem zaczęło wpadać światło bladego świtu. Pod ścianą zrzucił skórkowe odzienie, odpiął broń, ukrył ją w skrzyni, potem rozdmuchał ogień, dołożył suchych szczap, a na koniec wskoczył do łoża i przykrył się po sam czubek nosa.

Zmarł podczas wędrówki, nie zwiedził nawet połowy systemu mrocznych, suchych, zapyłonych korytarzy. Wyglądało, że w tym państwie władcy zawsze uwielbiali podglądanie swoich wiernych poddanych. Przypomniawszy sobie słowa Oba Rydla, o tym, że jeśli Trazwalar każe przeprowadzić się komuś z pałacu do domu wieśniaka, to ten rozkaz nie wywoła nawet cienia oporu czy sprzeciwu. „W drewnianej czy trzciniowej chacie nie będzie miał tajnych przejść – pomyślał z ponurym zadowoleniem. – Może właśnie dlatego są tacy posłuszni – myślał dalej – że wszyscy czują na sobie wszechobecne, wszechmogące oko monarchy?! Ale co mnie to obchodzi, ja mam do załatwienia sprawę, załatwię i wynoszę się stąd. To nie jest dobre miejsce dla mnie. Dla każdego obcego, zresztą też. Władca... Raz despota, co życie ludzkie ma za mniej godne uwagi niż włos w winie, ni to szlachetny, mądry, wrażliwy i ofiarny monarcha... To niepojęta kraina, niezrozumiali ludzie. Czuję się jak pod wodą: niby wszystko widzę, niby wszystko znane, ale człowiek się dusi.”

Odwrócił się na bok, twarzą do ściany, zwinął w kłębek.

„Ob Rydel... powiedział... dobrze, że powiedział... To może być koniuszek nici, za którą pociągnę innych... Ilu? Kogo?”. Uświadomił sobie, że powoli odpyływa w miękką sen. Usiłował poderwać się, ale przegapił tę chwilę, kiedy jawa była jeszcze silniejsza



od snu, obsuwał się, zjeżdżał, zapadał... „Czas... – pomyślał jeszcze. – Czasu mało, dwa dni... trucizna...”

\*\*\*

**Samerantur** wyszedł ze swej komnaty, zatrzymał się, poprawił fałdę długiej, do kolan pikowanej koszuli, obciągnął poły *zurbakhy*, krótszego od koszuli, haftowanego złotem kaftana. Wyszedł z budynku na wschodnim końcu wewnętrznego pierścienia budowli, tego ważniejszego. Przespacerował się do stajni, gdzie kopniakiem poczęstował najpierw parobka-gamonia, potem zarządcę, i nie przejmując się jego przepelnionym złością spojrzeniem, nie zaszczycając go ani jednym dźwiękiem z ust, wskazał kilka źdźbeł słomy walających się na ziemi. Potem zajrzał do kuchni pałacowej, gdzie też kopniakami ponaglił obierających cebulę i skubiących łuski z pędów *farsy* kuchcików. Kuchnia i stajnie Tune-Wynn formalnie *sameranturowi* nie podlegały, ale kto by odważył mu się sprzeciwić? Zademostrowawszy jeszcze w kilku miejscach zły humor, skierował się z powrotem do wewnętrznego pierścienia. Szedł z pochyloną głową, w małych błyskach kałuż po nocno-porannym lekkim deszczu można by było zobaczyć, że oczy *samerantura* penetrują nerwowo otoczenie, i że stara się, by tego nie było widać. Korzystając z tego, że nikogo w pobliżu nie było, wszedł szybko w galerię, wspiął się nią na piętro, a tam wsunął do wnęki.

Chwilę potem przechodziła tamtędy stara opiekunka ołtarzy Noibosa, wydawało się jej, że słyszy jakiś chrobot we wnęce, zajrzała, ale nic nie widząc, pokiwała głową nad niedołężnością starczą i poczłapała do komory z kadzidłami, *paliskami* i olejkami do kaganków ofiarnych.

\*\*\*

Kerel Od Śmierci Włos siedział na nocniku. Wieczór spędził na drażnieniu się z dziewczkami w kuchni, żeby było pożytecznie, wybierał przy okazji słodkie miodowniki z prostokątnych, *wiflinowych*, przewiewnych koszy, w których dojrzewały. Pochłaniał je tuzinami, popijając pachnącym pasieką szербetem. No i przesadził, jak za każdym zresztą razem. Połowę nocy spędził na nocniku, drugą połowę na modłach do Wiilki, bogini wiosny, w końcu miód, pszczoły, łakocie, to była jej domena. Tak, przynajmniej, sądził. Niewiele mu to pomogło. Dopiero kiedy rano, słaby i udręczony wezwał medyka, a ten zaaplikował mu lewatywę, a potem duży garniec czegoś gorzko-jagodowego, spazmy ustały, i udało mu się: całe nieszczęsne dwie *semie* przeleżał spokojnie, część nawet z nich przespał.

Teraz wiercił się na specjalnym, dopasowanym do ciała *kaplorze*, rozważając, czy już wstawać, czy posiedzieć jeszcze. Długa, luźna, wełniana koszula zasłaniała go szczelnie od szyi do podłogi. Tylko na plecach tkanina opinała ciało. Drgnął, słysząc za sobą zgrzyt. W pustym pokoju!? Odwrócił się cały, okręcając na denku nocnika.

**Sekretne drzwi zamykał Ob Rydel. Mężczyzna otrzepał dłonie, strzepnął poły koszuli, ciągle w milczeniu przyjrzał się swoim spiczastym butom i szerokim spodniom.**

**–Brudno w korytarzach – mruknął.**

**–Co tu robisz? – zapytał zaniepokojony karzeł.**

**–Nie domyślasz się? – odpowiedział pytaniem Ob.**

**–Nie. Wyjdź mi stąd! Nie widzisz, że sram?**

**–Sraj. Póki możesz.**

**Kerel Od Śmierci Włos wytrzeszczył oczy.**

**–O czym ty mówisz? – poruszył się na *kaplorze*, omal nie wywracając na plecy wraz z naczyniem.**

**Widział, że Ob Rydel dostrzega jego popłoch. Rozzłoszczony, ostentacyjnie nie zwracając uwagi na gościa, wstał i skierował do kąta, gdzie sięgnął do stojącej na podłodze miski z podgrzanym olejkiem rumiankowym. Tam odwrócił się od gościa i, zadarłszy koszulę, stękając i posykując, podtarł się umoczoną w olejku szmatką, którą cisnął do ognia, gdzie, błysnąwszy wesołym płomieniem, spłonęła. Karzeł, ciągle szczelnie osłonięty koszulą, ostrożnie podciągnął spodnie, trącając nogą *kaplor*, przysunął go do drzwi, uchylił je i wykopał naczynie na korytarz. Wykonywał wszystkie te czynności, nie zwracając uwagi na gościa. Dlatego nie widział, że ten z trudem powstrzymał się od okrzyku zaskoczenia, widząc brak narządów płciowych gospodarza. Potem odwrócił spojrzenie, widząc, że to nie brak, tylko narządy kobiece. Dla zamaskowania zaskoczenia podszedł do podestu z paleniskiem, gdzie wiotki płat spopielonej tkaniny radośnie uleciał w górę i zniknął w kominie. Odwrócił się dopiero słysząc, że gospodarz... gospodyni... kładzie się na swoim skróconym łożu.**

**–Mówże, czego chcesz?! – zapytała rozzłoszczona Kerel Od Śmierci Włos. – Nie widzisz, że mam sraczkę?!**

**–Dobrze. Mówię. A ty słuchaj uważnie, nie będę powtarzał i nie będę wyjaśniał. – *Samerantur* wziął się w garść, zbliżył do łoża, przysunął stółek i usiadł na nim. Obrzucił znaczącym spojrzeniem ściany komnaty i pochylił się do karlicy.**

**–Nie wiem, kto i co może tu zobaczyć. Wieczorem przyjdiesz do piwnicy pod spizarnią rybną. Rozumiesz?**

**Szarpnął koniec wąsa, z trudem rozwarł palce i wypuścił z nich pęk włosów.**

**–Nie rozumiem! – warknęła karlica. Potarła piąstką oczy. – Spać mi się chce, jestem zmęczony, obolały, zadek mnie piecze... Nie marudź, tylko mów i uciekaj!**

**–On chyba się domyśla – wyszeptał Ob Rydel, uważnie patrząc w oczy karlicy. Przeszła się wiercić i patrzyła na *samerantura* z otwartymi ustami.**

**–Musimy wszystko przyspieszyć, przenieść na jutro, najpóźniej pojutrze. Cicho bądź! – syknął, widząc wzbierające w spojrzeniu pytanie. – Ani słowa więcej. Jak nie zrobimy tego jutro, najpóźniej jutro w nocy, z nami koniec. Ten przeklęty mag coś zwietrzył, nie wiem tylko, ile z tego przekazał jemu. Rozumiesz? – karlica poruszyła przecząco głową. Ob chwycił jej głowę w dłonie i stłumił przeczący ruch głowy.**

**–Nie mam czasu na dyskursy! – warknął. – Wieczorem, po trzecim dzwonie *semii* lotosu. Jasne? Jak cię nie będzie, zaliczamy cię do zdrajców i kończymy z tobą również.**

**–Ja nic...**

**–Tak. Ja też nic.**

**Puścił głowę karlicy, pogroził jej pięścią i dwoma krokami dopadł drzwi. Dwa oddechy nasłuchiwał z uchem przyłożonym do desek, potem pociągnął drzwi i, obrzuciwszy gospodynię znaczącym spojrzeniem, wyszedł na korytarz.**

**Kilkoma długimi krokami, przypominającymi nawet susy, oddalił się od drzwi komnaty karlicy, łagodna krzywizna galerii wyniosła go poza zasięg jej spojrzenia, gdyby stała przy drzwiach i przyłożyła oko do szczeliny. Tu oparł się plecami o ścianę, odrzucił głowę do tyłu.**

**„Dlaczego nie wiedziałem? – pomyślał. – Czy to coś zmienia? Na Noibosa! To nie karzeł?! No to czyja w ogóle dobrze myślę? Ale czy mam czas na zmiany?”**

**Powlókł się, oklapnięty, po galerii, zamyślony przemierzył cały pałac, wszystkie trzy pięścieniowe dziedzińce i wyszedł poza niskie, wątle mury pałacu. Zatrzymał się dopiero nad brzegiem jeziora Cuchiwy. Tu usiadł na kamieniu i, nie dbając, czy ktoś go widzi, objął głowę rękami i zamarł w zamyśleniu. Trwał tak dobre trzy kwarty *semii*, potem wstał i spokojniejszy, a raczej pogodzony z nieuchronnością, nad którą czuwali bogowie, wolnym krokiem wrócił do pałacu. Wszedł do swej komnaty, niecierpliwym gestem odpędziwszy przesadnie gorliwego sługę. W izbie nie zabawił długo, nie zwracając uwagi na skotłowaną pościel, podszedł do stolika z kilkoma butlami ulubionych win, nalał sobie puchar, potem połowę wylał na podłogę, wypił duszkiem resztę, która nie mogła wpłynąć jego umysł i czyny, zapalił przemyślny, przeznaczony do używania na wietrze, a więc znakomicie nadający się do oświetlania drogi w marszu kaganek, i wsunąwszy giętką blaszkę w szczelinę muru, wszedł w sekretny korytarz.**

Chwilę potem przystanął pod drzwiami prowadzącymi do jednej z czterech komnat Brulwerda Jasnej Nocy. W mroku czekał kilka chwil, usiłując podsłuchać, co się dzieje w komnacie, ale docierał doń tylko cichy dźwięk wydawany przez *flutar*, *tsurnę* i bębenek. Ktoś zabawiał brata monarchy muzyką.

„Dużo świadków, tak nie można – pomyślał Ob Rydel. Przygryzł wargi. – Co robić? Czasu mało, przelewa się przez palce jak oliwa. Noibosie, co robić?!”. Stał kilka chwil, całkowicie rozkojarzony, nie mogący zdecydować się na jakikolwiek ruch. Z opresji wybawił go sam gospodarz – w izbie dały się słyszeć głośne kroki, brzęk, chyba upuszczanego pucharu czy dzbana, potem głośne, ze złością rzucane słowa: „Nie pojawiać mi się na oczy, póki nie wyćwiczycie trzech moich ulubionych pieśni, tak, bym mógł ich wysłuchać bez zgrzytania zębami!” Brulwerd Jasna Noc, zrozumiał *samerantur*, sprawdzał postępy swoich dzieci w grze na instrumentach.

„Teraz! Nie ma odwrotu!”

W świetle kaganka pochylił się nad zasuwą, spuścił strużkę śliny na rygiel, rozsmarował ją palcem, postawił kaganek na ziemi przy drzwiach i odsunął rygiel.

Przekraczając umowny, bo niewidoczny próg tajnych drzwi, zobaczył, że brat monarchy pędzi ku niemu z uniesionym nad głową złocistym *srehenem*. Syknął i chwycił rękojeść swojego długiego *ugrisa*, ale już nie było potrzeby. Brulwerd zatrzymał się w pół kroku, choć przez chwilę *samerantur* miał wrażenie, że z przyjemnością zatopiłby lśniąca głoźnię w jego szyi. Obaj mężczyźni stali naprzeciwko siebie, oddychając szybko, w końcu Brulwerd opuścił ramiona, odwrócił się, i wskazawszy mieczem ławę ze stosem mięsistych dywanów, mruknął:

–Czego chcesz?

Ob Rydel w duchu otarł pot z czoła. Potem przyłożył do krawędzi tajnych drzwi blaszkę i przymknął je, a potem, korzystając z tego, że gospodarz nalewa wina i nie patrzy na niego, zrobił krok we wskazanym kierunku, nie tyle, by usiąść, bo wolałby rozmawiając z Brulwerdem stać – sztylet trudniej jest wyjąć siedzącemu, ale po to, by ukradkiem naprawdę otrzeć czoło.

–Mów.

–Panie, nie mam czasu...

–Ja też, nie baw się w słodzenie słów, widzę, że masz coś ważnego. Mów.

–Obawiam się, wszystko wyszło na jaw. – Brulwerd spokojnie ujął puchar i podniósł do ust. Pijąc, sponad krawędzi naczynia ponaglił *samerantura* ruchem brwi. – Albo już wyszło, i to koniec, albo wyjdzie lada moment. Mamy tylko kilka *semii*...

–Tak? – królewski brat rzucił niedbale miecz wart kilkanaście wsi na łożo, potem podszedł doń i usiadł obok. Uwagi Oba nie uszło, że broń cisnął niedbale, ale tak, że kiedy usiadł na miękkich pokryciach, rękojeść znajdowała się w bardzo dogodnym dla lewej ręki położeniu. Brat króla był oburęcznym szermierzem, ale wolał fechtować lewą. – Na co?

–Na podjęcie zdecydowanych działań.

–Dalej.

–Mag zwęszył coś. Widać to było na łodzi podczas tej zabawy w jedzenie zupy... – powiedział ostro Ob Rydel. – Nie wiem tylko, co powiedział władcy. A jeśli powiedział coś ważnego – to kiedy odczujemy odpowiednie kroki Trazwalara?

Ręka, lewa ręka Brulwerda drgnęła. Tylko drgnęła. Gospodarz znowu łyknął wina, ale chyba, tak ocenił to Ob Rydel, nie poczuł jego smaku. Zyskał tylko kilka cennych dla siebie chwil.

–Musimy my zacząć działać. Działać inaczej, już nie ma co czekać na... – prychnął, żeby dać znać, że to, co zaraz powie jest kpina -... mimikranta, złudzieńca, xameleona...

Brulwerd milczał.

–Albo uratujemy swoje skóry, albo Zrywacz zostanie przymuszony do roboty. Patrzyłem wczoraj, jest w znakomitym stanie. Spokojnie wykona tych kilka ruchów, do jakich jest przeznaczony. – Wstał.

–Tu nie możemy rozmawiać spokojnie. Wieczorem, trzecia kwarta *semii* lotosu – powiedział ciszej niż przedtem. – Piwnica pod spiżarnią rybną. Przyprowadzę jeszcze kogoś. To nam może pomóc. Ale to ostatnia chwila, ostatnia możliwość... – machnął ręką. – Albo już nawet i za późno...

Nie czekając na słowa Brulwerda, odwrócił się i podszedł do ściany, przez którą wszedł, pociągnął za blaszkę, uchylił drzwi i wyszedł. W korytarzu sięgnął po kaganek, oświetlił rygiel, włożył w specjalny, przygotowany przez przemyślnego mistrza, niewidoczny dla niewprawnego oka, bo wywiercony od spodu zasuwę, otworek mosiężny gwóźdź, blokując otwieranie zamka od pokoju, i – dla kogoś nieobeznanego z zamkiem – również od korytarza. Teraz pomknął wąskim przejściem do – swego pokoju, ale tam tylko wypił garniec ciepłej wody, otarł spocone czoło, opłukał twarz w misce z wodą. I Wyszedł.

\*\*\*

*Semia* głogu oznaczała ten czas, kiedy na pierwszej od pałacu Tunne-Wynn łodzi z

szeregu-mostu, odzywał się stłumiony, przeciągły odgłos dzwonu *biklanga*; dźwięk był głuchy, jakby jego źródło było przykryte czy owinięte grubą derą. Słyszano go jednak na wszystkich łodziach, a jeśli nawet ktoś nie usłyszałby *biklangi*, to powietrze drżące od jego dźwięku wychwytywały specjalne, dostrojone dzwonki na każdej łodzi. Słyszac *biklangę* albo jego słabiutki, ale wyraźne wzbudzone w dzwoneczkach na łodziach echo, dźwiękowe odbicie, starsi łodzi sprawnie odcumowywali łódź od poprzedzającej i następującej łodzi, a młodsza część stawiała maszty i żagle, a potem siadała do wiosł. Łodzie odpływały zgodnie z niezmiennym od wielu lat rytuałem, tylko pierwsza tkwiła zawsze nieruchomo, druga w lewo, trzecia w prawo, czwarta w lewo... Niezmiennie, w podobnym rytmie.

Mag, stojący na murze zobaczył, jak chwilę po uderzeniu *biklangi* równy sznur rozpadł się tworząc piękny wachlarz na wodzie, łodzie najbardziej oddalone miały do pokonania największą odległość do swojego przypisanego i niezmiennego kotwicowiska, a powinny osiągnąć je niezbyt spóźnione w stosunku do innych. Dlatego przy tym, wymyślonym przez kogoś dla ładnego widoku rytuale, wiosłarze i żaglomistrze najbliższych wyspie łodzi ledwie poruszali wiosłami, mieli na żaglach pootwierane specjalne, przepuszczające podmuchy wiatru szczeliny; natomiast te ostatnie łodzie śpieszyły się, by zachować linię.

„Piękny, barwny wachlarz, mnóstwo zachodu dla oka tylko – pomyślał Sodos. – A i tak nikogo tu nie ma. Ale jakby był...”.

Zszedł z muru, zerknął na niebo. *Semia* głogu, jeszcze *semia* jaśminu, potem lotosu... Potem – pomornicy. Wszystko się wtedy rozstrzygnie. Splótł palce, zacisnął, potem wykręcił dłonie wnętrzem do przodu, trzasnęło kilka stawów. Skierował się do centrum pałacu, do komnat gospodarza i jego najznamienitszych gości – Trazwalara Wielkiego i jego młodszego brata. Podeszedł do ciężkich, okutych pasami metalu drzwi, przed którymi stali posągowi strażnicy.

–Sodos Skrępowany do władcy Lanyatty Trazwalara Wielkiego, z prośbą o natychmiastowe posłuchanie w niezmiernie ważnej sprawie. – Zamilkł i wpatrywał się chwilę w drzwi, do których przemawiał. Uzupełnił: – Sprawa najwyższej wagi, dotycząca mojej osoby i tego, po co tu zostałem sprowadzony...

Drzwi nie odpowiedziały, strażnicy nie zmienili swych pozycji. Ręce zamaryły na *srehenach* i *kantach*, mag przypomniał sobie, że Marenceba Sieć powiedział kiedyś, że specjalnej gimnastyki uczy się wszystkich gwardzistów, żeby mogli stać nieruchomo dwie *semie* i jednocześnie nie zeszyt wnieć, nie stracić władzy i czucia w członkach, i być zawsze gotowymi do walki. Nie zamierzał tego sprawdzać.

Przypatrywał się uważnie prawej ręce jednego z wartowników i po chwili zobaczył lekkie poruszenie ścięgien i mięśni ręki. Tak właśnie sądził – napinają mięśnie, nie wypuszczając rękojeści.

Drzwi uchyliły się i otworzyły do połowy szerokości, całkowicie bezszelestnie, nie ujawniając żadnych rygli czy zamków, ale na pewno były dobrze w nie zaopatrzone. W drzwiach stał nieznany magowi *halemmed*, może niższy rangą dowódca, tego Sodos nie wiedział. Wojownik przyłożył rękę do piersi.

–Powtarzam słowa najwyższego władcy – powiedział w łamanym *tawtish* - Zastanów się, magu, jeśli nie ma poważnego powodu, nie zakłócaj mi wypoczynku.

–Mam najwyższy z możliwych powod – pochylił głowę w ukłonie mag.

–Pośpiesz za mną – powiedział *halemmed* i ruszył pierwszy po schodach.

Sodos poszedł za nim. Drzwi, grube na szerokość dłoni, potwornie ciężkie ani drgnęły, natomiast gdy wszedł na pierwszy stopień, zobaczył, że prostokąt dziennego światła pożera mrok, odwrócił się. Za drzwiami nie było nikogo, zamknęły się z cichym fuknięciem, jaki wydają dobrze spasowane drzwi. Weszli na piętro galerii. Obeszli niemal całkowicie dokoła najwyższy w pałacu budynek przykryty dachem z ołowianą polewą; ewentualni napastnicy też musieliby pędzić długą chwilę do najbliższych drzwi, dając ukrytym we wnętrzu mieszkańcom czas na... „No właśnie, na co? – pomyślał mag. – Na samobójstwo? Chociażby na to...” Ku jego zdziwieniu, po okrążeniu zeszli o pół piętra niżej i dopiero tu stanęli przed drzwiami. Wojak wszedł pierwszy, gestem powstrzymując maga, ten posłusznie pozostał na galerii. Po krótkiej chwili mężczyzna wyszedł, stanął sztywno bokiem do drzwi. Mag odczekał chwilę, potem, widząc, że *halemmed* nie zamierza poruszyć się w najbliższym czasie, uznał jego postawę za rodzaj zaproszenia. Przekroczył próg.

–Co przynosisz? – zapytał pólężący na ogromnym, miękkim pufie, wypełnionym skrawkami miękkiego futra, Trazwalar. Przed nim stał kociołek z wodą, przez którą przechodził ustnik długiej fajki. – Oby coś dobrego.

Mag pochylił głowę, potem zrobił dwa kroki w stronę monarchy.

–Mam wieści, chcę zdać relację z pewnych moich działań, ale całkowicie bez świadków...; W przeciwległym kącie komnaty leniwie huśtająca się na podwieszanej na linach kanapie Hanibeli Perła prychnęła głośno.

–Dziękuję ci, moje słońce – powiedział władcy, odwracając odrobinę głowę w jej stronę, ale nie spuszczaając spojrzenia z maga. – Wiem, że chodzi ci o moje zdrowie. Magu?

Sodos krótko zastanawiał się, o co chodzi monarsze.

–To są wiadomości przeznaczone wyłącznie dla twojego ucha.

–Masz, jak sądzę, tylko jad, który sączysz do ucha mojego pana! – warknęła

**Hanibeli.**

**–Pani?!**

**Nie ulegało wątpliwości, że Trazwalar Wielki nie życzy sobie podpowiadania. Jego małżonka uważała jednak, że w jej obecnym stanie może sobie pozwolić na samowolę.**

**–Od kiedy przybył tu ten szarlatan i oszust, nie dzieje się nic dobrego, panie mój! – powiedziała z przekonaniem. Usiadła na swojej huśtawce i zatrzymała jej ruch. Zza jakiegoś parawanu czy ściany wyłonił się karzeł, i rzuciwszy na królową zaciekawione spojrzenie, przykuśtykał, mocniej niż zwykle kiwając się na boki, do Trazwalara. – On nie tylko nie...**

**–Hanibeli, perło ma... – powiedział Trazwalar i zabrzmiało to wyraźnie: „Pięć lekkich batów. Może po porodzie, ale nie unikniesz ich”.**

**Królowa zacisnęła usta, jej oczy zwężyły się i znowu zaczęły przypominać dwa wycelowane w maga groty strzał. Wiedział, że ma w pałacu, w otoczeniu króla wielu wrogów, jak widział – ich liczba nie zmalała, miał ich tyle samo, ale znacznie bardziej zawziętych. I silnych. Milczał.**

**–Chodź – rzucił władca i wstał z pufa.**

**Poszedł w stronę, skąd przyszedł karzeł. Mag posłusznie maszerował za nim. Za załomem ściany kryły się kręte, spiralne schody prowadzące zarówno do góry jak i w dół. Przy nich gęste zasłony przesłaniały dwie pary drzwi. Trazwalar wszedł na schody i zaczął wspinać się na górę. Sodos podążał za nim, jego głowa znajdowała się na poziomie kolan monarchy, nie wiadomo dlaczego wydało mu się, że takie schody to znakomity sposób na upokorzenie kogoś – sam poczuł się upokorzony, ale schody były zbudowane tak, że nie chcąc iść na poziomie stóp, musiałby przeczekać jeszcze kilka chwil, podczas których monarcha pokonałby kilka zwojów więcej.**

**Weszli na wieńczący płaski dach taras. Trazwalar podszedł do okalającej go balustrady, obszedł dokoła taras, obrzucił spojrzeniem cały pałac i wrócił do maga. Wskazał ręką klapę. Sodos posłusznie założył ją na okrągły wylot. Chociaż byli sami na wieży, podszedł bliżej i mówił przez cały czas cicho, jakby się bał, że podstępny wiatr poderwie jego słowa i zanieśie do kogoś, kto nie powinien być wtajemniczony w szczegóły tej rozmowy.**

**–Panie, dziś wieczorem jestem umówiony ze zdrajcą i prawdziwym zamachowcem, tym, kto zamierzył się na twoje życie...**

**–Kto?**



–Jeszcze nie wiem, panie. Dopiero...

–Jak to?! – syknął monarcha. – Nie wiem, magu, dlaczego jeszcze nie karmię tobą węgorzy w jeziorze!

–Panie, to nie jest jedna osoba. To kilkuosobowy spisek. Musimy wytrzebić ich do cna, wyłapać co do sztuki, poznać wszystkich zamieszanych i dopiero uderzyć.

Trazwalar Wielki przyglądał mu się niechętnym spojrzeniem.

–Dlaczego mam ciągle wrażenie, że jestem przez ciebie kierowany, magu? Co? Czym ty się różnisz od innych, którzy już dawno mieliby głowy o kilka *poolee* od siebie?

–Nie wiem, panie. Ja uważam, że wiem w tej chwili więcej od ciebie, dlatego mogę doradzać właściwe posunięcia.

–Jakież one są?

–Ja spotkam się ze zdrajcą, ty będziesz mógł widzieć i słyszeć wszystko. To powinno wystarczyć. Nie trzeba wszczynać alarmu w garnizonie, żadnych zmian w normalnym życiu. Jakby nic się nie działo. Proszę tylko, byś w sekrecie oddał do mojej dyspozycji dwóch gwardzistów, od razu teraz, takich władających *tawlish*. A ty, ubrawszy się tak, by cię nie rozpoznano, udasz się o umówionej godzinie w pewne miejsce, gdzie wytrzymasz do końca wszystkie sceny, wszystkie spotkania, wszystkie rozmowy, bo może być ich kilka... A na końcu – podejmiesz decyzje co do losu spiskowców.

–Xameleon tu jest?

Mag jakby wahał się, ale było to przelotne wahanie, mgnienie oka.

–Tak.

–Tak?

–Tak. Ale jest niegroźny. Całkowicie.

Król poruszył się niespokojnie, potem rzucił spojrzenie przez ramię i pomyślał chyba, że strzała z dołu mogłaby go w tej chwili sięgnąć bez trudu. Ale nie poruszył się.

–Nie przywykłem składać swego życia w czyjeś, czyjekolwiek ręce, Sodosie. Myślisz, że będzie mi przyjemnie patrzeć z komnat Noibosa na triumfującego zamachowca i zmieszanego maga?

**–Xameleon nie zagraża ci w żaden sposób. Nie mogę tego dowieść, bo jak dowieść zamiarów innego człowieka? Po prostu zapewniam cię swoją głową, że nie jest dla ciebie groźny. Nie będzie się nawet do ciebie zbliżał, a kiedy wszystko się skończy, jeśli będziesz chciał, zobaczysz go.**

**Długą chwilę trwało milczenie, Trazwalar przygryzł dolną wargę, ale zaraz uświadomił sobie, że to zdradza jego zmieszanie. Trwał nieruchomo i zastanawiał się. Patrzył przed siebie, gdzieś w kierunku swojej stolicy, na pewno wysoko ponad murami i dachami Tunne-Wynn. W końcu splótł ręce na piersi i przytomniejszym spojrzeniem objął Sodosą.**

**–No to powtórz raz jeszcze, co i jak się dziś odbędzie... – zawiesił głos, ale dokończył zdanie: – Ja wytrzymam jeszcze dzień czy dwa. Ale ty pamiętaj, że ty nie przekroczysz bez odtrutki granicy.**

**–Pamiętam, panie. Naprawdę dobrze pamiętam. – Sodos nie ukrywał ulgi.**

**Odchrząknął i zaczął wprowadzać monarchę w swój tajny plan...**

**\*\*\***

**Krótko przed wybiciem *semii* lotosu, w gęstym mroku w kierunku zewnętrznego pierścienia budynków, przemknęła wysoka, owinięta matową, czarną peleryną postać. Pchnęła drzwi do dziwnego, trójkątnego w kształcie, przylegającego jednym końcem do kuchni budynku. To znaczy, wyciągnęła rękę, by pchnąć, ale drzwi otworzyły się przed nią; postać wsunęła lewą rękę pod pelerynę, ale druga postać odsłoniła twarz i cofnęła się. Drzwi zamknęły się, lecz w pomieszczeniu nie panował całkowity mrok – pełgał malutki płomyczek na grubym, odrobinę tylko wysuniętym z rurki knocie.**

**–Już robię więcej światła – szepnął Sodos.**

**Umyślnie stając na tle plamy mdłego światła, przysunął do ognika dwie inne lampy, a potem szpilą wysunął knot. W izbie zrobiło się dość jasno. Wystarczająco jasno.**

**Trazwalar Wielki zaśmiał się cicho.**

**–Od dziecka chyba nie bawiłem się w takie podchody.**

**–W takie, panie, mam nadzieję, nie bawiłeś się nigdy, a niech Noibos i Guldermenan pilnują, by już nigdy w przyszłości.**

**–Och, przestań, magu się wdzięczyc. W twoim przypadku wszystkie dobre życzenia i nadzieje co do mojej osoby traktuję, wiedz, bardzo podejrzliwie, a już co najmniej ostrożnie...**

–W takim razie powstrzymam się przed zaprzeczaniem i zapewnianiem o swej wierności – powiedział mag.

Kaganki rozświetliły izbę. Panował w niej mocny zapach suszonych i wędzonych ryb, ale nie stęchły, tylko zdrowy i apetyczny. Można było być pewnym, że pomieszczenie i przyległe doń spiżarnie i suszarnie są regularnie wietrzone, okadzane miętą, kminem i innymi ziołami. Znajdowały się tu kosze kilkudziesięciu rodzajów, skrzynie *wiflinowe*, wykonane z kory wąskie i szerokie tuby do przechowywania wysuszonych na kość ryb, pojedynczo i po kilka, trójkątne kasety na suche wodorosty, kwadratowe na susz z mięczaków... Słowem – sprzęt do pakowania i przechowywania uwędzonych i ususzonych darów jeziornej toni. Pod jedną ze ścian, na stosie plecionych z grubych pasm kory brzozonej mat, leżał podłużny pakunek, na widok którego Trazwalar uniósł brew i popatrzył pytająco na maga.

–Przyniesiono go w skrzyni. Do tego potrzebowałem gwardzistów, panie.

–Ale kto to?

–To jest jeden ze spiskowców. Jest ich tylko dwóch... – zawahał się jakby-...może o jednego więcej... Ten już jest unieszkodliwiony...

Trazwalar podszedł bliżej.

–Żyje? – zadał pytanie, jeszcze nie dotykając zwoju.

–Tak. Jest nieprzytomny i będzie jeszcze przez kilka *semii*.

Trazwalar Wielki pochylił się i pociągnął mocno za róg grubej tkaniny. Pakunek drgnął, tkanina wysunęła się spod leżącej na plecach postaci i odsłoniła ją.

–Ob Rydel... – sapnął władca. – Tak.

–Jesteś pewien? – Tak.

–Dowody?

–Dlatego nie dotykałem go tylko uśpiłem. Za chwilę, panie, zobaczysz drugiego spiskowca i ten potwierdzi, kto jest w ich spisku. Wtedy będziesz wiedział, czy się pomyliłem, czy nie. Ta rozmowa udowodni wszystko.

–Będę przy niej obecny? Kto to?

–Panie, jeszcze pół *semii* cierpliwości. – Niewiele mi jej zostało!

–Niewiele trzeba. To już koniec.

–Kolejny raz zastanawiam się, dlaczego jeszcze nie kazałem cię podwiesić, krnąbrny magu, na tuzinie haczyków wbitych w plecy nad dołem z głodnymi wilkokłaczami!? – prychnął ze złością Trazwalar, a mag odetchnął z ulgą.

Starął się ukryć tę ulgę, ale nie tak, by w ogóle nie było jej widać – niech Trazwalar wie, że jego decyzje są ważne, życiowo ważne dla innych...

–Panie, tu jest wziernik do pomieszczenia na dole. Pod podłogą. Ja tam się udaję teraz, a ty będziesz widział i słyszał całą rozmowę. Ale nie podejmuj żadnych kroków, cokolwiek zobaczysz i usłyszysz, naprawdę. Bo to może być tylko część prawdy. Poczekaj, aż dam znak, aż wszyscy, którzy mieli tam być, wyjdą z tej spiżarni, albo... aż zginie ktoś.

–Kto?

–Nie wiem, naprawdę. Ale może się wydarzyć kilka rzeczy. Nie widzę jasno przyszłości... Istnieje wiele możliwości, zbyt wiele, by je rozważać... Cokolwiek jednak się stanie – tu masz jednego spiskowca, a drugiego... i może trzeciego poznasz, obserwując tę komorę na dole.

W izbie zapanowała cisza, w kącie zaskrobała mysz. Mag przykucnął dwa kroki od południowej ściany, i włożywszy palce w szczelinę w podłodze, podważył dwie deski. Wyjął je, ale szybko zasłonił otwór leżącą obok szmatą. Wstał.

–Tam jest założona płyta kryształowa, panie. Tak więc będziesz wszystko doskonale widział, słyszał też. Ale koniecznie wygaś wszystkie kaganki, bo będzie widać światło na suficie. Jak tylko stąd wyjdę, zarygluj drzwi... – przerwał i wsłuchał się w głuchy dźwięk *biklangi* -...dwa uderzenia. Idę. Zarygluj drzwi, zgaś, panie, światło. On ci nie zagrozi, bo jest nieprzytomny i taki będzie niemal do świtu, poza tym jest spętany.

Zamilkł i czekał na słowo monarchy. Ten wolno pokiwał głową z nieobecny wyrazem twarzy. Potem skinął mocniej i mruknął:

–Idź zatem.

Mag wysunął się przez drzwi; przedtem chwilę pod nimi nasłuchiwał, a kiedy wychodził, jego ręka spoczywała na długiej *kiryadze*, Trazwalar szybko podszedł do drzwi, i przyjrząwszy się im, zamknął na oba rygle. „Po co komu rygle w magazynie koszy? – pomyślał. – Widocznie czcigodny ojciec też ma jakieś swoje tajemnice”. Potem podszedł do leżącego nieruchomo Oba Rydla i sprawdził pęta na kostkach, kolanach, przegubach i łokciach. Między innymi tak długo żył i panował, bo starał się powierzać swe życie temu, komu na nim najbardziej zależało.

Sobie.

Potem przeniósł dwa kaganki na podłogę, ustawił tak, by były po lewej stronie, po prawej mając drogę do drzwi, obok położył wzięte z półki przy drzwiach krzesiwo. Jeszcze jednym spojrzeniem sprawdził otoczenie, po czym zdmuchnął wszystkie płomyki, ostrożnie odsunął tkaninę, i położywszy się na podłodze, przylgnął okiem do ciemnego okienka.

Na dole nic się nie działo, wyciągnął rękę, dotknął palcami szkła i obmacał całą powierzchnię. Było chłodne, gładkie, wielkości powierzchni dwóch spoczywających obok siebie płasko dłoni. Trazwalar Wielki zachichotał w duchu – „Król leży na podłodze w jakimś składziku i gapi się w mrok!”. Ułożył brodę na podłożonych dłoniach, ziewnął. Przeleżał tak nieruchomy kwartę, w tym czasie słyszał tylko skrobanie myszy, coraz zuchwalszych wobec spokoju i ciemności w ich królestwie. Raz zachrypiał spętany Ob Rydel, i to przypomniało monarsze, że jakoś umknęło mu z widoku, iż jeden z najbliższych mu ludzi, wyniesiony ponad wielu kandydatów z możniej szych, starszych i godniej szych jakby rodów, podniósł rękę na swego pana i króla. Trazwalar zacisnął zęby, ale zaraz nakazał sobie spokój. „Najpierw niech się dowiem, czy naprawdę jest zdrajcą, czy knuł...”

Na płytce przed oczami Trazwalara Wielkiego pojawiło się słabe światło. Potem rozblęskło mocniej. Monarcha przysunął się i wpił oczami w widok przed sobą. Nie wiadomym sposobem, patrząc z góry, widział wszystko nie z sufitu, jak się spodziewał, ale z boku, jakby wpatrywał się w okienko pod sufitem. Przypomniawszy sobie kominy podglądowe w kilku sekretnych komorach murów Gaybony; zaśniedziałe, miedziane rury, w których jakoś mądrze osadzone były szkła i lustra, przez co pozwalały na obserwację przeciwnika zza rogu, spoza osłony muru, ściany czy balustrady. Ktoś chytry i pracowity, nie wiadomo kiedy wpasował coś takiego w podłogę składu. Uspokojony, że nie nia w tym żadnej magicznej sztuczki, Trazwalar wpatrzył się uważnie w „okienko”. Po komnacie, znacznie większej od tej na górze, z kilkoma stosami wielkich wężerzy, krzątała się osłonięta płaszczem i kapturem postać. Zapalała światło. Było tego sporo, pół tuzina. Trazwalar uśmiechnął się pod wąsem – mag zapalał tyle światła dla niego. Żeby dobrze widział. Domysł potwierdził się, kiedy postać ni z tego, ni z owego zaczęła sztucznie kasłać. Jakby pokazywała, że dźwięk dociera do izby nad sklepieniem.

Potem mężczyzna rozwiązał troki na piersi i odrzucił płaszcz.

I wtedy Trazwalar Wielki, król Lanyatty, królestwa zajmującego w jego mniemaniu połowę świata, zmarł, poczuł jakiś zimny powiew na twarzy. Usłyszał, że szczękają mu zęby:

Na dole, w przesłoniętym kryształem oknie, widać było, jak po składzie sieci i wężerzy krząta się postać, która za żadne skarby nie powinna się tam znaleźć.

Trazwalar Wielki zobaczył, że na szkło spadła kropla potu.

## Rozdział 17

Karlica, nosząca od... od zawsze imię Kerel Od Śmierci Włos, od... od zawsze udająca mężczyznę, podeszła ostrożnie pod drzwi magazynu, który wymienił Ob Rydel, składając jej niezapowiedzianą, więc tym bardziej nieprzyjemną wizytę w przesączonym fetorem pokoju. Kiedy nieco odzyskała siły, nadwątlone nieprzespaną nocą i chorobą, przypomniała sobie minę Oba, kiedy wstała z nocnika. Krótkie, pulchne palce zacisnęły się w piąstki na to wspomnienie, po długiej bowiem chwili zastanawiania się uznała, że to, co kątem oka zobaczyła na jego twarzy, musiało być obrzydzeniem. Bo co innego? Wszak należał do grona tych kilku dosłownie osób, które były wprowadzone w jedną z większych tajemnic Trazwalara Wielkiego. Chyba że wykrzywił mu twarz smród bijący z *kaplora*, ale, przypomniała sobie, nie, w nocniku nie było właściwie nic, poza kilkoma kroplami żółtawej cieczy. Tak więc obrzydzenie.

„Zapłaci mi za to – pomyślała. – Grubymi pieniędzmi. Nie wykpi się byle czym...”

Pchnęła śmiało drzwi, uchylili się. Na krętych schodach stał kaganek, dzięki czemu w miarę bezpiecznie można było przystępować do schodzenia. Wyczulony słuch karlicy, wyćwiczony przez długie lata dworskich intryg, knowań, zdrad, podsłuchów, uników i donosów, wychwycił cichutki dźwięk dzwonka dobiegający z dołu.

Coś się tam działo.

Karlica kaczymi skokami zaczęła schodzić, nie kryjąc się, ale też i nie wywołując zbędnego hałasu. Widziała, że cień rzucany przez jej postać wyprzedzi ją, nie miała więc szans dotrzeć na miejsce spotkania niepostrzeżenie, o ile ktoś pilnował schodów. Ale gdyby nie...

Stanęła przed kolejnymi, uchylonymi drzwiami. Pchnęła je śmiało i weszła do izby. Od razu zobaczyła siedzącą pod ścianą postać, mającą po obu stronach po dwa kaganki, i dwa dodatkowe na półkach po obu stronach drzwi. Podeszła bliżej. Chwyciła się pod boki.

–No? Czego chcesz? – zapytała śmiało.

–Niczego – usłyszała w odpowiedzi. – Ważne jest czego ty chcesz. Ty i twoi zausznicy...

–Ja i moi zausznicy? Jacy? – prychnęła, nie kryjąc goryczy. – Szczury? Pająki? Jaszczurki?

–Nie ci – padła miękka odpowiedź. – Nie ci. Nic ci nie każe z nimi się bratać. Nikt nie każe... Ale z kim się bratasz z własnej woli? Poza mną...

–Poza tobą? – Kerel Od Śmierci Włos osłupiała. Stała nieruchomo, patrząc z dołu do góry, choć mężczyzna siedział. – Z tobą? Ty... padalcu!...

\*\*\*

Trazwalar otarł dłonią spocone czoło, chciał delikatnie zetrzeć kroplę potu z okna, ale tylko ją rozsmarował, zaklął bezgłośnie. Poderwał się bezszelestnie, przysunął do łoża i pociągnął do siebie tkaninę, w którą zapakowany był Ob Rydel. Przy okazji dotknął ciała, sprawdzając, czy jest na miejscu.

Było.

Rożkiem tkaniny wytarł szybę, znowu odzyskał widoczność.

Ale jak to możliwe? Patrzył na dokonującą ostatnich poprawek w ustawieniu miejsca spotkania postać. Dwa kaganki na półkach przy drzwiach, dwa na przeciwległej ścianie. Dużo uwagi poświęca stertom wycierzy... Coś ustawia, jakby chciał, żeby te wycierze były kiepsko oświetlone.

„Ale, na Noibosa! I niech mnie Gryeibes z Munę mają w opiece! – pomyślał Trazwalar. – Skąd on się tam wziął?!”

W izbie na dole rozległ się cichy dźwięk dzwonka.

Postać na dole znieruchomiała, potem popatrzyła prosto w oczy Trazwalara i przyłożyła palec od ust. Potem mężczyzna usiadł na ławce i znieruchomiał.

Chwilę potem zza uchylonego skrzydła drzwi pojawiła się Kerel Od Śmierci Włos.

–No? Czego chcesz? – warknęła.

–Niczego – spokojnie odpowiedział Ob Rydel. – Ważne jest czego ty chcesz. Ty i twoi zausznicy...

–Ja i moi zausznicy? Jacy? – rzuciła z żalem. Rozejrzała się po izbie. – Szczury? Pająki? Jaszczurki?

–Nie ci – odpowiedział *samerantur*. - Nie ci. Nic ci nie każe z nimi się bratać. Nikt nie każe... Ale z kim się bratasz z własnej woli? Poza mną...

Oparł się o ścianę i splótł ręce na piersi.

–Poza tobą? – powtórzyła niemal dokładnie ostatnie słowa zdziwiona Kerel Od Śmierci Włos. Zaciśnęła pulchne wargi, stała, zadzierając głowę, by nie umknął jej uwagi żaden ruch, żaden błysk w oku Oba Rydla. – Z tobą? Ty... padalcu!...

–Padalcu? Wcześniej nie mówiłaś tak, pani.

–Pani? – gniew karlicy przeszedł w zdziwienie, a raczej osłupienie. – Co ty pleciesz? Najadłeś się mamidła?

*Samerantur* wychylił się do przodu, wpił się spojrzeniem w twarz karlicy.

–Nie wykręcaj się teraz! – warknął. – Nic się jeszcze złego nie stało, dopiero może stać. Po prostu musimy przyspieszyć bieg wydarzeń. Na maga chyba nie ma co liczyć...

–Na maga?

–Przestań powtarzać po mnie! – syknął rozjuszony Ob Rydel. – Pamięć ci odjęło? Może ci przypomnieć?

–Przypomnij, głupcze! Jakoś nie pamiętam, żebym się z tobą do czegokolwiek umawiał! – warknęła Kerel Od Śmierci Włos.

–Umawiał? – teraz z pogardą parsknął *samerantur*, - Widziałem cię dziś na *kaplorze*, nie mydl mi oczu męskością...

–Ja mydlę? – karlica jakby nie słyszała jego prośby. Niemal każde zdanie zaczynała od powtórzenia jego ostatnich słów. – Co ja ci mydlę... Przecież... – Szeroko otworzyła oczy.

W tej samej chwili coś zaczęło docierać również do Oba Rydla. Przez chwilę wpatrywali się w siebie ze zdziwieniem, zaskoczeniem, niedowierzaniem. Potem w oczach karlicy zaczęła płonąć złość. Nagle *samerantur* poderwał się z ławy, zrobił krok i przyklęknął na jedno kolano.

–Teraz nie mogę wyjaśnić tego wszystkiego – zaczął szybko. – Przepraszam, wziąłem cię, pani, za jednego ze spiskowców, czyhających na życie naszego króla.

–Co ty z tą panią?... – niemal krzyknęła karlica. Ob Rydel zamachał rękami, uciszając ją.

–Teraz ci powiem tylko to, co mogę, zaraz przyjdzie tu prawdziwy zamachowiec. Pani, okaż mi łaskę, na chwilę zapomnij o mojej niewybaczalnej pomyłce. Ale to dla dobra sprawy... Jeśli – wytrzymasz – będziesz świadkiem cichym świadkiem, zaświadczysz u monarchy to, co mu po rozmowie opowiem. Słyszysz? – Chwyć Kerel Od Śmierci Włos za ramię i potrząśnij lekko.

–Ukryjesz się za wścierzami i, cokolwiek by się działo, cokolwiek by się tu nie mówiło, póki cię nie odkryje ktoś poza mną, masz siedzieć jak... ryba w wścierzku.



Rozumiesz? Ja nie jestem tym, kogo tu widzisz, tyle ci mogę powiedzieć...

Przerwał i wsłuchiwał się w ciszę ze spojrzeniem utkwionym w uchylonych drzwiach. Położył palec na ustach i wskazał stosy węgierzy. Karlica nie ruszyła się. Ponaglił ją gestem, cicho brzęknął niewidzialny dzwoneczek. To przekonało karlicę, poszła w kierunku stosu, weszła w cień, przykucnęła, zniknęła z oczu. *Samerantur* wrócił na ławę.

Chwilę potem Trazwalar Wielki zobaczył w progu swojego brata.

Przestał się już dziwić czemukolwiek, po prostu chłonał widok, wsłuchiwał się w rozmowy na dole.

–Witaj, panie – powiedział Ob Rydel.

–Witaj, ale... Nie jestem zadowolony z tego spotkania – powiedział cicho Brulwerd Jasna Noc. – Co ci przyszło do głowy?

–Musiałem... Musimy... Nie mamy już czasu. Jestem pewien, że rano mag uda się do Trazwalara i powie mu, co wie...

–A co wie? – Brulwerd Jasna Noc podszedł bliżej, rozejrzał się, mógł usiąść tylko na baryłce pod przeciwległą do węgierzy ścianą. Zrobił dwa długie kroki i usiadł na niej. Jego postać niemal całkowicie zniknęła z oczu monarchy, widział tylko głowę brata. – Czego się obawiasz?

–Sodos wie prawie wszystko. Wie, że ty i ja upletliśmy intrygę z xameleonem, wie, że nie tylko my jesteśmy w to wplątani...

–No to dlaczego milczy?

–Nie wie jeszcze, kim jest trzecia osoba.

–Ach, tego nie wie – odchylił się, oparł głową o ścianę, nie zwracając uwagi na pajęczyny i kurz na ścianie. Chwilę milczał. – Tylko tego?

Ob Rydel pokiwał głową.

–A ty skąd to wiesz?

–Podśluchałem. Tu jest niezły system korytarzy, niemal tak dobry jak w Gaybonie.

–Z kim rozmawiał?

–Nie wiem. Z jakimś duchem?... – wzruszył obojętnie ramionami *samerantur*.

–Duchem?

–Duchem! – ryknął wściekły i przerażony Ob Rydel. – Nie widziałem nikogo, a słyszałem dwa głosy. Rozumiesz? – ściszył głos.

–To niewidzialne powiedziało mu, że zabiło Chadę Liścia w korytarzach Gaybony!

–Coś pleciesz... – rzucił Brulwerd Jasna Noc, przymknąwszy powieki.

–Pleciesz?... – Ob Rydel nieświadomie zaczął naśladować karlicę, powtarzając słowa rozmówcy. – O nie, panie, nie plotę. Po prostu, jeśli mag czegoś jeszcze nie wie, to jednak wie tyle, że Trazwalar zacznie nas, a przynajmniej mnie przepytować, a obaj wiemy, jak długo ludzie opierają się jego katom! Ale jeśli nawet na początku tylko mnie samego będzie torturował, to powiadam: tylko na początku. Nie myślę iść sam do otchłani Mune! – wyciągnął palec w stronę królewskiego brata.

–Grozisz mi, szczurze?!

Brulwerd Jasna Noc ciągle siedział jak zmęczony człowiek, z przymkniętymi oczami, nieruchomy, ale nagle w dziwny sposób groźny.

–Nie grożę – szybko zmienił intonację *samerantur*. – Tylko tłumaczę sytuację. Musimy się zdecydować. Albo uciekam za chwilę, albo przystępujemy do działania.

–Co proponujesz?

–Najpierw zabić maga... Potem... potem... – głos mu się załamał.

–Trazwalara Wielkiego – podpowiedział Brulwerd Jasna Noc.

–T-tak...

–Czego się trzęsiesz, *sameranturzel* – brat króla otworzył oczy i obrzucił ołowianym spojrzeniem Oba Rydla. – Wiedziałeś, na co się godzisz, wiedziałeś, że może być niełatwo, prawda? Ale wiedziałeś też, że zysk jest niepomierny...

–Tak... wiem...

–No to jak chcesz to załatwić?

Skamieniały, a jednocześnie dygocący z wściekłości Trazwalar zobaczył, że znowu kropla potu spadła na kryształową szybę. Uświadomił sobie, że ma dłonie zaciśnięte w pięści tak mocno, że zdrętwiały mu palce, że nie bardzo może rozprostować je i wytrzeć kryształ. Otarł pot z czoła przedramieniem.

–Musimy zabić maga. Do niego można dotrzeć sekretnym korytarzem. Wystarczy

szczelina w ścianie i dmuchawka z drętwiącą... Potem żelazo w serce... Żaden mag nie przetrzyma tego. Odciąć głowę...

–Jesteś pewien?

Brulwerd Jasna Noc wyrzucał z siebie słowa od niechcienia, obojętnie, jakby temat rozmowy mało go obchodził, jakby rozmawiali o czymś błahym, o sieciach, o pogodzie... Ob Rydel zauważył to.

–Panie, czuję, że masz do mnie o coś pretensje – powiedział. – Bądźmy szczerzy, przed sobą nie powinniśmy niczego kryć, szczególnie teraz. Otóż mam wrażenie, że chętnie zostawiłbyś mi działanie dzisiejszej nocy, a sam poczekał do rana na wyniki, prawda? Jeśli uda się i zabiję Trazwalara, to szybko ogłosisz się *weishą*, regentem sprawującym władzę w imieniu nienarodzonego syna zamordowanego Trazwalara Wielkiego. Aż do czasu objęcia tronu przez pełnoletniego władcę... A do tego czasu wszak wiele może się wydarzyć – pozwolił sobie na krzywy uśmiech. – Albo – jeśli mi się nie uda, byłbyś pierwszym chętnym do wymierzenia sprawiedliwości. – Popatrzył na brata królewskiego i znowu lekki, wredny uśmieszek rozciągnął jego wargi.

–Może nawet teraz chętnie byś zmienił front, panie. Co? Lepiej być żywym bratem króla, niż nieżywym niedoszłym *weishą*.

Mężczyzna, do którego skierowane były te słowa, potarł dłonie, położył je na kolanach. Milczał.

–Zabezpieczyłem się. Ukryłem świadków. Niewiele wiedzą, ale jeśli to powiedzą, to nie unikniesz... – urwał Ob Rydel. Ten na górze sapnął przez nos, Trazwalar Wielki drgnął i sięgnął do *kiryagi*.

–Kata? – podpowiedział Brulwerd Jasna Noc. Odpowiedziało mu wzruszenie ramion.

–Dobrze. Nie powiem, że to mnie przekonało, ale...; – wstał. – Jaki masz plan?

–Idźmy i załatwmy wszystko tak, by widziano nas jak idziemy na spoczynek. Za dwie *semie*, o północy, spotykamy się tu. Pójdziemy do maga.

–A do Trazwalara?

–Musisz, panie, wymyślić jakiś powód widzenia z królem. Mnie nie wpuszczą o północy.

–Powiadomimy go o ucieczce maga – powiedział wolno Brulwerd Jasna Noc. – Bo przecież nie powiemy, że go zabiliśmy?

–Chyba że zabiliśmy w obronie władcy?... – podsunął Ob Rydel.

**–Może... Tylko żeby nie przesadzić...**

**–No to musimy się nad tym zastanowić... Monarszy brat poderwał się i poszedł do drzwi. – No to ruszajmy – zatrzymał się i odwrócił do Oba Rydla.**

**–Chyba że...**

**–Chyba że co, panie?**

**–Chyba że to jakaś twoja intryga, zawiała i podła jak... – urwał, nie mogąc znaleźć odpowiedniego słowa.**

**–Jak zabójstwo króla obcymi rękami – podsunął twardo *samerantur*.**

**Brulwerd Jasna Noc splunął i wyszedł.**

**Ob Rydel stał chwilę, wsłuchując się w oddalające, ciche kroki, potem przełknął ślinę i zwałił się na ławę. Otworzył szeroko usta i odetchnął głęboko, jakby przełknął jakiś piekący kęs. Pochylił głowę i potarł skronie, wstał.**

**Za więcierzy wyszła Kerel Od Śmierci Włos, była blada, bladością chorego, a może nawet umierającego człowieka.**

**–Ty gadzie! – syknęła.**

**Ob Rydel machnął ręką i odwrócił się w stronę wylotu komina podglądowego, znał jego położenie. W tym momencie karlica zrobiła kilka kroków, wskoczyła na ławę, a z niej – odbiwszy się po drodze od ściany – wskoczyła na ramiona *samerantura*, jednocześnie chwytając go za włosy i przykładając do szyi koniec krótkiego, trójkątnego ostrza.**

**–Gadaj wszystko, bo zginiesz w mgnieniu oka! – warknęła. – Wstrzyknę ci jad, zanim pomyślisz, że możesz mnie rzucić!**

**Ob Rydel uniósł wolno rękę i wskazał sufit. – Co?**

**–Tam jest monarcha – wychrypiał Ob Rydel. – Wszystko widzi i słyszy...**

**–Akurat ci wierzę! Masz gadać!**

**–Może zapytaj go o jakiś znak, sygnał... Może stuknąć w podłogę...**

**Karlica zawahała się, ale nie cofnęła ręki.**

**–Niech zastuka o ile jestem od niego starsza! – zażądała. Z góry rozległy cztery stuknięcia w sufit. Karlica zamarła z otwartymi ustami.**

–Jeśli chcesz, to siedź na mych ramionach – powiedział *samerantur* – a ty, panie, zejdź tu.

Rozległo się jedno stuknięcie. Potem kilka długich chwil nic nie zakłócało ciszy. Tylko sapała rozzłoszczona karlica, i słychać było charkotliwy oddech przyduszonego Oba Rydla. Potem rozległ się cichy dzwoneczek, kroki na schodach i w progu stanął Trazwalar Wielki.

–Kim jesteś? – zapytał.

Karlica zsunęła się z ramion Oba Rydla i pomknęła do monarchy. Zapytany zaczął wolno rozwiązywać troki na piersi, a potem przez głowę zsunął pelerynę. Zaczepiła o coś, chwilę szamotał się z nią. Trazwalar położył rękę na rękojeści miecza, a Kerel Od Śmierci Włos zmieniła chwyt na rękojeści. Była gotowa do rzutu.

Peleryna opadła, odsłaniając oblicze maga. Sodos Skrępowany przyklęknął na kolano, pochylił głowę w ukłonie.

–Panie, już wiesz wszystko. Bez szczegółów, ale nie masz chyba już wątpliwości – powiedział.

–To ty... Zaskoczyłeś mnie – przyznał monarcha. – W pierwszej chwili nie wiedziałem, kim jest tamten spętany...

–Ob Rydel i twój brat, panie... To jest ten spisek, którego celem byłeś ty, a rzekomym narzędziem xameleon.

Długie, nieprzyjemne, lepkie i zatęchłe milczenie zapanowało w piwnicy. Trzy osoby mierzyły się spojrzeniami. Mag patrzył oczy monarchy bez lęku, ale z szacunkiem, potem przeniósł wzrok na karlicę, która wypalała w nim dziurę spojrzeniem.

–Wierzysz mu? – zapytał w końcu cicho władca. – Siostro? – dodał po chwili.

Mag uświadomił sobie, że posiadał kolejną, po sekrecie Boicosty Mokrych Dłoni, ważką tajemnicę rodu Dre-Licchine – istnienie w rodzinie starszej o cztery lata, nieudanej siostry Trazwalara Wielkiego. Siostry nieforemnej, małej i pokracznej, wiernej, oddanej i niebezpiecznej dla wrogów brata jak rój rozjuszonych szerszeni. Najpierw dowiedział się, że w ogóle jest kobietą, teraz, że nie tylko jej gotowość do błaznowania i drwin pozwoliła jej być tak blisko władcy.

–Mam jeszcze... – zaczął Trazwalar i urwał. Przez chwilę walczył ze sobą. Potem duma wzięła górę. Sodos poczuł, że znowu wzbudza niechęć władcy – przez niego król czuje się upokorzony, zmuszony do zadawania pytań, a nie chce tego. Mag zaś wiedział, że monarcha nie powinien znać odpowiedzi na wszystkie pytania. – Nie odpowiedziałas mi?

–Nie wiem – przyznała karlica. – Nie lubię go, bo nic na niego nie mam, wymyka mi się z rąk, wyślizguje jak wij... Z drugiej strony, cokolwiek robił – zawsze wychodziło na to, że z pożytkiem dla ciebie: ci zabójcy w gwardii, *khuremes*, teraz... – zawahała się i nie wymieniła imienia młodszego brata, dokończyła tylko: -...*samerantur*...

–To mamy wspólne rodzinne zdanie – powiedział poważnie Trazwalar Wielki. – Ja też go nie mogę rozgryźć...

–Bo może nie ma i co? – podsunął mag.

–O, na pewno jest. – Trazwalar Wielki zastanawiał się chwilę. – Ojciec uważa cię za szlachetnego i prawego człowieka.

–Niech ten prawy i szlachetny powie, czego chce za swoją robotę – rzuciła nagle Kerel Od Śmierci Włos z drwiną i wyzwaniem w głosie. – Będziemy wiedzieli coś o jego szlachetności.

–Chciałbym o zapłacie powiedzieć później... – cicho rzekł mag. – Zapewniam, że twój skarb, panie, zeszczupleje tylko o tyle, ile zostało wyłożone na moje wyżywienie...

–Nie chcesz jakiegoś miejsce na dworze? – zapytała karlica.

–Nie. Wracam do siebie. To piękna i potężna kraina, szczęśliwa, jak sądzę. Ale to nie moja ojczyzna...

–Dobrze – rzucił monarcha. – Wy możecie iść spać. Ja mam do wydania kilka rozkazów. Spotkamy się w południe przy Studni Głów.

–Panie, wyrzuć wszystko, co można było zatruć – jedzenie, napoje, szaty... – pośpiesznie rzucił Sodos. – Nie jestem pewien, co i jak mogło być...

–Dobrze. Dziś przeniosę się do innych pokoi. Za chwilę – powiedział ze szczególnym naciskiem.

„Jak tylko Ob Rydel i brat zostaną uwięzieni” – dopowiedział sobie mag.

Pochylił głowę, a kiedy ją podniósł, na schodach rozbrzmiewały ciche i szybko cichnące kroki. Wstał, zamknął oczy i długą chwilę stał, ledwo zauważalnie chwiejąc się, jak ktoś niezmiernie znużony. Potem przetarł oczy, całą twarz, potrząsnął głową, odganiając podstępnie ogarniającą go senność, która jakby tylko czyhała na chwilę względnego spokoju, by zarzucić swe pęta na umysł.

„Naprawdę koniec? – zapytał sam siebie. – Aż trudno uwierzyć. Ale... Tak do końca uwierzę, jak już będę o kilkanaście dni drogi stąd”.

Ciężko przestawiając stopy, wyszedł z izby, na drugim stopniu przypomniał sobie o zapalonych kagankach i suchych sieciach i wiewiórkach, z westchnieniem odwrócił się, wrócił do izby i zgasił wszystkie cztery. W niemal całkowitym mroku ruszył po schodach do góry. Z każdym krokiem robiło się widniej za sprawą pozostawionego przez niego samego kaganka. Z każdym też krokiem robiło mu się ciężko na duszy. Kiedy wyszedł na podwórze, szóstka gwardzistów z pochodniami wyносиła właśnie z komory tłumok z *sameranturem* w środku.

Coraz więcej widać było pochodni, dały się słyszeć pojedyncze okrzyki komend... Zapalały się ognie w oknach.

„Powinienem był przypomnieć o odtrutce... – pomyślał mag. – A może kłamał? Nie, nie kłamał... To twardy człowiek, nie bawi się w zawile sploty intryg...”

W tym momencie prysnęły kolorowe, szklane mozaiki w oknach okrągłej budowli, w której zamieszkiwał Brułwerd Jasna Noc. Ktoś krzyknął, ale w obcym magowi języku, nie rozumiał ani tych pierwszych, pełnych oburzenia i złości słów, ani następujących po nich rozpaczliwych okrzyków. Zapiszczała kobieta, zapewne żona Brułwerda, Seina Toń, coś zabrzęczało, jak turlająca się po podłodze taca. Mag odczekał chwilę, ale harmider po chwili ucichł. Nie czekał na wyprowadzenie spiskowca. Skierował się do swego pokoju. Na schodach spotkał wracającego od drzwi starca. Sługa widząc maga, zwałił się na kolana i wygłosił długą perorę w *lanyatcha*. Mag stanął jak wryty i słuchał. Nie rozumiał ani ćwierci słowa z mamrotania starca, ale powoli z intonacji zaczęło mu wychodzić, że musi on go chwalać – starzec potrząsał wyciągniętymi ku magowi rękami, wznosił je ku górze, zmieniając przy tym intonację. Trwało to chwilę, potem staruszek na kolanach doczołgał się do maga i kilka razy uderzył czołem w zimną posadzkę. Nie wiedząc, jakie są obyczaje, i czy przypadkiem nie urazi starca, przerywając mu rytuał, Sodos czekał na jego zakończenie. Starzec wstał i, wyjąwszy skądś z zanadza mały kryształowy flakon, podał go magowi, gestem zachęcił do wypicia zawartości. Sodos przyjął flakonik, ale zwlekał z wypiciem jasnoczerwonej cieczy, wtedy starzec delikatnie wyjął mu z ręki flakonik, odkorkował i chlusnął cieczą na dłoń, którą zaraz dokładnie wylizał.

–Rozumiem – powiedział mag, żeby coś powiedzieć. Zresztą – było to zrozumiałe: nie jest to trucizna. Przechylił flakonik i pochłonął słodko-gorzka zawartość.

„Byłoby śmieszne, gdyby to było ostatnie polecenie Brułwerda – pomyślał nagle. – Zemsta, spoza wyroku. Albo może Trazwalar poświęcił staruszkę?...” Uśmiechnął się do gońca, poklepał go po ramieniu, a tamten usiłował pochwycić jego dłoń i złożyć na niej pocałunek.

–Nie trzeba, starcze.

Mag ominął go i, ziewając przeraźliwie, pomaszerował do swej izby. W środku nalał sobie i wypił dwa puchary wina pod rząd. Potem zablokował ścianę z sekretnymi drzwiami, i nie rozbierając się, zwałił na posłanie.

Chwilę potem zapadł w ciężki, szczelny, bez majaków i zwidów sen.

## Rozdział 18

W nocy znowu spadł deszcz. Starzec, który przybiegł zdyszany do izby maga, pokazywał wysokie buty, wyczyszczone do blasku, choć nie wiadomo było, jak czyściciel przedostał się do komnaty Sodosy. Po nim przyszedł nieco młodszy służący, i z szacunkiem pokłoniwszy się najpierw magowi, potem staruszkowi, łamanym *tawlish* wydukał:

–Trazwalau Wielki prószy o pilnie przybycie do szudni guf...

„Do Studni Głów!” – domyślił się mag. Szybko nałożył buty, w tym czasie staruszek dodreptał do peleryny, strzepnął ją i podał Sodosowi. Był niezmiernie zdziwiony, że mag kręci głową i wyjmuje z wory inną, z gorszej tkaniny. Ta była jego własna, nie Oba Rydla. Podziękował starem uśmiechem, przypasał swój miecz, nałożył na głowę czapkę z opadającym na plecy polem, i wyszedł z komnaty.

W milczeniu przebyli pierścienie dwóch kolistych dziedzińców i wyszli na trzeci. Służący zabalgotał niezrozumiale i wycofał się.

Pod łukiem-arkadą południowej strony placu ze Studnią Głów półkolem stało kilka osób, siedzieli tylko Trazwalau Wielki i jego ojciec, Boicosta Mokre Dłonie, oficjalny charakter spotkania podkreślało to, że nawet żona monarchy, Hanibeli Perła, stała obok wspaniałego tronu z kości słoniowej. Z drugiej strony tronu stała Kerel Od Śmierci Włos. Wielką głowę miała zadartą do góry, jakby wietrzyła, albo tłumiała łzy. Na obu skrzydłach siedzącej pary stało po czterech gwardzistów. Dodatkowo od strony arki-bramy znajdował się Marecheba Sieć. *Halemmed*, widząc maga, wpił się wzrokiem w niego, a przechwyciwszy spojrzenie, lekko skinął głową i pozwolił, by drgnęły mu kąciki ust pod długimi, obwisłymi wąsami. Mag podszedł do monarchy, przyklęknął i uklonił się nisko, niemal dotykając czołem ziemi.

„Teraz kłaniam się niżej niż kiedy przyjechałem – zganiał w myślach sam siebie. – Chociaż teraz mam zasługi.”

Trazwalau skinął mu głową, Boicosta patrzył nieruchomo przed siebie. Nie okazał mrugnięciem powieką, że widzi maga. Hanibeli Perła, z twarzą zakrzepłą w mocno pomalowaną maskę patrzyła równie nieruchomo przed siebie. Ale był to inny bezruch. Martwy. Śmiertelny. Albo wynikający ze śmiertelnego przerażenia.

–Witaj, Sodosie Skrępowany. Siadaj.



Po raz drugi monarcha zwrócił się do maga pełnym imieniem.

Od strony drugiej arki pędziła już para pachołków z wysokim krzesłem. Sodos odczekał, aż ustawili je między monarchą i jego ojcem, nie wymawiał się, nie krygował, usiadł. Wyglądało, że chwila nie sprzyja rozmowie, szermierce słownej, wdziękaniu się do siebie.

–Haniebna rzecz wydarzyła się w moim pałacu - odezwał się, patrząc przez przed siebie, Trazwalar Wielki. – W pałacu i w domu. W rodzinie. To hańba, którą można zmyć krwią, i tak ją zmyjemy.

Spod tej samej arkady, pod którą przebiegli przed chwilą pachołkowie z krzesłem, czwórka żołnierzy pałacowych, nie gwardzistów Trazwalara, wyprowadziła Oba Rydla. *Samerantur* był siny ze strachu, nogi ugięły i plątały się pod nim, właściwie niesiono go, tyle że w pozycji stojącej. Za tą piątką podążała wysoka, całkowicie łysa starucha w krwiście czerwonym kaftanie, takiej samej koszuli i spodniach, i butach. Trzymała w ręku buchtę takiego samego koloru liny. Orszak zatrzymał się dokładnie pod dłuższym ramieniem żurawia, starucha przerzuciła przez szczyt ramienia linę i opuściła jej koniec do wysokości swojej piersi. Zaczęła wiązać na nim wymyślną pętlę.

„Szykuje szubienicę” – domyślił się Sodos.

Dwaj żołnierze, ci którzy szli za *sameranturem*, przyłożyli do pionowego słupa wielkie, przyniesione ze sobą koło i zaczęli nim kręcić. Długie ramię żurawia zaczęło się opuszczać. Ostry terkot jakichś zapadek był jedynym dźwiękiem zakłócającym ciszę na placu. Ob Rydel szamotał się, usiłował przez ramię popatrzeć do tyłu, przechwycić spojrzenie monarchy; dopiero teraz mag dojrzał, że ma usta przewiązane szczelnie szerokim pasem materiału. Dlatego nie krzyczał. Czasem tylko rozpaczliwe meczenie docierało do widzów.

Żołnierze nakręcili jakiś mechanizm, odeszli, kat w czerwieni założyła *sameranturowi* pętlę na szyję, odstała i popatrzyła pytająco na starego króla. Boicosta Mokre Dłonie skinął głową. Starucha podeszła do słupa, na jakiś jej sygnał trzymający Oba Rydla żołnierze odsunęli się.

Zwolniła zapadkę.

Mag oczekiwał, że ramię podniesie się wolno, lina napnie i zacznie dusić wierzgającą ofiarę, której podrygi będą zadośćuczynieniem jakimś za to, co usiłowała przeprowadzić. Ale stało się co innego.

W chwili, kiedy starucha ruszyła ręką, Ob Rydel, który lepiej od maga znał działanie żurawia, kwiknął głośno, przysiadł i podskoczył co sił. Nie miało to żadnego znaczenia: ramię żurawia prysnęło do góry z niesłychaną mocą i szybkością.

**„Zrywacz!!! – przypomniał sobie mag. – Przed wjazdem na groblę ktoś powiedział coś o Zrywaczu!”.**

**Lina brzęknęła jak spuszczone cięciwa łuku, będące w powietrzu dzięki susowi ciało *samerantura* szarpnęło się mocno ku górze, ale niemal zaraz zaczęło opadać, nieco w bok.**

**I bez głowy.**

**Ta poleciała daleko, pod niskie mury, chlapiąc krwią na wszystkie strony, skupiając na sobie uwagę wszystkich obecnych. Bezgłowy korpus Oba Rydla upadł, przeturlał się, i – magowi ciarki przebiegły po plecach – poderwał się na równe nogi. Okręcił na pięcie, zrobił dwa kroki i dopiero teraz zwałił się jak kłoda. Nogi jeszcze kilka razy kopnęły powietrze, pięty zachrobotwały na kamieniach. Jakby zmarły usiłował przepchnąć siebie z tej krainy do innej, i nie udało się. Ciało pozostało tu...**

**Zapadła cisza, skrzypiało tylko ramię Zrywacza, kołysząc się na jakichś sprężynach.**

**W ciszy odezwał się Boicosta Mokre Dłonie:**

**–Ta sama kara dotyczy drugiego spiskowca, zdrajcę rodu i ziemi, domu i ognia. Hańba memu synowi Brulwerdowi Jasnej Nocy. – Odwrócił się do maga. – Proszę cię, byś jednak odstąpił od obowiązującego prawa i obyczaju i w moje ręce złożył życie zdrajcy.**

**–Składam jego życie w twe ręce, panie – powiedział nic nie rozumiejący Sodos.**

**Stary król skinął ręką. W bramie pokazał się kolejny orszak. Większy. W szpalerze tuzina żołnierzy Sodos dojrzał Brulwerda Jasną Noc i jego żonę, Seinę Toń. Za nimi szła jakaś kobieta niosąca dziecko. Mag poczuł, że serce zaczyna mu łomotać w przeraźliwym rytmie, głucho i mocno. Zrywanie głowy dziecka wydało mu się karą nadmierną...**

**–Ponieważ jest moim prawowitym synem i dziedziczyłby tron, w razie śmierci starszego brata, nie możemy zhańbić królestwa zlewając krwią jego i rodziny kamieni tego placu... – Sodos odetchnął z ulgą. – Zostanie ukarany śmiercią wyklętą. – Stary monarcha wstał, i położywszy jedną rękę na piersi, drugą wskazał arkę, prowadzącą na zewnątrz, przez dziedzińce poza mury. – Zejdź mi z oczu, zniknij z serca i pamięci.**

**Brulwerd, zakneblowany tak jak i Ob Rydel, szarpnął się, ale mocne dłonie strażników przytrzymały go w miejscu. To nie był koniec ceremonii. Gdzieś za orszakiem rozległo się beczenie i szybki stukot kopyt. Kat w czerwieni podeszła do słupa i coś pomajstrowała przy jego mechanizmie. Żołnierze ponownie zaczęli kręcić kołem. Ramię Zrywacza opadło, kat przywiązała podprowadzoną na miejsce kaźni młodą kozę. Żołnierze już nakręcili mechanizm i odsunęli się. Chwilę temu trysnęła tu**

**z odgłowionego ciała krew, buty żołnierzy młaskały w purpurowych plamach.**

**–To niewinne zwierzę umiera za ciebie, człeku bez imienia i rodziców – powiedział głośno Boicosta do młodszego syna. Seina Toń zachwiała się i runęła na bruk. – Wiedz, że jest mi go żal, bardziej niż ciebie. Tylko dobro tronu, monarchii i państwa każe mi wybrać większe... znacznie większe zło i karę przenieść na niewinną kozę. Pamiętaj, że nie masz imienia, ale jeśli bardzo chcesz, możesz używać tego – Koza Bezgłowa.**

**Skinął głową. Ramię Zrywacza wyrzuciło biedne stworzenie w powietrze. Kózka była zbyt lekka, by ciężar ciała oderwał jej głowę, wyleciała w górę, opisała w powietrzu łuk, szarpnęło nią drugi raz, dopiero teraz głowa z rogami odpadła od majtającego wszystkimi czterema nogami w powietrzu korpusu. Po chwili korpus plasnął o dziedziniec, głowa przeleciała przez mur. Bezgłowe zwierzę, mocno i bezładnie waliło wszystkimi czterema nogami w bruk, ale nie było już głowy, która uporządkowałaby ruchy i pozwoliła wstać. „Ten upiorny stukot kopyt będzie mi się śnił wiele razy – pomyślał mag. – Chyba nie zwymiotuję?... Teraz? Nie zemdziło mnie przecież przy kaźni *samerantural*”**

**–Jakie życie, taka śmierć! – powiedział Boicosta Mokre Dłonie. – Precz z oczu.**

**Słudzy podnieśli Seinę Toń, jakaś dworka spoliczkowała ją mocno, a gdy zaczęła odzyskiwać przytomność, prysnęła jej w twarz wodą z dzbana. Orszak wyruszył za bramę. Trazwalar odwrócił się do maga:**

**–Pytałeś mnie, czy ci ludzie tworzący most tylko to w życiu robią. Tak. To samo do końca życia będzie robił Koza Bezgłowy. Zasiedli najdalszą stąd łódź, tamten człowiek wybierze sobie nowe życie. Może będzie tu rybakiem, może gdzieś się przeniesie. Nieważne, jego miejsce zajmie Koza z rodziną. Na zawsze.**

**–Rozumiem – z powagą i ulgą odpowiedział mag.**

**–Ponownie dziękuję ci, przybyszu – powiedział Boicosta Mokre Dłonie. – Niestety, twoja hojność przekroczyła moją majątność. Dałeś mi życie obu moich synów, a tego nie mam jak wykupić.**

**–Nigdy nie rościłem sobie żadnych praw do tych żywotów, nie jestem tego godny – odpowiedział mag.**

**–Dziękuję.**

**Nastąpiła cisza. Po chwili odezwał się Trazwalar Wielki:**

**–Powiedziałaś, że spisek tworzyli nie tylko ci dwaj... – zawiesił głos.**

–Jesteś pewien, że... – Sodos odczekał chwilę, ale długo nie mógł zwlekać z odpowiedzią. – ...że chcesz poznać całą prawdę?

–Nie wiem – ku jego zdziwieniu rzucił monarcha. Również odczekał chwilę, zanim dodał: – Powiedziałeś „troje” nie „trzej”, tak?

–Tak – cicho powiedział mag.

–Dobrze. Zamykamy sprawę i zapominamy o niej. Trazwalar Wielki poderwał się z fotela i, szybkim krokiem przemierzywszy plac, zniknął w bramie. Chwilę potem Hanibeli Perła wstała, zachwiała się, zrobiła dwa kroki i nisko ukloniła się przed starym monarchą. Ten odpowiedział łaskawym skinieniem głowy. Królowa przeszła przed magiem. Posłała mu jedno spojrzenie. Jedno jedyne, ale wyraziste i mocne jak ruch ramienia Zrywacza.

Nie drgnął mu w twarzy ani jeden mięsień. Kiedy ucichło echo jej drobnych kroków, Sodos Skrępowany podniósł się i nisko skłonił przed starcem.

–Czy pozwolisz, panie, że udam się do swojej komnaty? Nadszedł czas pożegnania gościnnego pałacu. Jeszcze dziś wyjechałbym, o ile, oczywiście, nie sprawi to tobie, panie, czy twojemu synowi różnicy...

–Jesteś panem swego czasu, magu. Wolałbym, żebyś wyjechał jutro, chcę z synem zastanowić się, jak odwdzińczyć się za twoje starania, za wykonane zadanie... Może ty masz jakieś życzenie?

„Wie? Domyśla się? Strzela na oślep?”

–Szczерze mówiąc, tak. Skoro więc mam zostać do jutra, a właściwie chętnie to uczynię, to rano chciałbym spotkać się z monarchą i jemu wyluszczyć swoją wielką prośbę.

–Tak będzie – starzec z powagą skinął głową.

Mag wstał i, przyklękawszy, pożegnał się z Boicostą. – W swojej izbie wypił dwa kielichy wina i poszedł spać. Nie niepokoiony przespał do wieczora, wtedy wstał, zażądał mięsa i piwa owsianego.

Po wieczery przejrzał swoje sakwy i skrzynie. Do później nocy z komina maga walił gęsty, aromatyczny dym. Czasem ulatywały w powietrze rozżarzone płyty tkanin.

\*\*\*

Na jednej z łodzi, tej, która dziś ruszyła jako pierwsza po wieczornym sygnale *biklangi*, stał oparty o reling mężczyzna. Wysoki, postawny, silny, biednie odziany.

Miał mocne palce, białe dłonie, ale silne. Zaciśkały się na poręczu łodzi tak, że tylko *mulf* mógłby go od niej oderwać. Patrzył w kierunku pałacu, widział jak raz czy dwa z jednego z kominów uleciał karminowy płat, pobujał się w powietrzu i zniknął w ciemnościach.

Domy promiarzy składały się z dwu części: z połowy będącej domem dziennym na łodzi, i drugiej połowy, lądowej, wraz z dzienną tworzącą dwukrotnie większy nocny dom. W lądowej części jego domu rozpaczliwie szlochała kobieta. Wcześniej płakało dziecko, ale teraz już nie.

Mężczyzna miał nadzieję, że płacz dziecka ucichł, jeszcze zanim przesiąknięte wodą ubranie pociągnęło syna na dno. W każdym razie stało się to szybko i w ciszy. Dwa większe bąble powietrza, dwa mniejsze... Jego syn musiał umieć umrzeć z godnością. Jemu nie wolno było. Jeszcze nie.

Tylko ten płacz kobiety...

Odsunął się od relingu, chwycił rękojeść sztyletu i wszedł do pokoju. Chwilę potem płacz ustał. Mężczyzna noszący od szczęściu *semii* imię Koza Bezgłowa wyszedł z pokoju o cienkich, papirusowych ścianach, zamachnął się i posłał daleko w mrok zakrwawione ostrze *kiryagi*.

Cicho plusnęła toń, mężczyzna spokojnie uniósł twarz ku baniastemu, wyblakłemu, z sinicą, topielcowatemu księżycowi.

Nikt nie słyszał jego myśli. Może tylko Gryeibes, bóg zemsty. Gryeibes musiał. W końcu tak głośne wezwanie...

\*\*\*

–Usiądź. Mamy o czym rozmawiać – służący dosunął do pufa monarchy niski stolik. Boicosta Mokre Dłonie i Kerel Od Śmierci Włos siedzieli po drugiej stronie stolika. Przy karlicy tliły się w grubej misie węgle, nad którymi parzył się mocny, aromatyczny napar z dziwnego, wiecznie zielonego krzewu *yertabee*. Karlica niemal nie odrywała wzroku od pokrywki naczynka, kiedy ta tylko podskoczyła pierwszy raz, poderwała je za uchwyt specjalnym hakiem, odstawiła i zajęła się rozlewaniem naparu do malutkich, wąskich i wysokich filiżanek z tak cienkiej, że prześwitującej porcelany. Kiedy Sodos wszedł, posłała mu tylko jedno szybkie spojrzenie. Ojciec króla siedział w kucki na identycznym pufie. Dla maga przygotowano taki sam. Przyklęknął, a po słowach monarchy posłusznie usiadł. Przyjął z ręki karlicy filiżankę, – Teraz chciałbym wszystko wiedzieć. Towarzystwo ojca i siostry, mam nadzieję, ci nie przeszkadza... – zawiesił głos -...magu?

–Panie, wiesz, że nie jestem magiem. Trazwalar prychnął:

–Już wiem.

–Oczywiście, to ja, panie, jestem owym Hondelykiem, złudzieńcem, xameleonem czy też mimikrantem... Jak kto woli.

Trazwalar Wielki milczał, postukiwał tylko palcami po kolanie.

–Czy mam mówić dalej, panie?

–Co? A tak – mówić, mówić...

Ton głosu władcy nie wróżył nic dobrego. Jego przyzwolenie „mówić”, zabrzmiało jak „wysłucham, ale nic ci to nie da”. Mag... Xameleon zrobił głęboki wdech i zaczął opowiadać:

–Pokrótce wygląda to tak. Żaden z nas, ani ja, ani mój przyjaciel Cadron, nie mieliśmy nigdy najmniejszej ochoty na zabijanie ciebie, panie. Nawet nam to do głowy nie przyszło, choćby dlatego, że słyszeliśmy o twoim kraju tylko jakieś nieprawdopodobne bajdy, tak jest odległy od naszych ziem. Zresztą, w ogóle nie wykonujemy takich zleceń, ani nie jesteśmy skrytobójcami do wynajęcia za żadną cenę, ani nie planowaliśmy podróży w te okolice. Po prostu – pewnego dnia przybyliśmy wezwani do księcia Sebredy, ale ten chciał, bym w postaci jego brata, starszego i panującego w Ugrze, naszedł na pobliskiego kasztelana. A wtedy on przejmie tron, uspokoi wzburzenie, osadzi brata w lochu i będzie sobie panował. Albo coś podobnego, byle brata pognębić. Odmówiłem mu, rzecz jasna. Na to on zemścił się, nasał na nas oddział swych siepaczy, którzy rozłączyli nas i pochwycili Cadrona. Zanim udało mi się ich odnaleźć, ci przekroczyli rzekę Tarst Chineo i trafili na oddział twoich ludzi. To ścierwo, Sebreda, chcąc ratować własną skórę, powiedział im, że oto pochwycił przyjaciela xameleona, który chce zabić Trazwalara Wielkiego. Możesz, panie, sprawdzić, że w oddziale tym był niejaki Muszla Miły, jeden z armii donosicieli *samerantura*. Ten i... i reszta spiskowców, uznali, że to znakomita okazja – mogą podnieść rękę na władcę, a cała wina spadnie na xameleona. Cadron trafił do lochu, a tobie po jakimś czasie powiedziano, że zagraża ci śmiertelne niebezpieczeństwo ze strony Hondelyka Xameleona. To było przygotowanie do zamachu. Ja w tym czasie, wyzdrowiawszy z ran i pozbywszy się gorączki, podążałem tu, chcąc ratować przyjaciela. Przybyłem do Gaybony, ale nie miałem jak dostać się przed twoje oblicze, a mogąc udawać innych ludzi, udało mi się do pałacu przedostać, chodziłem, podsłuchiwałem, podglądałem... Trwało to tydzień, zanim zobaczyłem w nocy człowieka, który nagle wtapia się w ścianę. Dalej już było łatwe – odkryłem pierwszy ukryty korytarz, dzięki któremu poznałem głównego zamachowca – Oba Rydla, *samerantura*. Ale wiedziałem, że nie mogę przybyć i po prostu powiedzieć: „Oto, panie, spiskowcy, daruję ci ich, a w zamian wypuść, proszę, mojego niewinnego przyjaciela.” Śledziłem Oba i poznałem kilku z armii jego donosicieli, a przybrawszy postać jednego z nich, podsunąłem Obowi pomysł

wykorzystania Sodosy, u którego się leczyłem z gorączki w drodze do Lanyatty: przybędzie mag, będzie wiele szumu, a „xameleon” i tak uderzy! Będzie zamieszanie, zetnie się maga, Cadrona... Teraz wiem, że ogłoszono by, że królowa jest brzemienna i wszystko by się ułożyło.

Przerwał na chwilę i odetchnął głęboko.

–Co do Sodosy... Jemu by się nie spodobało wykorzystanie jego osoby, dlatego musiałem podać mu wina z opiatem i ukryć w dobrym dla niego miejscu. No i... czekałem. Cały mój plan był bardzo chybotliwy, ale – ku mojej radości – nic, czy prawie nic nie zazgrzytało w jego trybach.

–Kręciłeś mną jak chciałeś... – mruknął Trazwalar, rzucając mu kosę, znaczące spojrzenie. – Ustawiałeś mnie i innych według swego uznania! – W głosie monarchy słyhać było urazę, i chyba gniew.

–Panie?... – W głosie maga... maga? rozbrzmiała nuta lekkiej urazy. – Owa trójka gwardzistów naprawdę należała do spisku! Co prawda, naiwni, mieli być rzućeni na pożarcie twym katom, a nie zdobyć zaszczyty i pieniądze. Ale naprawdę gotowali się do zabicia ciebie, gdyby sztuczka z xameleonem zawiodła. Udało mi się wyłapać ich z tłumu niezachwianie wiernych żołnierzy. A to, że mieli wpojony wewnętrzny nakaz, że mają się zabić... To już sprawa... Jest w Gaybonie cała masa znachorów, którzy potrafią uśpić człowieka, stłamsić jego wolę i wpoić swoją...

–No i co dalej?

–Dalej... Kiedy nabrałem pewności, że Sodos będzie wezwany, wywoziłem go i ukryłem w leśnej kolonii bartnika, a sam czekałem w jego postaci... Doczekałem się Bargdena Sennego, doczekałem powrotu do Gaybony... No i potem działałem tak, by wykryć wszystkich spiskowców, nie dać katu Cadrona, i swoją szyję ocalić. Kiedy przekroczyliśmy rzekę, pamiętasz, panie, kąpiel i rozmowę na dachu twojej karocy? Tam brat twój powiedział, że zginęło czworo ludzi. To samo wcześniej powiedział Ob Rydel, ale nie mogłem sobie tego skojarzyć. Coś mnie gryzło, ale nie wiedziałem co. Dopiero później, kiedy na tratwie twój szanowny ojciec gotował zupę rybną, ktoś powiedział, że bierze się cztery ryby, a nie pięć. I nagle rozjaśniło mi się w głowie.

–Możesz jaśniej? – zażądała karlica.

–No, powiedziano, że przeze mnie zginęło czworo „naszych” ludzi, a przecież oficjalnie tylko trzech. Trzech gwardzistów. Czwarty „ich” człowiek zginął z mojej ręki w tajnych galeriach Gaybony. Tylko jego współnicy mogli wiedzieć, że po nich krążył, i tylko oni mogli domyślić się, kto go zabił. Oficjalnie nie mogli mi nic zarzucić, zawsze mogłem powiedzieć, że to przy wykonywaniu twego zadania. Ale zapamiętali mi to i czekali na chwilę zemsty. Tyle, że się z tym wygadali...

**–Dalej – ponaglił Trazwalar Wielki. Odwrócił się do karlicy, podsunął jej filiżankę, dołała, a on rzucił: – Mogłabyś trochę szybciej myśleć!**

**Uśmiechnęła się do niego. Trazwalar Skinął na Hondelyka. Ten opowiadał dalej:**

**–Przez cały czas wykonywałem dziesiątki drobnych „cudów” – machnął lekceważąco ręką – które miały potęgować wrażenie mojej mocy...**

**–Jak? – zażądała wyjaśnień karlica.**

**„Ciekawska, jak to kobieta” – pomyślał mag – Hondelyk.**

**–Jest taki proszek, zmieszany w odpowiedniej proporcji z innym zapala się. Można więc wsypać go do miski, i przy odrobinie wprawy, zapala się „na żądanie”. Poza tym, na przykład, przy codziennym, porannym rytuale „oczyszczania i sprawdzania pachółka” skrapiałem go silnym wywarem trzepieńca i zbodrdu. Chłopak tak przywykł do tego zapachu, że go już nie wyczuwał, a ja dzięki temu wiedziałem za każdym razem, kiedy wszedł bez pytania do mojego namiotu. Obsztorcowywałem go za to, a on wierzył, że jakoś magicznie go podglądam...**

**–Potrzebny ci był jakiś pacholek? – prychnęła Kerel.**

**–Pani, jeden szczerze przekonany jest cenniejszy od czterech przekupionych! – odparł Hondelyk. – On sam potem się starał przekonać innych, którym donosił, i pewnie jeszcze dodawał od siebie sporo. – Przyłożył rękę do serca: – Panie, znasz ten podstęp na pewno: mając za słabą armię, rozpalasz w nocy trzy razy więcej ognisk niż potrzebujesz, żeby tylko wróg nie wiedział, że może cię zmieść wraz z twoimi mizernymi siłami. – Trazwalar pokiwał głową. – Tak samo ja postępowałem: kręciłem się na oczach wszystkich, dokonując małych cudów, a zaślepieni ludzie wierzyli coraz mocniej, że jestem magiem... Tylko tak mogłem uratować kark swój, Cadrona...**

**–I mój? – warknął monarcha.**

**–Ja tak nie...**

**–Dalej mów!**

**–Dalej... Spasowało się wszystko: Brulwerd chciał być królem, Ob Rydel – jego wszechmocnym *sameranturem*, nie takim jak u ciebie, tylko zarządcą zamku... A... A Hani...**

**–Dość. To wiem. Mów o innych rzeczach!**

**–No, to już właściwie koniec... Przyszedłem do Oba... – wzruszył ramionami. –**



Uśpiłem go, i przybrawszy jego postać, odwiedziłem tych, których podejrzewałem – twego brata, panie i... twą siostrę...

–Podejrzewałeś mnie, ty!... – warknęła karlica. – Kiedy dochodzi do skrytobójstwa, zawsze należy szukać tego, kto odnosi największe korzyści... W pokoju panowała głęboka cisza.

–Ktoś jeszcze był w spisku? – zapytał ponurym głosem Trazwalar Wielki.

–Chyba już nikt więcej, panie. Donosiciele Oba na pewno nie, bo to drobnica, nikt by ich nie wprowadzał w szczegóły... Z możliwych podejrzewałem tylko jeszcze Kerela. Ale nie wiedziałem, że to kobieta, i że twoja siostra...

–A mnie zdziwiło, że się tak gapisz, jak wstałam z *kaplora* - roześmiała się karlica.

–Przede mną i Brulwerdem urodziła się właśnie ona. – Trazwalar wskazał ruchem głowy Kerel. – Matka powiedziała ojcu, że dziecko było kalekie i zmarło. – Popatrzył na ojca, ale ten spokojnie pił swoją *yertabee*. – Ale ukryła je na dworze i pozwoliła żyć, na co nie pozwoliłby ojciec. Kiedy stałem się pełnoletni, opowiedziała mi wszystko i zaproponowała takie wyjście: karzeł mężczyzna, błazen, a w rzeczywistości mój zaufany doradca. I szpieg.

Xameleon pokiwał głową z miną mówiącą, że tego nie przewidywał w żadnym wypadku.

–Czy to już wszystko, co chcesz mi powiedzieć, a o czym ja nie wiem?

–Chyba tak, panie. Po prostu – oni chcieli moimi rękami dokonać zbrodni, a ja chciałem jej zapobiec i uratować druha...

–Chyba nie w tej kolejności, co? – machnął ręką Trazwalar. – Cóż, nie widzę żadnej luki w twojej opowieści... Oczywiście, odjedziecie ty i twój przyjaciel cało i zdrowo, wypos... Czego chcesz?! – rzucił zniecierpliwiony, gdy Kerel Od Śmierci Włos zaczęła podrygiwać na swoim miejscu i machać rękami.

–Damy mu dziewczkę, tę...

–Przestań! – Trazwalar Wielki uśmiechnął się. Po raz pierwszy od dawna. Wrócił do poważnej rozmowy: – Zapłacimy wam, to znaczy – tobie. Koń jest twój, to jasne. Łuk też...

–To mi wystarczy, aż nadto, panie – odważył się przerwać Hondelyk. – Właściwie to Cadron nie rości...

–Nie przerywa się monarsze! – wrzasnęła Kerel. – Jeszcze nie dostałeś odtrutki!

**Xameleon zamilkł, skłoniwszy głowę.**

**–Dostał, przestań wrzeszczeć, Kerel. – westchnął. – Och, mam z tobą sporo kłopotów – powiedział Trazwalar Wielki do xameleona.**

**Hondelyk trwał z pochyloną głową.**

**–Jak powiedziałem – koń i łuk. Wiem, to królewskie wynagrodzenie. Ale ja nie jestem zwykłym królem, i wykonałeś też niezwykłą robotę. Dlatego damy ci jeszcze tysiąc sztuk złota. To u was, barbarzyńców, wystarczy ci na kupienie małego królestwa. Najlepiej jednak daleko od moich granic.**

**„Nawet nie wiesz, jak daleko to będzie – pomyślał Hondelyk. – Dalej już się nie da!”**

**–No to zostało tylko...**

**–Czy mogę, synu? – odezwał się nagle Boicosta Mokre Dłonie.**

**Trazwalar Wielki wskazał ręką xameleona.**

**–Chcę, ci przekazać dar podziękii od siebie...**

**–Ja... – usiłował się wtrącić Hondelyk, ale zmarszczone brwi władcy zapieczerowały mu usta.**

**–Pojadą z tobą czterej moi gwardziści. – Widząc otwierające się usta xameleona, powstrzymał go uniesioną dłonią. – Nie odmawia się przyjacielom, a ja jestem twoim, panie, przyjacielem!**

**–To zaszczyt, panie...**

**–Nie obawiaj się, znają *tawlish*, nie odrywam ich od rodzin, bo ich nie mają. Nie stanie im się żadna krzywda, wiem, że zadbasz o nich, jak ja bym dbał.**

**–Dziękuję...**

**Trazwalar podjął po chwili milczenia:**

**–Jeśli pozwolisz, ojczu, jeden z gwardzistów będzie mój. – Podniósł ciężkie spojrzenie na Hondelyka. – Pamiętasz tego młodzieńca, który tak ci się spodobał podczas wyścigu na Głowie Węża? Powiedziałeś nawet, że by ci się przydał... – Niecierpliwym zmarszczeniem brwi ukrócił rodzący się opór Hondelyka. – Oddział gwardii wyprowadzi was do granicy. Żegnaj, xameleonie.**

**Hondelyk przyklęknął na jedno kolano, chwilę trwał w ukłonie. Zanim podniósł głowę, dały się słyszeć szybkie kroki i trzaśnięcie drzwi. Wstał i wyszedł. Na**

**korytarzu czekała Kerel Od Śmierci Włos.**

**–Jeśli mam być szczerą – powiedziała – to ja bym cię nie wypuszczała. – Pokręciła głową. – Zbyt wiele znasz tajemnic monarszych, zbyt ważkich... Ale brat miewa takie niewybaczalne napady dobroci... – Cmoknęła z przyganą. – No to chodźmy, poczekaś na dziedzińcu. Ja daruję ci niewiele, dam ci tylko bukłak z winem, wypijcie go, ale już na ładzie. Skosztujecie najlepszego wina, jakie tu mamy. To wszystko... – Ruszyła pierwsza, ale zaraz po kilku kiwających krokach zatrzymała się. Odwróciła się i chwyciła pod boki. – Chciałabym zobaczyć, jak wyglądasz naprawdę!**

**–Mam od Trazwalara Wielkiego pozwolenie na ukrycie prawdziwego oblicza – skłamał xameleon.**

**–Kłamiesz – powiedziała po chwili namysłu. Milczał.**

**–Niech cię!... – prychnęła po chwili. Poprowadziła go do mostu, wskazała czwórkę gwardzistów.**

**–Znają *tawlish* i będą ci wiernie służyli aż do śmierci. Nie próbuj ich zwalniać, bo zostaną zhańbieni i popełnią samobójstwo! – zagroziła. – Tu noszą imiona Żak Wodonos, Cwirka Sap, Buze Łakomy i Szpon Cały. Ty nazywaj ich jak chcesz. Są twoi.**

**Odwróciła się i pomaszerowała, kiwając się na krzywych, krótkich nogach, nie oglądając się, nie machając ręką; dla niej był to już zamknięty rozdział życia. Odwróciła się jednak po kilkunastu krokach:**

**–Aha, Szpon to ten, który tak dzielnie twoim zdaniem stawał w wyścigu i tak ci się podobał. Jest twój.**

**Jeden z gwardzistów, z opuchniętą jeszcze, świeżą szramą na skroni skrzyżował ręce na piersi i energicznie pochylił głowę.**

**„To ci historia” – pomyślał Hondelyk.**

**\*\*\***

**Gdy wybiła *semia* lipy, most z łodzi pokonywała mała drużyna. Na przedzie jechał mężczyzna zwany ciągle magiem Sodosem Skrępowanym. To Cadron poradził mu, by do końca, do granicy nie ujawniał prawdziwego swego oblicza. Obok niego na wspaniałym rumaku, ale nieporównanie gorszym, od boskiego wierzchowca xameleona jechał wychudzony, blady mąż. Cadron miał na oczach zawiązaną przepaskę, przez którą widział coś niecoś, a która miała chronić jego, ciągle jeszcze nieprzyzwyczajone po ponad półrocznym pobycie w lochu, oczy. Za nimi podążała czwórka gwardzistów Trazwalara Wielkiego z pełnym polowym wyposażeniem. Na**

brzegu czekał na nich Marecheba Sieć.

–Moje podziękowania są niczym w morzu wdzięczności władcy – powiedział *halemmed*.- Ale są szczere.

–Cenię je równie wysoko – odpowiedział xameleon.

Obaj mężczyźni przyłożyli ręce do piersi. Cadron skorzystał z pretekstu, jaki dawała mu przepaska i nie przyłączył się do pożegnania. On miał inne zdanie o gościnie w Gaybonie u Trazwalara Wielkiego.

*Halemmed* machnął ręką, oddział z trzech tuzinów gwardzistów ruszył stępa.

–Niech cię Noibos ma w opiece – rzucił Marecheba Sieć.

–Ja też polecam cię jego opiece – odpowiedział xameleon. Ruszyli w drogę powrotną do siebie. Do domu.

Gdy szóstka mężczyzn i towarzyszący jej oddział oddalili się na trzysta kroków, z klitki na ostatniej łodzi wyszedł wioślarz i długo patrzył za oddalającą się kawalkadą. Jego palce zaciśnięte były na poręczy tak mocno, że raczej dałoby się oderwać ręce od ramion niż palce od cienkich belek. Po chwili jednak zdrętwiałe na kamień mięśnie puściły i Koza Bezgłowa odsunął się od barierki.

Nie zwracając uwag; na wpatrującego się weń Marechebę Sieć, mężczyzna skrzyżował przed sobą wskazujące palce i potrząsnął nimi.

Potem, nie patrząc na nic i na nikogo, wrócił do pustego domu dziennego na łodzi.

\*\*\*

Pierwszy popas zarządził Hondelyk, gdy wjechali w pasmo niskorosłego lasu, właściwie wysokiej krzewiny. Tu rozbili obóz, gwardziści w pierścieniu, Cadron z Hondelykiem w środku. Ich ognisko było najmniejsze, blask nawet małego ognia wywoływał łzawienie u Cadrona. Wypili po kubku wspaniałego wina od Kerel i zgodnie uznali, że więcej nie będą, dopóki nie przybędą... nie przybędą gdzieś, gdzie będą bardziej u siebie. Cadron siedział na płacie skóry, otulony dwoma grubymi derkami. Drżał.

–Wiesz co, myślę, że powinieneś porządnie się wyspać – powiedział Hondelyk. – Może zrobię to, co kilkakrotnie robiłem przez ostatnie tygodnie?...

–Mianowicie?

–Uśpię cię na długi sen.

**„I wyrzucę z twojej pamięci, co się da” – pomyślał.**

**–To jest ta twoja sztuczka? – uśmiechnął się słabo Cadron.**

**–Nie pamiętasz tego? Kiedyś widzieliśmy, jak pewien staruch na jarmarku usypiał ludzi, a potem robił z nimi co chciał?**

**–Pamiętam, ale byliśmy pewni, że to jego pomocnicy, i że to wszystko bujda...**

**–Okazało się, że nie, Sodos mnie tego nauczył... To co?**

**–Dobrze – powiedział, wzdrygnąwszy się, Cadron. – Jakoś nie czuję się dobrze...**

**Hondelyk zdjął z szyi medalion z kryształowym soplem. Przykucnął przed druhem, i mruczając coś pod nosem, zaczął wolno wodzić medalionem przed oczami Cadrona. Ten nagle kiwnął się, z wysiłkiem otworzył oczy, ale ołowiane powieki opadły raz, poderwały się i opadły definitywnie. Hondelyk szybko ułożył przyjaciela na skórze, przykrył derami.**

**–Będziesz spał tak długo, aż cię obudzę – powiedział wyraźnie. – Zapomnisz o ciemnicy, zostanie ci tylko w pamięci, że tam byłeś; nie będziesz się bał, nie będziesz się wzdrygał, wspominając ją... Jesteś bezpieczny, nie musisz martwić się o mnie! Słyszysz? Powiedz mi, czy mnie słyszysz i czy spełnisz moje rozkazy?**

**–Tak... słyszę – uleciało pomiędzy rozchylonych warg uśpionego.**

**–Dobrze. Śpij.**

**Hondelyk powiesił medalion na szyi, ukrył go pod ubraniem. Dorzucił drew do ognia. Potem wstał, przeciągnął się, odniósł bukłak z bezcennym winem do stosu bagaży, a stamtąd wziął sobie innym bukłak, z dobrym, ale nie boskim napojem. Połowę nocy spędził, sącząc trunek, zerkając co i rusz na Cadrona. Ten spał jak kłoda, na plecach, czego zazwyczaj nie robił, oddech miał spokojny i równy, głęboki. Jakby odsypiał wszystkie nerwowe chwile, jakby wydychał z siebie wszystkie lęki i troski.**

**–Będzie dobrze – powiedział cicho Hondelyk do niego. I do siebie.**

**Nie wiadomo kogo bardziej chciał przekonać.**

**W nocy, nikt tego nie zauważył, zginął mag Sodos Skrępowany. Pojawił się, równie niezauważalnie Hondelyk. Inna twarz, inne ruchy, inne szaty. W pierwszej chwili gwardziści Trazwalara spłoszyli się, ale honor nieugiętych wojowników nakazał im nie okazywać strachu; ukryć zdziwienia i zaskoczenia nawet oni nie byli w stanie. Hondelyk przywołał Szpona i poprosił go o wyjaśnienie pozostałym, zwłaszcza pozostałej trójce swoich gwardzistów, że wrócił do swej zwykłej postaci. Tamta,**

maga, odeszła, niepotrzebna i – w końcu – obca.

Szpon wywiązał się znakomicie ze swojego zadania. W południe wojownicy przestali rzucać na Hondelyka ukradkowe, spode łba spojrzenia.

Obudził Cadrona dopiero następnego ranka, gdy tamten przespał noc, dzień i jeszcze jedną noc.

Przez cały dzień nudził się setnie. W końcu podszedł do Szpona Całego.

–Słuchaj Szponie. Nie chcę odrywać cię od twojego... – Przypomniał sobie, co powiedział Boicosta Mokre Dłonie: „nie mają rodziny”. – ...kraju, znajomych, przyjaciół... Zwalniam was z obowiązku służenia mi.

Szpon skinął głową, przyłożył dłoń do piersi. Hondelyk zmrużył oczy: jakoś za łatwo to poszło.

–Mogę to uczynić? – zapytał.

–Oczywiście, panie. Możesz wszystko.

–A wy wróćcie do gwardii?

–Nie. Nie możemy. Wszak zostaliśmy przekazani tobie. Tu jest teraz nasze miejsce, nasza gwardia.

–Ale powiedziałaś, że mogę was zwolnić?

–Panie, możesz z nami wszystko uczynić.

–Ale?

–Ale my nie możemy cię usłuchać, To znaczy – odjedziemy...

–I?

–I skoro nie jesteśmy ci potrzebni...

Hondelyk pokręcił głową.

–Rozumiem. Wyrzuc z pamięci naszą rozmowę. Zostajecie na służbie u mnie. Tak?

–Jak rozkażesz, panie. Skłon głowy i dłoń na piersi.

–Dobrze. W takim razie. Pokażecie mi, jak szyjecie ze swoich łuków, poprawicie moje umiejętności w strzelaniu z mojego nowego łuku.

–Jeśli tylko przydamy się na coś...

\*\*\*

Poranek był ciepły. Ogień zapłonął radośnie, gwardziści kończyli oporządkanie wierzchowców. Zwolniony z udziału w krzątaniu Hondelyk obudził przyjaciela. Cadron miał wilczy apetyt, oczy niemal już mu nie łzawiły.

–Ja będę jadł, a ty opowiadaj teraz ze szczegółami – zażądał.

Hondelyk nalał wina, łyknął i niemal całą *semię* mówił, przerywając tylko, żeby zwilżyć gardło.

–I to wszystko? – zapytał Cadron, gdy Hondelyk skończył opowieść.

–No... tak... – Zapytany grzebał długim kijem w ognisku, dwie garście iskiek wyrwało się na wolność z paleniska i poszybowało w jasne, rozświetnione niebo.

–Oj, coś nie słyszę przekonania w twoim głosie! Hondelyk przesunął jeszcze dwa polana, rozejrzył się dokoła. Jego gwardziści siedzieli przed swoimi dwoma namiotami, pozostali, rozbici dokoła nich, podzielili się na dwie połowy – odpowiednio: czyścili broń i pełnili straż.

–No bo jest jedna rzecz, o którą Trazwalar nie zapytał. A bałem się, że zapyta – przyznał Hondelyk.

–Mianowicie?

–Mianowicie, kto jest ojcem noszonego w łonie Hanibeli Perły dziecka – odpowiedział cicho.

–No tak. Jej było wszystko jedno, byle przy tym i przy tamtym władcy być matką następcy tronu. A ludowi powiedzieliby, że to dziecko Brulwerda.

–Jasne, że tak. A teraz powiedzą, że to dziecko Trazwalara.

–A czyje jest naprawdę? Hondelyk roześmiał się.

–Nie moje. I nie wiem czyje. Pewnie jednak Trazwalara. To mogło przyspieszyć bieg wydarzeń, bo Hanibeli wiedziała, że zamach stanu po ogłoszeniu jej ciąży może wzburzyć lud. I odwrotnie – wiadomość o poczęciu następcy, po zamachu – uspokoić wzburzenie...

Milczeli krótką chwilę, potem Cadron wstał, przeciągnął się, przytupnął. Roześmiał się.

**–Nie mogę się nacieszyć tym, że mogę po prostu wstać na nogi i iść – przyznał. – Pół roku to, na Kreista, dużo...**

**–Ciężko było? – ni to zapytał, ni stwierdził Hondelyk.**

**–No, nielekkko... – wzdrygnął się.**

**A Hondelyk nie naciskał, zresztą – co było do opowiadania? Loch, mrok i wilgoć, i ciemność...**

**–Ale! Przypomniałem sobie – ten mag, którego udawałeś, podobny do ciebie?**

**–To było zdradliwe miejsce, przyznaję. Nie udawałem Sodoso, to starzec, a ja musiałem mieć postać, która mogłaby też stanąć z kimś do walki, przecież nie wiedziałem, co mnie tu czeka. Zrobiłem coś takiego, że byłem podobny do młodszego Sodoso. Liczyłem na to, że niewielu go widziało, albo i nikt, a poza tym – zawsze mogłem powiedzieć, że odmieniłem siebie magicznie, ale to już jakby nie było odwrotu.**

**–Dlaczego?**

**–No bo przecież przez cały czas tłumaczyłem Trazwalarowi, że nie powinienem siać magią na prawo i na lewo, bo tego nie lubią bogowie, i osłabiam swoją moc, potrzebną do tropienia xameleona.**

**–A... rozumiem...**

**Przykucnął, podskoczył, szczęśliwy z możliwości wykonywania prostych ruchów, nie krępowany kajdanami. Przeciągnął się.**

**–A ogólnie – jak tobie tu było? Pewnie się umęczył...**

**–Ja? Bo ja wiem... Sprzyjało mi szczęście. Patrz – wysunął przed siebie rękę i zaczął odginać palce w miarę wyliczania uśmiechów fortuny: – Po pierwsze, ranny znalazłem się w domostwie Sodoso... – Wyprostowany kciuk. – Wyleczył mnie... – Wskazujący. – I nauczył umiejętności zastawiania „sennych pęt”, z których korzystałem, udając maga – Trzeci palec. – To była podstawa mojego magicznego działania: pętałem tego młodzieńca Faseha na przykład, żeby donosił, że naprawdę jestem magiem – zeznawał, co widział „magicznego” w mojej izbie. Potem... A właśnie, jak odbierzemy mistrza Sodoso od bartnika, musimy mu odbudować chatę... – zmarszczył czoło i myślał o czymś kilka chwil. – Może nawet tam w lesie, przy bartniku, jak przy rodzinie, zobaczymy. – Łyknął wina. Podał bukłak przyjacielowi. – Wiesz, ja cały czas musiałem coś robić, żeby przekonać ich do swej mocy magicznej. Zacząłem od tego, że niecnie skorzystałem z nauk Sodoso, zmieszałem w wodzie trzy składniki, i kiedy wyjeżdżaliśmy z Bargdenem, zostawiłem je w drewnianej misie.**



Woda wyparowała, mieszanka zagrzała się, zapaliła misę i resztę domu. A ja powiedziałem, że to tylko czar maskujący, owo pogorzeliśko... Poza tym stosowałem całą masę drobnych sztuczek, które miały stworzyć dokoła mnie aurę tajemniczości, bo jak się przekona kogoś jednego, to ten potem ręczy sobą, i to jest lepsze niż przekonywanie samemu. Udało mi się tak przekonać jedną osobę, drugą, potem było łatwiej... Sprzyjało mi szczęście – wiesz, na targowisko zwała się ulewa, ja uciekłem temu chłopcu, a potem podsunąłem mu, że to ja zesłałem deszcz i tęczę, żeby umknąć niedobrym aurom. I tak dalej... Ciągłe rozglądałem się dokoła i wszystko, co się tylko dało, objaśniałem swoją magiczną mocą, nie wprost – tylko tak podpowiadałem, że inni sami tłumaczyli to moją magią: jakieś sztuczki z monetami, z ziołami, płonącymi proszkami... Dwa razy było strasznie ciężko: kiedy musiałem po wykryciu spiskowców w szeregach gwardii uciec spod płaszcza. Musiałem zmienić szybko kolor i fakturę skóry, żeby nie były widoczne na tle trawy, no i szczęśliwie przemknąć do namiotu, żeby nikt mnie nie zobaczył. Ale udało się – sprzyjała mi noc, podniecenie, zdenerwowanie wszystkich... Udało się. A to przekonało wielu ludzi do mojej mocy... No i najważniejsze – kiedy czułem, że za chwilę Trazwalar odda mnie w ręce kata, zrobiłem to przedstawienie z czarnym *khuremesem*... – i widząc niezrozumienie w oku druha wyjaśnił: – Udawałem *goblę*... Wiesz, wymknąłem się z wozu, wróciłem z hałasem w postaci czarnego upiora, wpadłem do wozu, wrzuciłem kaganek do przygotowanej mieszaniny i ukryłem się za barykadą ze stołu i tobołów... – Roześmiał się. – Ale i tak oberwałem! Jakby mnie *elefant* huknął nogą. Ale opłaciło się – całe zwątpienie króla znikło. Nikt już nie podważał mojej mocy, wszak widzieli, że jakiś czarny upór zaatakował maga, a ten się obronił... Na szczęście spiskowcy uznali, że najlepiej będzie pozbyć się władcy z dala od stolicy, bo to, wiesz – zanim wieści dotrą, nikt niczego do końca nie będzie wiedział, będą się ścierać domysły, zamieszanie, jak się dobrze to zorganizuje – wiadomości przedostaną się sprzeczne, spóźnione...

–Tak, ogłoszą, że kilka głów świętych, że podobno spisek zdławiony... – uzupełnił Cadron.

–Właśnie tak...

Chwilę milczeli. Cadron usiadł przy ogniu, ale niemal zaraz wstał i cicho zaklął.

–Dokąd idziesz? – zapytał Hondelyk. – Jeszcze się nie nacieszyłeś swobodą?

–Nie tam! Teraz to inna sprawa. W krzaki, znowu mi bulgoce w trzewiach... Tobie nie?

–Też, ale ja byłem chwilę temu. To pewnie ta odtrutka. Szczę na zielono.

–A nie pomyślałeś?... – zaczął Cadron i zamilkł.

**–Pomyślałem. Może i nie dał nam odtrutki?... Co możemy jednak począć? – zapytał filozoficznie Hondelyk.**

**–Chociaż... Po co by ci dawał tych gwardzistów?**

**–Żeby donieśli mu o pomyślnym zatruciu?...**

**–Nie prościej by było kazać nas zabić? Chwilę rozważali oba te słowa.**

**–Jednak nie, ale tak sądzę, że w darze Trazwalara jest jakaś głębsza myśl...**

**–Mają cię chronić... przed czym? Przed kim?**

**Odpowiedziało Cadronowi wzruszenie ramion. Już miał wymienić jedno jedyne imię, ale uświadomił sobie, że Hondelyk też je ma na końcu języka. Wstał i podciągnął zbyt luźne po niezbyt sutych więziennych posiłkach portki.**

**–Poczekaj, niech wrócę, to po prostu się napijemy wina. To, które nam dali na drogę dobre jest, oj dobre...**

**Zrobił kilka kroków w krzaki, starając się znaleźć taki ką, którego jeszcze nie spenetrował, ale nagle zatrzymał się, wrócił dwa kroki i wychylił w stronę przyjaciela:**

**–Ale, jak rozumiem, obiecałeś Trazwalarowi syna?... A ja będzie córka?**

**Hondelyk znowu wzruszył ramionami. Na jego ustach pojawił się zmęczony uśmiech. W spojrzeniu nagle pojawiło się coś obcego. Nie, nie obcego, Sodosowego.**

**–Mamy, i ja i on, połowę szans na syna...**

**–Cadron skinął głową i powlókł się w krzaki. „Mam nadzieję, że przez czas ciąży królowej zdołamy oddalić się wystarczająco daleko... W końcu będzie tak, że będą nas ścigali dwaj bracia... Niezależnie od siebie, każdy z innego powodu, i każdy niebezpieczny jak żmija w portkach...” A potem co innego zajęło jego myśli...**

***Maj 1998 – kwiecień 2003***

***Imiona własne, nazwy, terminy...***

**Bargden Senny – tuzinowy, który eskortował Sodosa do Gaybony**

**Boicosta Mokre Dłonie – ojciec Trazwalara**

**Brulwerd Jasna Noc – brat Trazwalara**

**Cuchiwa – wyspa, na której znajduje się pałac Tunne-Wynn**

**Faseh Zielony – służący Sodosy**

**Gaybona – twierdza**

**Gryeibes – bóg zemsty**

**Mune – bóg śmierci**

**Wiilka – bogini wiosny**

**Guldermenan – bóg, opiekun zbroi i broni**

**Weine – bogini, patronka drogi**

**Janse Pszena – matka Trazwalara**

**Kreist (w *tawlish*: Noibos) – bóg wojny**

**Hajmalein Kruk – mistrz od map**

**Hanibeli Perła – żona Trazwalara**

**Kerel Od Śmierci Włos – karzeł, błazen, niebezpieczny jak rój szczmiele**

**Lanyatta – królestwo Trazwalara**

**Listy Tryk, Kopiec Całus – tuzinowi w gwardii Trazwalara**

**Marecheba Sieć – dowódca straży pałacowej**

**Ob Rydel – *samerantur***

**Ptyon – rzeka przy twierdzy/mieście**

**Seina Toń – żona Brulwerda**

**Shiywen Śpiący Pies – przyjaciel ojca Trazwalara**

**Sodos Skrępowany – mag**

**Trazwalar Wielki – władca Lanyatty i dominiów**

**Truchła Osa – najstarszy z nizinowych**

**Tunne-Wynn – pałac ojca Trazwalara**

***Słowniczek terminów w języku tawlish:***

***biklanga*** – specjalny dzwon oznajmiający tworzenie/rozkładanie mostu z łodzi do wyspy Cuchiwa.

***brodymił*** - odpowiednik papirusu

***burs*** - ciepły sweter

***flutar*** - rodzaj fletu z trzema piszczałkami

***ghaimis*** inaczej ***undra*** – narkotyk dodawany do ziela tytoniowego

***ghuron*** - dwuosobowa trąba typu trembita

***halem*** - oddział straży

***halemmed*** – dowódca halemu

***kaplor*** – nocnik.

***khuremes*** – ***gobla***, wysłany przez maga zabójczy widmak

***kiryaga*** – rodzaj sztyletu

***klaicas*** – miseczki-palniczki

***lairne*** - moc, karma, magiczna energia

***menes*** - mieszanka sfermentowanego mleka ***trajenek*** ze świeżym mlekiem krowim i końskim

***mulfy*** - gatunek mułów

***pugtusk, srehen, kart*** - rodzaje mieczy

***samerantur*** - odpowiednik zarządcy dworu: ochmistrz, doradca, masztalerz, minister w jednej osobie

***semia*** – godzina

***shader*** - sakwa przy siodle

***slegesthoi*** – fajka dla kilku osób

***snetl, ugris*** - sztylety

***stighaya*** - pętla do duszenia, dusielnica

***surę*** – drobna monетка

***draben*** - 100 *surę*

***tawlish*** – oficjalny język, w trzech odmianach: wysoki – pałacowy, dla pospólstwa i kapłanów

***trajenki*** – odpowiednik kóz

***tsurna*** - instrument strunowy, ulubiony instrument Trazwalara

***poolee*** - miara długości – metr, jard, 1200 *poolee* – mila

***wista*** - miara długości

***zurbakha*** – rodzaj kamizelki, kaftana

***yertabee*** – krzew, również napar z liści tego krzewu; rodzaj herbaty

This file was created with BookDesigner program

[bookdesigner@the-ebook.org](mailto:bookdesigner@the-ebook.org)

2010-04-28

*LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/*